

Zmorojewo

powieść fantastyczno-przygodowa

Jakub Żulczyk

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA

GŁUSZYCE

Część pierwsza

PROLOG

Nieopodal Zmorojewa rozpoczęła się wojna.

Nie była głośna; nie rozbrzmiewały wystrzały, krzyk żołnierzy, huk spadających bomb. Nikt nie zakłócał spokoju lasu - gdzie ćwierkały ptaki, szumiały drzewa, słychać było przebiegające w oddali zwierzęta. Zapadał zmrok. Nad lasem rozlała się krwista czerwień zachodu słońca.

Purpura oblewała korony drzew, spływała po ich pniach, ściekała na krzaki, paprocie i poszycie. Wojny nie było widać ani słyszeć, co nie zmieniało faktu, że zaczęła się właśnie w tym momencie.

- Ci ludzie. Coś mają z tymi trójkami, prawda? - powiedział Strzępowaty i podrzucił mały, owalny przedmiot. - Trzej Królowie, Trójca Święta, Trzy Korony...

- Trzy grosze - zaskrzeczała Gangrena, trzymając się za brzuch.

- Jakie trzy grosze? - Strzępowaty złapał medalion i zacisnął na nim dłoń. Pomiędzy jego zrogowaciałymi, powykręcanyimi palcami coś zaśniło.

- Tak mówią ludzie. - Gangrena usiadła. - „Wtrącić swoje trzy grosze”.

- Nie wiem, co to oznacza, ale jest dobrym przykładem na tę dziwną obsesję trójek. -

Strzępowaty otworzył dłoń i patrzył na przedmiot, po czym pieczołowicie musnął go opuszkami palców... o ile Strzępowaty mógł dotknąć czegośkolwiek z czułością. Jego ręce dużo lepiej wiedziały, jak zaciskać, rozszarpywać i wrywać, a nie głaskać.

Zamilkli na moment, jakby dla uczczenia chwili. Gangrena siedziała na ziemi, przyciskając dłonie do brzucha. Odkąd pamiętała, bolała ją tak mocno, jakby w jego wnętrzu bez przerwy kipiał wrzątek. Choć wzrostem przypominała ludzkie dziecko, miała brzuch, który zajmował sporą przestrzeń. Był jej największym ciężarem, ale czasami myślała, że bez niego nie mogłaby istnieć.

Strzępowaty wsunął zaciśniętą na przedmiocie pięść do kieszeni za dużej, wypłowiałej marynarki i stał przez chwilę, wbijając spojrzenie zaropiałych oczu w nieokreślony punkt. Drugą ręką drapał się po głowie, wielkiej w porównaniu z tyczkowatym i chudym ciałem, jakby czegoś szukał pośród resztek przetłuszczonych siwych włosów. Kiedy to w końcu znalazł, zgniótł w palcach i pstryknął.

Gdyby zobaczył ich jakiś człowiek, opowiadałby potem rodzinie i znajomym, że widział w lesie parę najbrzydszych ludzi na Ziemi. Ale żaden człowiek nie mógł ich zobaczyć, tak jak żaden człowiek nie mógł tak po prostu wejść do lasu otaczającego Zmorojowo.

- Pokaż mi. - Gangrena wyciągnęła do Strzępowatego drobną, tłustą łapę. - Proszę, pokaż. Nie zniszczę, obiecuję, że nie zniszczę.

Strzępowaty wyjął owalny przedmiot z kieszeni. Zaczął przekładać go między palcami jak monetę. Przedmiot znowu zabłyszczał. Źrenice Gangreny się rozszerzyły. Nie mogła oderwać od niego oczu.

- Ano ludzie coś mają z tymi trójkami. - Strzępowaty z premedytacją podsyczał jej fascynację. Bawił się medalionem, a jednocześnie bawił się Gangreną, która sięgała ku błyskotce ręką. Gdy jej palce znalazły się za blisko, Strzępowaty uderzył ją dłonią, jakby karciał dziecko. - Trzy Klucze. Na razie mamy jeden.

Gangrena uspokoiła się, ale tylko na chwilę. Strzępowaty odwrócił medalion awersem do niej. Był to nagrobny portret o owalnym kształcie. Gangrena popatrzyła na uwiecznioną na nim twarz, rozwarła oczy jeszcze szerzej i zaczęła gwałtownie poruszać szczęką jak ktoś bardzo

zdeenerwowany. Albo przerażony.

- Oto jeden z Kluczy - powiedział Strzępowaty. - Portret Kobiety Cementarnej.

- Tej, która przychodzi po samobójców i ma metalowe szpony zamiast rąk - wyszeptała ze zgrozą Gangrena.

Strzępowaty westchnął.

- Te szpony to przesada. - Popatrzył uważnie w twarz na portrecie. Zwykła starsza kobieta, około siedemdziesięcioletnia. Z siwymi, ułożonymi w staromodną falę włosami i gęstą siatką zmarszczek na twarzy. Zwykła kobieta... tyle że jej gałki oczne były całe czarne. - Ale fakt, lubiła noże. Ostre przedmioty. Lubiła kroić. Bardzo. - Uśmiechnął się. - Lubiła też koty - dodał i schował portret do kieszeni marynarki.

- Skąd to masz? Skąd? - zaskrzeczała Gangrena.

Czuła, że nie jest już samotną, małą Gangreną, którą jeśli już ktoś zauważa, to tylko ją popycha, wygania albo przewraca. Teraz była własnością Portretu.

- Ci ludzie... - Strzępowaty poklepał kieszeń, jakby Portret był żywą istotą, którą trzeba uspokoić. - Nie było trudno go znaleźć. Wejść do niego do domu. Zabrać mu to. Wcale a wcale.

Strzępowaty westchnął i wciągnął nosem leśne powietrze. Zmrużył oczy jak kiper wachający wino o wyjątkowo bogatym bukicie. Nie było tego słychać, nie było czuć, ale w lesie coś się zmieniało. Zrobiło się chłodno, nie z braku słońca, ale raczej jakby nieznacznie zmodyfikował się jego skład chemiczny. Wiatr zmienił kierunek. Gdzieś daleko pod ciężarem jakiegoś zwierzęcia trzasnęła gałąź. Każdy moment, każdy odgłos zwiastowały nadejście nowego.

Pomiędzy drzewami coś zamigotało. Gangrena pokazała to palcem.

- Widzę - powiedział Strzępowaty. Ruszyli przez las. Gangrena, drepcząc drobnymi, niezdarnymi i szybkimi krokami, przypominała buldoga francuskiego, który próbuje iść na dwóch łapach. Strzępowaty człapał powoli i anemicznie, zapatrzony w nieokreślony punkt w ciemności. Nie patrzył na ziemię, ale jego patykowate, długie nogi zwinnie pokonywały każdą przeszkodę. Człowiek przewróciłby się kilkanaście razy. Ale Strzępowaty nie był człowiekiem.

Purpura gasła, a las powoli zaczęła spowijać czerń.

Chociaż jeszcze nikt tego nie słyszał i nikt tego nie widział, nieopodal Zmorojewa rozpoczęła się wojna.

1. Najgorszy początek wakacji wszech czasów

Gdyby ktoś zapytał Tytusa Grójeckiego o Trzy Najbardziej Znienawidzone Rzeczy Na Świecie, potrafiłby wskazać je bez wahania. Jak każdego nastolatka, Tytusa wiele spraw potrafiło doprowadzić do rozstroju nerwowego. Obecnie nie znośił: idiotek ze swojej klasy oglądających bez przerwy Hannah Montanę i rozmawiających o chłopcach z boysbandów, awarii prądu podczas pokonywania ostatniego levelu Call of Duty, lektur szkolnych i dresiarzy. Ale miał również specjalne podium Trzech Rzeczy, które wywoływały u niego poczucie wyjątkowo silnej i niezmażonej nienawiści.

Pierwsza z nich była nie rzeczą, ale raczej człowiekiem. Mimo to Tytus nie czuł oporów przed takim klasyfikowaniem tej osoby. Polonistka Agata Florek. Nie, nie należała do typu pomarszczonych i zasuszonych starszych pań, patrzących groźnie znad grubych jak ściany sejfów szkieł okularów, każących bezlitośnie ryć na pamięć wiersze o drugiej wojnie światowej i zaczynających wrzeszczeć, gdy tylko jakaś dziewczyna pomalowała sobie do szkoły paznokcie. Agata Florek była jeszcze gorsza. Nie była jakaś strasznie stara, miała raptem dwadzieścia osiem lat. Nie aż tak wstrętna, to znaczy, nie wyglądała jak główny bohater *Piły V*. Może nawet była ładna, ale Tytus miał problemy z określaniem tego, czy osoby tyle starsze od niego i do tego stojące ponad nim w życiowej hierarchii są ładne lub brzydkie.

Najgorsza wydawała się skłonność Agaty Florek do hysterii. Bez przerwy na lekcji wyrzaskiwała wniebogłosy, jak to ma ich wszystkich, to znaczy Tytusa i reszty klasy, dość i że kompletnie nie może sobie z nimi poradzić. Do tego za każde najmniejsze przewinienie wysyłała do dyrektorki.

Lista tych przewinień sugerowała chorobę psychiczną nauczycielki, a przynajmniej jej bardzo specyficzne poczucie humoru. Były to: sygnały przychodzących SMS-ów, gryzienie końcówki od długopisu, bębnienie palcami o stół czy żucie gumy.

Ponadto Agata Florek, wytypowawszy kandydata do odpowiedzi, nerwowo wertowała dziennik, poszukując właściwej rubryki, a w końcu bombardowała nieszczęśnika takim beładnym gradem pytań, że nie miał szans sobie poradzić. Mickiewicz mieszał się jej z Krasieńskim, Urszulka z *Trenów* znikąd pojawiała się na *Weselu* Wyspiańskiego, a Zbyszko z Bogdańca dzielnie najjeżdżał wioskę, w której grał Janko Muzykant.

Gdy podchodziła do tablicy, potrafiła się zdenerwować tak bardzo, że wskaźniki, gąbka i małe kawałki kredy leciały jej z rąk, jakby miała jakiś atak. Pewnego razu, podczas omawiania wierszy Miłosa, Agacie Florek zadzwoniła komórka. Przeżona wrzasnęła, podbiegła do torebki i wyrzucając na lewo i prawo jej zawartość, zaczęła szukać telefonu. Dla Tytusa Grójeckiego w życiu nade wszystko liczyły się zdrowy rozsądek i sprawiedliwość, więc zwrócił nauczycielce uwagę, że jeśli każe wyłączać przed lekcją komórki, to sama również powinna się zastosować do ustalonych zasad. Agata Florek nakrzyczała na Tytusa i odesłała go do dyrektorki. Tak, zdecydowanie była jedną z trzech najbardziej znienawidzonych przez niego rzeczy na świecie.

Drugą było mrożone jedzenie - pierogi, pyzy, warzywa na patelnię i pizza. Ktoś inny mógłby uznać, że Tytus przesadza, a poza tym mrożona pizza, zwłaszcza jeśli na wierzch dać parę dodatkowych plasterków sera, wcale nie jest taka zła. Jednak dla Tytusa mrożonki stanowiły lwią część codziennego jadłospisu. Gdyby nie genialny wynalazek przechowywania jedzenia w temperaturze poniżej zera, prawdopodobnie umarłby z głodu.

Marta Grójecka, jego mama, po prostu nie miała czasu gotować. Była zabieganą właścicielką dwóch szkół językowych i bywała w domu od dwudziestej drugiej do ósmej rano. Resztę czasu spędzała na doglądaniu interesu oraz ślamazarnych, jej zdaniem, lektorów i księgowej.

Księgowa wcale nie była ślamazarna. Nazywała się Danusia i Tytus całkiem ją lubił, zwłaszcza gdy raz na dwa tygodnie taksowała go fachowym wzrokiem i stwierdzała u niego mocne niedożywienie, po czym wręczała mu próżniowy pojemnik pełen schabowych własnej roboty.

Tytus był skazany na mrożonki również dlatego, że jego tata pisarz spędzał całe dnie w gabinecie, tworząc książki dla dzieci i, szczerze mówiąc, świat tych książek pochłaniał go bardziej niż rzeczywistość. Wychodził z domu jedynie rano do sklepu, gdzie kupował płatki śniadaniowe, mleko i coś mrożonego dla siebie i Tytusa na obiad.

Tytus raz spróbował zaważać o urozmaicenie rodzinnego jadłospisu.

Gdy siedzieli razem z ojcem przy stole, dłubiąc widelcem w pizzę z dodatkowym serem, zapytał:

- Tato, czy możemy zjeść czasem coś innego niż mrożona pizza?

Robert Grójecki akurat czytał coś bardzo zajmującego w gazecie.

- Nie ma sprawy, jutro kupię pyzy - powiedział, poprawiając okulary na nosie. Po czym popatrzył na Tytusa i zapytał: - Mają być z mięsem czy z dżemem?

Należy tutaj dodać, że kulinarne umiejętności taty Tytusa kończyły się na dodaniu mleka i cukru do kawy rozpuszczalnej.

Tytus westchnął i pożegnał się z marzeniem o normalnym obiedzie. Ratunkiem od mrożonkowej tortury nie były nawet niedziele, kiedy rodzina Grójeckich jadła zwykle obiad w restauracji. Państwo Grójeccy wybierali zazwyczaj włoską knajpę na Powiślu, a we włoskich knajpach, jak wiadomo, serwuje się głównie pizzę.

Trzecią rzeczą, której Tytus Grójecki nienawidził najbardziej na świecie, był początek wakacji, który od paru lat wyglądał tak samo: po uroczystości zakończenia roku szkolnego Tytus siedział na boisku do kosza z dwoma najlepszymi kumplami, Grubsonem i Pitoniem, chociaż kosza nie lubił. Aktywność ruchowa w ogóle nie była jego konikiem. Gdy udawało się poprosić tatę o podpis na szybko spreparowanym zwolnieniu z wuefu, Tytus korzystał z tego bez żadnych skrupułów. Nie było to wcale takie trudne - tato w swoim oderwaniu od rzeczywistości nie zwracał uwagi na to, co tak naprawdę sygnuje.

Tytus przyglądał się, jak jego koledzy rzucają piłkę do kosza, i głęboko westchnął. Ostatni dzień szkoły dla każdego przeciętnego ucznia podstawówki i gimnazjum, a także, jak podejrzewał Tytus, liceów i uniwersytetów, był momentem czystej i niezmażonej euforii. On miał trochę inny pogląd na tę sprawę, ponieważ musiał z reguły słuchać opowieści kumpli, gdzie spędzą dwa najbardziej ekscytujące miesiące w roku.

- Ja jadę najpierw na zagłę i chyba zrobię w końcu sternika - powiedział Grubson, rzucając za trzy punkty. Piłka zatańczyła po obręczy, ale nie wpadła do środka. Grubson zaklął, po czym kontynuował: - Potem wybieram się ze starymi do Włoch na dwa tygodnie, a potem będzie największy wypas, obóz młodzieżowy w Maladze. Oj, co tam się będzie działo, ziomuś...

Rzucił jeszcze raz, celnie. Grubson klasnął z radości, złapał piłkę i przymierzył się do następnego rzutu.

- To nieźle - uznał Pitoń, którego rodzice, tak samo jak rodzice Grubsona, wierzyli, że interesująco spędzone wakacje ich dziecka będą podstawą aktywnego i dobrze przepracowanego roku szkolnego. Ich wiara była ślepa, bo Pitoń przechodził z klasy do klasy tylko dlatego, że piłkarska drużyna Gimnazjum numer 39 imienia Edmunda Niziurskiego bez niego poszybowałaby na samo dno rankingu wojewódzkiego. - A ja jadę na obóz piłkarski dla juniorów do Madrytu, a potem do Egiptu nurkować na rafach koralowych. Widziałem te rafy koralowe na kablówce i mówię wam, to gruba faza. Jak w grze komputerowej.

Pitoń podbiegł do Grubsona i wybił mu piłkę, co nie sprawiło mu większej trudności, bo

był jakieś dwa razy chudszy i zwinniejszy od przeciwnika, po czym również rzucił za trzy punkty.

- A ty, Tytuńcio? - zapytał sarkastycznie. - Znowu do cioci nad morze?

Tytus westchnął znad przenośnego playstation. Westchnął, ponieważ to lato zapowiadało się jeszcze gorzej i naprawdę głupio mu było powiedzieć o tym kumplom, bo ich relacje znały, jak to czasami bywa, duch rywalizacji. Pomimo że świadectwo Tytusa prezentowało się zdecydowanie najlepiej - nie był kujonem, miał po prostu świetną pamięć - w konkurencji wakacyjnych wyjazdów w ogóle nie brano go pod uwagę.

- Ojciec uparł się, że mam spędzić lato na wsi. U babci Maryli i dziadka Zbigniewa. W Głuszycach - mruknął, nie patrząc kumplom w oczy. Doskonale wiedział, że na ich twarzach zobaczyłby takie same grymasy jak te, którymi obdzielali go na wuefie podczas gry w siatkówkę, gdy przychodziła jego kolej, aby zaserwować. - Babcia prowadzi tam gospodarstwo agroturystyczne. Starzy są mądrzy. Sami jadą na wakacje do Meksyku, kota podrzucają sąsiadce, a mnie wysyłają na wieś.

Pitoń pokręcił głową i rzucił do kosza.

- Słabo - powiedział lakonicznie.

Grubson przytaknął. Tytus nie zaprzeczył.

Jego wakacje zapowiadały się tak fatalnie, że kumple woleli o tym nie myśleć, aby nie psuć sobie nastrojów. Tytus wcale nie miał im tego za złe. Był przecież ostatni dzień roku szkolnego.

Tytus nie zazdrościł jednak Grubsonowi i Pitoniowi ich wyjazdów.

Obóz piłkarski jawił mu się jako koszmar, w którym bez wątpienia wolałby nie uczestniczyć, porównywalny z koszarami z filmu o wojnie w Wietnamie. Nie był też przekonany do nurkowania - zbyt wiele naoglądał się programów o różnych przykrych konsekwencjach różnic ciśnienia i dekompresji, a także o atakach rekinów. Ale mimo to opowieści jego kumpli przekonywały go, że planeta Ziemia oferuje milion ciekawszych miejsc spędzania wakacji niż zabita dechami dziura, w której mieszkają tylko krowy, starzy ludzie i chude, szczekające psy.

- Będzie tam chociaż internet? - zapytał Pitoń, siadając obok niego i wskazując na ekran playstation. - Tutaj musisz walić do tego potwora z dystansu, bo z bliska da ci jeden cios i kaplica.

Tytus machnął ręką i wyłączył grę. Nie było sensu roztrząsać, czy jakimś cudem u babci zdoła podłączyć się do sieci. Nawet gdyby mu się to udało, dostawałby na skrzynkę jedynie zdjęcia od Grubsona leżącego pod palmką w hawajskiej koszuli i pokazującego podniesiony kciuk. Tytus mógłby zrobić sobie takie zdjęcie najwyżej pod oborą lub otoczony wianuszkami gęsi. Internet nie był za bardzo potrzebny.

- Wątpię - mruknął Tytus. - Dobrze, jak chociaż będą ze trzy kanały w telewizji.

- No wiesz, świeże powietrze, na rowerze sobie pojeździsz... - zaczął Grubson, ale spojrzał na Tytusa, który w reakcji na jego słowa próbował obudzić w sobie przydatną umiejętność zamrażania wzrokiem, i urwał w połowie zdania. - Nie no, jakiś film przydałoby się tam obejrzeć... - Grubson również usiadł na ławce. - Ci starzy nie mogą ci zafundować normalnych wakacji? Nie mają kasy czy co?

- Nie wiem. - Tytus wzruszył ramionami. - Pewnie mają, skoro sami jadą do Meksyku.

- I nie mogą cię wziąć? - Grubson drążył temat z wprawą dentysty amatora.

- Skoro nie jadę, widocznie nie mogą. Muszę lecieć się pakować. Słuchajcie, miłych wakacji - uciał Tytus. Wymienił z kumplami niemrawe uściski dłoni i poszedł do domu, wiedząc, że za jego plecami stwierdzają, że jest najsmutniejszym kolesiem na świecie. Najgorsze, że mieli rację - bo jak inaczej określić kogoś, kto łapie doła w ostatni dzień roku szkolnego?

* * *

Oczywiście stwierdzenie, że Tytus Grójecki jest smutnym i mrukliwym osobnikiem, który nienawidzi wszystkiego dookoła, byłoby nieprawdziwe. Tytus wiele rzeczy lubił, a za niektórymi nawet przepadał. Choćby za zapiekankami ziemniaczanymi z parmezanem, które jego mama robiła, gdy miała trochę więcej czasu niż obecnie. No i za gramami komputerowymi, ładną pogodą, luźnymi, wygodnymi bojówkami z dużą liczbą kieszeni (uważał je za bardzo praktyczne), buszowaniem po internecie i japońskimi animacjami. I tak jak było z rzeczami, których nienawidził, Tytus Grójecki miał również Trzy Rzeczy, Które Lubił Najbardziej Na Świecie.

Pierwsza z nich nie była rzeczą, ale raczej zwierzęciem. Jego kot Rademenes. Rodzice sprawili mu go, gdy chodził do przedszkola. Tytus oglądał akurat w telewizji powtórkę starego polskiego serialu *Siedem życzeń*. Nabral przekonania, że jeśli nazwie kota imieniem filmowego zwierzaka, sprawi, iż czarny, gruby i okropnie leniwy kocur zacznie, tak jak jego serialowy pierwowzór, spełniać życzenia. Miał nawet przygotowaną ich listę - zamknięcie przedszkola z powodu wybuchu wojny, dobry dwukołowy rower, a najlepiej motocykl, oraz samochód wyścigowy. Szybko okazało się, że Rademenes kompletnie ignoruje te wszystkie prośby, a zamiast tego woli zajmować się pożeraniem dietetycznego whiskasa i wygrzewaniem na telewizorze bądź monitorze komputera. Z biegiem lat Tytus dorastał, Rademenes zaś, pomimo dietetycznego whiskasa, puchł, tył i robił się coraz bardziej leniwy. Nie można było mieć mu za złe tego, że nie potrafi spełniać życzeń - był zupełnym kocim abnegatem i egoistą, dla którego treść życia stanowiło lenistwo. Tytus właśnie za to go lubił. Rademenes niczego nie żądał ani od siebie, ani od innych. Zawsze trzymał się w pobliżu Tytusa, włożył mu na kolana lub brzuch, gdy ten czytał książkę, wskakiwał na monitor, gdy Tytus robił coś na komputerze. Jednak gdy chłopak chciał mieć święty spokój, Rademenes intuicyjnie wyczuwał, że musi odejść do kąta i dalej w spokoju zajmować się tyciem i nicnierobieniem. Tytus sądził, że tak powinna wyglądać idealna międzyludzka relacja - bycie zawsze do dyspozycji drugiej osoby, ale również szanowanie jej prawa do świętego spokoju.

Drugą z Rzeczy, Które Lubił Najbardziej Na Świecie, były horrory. Uwielbiał je czytać i oglądać. Uwielbiał też gry w klimatach grozy. Wszystkie części *Silent Hill* ukończył po parę razy, chociaż gdy mama raz postanowiła się przypatrzeć, czym tak namiętnie zajmuje się jej syn, zagroziła mu zarekwirowaniem konsoli. Przeczytał prawie wszystkie dostępne na rynku książki Stephena Kinga, co było nie lada wyczynem, bo dla Stephena Kinga sens życia najwyraźniej stanowiło pisanie w piorunującym tempie okropnie długich powieści. Ale Tytus Grójecki wcale nie miał o to do niego pretensji.

Tytus uwielbiał się bać, ale oczywiście komplikowało to dosyć poważnie jego życie. Strasznie podobała mu się jedna z koleżanek z klasy, Justyna. W przeciwieństwie do reszty dziewczyn jej zainteresowania nie ograniczały się do kosmetyków i bohaterów leżących na MTV teledysków. Justyna była niewyobrażalnie śliczna, miała wielkie, stalowobłękitne oczy, pełne usta i ścięte bardzo krótko blond włosy. Ubierała się na czarno, słuchała metalu („prawdziwego metalu, nie tych idiotów z *Cradle Of Filth*” - wyznała mu raz, jakby zdradzała jakiś sekret), rysowała bogate w detale, powykręcane grafiki przedstawiające dziwne stwory. Tytus uznał, że jeśli ma kiedyś zaprosić dziewczynę do kina - a poczuł, że powinien, bo robili to jego wszyscy koledzy z klasy - Justyna jest idealną osobą, której można taki wypad zaproponować.

Skrupulatnie przeglądał premiery w sieci i w końcu jego wybór padł na film *Rec* - o kamienicy nawiedzonej przez krwiożercze zombie. Nie przewidział jednego - Justyna panicznie bała się horrorów. Kompletnie to do niej nie pasowało, ale w kinie (do którego poszła z nim, „bo uważała, że jest miły i nie chciała sprawić mu przykrości”) przez pół seansu siedziała, zasłaniając oczy dłońmi, aż w końcu zapłakana i roztrzęsiona zapytała, czy mogą wyjść. Od tamtej pory Tytus bał się zaprosić do kina jakąkolwiek dziewczynę. Tamten wieczór uznał za kompletną porażkę i

ujmę na honorze, którą dwa miesiące później pogłębiła koleżanka Justyny, Sylwia. Sylwia wyznała mu z właściwymi sobie taktem i dyskrecją, że Justyna jeszcze do dzisiaj „ma koszmary po ich małym wspólnym wypadzie”.

Tytus przestał proponować komukolwiek kino, ale nie przestał kochać się bać. Na *Rec* poszedł jeszcze raz i z rozczarowaniem stwierdził, że film jest słaby i nielogiczny, bo przecież epidemia zombie szybko rozprzestrzeniłaby się na całe miasto. Tak naprawdę uwielbiał horrory z lat osiemdziesiątych, które uważał za najbardziej przerażające. Pasjami oglądał *Koszmar z ulicy Wiązów*, *Christine* i *Piątek trzynastego*. Doszedł do wniosku, że kiedy dorośnie, zajmie się pisaniem jak tata - tylko zamiast książek dla dzieci stworzy krwiste powieści i scenariusze, w których przerażające istoty z innego wymiaru będą przybywać do naszej rzeczywistości, aby szlachtować niewinnych. W głowie miał już pomysł na swój pierwszy film, który nazwał *Inwazja przeklętych*. Dziwnym trafem owi ginący niewinni nader często mieli w jego wyobraźni rysy twarzy Sylwii, koleżanki Justyny, bądź Agaty Florek.

Trzecią z Rzeczy, Które Tytus Lubił Najbardziej Na Świecie, były niewyjaśnione zdarzenia. Miało to oczywiście pewien związek z horrorami, jednak w swojej klasyfikacji zdecydowanie oddzielał jedno od drugiego. Uważał, że horrory to fikcja, niewyjaśnione zdarzenia zaś - prawda. I nie chodziło tu bynajmniej o sytuacje w rodzaju „dlaczego tacie udało się włożyć obie skarpetki z tej samej pary”, „dlaczego na wuefie udało mu się kopnąć piłkę tak, że poleciała mniej więcej w kierunku bramki” czy „dlaczego śmieciarz znów nie zabrał worka sprzed ich domu”. Nie, tu chodziło o prawdziwe Niewyjaśnione Zdarzenia.

Tytus namiętnie oglądał wszelkie programy telewizyjne typu *Nie do wiary*, *Archiwum przerażających sekretów* czy jego ulubiona *Tajemna Strona*.

Prowadzący *Tajemnej Strony*, ubrany w gustowną muszkę pan Adolf Błysk, raz w tygodniu mówił z ekranu grobowym głosem: „Witam drogich widzów. Panie i panowie, czy jesteście gotowi przejść razem ze mną na Tajemną Stronę?”. Tytus oglądał program z wypiekami na twarzy. Wypełniały go mrożące krew w żyłach reportaże o duchach poltergeistach nawiedzających wiejskie domy, zmarłych powracających w niewyjaśniony sposób do życia czy zmutowanych dzikich bestiach kłusujących po warmińskich lasach.

Tytus regularnie sprawdzał stronę internetową programu i zapisał się do jego fan klubu. Nie dzielił się jednak swoją pasją z kumplami. Raz próbował zrelacjonować Grubsonowi odcinek *Tajemnej Strony*. Adolf Błysk pokazywał sprawę kobiety, której sny przepowiadały przyszłość, i która w końcu wyśniła własną śmierć. Grubson prychnął, otworzył magazyn „Superauto” i kontemplując nowy model porsche, rzucił, żeby Tytus lepiej zajął się czymś poważnym.

Pomimo niezrozumienia ze strony kolegów chłopak w głębi duszy powziął postanowienie, że oprócz pisania horrorów zajmie się tropieniem niewytłumaczalnych zjawisk. Niestety, życie nie dostarczało mu zbyt wielu niewyjaśnionych zdarzeń ponad te, które mieściły się w ramach szeroko pojętej codzienności. Tytus bardzo się starał, aby takowe znaleźć - obserwował uważnie co dziwniejszych sąsiadów, ci jednak okazywali się najnormalniejszymi ludźmi na Ziemi.

Najdziwniejszym osobnikiem był pan Janusz, który podobno w swoim mieszkaniu w jednym pokoju zasypał całą podłogę ziemią i posadził tam marchewki. Mówiło o tym pół osiedla, ale Tytus uznał, że marchewki pana Janusza na pewno nie są sprawą dla Adolfa Błyska. Codziennie wertował osiedlową gazetkę w poszukiwaniu interesujących doniesień, zasypiając, wsłuchiwał się w odgłosy własnego mieszkania, aby poza mruczeniem kota, wierceniem się w łóżku taty i szumem komputerowego wiatraczka wychwycić coś jeszcze. Ale nigdy mu się to nie udawało i zawsze, gdy wydawało mu się, że słyszy jakieś dziwne stukania, zasypiał.

Tej nocy jednak, w przeddzień wyjazdu do Głuszyc, Tytus wiedział, że nie będzie mógł

zasnąć - był tak wściekły na rodziców, że wysyłają go na wieś bez jakichkolwiek konsultacji z osobą najbardziej zainteresowaną, czyli nim. Przy kolacji, owszem, doszli do pewnego porozumienia - ale jak u większości rówieśników, świadomość, że ktoś podejmuje za niego decyzje, doprowadzała go do białej gorączki.

- Dlaczego nie mogę pojechać na obóz młodzieżowy jak Grubson? - zapytał Tytus.

Mama spróbowała porozumiewawczo spojrzeć na tatę, jednak jej wysiłki były skazane na niepowodzenie. Tata swoim klasycznie nieobecny wzrokiem wpatrywał się tym razem w punkt gdzieś pomiędzy szklanką herbaty a rozsypanymi nieopodal drobkami cukru.

- Babcia jest już w takim wieku - mama zrezygnowała z prób komunikacji z tatą i zwróciła się znów do Tytusa - że przyda jej się jakaś pomoc. Razem z dziadkiem nie nadążają już z naprawami, z gotowaniem, praniem i sprzątaniem pokoi.

- To dlaczego babcia kogoś nie zatrudni? W czym ja mogę jej pomóc? - Tytus bardzo się starał, aby nie zacząć krzyczeć na rodziców. - Może byście najpierw łaskawie zapytali mnie o zdanie?

- Tytus, popatrz na siebie. - Mama mówiła spokojnie, ale było widać, że jest równie jak on zdenerwowana. - Jesteś błydy, chudy i niewysportowany. Garbisz się. Niedługo oślepniesz od komputera. Świeże powietrze i trochę roboty dobrze ci zrobią. To dla twojego dobra. Poza tym pamiętasz, jak pojechałeś dwa lata temu na kolonie na Słowację? Po trzech dniach dzwoniłeś rozhisteryzowany, że chcesz wracać. Z nikim nie mogłeś się zaprzyjaźnić...

Tytus poczuł się tak, jakby jego żołądek zamienił się w wypełniony ukropem elektryczny czajnik.

- Czy wy chcecie wychować mnie na seryjnego mordercę?! - krzyknął. - Z rodzicami nie, z rówieśnikami też nie, więc mam siedzieć sam zamknięty na wsi?

- Jacy seryjni mordercy? - Tata wyrwał się z odrętwienia i poprawił okulary na nosie. - Na koloniach? Boże jedyny!

Mama westchnęła.

- Dobrze, obiecuję ci, że gdy wrócisz od babci i dziadka, a my z Meksyku, pojedziesz na obóz młodzieżowy.

Mama znowu spróbowała posłać tacie proszącą o pomoc spójrzanie i, o dziwo, tym razem się jej udało.

- Babcia i dziadek dawno cię nie widzieli - dodał tato, biorąc łyk herbaty ze szklanki, z której dziarsko wystawała antena łyżeczki. Mama zwracała mu uwagę, by wyjmował łyżeczkę, od piętnastu lat, tak jak na setki innych rzeczy, ale w końcu zrezygnowała. - Nie byłeś przecież u niej już kawał czasu, chociaż tak nalegała, żebyś przyjechał. I jak mówi mama, przydałby ci się odpoczynek na wsi, Tytku. Zero smogu, świeże powietrze. A my, rozumiesz, chcemy mieć wakacje we dwójkę. Nie mieliśmy ich od...

- Piętnastu lat - skończyła mama.

- To nie tak, że chciałbym gdziekolwiek jechać z wami - wyszczał Tytus.

To była prawda - nie miał najmniejszej ochoty wybrać się z rodzicami na wakacje, słuchać ich kłótni i cieszył się, że ci ani razu mu tego nie zaproponowali. Mimo to buzowała w nim wściekłość. Ostatni raz był u babci kilka lat temu, ale nie chciał wyjeżdżać do Głuszyc, bo wcale dobrze tego nie wspominał. Pamiętał śmiejące się z niego wiejskie dzieciaki, krowie kupy, pokrzywy i to, że zgubił się w lesie. Przypomniawszy sobie również, że babcia zabraniała mu oglądać filmy po dwudziestej i mówiła coś o jakiejś „dobranocce”, czym Tytus był wówczas głęboko urażony. Jak każdy normalny człowiek kochał babcię, ale doszedł do wniosku, że lepiej będzie spotykać się z nią sporadycznie podczas rodzinnych imprez. Spędzanie lata u kogoś, kto zapewne

nigdy nie przestanie kazać ci oglądać *Smerfów*, a następnie jeść kolacji, iść do pokoju i gasić światła, nie miało zbyt wielkiego sensu.

- Obiecujecie, że pojedę na obóz młodzieżowy? - Tytus doszedł do wniosku, że musi pertraktować.

- Z nauką języka obcego - mama podjęła negocjacje.

- U babci miesiąc. Ani chwili dłużej. - Tytus starał się być tak stanowczy, na ile było to możliwe. - I...

- Zgoda. - Mama westchnęła, podejrzanie szybko idąc na ugodę.

Tytus popatrzył na rodziców - na ich twarzach pojawiło się uczucie ulgi. Jednak nie była to zwykła ulga, taka jak po zakończonej wywiadówce, na której wychowawca nie zgłosił żadnych zastrzeżeń, czy po rezygnacji Tytusa z roszczeń co do nowej karty graficznej w tym miesiącu. Tytus poczuł, że w wyjeździe chodzi o coś więcej niż tylko kaprys rodziców czy pomaganie babci, która z pewnością mogła poprosić o wsparcie osoby bardziej kompetentnej niż Tytus, który z powodu niezbyt dobrej koordynacji ruchowej miał problemy z celnym trafieniem ubraniami do kosza na brudne rzeczy. Po raz pierwszy, w wieczór przed wyjazdem, dłużej widelcem w sałatce z tuńczyka, poczuł się zaintrygowany.

2. Głuszyce

Tytus, tak jak przypuszczał, nie mógł zasnąć. W jego głowie mnożyły się pytania. Dlaczego rodzicom aż tak bardzo zależało na jego wizycie w Głuszycach? I czemu poczuli taką ulgę, gdy się zgodził? Przecież nie mogło chodzić jedynie o tęsknotę babci za wnuczkiem? Usłyszał, jak po mieszkaniu, charakterystycznie człapiąc, chodzi tata, i to rozbudziło jego ciekawość jeszcze bardziej - tata z reguły o tej porze spał jak zabity, ewentualnie pograżał się w letargu w swoim fotelu do czytania ze zsuwającą się z kolan książką.

Przewracanie się z boku na bok nie miało sensu. Tytus wstał z łóżka i włączył komputer, na którym wylegiwał się kot Rademenes. Ten, czując pod sobą wibrację startującego sprzętu, zamruczał.

Dzisiejsze doniesienia na portalu *Tajemnej Strony* nadawały się raczej do gazety „Fakt” - ot, gdzie widziano ogromnych rozmiarów żaby (raczej ktoś przesadził z samogonem), w dziwnych okolicznościach zginęło dwóch robotników remontujących most (tutaj Tytus znowu obstawiał samogon, z tym że pity w dość niefortunnym miejscu), a jakiś mazurski rowerzysta obudził się na przedmieściach Bielska-Białej (za teleportację najprawdopodobniej odpowiedzialność ponosił jakiś dowcipny kierowca samochodu dostawczego). Tytus zaczynał już ziewać. Postanowił jednak zajrzeć jeszcze do wyspecjalizowanych działów, których było na portalu *Tajemnej Strony* całkiem sporo: „UFO”, „Istoty z innego wymiaru”, „Nawiedzone domy”, „Ukryta prawda”, „Międzynarodowe spiski”, „Miasta widma”. Gdy zorientował się, że tego dnia, niestety, nie pojawiła się w Warszawie żadna istota z innego wymiaru, kliknął na dział „Miasta widma”. Odruchowo westchnął. Jednym z największych marzeń Tytusa była wyprawa do miasta opuszczonego wskutek jakiegoś kataklizmu. W wyludnionych, rozpadających się budynkach było coś fascynującego i niepokojącego zarazem. Tytus marzył, aby razem z bandą podobnych do siebie fanatyków odwiedzić takie miejsce, rozwiązać jego zagadkę (bo przecież każde z opuszczonych miast musi mieć swoją zagadkę), a co więcej, znaleźć ślady Czegoś, Czego Żaden Człowiek Nie Chciałby Nigdy Spotkać. Wiedział jednak, że na razie mama nie puści go na taką ekspedycję, nawet gdyby poza nim wybierało się na nią sto osób, do tego asekurowanych przez brygadę antyterrorystyczną.

Nagle zobaczył, że na forum w dawno nieodwiedzonym dziale „Miasta widma” ktoś dodał pierwszy wątek od paru tygodni. Tytuł dosyć enigmatycznie, ale i bardzo zachęcająco obwieszczał: „Nowe widmo!!!”. Tytus oczywiście kliknął i momentalnie odechciało mu się spać, jakby ktoś wstrzyknął mu dożylnie ekstrakt mocnej kawy.

„Uwaga! Mamy informacje o nowym mieście widmie - pisał podekscytowany użytkownik o ksywie JohnCarpenter1999. Znajduje się nieopodal miejscowości Głuszyce, dziesięć kilometrów na wschód, za starą jednostką wojskową”.

Oczy Tytusa rozszerzyły się ze zdziwienia. Szybko wygooglał „Głuszyce”, aby upewnić się, czy na pewno chodzi o miejscowość, do której będzie wyruszał jutro rano. Ale w Polsce była tylko jedna wioska o tej nazwie.

„Na mapie miejscowość widnieje jako Kolonia Głuszyce, ale jedno zdjęcie, które znajomy wysłał mi MMS-em, wskazuje na to, że zabudowania są dużo większe niż jakiegokolwiek wiejskiej kolonii”.

Tytus przyjrzał się zamieszczonemu poniżej niewyraźnemu zdjęciu. Widać na nim było brukowaną ulicę i kilka mających w oddali większych budynków. Wszystko jednak spowijał jakiś cień, jakby za robiącym zdjęcie nagle wybuchł pożar, zasnuwając wszystko czarnym, gęstym dymem.

Z jego relacji wynikało, że tubylcy odradzają zapuszczanie się w tę okolicę i w ogóle nie są pomocni, tylko mówią coś o przeklętym nawiedzonym miejscu.

Tytus zaczął szybciej oddychać. Nagle jego pogląd na początek wakacji zupełnie się zmienił. Po raz pierwszy od paru lat. Szybko zjechał myszką w dół, aby przeczytać dalszy ciąg wątku. Nagle zauważył kolejny post od JohnaCarpentera1999.

„W sprawie Głuszyc. Moi znajomi mieli wrócić jakieś dwa dni temu. Nie ma z nimi żadnego kontaktu. Jeśli sprawa przeciągnie się jeszcze kilka dni, informujemy policję bądź sami wyruszamy do Głuszyc. Jeśli któryś z doświadczonych łazików jest chętny na ew. wyprawę, prosimy o kontakt na maila thething@exteria.pl”.

Przez chwilę zupełnie zapomniał o swoich dociekaniach, dlaczego rodzice tak bardzo chcieli, aby tam pojechał. Teraz liczyło się tylko miasto widmo. Zaczął nerwowo przeglądać internet w poszukiwaniu jakichkolwiek informacji, jednak żadna kombinacja zaklęć nie zmusiła Google do pokazania w wynikach sensownych tropów. Tytus nie był w stanie znaleźć żadnych legend, doniesień ani informacji o opuszczonym mieście niedaleko kolonii.

Zrezygnowany, już miał wyłączyć komputer, gdy natknął się na link opisany jako *Głuszycki las i jego tajemnice*. Gdy na niego kliknął, okazało się, że trafił na katalog książek w jakiejś mazurskiej bibliotece, a *Głuszycki las i jego tajemnice* był starym, najprawdopodobniej turystycznym wydawnictwem sprzed kilkadziesiąt lat, w którym zapewne opisywano miejsca wylegu jaskółek, a nie zjawiska nadnaturalne. Mimo wszystko Tytus zapisał sobie tytuł książki.

Nagle otworzyły się drzwi do pokoju. Tytus podskoczył na krześle i o mało co nie wrzasnął. Odwrócił się - w drzwiach stał tata, z potarganymi jeszcze bardziej niż zwykle włosami i z książką w ręku.

- Jeszcze nie śpisz? Musimy rano wstać - powiedział, jakby sam nie wierząc w to, co mówi.

- Tak, wiem. - Tytus patrzył to na ojca, to w monitor. - Dobranoc, tato.

Tata kiwnął głową, odwrócił się i już miał wyjść, ale nagle ponownie spojrzał na Tytusa sponad okularów.

- Jak przed podróżą? - zapytał jakby z grzeczności, ale była w tym jakaś troska, jak gdyby przy całym swoim oderwaniu od rzeczywistości zauważył, że Tytus rzeczywiście nie ma ochoty na ten wyjazd.

- Nie mogę się doczekać - odparł Tytus.

- Oj, Tytus... - Tato pokręcił głową.

- Nie, tato, naprawdę. Nie mogę się doczekać. Dobranoc.

Tytus znów wpatrywał się w monitor i logował na forum pod nickiem Cujo. Tata westchnął i wyszedł z pokoju. Tytus kliknął na przycisk „skomentuj wątek” i napisał: „Hej, tak się składa, że od jutra jestem na miejscu w Głuszycach. Wysłano mnie tam na wakacje do babci, ale postaram się rozeznac w sytuacji jak najszybciej. O wszystkim będę informował na bieżąco”.

I chociaż wiedział, że teraz naprawdę będzie miał problemy z zaśnięciem, położył się do łóżka.

* * *

Samochód trząsał się, podskakując na wyboistym i podziurawionym asfalcie. Tytus jeszcze raz przezornie sprawdzał zawartość plecaka - komplet zapasowych ubrań i bielizny, odtwarzacz mp3, wyproszony od mamy laptop, na którym zainstalował kilka gier, oraz zestaw lektur - ważący dobre kilka kilo pakiet jeszcze nieprzeczytanych książek Stephena Kinga. Tata był skupiony na drodze i na lejących w radiu prehistorycznych polskich przebojach o fabrykach małp i płaczącej Ewce, więc Tytus mógł spokojnie sięgnąć na dno plecaka i sprawdzić, czy pod nieobecność mamy

dopchał również wszystkie te potrzebne rzeczy, które zapewne zmusiłyby ją do kilku niewygodnych i zupełnie zbędnych pytań. Ostrożnie wymacał schowane pod ubraniami lornetkę, latarkę z zapasem baterii, kupiony na Allegro czterdziestofunkcyjny szwajcarski scyzoryk, kompas oraz aparat fotograficzny, którego mama i tak nie używała. Doszedł do wniosku, że brak aparatu w domu mama zapewne zwali na tatę i po standardowej kłótni na wakacje kupią sobie nowy. Gdy wszystko znalazł, wrócił do sprawdzania przez telefon newsów z *Tajemnej Strony* - ale jedynym dzisiejszym doniesieniem była historia jakiejś kobiety z Gliwic, rzekomo potrafiącej tłuc szkło głosem. Nikt również nie odpisał na jego wczorajszy post na forum.

- Daleko jeszcze? - zapytał tatę, który oczywiście nie odpowiedział za pierwszym razem, więc Tytus odruchowo powtórzył pytanie.

- Jeszcze kilkanaście kilometrów - odparł tata, jak zwykle wyrwany z zamyślenia.

Tytus wyrzwał przez okno.

- Dziwne - stwierdził.

- Co jest dziwne?

- Cały czas przy drodze stali sprzedawcy jagód i grzybów. I nagle, odkąd zaczął się las, ich nie ma - zauważył Tytus.

- Nie wiem, co w tym dziwnego.

„No tak - pomyślał Tytus. - Nie ma co wchodzić w dyskusje z człowiekiem, który nie zwraca na nic uwagi i prowadząc samochód, skupia się tylko na tym, aby nie spowodować wypadku”.

Od kiedy wyjechali ze Szczytna, droga prawie cały czas prowadziła przez las - jednak był on jasny i zielony, rzadki, przez korony drzew prześwitywały słońce i błękitne niebo; co rusz mijali leśne parkingi i postoje, a na poboczach miejscowi próbowali sprzedawać przejeżdżającym miastowym nafaszerowane ołowiem z rur wydechowych jagody. Od pewnego momentu jednak las zrobił się jakby wyższy, gęstszy, bardziej przytłaczający; poza jezdnią nie było widać za bardzo śladów ludzkiej aktywności - przydrożnych domów, parkingów, wiosek ani handlarzy; prawdę mówiąc, od paru kilometrów Tytus nie zauważył ani jednego znaku drogowego.

- Jest tu trochę dziko. - Tytus podjął jeszcze jedną, desperacką próbę porozmawiania z tatą.

- Tak, Głuszyce są odcięte od świata - odparł tata po chwili, ścisząc radio - ale dlatego właśnie do babci ludzie przyjeżdżają. Mało jest takich miejsc na Warmii i Mazurach, gdzie turyści nie siedzą na kupie. Tam jest bardzo spokojnie, no i to fantastyczne jezioro, zobaczysz. Będiesz się świetnie bawił.

Tytus podejrzewał, że może się świetnie bawić, jednak zupełnie inaczej, niż zapewne wyobrażał to sobie tata. Sięgnął jeszcze raz do torby, aby sprawdzić, czy przypadkiem nie zapomniał ładowarki do laptopa, jednak nagle zauważył przerdzewiały i pochylony drogowoskaz, pierwszy od paru kilometrów. Wyteżył wzrok, aby odczytać przykryty przez brud i rdzę napis. Serce Tytusa odrobinę podskoczyło.

- Kolonia Głuszyce - przeczytał odruchowo.

- Tam zupełnie nic nie ma - nagle odpowiedział tata, odwracając się w jego kierunku.

Nie minęła jednak sekunda, gdy poprawił okulary na nosie i z powrotem zaczął wpatrywać się nieobecny w pustą szosę. „Jakby się pilnował” - pomyślał Tytus.

- To wioska, nie wiem, czy tam ktoś jeszcze żyje. Jest parę takich w okolicach Głuszyce - znów odezwał się tata.

- I nikt tam nie mieszka?

- Nie wiem, Tytusie. - Ojciec wzruszył ramionami. - To były wioski po kilka domków na krzyż, więc wszyscy wyjechali albo poumierali.

Kilka domków na krzyż? Zdjęcia z forum internetowego, pomimo słabej jakości, pokazywały zupełnie coś innego.

- Skąd wiesz? Byłeś tam kiedyś?

- Byłem, oczywiście. - Tata zręcznie wyminał wystający na jezdnię konar powalonego drzewa. - Jeździliśmy tam rowerami i bawiliśmy się, gdy byliśmy mali. Mieszkały tam jakieś staruszki, które krzyczały na nas, gdy podkradaliśmy im śliwki, ale generalnie wsie były zrujnowane. Tam mieszkali Prusacy i oni wszyscy uciekali w czterdziestym piątym przed Rosjanami.

- Ale to było tylko kilka chałup?

- No tak. - Tata kiwnął głową. - Kolonia Głuszyce to było jakieś sześć domów.

Tytus wiedział, że tak nie jest. Postanowił wydusić z taty, ile się da, i sprawdzić, czy rzeczywiście czegoś nie ukrywa. Obserwując kłótnie rodziców, odkrył, że tata nigdy nie umiał kłamać - zawsze, kiedy chciał powiedzieć nieprawdę, zaczynał się jąkać. „Wca-wca-wcale nie wy-wy-waliłem do śm-śmiecici przez po-pomyłkę tych do-dokumentów, kochanie” - słyszał często z pokoju rodziców.

- I nie natknęliście się tam na nic dziwnego? - zapytał Tytus. - Nie działo się nic podejrzanego? Nikt tam nie zaginął?

- Oj, Tytus, Tytus. - Tata się zaśmiał. - Nie czytaj tylu horrorów. Gdy jesteś mały, wiele rzeczy wydaje się dziwne, ale to po prostu były opuszczone chałupy. No, co jakiś czas ktoś tam błądził i się gubił, ale zawsze potem znajdował drogę do domu. Raz odkryliśmy w jednej z chałup stare niemieckie monety i odsprzedaliśmy je jakimś numizmatykom. Kupiłem sobie wtedy za to świetne korkotrampki. W ogóle muszę ci powiedzieć, że w twoim wieku byłem całkiem niezły w piłkę. Tobie też przydałoby się trochę sportu. W Głuszycach był klub piłkarski, Piorun Głuszyce, i grałem tam w juniorach...

Tata rozpoczął kolejny klasyczny monolog, jeden z tych, które usypiały wszystkich dookoła poza nim samym. Tytus się zamyślił. Może rzeczywiście gdy spędza się całe dzieciństwo na wsi, i to hen, hen przed wynalezieniem internetu, kablówki i gier komputerowych, opuszczona wioska nie jest znowu niczym dziwnym. Może tata rzeczywiście zapamiętał ją jako kilka wałących się chałup, a nie jako większe miasto. A może nigdy nie był w tym miejscu, do którego dotarli łowcy widm. Może ono znajdowało się gdzieś indziej, trochę obok.

Z zamyślenia wyrwało go wlewające się nagle do samochodu światło. Las znowu się rozrzedził, po chwili minęli parking, na którym amatorzy jagód pakowali do bagażników pełne wiadra, a następnie otoczony płotem, wybudowany na wzgórzu domek z dosyć dużą zagrodą, w której leniwie pasła się zobojętniała na wszystko krowa.

Po chwili Tytus spostrzegł znak informujący o tym, że wjechali do Głuszyce.

Głuszyce okazały się całkiem sporą wioską, która miała nawet coś w rodzaju rynku. Wszystkie domy wyglądały na zadbane - zarówno wybudowane niedawno niby-pałacyki, pochodzące z lat osiemdziesiątych kwadratowe klocki z płaskimi dachami, jak i stare drewniane chałupy pamiętające jeszcze prehistoryczne dla Tytusa czasy. Te ostatnie, gruntownie odnowione, z nowymi strzechami i ścianami pomalowanymi w jaskrawe kolory i ludowe wzory, przypominały małe muzea.

Samochód, podskakując po brukowanej drodze, wjechał do centrum miejscowości. Serce Głuszyce w niczym nie przypominało zabitej deskami wiochy. Naprzeciwko parkingu, na którym się zatrzymali, dumnie prężył się urząd gminy, będący zminiaturyzowaną wersją miejskiego gmachu pełniącego podobne funkcje. Obok, w dwupiętrowym, murowanym i wyraźnie niedawno wzniesionym budynku mieściły się spożywcza, kwiaciarnia, apteka (z wmontowanym w ścianę

bankomatem!), a nawet coś w rodzaju kawiarnianego ogródka, w którym serwowano piwo z beczki i smażone kurczaki. Zapach jedzenia przypomniawszy Tytusowi, że jest głodny, i uświadomił mu, że poza poszukiwaniem nawiedzonych opuszczonych miast w środku lasu wypad do babci może mieć jeszcze jedną, niepodważalną zaletę. Normalne, smaczne obiady.

- Zapomniałem kupić czegoś dla babci - powiedział tata i dał znak Tytusowi, aby weszli do sklepu. Tytus przeżył kolejny szok poznawczy. Pod wpływem opowiadań Lovecrafta wyobrażał sobie miejscowych jako niskich, zgarbionych, milczących i ogólnie nienastawionych zbyt przyjaźnie dzikusów, wyrażających widłami w kierunku każdego przejeżdżającego samochodu. Tymczasem większość klientów stanowili zwyczajni ludzie - mamy z ubranymi w kostiumy kąpielowe dziećmi, rozmawiający przez telefon i kupujący piwo na skrzynki jowialni panowie w przeciwsłonecznych okularach. Wyróżniało się tylko paru ogorzałych mężczyzn z niezbyt kompletnym uzębieniem, raczących się pod sklepem winem ze szklanej butelki za pięć złotych - jednak oni również nie wyglądali na ludzi zdolnych do jakiegokolwiek aktu agresji.

Gdy jeden z nich, stojący przed nimi w kolejce, wreszcie zapłacił długą wysuptykwanymi z kieszeni monetami za swoją butelkę gladiatora, tata Tytusa kupił różowe wino, czekoladki oraz red bulla dla syna, który zaczął odczuwać skutki prawie nieprzespanej nocy.

- Wyobrażałem sobie, że będzie tu trochę inaczej - powiedział Tytus, gdy wsiedli z powrotem do samochodu.

- No wiesz, od czasu gdy byłeś tu ostatnio, dużo się zmieniło... - Tata uruchomił silnik samochodu. - Sporo osób z Olsztyna lub Elbląga pokupowało tu działki i pobudowało domy. W gminie otworzono tartak, a do tego dostali dużo forsy z Unii. No i nie tylko twoja babcia ma gospodarstwo agroturystyczne, w lipcu i sierpniu jest tu trochę letników. Dalej, nad jeziorem, są trzy ośrodki.

Samochód jechał ładną, brukowaną ulicą, wzdłuż której ciągnęły się tak samo ładne, tak samo białe i tak samo otoczone zielenią domy. Po chwili zabudowania się skończyły - droga prowadziła przez pola, na których horyzoncie majaczyły gospodarstwa, a także potężna posiadłość.

- A czyj jest ten wielki dom tam dalej?

- To dom pana Koracza - powiedział tata, skręcając w prawo, w piaszczystą, niewyafaltowaną drogę - jednego z najbogatszych ludzi w Polsce. Ma połowę tartaków w województwie. Z tego, co wiem, rzadko tutaj bywa.

Po chwili zza zakrętu wyłonił się dom babci. Był większy, niż Tytus go zapamiętał - ze świeżo bielonymi ścianami, spadzistym dachem z oknami i pnącą się po ścianach winoroślą. Za domem były mniejsze, gospodarcze domki, jeszcze dalej ogród, sad i zagrody dla zwierząt. W oddali spostrzegł jakiegoś młodego, niewyglądającego na autochtona chłopaka, najwyraźniej dojącego krowę.

- Mówiłeś, że babcia i dziadek potrzebują pomocy. - Pokazał go palcem. - A tymczasem to jakiś pomocnik.

- Nie, to letnik z miasta - odparł tata, otwierając bagażnik.

- Letnik z miasta do krowy? - zaśmiał się Tytus.

- Tak, i płaci twojej babci niezłą forszę za to, że może to robić - dodał i zanim Tytus zdążył przemyśleć absurd tej sytuacji - płacenie komuś, aby móc pracować - tata obładował go bagażami i zagonił do środka.

* * *

„Gdy masz piętnaście lat - myślał Tytus - nie możesz słuchać głośno ulubionej płyty Slipknota, bo do pokoju wpadnie twoja matka i wrzaśnie, że przez tę muzykę czuje, jakby po

mózgu przejeżdżało jej rozgrzane żelazko. Nie możesz grać w nocy w gry wideo na kinie domowym, bo rodzice obudzeni odgłosami skrzeczenia pacyfikowanych zombie najprawdopodobniej wyrzucą cię przez balkon”.

Mama i tata cały czas rozkazują i ładują cię w sytuacje, którymi bez wątpienia zainteresowałby się Trybunał Praw Człowieka. Na przykład w wyjazd na działkę ze znajomymi, gdzie uradowani dorośli siedzą w ogródku, jedzą grillowane kiełbasy i piją piwo, a ty musisz pilnować, aby rozwrzeszczane bachory znajomych nie połamały sobie nóg. Albo w niekończące się wizyty po centrach handlowych, podczas których rodzice i tak nie kupią ci Gears of War 2 i odmówią jedzenia z McDonalda z powodu jakichś zdrowotnych bzdur, a sami przez godzinę będą się kłócić w Leroy Merlin, jaki kupić kosz na brudną bieliznę. I oczywiście w wizyty u babć, które zaczynają wmawiać ci, że wyglądasz jak ktoś obłożnie chory i po prostu musisz zjeść tego trzeciego schabowego, bo inaczej czeka cię śmierć z powodu anemii.

Babcia Maryla zafundowała Tytusowi dokładnie taki sam zestaw apokaliptycznych prognoz co do jego przyszłego stanu zdrowia. Błada cera, przygarbione plecy i okulary sprawiły, że załamała rękę, zanim w końcu uściskała go na powitanie.

- Boże, Tytuńcio, jakie z ciebie chuchro! - jęknęła. - Może i urosłeś od czasu, jak tu byłeś ostatnio, ale ważysz bez wątpienia tyle samo. Jezus Maria, Robert, czym ty go karmisz?

Mówiąc to, babcia przycisnęła Tytusa z taką siłą, że ten rzeczywiście się przestraszył, czy zaraz nie trzaśnie mu jakaś kość. Dziadek Zbigniew, który wyszedł za babcią z pokoju, dzięki Bogu ograniczył się jedynie do krzepkich uścisków dłoni.

- Jedzeniem, mamó - powiedział ojciec, sądząc po minie, ściśnięty przez babcię równie mocno. - W jego wieku wszyscy tak wyglądają.

- Wszyscy tak wyglądają, bo wszyscy tylko siedzą przed tymi komputerami, gapią się w telewizor i jedzą te ohydztwa, frytki i hamburgery! - krzyknęła babcia, po czym odwróciła się do Tytusa. - Tytuńcio, czy ty umiesz przynajmniej jeździć na rowerze, mimozko? Zrobimy tu z ciebie człowieka - dodała.

Na rowerze Tytus umiał jeździć, może nie za dobrze, bo wszystkie urządzone z Pitoniem konkursy na zjazdy ze schodów i podrywanie przedniego koła kończyły się kontuzjami, ale umiał i słowa babci potraktował jak obrazę.

Najgorsza wydawała się świadomość, że babcia zrealizuje swoje plany bez żadnych, najmniejszych skrupułów. Nie była bowiem zakutaną w chustę wiejską starowinką, tylko dziarską, ubraną w sportowy dres sześćdziesięcioletnią panią, tak energiczną, jakby w jej ciele ukryto dodatkowy napęd wodorowy. Pani Maryla nie tylko przygotowywała posiłki, doglądała gospodarstwa i ogródka, doila krowy, sprzątała, prała i wykonywała wszystkie prace porządnej gospodyni, lecz także namiętnie uprawiała sport - w tym bieganie i jazdę na rowerze - fascynowała się medycyną alternatywną, wszelakimi dietami cud i zdrową żywnością. Zresztą pierwszą rzeczą, która zwróciła uwagę Tytusa w domu babci Maryli, była okazała kolekcja pucharów zdobytych za Bieg Przelajowy Gminy Głuszyce oraz za udział w rowerowej ścieżce zdrowia Razem Przez Las.

- Myć ręce i do obiadu! - zakomenderowała babcia.

Obiad na chwilę rozwiął czarne myśli Tytusa, który już wyobrażał sobie siebie pokonującego rowerem górskim kamieniste urwisko i jadącą za nim i smagającą go batem babcię. Był to najlepszy obiad, jaki Tytus miał okazję zjeść od bardzo, bardzo dawna. Na pierwsze danie chłodnik z botwinki z dodatkiem papryki, grillowanego kurczaka i jajek na twardo. Jajka oczywiście pochodziły od hodowanych przez babcię kur, kurczak, zanim został upieczony, wykluł się z jednego z tychże jajek, natomiast botwinka, szczypiorek, natka pietruszki wyrosły u babci w ogródku. To danie stanowiło jednak tylko przedsmak przed obezwładniającymi żeberkami, które

należały do jednej z hodowanych nieopodal świń. Podano je w genialnym ostrym sosie, z młodymi ziemniakami i słodką młodą kapustą z ziarnami prażonego słonecznika i słodkimi smażonymi buraczkami. Popijając podaną po obiedzie kawę, Tytus przez chwilę pomyślał, że dla takiego jedzenia dzielnie zniesie wszystkie możliwe docinki oraz próby poprawienia jego sylwetki i karnacji. Do tego obiad minął bez większych zakłóceń, babcia cały czas wypytywała tatę o jego pracę, pracę mamy i jak sobie dają radę z ogarnianiem domu, gdy mają tak mało czasu, na co ten odpowiadał zdawkowo: „Jest bardzo zabiegana”, „Powiniennem uporać się z tym do końca roku”, „Przychodzi do nas sprzątać taka pani z Ukrainy”.

Po obiedzie jednak nastąpiła kolejna część upokorzeń i łamania praw człowieka. Tytusa poproszono o rozpalenie w kominku; głupio było mu powiedzieć, że nigdy w życiu tego nie robił. Na filmach rozpalanie ogniska wydawało się zawsze strasznie proste, więc doszedł do wniosku, że i on potrafi. Niestety, zapalki parzyły mu palce, zwinięte w kulkę gazety najpierw powoli się tliły, w ogóle nie muskając drewna, a stopniowo dokładane do kominka i wymieszane z trocinami tylko napelniały pomieszczenie gryzącym dymem.

- Daj to, Tytus - westchnął dziadek, podszedł do kominka i odsunął wnuka. Wystarczyło kilka ruchów pogrzebacza, otworzenie klapki i jedna zapalka, aby zamiast dymiącego papieru w kominku pojawiło się płonące drewno.

- Mój Boże, przecież Tytuńcio jest taki sam jak ty w jego wieku! - Babcia Maryla obserwowała nieporadne próby Tytusa rozpalenia ognia. - Zupełnie nic nie potrafi zrobić.

Tytus miał nadzieję, że babcia i dziadek szybko skończą z uwagami, jakim to jest wynędzniałym chuchrem i łagają. Dobre wrażenie, wywołane oblanymi słońcem, odnowionymi Głuszcami, zniknęło bezpowrotnie.

- Tylko żeby mu to nie zostało tak jak tobie - powiedział dziadek Zbigniew, powoli sącząc nalewkę (oczywiście własnej roboty) z kieliszka.

- Nie jest tak źle. - Robert podniósł palec, jakby był na lekcji w klasie. - Ostatnio udało mi się wymienić koło.

Tytus wrócił na miejsce przegrany i patrząc przed siebie, zaczął sączyć resztkę kawy.

- Coś tu zrobimy z tym naszym wnukiem, Robertcie - powiedział dziadek, a Tytus przelknął ślinę. - Zobaczysz, wróci stąd i sam będzie ci naprawiał samochód.

Tak, babcia Maryla stanowiła tylko połowę problemu. Tytus kulił się coraz bardziej w fotelu, ponieważ czuł na sobie wzrok dziadka Zbigniewa. Taksował go, jakby Tytus był egzotyczną postacią w rodzaju buddyjskiego mnicha, a nie jego wnukiem. Dziadek Zbigniew, tak samo jak babcia Maryla, wyznawał kult fizycznej sprawności, samodzielności i praktycznych umiejętności. O ile jednak babcia Maryla wierzyła, że pełnowartościowy człowiek powinien umieć porządnie wyprasować obrus, o tyle dziadek Zbigniew uważał, że pełnowartościowy człowiek powinien umieć skrócić od podstaw, gołymi rękami, silnik od ciągnika. I w tym tkwił mrozący Tytusowi krew w żyłach problem.

Tak jak babcia Maryla była pełną energii, przedsiębiorczą i wysportowaną panią, dziadek Zbigniew był ziemianinem z krwi i kości. Miał wielkie, spalone słońcem, potężne dłonie, dla których zbudowanie domu czy pocięcie kilku ton drewna nie stanowiło problemu. Co ciekawe, dziadek i babcia Tytusa wcale nie poznali się w Głuszcach, ale w Warszawie. Dziadek był wtedy przystojnym, świeżo upieczonym panem inżynierem, a babcia studentką Akademii Sztuk Pięknych. Oboje chcieli mieszkać w mieście i takie mieli plany. Jakiś czas później, gdy na świecie pojawił się wujek Kamil, starszy brat taty Tytusa, babcia Maryli umarła, zostawiając zajmowany przez siebie w Głuszcach dom. Maryla doszła do wniosku, że cudownie będzie mieszkać w jej ukochanym miejscu z dzieciństwa, a Zbigniew stwierdził, że wcale nie chciał pracować jako inżynier.

I gdy siedział tak, paląc fajkę i tasując karty - po obiedzie dziadek i babcia zwyczajowo grywali w kanasę - wydawało się niewyobrażalne, że ten krzepki, ogorzały człowiek kiedyś siedział za biurkiem jako poważny pan inżynier.

- Chyba będąc leciał. - Tato wstał i zanim babcia zaczęła cokolwiek mówić, pocałował ją w policzek.

- Tak krótko?! - oburzyła się. - Spróbuj tego świetnego ciasta. Rabarbarowe, dzisiaj pieczone.

- Nie, mam, czeka nas daleka podróż, a nie zaczęliśmy się jeszcze pakować.

Ojciec bardzo się śpieszył i Tytus doskonale go rozumiał. Każdemu jest przykro oglądając swoje dzieci skazane na cierpienie w obozie przymusowej pracy i ćwiczeń fizycznych, więc lepiej szybko się ewakuować.

Tytus patrzył, jak tata żegna się z babcią, i uświadomił sobie, że pomimo jego oderwania od świata i braku zainteresowania opieką nad domem będzie bardzo za nim tęsknił przez ten miesiąc.

Tata Tytusa tymczasem chciał jak najszybciej ruszyć w drogę, ale uniemożliwiała mu to trajkotanie babci, która wciskała mu do rąk różnorakie przedmioty, wyglądające na przetwory własnej roboty i opakowane w papier kawałki ciast.

- Weź, weź, zjecie sobie. Zresztą dobrze, że jedzicie razem na te wakacje, przestaniecie się tyle kłócić, należy wam się, chociaż cholera wie, czy tak daleko to dobrze, chorób jakichś nałapiecie - paplała babcia.

- Dziękuję mam, naprawdę, ale dżem z agrestu nie będzie nam potrzebny w Meksyku - zarzekał się tata Tytusa. Kiedy tylko próbował odłożyć poprzednio ofiarowane specjały domowej kuchni, babcia wciskała mu do rąk kolejne.

W końcu poddał się, spakował wszystko do siatki, posłał Tytusowi zrezygnowane spojrzenie, jeszcze raz uściśnął rękę dziadkowi i pocałował babcię.

Gdy odjazd okazał się nieodwracalny, babcia zaczęła zbierać naczynia ze stołu, natomiast dziadek poszedł do łazienki. Zostali przez chwilę we dwóch.

- Trzymaj się, Tytku. Zadzwonimy z Meksyku. Będziesz miał superwakacje - powiedział, tarmosząc mu włosy. Był to jedyny gest zażyłości, jaki tato okazywał Tytusowi, i od jakichś dwóch lat Tytus szczerze go nie znosił.

- Tak, jasne - odburknął Tytus - w obozie pracy.

- Naprawdę, będzie fajnie. Dziadek i babcia są super i na pewno nie każą ci robić żadnych głupich rzeczy. A w ogóle mają tutaj internet i kablówkę, więc nie zostaniesz bez cywilizacji, jak ci się wydawało.

- Yhm - przytaknął Tytus. Znowu przypomniał sobie o opuszczonym mieście w Kolonii Głuszyce i pomyślał, że może perspektywa jego zwiedzenia jest warta bycia zmuszonym do bezsensownej aktywności na świeżym powietrzu. Z drugiej strony bał się, że dziadkowie mogą wymyślać mu tyle zajęć, że nigdy nie zdoła się wyrwać.

- No. - Tata bezradnie podrapał go po głowie. - Jak wrócisz, pojedziesz na obóz językowy.

- Wiem - odparł Tytus, po czym dodał niemrawo: - Bawcie się dobrze.

Tata wyglądał, jakby chciał powiedzieć: „ty też”, ale dołączyła do nich babcia machająca na pożegnanie. Tata odmachnął i zamknął za sobą drzwi. Tytus został sam. Westchnął.

Podniósł swoje torby i zapytał:

- Babciu, gdzie jest mój pokój?

- Na razie to zostaw, Tytuńciu. - Babcia energicznie czyściła zlew po skończonym zmywaniu. - Ja ci zaniosę. A teraz idź pomóż dziadkowi posprzątać trochę w stodole. Od razu wprowadzi cię po gospodarstwie. No, już.

- A to nie jest tak, że za to płacą babci letnicy? - zapytał nieśmiało Tytus.

- Płacą, ale ty jesteś moim wnukiem i możesz mieć tę przyjemność za darmo - odpowiedziała babcia i pomachała mokrym ręcznikiem. - Raz-dwa, do roboty, Tytuńciu, bo nie dostaniesz kolacji.

Tytus westchnął jeszcze raz, dużo głębiej i dużo smutniej.

3. Dziewczyna z gazem pieprzowym

Strzępowaty przypominał sobie człowieka, któremu zabrał Portret. A właściwie przypominała mu o nim gazeta. Strzępowaty nauczył się odcyfrowywać ludzkie znaki w parę dni. Teraz, zafascynowany, z rozkoszą przeglądał gazety, aby co rusz utwierdzać się w przekonaniu, jak słabi, żałośni i pieczętujący swoją zagładę są ludzie. Poza tym Strzępowaty musiał jakoś zabić czas. Rozdzielili się z Gangreną. Przeszkadzała mu, była powolna, poza tym wolał jednak działać sam. Wysłał ją w okolice Pieczęci, aby sprawdzała, czy nie kręci się w pobliżu nikt niepożądany, pilnowała, by nie włązili tam ludzie, i podpatrywała, co kombinują Jaśni.

- Nie zostawiaj mnie - płakała, wyciągając do niego, a właściwie do spoczywającego w kieszeni Strzępowatego Portretu, żałośnie grube łapska. - Nie mogę radzić sobie sama. Boli mnie brzuch.

Strzępowaty tylko na nią syknął i zagroził, że coś jej odgryzie, jeśli nie wypełni jego poleceń. Gangrena odturlała się w mrok, cicho popłakując.

Człowiek patrzył na Strzępowatego z gazety. Na zdjęciu wyglądał młodo, ale dziwnie, sztucznie, jakby jego twarz była gładką, naciągniętą na odwapnioną czaszkę maską. Stał na scenie, w świetle reflektorów, trzymając w ręku platynową ramę z takim samym platynowym okręgiem w środku.

Człowiek na zdjęciu był uśmiechnięty i najwidoczniej komuś dziękował. Nagłówek głosił: MEGAGWIAZDA POLSKIEJ PIOSENKI JAN WACŁAWSKI NIE ŻYJE. Artykuł wyjaśniał, że Jana Waclawskiego znaleziono w jego podwarszawskiej willi, porażonego wyjątkowo paskudnym atakiem serca. Z jednej strony gazeta podkreślała słuszny wiek Waclawskiego - w chwili śmierci miał siedemdziesiąt dziewięć lat - z drugiej strony wyrażała swoje zdziwienie tak niespodziewanym zgonem, gdyż, jak mówił prywatny lekarz piosenkarza, Waclawski był w doskonałej formie, a ostatnie badania wykazały, iż jego serce, wątroba i nerki powinny należeć do wysportowanego i wolnego od nałogów czterdziestolatka.

Strzępowaty przez chwilę poczuł nawet coś w rodzaju lekkiego ukłucia, było to poczucie zadowolenia z siebie. Zaraz jednak je odegnął. To ludzie byli tak głupi, że ich największe marzenia sprowadzały się do stania się bohaterem artykułu w gazecie bądź programu telewizyjnego.

Tak jak mówił Gangrenie, to okazało się łatwe. Bardzo łatwe, chociaż człowiek mieszkał w wielkim domu, otoczonym wysokim ogrodzeniem, przy którym w dwóch czarnych samochodach siedzieli poubierani w czarne stroje, znudzeni mężczyźni. „Ludzie budują wysokie płoty, aby odgraniczyć się od niebezpieczeństw - pomyślał Strzępowaty - ale nie zdają sobie sprawy z tego, że wiele niebezpieczeństw potrafi przeskakiwać przez ogrodzenia, przechodzić przez drzwi, poruszać się bez wydawania żadnego dźwięku, znikać”.

Mężczyzna chciał być wiecznie młody. Potrzebował do tego Portretu. Ten nie dawał nikomu nieśmiertelności, ponieważ żadna istota ludzka nie może być nieśmiertelna. Gdyby pozbawić człowieka śmiertelności, przestałby istnieć. Mimo to Portret zatrzymywał czas, mówił stop rozpadającym się komórkom, wygładzał zmarszczki, sprawiał, że serce biło jak nowa, dopiero co zainstalowana pompa, przepuszczająca czystą i wolną od zarazków krew. Dzięki Portretowi Waclawski mógł pielęgnować swoje przywiezione jeszcze z tras koncertowych po Kubie nawyki: kokainę, cygara, rum oraz przyjmować piękne, użyczające swoich ciał za odpowiednią cenę kobiety. Portret sprawiał, że wszystkie ślady po tych rozrywkach znikwały z jego ciała, rozpuszczały się w powietrzu. Takie miał, można powiedzieć, działanie uboczne. I to właśnie sprawiło, że Strzępowaty znalazł w końcu Portret, jakby Strzępowaty był radarem, a Portret widocznym na radarze obiektem.

Strzępowaty zastanawiał się, jak Waclawski zdobył Portret, ale podejrzewał, że miał z tym jakiś związek inny głupi wynalazek, zwany internetem. Śmiał się z ludzi, którzy potrzebowali szeregu połączonych kablami i niewidzialnymi falami urządzeń do robienia rzeczy, które takim jak on przychodziły naturalnie. Strzępowaty wiedział jednak, że Waclawski bardzo długo szukał Portretu Kobiety Cmentarnej, że zdobycie go zajęło mu dobrych kilkanaście lat i w pewnym sensie podziwiał tego człowieka, bo zdobył Portret dużo wcześniej niż on czy inni wysłani przez Leszego agenci. Tym bardziej że długo nikt nie wiedział, gdzie Portret Kobiety Cmentarnej się podziwiał. Sama Kobieta Cmentarna, niegdyś znajoma Strzępowatego, specjalizująca się w przedśmiertnym odwiedzaniu samobójców, miła starsza pani z metalowymi pazurami i ukrytym pod dobrotliwym uśmiechem rzędem równie ostrych, metalowych kłów, została zaklęta w Portrecie przez pewnego lekko oszalałego księdza zielarza, który nagle postanowił zająć się walką z demonami. Ów ksiądz został oczywiście relegowany z Kościoła, odsunęli się od niego ludzie, dało mu to jednak mnóstwo czasu na studiowanie powstałych w średniowieczu i skrupulatnie niszczone przez agentów Leszego ksiąg, w których opisano wszelkie możliwe odkryte przez ludzi sposoby, jak radzić sobie z Ciemnością. Ów ksiądz wziął się akurat na wiecznie żyjącą Kobietę Cmentarną, specjalistkę od posyłania samobójców na tamten świat, która uwielbiała dla zabawy wskrzeszać na chwilę martwych ludzi w trumnach, aby tylko posłuchać ich pełnych przerażenia krzyków, oraz przyrządzała świetną potrawkę z kotów.

A potem do Portretu dobrali się Jaśni, z tym przeklętym Twardowskim na czele. I Portret stał się czymś więcej, jednym z Trzech Kluczy. To dlatego Strzępowaty go potrzebował.

Podziw dla detektywistycznych zdolności i determinacji Waclawskiego sprawił, że Strzępowaty postanowił oszczędzić mu obserwowania, jak jego własna wątroba znika w ustach i zębach Strzępowatego. Postanowił być, jak to mówią ludzie, humanitarny.

Strzępowaty przeskoczył przez ogrodzenie. Schował się w zaroślach. Przeszedł przez drzwi. Nie wydając żadnego dźwięku, przemknął po schodach na górę. Człowiek siedział w salonie, otoczony oprawionymi w ramy złotymi i platynowymi kołami powieszonymi na ścianie, swoimi podobiznami, statuetkami nagród. Rozpadający się od środka stary człowiek, który może i zatrzymał czas w sobie, ale nie zatrzymał go na zewnątrz, mógł teraz tylko siedzieć w muzeum własnego nieistotnego życia, kontemplować swoją śmieszność.

To było łatwe. Strzępowaty stanął za człowiekiem i dotknął jego czoła. Ten odwrócił się i popatrzył na ludzką postać Strzępowatego. Najpierw zastygł.

- Co pan tu robi? - zapytał.

Strzępowaty nic nie odpowiedział, tylko się uśmiechnął. Człowiek zaczął krzyczeć i gwałtownie szukać guzika, który przywoływał ludzi z dołu. Wtedy Strzępowaty po prostu pokazał mu swoje zęby, a strach sprawił, że serce człowieka pękło. Strzępowaty już wiedział, gdzie jest Portret - ostatnim, gwałtownym agonialnym ruchem człowiek wskazał głową na jedno z oprawionych w antyramę zdjęć, zrobione gdy był bardzo, bardzo młody. Strzępowaty zdjął fotografię ze ściany i wyrwał drzwi sejfów. Wyrzucił wszystkie papiery i świecidełka na ziemię i zabrał Portret, po czym wyszedł tak samo, jak wszedł.

I gdy sobie to teraz przypominał, był bardzo, bardzo zadowolony. Nie z powodu gazety. I nie z powodu humanitaryzmu. Strzępowaty był zadowolony, bo wiedział, że od czasu, kiedy ostatnio pojawił się wśród ludzi, nie wymyślili żadnych ogrodzeń, żadnych murów, żadnych drzwi, które mogłyby ich przed nim uchronić.

* * *

- Pobudka! - Babcia wpadła do pokoju z takim impetem, jakby Tytusa trzymano w nim jako

zakładnika, a ona sama była członkiem brygady antyterrorystycznej.

Tytus jęknął i otworzył jedno oko. Babcia stała z rękoma opartymi na biodrach, przepasana fartuchem i w pełnej gotowości do następnej akcji, której charakteru Tytus nawet nie chciał się domyślać.

- Wstawaj, Tytuńciu. Jest już siódma rano, śniadanie czeka! Dziadek zrobił jajecznicę i kielbaski.

- Babciu, bądź człowiekiem, daj pospać jeszcze godzinkę! - Tytus przewrócił się na drugą stronę łóżka i zagrzebał w pościeli.

Babcia złapała go za nogę i pociągnęła.

- Ja sobie mogę być człowiekiem, ale dziadek czeka, aż pomożesz mu z noszeniem drewna - zakomunikowała babcia. - I trzeba uporać się z tym do wieczora, bo wtedy przyjeżdżają do nas Waszczukowie oraz wujek Kamil i robimy dla nich grilla.

- Kto? - Tytus wstał z łóżka i zaczął przecierać oczy.

- Wujek Kamil z Sebastianem i Waszczukowie, bardzo mili ludzie, mają działkę w sąsiedztwie, blisko stadniny, znamy ich od dawna. - Babcia rozsunęła zasłony, wpuszczając do urządzonego w drewnie pomieszczenia światło, pod którego wpływem Tytus ponownie zmrużył oczy. - Wieczorem organizujemy ognisko i zabawę, ale najpierw do roboty!

Tytus wstał i niczym zombie podreptał na śniadanie. Ognisko i zabawa nie stanowiły dla niego żadnej motywacji, po prawdzie wydawały się równie przerażające co cały dzień noszenia drewna. Nie za bardzo ekscytowała go perspektywa spędzenia wieczoru i zapewne paru następnych dni ze swoim kuzynem Sebastianem, którego obszar zainteresowań, delikatnie mówiąc, był trochę inny. Sebastian miał siedemnaście lat i kręciły go głównie kulturystyka, samochody sportowe, polski rap oraz żele do włosów. Krótko mówiąc, Sebastian był dressem.

A jeszcze mniej ekscytowali Tytusa owi znajomi dziadków, których wyobrażał sobie jako podobnych fanatyków biegania, noszenia drewna, pracy, gotowania i sprzątanania, i zdrowego trybu życia. Od samej wizji spędzenia całego wieczoru z takimi ludźmi zaczęła go boleć głowa.

Tytus przyjechał do Głuszyc zaledwie przedwczoraj, ale przez liczbę obowiązków i aktywności, w które go angażowano, czuł, jakby siedział już tutaj dobry miesiąc. Co prawda po odjeździe taty dziadek oszczędził mu sprzątanania stodoły, ale za to babcia zapędziła go do wekowania przetworów oraz przelewania do butelek gotowanych całymi dniami zdrowotnych naparów z niezidentyfikowanych ziół. Po drugim stłuczonym słoiku tylko westchnęła i dała Tytusowi czas wolny. Chłopak poszedł do swojego pokoju, sprawdził, czy są jakieś nowe informacje o mieście widmie (nadal nie było) i zaginionych w lesie poszukiwaczach, zaczął na Gadu-Gadu Pitonia, ale ten był niedostępny (pewnie już grzał swoje cztery litery na obozie piłkarskim), pograł trochę na komputerze, po czym zasnął w ubraniu.

Następnego dnia po śniadaniu, na które podano ogromne porcje jedzenia oraz dziwny napar o smaku kory drzewa zmieszanej z ziemią (babcia uparła się, że Tytus, z żołądkiem zniszczonym przez fast foody, musi go pić codziennie), dziadek zagonił Tytusa do nieukończonych poprzedniego dnia porządków. Wnuk nie za bardzo radził sobie z miotłą - prawdę mówiąc, nigdy nie trzymał tego przedmiotu w ręku - więc został oddelegowany do wybierania stonki z poletka ziemniaków. Po dwóch godzinach kolana i kręgosłup bolały go tak, że do oczu napływały mu łzy. Gdy powiedział dziadkowi, że wolałby odpocząć, dziadek jedynie wzruszył ramionami i odparł, że gdy był niewiele starszy od Tytusa, on i wszystkie dzieci musieli zbierać stonkę z pól cały dzień; nazywało się to czynem społecznym, a po fakcie nie podawano bynajmniej zapiekanki na kolację.

Po obiedzie Tytus miał chwilę wolnego, ale był tak zmęczony, że po prostu zapadł się w fotelu przed telewizorem. Dziadek, popijając herbatę, oglądał kanały informacyjne i cały czas

głośno komentował poczynania polskich polityków. Tytusa polscy politycy obchodzili tyle, co politycy, dajmy na to, urugwajscy, więc ograniczył się do grzecznego przytakiwania.

Następnym zadaniem była pomoc babci w przygotowaniu kolacji, co zakończyło się kolejną serią stłuczeń, drobnych skaleczeń nożem i poparzeń.

- Ciebie rodzice naprawdę niczego nie nauczyli, Tytku - ze smutkiem stwierdziła babcia. - Boże jedyny, jak ci ludzie myślą? Za wszystko płacą, robią tak, aby we wszystkim ich wyręczano, a dzieci wychowują na zupełne ofermy.

Po tym stwierdzeniu nastąpił długi monolog o rzekomo wyrządzanej mu strasznej krzywdzie, no bo jak Tytus ma zostać kiedyś mężem i ojcem, skoro nic nie potrafi zrobić ani niczego naprawić i wszystko leci mu z rąk. Po wykładzie o stonce, monologu i kolacji Tytus był tak zmęczony, że od razu poszedł spać; próbował pograć na laptopie w Wiedźmina, jednak po piętnastu minutach zrezygnował. W jego odczuciu nie minął nawet kolejny kwadrans, gdy do pokoju weszła babcia, zerwała go przemocą z łóżka na wielką wakacyjną atrakcję - przenoszenie drewna z miejsca na miejsce - krzyżąc:

- Tytuńcio, wstawaj! Ja już zdążyłam przebiec moje dziesięć kilometrów!

Przenoszenie trwało już dobre kilka godzin, a Tytus ze zmęczenia nie czuł już drzazg i bąbli - starał się po prostu utrzymywać równowagę i nie myśleć za bardzo o palących mięśniach, bolącej głowie i lejącym się z nieba żarze. W pewnym momencie po prostu poddał się i usiadł.

- Tytuńciu! - jęknął dziadek, ocierając pot z czoła. - No przecież samo się nie zanieś.

Tytus wstał, podniósł z ziemi kawałki drewna i poczuł, że ma już wszystkiego serdecznie dość.

- Żwawiej, żwawiej! - krzyknął dziadek, a Tytus zrozumiał w tym momencie ludzi, którzy popełniają morderstwa. Ułożona obok szopy sterta drewna ciętego przez dziadka na pile tarczowej wcale nie malała, chociaż Tytus nosił je cały dzień.

- Chwila - powiedział, położył drewno obok i usiadł na ziemi. Był strasznie zmęczony.

- Może rzeczywiście trochę cię sforsowałem - przyznał dziadek. - Chodź, odpoczniemy w cieniu, napijemy się kompotu.

Tytus z ulgą wypuścił powietrze i wstał. Dziadek wskazał mu ławę stojącą w cieniu wielkiej, starej jabłoni, pośrodku wielkiego zielonego sadu, w którym oprócz jabłoni rosły grusze, wiśnie i morele.

- Słuchaj, Tytus, bo babcia nabierze podejrzeń, może skoczyłbyś do piwnicy i przyniósł... - zaczął dziadek, ale po chwili przerwał, jakby gryząc się w język, i poprawił się: - Ale nie będziesz wiedział, gdzie to jest. Sam pójde.

- Mogę iść - odparł Tytus, który chciał na chwilę znaleźć się w chłodnym pomieszczeniu - nie ma najmniejszego problemu. W sumie nie zaglądałem chyba nigdy u was do piwnicy. Gdy byłem mały, zawsze zabraniałeś mi tam wchodzić.

Dziadek potrząsnął głową.

- Tam jest brudno i panuje straszny bałagan. Spokojnie, poradzę sobie sam.

Tytus przez chwilę wyobraził sobie, że jego dziadkowie mogą trzymać w piwnicy Coś Straszego, Czego Nigdy Nie Powinien Oglądać, ale zaraz odegnał te idiotyczne, wynikające z przemęczenia myśli. Rozsiadł się na ławie i wypuścił powietrze. Dziadek zniknął na chwilę, po czym wrócił z zimną, oszronioną butelką gazowanego napoju i rozlał im go do szklanek.

- To cydr. - Dziadek się uśmiechnął. - Taki kompot pod lekkim napięciem. Nie prosz o dolewkę, bo za bardzo zakręci ci się w głowie.

Tytus spróbował napoju. Smakował mu, chociaż chłopak nie przepadał za alkoholem. Miał związanych z nim zaledwie kilka, za to traumatycznych wspomnień. Jakies pół roku temu, pod

nieobecność rodziców, upił się piwem z Grubsonem i jego koleżanką tak bardzo, że potem całą noc wymiotował, a rano czuł się, jakby ktoś wprowadził mu do mózgu rozgrzane wiertło. Gdy rodzice wrócili i mama zapytała, co mu jest, odparł, że się zatrzał. Dzięki Bogu wyperswadował jej pomysł przejażdżki na pogotowie i płukania żołądka.

- Tylko nie mów mamie - powiedział Tytus, biorąc duży łyk cydru.

- E, Tytus - zachnął się dziadek - przecież jesteś już facetem, a nie małym srylem. Cały dzień nosiłeś drewno jak prawdziwy chłop, to chyba masz prawo coś sobie chlapanąć i mieć gdzieś, co powie twoja mama.

Tytus uśmiechnął się, nie tylko dlatego że dziadek Zbigniew doskonale wcielał się w rolę Wyluzowanego Dziadka, Z Którym Można Super Się Zakumplować. Uśmiechnął się, bo czuł, że to pierwsza naprawdę przyjemna chwila od czasu jego przyjazdu do Głuszcyc. Sad był zielony, piękny, a przede wszystkim cienisty i chłodny, cydr zaś lodowato zimny. Pod jego wpływem ciało robiło się przyjemnie ciężkie i Tytus miał wrażenie, jakby ktoś wlał mu do żył ciepły syrop.

- Widzisz, zawsze jest nagroda - powiedział dziadek, dolewając sobie trzecią szklanekę (poprzednie dwie wypił duszkiem). - Robota bez fajrantu nie ma najmniejszego sensu.

- Zbigniew! - gdzieś z oddali zawołała babcia.

Dziadek pokazał butelkę palcem i położył palec na ustach. Tytus znowu się uśmiechnął.

- Przyjdę później! - odkrzyknął. - Na razie odpoczywam.

Tytus postanowił wykorzystać moment, aby zadać dziadkowi pytanie.

- Dobrze znasz okolice Głuszcyc?

- No, chłopie. - Dziadek wyciągnął z kieszeni fajkę i zapalił. - Przecież tu mieszkam pół życia.

- A powiedz mi... - Tytus bardzo się starał, aby jego plan nie dotarł za bardzo do świadomości dziadka, który raczej nie pozwoli mu włóczyć się cały dzień samemu po lesie i od razu znajdzie dla niego bardziej efektywne zajęcia - co jest w Kolonii Głuszcyc?

Dziadek zdziwiony popatrzył na Tytusa dosyć przenikliwie i zadał pytanie, którego Tytus bał się najbardziej, czyli:

- A czemu chcesz wiedzieć?

- No... - zająknął się Tytus - widziałem drogowskaz, jak tu jechałem, i mnie to zainteresowało.

- To opustoszała wioska w lesie. - Dziadek odwrócił głowę jak ktoś, kto wie, że jego spojrzenie od razu zdradza intencje. Napenił sobie czwartą szklaneczkę i dolał trochę Tytusowi. - Teraz nic tam nie ma. Kilka opuszczonych chałup i tyle.

Tytus czuł, że dziadek coś ukrywa. Tak jak tata w samochodzie.

- A w okolicy Głuszcyc dużo jest takich opuszczonych miejscowości?

- No, miejscowość to za dużo powiedziane... - Dziadek podrapał się po głowie. - Ot, parę zdezelowanych domów koło starego młyna, to znaczy na południu. Koło jeziora jest dawne schronisko dla turystów, które spaliło się parę lat temu. No i jeszcze taka wioska Wałów, ale to już w innej gminie... ale nie, domy i ziemię w Wałowie kupił Koracz, ten od tartaków, i będą tam robić jakiś ekskluzywny ośrodek wypoczynkowy. O Kolonii musiałbyś porozmawiać z leśniczym Puclem.

Tytus postanowił uderzyć z grubej rury.

- A nie słyszałeś nigdy o opuszczonym mieście, całym mieście, tutaj, niedaleko Głuszcyc?

- Opuszczonym mieście? - dziadek powtórzył pytanie z udawanym, według Tytusa, zdziwieniem. - Musiałeś się naczytać jakichś bajek... O takich sprawach to już powinieneś rozmawiać z babcią. Ona wie więcej o tych wszystkich bujdach. A znam tutejsze lasy jak własną

kieszon i muszę ci powiedzieć, że żadnego opuszczonego ani zamieszkanego miasta nigdy w nich nie widziałem. Najbliższe miasto w okolicy to Szczytno i owszem, dużo ludzi wyjechało za granicę do pracy, ale na pewno nie jest zupełnie opuszczone.

Dziadek powiedział „bujdach” z bardzo dobitną intonacją. Wydawał się podenerwowany.

- Domyślam się, że chcesz się pokręcić po okolicy i poszukać jakichś przygód, ale naprawdę nie ma najmniejszego sensu tam chodzić. - Tytus wyczuł, że dziadek stara się mówić jak najspokojniej. - Tam zupełnie nic nie ma. Jest dużo ciekawszych miejsc w okolicy na wycieczki. Możemy pojechać w niedzielę na przykład nad Jezioro Łuczyckie i popływać rowerami wodnymi. Nasz znajomy ma tam przystań. Tam jest dużo ciekawiej.

Dziadek opróżnił butelkę, nie proponując już więcej Tytusowi, który doszedł do wniosku, że prośba o dolewkę byłaby pewnym nadużyciem. Stuknęła szklanką o stół, wytarł usta i wstał.

- Tylko nie mów babci. - Pogroził palcem dziadek. - Bo znowu będzie jęczeć, że cukier, wątroba, ciśnienie i takie tam. Najlepiej by było, gdybym pił tylko herbatę z pokrzywy. Tfu.

- Dziadku, przestań - odparł Tytus - przecież jesteś już dużym facetem, a nie jakimś srylem.

* * *

- Nie robię dziś obiadu! - zawołała babcia, nie odwracając głowy. - Będzie przecież grill. Ech, te grille. Niedobre to, tłuste, zwłaszcza dla Zbigniewa, fatalny indeks glikemiczny, zła energia, wszystko złe. Tytus, zrób sobie kanapkę, jak jesteś głodny.

Zauważył, że babcia ma gościa - panią mniej więcej w wieku jego mamy, ubraną w schludną garsonkę i rogowe okulary.

- Dzień dobry - przywitał się Tytus. Kobieta odpowiedziała to samo.

- To jest pani Ola - wyjaśniła babcia. - Nasza nowa letniczka, dzisiaj przyjechała. Zeszła tutaj, ponieważ chce ode mnie wyłudzić przepis na moją grillową marynatę.

Kobieta uśmiechnęła się sztucznym, grzecznym uśmiechem. Tytus przypatrzył się jej trochę dokładniej. Przez trzy dni swojego pobytu u babci widział już paru letników - byli to ludzie o zdecydowanie mniej oficjalnych zarówno stroju, jak i zachowaniu. Z reguły wylegiwali się po prostu na trawie, ubrani w rozchełstane kolorowe koszule, klapki, krótkie spodenki i słomiane kapelusze. Tymczasem pani Aleksandra wyglądała bardziej jak ktoś, kto przyjechał tu w czysto zawodowych celach.

- Nie, no... - Babcia znowu odwróciła się do Tytusa. - Pani Aleksandra...

- Olga - powiedziała kobieta znów z tym samym sztucznym uśmiechem i dodała: - Olga, po prostu. Proszę mi mówić po imieniu.

- Tak, przepraszam, pani Olga. - Babcia nacinała mięso i kielbasy, posługując się nożem z przerażającą wprawą. - Pani Olga jest bardzo zainteresowana historią Głuszyce. No, nie wiem za bardzo, czym tu się fascynować, bo absolutnie nic, ale to nic nigdy tu się nie wydarzyło. No, w sumie w dziewięćdziesiątym pierwszym w stodołę Paliwniaków uderzył piorun. Jak tak dalej pomyśle, to w dziewięćdziesiątym szóstym jakaś banda chłystków z Ormiatowa okradła spożywczak, wyniosła z niego dwie skrzynki tanich win, papierosy i dwa kartony ciastek, ale po paru tygodniach ich złapali. I jeszcze jak tak zastanowię się głębiej, ale bardziej nie mogę, bo mi, kochani, wrócą migreny, to trzy lata temu przejechał pościg policyjny, bo gonili jakiegoś gangstera spod Warszawy. Ale pościg skończył się szybko, bo Tronciak akurat kładł sobie kostkę brukową przed domem, robotnik wyjechał z posesji taczka, ten cały gangster zobaczył go w ostatniej chwili, ledwo wyminął i zderzył się ze słupem. Ale widowisko było, całe Głuszyce później o tym ze dwa miesiące opowiadały.

Pani Olga znowu się zaśmiała w taki sam nienaturalny sposób. Tytusa tknęło, aby rozmowę

z babcią o, jak to dziadek określił, „bujdach” przelożyć na wieczór, gdy wszyscy będą siedzieli przy grillu. Coś mu mówiło, że historie płonących stodół i złodziei ciastek nie są tak naprawdę tym, co pani Olga chce usłyszeć. Jednak po chwili jego wewnętrzny głos strofował go: „Tytus, przesadzasz, to upał, cydr i twoja wyobraźnia połączone w jedno”. Postanowił pooglądać z dziadkiem telewizję i poczekać na grilla. Nawet perspektywa przyjazdu Sebastiana zaczęła go cieszyć - miał poważne podejrzenia, że pomimo obaw babci związanych ze złym indeksem glikemicznym grillowanych potraw jej marynata jest najlepsza na świecie.

* * *

- Nie, ja nie mogę, babciu, dziękuję. - Sebastian odwrócił się do babci dopiero po trzecim pytaniu, czy zje baraninę, kaszankę czy szaszłyk. Od piętnastu minut był bardzo zajęty pisaniem SMS-ów. A raczej, jak podejrzewał Tytus, jednego SMS-a. W przypadku kuzyna Tytus bardzo starał się nie myśleć stereotypami, ale wszystko wskazywało na to, że ten ma duże problemy z posługiwaniem się zarówno mową, jak i pismem.

- No, Sebastianku, jedz - nalegała babcia Maryla.

- Babciu, nie mogę. Trener mi przepisał dietę na siłowni. Mogę tylko białe i rybę. I ryż. Albo kaszę. - Wzrok Sebastiana sugerował, że nie do końca poznaje osobę, która do niego mówi.

Babcia miała już rozpocząć swój monolog o zdrowym żywieniu, ale przerwał jej dziadek Zbigniew, nawołując ją do kolejnego toastu. Impreza trwała w najlepsze. Była już dwudziesta trzecia, ale bawiąca się ekipa - gospodarze, państwo Waszczukowie oraz wujek Kamil z żoną, ciocią Bożeną, otwierali kolejne butelki wina i nalewek, a lekko już chwiejący się dziadek kładł na grilla nowe porcje mięsa. Do imprezy dołączyło również jeszcze jedno małżeństwo letników i gdy ktoś z biesiadujących wpadł na pomysł, aby przynieść stary śpiewnik i zacząć śpiewać, Tytus zrozumiał, że zabawa szybko się nie skończy i że raczej nie będzie miał dziś okazji podpytać babcię o lokalną historię i legendy o zaginionych miastach. W wątku o nowym mieście widmie wciąż nie pojawiały się nowe wpisy i Tytus zaczął przypuszczać, że cała sprawa jest raczej głupim internetowym żartem, do których witryna *Tajemnej Strony* była przecież znakomitym pretekstem. Smutek pogłębiał fakt, że jego jedynym partnerem do rozmowy był Sebastian. Reszta biesiadników ochoczo zabrała się do głośnego i nierównego wykonywania tych samych polskich piosenek, których tata Tytusa namiętnie słuchał w samochodzie.

- Nudzicie się, chłopaki? - zagadnął ich wujek Kamil.

Potomstwo wujka Kamila, czyli Sebastian i Damian (odrobinę mniejsza kopia Sebastiana), było dla Tytusa wielką zagadką. Wujek Kamil wydawał się fajnym i wesołym gościem, który bez przerwy opowiadał obrzydliwe kawały o seksie albo historie z niedawno przeczytanych książek. To właśnie on zaraził Tytusa zamiłowaniem do horrorów, pożyczając mu wymięty egzemplarz powieści pod tytułem *Kleszcze śmierci*. Podejrzewał, że gen tępego mięśniaka przeszedł raczej ze strony cioci Bożeny; Tytus parę razy usłyszał, jak wujek Kamil w męskiej rozmowie z tatą opisuje teścia jako „największego durnia, jakiego kiedykolwiek spotkał”.

- Chłopaki, może przejdźcie się do wsi albo po okolicy, bo rzeczywiście widzę, że śpiewanie *Małgości* to nie są raczej wasze klimaty - zaproponował wujek Kamil i szepnął konspiracyjnie: - Dam wam po piwie.

- Mówiłem, że nie mogę. - burknął Sebastian. - Trener zabronił pustych kalorii.

- Ja bym się z chęcią przeszła - odezwał się damski, bardzo młody głos gdzieś zza pleców Tytusa. Najwyraźniej nie należał on do któregoś z gości, gdyż wszyscy uczestnicy grilla odwrócili się w jego kierunku - oprócz Sebastiana. Tytus zrobił to samo. - Jak już zaczniecie wyć te wasze piosenki, to nie zasną do rana i reszta wsi pewnie też - powiedziała stojąca przy ogrodzeniu

werandy na oko szesnastoletnia, bardzo ładna dziewczyna ze ściętymi na krótko blond włosami.

Była ubrana w białą, krótką koszulkę na ramiączkach, podarte w wielu miejscach dzinsy przewiązane paskiem z ćwiekami i miała pomalowane na czarno paznokcie. Patrzyła na swoich rodziców z miną wyrażającą przede wszystkim irytację. Głośno żuła gumę. Tytus mógł się założyć, że jej rodzice najbardziej na świecie nie cierpią głośnego żucia gumy.

- Aniu - zaczęła pani Waszczuk, momentalnie zmieniając ton z zabawowego na oschły i nieprzyjemny - mówiliśmy, że masz godzinę policyjną. I nie zmienimy zdania.

Ania westchnęła, oparła się o balustradę i wypuściła z ust dużego balona, który pękł z głośnym trzaskiem.

- Siedzenie z wami tutaj to jedna wielka godzina policyjna - odparła Ania. - A słuchanie waszego śpiewania to tortury.

- Daj młodym się przejść - powiedziała babcia, lekko wstawiona, ale nie na tyle, aby nie móc zarządzać całym przyjęciem. - Przecież nie muszą tu siedzieć z nami, dziadami. No, Anka, weź Tytusa i Sebastiana i idźcie sobie połązić.

Wujek Kamil nachylił się do Tytusa i mruknął:

- Piwo jest w lodówce.

* * *

Piwo rzeczywiście było w lodówce, nie tylko zimne, lecz także dobre, niestety nawet wychodząc z leśnej ścieżki na drogę do wsi, Tytus, Anka i Sebastian czuli się tak, jakby dalej przebywali na grillu - rozwrzeszczaną wersję *Pamelo*, wróć było słychać chyba w całym województwie. Szli powoli, a Tytus milczał; Anka mocno go krępowała, tak jak z reguły krępowały go ładne i wygadane dziewczyny w jego wieku. Zresztą epizod z Justyną nauczył go ostrożności i wyważenia w nawiązywaniu kontaktów męsko-damskich. Sebastian za to nie miał takiego problemu. Od dwudziestu minut, kiedy wyszli od babci, zalewał Ankę informacjami na temat swoich sportowych i samochodowych pasji, trybu życia oraz dużo starszych i silniejszych kolegów, których jednak czasami zdarza mu się pokonać na rękę. Ania jedynie mu przytakiwała - sprawiała wrażenie osoby, która na pewno nie poszłaby na ten spacer, gdyby tylko miała jakieś lepsze zajęcie.

- Wiesz, ostatnio wycisnąłem setkę - mówił Sebastian, a Anka sączyła piwo i patrzyła na niego z pełnym niezrozumieniem. - Ale nie jestem sterydździarzem. Same odżywki i dobra dieta. Poza tym chcę być silny i szybki i dlatego zapisałem się na kick boxing. Popatrz.

To mówiąc, Sebastian odsunął się na bezpieczną odległość i wykonał kilka kopniaków z obrotami, bardzo starając się, aby wyglądały tak jak na azjatyckich filmach akcji. Anka popatrzyła na Tytusa porozumiewawczo i Tytus był pewien, że to spojrzenie oznaczało: „co za debil”. Doszedł do wniosku, że na chwilę odstawi ostrożność na bok i uratuje Ankę przed kolejnymi monologami Sebastiana.

- Co tutaj robisz? - zadał najnaturalniejsze według niego pytanie w tej sytuacji.

- Jestem na spacerze z Pudzianem i Harrym Potterem - westchnęła Anka, jednak widząc zmieszane spojrzenie Tytusa, dodała: - No, to był żart, wyluzuj. Jestem tutaj za karę.

- To tak jak ja - dodał Tytus, gdy Sebastian cały czas szedł przed nimi, wykonując coraz bardziej widowiskowe kopnięcia i obroty. Tytus podejrzewał, że kuzyn zaraz złamie sobie nogę. Wchodzili powoli do wsi - w oddali widać było oblane światłem ulicznych lamp domy i przystanek autobusowy.

- A co takiego zrobiłeś? - zapytała Anka, pociągając łyk piwa i wyjmując paczkę papierosów z ukrytej w spodniach, wszytej po wewnętrznej stronie kieszeni.

- No, w sumie nic... Nie wiem. To jakiś głupi pomysł, żebym pomagał tu babci i nauczył się życia, jak to mówią starzy. Poza tym chcieli sobie pojechać sami na wakacje, porobić coś innego, niż tylko się kłócić. Nie żebym miał im to za złe, ja też nienawidzę wakacji z nimi...

- Ja też. Tylko że ja spędzam z nimi te wakacje - skonstatowała Anka, zapalając papierosa. - A ty nie. Zazdrościsz ci. A nauczenie się życia to wcale nie jest taki głupi pomysł. Wyglądasz, jakbyś tego potrzebował.

Tytus odegnał dym papierosowy sprzed nosa. Anka widać, paliła mocne fajki, a do tego zaciągała się nimi dosyć łapczywie. Przed sobą usłyszeli nagle jakiś łomot. Okazało się, że Sebastian z rozmachem kopnął w blaszany śmietnik.

- Bez urazy - stwierdziła Anka. - Odruchowo docinam ludziom. No, przy mnie znaleźli najpierw trochę trawy, potem tabletki uspokajające, potem parę razy nie wróciłam do domu na noc, bo zasiedziałam się na imprezach, a potem fizyczka oznajmiła mi, gdy nazwałam ją starą, wysuszoną małpą, że nie zdam do następnej klasy, no i dotrzymała słowa.

Tytus nie starał się ukryć tego, że był pod wrażeniem. Nigdy nie zadawał się z rówieśnikami, którzy mieli problemy ze szkołą, palili papierosy albo trawę, a do tego byli inteligentni. Tacy ludzie z reguły znajdowali się w szkolnej klasyfikacji na wyższym poziomie fajności i raczej patrzyli na niego jak na nudnego komputerowca. Zresztą po pięciu minutach rozmowy z Anką Tytus uświadomił sobie, że tak naprawdę jest nudnym komputerowcem.

- No i jestem tutaj z moją walniętą mamusią i walniętym tatusiem. Najpierw miałam plan, żeby zwiać z przyjaciółką i pojechać na festiwal do Gdyni. Niestety, ją rodzice udupili tak samo.

- A na długo zostajesz w Głuszcach? - zapytał Tytus.

- Zdecydowanie zbyt długo. - Anka popatrzyła na niego i po raz pierwszy wykrzesła z siebie coś w rodzaju uśmiechu.

- Ej, ty, kurwa, karate mistrz - usłyszeli z oddali, a raczej z przystanku autobusowego. Tytus przełknął ślinę i odruchowo zawrócił, ale Anka szarpnęła go w drugą stronę, zaciągnęła się papierosem i podeszła do przodu. Ktoś zauważył urządzany przez Sebastiana pokaz kopniaków i rozwalania śmietników i bynajmniej nie został jego fanem. Było to trzech miejscowych chłopaków, ubranych podobnie jak Sebastian, z tym że wyższych i sprawiających wrażenie dużo silniejszych.

- Co jest? - odparł Sebastian i szybkim krokiem ruszył w kierunku pierwszego z nich.

- Jezu, dopiero teraz będzie mógł się popisać! - jęknęła Anka.

- Przecież oni zrobią z niego pasztet - przeraził się Tytus. - Sebastian, daj spokój! - krzyknął do kuzyna, ale ten nie zareagował. Stał już naprzeciwko tego chłopaka, który nazwał go karate mistrzem. Tytus w krótkiej i przerażającej chwili zrozumiał, że jeśli ci trzej zrobią pasztet z Sebastiana, to oni będą następnymi w kolejce.

- Słuchaj, ziomek, coś ci nie pasuje, to chodź, bo po prostu sobie idę, nie? - Sebastian doszedł najwidoczniej do wniosku, że przekona trzech większych od siebie koleś do tego, że może ich ulicę traktować jak salę treningową.

- Nie pasuje mi twoja miastowa morda - odparł „ziomek” i splunął, a następnie mocno popchnął Sebastiana.

- Ej! - krzyknęła Anka, gasząc papierosa i przydeptyując go butem. - Zostawcie go, to debil. Już sobie idziemy.

- Eeeej! - Prawy skrzydłowy „ziomka” zaczął powoli iść w ich kierunku. - Co ty sobie myślisz, szmulo, że możesz kiepować na mój asfalt?

Tytus zrobił odruchowo trzy kroki do tyłu i stanął w miejscu. Widok nadciągającego w ich kierunku rosnącego chłopaka z imitującym złoto łańcuchem na szyi, w dresie i białym podkoszulku na ramiączkach oraz fryzurą typu rondel odebrał mu zdolność poruszania się. Prawdę mówiąc,

pierwszy raz w życiu był w takiej sytuacji. Obserwował tamtych dwóch, którzy jeszcze nie przeszli do rękoczynów, chociaż brakowało im ułamków sekund - ale w ogóle nie słyszał, co mówią. Wszystko zaczynało się dziać w bardzo zwolnionym tempie i jedyne, co poruszało się strasznie szybko, to kolana Tytusa.

I nagle bieg wydarzeń znów wrócił do normalnej prędkości.

- Zaraz na tobie zgaszę papierosa, zdziro! - Prawy skrzydłowy stanął przed Anką, gdy ta błyskawicznie wykonała trzy czynności, które były bodaj najbardziej zaskakującą rzeczą, jaką Tytus zobaczył do tej pory. Nawet nie zdążył pomyśleć, że powinien przecież podejść do tego chłopaka i coś zrobić, bo przecież to on był tutaj chłopakiem, a Anka dziewczyną.

Anka najpierw bardzo szybkim ruchem wyjęła jeszcze jedną rzecz z ukrytej kieszeni spodni.

Potem z całej siły kopnęła chłopaka między nogi i dopiero wtedy Tytus zwrócił uwagę na jej buty - wysoko sznurowane glany, najpewniej z blaszaną płytką na czubku.

Na końcu zakryła sobie twarz kawałkiem koszulki, przycisnęła go dłonią do nosa i ust, zamknęła oczy i psiknęła zawartością wyciągniętego z wewnętrznej kieszeni przedmiotu w chłopaka, który momentalnie skrył twarz w dłoniach i zaczął wyrzaskiwać kombinacje wszystkich znanych sobie bluzgów.

Wszystko to trwało jakieś cztery sekundy. Tytus dalej stał sparaliżowany, ale w piątej sekundzie Anka podbiegła do niego, wzięła go za rękę, odwróciła się i krzyknęła:

- Rura, idioto!

Zaczęli biec. Kątem oka Tytus zauważył, że na jej komendę odwrócili się zarówno Seba, jak i jego napastnik. Seba okazał się jednak w miarę myślącą osobą. Wykorzystując zagapienie się chłopaka, grzmotnął go z całej siły w nos, po czym popędził za nimi. To wszystko było bardzo absorbujące, tak samo jak ucieczka, ale Tytus bardziej myślał o jej dłoni. Była spocona, chłodna i miękka. Była przyjemna.

- Jesteś durniem! - zawołała do Seby Anka, nie zwalniając, ale wypuszczając rękę Tytusa. - Co ty sobie wyobrazałeś, że możesz bawić się tutaj w Van Damme'a i nikt do ciebie nie podejdzie?

Sebastian, zmieszany i zszokowany, był w stanie wydusić z siebie jedynie różne mutacje wyrazu „sorry”, takie jak „sorówa” bądź „sorczak”.

- Zawsze muszę ratować kretynów - stwierdziła, wbiegając na drogę do domu babci, z której przyszli, i wskakując w las. Sebastian i Tytus odruchowo podążali za nią. - Dobrze, że ten gaz pieprzowy zadziałał. Zdarzało mu się zacinać.

Zatrzymali się w lesie, ciężko dysząc.

- Myślisz, że oni pobiegli za nami? - wysapał najbardziej zziębnięty z nich wszystkich Sebastian.

- Czym się przejmujesz?! - fuknęła Anka. - Przecież na pewno dasz im radę, mięśniaku. Z tym że ja i kolega tutaj...

- Tytus - poprawił Tytus.

- Ja i Tytus pójdziemy po prostu do domu, a ty będziesz walczył na śmierć i życie. Nienawidzę kretynów, którzy umieją jedynie pracować po swoich głupich mordach. Jezus, muszę zapalić.

Usiedli na ziemi. Sebastianowi przypomniało się, że schował do kieszeni krótkich bojówek piwo.

- Puste kalorie - przypomniał mu Tytus.

- Luz, trochę teraz spałem - odparł najzupełniej poważnie Sebastian.

Podzielili się piwem we trójkę, a Anka wyjęła jeszcze jednego papierosa i odpaliła go od poprzedniego.

- Chyba nie będziemy już mogli za bardzo spacerować sobie po wsi - stwierdził Tytus. Sam miał ochotę na papierosa, ale przypomniało mu się, że po pierwszym w życiu można zwymiotować. A on nie chciał tego robić w tym momencie. Nie przy tak ładnej dziewczynie.

- Wątpię. - Anka wypuściła dym, robiąc kilka kółek. - To była banda leszczy. Nie wyjdą z domu przez miesiąc, wpadną w depresję, bo pobiła ich dziewczyna. Czemu się na mnie cały czas patrzysz?

Tytus zorientował się, że bez przerwy wpatruje się w Ankę. Uświadomił sobie również, że bardzo go cieszy, że ona zostanie jeszcze na chwilę w Głuszycach. „Dziewczyna, z którą wplątujesz się w bójkę już po dwudziestu minutach znajomości, nie może być nikim nudnym” - pomyślał. I już miał przeprosić, że cały czas się na nią gapi (jednocześnie nie przestając tego robić), ale wtedy Ance zadzwonił telefon. Ta odebrała i bez słowa rozłączyła się po paru sekundach.

- Starzy idą do domu - westchnęła - a ja muszę iść z nimi. Więc, chłopaki, dzięki za uroczy spacer i może jeszcze do zobaczenia.

Anka wyjęła z kieszeni paczkę gum do żucia i wsadziła sobie kilka naraz do ust. Tytus i Sebastian poszli za nią. Z każdym krokiem, który przybliżał ich do gospodarstwa babci Maryli, wykonanie *Konika na biegunach* na sześć mocno przepłukanych różnymi trunkami gardeł stawało się coraz głośniejsze. Tytus jednak tego nie słyszał, szedł parę kroków za Anką, aby móc na nią patrzeć.

* * *

Leśniczy Pucel rozumiał, że ciężko jest być żoną leśniczego, ale według niego leśniczynie Puclowej nie było znowu aż tak ciężko, aby wrzeszczeć wniebogłose i rzucać o ściany odziedziczoną po babci porcelanową zastawę. Za to leśniczyna Puclowa nie rozumiała, że leśniczemu Puclowi jest jeszcze ciężiej. Fakt, że zobowiązał się, uroczyście i przed całą rodziną, że nie tknie już wódki, od momentu gdy pijany potrafił samochodem własnego teścia przy wjeździe do domu, złamawszy mu w ten sposób nogę w czterech miejscach oraz obojczyk. Ale przecież flaszka, którą leśniczyna Puclowa znalazła w jego skrzynce na narzędzia, nie zawierała wódki, ale znakomitą, upędzoną przez Zbyszka Grójeckiego pigwówkę z cynamonem. A ta na pewno nie klasyfikowała się jako wódka, ponieważ, wiadomo - wódki posiadają około czterdziestu procent alkoholu. Pigwówka pana Grójeckiego miała siedemdziesiąt i tym samym bez wątpienia nie była wódką.

Za każdym razem, gdy leśniczyna Puclowa dochodziła do wniosku, że musi wywrzeszczeć wszystkie swoje pretensje do męża i zaakcentować je, roztrzaskując naczynia, szklanki i talerze, leśniczy Pucel wytrzymywał tylko pierwsze dziesięć minut tego ambarasu.

- A tera gdzieee idzieeszsz?! - krzyczała, gdy małżonek bez słowa zamykał drzwi, brał resztkę pigwówki, latarkę i szedł do lasu.

Pucel był leśniczym z powołania. Kochał las, znał go, uwielbiał na nowo odkrywać, przypominać sobie miejsca, które odwiedzał dawno temu. W promieniu piętnastu kilometrów od domu znał każde drzewo, każdy patyk, uskok, wiedział, gdzie są kryjówki, w których miejscach szukać kryjówek jeleni, na jakich drzewach są gniazda poszczególnych ptaków.

W przeciwieństwie do leśniczyny Puclowej, las dawał mu spokój, las go słuchał, las był silny, las go wspierał. Co więcej, leśniczy Pucel szanował las, czego nie mógł powiedzieć o swojej żonie. I choć znał w nim każde drzewo, tak jak każde znamię na ciele leśniczyny, o żonie mógł powiedzieć: „Znam tę babę na wylot”, ale lasu tak podsumować nie mógł. Las był jak kobieta, którą kocha się przez całe życie, ponieważ zawsze pozostanie tajemnicą, na zawsze zachowa coś nieodgadnionego. Leśniczy Pucel wiedział, że w lesie kryje się coś, o czym nie wie. Coś, czego nie

pozna do końca życia. Czuł to czasami o zachodzie słońca albo w letnie noce takie jak ta, gdy nagle znikąd rozbrzmiewał koncert żab, w oddali przemykało jakieś zwierzę i gdy zupełnie bez przyczyny, wbrew pogodzie, porze roku i bezchmurnemu, rozgwieżdżonemu niebu ze wschodu czuł falę chłodnego, przesywającego wiatru, który zniknął tak szybko, jak się pojawiał.

Leśniczy Pucel nie wiedział już, jak długo idzie i dokąd doszedł. Nie zgubił się - po prostu nie patrzył na drogę, dał się porwać myślom krążącym wokół wyrwania języka leśniczynie Puclowej. Przystanął i się rozejrzał. Przez chwilę nie wiedział, gdzie jest, ale w końcu uzmysłowił sobie, że dotarł do miejsca, w którym jego noga nie powstała od jakichś dziesięciu lat. Był w okolicach Kolonii Głuszyce.

Odkąd pamiętał, bał się tej wsi. „To tylko kilka opuszczonych domów” - powtarzał. Ale Kolonii Głuszyce bał się każdy i nie zaglądał tu prawie nikt. Ludzie opowiadali sobie historie o widywanych tutaj dziwnych postaciach, o tym, że w tych okolicach lasu najłatwiej się zgubić i można nie odnaleźć drogi przez parę dni. Znał miejscowych, którzy przyrzekali z ręką na sercu, że szli dwa kilometry zupełnie przed siebie i nagle trafiali w miejsce, z którego wyszli. Leśniczy składał to oczywiście na karb słabej znajomości lasu. Ale jeśli myślał o okolicach Głuszyce najbardziej tajemniczych, o których nie wiedział zupełnie nic, myślał o terenie Kolonii, a zwłaszcza o domu starego Wirdały, o którym opowiadano najwięcej dziwnych historii. Historii, o których leśniczy Pucel wołał sobie teraz nie przypominać.

„Ten dom musi być gdzieś niedaleko - pomyślał Pucel. - O ile jeszcze cokolwiek z niego zostało”. Dziesięć lat temu, gdy był tutaj po raz ostatni, budynek straszył zawalonym dachem i wybitymi oknami, które wyglądały z daleka jak czarne, bezzębne usta.

Nagle leśniczy usłyszał jakiś dziwny jęk, jakby westchnienie chorej osoby. Rozejrzał się, ale nie czuł obecności żadnego zwierzęcia. Oparł się o drzewo i pociągnął lyk pigwówki. Wiedział, że w lesie nocą nie ma nic nienormalnego, nie wierzył w demony, upiory i inne bujdy. Ale mimo wszystko czasami dopadała go bojaźń. Dopadła go i teraz.

Usłyszał jęk jeszcze raz i jeszcze... z tym że pierwszy rozległ się przed nim, a drugi za nim. I usłyszał, jak coś bardzo szybko przemyka przez zarośla w sposób, jaki nie kojarzył mu się z żadnym znanym zwierzęciem. „Może to warchlak” - pomyślał, ale potem zapytał sam siebie, co robiłby warchlak sam, daleko od matki.

Gdy usłyszał jęk jeszcze raz - jakby ktoś zawodził i wołał o pomoc, doszedł do wniosku, że mimo wszystko w tym momencie przyjemniej będzie zaszyć się w domu, oglądając telewizję w łóżku u boku chrapiącej leśniczyny Puclowej.

Chwilę potrwało, zanim zdecydował, w którą stronę musi iść, żeby trafić do domu najkrótszą drogą. Odwrócił się i powoli ruszył na południowy wschód. Po dziesięciu krokach jednak wiedział już, że się pomylił. Zza drzew majaczyły kontury chaty starego Wirdały. Puclowi przez moment wydawało się, że w opuszczonym domu mignęły jakieś światła, gdy nagle znowu usłyszał jęk, a potem coś jeszcze - sapnięcie i kroki, kroki czegoś, co poruszało się na dwóch nogach i musiało być ciężkie. Ale niekoniecznie wielkie. Pucel nie słyszał odgarnianych gałęzi drzew. Słyszał tylko szelest liści.

- Kto tam? - zapytał leśniczy i poświecił latarką w mrok.

Rozległy się kroki i snop światła wyłowił z ciemności niewyraźne kontury jakiejś postaci.

- Kto tam? - powtórzył.

Pucel podszedł w kierunku tej postaci, a ona uczyniła krok w jego stronę.

- Kto tam? - zapytała Gangrena.

Pucel odetchnął. To był głos ludzki. Wysoki, piskliwy, jednocześnie charkotliwy, bardzo dziwny, ale jednak ludzki.

- Jestem leśniczym, stąd - odparł Pucel. - Czy pani się zgubiła?

Pucel oświecił latarką postać. Przełknął ślinę. Była niska, wzrostu mniej więcej pięcioletniego dziecka, do tego niesamowicie otyła, właściwie szersza niż wyższa. Otoczone bladą, śliską skórą fałdy tłuszczu wyciekały spod szmat, w które była okutana. We włosy miała wplątane gałązki, liście, robaki, ziemię i coś, co wyglądało jak resztki zepsutego mięsa. Pucel chwycił się najbliższego drzewa. „To niemożliwe, to ta pigwówka” - pomyślał. Postać otworzyła usta, a wtedy Pucel odruchowo krzyknął. Były prawie bezzębne, a te kilka kształtów wystających z dziąseł nie wyglądało jak zęby. Wyglądały jak metalowe kły.

- Zgubione - powiedziała Gangrena. - Inni szukają tego, co zgubione. Boli mnie brzuch i nie mogę jeść. Pozwól ci jeść.

Leśniczy Pucel odwrócił się i zerwał się do ucieczki. Bieg trwał jednak tylko chwilę. Mężczyzna zahaczył nogą o konar, stracił równowagę i upadł. Trzasnęły gałęzie. Jęknął. Dźwignął się na czworaki, a gdy popatrzył przed siebie, zorientował się, że Gangrena stoi przed nim.

- Nikt nie wejdzie ani nie wyjdzie - powiedziała Gangrena i dotknęła twarzy leśniczego, zostawiając na jego policzku zimny, śluzowaty ślad. - Nikt nie może wejść ani wyjść. Ja jestem dobra. Ty też nie możesz wejść. Ty jesteś głodny. Jak wszyscy. Wszyscy głodni. Głodni. Jestem dobra i bardzo boli mnie brzuch. Nie mogę tego wyleczyć, więc wyleczę ciebie. Jesteś głodny. Nie wejdiesz. Nie możesz o tym nikomu powiedzieć.

Leśniczy zaczął się trząść. Gangrena wzięła do ręki jego latarkę i zaczęła ją oglądać, jakby nigdy w życiu nie widziała takiego przedmiotu. Leśniczy chciał wstać i biec, ale nie mógł. Nie był w stanie poruszyć rękami i nogami.

- Nie musisz mówić. Jesteś głodny. Musisz zacząć jeść. Ja nie mogę jeść. Mnie boli brzuch. Ale daję wszystkim ten dar. Sprawiam, że mogą jeść. Jestem dobra. Jestem dobra.

Leśniczy Pucel chciał wrzasnąć, ale nie mógł. Jego zęby zaczęły zaciskać się na języku. Wbijać się w niego coraz mocniej. Chciał przestać. Chciał móc rozkazać cokolwiek swoim rękami. Chciał móc rozkazać cokolwiek swoim zębom. Nie mógł. Teraz robiła to Gangrena, nawet na niego nie patrząc, spoglądając w światło latarki, zafascynowana nim jak małe dziecko filmem podczas pierwszej wizyty w kinie. „Dlaczego wyszedłem znowu z domu? - zastanowił się leśniczy Pucel. - Dlaczego wyszedłem znowu z domu?” - pomyślał, a jego usta powoli napelniały się krwią.

- To dopiero początek jedzenia - powiedziała Gangrena. - Jesteś taki głodny. Jesteś taki głodny, ale ja cię nakarmię.

4. Legenda starego Wirdały

Tytus początkowo nie chciał towarzyszyć babci w wyjściu na zakupy. W jego wyobraźni wczorajszy incydent ze śmietnikiem i gazem postawił wszystkich mieszkańców wsi w stan pełnej gotowości do wykonania na nim natychmiastowego linczu. W końcu znokautowanie dwudziestoletniego chłopaka przez szesnastoletnią dziewczynę musiało być w historii Głuszczy równie ważnym wydarzeniem, co pościg samochodowy za uciekającym gangsterem. Miał pewność, że za pośpiechem pakującego się rano do sportowych toreb Sebastiana („Przecież zawsze na niego trzeba czekać ze trzy godziny, zanim w końcu się umyje” - zdziwił się, kręcąc głową, wujek Kamil) kryły się te same podejrzenia. Tytus był przekonany, że w najlepszym wypadku dziś spotka go we wsi korowód oskarżających, zwiastujących rychłą hospitalizację spojrzeń.

Babcia Maryla nie brała jednak „nie” za odpowiedź - tym bardziej bez usłyszenia wyraźnego powodu odmowy. A tego Tytus nie mógł jej zdradzić - ujawnienie faktu, że trzeciego wieczoru podczas pobytu w Głuszczykach wpłatał się w bijatykę, skutecznie uniemożliwiłoby mu wyprawę do Kolonii Głuszczyce oraz ponowne zobaczenie Ani. Od wczorajszego wieczoru obie te sprawy w dziwny sposób zaczęły zajmować *ex aequo* pierwsze miejsce na liście jego priorytetów.

Okazało się oczywiście, że strach przed linczem był produktem wybujałej wyobraźni Tytusa. Droga do sklepu minęła spokojnie, może oprócz tego, że babcia cały czas opowiadała o wczorajszym bałaganie, problemach zdrowotnych wujka Kamila, kłopotach osobistych sterroryzowanego przez żonę pana Waszczuka oraz brudzie, jaki letnicy zostawiają w pokojach.

- Jedynie pani Olga naprawdę ma porządek w pokoju - powiedziała babcia, gdy dochodzili do centrum Głuszczy. - Na biurczku laptopik, ubrania poskładane, porządeczek.

- A co ona tutaj robi? - zapytał Tytus, przypominając sobie jej wystudiowany uśmiech.

- Nie wiem, Tytuńciu, ale co mnie to interesuje? - wzruszyła ramionami babcia. -

Wypoczywa, jest miła, nie przeszkadza, płaci. Może pisze jakąś książkę. Wygląda na pisarkę.

- Ludzie, którzy piszą książki, wyglądają trochę inaczej. Bardziej jak tata - odparł Tytus. Nie wyobrażał sobie pisarzy i pisarek jako ludzi, którzy wyjeżdżając na wakacje na wieś, chodzą po gospodarstwie w eleganckich garsonkach.

Droga minęła spokojnie, ale gdy weszli do sklepu, Tytus przełknął ślinę i odruchowo schował się za regał ze słodyczami i gazetami. Lada była całkowicie zablokowana przez dziesięć przekrzykujących się nawzajem, próbujących rozmawiać ze sprzedawczynią osób.

„Co mogło być bardziej wstrząsające - Tytus pytał siebie samego jeszcze raz - niż to, że, nie daj Bóg, syn sołtysa wrócił wczoraj do domu pobity i podtruty gazem pieprzowym przez dziewczynę?”

- Babciu, zrób zakupy, ja sobie popatrzę na gazety, wyszedł nowy „Komputer Świat” - bąknął Tytus, starając się jak najdyskretniej stanąć plecami do miejscowych i udawać, że interesuje się artykułem o nowej serii dwurdzeniowych procesorów.

- Czy mój jedyny potencjalny kumpel na wakacjach musi być aż tak nudny, że czyta o komputerach nawet w spożywcza? - Głos Anki zadziałał na Tytusa w tej sytuacji jak wiadro zimnej wody wylane na opalającego się człowieka. Dziewczyna stała w drzwiach sklepu, z rękami opartymi na biodrach, w tym samym ubraniu co wczoraj, jak gdyby nigdy nic puszczając balony z gumy owocowej.

- Jezus, Anka, co ty tu robisz? - Oszołomionemu Tytusowi gazeta wypadła z rąk; dodane do niej pudełko z płytą DVD z hukiem uderzyło o podłogę i dopiero wtedy w jego kierunku odwrócili się ludzie stojący w kolejce, łącznie z obładowaną już zakupami babcią.

- To głupie pokazywać się na wsi po tym, co stało się wczoraj - wyszeptał. - A jakbyś

spotkała tamtych chłopaków?

- Spotkałam jednego z nich - odparła, wzruszając ramionami. - Nie tego, którego pozbawiłam wzroku i męskości, ale tego trzeciego. Przejedźdzał obok mnie i krzyknął, że się ze mną policzy.

- I co odpowiedziałaś? - Tytus zbierał roztrzęsionymi rękoma gazetę z ziemi.

- Że jeśli podejdzie do mnie na metr, czeka go to samo co jego kumpla. - Anka zaakcentowała swoją wypowiedź, wydmuchując z gumy ogromnego balona, który po chwili pękł z trzaskiem.

Tytus kiwnął do babci głową, że wychodzi na chwilę na zewnątrz. Stanęli przed sklepem - miejscowi w środku nawet nie zauważyli ich zniknięcia.

- Więc... - Tytus podrapał się w głowę. - Więc o czym oni tak rozprawiają w tym sklepie?

- Ale z ciebie panikarz, matko! - Anka się zaśmiała. - Czy ty spędziłeś kiedyś trochę czasu poza swoim pokojem? Tu codziennie ktoś się z kimś bije, bo co tu jest lepszego do roboty? Coś się stało, nie wiem. Jakiś facet zgubił się w lesie.

- Facet? Przyjezdny czy miejscowy? - Rozgorączkowany Tytus już miał uderzyć kanonadą pytań, ale z warzywniaka obok wyszła mama Anki, trzymając w ręku potężną siatkę ziemniaków.

- Anka! Do domu! - krzyknęła pani Waszczuk. Dziewczyna westchnęła, obrzuciła mamę wzrokiem, przez który przebijała czysta i niezmacona nienawiść, włożyła sobie do ust kolejną gumę i pomachała Tytusowi na pożegnanie. W tym samym momencie ze sklepu wyszła babcia.

- Co się stało, babciu? - zapytał Tytus. - O czym oni tak dyskutowali?

- Leśniczy Pucel nie wrócił na noc do domu i jego żona panikuje. Ale on lubi wypić, więc równie dobrze mógł gdzieś zasnąć w lesie i przyczłapie do chałupy dopiero wieczorem. - Babcia próbowała mówić bardzo spokojnie, ale Tytus wyczuł, że jest odrobinę zdenerwowana.

- Czemu tak się martwisz, skoro to pijak i na pewno wróci? - Tytus wziął babci z rąk pełne zakupy siatki. Powolnym krokiem ruszyli w kierunku domu.

- A wiesz, bo ludzie znowu gadają głupoty, Tytuńciu. Podobno wczoraj w nocy ktoś słyszał straszliwe krzyki dobiegające od strony Kolonii i domu starego Wirdały. - Babcia nagle zacisnęła usta, jakby zdała sobie sprawę z tego, że powiedziała za dużo, a Tytus poczuł, że jego serce zaczyna gwałtownie przemieszczać się ze swojej normalnej pozycji do gardła i z powrotem.

- Ale ktoś opowiadający te głupoty był pewnie bardziej pijany od samego Pucla - babcia wypowiedziała wyraz „głupoty” co najmniej równie dosadnie jak dziadek wczoraj „bujdy”. - Cokolwiek dziwnego wydarzy się we wsi, ludzie plotą i plotą, jakby całe zło pochodziło z tamtej strony. Bzdura. Ci sami ludzie, jak im się urodzi martwy cielak, chodzą po wsi i mówią, że sąsiadka rzuciła na nich klątwę.

- Babciu - powiedział Tytus tak stanowczo, jak tylko mógł - proszę, powiedz mi, o co chodzi z Kolonią Głuszyce. Ojciec twierdzi, że tam nic nie ma i że to tylko parę domów. Tak samo mówi dziadek. Problem w tym, że i dziadek, i ojciec nie za bardzo umieją kłamać...

- Ale tam naprawdę nic nie ma! - fuknęła babcia. - Skąd ty w ogóle wiesz o tej miejscowości?

- Po prostu... - zająknął się Tytus - zobaczyłem po drodze zniszczony drogowskaz i mnie to zaciekawiło.

Babcia westchnęła i odstawiła siatki. Usiedli na ławce koło przystanku autobusowego. Babcia wydawała się dziwnie zmęczona - ze swoimi sportowymi pasjami i miłością do wysiłku wyglądała na osobę, która nigdy nie opada z sił - wyciągnęła z torby dwie butelki coli i podała jedną Tytusowi.

- Cukier to biała śmierć, ale w takie dni muszę, jak jest takie ciśnienie. - Babcia odkręciła z

cichym psyknięciem kapsel i upiła mały łyk.

- Co z tą Kolonią? Co opowiadają ludzie? Czemu jak dziadek mówił, że tam nic nie ma, o mało na mnie nie nakrzyczał? - Tytus drążył temat, bo czuł, że ten moment jest ostatnią okazją do tego, aby się czegoś dowiedzieć.

Nagle usłyszeli klakson. Pod przystanek autobusowy, na którym siedzieli, podjechało nowe, srebrne audi A4. Tytus rozpoznał auto, ponieważ Pitoń wielokrotnie cmokał nad nim z zachwytu, oglądając magazyn *Top Gear*. Z tym że Pitoń w swoim ograniczeniu pewnie zdziwiłby się, że za kierownicą takiego wozu siedzi kobieta.

- Wskakujcie, podwożę was! - krzyknęła do Tytusa i babci Maryli pani Olga.

Tytus już miał odpowiedzieć, że doskonale dadzą sobie radę sami, ale babcia z wyraźną ulgą na twarzy wstała, wzięła siatki i z radością zawołała do pani Olgi:

- Z nieba mi pani spadła! W ramach podziękowań zapraszam na świetną struclę.

Tytus poszedł powoli za babcią i zauważył przez szybę, że pani Olga w pośpiechu zamiata pod siedzenie porzrucane po całym samochodzie papiery. Wsiadli i ruszyli.

- Pani Marylo, dziwna sprawa z tym leśniczym, prawda? - zapytała pani Olga.

Tytus otworzył szeroko oczy. Alarm, który zadzwonił mu gdzieś w środku, gdy po raz pierwszy zobaczył kobietę w babcinej kuchni, odezwał się teraz ze zdwojoną mocą.

- No dziwna, dziwna - westchnęła pani Maryla. - Cała wieś o tym gada. Pan Pucel, no cóż, lubi sobie zajrzeć do kielicha. W końcu musiało stać się coś takiego.

- To chyba zawodowa przypadłość leśniczych. - Pani Olga uśmiechnęła się kwaśno.

- W przypadku pana Pucla to była miłość, a nie przypadłość - odparła pani Maryla. - Mam nadzieję, że zasnął gdzieś w lesie i na wieczór wróci do chałupy. Chociaż z drugiej strony może lepiej, by tam został, biedaczysko. Jak żona świśnie mu przez łeb walkiem do ciasta, to śmierć na miejscu... Ale znowu te bujdy... - dodała babcia i szybko ugryzła się w język.

- Legendy o tym, że Kolonia Głuszyce, gdzie wczoraj rzekomo ludzie słyszeli wrzaski leśniczego Pucla, była nawiedzona, że mieszkają tam porywające ludzi zmory i że było tam przejście do świata strzyg? - zapytała pani Olga, zatrzymując samochód pod domem. - Niech nam pani poopowiada o tym coś jeszcze, pani Marylo. Nawet pani sobie nie wyobraża, jakie to dla nas, mieszczuchów, ekscytujące.

Tytus otworzył usta ze zdziwienia i zamknął je dopiero po chwili. Popatrzył na babcię. Spuściła wzrok. W uśmiechu pani Olgi było coś przebiegłego i zimnego, ale w tym momencie był jej wdzięczny.

- Chodźmy do kuchni - westchnęła babcia. - Zaparzę nam zielonej herbaty.

* * *

- To było głupie ze strony mojej i Zbyszka, i tak byś się o tym wszystkim dowiedział przez ten miesiąc. - Babcia kroїła na kawałki upieczone nie wiadomo kiedy ciemne, słodkie ciasto z miodem i wiśniami i nalewała herbatę do porcelanowych filiżanek. - Ciekawość by zwyciężyła, pojechałbyś tam, a tam jest niebezpiecznie i wiem, co mówię, bo jestem stara baba i mieszkam tu już kilkadziesiąt lat. Nie z powodu strzyg, zmor czy innych bajań. To bardzo stary odcinek lasu, bagnisty, łatwo tam zablądzić. Pełno tam dzików, wilków. Dlatego z dziadkiem ukrywaliśmy przed tobą te głupoty - Robert mówił, że czytasz te durne książki o wampirach i innych potworach. Usłyszałbyś o tym wszystkim i od razu byś tam pognał. A ty, Tytuńciu, nie wiesz nawet, jak rozłożyć namiot.

Babcia miała trochę racji i wystarczyło, że Tytus uruchomił na chwilę wyobraźnię, aby jej to przyznać. Fakt, nie poradziłby sobie na bagnach, w lesie, w nocy ani w jakiegokolwiek innej sytuacji

wymagającej większej zaradności niż skrócenie obudowy komputera. Nie uciekłyby też przed dzikiem, nie mówiąc już o żadnym nadnaturalnym zjawisku. Nawet zabrane z domu akcesoria - profesjonalna latarka, wielofunkcyjny scyzoryk - wydawały mu się teraz przydatne do zabawy w biwak na trawniku przed blokiem, a nie prawdziwej, porządnej wyprawy. Z drugiej strony pod nosem miał prawdziwą opuszczoną wioskę, na której temat powstały dziesiątki legend i nawet jeśli miały być one jak najbardziej absurdalne, Tytus nie mógł się doczekać, aby w końcu je usłyszeć. Przypomniawszy sobie słowa Adolfa Błyska: „Żadna plotka i żadna legenda nie bierze się z próżni”.

- Widzę, że pani jest również bardzo zainteresowana lokalnymi bajkami. - Babcia Maryla, gdy obsłużyła już gości, wzięła się do odmierzania swojej codziennej dawki biovitalu. - Że mój wnuk, to rozumiem, on po prostu ma fisia na punkcie tych wszystkich strasznych historyjek, ale pani? Przecież pani jest poważną kobietą.

- Przejrzała mnie pani. - Zimny, uśmiechopodobny grymas znów pojawił się na twarzy Olgi. - Piszę pracę doktorską na temat lokalnych legend i przesądów na Warmii i Mazurach. Jestem etnologiem. Nie chciałam mówić o tym na początku, bo ludzie często nie mają zaufania. . .

- Oj, właśnie nie, pani Olgo, trzeba było tak od razu. - Babcia jako pierwsza nadziała na widelec kawałek strucli. - Mówiłam ci, Tytusie, że pani Olga pisze książkę, to nie chciałeś uwierzyć.

- Doktoraty to nie książki - rzucił Tytus.

- Z reguły ukazują się w formie książkowej, jeśli już jesteśmy tacy dokładni. - Uśmiech pani Olgi mroził niczym chłód.

- Z chęcią służę pomocą naukowcom - mówiła dalej babcia. - To ludzie, których najbardziej podziwiam. Więc tak. Wszystko zaczęło się podczas drugiej wojny światowej. Głuszyce to była pruska miejscowość, całkiem spora, mieszkało tu parę tysięcy ludzi. I oczywiście jak przyszła tak zwana armia wyzwolenicza, to pod wezwaniem słońca narodów. . .

- Słońca czego? - dopytał Tytus, nie rozumiejąc za bardzo, o co babci chodzi.

- Was nawet historii nie uczą w tej szkole. - Babcia popatrzyła na Tytusa trochę z żalem, a trochę karcąco. - Tak mówiono na Stalina - słońce narodów. W każdym razie jak przeszli ruskie, to tu kamień na kamieniu nie został. Nie chcę mówić, co oni tutaj robili, ale to były zwierzęta. Albo nawet gorzej. Sklep był z zegarkami, to jeden tłukł szybę, drugi wchodził do środka, wszystko niszczył, zabijali właściciela, żonę, dzieci, a potem chodzili z tymi zegarkami, każdy miał po dziesięć na ramieniu.

- No ale co z Kolonią? - Tytus bardzo chciał, aby babcia doszła szybko do sedna sprawy.

- No, większość ludzi z Głuszyce i z okolicznych wsi, także z tej Kolonii, wypędzono w czterdziestym piątym. Na miejsce przywieźli ludzi z Ukrainy, którzy mieli zasiedlać te puste domy, co zostały, zagospodarować to wszystko. Wszyscy w Głuszycach pochodzą gdzieś stamtąd. Przecież moja nieboszczka babcia, która tu mieszkała, przyjechała ze Lwowa. Ludzie się tutaj powprowadzali i te domy w Kolonii Głuszyce przydzielono bodajże dwóm rodzinom. Zabobonnym ludziom, z głębokiej Ukrainy. A że tam były bagna, czego oni nie wiedzieli, od razu dwóch się utopiło. I zaczęło się gadanie, że las jest nawiedzony, że są tam strzygi, że kogoś jakaś wiedźma zaciąga na bagno, a w nocy słychać jęki dusz ludzi pomordowanych podczas wojny. Tamci zwiali po miesiącu, tak się przestraszyli, i legenda zaczęła krążyć po okolicy. Fakt, ludzie tam często błędzili, zwłaszcza jacyś spoza wioski, co to sobie przyjeżdżali na jagody czy na grzyby. Ale o tym, że Kolonia jest nawiedzona, wkrótce huczały całe Głuszyce i w latach sześćdziesiątych już nic nie dało się z tym zrobić, wszyscy wierzyli w to jak w przykazania pańskie. Jeden zobaczył tam o północy wilka ze stalowymi zębami, któremu oczy błyszczały na czerwono. Inny jakąś kobitę, co naga snuła się po bagnie, nie dotykając stopami ziemi, a gdy się odwracała w kierunku tego, kto ją

zobaczył, okazywało się, że jej skóra zgniła i płatami od ciała odłazi. Jeszcze inny widział postać całą na czarno w kapturze, co chodziła po lesie i gdy ściągnęła kaptur, okazywało się, że nie ma głowy. Ale to wszystko były bujdy, których z pokolenia na pokolenie robiło się coraz więcej, bo każdy dokładał coś od siebie.

- A ta chata Wirdały?! - Tytus prawie krzyknął. Nie był tak zainteresowany czymkolwiek od bardzo, bardzo dawna.

- Ten nieszczęsny Wirdała - babcia mówiła coraz spokojniej, wyglądała teraz na bardziej zrelaksowaną, jakby relacja zaczęła jej sprawiać przyjemność. - Więc to było tak. Rodzina Wirdałów mieszkała w Kolonii Głuszyce przed wojną. Byli Prusakami. Wirdałowie mieli podobno cztery córki i jak Ruscy do Kolonii weszli, to na oczach starej Wirdałowej robili z nimi rzeczy, o których ja tutaj nie chcę opowiadać. Mawiają, że stary Wirdała schował się w szopie, a potem uciekł do lasu i włóczył się po nim trzy tygodnie. I jak się wszystko skończyło, wrócił do chałupy, pogrzebał córki i żonę na podwórku i tam został już do samiotkwej śmierci. Ci Ukraińcy, co się wprowadzili i zwiali, zaczęli o nim gadać, że jak chodził po lesie przez te trzy tygodnie, to spotkał samego diabła, ludzką krew pił, dlatego przeżył. Że jest szalony, dziecko ze wsi porwał i zjadł, a mały się po prostu w bagnie utopił i to było wiadomo, bo go parę lat później znaleźli, i że wchodzi z demonami w pakty, że po nocy z diabłem rozmawia. I Wirdała mieszkał tam sam jeszcze wiele lat. Ludzie o nim przeróżne rzeczy gadali, na przykład że ciała ludzkie trzyma w piwnicy i je wędzi... No, Jezus Maria, głupoty straszne. A on rzeczywiście był szalony, tylko że mu całą rodzinę na jego oczach wymordowali. We wsi nie mógł się pokazać za dnia, boby go zlinczowali, to w nocy podkładał się na pola i a to ziemniaki ukradł, a to kureę, bo musiał coś jeść, jak każdy człowiek. Nikt nie wie, kiedy umarł naprawdę. Ludzie dostrzegli tylko, że przestały im ginąć warzywa na polach i jajka. Może być tak, że rzeczywiście w końcu mu coś zrobili i nikt się potem nie przyznał. Wtedy zaginął też syn tej nauczycielki, Waleziakowej. Michał chyba miał na imię. Ale też pewnie polazł na bagna i się utopił.

Babcia odetchnęła i Tytus nie miał pewności, czy zrobiła to z ulgą, czy raczej świadomością, że coś już zostało nieodwołalnie powiedziane. Tytus cały zamienił się w słuch. I gdy odwrócił się w kierunku pani Olgi, zobaczył, że ona również.

- W każdym razie zdarzały się tam zaginięcia - ciągnęła babcia - ale to po prostu ludzie topili się na bagnach. Jak mówiłam, to wielki, podmokły teren. Ja mieszkam tu tyle czasu, a nigdy nie widziałam ani diabła, ani demona, ani strzygi, nic z tych rzeczy, i zawsze jak ludzie o tym gadają, wrzeszczę na nich, żeby przestali głupoty pleść. Ale oni uwielbiają tutaj pleść głupoty. Tak jak o Koraczu, facet ma forsę jak lodu, rzadko wychodzi z domu, więc cała wieś szepce po kątach, że majątek ma z mafii, złodziejstwa, a niektórzy też twierdzą, że w swojej posiadłości czci diabła i ma dwadzieścia tartaków, bo podpisał z nim cyrograf. Ale kocham to miejsce - dodała babcia - kochałabym je jednak bardziej, gdyby ludzie czasami nie byli tacy tępi.

„Żadna legenda nie bierze się z próżni” - pomyślał jeszcze raz Tytus. Jego mózg pracował na najwyższych obrotach. Z jednej strony wiedział, że ludzie uwielbiają fabrykować przeróżne nadnaturalne historie. Ale z drugiej strony był również przekonany, iż czasami są one prawdziwe. Przypomniał sobie jeszcze jedno powiedzenie Błyska: „Ludziom łatwiej jest myśleć, że żyją otoczeni zabobonem niż rzeczywistością, nadnaturalnym złem” - i poczuł, że po raz pierwszy znalazł się blisko spraw, których szukał od czasu, gdy po raz pierwszy obejrzał w telewizji odcinek programu *Tajemna Strona*.

- A ci ludzie z Warszawy, którzy ostatnio tutaj zaginęli? - zapytał i poczuł, że na jego pytanie pani Olga aż podskoczyła na krześle, jednak wyraz jej twarzy nie zmienił się ani na ułamek sekundy. Tytus zastanowił się, czy ona na pewno jest etnologiem.

- Jacy ludzie z Warszawy? - zapytała babcia.

- Są tacy ludzie, babciu, którzy jeżdżą po Polsce w poszukiwaniu opustoszałych miast i wiosek. Nazywają takie miejscowości miastami widmami. Chcieli tutaj zbadać Kolonię Głuszyce i ślad po nich zaginął. Dowiedziałem się tego na forum internetowym. Ostatnie, co wysłali, to zdjęcie, które przedstawia dużo większe, ukryte w lesie miasto. Zdjęcie jest niewyraźne, ale widać na nim budynki. To stąd tak naprawdę dowiedziałem się o Kolonii. Nie z drogowskazu. To znaczy drogowskaz był potem. Zauważyłem go i wtedy zapytałem tatę...

- To już jakieś kompletne banialuki! - babcia przerwała tę kanonadę informacji. - Owszem, byli tu tacy, którzy mówili, żeby ich zabrać do Kolonii. Świry jakieś. Pojechali, nic tam nie znaleźli i pewnie wrócili do domu, po drodze zrobili gdzieś jakieś zdjęcie, w Szczytnie chociażby, a potem publikują takie bujdy w internecie, aby ludzie tacy jak ty, Tytuńciu, z wielką wyobraźnią, w nie wierzyli. Sama czasami wchodzę w ten internet i widzę, że tam nie ma ani ziarnka prawdy. Gorzej niż w telewizji.

- Ja też nic o tym nie słyszałam. Ale różne rzeczy przedostają się do sieci, również miejscowe bajki. To fascynujące, co pani opowiada, pani Marylo. Wiadomo, że to wszystko zabobon i bujdy, ale mnie ciekawi, że jest tego aż tyle tutaj, w Głuszycach. Zjeździłam już kilka wsi na Warmii i Mazurach i nigdzie nie spotkałam się aż z takim natężeniem dziwnych historii - dodała pani Olga. Ciasto przed nią leżało nieruszone. Tytus z minuty na minutę był coraz bardziej pewien, że ta kobieta kłamie.

- Ludzie są tylko ludźmi. - Babcia wzruszyła ramionami i popatrzyła na Tytusa. - Tytuńciu, jeszcze raz powtórzę, niech cię ręka boska broni, aby tam pojechać. W Kolonii nie ma upiorów, wampirów ani diabłów. Nie ma również drogi, są bagna, uskoki i dzikie zwierzęta i łatwo jest zabłądzić. Nawet sobie nie poradzisz z rozbiem namiotu, dziecko. Ja bym tu umarła ze strachu o ciebie.

Po czym babcia wstała z krzesła i wyciągnęła coś z szuflady.

- Tyle cię goniliśmy do roboty - powiedziała, wręczając Tytusowi i Oldze po małej książeczce - a trzeba gdzieś pojechać na wycieczkę. Wokół jest wiele fajnych miejsc, daję wam mały kolorowy przewodnik po okolicy, który wydrukowaliśmy dla turystów razem z wójtem. Zobaczcie na przykład Jezioro Łuczyckie. Możemy jutro się tam wybrać, a nawet zostać na noc, bo nasz znajomy ma tam przystań...

- Wiem, wiem, dziadek mi o tym mówił. - Tytus nie myślał już o wycieczce z babcią nad jakiegokolwiek okoliczne jezioro. Fakt, wiedział, że nie potrafi rozbić namiotu po ciemku, poruszać się po lesie bez błędzenia, oceniać kierunku po położeniu słońca na niebie. Ale znał kogoś, kto najprawdopodobniej poradzi sobie z tym dużo lepiej od niego.

- Pojedziemy z Waszczukami. To znaczy również z Anią. - Babcia się uśmiechnęła, jednocześnie wygrażając mu łyżeczką, puszczając do niego oko i zbierając ze stołu filiżanki po herbacie.

- Może być i z Anią - odparł Tytus.

Wiedział, że z ekscytacji jego twarz stała się bardzo czerwona. I cieszył się, że przy całej swojej przenikliwości babcia Maryla wzięła to po prostu za wstyd.

* * *

- Więc, podsumowując... - Tytus odwinął z folii jedną z dwudziestu schowanych do reklamówki kanapek, które zrobiła im babcia Maryla. - Kolonia Głuszyce to opuszczona wioska, z której, według forów internetowych, nie wróciło dwóch poszukiwaczy miast widm. Zdążyli jednak wysłać MMS-em zdjęcie, które przedstawia dużo większe zabudowania, niż wskazywałoby to, co

wszyscy mówią o tej miejscowości. Poza tym o Kolonii Głuszyce, a zwłaszcza o znajdującym się tam domu Wirdały, miejscowi opowiadają sobie mnóstwo przeróżnych legend już od kilkudziesięciu lat. Do tego leśniczy Pucel zaginął w lesie. Ktoś słyszał dziwne krzyki właśnie w okolicy Kolonii Głuszyce...

- Mógłbyś zacząć wiosłować? - Anka odwróciła się w jego kierunku z wyraźnym poirytowaniem. - To wszystko, co opowiadasz, jest superzajebięciemegaciekawe, ale ja tutaj zasuwam za nas oboje i prawdę mówiąc, nie za bardzo mi się to podoba.

Tytus odłożył kanpkę z razowego chleba domowej roboty, zamilkł i posłusznie zaczął machać wiosłami.

- Za chwilę odwiozą mnie do psychiatryka. - Anka odwróciła się jeszcze raz. - Czy mógłbyś regularnie wkładać raz lewy, raz prawy koniec wiosła do wody, mocno się odpychać i w ten sposób posuwać kajak do przodu, a nie tylko co jakiś czas zamaczać wiosło?

Tytus posmutniał. Początkowo mała wycieczka kajakiem po jeziorze wydawała mu się superpomysłem - wreszcie mógł poprzebywać z Anką sam na sam, bez wścibskiego wzroku i gadania pani Waszczuk oraz przypominających kamery w supermarkecie spojrzeń babci Maryli. Od południa, gdy tylko przyjechali nad Jezioro Łuczyckie, obie krążyły wokół nich niczym dwa patrolowe samochody policyjne, bez przerwy angażując ich w jakieś irytujące czynności, jak zbieranie jagód, obserwowanie bocianich gniazd czy wycieczki do sklepu po kielbasę na grilla. W końcu, gdy babcia, dziadek i Waszczukowie zaczęli gościć się razem z właścicielami przystani, panem i panią Rapciuchami, przy postawionym niedaleko plaży stole, Anka rzuciła pomysł, że popływa razem z Tytusem kajakiem. Pani Waszczuk oczywiście nie chciała o tym słyszeć - dopiero interwencja babci Maryli i przyniesione przez pana Rapciucha „nowe i wyjątkowo bezpieczne kapoki” zmieniły jej nastawienie. Nie obyło się bez wspomnianych dwudziestu kanapek na drogę i kazania na dwa głosy poświęconego zasadom bezpieczeństwa podczas pływania kajakiem.

Rzecz jasna z „przebywaniem sam na sam” nie chodziło do końca o jakąś próbę fizycznego kontaktu ani o to, że Anka z godziny na godzinę podobała mu się coraz bardziej - Tytus starał się odganiać od siebie te myśli za każdym razem z prostego powodu. Było oczywiste, że w ogóle nie jest w typie Anki, która na pewno mogła znaleźć sobie ciekawszego chłopaka niż drętowego wielbiciela gier i horrorów. Dlatego właśnie wiedział, że jakakolwiek niezdarna próba romantyzmu w jego wydaniu sprawi, że straci jedyną osobę na tych wakacjach, która jest w jego wieku i z którą można o czymkolwiek porozmawiać. W tym momencie był tego bardzo bliski - przed wycieczką zataił przed wszystkimi fakt, że wsiada do kajaka pierwszy raz w życiu.

- Nie poznałam w życiu większego gamonia - powiedziała Anka już trochę spokojniej. - Gdybym miała takiego chłopaka jak ty, chyba bym skończyła w psychiatryku.

Tytus posmutniał jeszcze bardziej, ale postanowił dać z siebie wszystko, wiosłować jak najregularniej i jak najmocniej.

- O, jednak potrafisz. - Anka uśmiechnęła się z przekąsem. - Niestety, trochę za późno. Chciałabym się zatrzymać przy tym pomoście.

Podpłynęli do zdewastowanej, podziurawionej kładki, na pierwszy rzut oka używanej dawno, dawno temu. Takich pomostów od czasu wypłynięcia minęli już kilka. Jezioro Łuczyckie wyglądało na ogromne i prawie zupełnie dziewicze, jak cała tutejsza przyroda. Tytus był absolutnie zachwycony okolicą. Słońce zaczynało już chylić się ku zachodowi. Chociaż do zmroku zostały jeszcze dwie godziny, niebo powoli nasycalo się różową barwą. Pokryte liśćmi i nenufarami jezioro było zupełnie spokojne, na niebie nie widzieli ani jednej chmury, na dzikich, zarośniętych, mijanych co rusz małych plażach nie widzieli ani jednego człowieka. Z daleka słyszeli odgłosy pękających gałęzi, nawołujących się ptaków, rechoczących żab. Wszystkie te dźwięki niesły się po wodzie, aby

rozplynać się w powietrzu, zostawiając tylko odrealnione echo. Tytus, stojąc już na pomoście, wciągnął głęboko nosem powietrze i pomyślał, że nawet jeśli wszystkie opowiadane o Kolonii Głuszyce historie nie są prawdą, w tej okolicy musi cziąć się coś dziwnego, innego, magicznego. Różne legendy i przerażające opowieści po prostu muszą krążyć w tym czystym, pachnącym mokrymi liśćmi powietrzu.

- Chcesz piwo? - zapytała Anka, zapalając papierosa.

Tytus kiwnął głową.

- Tylko nie pokalecz się przy otwieraniu - powiedziała, podając mu puszkę.

- Chyba zaraz musimy wracać - stwierdził Tytus. Przypomniał mu o tym głośny, niosący się po jeziorze śmiech, który bez wątpienia należał do jego babci.

- O Jezu, jak chcesz, to wracaj. - Anka wypuściła szereg kólek z dymu. - Ale raczej wplaw. Kajak biorę ja. Ty i tak nie umiesz się nim posługiwać.

Tytus usiadł przy Ance, starając się zachować bezpieczną odległość.

- I co z tą Kolonią Głuszyce? - zapytał, patrząc przed siebie.

- Jak to co? No, średnio mi się chce wierzyć w takie bzdury. W każdej wiosce są jakieś opowieści tego typu. Pamiętam, gdy pojechałam kiedyś na obóz konny...

- Jeździsz konno? - zapytał Tytus i zaraz sobie przypomniał, że przecież Waszczukowie mieszkają blisko stadniny. Czasami nienawidził swojego roztargnienia, krótkiej pamięci i wynikających z niej głupich pytań.

- Nasza działka jest blisko stadniny, więc trudno, abym nie jeździła. - Anka na szczęście nie miała mu pytania za złe. - I oczywiście jednym ze znakomitych pomysłów mojej skretyniałej starej na ukaranie mnie za wybryki jest zupełny zakaz jeżdżenia konno, do odwołania. W każdym razie byłam kiedyś na obozie jeździeckim we wsi niedaleko stąd. Stał tam stary, kompletnie rozwalony młyn. Jakaś miejscowa baba opowiedziała nam, że przed wojną powiesił się w nim właściciel i od tamtej pory straszy tam duch wisielca. Na to Yeti, mój kumpel, zajebisty gość, dostał się właśnie na ASP...

- Masz takich starszych kumpli? - Tytus oczywiście nie łudził się, że mógłby być chociaż trochę w typie Anki, ale nawet gdyby tak było, w tym momencie wszystkie nadzieje znikłyby z głośnym hukiem.

- Starszych tylko metrykalnie, bo Yeti to kompletny debil. No i tam było parę takich lasek z jakiegoś katolickiego liceum, które sikały w gacie, jak widziały pająka, a że chcieliśmy im zrobić kawał, poszliśmy wieczorem do tego młyna. No i chodzimy tam, opowiadam im tę historię o duchu wisielca, a tu nagle zza ściany wypada Yeti, wymazany kredą, z zawieszonym na szyi sznurem... jak one spieprzały!

Anka zanosła się histerycznym śmiechem. Gdy przypadkiem lekko oparła głowę o ramię Tytusa, ten poczuł, jakby na chwilę ktoś podłączył mu kręgosłup do wysokiego napięcia.

- Ojej, to było zabawne. - Anka ocierała łzy z twarzy. - W każdym razie nie chce mi się wierzyć w to, co opowiadasz. Nie ma duchów ani nawiedzonych wsi. Takie rzeczy nie istnieją. Chociaż szkoda tego Wirdały. To przypomina mi historię z książki *Malowany ptak*. Czytałeś?

Tytus pokręcił głową i przełknął ślinę. To, co chciał za chwilę powiedzieć, było dla niego oczywiste, od momentu gdy babcia, zmuszona przez panią Olgę, opowiedziała mu legendę starego Wirdały i historię Kolonii Głuszyce. Jednak teraz, gdy w końcu miał zaproponować Ance współudział w czymś, co planował od chwili, gdy w nocy przed wyjazdem do Głuszyce wszedł na forum internetowe *Tajemnej Strony*, poczuł, że aparat mowy odmawia mu posłuszeństwa, jakby ktoś napuścił mu do gardła kleju przemysłowego. Patrzył na Ankę, która zdjęła buty, rozwiązała kapok, podwinęła koszulkę i położyła się na pomoście tak, jakby miała się opalać. Podejrzewał, że

nie będzie chciała pojechać na rowerze do położonej na bagnach opuszczonej wioski z kimś, kto nawet nie umie wiosłować i się bić. To zupełnie wykluczone.

Jednak to, co powiedziała, sprawiło, że wszystkie jego dotychczasowe rozważania w ułamku sekundy wyparowały jak skasowany plik.

- Całowałeś się kiedyś z dziewczyną? - Anka popatrzyła na niego jak przesłuchujący policjant.

Dla Tytusa to pytanie było jak nagłe uderzenie cegłą w głowę. Z wrażenia wypuścił piwo - zanim złapał je roztrzęsionymi rękami, prawie połowa zdążyła wylać się do jeziora.

- Nie... nie rozumiem pytania - wyjąkał.

- Czego nie rozumiesz? Całowałeś się kiedyś z dziewczyną? Z języczkiem? Bo założę się, że nie.

Tytus zamilkł. Oczywiście nie całował się nigdy z dziewczyną z języczkiem, nie mówiąc już o czymś więcej, czym przechwalali się wracający z wakacji Pitoń i Grubson, którzy głośno i z chęcią analizowali na przerwach rozmiary biustów swoich koleżanek.

- Nie całowałeś się. - Anka wrzuciła niedopałek do jeziora przez szparę między deskami. - Tak jak mi się wydawało. Zauważyłam, że gdy zaczynasz gadać z dziewczyną, robisz się zupełnie nieśmiały. A jesteś całkiem przystojnym chłopakiem. Gdybyś tylko zdjął okulary, przyszyrzył te włosy i nie ubierał się jak komputerowiec w czarne koszulki wyciągnięte psu z gardła i bojówki z Armii Zbawienia...

To mówiąc, zdjęła Tytusowi z nosa okulary. Gdy to robiła, jego kręgosłup był już na stałe podłączony do wysokiego napięcia. Nie mógł się ruszyć - czuł się tak samo jak wczoraj, kiedy do Anki podbiegł ten chłopak. Na jego mięśnie ktoś nałożył blokadę, niczym na koła zaparkowanego w złym miejscu samochodu. Podejrzał, że czerwień na jego twarzy powoli zamienia się w czerń. Zastanawiał się, dlaczego dziewczyna jeszcze nie zapytała, czy wszystko z nim w porządku.

- Wszystko z tobą w porządku? - Anka nachyliła się w jego kierunku i potargała mu włosy, po czym zupełnie znieacka przycisnęła dłońmi jego twarz do swojej, przywarła ustami do jego ust i bezceremonialnie włożyła do nich język. Smakował trochę piwem, trochę kanapkami, trochę bardziej papierosami, ale przede wszystkim czymś nieokreślenie słodkim i waniliowym, czymś, co sprawiało, że przepływające przez kręgosłup napięcie smażyło Tytusowi już cały żołądek.

Nie wiedział, ile czasu trwał pocałunek. Pewnie chwilę, ale w jego odczuciu chwila rozděła się do dobrych kilku godzin. Starał się robić językiem te same rzeczy co Anka, ale ta odsunęła się od niego i powiedziała:

- Ciamajdo, nie o to chodzi, abyś szorował mi językiem dżiąsła. Powoli, rób to samo co ja.

Za drugim razem Tytusowi wydawało się, że idzie mu lepiej, poza tym że trącił ręką piwo, które tym razem wylało się do jeziora już w całości. Gdy skończyli, Anka otarła usta, zapaliła papierosa i powiedziała:

- Widzisz, teraz już nie będziesz się czerwienić przy kumplach, którzy opowiadają, z iloma to laskami się przelizali. - Uśmiechnęła się, po czym dodała, podnosząc palec, jakby zgłaszała jakiś aneks do podpisywanej właśnie umowy. - To nie tak, że będę teraz twoją dziewczyną czy coś. Znam cię dopiero trzy dni. Lubię cię, więc zrobiłam ci przysługę, chociaż zanim dopłyniemy z powrotem, może się to zupełnie zmienić.

- Chcesz pojechać ze mną na cały dzień rowerami do Kolonii Głuszyce i sprawdzić, czy rzeczywiście nie ma tam żadnych duchów? - Zadanie tego pytania nagle stało się fantastycznie łatwe. Zresztą Tytus czuł się, jakby każda rzecz na tym świecie była teraz niesamowicie prosta. Teraz nawet sam mógł dopłynąć tym kajakiem nad Bałtyk i w ogóle się przy tym nie zmęczyć. Po raz pierwszy w życiu czuł się jak facet.

- Trzeba by coś wkręcić mojej matce - powiedziała Anka.

- I mojej babci - dodał Tytus. - Ona z góry, zanim powiedziała o tych wszystkich historiach, zabroniła mi tam jechać.

- Więc tym bardziej trzeba to zrobić. - Anka się uśmiechnęła, a Tytus uświadomił sobie, że nie ma już powodu zaprzeczać, iż zupełnie, ale to zupełnie się zakochał.

* * *

- No, tego się nie spodziewałam - powiedziała Anka, gdy dopłynęli do przystani.

Było już prawie ciemno, ale i tak droga z powrotem zajęła im dwa razy mniej czasu niż dopłynięcie do pomostu. Tytus wiosłował równo i energicznie, momentami robił to nawet sam. Teraz, gdy wysiadali z kajaka i wyplątywali się z „nowoczesnych, wyjątkowo bezpiecznych kapoków”, doszedł do wniosku, że jego efektywność wynikała z tego, iż w ogóle nie myślał o wykonywanej czynności. Jego myśli krążyły wokół wyprawy do Kolonii Głuszyce, a konkretniej leżenia na kocu na łące pośród opuszczonych domów, popijania piwa, jedzenia kanapek, a przede wszystkim dalszego ciągu tego, co zupełnie zniecka stało się przed chwilą na pomoście. Owszem, zaludniająca opustoszałą wieś potwory i stary Wirdała również występowali w tej wizji, ale teraz raczej na trzecim planie, jedynie przypatrując się ich piknikowi spomiędzy drzew. Tytusowi nagle przypomniała się deklaracja Anki, że nie zostanie jego dziewczyną, ale jednocześnie zadawał sobie pytanie, jak można całować się z kimś i nie zacząć z nim potem chodzić?

- Widzę, że dodałam ci skrzydeł. - Dziewczyna uśmiechnęła się, a dostrzegając nadciągającą panią Waszczuk, szybko schowała papierosy do ukrytej kieszeni i wpakowała sobie do ust kilka gum do żucia naraz.

- Anka! Czemu nie odbierasz komórki? Mielicie być godzinę temu! - Pani Waszczuk bez skrępowania krzyczała na córkę, ale ona zupełnie nic sobie z tego nie robiła. Rzuciła kapok do kajaka, schowała opróżnioną puszkę po piwie w dziobie i żując gumę, odparła najspokojniej na świecie:

- Na jeziorze nie ma zasięgu.

Pani Waszczuk wykrzykiwała jeszcze coś pod adresem córki, ale ta minęła ją jak powietrze. Tytus próbował załagodzić sytuację, uśmiechając się do pani Waszczuk z zakłopotaniem, jednak gdy napotkał jej piorunujące spojrzenie, szybko odwrócił wzrok.

Dziadkowie - dziadek odrobinę podchmielony, babcia dziarska i uśmiechnięta jak zwykle - pakowali się już do kilkunastoletniego, ciemnozielonego auta. Ponieważ starszyzna była nadal zaangażowana w krążącą wokół motoryzacji rozmowę („Kup sobie nowy samochód, Zbyszek” - mówił pan Waszczuk; „To volvo przeżyje jeszcze dwa twoje następne” - odpowiadał dziadek), Tytus odciągnął Ankę na chwilę na bok.

- Więc kiedy ruszamy? - zapytał. - Mam kompas, scyzoryk...

- Dobra, dobra. - Anka się zaśmiała. - Po prostu potrzebujemy mapy. To piętnaście kilometrów, przejedziemy tyle w godzinę. Powiem mamie, że idę do ciebie na cały dzień, pomóc twojej babci. Ty powiesz babci, że chcesz jechać do Butlewic, zobaczyć skansen. Tam jest bardzo ładna trasa rowerowa, więc będziesz miał argument, gdyby uparła się, żeby wieźć nas tam samochodem.

- Jesteś genialnym strategiem. - Tytus się rozpromienił.

Pani Waszczuk wołała już Ankę do samochodu gestem bezlitosnego więziennego strażnika. Z minuty na minutę Tytus coraz bardziej nienawidził tej kobiety.

- To kiedy jedziemy? - zapytał szeptem.

- Jak to kiedy? Jutro. - Anka wzruszyła ramionami, po czym dodała, wsiadając do

samochodu: - Nie mogę doczekać się spotkania z tym szalonym Wirdałą czy jak mu tam. Musisz tylko skombinować dla mnie rower.

Całą drogę do domu babci Tytus był zasypywany gradem pytań na temat wycieczki kajakowej. Odpowiadał jednak pojedynczymi, krótkimi zdaniem, wbijając wzrok w szybę.

- Było przyjemnie - powtarzał jak katarynka, aż babcia w końcu przestała trajkotać i tylko spojrzała na niego dziwnym wzrokiem, tym w rodzaju: „no dobrze, wszystko rozumiem, jesteś prawie dorosły i przepraszam, że się wtrącam”.

Tytus wykorzystał moment i dodał:

- Chcielibyśmy jechać jutro z Anką do skansenu. Do, do... Butlic.

- Butlewic - poprawiła go babcia. - To bardzo piękne miejsce, naprawdę, moim zdaniem najładniejszy skansen w województwie. Zawiozę was samochodem.

- Tam jest bardzo ładna trasa rowerowa. - Dziadek niespodziewanie przyszedł Tytusowi z pomocą. - Poza tym widzisz, że lubią spędzać czas sami. - Zamilkł na chwilę, po czym zwrócił się do Tytusa: - Dam ci jutro rower, Ance też, jeśli nie ma własnego, ale pojutrze jest robota w sadzie i wydaje mi się, że zajmie się nią niejaki Tytus Grójecki.

Babcia zatrzymała samochód pod domem. Tytus uśmiechnął się i przeciągnął. Nagle zdał sobie sprawę z prostego faktu - czasami wszystko okazuje się zupełnie inne, niż się tego spodziewamy. Pobyt w Głuszycach powoli zamieniał się w najlepsze wakacje, jakie Tytus miał.

Gdy wchodził do domu, kajakowy wyczyn powoli zaczął dawać mu się we znaki, mięśnie w rękach go pobolewały i wiedział, że to dopiero przedsmak zakwasów. Cieszył się, że jutro będzie używał głównie nóg. Doczłapał do łazienki, wziął szybki prysznic, a potem powlókł się do pokoju. Czuł się jednocześnie szczęśliwy i zmęczony - zmęczony na tyle, aby nie ekscytować się za bardzo jutrzejszą wyprawą, a po prostu zamknąć oczy i zasnąć.

Prawie usypiał, gdy nagle dobiegł go zza ściany mocny, wyraźny głos. Rozpoznał panią Olę. Tytus ocknął się i usiadł na łóżku. W głosie nie było już sztucznej uprzejmości. Brzmiał teraz chłodno, mechanicznie i zimno, jakby należał do czarnego charakteru z filmu sensacyjnego. Tytus przystawił ucho do ściany. Pani Olga rozmawiała z kimś przez telefon. Słyszał kolejne zdania wygłaszane z emocjonalnością automatycznej sekretarki.

„Więc to tutaj. Kiedy mogę się ciebie spodziewać? Za pięć dni, dobrze. Odwiedzę tego młodego człowieka. Tak, dowiem się, gdzie poznał tych ludzi i skąd naprawdę ma te zdjęcia”, „Jeśli rzeczywiście ktoś tu przyjechał to sprawdzić, to na pewno się nie wydostał. No właśnie, szefie. Gdyby się wydostał, wróciłby i o tym opowiedział... tak, cała Polska”, „Nie, nie znaleźli tego leśniczego. Sama nie wiem, czy to ma związek”, „Miejscowi opowiadają to wszystko, czego się dowiedzieliśmy wcześniej. Oczywiście, sami do końca nie wiedzą, co się dzieje. Uważają, że to zabobony. Tak, ufają mi. Mówię, że piszę doktorat. W każdym razie jestem zupełnie pewna, że to tutaj. Pozostałe miejscowości w ogóle nie wchodzi w grę”, „Szczerze mówiąc, nie. Nie wiem, czy są tutaj ludzcy strażnicy. Nie napotkałam nikogo, kto mógłby nim być, kto chociaż odrobinę by się zdradził”, „Wiem, wiem, że trzeba działać szybko. Wiem. Za pięć dni. Do widzenia, szefie”.

Tytus zerwał się z łóżka. Usłyszał, jak pani Olga wychodzi z pokoju i idzie w kierunku łazienki. Szybko włożył spodnie i nasłuchiwał dalej. Ciche plaskanie bosych stóp o drewniany parkiet kierowało się w stronę łazienki. Tytus najciszej, jak mógł, otworzył drzwi od swojego pokoju. Te do łazienki się zamknęły. Po paru sekundach woda popłynęła z prysznica. Kierowany nie do końca wytłumaczalnym impulsem, przekradł się w kierunku pokoju pani Olgi. Przelknął ślinę. Intuicja go nie zawiodła. Od początku był pewien, że z tym okropnym, ubranym w garsonkę babszylem coś jest bardzo, bardzo nie w porządku. Jej udawana uprzejmość, kłamstwa związane z doktoratem, nieudolnie maskowana i niezdrowa ciekawość. Owszem, Tytus również chciał

wiedzieć, o co tak naprawdę chodzi z Kolonią Głuszyce. Ale był pewien, że Olga (czy tak naprawdę miała na imię? Tytus śmiał wątpić) stoi po przeciwnej stronie.

Prysznic cały czas działał. Tytus delikatnie pchnął drzwi do pokoju Olgi. Były otwarte. Wygląd wnętrza bynajmniej nie zgadzał się z tym, co opowiadała babcia. Łóżko było pokryte bezładnie rozrzuconymi ubraniami, książkami i papierami. Tak samo podłoga. Wśród dokumentów, tomów o legendach słowiańskich, wydruków i upstrzonych notatkami kartek Tytus rozpoznał dokładną wojskową mapę okolic Głuszyce oraz starą książkę, którą znalazł w internecie, szukając informacji o Kolonii: *Głuszycy las i jego tajemnice*. Wziął ją do ręki i zaczął kartkować. Jeden rozdział nosił tytuł: *Znikające miasto*. Tytus zaczął czytać:

„Jedną z wielu krążących po rejonie Głuszyce opowieści jest legenda o tajemniczym znikającym mieście, pojawiającym się w głuszyckim lesie. Istnieje kilka świadectw z okolicznych gmin. Raz znikające miasto podobno widziano nawet sto kilkadziesiąt kilometrów stąd, w okolicach Rucianego-Nidy. Jest to jednak najsłabiej rozpowszechniona legenda, mająca swoją genezę w czasach końca II wojny światowej, gdy żołnierze jednego z radzieckich patroli zaczęli opowiadać, że chodząc po lesie i szukając Niemców, natknęli się na opustoszałe miasto...”

Tytus nagle rzucił okiem na ekran laptopa. Zamknął książkę i odłożył ją na miejsce. Na ekranie zobaczył zdjęcia, ewidentnie z tej samej serii, z której pochodziło to na forum *Tajemnej Strony*. Fotografii było kilka, tak samo jak poprzednie niewyraźnych, ale Tytus widział na nich miasto - fragmenty kamienic, rynek, plac. Po chwili się zorientował, że były tak wyczekiwany przez niego kolejnym wpisem w wątku „Nowe widmo!!!”. Upublicznił je ten sam użytkownik, JohnCarpenter1999. Widniał pod nimi podpis: „Jeszcze więcej zdjęć z Kolonii Głuszyce. Dalej zero odzewu od moich znajomych. Ktoś chętny na wyprawę?”

I wtedy usłyszał trzy plaśnięcia mokrych stóp pod drzwiami. Szybko schował się za zasłonę. Do pokoju weszła przewiązana ręcznikiem Olga. Serce Tytusa biło tak, że myślał, iż zaraz rozerwie mu klatkę piersiową. Kobieta otworzyła walizkę i zaczęła ją gwałtownie przeszukiwać. Tytus chciał przełknąć ślinę, ale bał się, że go to zdradzi. Po kilkadziesiąciu najdłuższych sekundach w jego życiu wyjęła coś z walizki i wyszła z pokoju. Tytus w końcu przełknął ślinę. Jak najszybciej i najciszej wykradł się zza zasłony i pobiegł do swojego pokoju. Zmęczenie prysnęło jak bańka mydlana. Wiedział, że musi ruszyć do Kolonii Głuszyce jak najszybciej, i wiedział też, że uda się tam zupełnie niewyspany.

5. Kolonia Głuszyce

W kościele nie było nikogo.

Strzępowaty wciągnął nosem powietrze. Czuł zapachy, które lubił. Butwiejące drewno. Zapach starego ciała. Dusząca woń kadzideł. Zastanawiał się, dlaczego tak pachnące miejsca łączą się w głowach ludzi z wybaczeniem i dobrem.

- Ci ludzie - powiedział, zanurzając palec w wodzie święconej. Potem go oblizał. Woda była słona i stara. Zamlaskał. - Pełni sprzeczności, próbują wszystko uporządkować, ale cokolwiek robią, jest w tym tylko i wyłącznie sprzeczność, sprzeczność - mamrotał, drepcząc boso po posadzce kościoła. Strzępowaty nie widział sensu w noszeniu butów. Wiedział, że zwraca tym na siebie uwagę ludzi, ale buty odbierały przecież tyle przyjemności wynikającej z kontaktu skóry z zimnymi, ostrymi kamieniami, potłuczonym szkłem, żarem z ogniska.

W kościele nie było nikogo. Pozornie. Ten budynek mieścił w sobie zbyt potężną moc, aby być zupełnie pustym. Ktoś musiał pilnować tego, co w nim jest, nawet nie do końca świadomy, czym tak naprawdę się opiekuje. Strzępowaty przejechał pazurem po drewnianej ławie, pozostawiając w drewnie głęboką bruzdę.

„Kościoły mają tylko odwracać uwagę” - pomyślał. Wysokie, strzeliste, górujące nad miastami budynki, małe rączki, które próbują dosięgnąć mieszkającego w niebie Boga niczym kociak twarzy swojego pana. Ludzie są prości. Patrzą na to, co ogromne, co zawęża im pole widzenia. Nawet nie przyjdzie im do głowy, że to, co wielkie, ma jedynie przysłonić coś dużo, dużo starszego i choć mniejszego, to o wiele potężniejszego. Coś, do czego nie mają żadnego prawa.

Z zakrystii wyszedł ksiądz, młody, krótko ostrzyżony, w okularach. „Jest miękki jak bułka” - pomyślał Strzępowaty, człapiąc w kierunku ołtarza. Ołtarz pokryto złotem bardzo dawno temu. Teraz odłaziło z centralnej części grubymi płatami, odsłaniając pod spodem stare drewno.

Ksiądz spojrzał na Strzępowatego, ale zaraz zaczął przeglądać rozłożoną na podpórce opasłą książkę.

- Pokaż mi Lustro - zażądał Strzępowaty.

Ksiądz popatrzył na niego, jakby nie wiedział, o czym mowa. Po chwili jednak zrozumiał, uśmiechnął się i powiedział:

- Szczęść Boże. Zwiedzać można w piątki i soboty rano. Teraz sala muzealna jest zamknięta.

- Lustro. Pokaż mi Lustro. - Strzępowaty powtórzył rozkaz. Zaczynał się irytować.

Trzymając dłoń za plecami, przejechał jednym pazurem po drugim. Dźwięk przypominał rysowanie gwoździem po szkle.

Ksiądz wyraźnie się przestraszył, ale dalej traktował Strzępowatego jak człowieka, czyli istotę, którą można do czegoś przekonać. Strzępowaty zaczynał czuć się bardzo obrażony. Ksiądz zszedł z ołtarza i podszedł do niego.

- Jeśli panu tak bardzo zależy, inne lustro Twardowskiego znajduje się w muzeum w Pilicy. - Ksiądz zdjął okulary i je przetarł. Nie patrzył na Strzępowatego. Coś mówiło mu, żeby tego nie robić.

Strzępowaty westchnął. Niby łączył pracę z przyjemnością, czego nie można było powiedzieć o żadnym *Homo sapiens*, ale zaczynał już popadać w rutynę. „Za każdym razem to samo, to samo i to samo” - westchnął. Szyja księdza rzeczywiście okazała się miękka i biała jak bułka. Pazury wniknęły w nią jak w masło, rozszarpując krtań i tętnicę i wrywając z niej mięsiste kawałki ciała. Krew rozprysnęła się po podłodze kościoła. Strzępowaty oblizał pazury. Pochylił się nad ciałem.

- Gdyby nie obowiązki, z przyjemnością zjadłbym ci to tłuste serce.

- Smacznego, bo Lustra tutaj nie ma - powiedział głos.

Strzępowaty wstał i warknął. Tego nie było w planie... Nie, nie, coś jest poza kontrolą. Nie uwzględnił, że jakaś ludzka istota odezwie się do niego z taką odwagą, świadoma, czym Strzępowaty naprawdę jest. Nie wziął pod uwagę, że ktoś go będzie próbował wprowadzić w błąd, zdenerwować i zdoła zająć go od tyłu.

Strzępowaty syknął i jednym susem doskoczył do mężczyzny, który stanął w połowie drogi między ołtarzem a wejściem. Syknął raz jeszcze i otworzył usta, pokazując wszystkie prawdziwe zęby i prawdziwy język. Przemówił prawdziwym głosem tak donośnie, aby przerazić tego okropnego małego człowieka, aby sprawić, że zacznie sikać w spodnie, trząść się, bełkotać. Szyby zaczęły drżeć, a jedna z nich roztrzaskała się w pył. Ten człowiek umrze i będzie cierpiał. Żaden cuchnący człowiek nie popsuje planów Strzępowatemu.

- Możesz mnie zabić i możesz zabrać mnie do tego, który wydaje ci rozkazy, Leszego, i on może zabijać mnie jeszcze wolniej - powiedział człowiek - ale nie zmienia to faktu, że Lustra Twardowskiego tu nie ma. A ja wiem gdzie jest.

- Czczczego chhccccsszzzzzz? - Głos Strzępowatego zaczynał zmieniać się z powrotem w ten przybrany, ludzkopodobny.

- Chcę iść na układ - zadeklarował człowiek.

- Niieeee ma układowww. Nie ma żadnych układow. - Strzępowaty schował zęby i język. Stanął z powrotem na nogach, po czym podszedł do człowieka i go powąchał. Woń była zastanawiająca - ani śladu strachu.

- Wiem, czego chcecie - stwierdził człowiek.

- Umrzesz - odparł Strzępowaty.

- Wiem, gdzie jest Lustro i gdzie jest Kwiat. Wy nie wiecie. Ludzie potrafili je przed wami ukryć. To tutaj to fałszywka. Prawdziwego nie ma tu od bardzo, bardzo dawna - ciągnął człowiek.

- Umrzesz - groził Strzępowaty.

- Chcę rządzić razem z wami - powiedział człowiek - i nie chcę umrzeć.

Człowiek podszedł do jednej z kościelnych ław. Leżało tam, płaskie, otoczone srebrną, przedstawiającą splecione węże ramą lustro.

- Zobacz je - zaproponował człowiek. - Przejrzyj się w nim. To nie jest to, czego szukasz.

Strzępowaty poczłapał do lustra, wziął je ostrożnie w łapy. Patrzył dość długo, pocierał pazurami powierzchnię, chuchał jak na zaparowaną szybkę zegarka.

Ale poza szeregiem ostrych jak sztylety, osadzonych ciasno jeden przy drugim zębów nie zobaczył w nim zupełnie nic.

* * *

- Trzeba teraz skrócić w prawo - stwierdził Tytus po minucie wpatrywania się w mapę.

Stali w głębi lasu, na rozwidleniu ledwie widocznych, zarośniętych dróg, oznaczonych na wojskowej mapie dziadka Zbigniewa z lat siedemdziesiątych jako grube, wyraźne kreski. Problem tkwił w tym, że kreski na mapie były niewiele węższe od przebijających się pod ich stopami piaszczystych linii - prawie niewidocznych śladów po od dawna nieuczęszczanej trasie.

Anka nic nie odpowiedziała. Wyraźnie zamyślona, paliła papierosa i się rozglądała. Tytus wolał nie być zbyt natarczywy - rano, przed wyjazdem, zaliczył dwie poważne wpadki i cała wyprawa o mało co nie stanęła pod znakiem zapytania.

- No to jazda - rzuciła Anka, wypuszczając wielki kłęb dymu. - Jeśli będziesz tak medytował nad każdym zakretem, to może dojedziemy tam jutro.

Gdzieś w oddali słychać było miarowe uderzenia dzięcioła. Poza tym jednak w lesie

panowała cisza, jakby wszystkie mieszkające w nim zwierzęta spały w dzień, a budziły się i wychodziły na żer dopiero w nocy. Tytus też nie pogardziłby teraz drzemką, babcia obudziła go około siódmej rano. Wstał bez oporów, chociaż nie spał nawet czterech godzin.

- Ania czeka na dole - huknęła babcia, otwierając z impetem okna - a ja już zrobiłam wam kanapki i przygotowałam termos z kompotem. No i przebiegłam już te swoje dziesięć kilometrów.

- Babciu, nie wiem, czy potrzebujemy dwudziestu kanapek! - jęknął Tytus, wkładając spodnie. Od czasu gdy Anka nazwała je „bojówkami od Armii Zbawienia”, nie mógł na nie patrzeć i poważnie rozważał kompletną wymianę swojej garderoby. Gdy szedł już korytarzem na śniadanie, nie mógł się powstrzymać od rzucenia okiem przez uchylone drzwi do pokoju pani Olgi. Zauważył, że jest zupełnie pusty, i zdziwiony przystanął na dłuższą chwilę.

- Pani Olga wyprowadziła się dziś rano - powiedziała babcia. - Tak, to dziwne, ja dopiero wstawałam, a ona zносиła już rzeczy do samochodu. Pożegnała się i rzuciła tylko, żebym trzymała ten pokój zarezerwowany, bo za pięć dni przyjedzie tutaj jej promotor.

- Promotor? - Tytus ruszył dalej korytarzem, ale coś kazało mu jeszcze raz odwrócić głowę w kierunku pokoju.

- Pracy doktorskiej. - Babcia delikatnie popchnęła go w kierunku schodów. - Zresztą mówiłam ci, że mnie nie obchodzi, co robią moi letnicy, póki są spokojni, czysti i płacą. Szybciej, Tytuńciu, kobiety nie lubią czekać.

Anka stała na dole i Tytus popełnił pierwsze poważne *faux pas* - gdy tylko ją zobaczył, ubraną po raz pierwszy, odkąd się poznali, w sięgającą kolan kolorową sukienkę w kwiaty, od razu się nachylił, aby ją pocałować. Co prawda celował jedynie w policzek, ale Anka odsunęła twarz i zrobiła minę, jakby ktoś próbował poczęstować ją czymś surowym i mocno nieświeżym, podsuwając jej to coś pod sam nos. Tytus zbaraniał, ale zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, babcia z powrotem delikatnie go popchnęła, tym razem w kierunku kuchni. Podczas śniadania Tytus najpierw dyskretnie odsunął kubek z leczniczym naparem babci, potem zaczął wcinać jajecznicę w szybkim tempie, a zdenerwowana Anka powoli dziobała widelcem zawartość talerza. Babcia zaś zasypywała ich informacjami o skansenie w Butlewicach, a zwłaszcza o romantycznych, odbywanych tam „za młodych lat” spacerach z dziadkiem. Oboje słuchali tego wywodu w milczeniu, chociaż Anka próbowała udawać szczere zainteresowanie, nieudolnie wzdychając wtedy, gdy babcia doszła już do wspólnie oglądanych zachodów słońca i wręczanych przy tej okazji przez dziadka wielkich bukietów róż.

- Także łono przyrody może być bardzo romantyczne - zakończyła opowieść babcia Maryla, czyszcząc pod kranem patelnię - ale musicie pamiętać, aby się zabezpieczać.

Na te słowa Tytus o mało co nie udusił się jajecznicą, a Anka z rozszerzonymi do granic możliwości oczyma upuściła na talerz widelec. Babcia tylko wzruszyła ramionami, uśmiechnęła się i dodała:

- Przestańcie udawać, że nie wiecie, o czym mówię. Kto wam to powie, jak nie stara babcia, gdy wasze matki umieją tylko zarabiać pieniądze i krzyczeć? Ech... - Machnęła ręką. - Idźcie do dziadka po rowery, może rzeczywiście już mi mózg wysmażyło na starość i gadam kompletne bzdury.

Wciąż zszokowani dobrą radą babci Maryli, nie zwracali za bardzo uwagi na techniczne wywody dziadka Zbigniewa, który dokręcał śrubki inbusem, spryskiwał łańcuchy WD-40 oraz sprawdzał hamulce w dwóch kilkuletnich, ale bardzo porządnym rowerach górskich. W końcu wydał im sprzęt; od razu ruszyli przed siebie, początkowo obierając kierunek na skansen (który Tytus nazwał już w głowie „skansenem wspomnień babci Maryli”). Dopiero gdy zniknęli z zasięgu wzroku dziadków, skręcili w stronę Kolonii Głuszyce.

Anka cały czas milczała, choć Tytus paplał, jaka wspaniała przygoda ich czeka, i przynajmniej dziesięć razy dziękował, że zechciała z nim pojechać. Nie zainteresowała się również za bardzo historią o wczorajszym zagadkowym telefonie Olgi, zdjęciach w jej laptopie oraz jej równie tajemniczej nagłej wyprowadzce. W końcu kiedy się zatrzymali, by odpocząć, podszedł do Anki i dotknął jej ręki. To właśnie było *faux pas* numer dwa.

- Co się stało, mama znowu powiedziała ci rano coś niemiłego? - zapytał w dobrej wierze, jednak dziewczyna szybko wyrwała dłoń i krzyknęła:

- Słuchaj, pieprzę to i wracam do domu! I nigdzie z tobą nie jadę!

To mówiąc, wsiadła na rower i zaczęła pedałować w kierunku swojego domu. Tytus zbaraniał - szybko dogonił ją i nieco zdziwiony zarzucił ją serią pytań w rodzaju:

- Ale o co chodzi? Co ja zrobiłem?

Anka w końcu zahamowała. Odwróciła się, obrzucając go groźnym i karcącym wzrokiem, i wysyczała:

- Mówiłam ci wczoraj dosyć wyraźnie, że nie jestem twoją dziewczyną ani nikim takim. Więc jeśli chcesz dalej jeździć na wycieczki rowerowe i spędzać ze mną czas, to bardzo cię proszę, powstrzymaj się od forsowania jakichkolwiek buziaków, dotykania moich rąk, spojrzeń typu „głodny pies” i tak dalej. Tłumaczyłam ci: to była tylko kumpelska przysługa.

- Dobrze. Słowo harcerza - obiecał Tytus, przykładając rękę do piersi i czując, że jego serce bije dziwnie szybko, boleśnie, i że po słowach Anki ekscytacja z powodu wyprawy do Kolonii Głuszyce zaczyna uchodzić z niego jak powietrze z pękniętego balonu.

Jednak teraz, gdy stali na rozstaju dróg i Tytus studiował zwędzoną dziadkowi wojskową mapę okolicy (zrobił to z samego rana pod pretekstem pójścia do łazienki), ekscytacja zaczęła wracać.

- Las się zmienia - ocenił. - Spójrz na te wszystkie powalone drzewa. Jestem pewien, że nie było tutaj leśniczego od bardzo dawna.

- Rzeczywiście. Trochę tu niepokojąco. Ale nie zamierzam dać się wkręcać, że zaraz z krzaków wyleci ten cały Wirdała uzbrojony w przerdzewiałą siekierę i zacznie gonić nas po okolicy.

Znów ruszyli. Okolica robiła się coraz bardziej małowinna, ale droga coraz trudniejsza - musieli wjeżdżać pod wiele gór, a tragiczna kondycja Tytusa kwalifikowała go raczej do sanatorium, a nie na surwiwalową wyprawę. Próbował to jakoś maskować przed Anką, starając się dyskretnie ocierać pot i jak najciszej sapać. Jednak gdy w końcu zrobili postój przy kładce, pod którą płynęła rzeczka z czystą wodą, Tytus z głośnym westchnieniem opadł na trawę.

- Doceniam twoje próby udowodnienia mi, że nie spędziłeś całego życia przed komputerem. - Anka się zaśmiała.

Tytus nie chciał jej mówić, że najdalsze rowerowe wycieczki odbywali z Grubsonem i Pitoniem do położonego jakieś dwa kilometry od osiedla parku i obfitowały one w częste przystanki, takie jak budka z hot dogami czy sklep z gramami na konsolę.

- Jeszcze pięć kilometrów - powiedział, pracując nad uregulowaniem oddechu - i będziemy na miejscu. Jakby co, mam aparat fotograficzny z kamerą.

- Naprawdę nie liczę na to, że spotkamy jakieś leśne demony albo pozostałości kultu szatana. - Anka wgrzyzała się w bułkę z szynką i pomidorem. - Nic z tych rzeczy. Ale legendy to legendy. Pomyśl o tym w ten sposób: gdybyś naprawdę był przekonany, że dzieją się tam jakieś przerażające rzeczy, w życiu nie pojechałbyś rowerem.

- Skąd wiesz? - Tytus odruchowo się obruszył, po czym spokojnie dodał: - Wiesz, Anka, zaginął człowiek, to po pierwsze, a po drugie przyjeżdżają tutaj naprawdę dziwni ludzie, by badać te

legendy. Dziwni ludzie, którzy zachowują się w dziwny sposób, kłamiąc i kręcąc. Moim zdaniem coś musi być na rzeczy - wyjaśnił, odpakowując kanapkę. Jadł śniadanie zaledwie dwie godziny temu, ale czuł, że przydałby mu się teraz porządny babciny obiad.

- Ta kobieta to jakaś następna tropiąca duchy wariatka. To, że dziwnie wygląda, wcale się z tym nie kłóci. - Anka wzruszyła ramionami i już miała odgryźć kolejny kęs bułki, ale odwróciła głowę w kierunku ledwo słyszalnego dźwięku, przypominającego szuranie czyjejs stopy po piasku. - Kurczę - powiedziała, zawijając resztę jedzenia w folię i chowając je do reklamówki. - Znowu ten dźwięk. Wiesz co, odkąd wyruszyliśmy, mam wrażenie, że ktoś za nami jedzie.

- Kto miałby nas śledzić? - Tytus się zaśmiał. - Babcia Maryla, aby sprawdzić, czy na pewno jedziemy tam, gdzie powiedzieliśmy? Czy ta Olga, próbująca nie spaść z roweru, w podartym surducie?

- Nie wiem kto. - Anka odgoniła sprzed twarzy niewidocznego owada, tak jakby odpędzała własny niepokój. - Może to głupie, ale jestem dziewczyną i czuję, gdy ktoś za mną łązi.

- Więc lepiej jedźmy dalej. - Tytus zmusił się, aby wstać. Chciał rozmasować zmęczone nogi, ale ręce tak go bolały po wczorajszym wiosłowaniu, że samo zaciskanie dłoni na kierownicy roweru było dosyć bolesne.

- Jest jakaś inna trasa? - zapytała Anka, ruszając przodem.

- Teoretycznie na skróty. - Tytus wskazał ścianę lasu. - Ale nie wiem, czy nie lepiej będzie...

- Lepiej. - Anka wsiadła na rower i nie oglądając się na Tytusa, ruszyła z powrotem. - Też patrzyłam na tę mapę. Przez las są trzy kilometry. Będziemy szybciej, ta niby-droga wcale nie różni się od lasu. Wskakuj. Musimy się kierować cały czas prosto.

- Jesteś pewna? - zapytał Tytus, wskakując na siodełko. Zmęczenie powoli mijało, czuł, że bez problemu dotrze na miejsce.

- Jestem pewna. Jedziemy.

* * *

Myślą, że jadą szybko. I że znają las. Dwoje ludzi na dwukołowych maszynach. Chyba dwoje. Gangrena wacha powietrze i czuje pot. Głód. Gangrena siedzi w zaroślach i słucha. „Nikogo nie wpuszczać” - myśli i powtarza to zdanie, wbija je sobie w głowę, głowa boli, ale Gangrena wbija je nadal, aby pamiętać, aby wiedzieć, inaczej Strzępowaty przyjdzie i kopnie ją w brzuch. Brzuch boli. Las śmierdzi. Wszędzie są robaki, zwierzęta, głodne. Nawet drzewa są głodne, tu jest mało słońca, one walczą, zabijają się nawzajem o promienie, od kilkuset lat, głodne, głodne, głodne. Gangrena chciałaby pomóc, ale ma inne zajęcie. Gangrena musi pilnować, bo nikt nie może tutaj dojść, nikogo nie można tutaj wpuścić. Pomogła tamtemu człowiekowi w nocy, była szczęśliwa, człowiek był szczęśliwy, najadał się powoli, zabijał swój głód, w końcu najedzony zasnął i już nie chciał, nie potrzebował nigdzie iść.

„Oni muszą być zamknięci, aby nikt nie mógł się do nich dostać, powiedział Strzępowaty” - myśli Gangrena.

„Przyjdą tacy, którzy będą chcieli wejść do środka, będą chcieli pomóc Strażnikom, powiedział Strzępowaty” - myśli Gangrena.

„Strażników trzeba zniszczyć, zniszczyć ich Pieczęć, powiedział Strzępowaty” - myśli Gangrena.

Bo wtedy będziemy mogli wyjść i rządzić człowiekiem, powiedział Strzępowaty, bo wtedy Gangrenę przestanie boleć brzuch.

„Bo to, że Strzępowaty jest cały czas głodny, a Gangrenę boli brzuch, to robota Strażników,

powiedział Strzępowaty” - myśli Gangrena.

Gangrena jest zirytowana, zauważyła ich za późno. Nad ranem położyła się w mokrej trawie. Trawa była mokra i chłodna, zdejmowała ból z brzucha. Gangrena zasnęła, przegapiła. Teraz jest zła. Teraz się boi. Musi szybko działać. Bo Strzępowaty znowu kopnie ją w brzuch. Bo brzuch będzie bolał jeszcze bardziej.

Dwoje ludzi myśli, że jedzie szybko. Jadą za czymś. Gangrena czuje ich determinację, pot, są łowcami, jadą w kierunku zwierzyny. Myślą, że jadą szybko na dwukołowych maszynach. Że pokonają las. Gangrena uśmiecha się, bo gdy chce, potrafi biec dużo, dużo szybciej niż jakiegokolwiek maszyny. Co z tego, że jest mała, że ma krótkie nogi i wielki, bolący brzuch. Za chwilę ich dogoni. Za chwilę pozwoli im się najeść. Nikogo nie wpuszczać. Nikogo, nikogo nie wpuszczać.

* * *

- Chyba widzę jakiś budynek - powiedziała Anka i zatrzymała rower. Tytus zrobił to samo.

Byli wyczerpani, zziębnięci, pokąsani przez komary i cali mokrzy od potu. Droga na skrót była zdecydowanie cięższa od jazdy zarośniętą, ale jednak ścieżką. Nie chcąc zjechać z wytyczonego szlaku, Anka i Tytus musieli co chwila zsiadać z rowerów i przenosić je przez wielkie powalone pnie, ostrożnie omijając podejrzanie wyglądające podmokłe połacie trawy. W pewnym momencie grunt stał się tak nierówny i wyboisty, że musieli zsiąść i prowadzić rowery. Tytus nie wstydził się już swojego braku kondycji - oboje byli równie zziębnięci i wyczerpani. Zamknął oczy i oparł się o drzewo, czuł, że ze zmęczenia kręci mu się w głowie. Marzył o wannie pełnej ciepłej wody.

- Halo, ziemia do Tytusa, widzę budynek. - Anka szturchnęła go w ramię. Chłopak przestał myśleć o wannie i popatrzył we wskazywanym kierunku.

Zza drzew wyłaniał się kontur zbudowanego z czerwonej cegły, opuszczonego domu. Tytus wyjął lornetkę z torby i popatrzył przez nią - zauważył małe, rozbite okno, za którym zapewne znajdował się strych. Wezbrała w nim ciekawość. Powoli, starając się patrzeć pod nogi, zaczął prowadzić rower w tym kierunku. „To dziwne, las się rozrzedza, dochodzimy do polany, ale wcale nie jest jaśniej” - pomyślał. Wszystko było odrobinę szare, jakby nie świeciło słońce, a powietrze przesycił szary, rzadki, tłusty dym. Zmęczenie ustąpiło podekscytowaniu. To musiała być Kolonia Głuszyce. Tytus wyświetlał w pamięci zdjęcia z forum i z laptopa Olgi, jednak wyłaniające się zza drzew zabudowania nie przypominały tego, co na nich widział. To, co z każdym krokiem odsłaniało się przed jego oczami, wyglądało raczej na typowe pruskie wiejskie chałupy. Zabudowania na zdjęciach wydawały się czymś większym. Miastem.

Nagle coś zimnego złapało Tytusa za kark i rozległ się gardłowy ryk. Chłopak w jednej sekundzie rzucił rower, naprężył się jak struna i wrzasnął.

- Tu stary Wirdałaaaa - jęczała mu do ucha Anka - i zaraz ubiję z ciebie zrazy!

- Jezus, Anka! - Tytus westchnął i przytrzymał się drzewa. - Nie rób tego więcej.

- A niby jesteś taki odważny! - parsknęła, cały czas się śmiejąc. - Ale dobra już, nie gniewaj się. Na razie wycieczki z tobą to całkiem interesujący sposób spędzania czasu.

Mówiąc to, poczochrała go po włosach, a Tytus doszedł do wniosku, że nigdy, ale to nigdy nie będzie mu dane zrozumieć kobiet.

Wyszli na polanę. Byli w Kolonii Głuszyce. Ilość legend i plotek na temat tej miejscowości była większa niż liczba znajdujących się w niej budynków. Na wioskę składało się osiem ustawionych wzdłuż zarosłej drogi starych, zdewastowanych chałup z czerwonej cegły, otoczonych resztkami płotów, powoli pochłanianych przez wdzierającą się we wszystko zieleń, wypychającą

cegły i niszczącą fundamenty. Dachy były pokryte grubą warstwą mchu; wokół jednego z kominów krążyły wróble, które zapewne już dawno temu zdecydowały uwić sobie tutaj gniazdo. W oknach widniały resztki wybitych szyb. Jeśli któryś z domów miał drzwi, to wisiały one bezładnie na ostatnim zawiasie, niczym pijak, który tuż przed upadkiem złapał się framugi. Przed domami leżały stopy porozrzucanego żelastwa. Tytus zauważył części od starego roweru, rozbite szkło, a nawet przerdzewiałe fragmenty samochodowej karoserii. Tak jak wcześniej w lesie, było zupełnie cicho - jakby w okolicy wszelkie możliwe stworzenia, od ptaków po koniki polne, w ogóle nie zapuszczały się na ten teren.

- Cicho tutaj - zauważyła Anka, a gdy nie doczekała się komentarza, dodała trochę głośniej: - Nie rozumiem, tyle hałasu o kilka starych chałup?

Tytus popatrzył w prawo. W oddali za drogą, pod lasem, oddzielony od siedmiu domów sporą polaną i zagajnikiem, stał jeszcze jeden dom. Większy od pozostałych, majestatyczny, wydawał się obserwować resztę wioski niczym niemy, zastygły strażnik, w każdej jednak chwili gotowy na to, aby się obudzić. Tytus popatrzył na niego przez lornetkę.

- Chata starego Wirdały - wyszeptał.

- Czy tam się coś pali? - zapytała Anka, wskazując dom palcem.

Rzeczywiście, zza bocznej ściany wydobywało się coś w rodzaju dymu, szarej poświaty spowijającej budynek delikatną chmurą. Tytus pokręcił głową. Coś mu mówiło, że dym nie ma nic wspólnego z poświatą. On po prostu jest tutaj wszędzie, to naturalny składnik otoczenia, który wydobywa się z mokrej, bagnistej ziemi.

- Chodźmy - rzuciła Anka. - Tam jest bez wątpienia ciekawiej.

- Byłaś kiedyś naprawdę w tym skansenie w Butlewicach? - zapytał Tytus, chowając lornetkę i grzebiąc po kieszeniach.

- No, kiedyś tak, a co?

- Chcę zadzwonić do babci - Tytus wyjął w końcu telefon - aby nic nie podejrzewała. Więc muszę być gotowy na te wszystkie ewentualne pytania w rodzaju „czy widzieliście to, a jak wam się podobało tamto”. Bo jak się dowie, że tu przyjechaliśmy, to zamkną nas w piwnicy albo odeślą mnie z powrotem do Warszawy.

- Byłam tam, jak miałam jakieś cztery lata i nic nie pamiętam. - Anka wzruszyła ramionami. - A poza tym tutaj i tak nie ma zasięgu. Telefon wariuje. Zobacz.

Tytus popatrzył na ekran komórki. Rzeczywiście, jego tapeta z wizerunkiem Michaela Myersa z filmu *Halloween* zniknęła. Zamiast niej na wyświetlaczu wykwitł bezładny gąszcz różnokolorowych pikseli. Tytus wyłączył telefon i schował go do kieszeni.

- To znamienne dla miejsc o bardzo dużej mistycznej energii, na przykład nawiedzonych domów - powiedział, przypominając sobie odcinki *Tajemnej Strony* - aparaty cyfrowe, urządzenia GPS... bardzo często pokazują złe adresy, psują się w nich matryce... Może lepiej w ogóle wyłączyć aparat...

- Co ty bredzisz? - obruszyła się Anka. - Gorączkę masz czy co?

Wsiadła na rower i ruszyła w kierunku domu Wirdały. Tytus bez wahania podążył za nią. Rzeczywiście, czuł się, jakby miał podwyższoną temperaturę. Tak naprawdę dopiero zaczynał zdawać sobie sprawę z tego, dokąd trafił. Fakty - opowieści babci, relacje z internetu, zdjęcia z laptopa Olgi - zaczynały mu się łączyć w głowie w jedną, spójną orbitę wydarzeń, krążących wokół tego miejsca, wokół domu, do którego właśnie zmierzali, a który z każdym pokonywanym metrem wyglądał coraz bardziej niepokojąco. Dom starego Wirdały był piętrowy, z oknami wychodzącymi na pole i bezkresny las, podobny do innych domów we wsi - z wyrwanymi drzwiami i wybitymi oknami. Ich układ przypominał zastygłą w krzyku martwą twarz. Resztki urządzeń gospodarczych,

skorupy, przedzwiewałe płyty metalu oraz szmaty rozrzucone wokół nie wyglądały po prostu jak elementy ruiny. Tytus pomyślał, że ich dobór jest nieprzypadkowy, że stanowią coś w rodzaju dekoracji. Jak kamuflaż. Widziany z daleka dym okazał się złudzeniem, ale gdy stali przy budynku, znów wszystko wydawało im się zdecydowanie zbyt ciemne jak na tę porę dnia. Mieli wrażenie, jakby zapadał już zmierzch.

- Tu naprawdę jest trochę strasznie. - Anka wpatrywała się bez wyrazu w zięjące niczym czarne, otwarte usta pozbawione drzwi wejście, jakby zahipnotyzowana przez płynące z niego niewypowiedziane zaproszenie do środka. - I to nie tylko ze względu na te wszystkie opowieści, które słyszeliśmy od twojej babci.

Tytus zajął do środka. Poświecił latarką. Mocny biały snop światła objął kamienną posadzkę izby, pokryte sadzą stare ściany, deski, śmieci, papiery. Chłopak nie zauważył żadnych mebli - jeśli było tutaj cokolwiek wartościowego w materialnym sensie, już dawno temu stąd to zabrano. Pachniało zbutwiałym drewnem, grzybem, sadzą, błotem, mchem i czymś starym, zepsutym.

- Wchodzimy. - Machnął latarką.

- Poczekaj chwilę. - Anka wyjęła z kieszeni telefon. - Mam zasięg. Zadzwońię do twojej babci. To rzeczywiście dobry pomysł.

Tytus wszedł do chaty. Stał już za progiem. Wydawało mu się, że zamiast serca ma przegrzewający się silnik. Już wiedział, że opowieści babci nie były tylko bajkami. Wiedział, że Adolf Błysk miał rację, mówiąc, że żadna legenda nie bierze się z próżni. Czuł, jak wszystkie włosy na jego ciele się podnoszą, a wzdłuż kręgosłupa biegnie mu coś piekielnie zimnego, igła lodu, przebijająca się przez nerwy i zamrażająca je w tym samym momencie. W tym domu coś się kryło. Coś prawdziwszego niż raportowane przez Adolfa Błyska duchy nawiedzające popegeerowskie blokowiska, UFO widywane nad wsiami, wilkołaki grasujące w lasach. Coś groźniejszego. Bardziej niepojętego. Nie wiedział skąd - kolejne myśli i przypuszczenia pojawiały się w jego głowie bardziej na zasadzie zdjęć z fleszem niż logicznych wniosków - ale wiedział, że to coś znajduje się w piwnicy tego domu. To coś kazało zrobić Tytusowi jeszcze jeden krok. I jeszcze jeden.

Ance nie udało się dodzwonić do babci Tytusa - zamiast sygnału w komórce słyszała irytujący pisk. Gdy podniosła wzrok, chłopak zniknął już w środku. Słyszała jego kroki w domu, odgłosy butów stukających o klepisko, skrzypienie uchylanych drzwi. Popatrzyła jeszcze raz na wyświetlacz telefonu - znówu zamienił się w feerię kolorowych kwadratów i pasków. I wtedy usłyszała za sobą coś jeszcze. Szurnięcie stopy o trawę. Przełknęła ślinę. Jeszcze jedno szurnięcie. To były kroki. Bardzo ciche, ale wyraźnie rozlegały się tuż za nią. Odruchowo wymacała gaz pieprzowy w ukrytej kieszeni spodni.

Zanim się odwróciła, ktoś założył jej chwyt na szyję i mocno, z całej siły, przyciągnął do siebie.

- No, to teraz się policzymy, szmulo. Dobrze, że wybraliście się na wycieczkę akurat tutaj, bo nikt was nie usłyszy. - Anka rozpoznała głos. Należał do tego chłopaka, którego kopnęła w tak zwaną słabiznę, a na deser poczęstowała go gazem pieprzowym.

- Przywiążemy ich do drzewa i weźmiemy rowery. - Drugi głos należał do chłopaka, który pierwszy przyczepił się do Sebastiana, zwracając mu uwagę na kopanie śmietnika.

Przełknęła ślinę. „Spokojnie - myślała. - Musisz się oswobodzić i wyjąć gaz. Spokojnie. Gdy tylko odwrócisz się do niego, drap w oczy. Oddychaj powoli”.

- Anka, chodź tu, musisz to zobaczyć! - zawołał z głębi domu Tytus.

Tamci dwaj nic nie mówili. Unieruchomiona dziewczyna czuła zapach potu, przyspieszony

oddech. Ten, który ją trzymał, szepnął jej do ucha:

- I co? Nic mi nie powiesz, gówniaro? Nic? Nikt nie kopie mnie tutaj i nie psika mnie gazem, rozumiesz? Rozumiesz, jaki wpierdol zgotujemy wam tutaj za chwilę?

- Powiem ci, że myślałam, że raczej będziesz mówił falsetem - odparła Anka i z całej siły uderzyła go łokciem w brzuch. Po chwili jednak któryś z przeciwników powalił ją na ziemię.

* * *

Pani Maryla Grójecka spojrzała na zegar kuchenny. Było już wpół do dziewiątej i nie martwiłaby się, że Tytus i Ania jeszcze nie wrócili, gdyby nie fakt, że oboje mieli wyłączone telefony.

- Oj, ci młodzi - mruknęła nie wiadomo który raz w ciągu ostatnich kilku godzin. Problem w tym, że powiedzonko „oj, ci młodzi” już dawno temu przestało się sprawdzać jako remedium na to dziwne pieczenie w okolicy serca. Pieczenie niemające nic wspólnego z problemami kardiologicznymi i doskonale znane pani Maryli Grójeckiej, z domu Witny, praktycznie od momentu, kiedy koło czwartego roku życia została istotą względnie świadomą. „To nie to” - powtarzała sobie w myślach pani Maryla. Uspokajała się: „Jestem stara, mogę biegać i biegać, żuć żeń-szeń, nie jeść białego chleba i cukru, ale jestem stara i mam serce takie samo jak wszyscy, po prostu trzeba pojechać do kardiologa do Szczytna. To na pewno nie jest to. To na pewno nie jest sygnał”.

- Ciekawe, co tam ich zatrzymało w tym skansenie! - krzyknęła do męża, chociaż wiedziała, że gdy pan Zbigniew Grójecki ogląda western, nie należy nic do niego mówić, zwłaszcza jeśli główną rolę gra John Wayne.

- Wrócą o północy, złoimy im dupska i pójdą spać - odparł trochę poirytowany, ale spokojny dzięki szklaneczce pigwówki pan Zbigniew.

Pani Maryla jeszcze raz spojrzała na zegar. Przypomniało jej się, że nie zdążyła podlać dziś roślin. Odkręciła wodę, naląła do konewki i powoli, systematycznie, cały czas zerkając przez okno, zaczęła podlewać paprotki, pelargonie, rojciussy oraz hodowane na parapecie zioła. Sprawdzała przy tym, czy na liściach i łodygach nie ma śladów chorób albo nadgnić. Oczywiście wszystkie rośliny były zdrowe; pani Maryla wołała jednak sprawdzić to dwukrotnie, powtarzając sobie w duchu: „Przynajmniej z nimi nie rozmawiam, więc nie jestem zupełną wariatką”. I gdyby nie nagłe walenie do drzwi, pani Maryla zauważyłaby, że z jedną z roślin, dzikim, bagiennym storczykiem, jest coś nie w porządku. Jego płatki zaczęły czernieć.

Ponieważ stukanie do drzwi było bardzo natarczywe, pani Maryla czym prędzej je otworzyła, dopiero po naciśnięciu klamki przeklinając własną nieostrożność. Zanim zdążyła zapytać, co się stało, znajdująca się za drzwiami właścicielka sklepu, pani Konipna, wrzasnęła:

- Jezus Maria, pani Marylo, Pucla znaleźli!

Pani Maryla Grójecka wciągnęła panią Konipną do środka gwałtownym ruchem, za który zapłaciła bólem stawów. Ruch był konsekwencją tego, że pani Konipna wrzeszczała tak, iż musieli ją słyszeć w samym Szczytnie. Ból zaś był wynikiem tego, że waga pani Konipnej stanowiła jedną z największych tajemnic Głuszyc, chociaż pan Konipny kiedyś, po wypiciu litra wódki, wspomniał coś o małym fiacie.

Pani Maryla bez słowa posadziła panią Konipną w fotelu i dała jej znak, aby ta mówiła dalej.

- No poważnie, Jezus Maria, Pucla znaleźli! Jezu! W pół drogi między Zdrojewem a Kolonią! Wczoraj go znaleźli, ale policja trzymała to w tajemnicy, dopiero dzisiaj po wsi poszło wszystko! O ludzie, ludzie kochani!

- Żyje? - zapytała pani Maryla, chociaż twarz pani Konipnej i jej szeroko otwarte oczy nie pozostawiały wątpliwości co do odpowiedzi.

- Mówią, że coś go zjadło! Że wszystko poszarpane i odgryzione, ręce, nogi, że z brzucha flaki... Jezu! Że ma język wyrwany, palce odgryzione każdy po kolei! Mówią, że drugi człowiek go zjadł! Że w lesie jakiś kanibal chodzi i ludzi pożera! Że diabeł znowu w Kolonii Głuszyce zamieszkał! Pani Marylo, ja nie wiem, ja nie wiem, co my wszyscy teraz zrobimy! Toć to wyrok Boży, Pan nas skazał, Jezu...

To mówiąc, pani Konipna ukryła twarz w dłoniach i zaczęła się kiwać wte i wewte na fotelu, przed stojącymi nad nią panią Marylą i panem Zbigniewem, który przerwał oglądanie westernu chyba po raz pierwszy, odkąd pani Maryla zaczęła w kuchni rodzić ich młodszego syna.

- Zrobię pani herbaty, takiej na uspokojenie, z mojej melisy - powiedziała pani Maryla, kładąc dłoń na ramieniu sąsiadki. Ramię drżało, jakby pani Konipna obsługiwała właśnie młot pneumatyczny.

- Chyba pojedę po tych urwisów, tylko stojak na rowery raz-dwa doczepię - powiedział pan Zbigniew, idąc w kierunku garażu.

Pieczenie w okolicy serca pani Maryli narastało z każdą sekundą. Teraz już nawet nie było pieczeniem, ale tym, czego najbardziej się bała. Zwiastunem. Pani Maryla chciała popatrzeć na męża, przekazać mu spojrzeniem to, o czym myślała już od dawna, bo sny budziły ją nagle w środku nocy, i co odganiała od siebie mieszankami ziół, próbując z powrotem zasnąć. Pragnęła przekazać mu coś, czego bała się od zawsze i zaczęła bać się ze zdwojoną mocą wtedy, kiedy na wakacje przyjechał jej wnuk. Pani Maryla usiłowała popatrzeć na męża, ale wtedy znów rozległo się pukanie do drzwi.

- Kto tam? - Tym razem pani Maryla przypomniała sobie, że przed naciśnięciem na klamkę warto zadać to pytanie.

- To ja, Waszczukowa, Marylo, otwórz! - poprosiła przez drzwi pani Waszczuk tonem, którego pani Maryla nie słyszała nigdy wcześniej. Pani Waszczuk bardzo często mówiła głośno, ale jeszcze nigdy nie wynikało to z przerażenia.

- Nie było ich tam! - jęknęła, gdy stanęła już w korytarzu. Zadebiutowała nie tylko nowym tonem głosu, lecz także karnacją. Jej twarz miała kolor zamarznętego jeziora.

- Kogo? Gdzie? - zapytała pani Maryla, nadal nie mogąc dojść do siebie po tym, co usłyszała przed chwilą o leśniczym Puclu, i po wodospadzie strachu, który nagle zalał od środka jej ciało.

- Anki! Tytusa! - wrzasnęła pani Waszczuk. Drzwi otworzyły się i do środka wszedł pan Waszczuk, który stał w milczeniu, tupiąc nogą o wycieraczkę i rozglądając się wokół w dziwnym zakłopotaniu. - Nie było ich w skansenie! Pojechaliliśmy tam po nich, bo Ania mówiła, że wrócą o dziewiętnastej! Nie spotkaliśmy ich po drodze! Nie było ich w ogóle w skansenie! Bileter powiedział, że dzisiaj nie mieli tam żadnych gości!

Świadomość, gdzie jest jej wnuk i że jest to tylko i wyłącznie jej wina, sprawiła, że w brzuchu pani Maryli pękła gruba szyba, z której istnienia wcześniej nie zdawała sobie sprawy. Popatrzyła na panią Waszczuk, potem na panią Konipną.

„To był wilk” - chciała uspokoić panią Konipną, ale jakby zapomniała, jak wymawia się wyraz „wilk”.

„Zaraz przyjadą, niech się pani nie martwi” - usiłowała powiedzieć do pani Waszczuk, ale jakby zapomniała, jak wymawia się „przyjadą” i „martwi”.

- Jezu przenajświętszy! - Pan Zbigniew westchnął i oparł się o framugę.

- Gdzie oni mogli pojechać?! - dopytywała histerycznie pani Waszczuk. - Mówcie, to tam

pojedziemy. Pojedziemy po nich od razu.

- Usiądzie pani. Zrobimy herbatę. Marylo, naparz tego swojego wywaru uspokajającego. Ja przyniosę nalewki. Oni zaraz wrócą. Nic im się nie stało - tłumaczył pan Grójecki, bo wiedział, że aby dostać się tam, gdzie pojechali Tytus i Anka, potrzeba dobrego terenowego samochodu. Jego był w naprawie. Drugi należał do Balczarka. Trzeci miała straż leśna. Ale na to, aby straż leśna pojechała do Kolonii Głuszyce szukać Tytusa i Anki, należało zaczekać do rana.

A pani Maryla popatrzyła na parapet, zobaczyła czarne płatki storczyka i spojrzała na stojącego przy kuchni męża. Pan Zbigniew do teraz miał nadzieję, że jego żona nigdy więcej już nie spojrzy na niego w taki sposób.

* * *

Anka jechała. Jechała przed siebie. Jechała jak najszybciej. Jechała sprowadzić pomoc.

„Nie zostawiłam go tam - myślała. - Nie zostawiłam go tam samego. Robię to, co należy. Muszę sprowadzić pomoc. Nie wiem, co robić. Oni będą wiedzieli. Jechać ścieżką. Nie lasem. Na północ. Ścieżką. Patrz na linię światła od roweru. Jedź jak najszybciej”.

Zbliżał się zmierzch. Niebo nasyczał róż, a w miarę tego nasycania Anka próbowała wyrzucić z siebie przerażenie. Próbowała myśleć logicznie. Przez całe swoje krótkie, szesnastoletnie życie starała się podejmować decyzje logicznie, chłodno i rozważnie. Starała się, aby każdy jej wybór był wypowiedzianym w głowie, poprawnie zbudowanym twierdzeniem. Takim jak: „Tytus jest w dziurze. Muszę go stamtąd wydobyć. Na pewno nic mu się nie stało. Najwyżej złamał sobie nogę i po prostu stracił przytomność”. Ale logika, chłód i rozważa nie przygotowały jej na to, co wydarzyło się w ciągu ostatniej godziny.

W głowie rekonstruowała po kolei fakty, jadąc coraz szybciej, w ostatniej chwili omijając wystające gałęzie i konary. Starała się nie myśleć, co się stanie, jeśli nagle wyskoczy jej na drogę dzik. Albo przebijie oponę. Albo pęknie dętka.

Gdy przewróciła się na ziemię, pchnięta, oni stali nad nią we dwóch, chłopak, którego kopnęła w krocze, i ten drugi, który rozpoczął całą awanturę. Ten drugi miał w ręku kij bejsbolowy i sznur. Dopiero teraz zauważyła szczegóły, których nie dostrzegła wtedy, na ulicy, w świetle ulicznych lamp: bliznę na głowie ciągnącą się od łuku brwiowego aż do ciemienia, brak przedniego zęba, małą, wytatuowaną pod okiem kropkę. Chciała użyć gazu, ale ten drugi kopnięciem wybił jej pojemnik z dłoni - odleciał dwa metry za nią, a gdy spadał, z domu jednocześnie doszedł rumor, jakby jakiś nieokreślony drewniany mebel roztrzaskał się o ziemię.

Potem jeden z tych chłopaków podszedł do chaty, a drugi stał nad nią, po prostu się szczerząc i uderzając kijem bejsbolowym o otwartą dłoń. Była przerażona, ale w głowie powtarzała sobie jedno proste zdanie, jakby na siłę chciała wbić w drewno zgięty gwóźdź. Brzmiało ono: „NIE PŁACZ”. Odwróciła głowę, aby zobaczyć, że tamten stoi, patrząc tylko w stronę drzwi domu, ale bojąc się wejść do środka.

Potem ten tkwiący nad nią odwrócił się, bo coś zaszumiało w trawie. Stał nieruchomo, a następnie ruszył. Ruszył i zaczął iść w zupełnie przeciwnym kierunku. Tamten drugi odwrócił się do niego i krzyknął:

- Dokąd idziesz?!

Ale ten z bejsbolem szedł do przodu, powoli, a po jakichś dziesięciu krokach wypuścił kij z ręki.

- Dokąd idziesz? - powtórzył pytanie jego kumpel i podbiegł, przeskakując leżącą na ziemi Ankę.

Anka pedałowiała jeszcze szybciej. To, co zdarzyło się potem, było snem, bo przecież jest

zupełnie niemożliwe, aby ten, który odwrócił się od niej i zaczął iść, po jakiejś minucie rzucił się na kumpla i wgryzł się mu w szyję z całej siły, nie puszczając, wytaczając z niego krew, która momentalnie trysnęła i spłynęła po barku i białym podkoszulku jak sok z wyciśniętej cytryny.

- Mogą też sobie nawzajem pomóc, nawzajem się nakarmić - powiedział skrzeczący, piskliwy głos, a Anka wrzasnęła i wbiegła do domu po Tytusa, aby go stamtąd zabrać. Zaczęła krzyczeć: „Tytus! Tytus! Tytus!” i zobaczyła odbłask, białą poświatę bijącą z piwnicy.

W chacie nie było nikogo, tylko włączona latarka upuszczona na granicy zięjącej w podłodze wielkiej dziury i leżący obok wielofunkcyjny scyzoryk Tytusa. Z otworu wydobywał się gęstymi kłębam szary dym, który nie pochodził od ognia, nie gryzł, ale przypominał bardziej chmurę popiołu zmieszanego ze starym tynkiem.

Wzięła latarkę i poświeciła do jamy. Nie było widać zupełnie nic. Zaczęła krzyczeć:

- Tytus! Tytus, musimy stąd spieprzać!

A głos odpowiedział:

- Głodna. Głodna, bardzo głodna. Czuję to. Wyjdź stamtąd. Najesz się.

Z pomieszczenia z dziurą korytarz prowadził do dwóch następnych, mniejszych pokoi. Ale poza śmieciami nic w nich nie było. Anka słyszała na górze tupot istoty, do której należał głos. W ostatnim małym schowku zauważyła drewnianą półkę pełną zużytych przedmiotów - wiader, odłamków metalu, papierów, starych narzędzi. Istota dalej tupała na górze. Węszyła. Tytusa nie było w żadnym z pomieszczeń. Anka jeszcze raz zajrzała do otworu w podłodze, ale dym przesłaniał wszystko. Końcówki zbutwiałych desek były ostre; wokół roily się uwolnione nagle z wydrążonych w podłodze labiryntów mrówki i inne robactwo.

„Pod Tytusem zarwała się podłoga - stwierdziła. - Nic mu się nie stało, najwyżej złamał sobie rękę albo nogę” - powtarzała sobie tak intensywnie, jakby starała się nadać myślom moc sprawczą. Nasłuchiwała. Na dole coś się poruszyło. Zastanawiała się, dlaczego tajemnicza istota tu nie schodzi, czemu nie przychodzi po nią do piwnicy. Uznała za oczywiste, że czymkolwiek ta istota jest, może i ją zmusić do gryzienia. Wróciła do następnego pomieszczenia i wzięła długi, dwumetrowy metalowy pręt. Nachyliła się nad dziurą i włożyła pręt do środka, ale nie dosięgnęła gruntu. Zdjęła z ramion plecak i położyła go obok otworu. Kucnęła, odwróciła się i chwyciła się rękoma najbardziej stabilnej, jej zdaniem, granicy wyrwy. Dym momentalnie zatykał nos, wdierał się w oczy.

- Tytus! - krzyknęła, wypluwając grube grudy wymieszanej ze śliną białej sadzy. Nie odpowiedział.

„Nic mu nie będzie - pomyślała. - Nic mu nie będzie”. Podniosła scyzoryk z ziemi i wyciągnęła z niego największe ostrze.

Wtedy ją zobaczyła.

Istota stała na szczycie schodów, jakby nie mogła wejść dalej, jakby powstrzymywał ją przed tym wydobywający się z dziury dym.

- Nikt nie może tutaj dojść, nikogo nie można tutaj dopuścić! - wrzeszczała. - Nikt nie może tutaj dojść! Nikt nie może tutaj wejść! Ci, którzy spróbują, muszą jeść! Jeść, a nie wejść! Jeść, a nie wejść!

Anka cofnęła się odruchowo. Prawie straciła równowagę, potykając się o plecak. Usłyszała łupnięcie. Najwyraźniej strąciła plecak do dziury. Wzięła głęboki wdech.

Anka dziękowała opatrności za to, że widziała tylko zarys postaci. Dziękowała również za to, że gdy tych dwóch biednych chłopaków zaczęło gryźć się nawzajem, znalazła gaz i go zabrała. I dziękowała za dym, bo była pewna, że gdyby nie on, również zaraz zaczęłyby gryźć.

- Nikt nie może wejść! On wszedł! Nikt nie może wejść do Zmorojewa! - krzyczała istota, a

Anka ruszyła po schodach i wypuściła w jej twarz, a przynajmniej w miejsce, w którym twarz powinna się znajdować, zawartość całej puszkii.

Istota chrapliwie wrzasnęła i schowała twarz w dłoniach. Anka wykorzystała ten moment, aby z całej siły wbić ostrze scyzoryka w miejsce, gdzie powinno być oko. Udało się. Przekreśliła ostrze. Usłyszała plaszcząco-mokry, przypominający mielenie mięsa, obrzydliwy dźwięk. Istota ponownie wrzasnęła i na poły oślepiona wybiegła z domu. Anka ruszyła w tym samym kierunku. Do roweru. Sprowadzić pomoc. Sprowadzić pomoc dla Tytusa.

Zobaczyła kątem oka jednego z chłopaków leżącego bez ruchu, a drugiego kucającego nad nim, nachylnego nad jego głową, z cieknącą mu z ust czerwono-czarną breją. Przeszła patrzeć. Musiała biec. Musiała wsiąść na rower. Musiała jechać. Przypomniała sobie, że w dziurze został jej plecak, ale nie miała najmniejszego zamiaru wracać. Wsiadła i zaczęła pedałowić.

Teraz pedałowiała dalej. Jak najmocniej. Z całych sił. Jak najszybciej. Według jej obliczeń - oprócz logiki nade wszystko ceniła odpowiednią kalkulację - do Głuszyc pozostały jej jakieś cztery kilometry.

* * *

Strzępowaty pierwszy raz od niepamiętnych czasów jechał samochodem. Podobało mu się. Z reguły wszędzie chodził boso, ale auto tego człowieka było duże, szybkie i zabójcze. Po drodze rozjechali jakieś zwierzę, prawdopodobnie kota. Strzępowatemu naprawdę się to podobało.

- Lustro Twardowskiego - powiedział mężczyzna, wyprzedzając z prędkością stu siedemdziesięciu kilometrów na godzinę trzy tiry. Za nimi rozległ się dźwięk klaksonów. - Lustro zrobione przez największego polskiego maga, Jana Twardowskiego, który przegrał zakład z diabłem o własną duszę. Oczywiście obaj wiemy, że to nieprawda. Lustro Twardowskiego, w którym można zobaczyć swoją przyszłość i swoją śmierć.

Strzępowaty mlasnął. Chciało mu się jeść. Ksiądz był tylko przekąską, a Strzępowaty miał ochotę na danie główne. Człowiek go kusił, ale nie mógł go zjeść. Wiedział za dużo. To doprowadzało Strzępowatego do szału. Zabije go później, powoli, delektując się, żując jego mięso, gdy ten będzie jeszcze żył.

- Ale ty nie chcesz zobaczyć przyszłości. Ten, który cię tu wysłał, znalazł inne zastosowanie dla tego przedmiotu.

Człowiek włączył radio. W przestrzeń popłynął ten irytujący, generowany przez ludzi hałas, nazywany muzyką. Strzępowaty zaskrzeczał i wyrwał gałkę, którą człowiek wywołał hałas. Ten jednak trwał.

- Kolejny dowód na twój zupełny brak subtelności - zauważył człowiek. - Trzy Klucze.

Strzępowaty zassał powietrze.

- Wiesz dużo za dużo za dużo - powiedział.

- Wiem wystarczająco. - Człowiek jeszcze przyśpieszył. - Trzy Klucze, aby zdjąć znak Zmory, aby zniszczyć Zmorojewo, zniszczyć Strażników, zniszczyć czar, który od ponad tysiąca lat blokuje wam dostęp do tego świata. Chcecie być znowu bogami. Chcecie rządzić ludźmi, tak jak to było kiedyś, gdy mieszkali w lesie, gdy struchlali siedzieli wokół ognisk, gdy szli na wojnę z łukami, kijami i mieczami. No cóż, czasy się zmieniły, rok Pański 2010 wymaga trochę większej subtelności.

- Kiedyś - zasyczał Strzępowaty - kiedyś walczyliśmy z Jasnymi o człowieka. Dwie strony walczyły o człowieka. Człowiek uciekał przed nami w ręce czarnych. Teraz człowiek jest przekonany, że nie istniejemy, a Jaśni chcą, aby tak było. Gdzie jest Lustro? - zapytał ponownie.

- Trzy Klucze - mówił człowiek. - Portret Kobiety Cmentarnej, który masz ty. Kwiat

Paproci...

- Lustro.

- Widzisz... - Człowiek westchnął. - Jest pewien problem. Lustro Twardowskiego to moja własność. Wiedziałem, że będziesz w tym kościele. Obserwowałem cię. I znowu wracamy do braku subtelności. Nietrudno śledzić kogoś po szlaku niewyjaśnionych morderstw, o których trąbią gazety. Czekałem na okazję, żeby cię spotkać. I aby zaproponować ci... współpracę.

Strzępowaty szarpnął się i znów pokazał prawdziwe zęby. Ryknął. Zabije tego człowieka. Zabije go teraz. Miarka się przebrała. Żaden dwunożny flaczarz nie będzie tak igrał ze Strzępowatym.

- Nie zabijesz mnie - powiedział człowiek. - Nie zabijesz mnie, bo przejrzałem się w Lustrze Twardowskiego i widziałem swoją śmierć. I ona nie nastąpi ani dzisiaj, ani tu, w tym samochodzie. To po pierwsze.

Strzępowaty dyszał. „Ten człowiek musi na razie żyć. Nie może zginąć, nie zabijaj go, nie jedź”. Strzępowaty ugryzł się w rękę, zęby przebiły ją na wylot. „Człowiek musi żyć”.

- Po drugie, mam Lustro, ale sam nie wiem, gdzie jest. To wie ktoś inny, kto wykonuje moje polecenia. Możesz wdrzeć się do mojego mózgu, ale Lustra tam nie znajdziesz.

Samochód uderzył w kolejne zwierzę. To trochę uspokoiło Strzępowatego. Na chwilę.

- Po trzecie - ciągnął człowiek - wiem, gdzie jest trzeci Klucz. Wiem, gdzie jest Kwiat

Paproci.

- Gdzie? - zapytał Strzępowaty.

- Powiem w ten sposób... - odparł człowiek. - Szukałeś o wiele, o wiele za daleko. Ale wszystko w swoim czasie.

Człowiek spojrzał na Strzępowatego i się uśmiechnął.

Strzępowaty przysięgł na wszystko, że człowiek będzie umierał bardzo długo.

ZMOROJEWO

Część druga

6. Ślady zębów

Olga Pralczyk nienawidziła brudu. Prawdopodobnie z tego powodu z jej mieszkania wyprowadzali się kolejni mężczyźni. Nienawidziła porozrzucanych na stole okruchów chleba. Śladów masła na nieumyтым nożu. Nienawidziła zmiętych w kulę i ciśniętych w kąt brudnych skarpet. Nienawidziła okrągłych brązowych pieczęci, odciskanych przez stawiane byle gdzie kubki z kawą. Jej ostatni mężczyzna, grafik komputerowy o imieniu Krystian, traktował swoje biurko jako poligon doświadczalny będący wylęgarnią wszelkich możliwych drobnoustrojów. Brązowe ślady po kubkach z kawą były nie tylko na tablicie, lecz także na papierach, umowach, fakturach i nieprzeczytanych gazetach. Spomiędzy zużytych chusteczek do nosa, pendrive'ów i kabli USB bezczelnie prześwitywały przylepione gumy do żucia i zmięte bilety do metra. Olga Pralczyk miała dosyć jasne poglądy na palenie w mieszkaniu, ale ów Krystian (jeszcze dzisiaj na dźwięk tego imienia Olę Pralczyk przeszywał dreszcz dogłębnego obrzydzenia) skręcał sobie papierosy przy biurku sam. Powodowało to, że całą tę górę gnijących, żyjących już własnym życiem, ohydnych, odstręczających gum, papierzyk i innych śmieci pokrywało cuchnące, brązowe konfetti z kłaczkowatych resztek tytoniu. Pewnego dnia Oldze Pralczyk skończyła się cierpliwość. Krystian poszedł rano biegać. Po powrocie z pracy kobieta zastała ciśnięty na jego monitor zmięty, przepocony podkoszulek. Tej samej nocy tablety, papiery, skarpety oraz brudne koszulki Krystiana zostały metodycznie popakowane w kartony i wystawione pod drzwi mieszkania Olgi, a on sam do rana próbował się do niej dodzwonić. Bezskutecznie, bo wyłączyła telefon.

Olga Pralczyk starała się nie pamiętać o Krystianie, ale w pokoju niejakiego Rafała Prącika, studenta drugiego roku informatyki i zapalonego użytkownika forum programu *Tajemna Strona*, nie mogła o nim zapomnieć. Tutaj było jeszcze gorzej. Do skarpet, koszulek, papierów i śladów po kawie dochodziły sterty książek, w większości fantasy i science fiction, wszechobecny kwaśny zapach potu oraz figurki smoków. Rafał Prącik mieszkał z matką, ale prawdopodobnie ta biedna kobieta już dawno temu zaprzestała prób wchodzenia do tego pokojopodobnego szaletu. Gdyby Olga Pralczyk była dyktatorem, na tej planecie nie znalazłoby się miejsce dla takich ludzi jak Rafał Prącik.

- Skąd pani wie, gdzie mieszkam? - spytał jeszcze raz Rafał Prącik. Wszystko w nim drżało - rachityczny wąsik, włosy, chude, blade dłonie. Jedną z luzem rzuconych na półkę książek była *Oni widzą wszystko* - jak międzynarodowe rządy monitorują twoją aktywność w internecie.

- Wyglądasz jak ktoś, kto rozumie, co to adres IP. - Olga Pralczyk bez pytania zapaliła cienkiego, mentolowego papierosa. Palila rzadko, ale trzeba było jakoś zabić ten smród.

- Nie znam ich. - Prącik poprawił okulary.

Chciał się odwrócić do wielkiego monitora, schować się w nim, znaleźć bezpieczeństwo. Uciec atrakcyjnej kobiecie w idealnie skrojonej garsonce, która od piętnastu minut siedziała w jego pokoju z nogą założoną na nogę i zadawała mu w kółko pytanie, skąd ma zdjęcia. Rafał Prącik nie wiedział, o jakie zdjęcia jej chodzi. Nie wiedział, co to za kobieta. Kiedy zapytał, kim jest, odpowiedziała, że producentem telewizyjnym. Równie dobrze mogła mu oświadczyć, że jest wolontariuszką UNICEF-u. I tak by jej nie uwierzył.

- JohnCarpenter... 98? - zapytała, wydmuchując dym w jego kierunku.

- 99. To taki reżyser - wydusił Rafał Prącik. - Mój ulubiony.

- Tak? Co nakręcił? - Olga Pralczyk zapytała z czystej grzeczności. Rzadko chodziła do kina, a na pewno nie interesowała się nazwiskami reżyserów.

- *Wioskę przeklętych, Ucieczkę z Nowego Jorku, Halloween...* - zaczął recytować Rafał Prącik głównie po to, aby się uspokoić.

- Dobrze. Więc skąd masz te zdjęcia?

- Jakie zdjęcia? - Rafał Prącik trząsał się, jakby był pasażerem samolotu, który właśnie wpadł w turbulencje.

- Zdjęcia z Kolonii Głuszyce - spokojnie wyjaśniła Olga Pralczyk. - Te, które wrzuciłeś do internetu.

Rafał Prącik milczał.

- Co to za ludzie? - zapytała i położyła rękę na jego kolanie, a mężczyzna podskoczył i wrzasnął. - Znasz ich? Lepiej odpowiadaj na moje pytania. - Olga Pralczyk jeszcze raz rzuciła okiem na grzbiet książki *Oni widzą wszystko...* i dodała szeptem: - Twoje stypendium na informatyce może być cofnięte w każdej chwili.

Rafał Prącik wielokrotnie wyobrażał sobie moment, w którym będzie przesłuchiwany. W tych fantazjach był uczestnikiem konspiracji hakerów przeciwko totalitarnemu rządowi, który wprowadził program regularnego przesłuchiwania, rejestrowania swoich obywateli oraz wszczepiania im kontrolnych czipów. Wyobrażał sobie, że poddawany nawet najgorszym torturom - rażeniu prądem, słuchaniu w kółko hip-hopowych utworów, pozbawiony wody i jedzenia - nie powie nic, aby zdradzić swoich współtowarzyszy, a będzie tylko niemo i pogardliwie patrzył w twarz swoich oprawców. Te fantazje, jak każde fantazje, okazały się mrzonką. Wystarczyła dobrze skrojona garsonka, aby Rafał Prącik pękł niczym ściskany w rączkach dziecka balon.

- Nie znam ich - wydusił z siebie Prącik, mając tylko nadzieję, że opanuje łyż. Nadzieje były płonne. - Nie znam ich, kontaktowaliśmy się wyłącznie przez internet. Poznałem ich na forum eksplorowania miast widm. Wmówiłem im, że byłem w Prypeci, bo znam na pamięć plan miasta z Google Maps. Zaprzyjaźniliśmy się, wymienialiśmy maile. Planowałem jechać z nimi do Głuszyce, ale miałem sesję, a poza tym babcia zachorowała, wypadł jej dysk, nie mogła wyjść z domu i musiałem nosić jej zakupy. Umówiliśmy się, że dostanę zdjęcia. Najpierw wysłali mi to jedno, a dopiero kilka dni później resztę - jakby mieli tam problemy z siecią.

- I chcesz tam jechać, tak? - zapytała Olga Pralczyk, znowu opierając dłoń na jego kolanie.

- Szukam ludzi... - Prącik dusił się, ze strachu i ze wstydu, bo właśnie poczuł wciekające mu do ust łyż. - Szukam ludzi, bo, bo... bo mogło im się coś tam stać. Nie wiadomo. Nie wrócili. Wiedziałbym, gdyby wrócili.

- Nie pojedziesz tam - zarządziła Olga Pralczyk. - Nic im nie jest. Nie pojedziesz tam. Przestaniesz się tym interesować. I wszystkie zdjęcia, jakiegokolwiek informacje, które dostaniesz, zamiast do internetu, będziesz wysyłał bezpośrednio do mnie. To mój numer telefonu. Pamiętaj o swoim stypendium. I o innych rzeczach. Na przykład o swojej mamie.

To mówiąc, Olga Pralczyk wstała, rzuciła mu na biurko nabazgrany na kartce numer, uśmiechnęła się i trzasnęła drzwiami, aż dwa z około dwudziestu plakatów metalowych zespołów zsunęły się na podłogę zasypaną nagrywanymi płytami i niepranymi ubraniami.

I gdy Rafał Prącik płakał, trzęsąc się, wyobrażając sobie samego siebie przed karnym plutonem egzekucyjnym konspiracji hakerów i szepczącego: „Strzelajcie, jestem zdrajcą”, Olga Pralczyk była już przed jego blokiem na przedmieściach Radomia i z odrazą wycierała obcasy szpilek z psiej kupy. Gdy skończyła, wybrała w swoim telefonie numer, który miała zakodowany pod jedyneką, i powiedziała:

- To tylko zwykły student. Gówniarz. Nic nie wie o tych ludziach. Wierzę mu. Cokolwiek

od nich dostanie, wyśle do mnie. Proszę się nie bać, szefie. Zrobi to na pewno.

- Dziękuję. Muszę kończyć. Mam tutaj jeszcze jedną ważną sprawę, a wieczorem jadę na nagranie - powiedział głos w telefonie Olgi Pralcyk. Pomimo że był rzeczowy i chłodny jak zwykle, Olga wyczuła w nim coś jeszcze. Wielką ekscytację.

* * *

Strzępowaty patrzył przez szybę samochodu, jak człowiek kończy rozmawiać przez urządzenie, wkłada je do aktówki, wyciąga rurę z dużego, metalowego pudła i zaczyna tankować samochód. Strzępowaty mgliście pamiętał, że benzyna, która napędza samochody, pochodzi spod ziemi. Wiedział, że wszystko, co jest pod ziemią, jak i na ziemi, jest skończone i policzalne. Znowu zastanowił się nad ludzką głupotą - co się stanie, gdy substancja w końcu się wyczerpie? Co zrobią wtedy ci durni ludzie, którzy myślą, że mogą przemieszczać się tak szybko, tak daleko i że tak będzie już zawsze?

Gdyby Strzępowaty był człowiekiem, szeroko by się uśmiechnął. Gdy ludziom skończy się już to, co wydobywają spod ziemi, aby napędzać swoje maszyny i ogrzewać domy, wtedy już od dawna będzie z powrotem panować Ciemność, Czarne Dni. Wtedy ludzie znowu będą wystraszeni, nagimi zwierzętami, biegającymi w kółko po lasach i polach.

- Nasza umowa jest prosta. - Człowiek znowu uruchomił maszynę. - Pomożesz mi zdobyć Kwiat Paproci. Dajecie mi Moc. Sprawiacie, że porzucam tę ludzką skorupę i dostaję prawdziwą siłę, Czarny Promień. A wtedy ja przekazuję wam Lustro.

- Skąd mam wiedzieć, że mówisz prawdę? - Strzępowaty syknął i obrócił w palcach Portret. Głowa człowieka od razu zwróciła się w kierunku przedmiotu. Wyciągnął rękę, ale zaraz schował ją do kieszeni. „Potrafi nad sobą panować - pomyślał Strzępowaty - to dobrze”. Powoli obracał Portret w palcach - im dłużej, tym bardziej czoło człowieka robiło się czerwone i mokre. - Skąd wiesz, gdzie są przedmioty?

- Ludzie je kupują. - Gdy Strzępowaty schował Portret z powrotem do kieszeni, człowiek się uspokoił. - Polują na nie. Jak wiesz, magicznych przedmiotów, tych pochodzących ze Zmorojewa, jest więcej. Ludzie nimi handlują, sprzedają je i kupują za wielkie fortuny. Wystarczy się z nimi zaprzyjaźnić, a potem ich obserwować. Jeśli jest się człowiekiem, wygląda się jak człowiek, wie się, czego szukać. Jeśli do tego ma się pieniądze, sprawa jest całkiem prosta. No, czasami jeszcze trzeba umieć negocjować.

- Nie negocjuje się z tym, który mną rządzi. - Strzępowaty poprawił na głowie idiotyczną czapkę z daszkiem, którą człowiek kazał włożyć mu dla kamuflażu.

- Ten, który tobą rządzi, chce Lustra - powiedział człowiek. - Chce go bardziej niż czegokolwiek innego. Czekaliście za długo, czekaliście tyle czasu, aby znów panować na tych ziemiach. Myślisz, że nie wiem? Wiem bardzo dużo. Wasi bracia pod każdą szerokością geograficzną zostali zamknięci w lasach, w górach, na pustyniach, zaklejeni pieczęciami, uwięzieni w potrzaskach przez zaklęcia. Bo zawsze znajdą się jacyś Jaśni, jak to oni szumnie się nazywają, i zawsze zaczną współpracować z ludźmi. Zawsze będą chcieli ich chronić przed tobą i twoimi braćmi. Co więcej, zawsze znajdą sobie jakichś Strażników, ludzi, którym dadzą moc po to, aby trzymać was w zamknięciu. Die Schone, Illuminati, święty Franciszek i jego swołocz, Twardowski, ten parszywy Anglik John Dee...

- Czemu chcesz naszej mocy?! - syknął Strzępowaty. - Ona nie jest dla was.

- Bo ona jest mocą. - Głos człowieka nagle się zmienił. Jego oczy popatrzyły na Strzępowatego i nie było w nich żadnego lęku, tak charakterystycznego dla jego gatunku. Były szeroko otwarte i Strzępowaty zobaczył, że w tym człowieku nie ma nic poza jednym, spalającym

go od środka białym ogniem. Tym ogniem było pragnienie, pożądanie tak wielkie, że każdy inny człowiek pod jego naporem pękłby jak stare drzewo, targnąłby się na swoje życie, stracił zmysły.

Strzępowaty zaczął myśleć. Ten człowiek może się do czegoś przydać. Naprawdę.

- Bo jest mocą - powtórzył człowiek. - Poświęciłem całe życie, które dla ciebie pewnie jest krótką chwilą, ale dla mnie wszystkim, co mam, poświęciłem je, aby znaleźć odpowiedź na to pytanie. I już znam odpowiedź. Wygrana jest po waszej stronie. To wy byliście pierwsi. To do was należy wszystko. Ciemność jest pierwotnym i ostatecznym stanem wszystkiego. Ciemność wygrywa zawsze. Jestem tego pewien.

Strzępowaty znowu zrobił się głodny. Musiał się powstrzymać, aby nie zjeść człowieka. Ale przypomniał sobie o Lustrze. Przypomniał sobie o tym, który nim rządzi. O tym, który rządzi nimi wszystkimi. O Leszym.

- A człowiek jest taką istotą... - Mężczyzna wyjechał na autostradę i znowu przyśpieszył, ściągając na siebie grad klaksonów. - ...która zawsze instynktownie będzie trzymać z wygranym.

- Dokąd teraz jedziemy? - chrapliwie spytał Strzępowaty.

- Jestem głodny, ty chyba też, więc zajrzemy do miasta coś zjeść. - Człowiek włożył sobie coś do ust i zaczął to żuć. Samochód wypełnił się obrzydliwym zapachem mięty. - I coś załatwić - dodał. - A potem do lasu. Tam, gdzie jest twój szef. Poznasz mnie z nim. Spróbujemy jednak ponegocjować. My, ludzie, mamy w naturze sprawdzanie każdej ewentualności.

* * *

To był najgorszy dzień w życiu inspektora Rudziaka. No dobrze, może nie najgorszy. Gdy okazało się, że jego żona związała z właścicielem sklepu z bielizną, w którym pracowała, a następnie puściła go z torbami w sądzie, było chyba gorzej. Gorzej było również wtedy, gdy po tygodniu jazdy mercedesem sprowadzonym z Niemiec za ostatnie pieniądze miał czołowe zderzenie z jeleniem, który znieacka wybiegł na jezdnię. „Bywało gorzej” - pomyślał, ocierając z ust resztki dzisiejszego obiadu, który po tym, jak inspektor wszedł do kościoła w Spryctowie, nagle zmienił zdanie i postanowił jednak opuścić jego organizm.

- Inspektorze Rudziak, protokoły czekają - przypomniał sierżant Malina, opierając się o srebrnego policyjnego opla, którego inspektor Rudziak nazywał pieszczotliwie „jebanym resorakiem”.

- Protokoły, protokoły. To idź i je wypełnij. - Rudziak zużywał trzecią chusteczkę higieniczną. - Od czterdziestu godzin nie śpię. A teraz to. Matko jedyna, przecież to jakiś kociokwik. Ja się chyba jeszcze nie obudziłem.

- Zaraz przyjadą kryminalni z wojewódzkiej. - Malina żuł gumę i specjalnie nie przejmował się tym, że w środku kościoła, pod ołtarzem, leży proboszcz z rozszarpanym na strzępy gardłem.

„Malina cały czas siedzi w internecie - pomyślał Rudziak. - Tam takiego chorego ustrojstwa jest na potęgę”. Nagle poczuł się lepiej, że zachował jeszcze jakieś resztki wrażliwości w tym przeklętym świecie.

- O, i już są animalsi - dodał Malina, wskazując na wjeżdżające na przykościelny parking samochody schroniska dla zwierząt oraz wojewódzkiego weterynarza.

- Witam ponownie - powiedział Rudziak, podchodząc do doktora Dzwolczyka, z którym piętnaście godzin wcześniej badał znalezione w przydrożnym rowie zwłoki leśniczego z Głuszyc, Mariana Pucla. Przy zwłokach Pucla jeszcze nie wymiotował, ale było ciemno.

„Dwa trupy w ciągu dwudziestu godzin, w obrębie czterdziestu kilometrów. Tego jeszcze nie grali - pomyślał Rudziak. - Całe życie się modłę, aby moja robota zaczęła przypominać robotę glińiarzy z telewizji”.

- Tutaj chyba mamy coś podobnego - dodał.

Ruszyli w kierunku kościoła. Inspektor Rudziak wziął kilka głębokich oddechów, gdy przestępowali próg. Na miejscu stali lekarze oraz medyk sądowy, metodycznie wycierający o fartuch dłonie w gumowych rękawiczkach. Inspektor Rudziak przez chwilę miał nadzieję, że ksiądz nie okaże się rozszarpany, że to była tylko halucynacja, że na miejscu zostanie po prostu otyłego sybarytę, którego serce w końcu nie wytrzymało urządzanych przez parafian wystawnych kolacji. Ale nie, ksiądz był szczupły i młody, a jego gardło rozprute jak stare prześcieradło.

- Musimy szybko badać sprawę, bo prasa już dostała cynk - powiedział Darek, reprezentujący schronisko dla zwierząt. - Z urzędu miasta kumpel zadzwonił, że już poszło i zaczęli smażyć w „Szoku!” jakieś farmazony o leśnym demonie na wolności, przeklętym wilku czy czymś takim.

- Dzwoniliście po okolicznych cyrkach, czy nie zwiął żaden dziki kot? - zapytał doktor Dzwolczyk, patrząc na rozszarpane ciało i kałużę krwi.

- Tu nie było cyrku od listopada - mruknął Rudziak, odwracając się w kierunku ławy. Nagle coś przykuło jego uwagę.

- A zoo? - zapytał w dziwnym ataku intelektualnej przytomności sierżant Malina.

- Najbliższe zoo jest w Płocku - odpowiedział doktor Dzwolczyk, ale Rudziak już tego nie słyszał.

Pomiędzy ławami leżał jakiś lśniący prostokątny przedmiot oparty o kłęcznik. Rudziak zastanawiał się, dlaczego nikt do tej pory go nie zauważył, ale zaraz przypomniał sobie, że jego ludzie nie znaleźli kiedyś walizki z dwustoma tysiącami euro w bagażniku zmiążdżonego o drzewo samochodu na rosyjskich rejestracjach z dwoma łysymi, anonimowymi osiłkami w środku. Podniósł przedmiot - stare lustro w drewnianej ramie. Za powierzchnię odbijającą nie służyło jednak szkło, ale stop jakiegoś metalu - odbicie było niewyraźne i poskręcane jak w gabinecie luster w wesołym miasteczku.

- Co to jest?! - zawołał.

Stojący nad ciałem odwrócili się w jego kierunku.

- To zabytek, proszę ostrożnie, nie dotykać - powiedział wychodzący z zakrystii młody ksiądz.

Chłopak miał nie więcej niż dwadzieścia parę lat i poważny niedobór męskich hormonów - mówił piskliwie, a zamiast zarostu z twarzy wystawały mu pojedyncze kłaczki.

- Czy ksiądz widział, co tu się stało? - Rudziak podszedł do duchownego, nie odstawiając lustra. Gdy stanął przed nim, ten od razu wyciągnął po niego rękę.

- Nie widziałem, dopiero przyszedłem. - Chłopak wyglądał na roztrzęsionego. - To straszne. To takie straszne. Proboszcz był sam na plebanii, zajmował się chyba parafialną księgowością. Nikogo nie widziałem.

- To może być dowód w sprawie. - Rudziak nie oddał mu lustra, zamiast tego postawił je przy nodze.

- To Lustro Twardowskiego - wyjaśnił kleryk. - Jeden z zabytków kościoła.

- Lustro Twardowskiego? Tego... Twardowskiego z bajki? Od diabła i księżycy i tak dalej?

- Tak, tak. Lustro Twardowskiego rzekomo używał Jan Twardowski, nadworny magik Zygmunta Augusta, aby pokazywać w nim przyszłość. Nasza parafia dostała je dawno temu od szlacheckiej rodziny Połanieckich.

- To autentyk? - zapytał Rudziak, ostrożnie podnosząc zwierciadło z ziemi. Dopiero teraz zauważył inskrypcję po łacinie wyrytą gotyckim pismem na górnej części ramy.

- „Bawił się tym lustrem Twardowski, magiczne sztuki czyniąc, teraz przeznaczone jest na

służbę Bogu” - kleryk ubiegł pytanie Rudziaka, co znaczy napis. - W tym przypadku nie ma czegoś takiego jak autentyk. Luster tak naprawdę stworzono kilka, wszystkie w tym samym okresie. Cieszyły się dużą popularnością na dworach szlacheckich i były bardzo cennymi przedmiotami.

- Czyli żadnym z tych luster nigdy tak naprawdę nie bawił się Jan Twardowski? - zapytał Rudziak.

- Nikt tego nie wie. - Ksiądz, pomimo zdenerwowania, wznosił ręce i głowę w bogobojnym geście.

Rudziaka historia dziwnie zaintrygowała.

Nigdy nie interesował się niewyjaśnionymi zjawiskami i nigdy w nie nie wierzył. Starał się polegać na rozumie i zdrowym rozsądku, a wszystkie „dziwne zdarzenia”, od których w tej okolicy wręcz dudniło, zwał na karb ograniczenia i spożywania przez miejscowych nadmiaru wody i tanich win. Ale rozszarpane ciało i magiczne lustro rzucone między ławy jak niepotrzebny śmieć w jednym kościele - to było coś zupełnie innego niż pijak ganiający w delirium po lesie, uciekający przed urojonym demonem.

- Proszę księdza, skoro to taki ważny zabytek, dlaczego, gdy przyszedliśmy, leżał po prostu między ławami kościoła? - Rudziak jeszcze raz wskazał przedmiot.

- Nie mam zielonego pojęcia. Lustro wisi w pomieszczeniu dla zwiedzających, które poza wyznaczonymi godzinami jest zamknięte na klucz. Ktoś chyba chciał je ukraść.

- Nie mam pojęcia, co zaatakowało tego księdza. - Doktor Dzwolczyk podszedł do nich, kręcąc głową z niedowierzaniem. - W życiu nie widziałem czegoś takiego. Te rany wskazują, w mojej opinii, na jedno gwałtowne szarpnięcie. Tylko duży dziki kot mógłby jednym ruchem w ten sposób rozplatać czyjeś gardło. Ale dziki kot nie ma tak długich szponów. Mówię jeszcze raz, nie mam zielonego pojęcia.

- Jakiś związek z ciałem tego leśniczego? - Rudziak właśnie przypomniał sobie, że marzy o papierosie. Poklepał się po kieszeniach. Został jeszcze jeden. „Jeszcze chwila - pomyślał. - Zaraz go zapalę i spróbuję poskładać sobie wszystko w głowie, chociaż zdecydowanie przekracza to moje możliwości”.

- Niewielki. - Usłyszał głos i stukanie butów o kościelną posadzkę.

Do kościoła wszedł detektyw Barniec z policji kryminalnej w Olsztynie - niepozorny niski facet w szarym golfie, który bardziej wyglądał na emerytowanego księgowego niż na najsukuteczniejszego człowieka rozwiązującego sprawy zabójstw w województwie warmińsko-mazurskim.

- Tutaj zakładamy atak jakiegoś dzikiego zwierzęcia...

- Zwierzęcia, które prawdopodobnie próbowało skraść zabytkowe lustro. - Rudziak pokazał detektywowi przedmiot.

Barniec podszedł do ciała i kucnął nad nim. Pokręcił głową.

- Zabieramy go do kostnicy - rzucił do ludzi za sobą, po czym spoglądając na Rudziaka, powiedział: - Przebadaliśmy tego leśniczego. W życiu czegoś takiego nie widziałem.

- Też zwierzę? - zapytał Rudziak.

- Bynajmniej. Człowiek. Wszędzie na ciele ma ślady zębów. Ludzkich.

- Człowiek? - Rudziak oparł się o nawę ołtarza. Zakręciło mu się w głowie.

- Żeby to był inny człowiek. Nasze konowały rozkroiły faceta i są przekonani, że koleś sam się zżarł. W żołądku ma pełno ludzkiego mięcha.

Rudziak odwrócił się i ruszył w stronę wyjścia. Nie zwracając uwagi na etykietę, zapalił papierosa, a gdy doszedł do zbiornika na wodę święconą, wypalił już ponad połowę. „Jaka żona? - pomyślał. - Danka była tak naprawdę wrzaskliwą jędrą, która zatruwała mi życie. Jaki jeleń? -

myślał dalej. - Było mięcha na pół roku, a szwagier po znajomości i za pół darmo wyklepał przód karoserii tak, że nic nie było widać”. To właśnie dzisiaj, bez żadnych wątpliwości, miał miejsce najgorszy dzień w jego życiu.

* * *

- No już na nią nie krzycz. Ona nic nie zrobiła. Przestań w końcu na nią krzyczeć, bo sama mam tego dość. - Anka słyszała zza ściany głos pani Maryli, która wydawała jej się obecnie najcudowniejszą osobą na świecie. Chociaż w tym momencie wszystko było najcudowniejsze. Najcudowniejsza była podana jej herbata z miodem i z cytryną. Talerz gorącej zupy był najcudowniejszym talerzem zupy w tej galaktyce. Prysznic, który wzięła przed chwilą, był najwspanialszym, najbardziej kojącym prysznicem, jaki wzięła w życiu. Nawet kanonada wrzasku, którą mama obdarzyła ją na wejściu, brzmiała przez moment jak cudowna muzyka.

Anka żyła i była bezpieczna, i po raz pierwszy w życiu czuła to tak intensywnie.

- Zaraz skoczę do Balczarka, weźmiemy jego terenowy samochód i razem pojedziemy do Kolonii. - Pan Zbigniew Grójecki odłożył słuchawkę. - Tymczasem opowiedz to jeszcze raz od początku, na spokojnie.

Anka starała się streścić całą historię składnymi, prostymi zdaniami. Opowiedziała o wszystkim. O małej istocie, której wbiła w oko scyzoryk. O dziurze w podłodze, przez którą wpadł Tytus. O chłopakach ze wsi, którzy ich dogonili i z których jeden rzucił się na drugiego, po czym przegryzł mu tętnicę szyjną. „To wszystko brzmi jak tandetny horror puszczone na Polsacie po godzinie dwunastej. Ale to wszystko jest prawdziwe. To wszystko mi się przytrafiło”. Rozpląkała się.

- Mam nadzieję - powiedziała, próbując jednocześnie mówić i połykać wpadające jej do ust lzy i gile - mam nadzieję, że nic mu się nie stało. Tak bardzo bym chciała, aby nic mu się nie stało.

- Wszystko w porządku. - Pan Zbigniew był dziwnie spokojny. Wstał i położył Ance rękę na ramieniu. - Wszystko będzie okej.

- Co się z nim stało? - Anka popatrzyła w oczy pana Zbigniewa, szukając w nich odpowiedzi.

Nagle zaczęła potwornie żałować. Żałować, że zagrała na uczuciach Tytusa, tak jak zrobiła to z kilkoma innymi chłopakami, którzy po prostu wydawali jej się śmiesznymi w swojej głupocie chodzącymi zabawkami, potrafiącymi mówić jedynie o komputerach i samochodach. Tytus był inny - wrażliwszy, inteligentniejszy, bardziej pociągający. Owszem, również interesował się grammi, ale nie zasługiwał na to, aby dać mu nadzieję na cokolwiek, a potem ją zabrać, jakby był kotem, a jego uczucia - myszką z włóczki. Żałowała też, że go okłamała. Owszem, okłamywała wszystkich, próbując jakoś wytłumaczyć despotyczne zachowania mamy, bo przecież nie ma nic bardziej wstydlwego w oczach rówieśników niż bycie stłamszonym przez własną matkę. A jej matka, dyrektor generalny dużej warszawskiej firmy spożywczej, dużo lepiej niż rodzic realizowałaby się jako dyktator. Tytus zasługiwał na to, aby wiedzieć, że Anka jak najbardziej zdała do następnej klasy. Karę dostała za to, że na świadectwie widniały dwie niewybaczalne w oczach jej matki czwórki - z fizyki i biologii. Zasługiwał również na to, aby wiedzieć, że owszem, Ance zdarzyło się parę razy zapalić trawę, ale nie było żadnego pudełka z narkotykami, tabletkami na uspokojenie i żyłkami. Tytus Grójecki, który w najlepszym wypadku leżał w jakiejś dziurze w piwnicy nawiedzzonego domu w środku lasu ze złamaną nogą, zasługiwał na o wiele, wiele więcej.

- Niedługo będziemy, Marylko - rzucił pan Grójecki i wyszedł z domu, zamykając za sobą drzwi.

- Jedziemy do domu. - Pani Waszczuk ostatni raz była tak roztrzęsiona, gdy córka na jej

oczach o mało nie wpadła pod ciężarówkę, gdy przebiegała przez jezdnię.

Anka zacisnęła zęby i skuliła się w fotelu.

- Wolę zostać tutaj - wycedziła do ściany, chociaż komunikat był skierowany do jej mamy.

- Anka, powiedziałam, jedziemy do domu, bez dyskusji - powtórzyła pani Waszczuk tym tonem, którego dziewczyna nienawidziła najbardziej na świecie, tonem, który sprawiał, że w jej wyobraźni wykwiwały obrazy, z których bała się nawet wypowiadać przed własnym psychologiem. Ale teraz zauważyła, że reaguje na ten ton dziwnie spokojnie. Że w porównaniu z wizją kolegi leżącego teraz w dziurze, z dziwną istotą, z przegryzaniem tętnic oraz z jechaniem na ośle przez las na rowerze w stanie obezwładniającego strachu, który czuje się jak drugą skórę, raz paląco zimną, raz parzącą jak rozgrzany metal, ton jej mamy jest śmieszny i mały. „Jak głośne szczekanie miniaturowego psa” - pomyślała.

- Mam gdzieś, dokąd jedziesz, mamo - powiedziała bardzo spokojnie do ściany. - Ja zostaję tutaj.

Pani Waszczuk otworzyła usta, ale nie dobył się z nich żaden dźwięk. Pani Maryla tylko kiwnęła głową, złapała panią Waszczuk za rękę i wyciągnęła z mieszkania. Gdy drzwi się za nimi zamknęły, Anka wypuściła powietrze z przepony. Trwało to bardzo, bardzo długo, jakby jednym oddechem chciała wyrzucić z płuc cały stres, cały strach.

Po chwili do domu weszła z powrotem pani Maryla. Bez słowa wzięła z szafki pled i przykryła Ankę, która w końcu przestała wbijać wzrok w ścianę i spojrzała na panią Marylę. Tak samo jak pan Zbigniew, również była dziwnie spokojna, ale coś zmieniło się w jej spojrzeniu. Oczy kobiety, pełne energii, iskrzącego blasku, oczy, które powinny należeć do osoby dobre trzydzieści lat młodszej, nagle zmatowiały, zrobiły się puste. Zamieniły się w stare, zmęczone oczy sześćdziesięciokilkuletniej kobiety. Jakby bateria, która dawała jej siłę i energię, wyładowała się w ciągu jednej chwili. Pani Maryla przyniosła z kuchni kolejne dwie herbaty, postawiła na stoliku przed Anką i usiadła naprzeciwko niej.

- A teraz coś ci opowiem, dobrze, Aniu? - Pani Maryla westchnęła, patrząc w kierunku parapetu z roślinami. - Coś ci opowiem, ale niech to na razie będzie nasz sekret. Za jakiś czas i tak wszyscy będą o tym wiedzieć.

- Sekret?

- Tak. Stało się coś, czego się bardzo bałam. - Pani Maryla wzięła łyk herbaty, starając się opanować drżenie rąk. - A nie ma sensu ukrywać przed tobą, o co chodzi, skoro widziałas to na własne oczy.

* * *

Rudziak i Barniec jedli hot dogi i popijali je kawą o smaku rozrzedzonego błota na nowo otwartej stacji benzynowej tuż za Sprytowem. Stacja służyła wszystkim okolicznym miejscowościom za restaurację, punkt spotkań oraz jedyny czynny sklep całodobowy - była otoczona pierścieniem wszelakiego możliwego śmiecia, którego najwyraźniej nikomu nie chciało się sprzątać.

- Odwiozę was do domu. My się już tą sprawą zajmujemy - powiedział Barniec, zapalając papierosa i od razu zanosząc się kaszlem.

- Mnie i kogo? - Rudziak rozejrzał się wokoło. - Jestem tu sam.

- Przepraszam. - Barniec był jednym z tych ludzi, którzy spalają papierosa pięcioma zaciągnięciami. - Stare nawyki zdychają długo. Zwłaszcza językowe. W każdym razie sprawę przejmuje wojewódzka dochodzeniówka. To za duża rzecz jak na tutejszą policję. Jeśli rzeczywiście to jakieś zwierzę, to wtedy zaangażujemy w to waszych leśniczych.

Wyrzucili resztki hot dogów i kawy do kosza na śmieci, zgasili papierosy i wsiedli do samochodu.

- To morderstwo najprawdopodobniej na tle rabunkowym. - Rudziak przeciągnął się, a jego stawy wydały taki dźwięk jak folia bąbelkowa, na którą ktoś nadepnął.

- Tego nie wykluczam. - Barniec zapalił kolejnego papierosa. - Ale i tak kazałem animalsom przetrzepać okolicę w poszukiwaniu zbiegłego dzikiego zwierzęcia.

- Oni nic nie znajdą. Mówię: morderstwo.

- Tego też nie wykluczam.

Kawa w ogóle nie działała na inspektora Rudziaka. Czuł się wyczerpany, każdy dźwięk, widok, każdy dochodzący z zewnątrz bodziec był jak wkłuwana pod skórę igła. Miał dość. Jego najbliższe plany opisywały proste zdania: wziąć kąpiel, zjeść kolację, wypić piwo, iść spać. Miał wrażenie, jakby to, co mówił detektywowi Barńcowi, było nagraniem z włączonego w brzuchu, omyłkowo połkniętego magnetofonu.

- Te dwie sprawy mają związek - powiedział magnetofon.

- Z całym szacunkiem, ale skąd taka przenikliwość u policjanta, który zajmuje się głównie sprawami podpaleń stodół i dewastowania przystanków?

Rudziak nie wiedział, czy to zmęczenie, czy wściekłość nadały jego oczom ten wyraz, ale gdy popatrzył na detektywa, ten się wzdrygnął. Rudziak bez słowa wziął papierosa z jego paczki i również zapalił.

- Ludzie na wsiach mordują się tak samo jak w miastach. Tylko brudniej, gwałtowniej, prymitywniej. Pijany ojciec potrafi wbić nóż w brzuch synowi, który broni przed nim siostrę. Kobita pije denaturat, dostaje delirium i roztrzaskuje mężowi głowę siekierą. To się dzieje, to jest życie, to prawda. Zetknąłem się z dziesiątkami takich spraw. Pracuję w policji na tym terenie od trzydziestu paru lat i powiem panu, że jeśli dwa zupełnie zmasakrowane trupy pojawiają się w ciągu kilkunastu godzin, to nie może to nie mieć ze sobą związku.

Barniec patrzył na niego bez słowa. Nie spodziewał się takiego wyводу po prowincjonalnym policjancie. Rudziak, prawdę mówiąc, też nie spodziewał się takiego wyводу po sobie i coraz bardziej przekonywał się do hipotezy o omyłkowym połknięciu magnetofonu. Siedzieli tak bez słowa, dopóki Rudziakowi nie zadzwonił telefon. To był Malina. Rudziak, gdyby miał siłę, toby jęknął. Gdy odebrał, jedynie słuchał, nie wypowiadając ani słowa, a Barniec mógłby przysiąc, że podczas tej krótkiej rozmowy inspektor Rudziak, człowiek o aparycji starej, zgniecionej gazety, postarzał się o kolejne kilka lat.

- Jedziemy do Głuszyc - powiedział Rudziak, rozłączając telefon. - Daj mi pan jeszcze papierosa.

- Do Głuszyc?

- Nad ranem znaleźli kolejnego chłopaka. Zagryziony. Ślady ludzkich zębów. To samo co leśniczy. Niedaleko Kolonii Głuszyc. - Rudziak mówił tak beznamiętnie jak czytający ogłoszenia parafialne skacowany ksiądz.

- Jedziemy? - Barniec przekreślił kluczyk w stacyjce. - Naprawdę, odwiozę pana do domu. To już nasza sprawa.

- Panie... - Rudziak popatrzył na Barńca, jakby tamten zupełnie nie wiedział, co mówi. - Przecież pan nawet nie wiesz, jak tam dojechać.

7. Pod podłogą

Pierwsze, co poczuł, to okropny ból potylicy.

Przesunął ręką po włosach i wymacał pulsujące zgrubienie rosnącego guza. Jęknął. Stwierdził, że nie leży na ziemi, tylko na czymś miękkim i chłodnym. Zbadał to podłoże rękoma. Uspokoił się. Przypominało materac.

Pierwsze, co usłyszał, to wypowiedziane przez kogoś pytanie:

- Jak?

I odpowiedź kogoś innego:

- Pewnie tak samo jak my.

Jeszcze raz pomacał guza i rzucił w kierunku rozmawiających osób:

- Chyba spadłem przez dziurę w piwnicy.

A wtedy jedna z osób skomentowała:

- To nie tak jak my.

- Nie było żadnej dziury - dodała druga.

- I to wcale nie jest piwnica - uściśliła pierwsza.

- A może on wie, o co tu w tym wszystkim chodzi i kiedy nas stąd wypuszczą - głośno myślała pierwsza osoba.

Tytus uznał, że musiał rzeczywiście mocno uderzyć się w głowę. Jego mózg dopiero zaczął pracować. Na początek zarejestrował, że oba rozmawiające głosy były męskie.

W końcu otworzył oczy, ale wiele nie zobaczył. Jedynym źródłem światła w pomieszczeniu była zawieszona pod sufitem pomarańczowa kula emitująca mdłe, słabe światło, niewiele mocniejsze od blasku świecy. Tytus rozejrzał się - znajdował się w niewielkim, obitym boazerią pokoju bez okien. Jedynym wyjściem były drewniane drzwi z małą okrągłą szybką na wysokości oczu dorosłej osoby. Gdy zatrzymał na nich wzrok, spod ściany dobiegł głos:

- Nie otwierają się nigdy. Nawet nie wiem, jak wrzucają tu jedzenie. Zasypiamy, a gdy się budzimy, ono po prostu jest.

Wzrok Tytusa przyzwyczajał się do półmroku, a może to światło stało się intensywniejsze.

Na materacach po przeciwnej stronie pokoju siedziało dwóch chłopaków, na oko w wieku dwudziestu paru lat. Ubrani w bojówki i koszulki - jeden z wizerunkiem UFO i logo serialu *Z archiwum X*, drugi z okiem w piramidzie - nie wyglądali najlepiej. Nieogoleni, w wymiętych ubraniach, sprawiali wrażenie ludzi, którzy przeżyli dużo więcej przygód, niż mieli ochotę. Jeden był misiowatym, postawnym brunetem z długimi włosami związanymi w koński ogon; drugi, jakby dla kontrastu, krótko ściętym blondynem.

- Gdzie ja jestem? - zapytał Tytus.

- Masz papierosa? - odpowiedział pytaniem na pytanie misiowaty brunet.

- Bardzo mi przykro. Nie palę. - Tytus usiadł na łóżku.

- Jezus Maria! Zabiłbym za papierosa - jęknął brunet i zrezygnowany przyjął pozycję leżącą.

Tytus zaczął oglądać swoje ręce, ale nie zauważył żadnych poważniejszych skaleczeń - jedynie kilka siniaków i zadrapań.

- Jak się tu dostałeś? - zapytał blondyn.

- W sumie mógłbym zapytać was o to samo. - Tytus jeszcze raz rozejrzał się po pomieszczeniu, ale poza materacami nie było w nim absolutnie nic. Żadnych mebli, obrazów na ścianach. Przy jego posłaniu stała taca z kubkiem wody i talerzem, na którym leżały jakieś dziwne, nieforemne placki. Jako jedyny element wystroju służyła zawieszona w rogu pokoju kolorowa zasłona. Tytus spróbował jednego placka - byłby całkiem niezły, gdyby tylko dodano do niego soli.

- Z naszej perspektywy dostałeś się tutaj tak jak jedzenie - powiedział misiowaty brunet. - Zasnęliśmy, a gdy się obudziliśmy, ty po prostu tutaj byłeś.

Tytus powoli zaczynał przypominać sobie, jak się tutaj znalazł. Pamiętał, że wszedł do domu Wirdały i jakby automatycznie, powoli, zaczął iść w kierunku piwnicy. Przypomniało mu się, że usłyszał z zewnątrz domu jakiś hałas, ale nawet się nie odwrócił. Czuł obecność, nawet nie osoby, ale czegoś, jakiegoś bytu, który wykazuje pewną logikę działania, a może nawet ma świadomość, lecz bez wątpienia jest zupełnie wyzbyty cech ludzkich i na wskroś zły. Ponadto czuł, że coś go prowadzi, sugerując mu, że właśnie tam, w piwnicy, znajdują się wszystkie rozwiązania i odpowiedzi, których potrzebuje. Pamięć urwała mu się na schodach. Z tego, co nastąpiło potem, pamiętał tylko obłok wdzierającego się do gardła i płuc pyłu, biały dym, nagłe pojawienie się dziury na środku podłogi oraz uczucie spadania. Nie pamiętał jednak momentu upadku. Przedtem stracił przytomność. A potem obudził się tutaj. „Jako więzień” - to stwierdzenie rozbłysło mu w głowie tak silnie, że niemalże wypowiedział je na głos. A gdy sobie to uświadomił, oblał go zimny pot.

- Jak długo tu jesteście? - zapytał siedzących pod ścianą chłopaków.

Tamci dwaj milczeli, jakby nie zwracając na niego uwagi. Tytus zdawał sobie sprawę z tego, że był jakby otumaniony, że pył, który wdychał, musiał zawierać coś zmieniającego świadomość - wracała mu bowiem powoli i fazami. Pitoń opowiadał mu kiedyś, jak czuje się człowiek wybudzany z narkozy. Tytus doszedł do wniosku, że jego stan musi być bardzo podobny. Z tą różnicą, że nie widział podwójnie. Przypomniał sobie jeszcze coś: tuż przed tym, jak wpadł do dziury, na zewnątrz ponownie rozległ się hałas i z bardzo daleka, na granicy słyszalności, dobiegł go krzyk Anki wołającej jego imię. Nie była to jedyna rzecz, jaką usłyszał. Teraz nie był pewien, czy naprawdę miało to miejsce, czy otumaniony umysł sobie z niego kpi. Ale skądś dobiegł go też dziwaczny głos, głos mówiący: „Tam nie wolno wejść. Jesteś głodny, wracaj, najesz się...”. Wołał na razie tego nie roztrząsać.

Miał ogromną nadzieję, że Ance nic się nie stało. Obmacał kieszenie. W jednej z nich, o dziwo, dalej był jego telefon.

- Daruj sobie - rzucił misiowaty brunet. - Ewentualnie mógłbyś otworzyć sobie nim browara, gdyby tylko go tu serwowali. Na marginesie, za browara może bym nie zabił, ale na pewno okaleczył.

- Cholera wie, ile tu siedzimy. - Blondyn w końcu odpowiedział na jego pytanie. - Trudno zgadnąć, gdy nie wiesz, czy jest noc, czy dzień i nie działają zegarki.

Tytus odruchowo spojrział na swój - rzeczywiście, wskazówki stały.

- Od tego można zupełnie zwariować - dodał misiowaty brunet - dużo bardziej niż z braku fajek. Cholera w ogóle wie, kto nas tu trzyma. Założę się, że jakiś kompletny psychol. Pewnie skończymy w jakiejś potrawce.

- Znosicie to całkiem spokojnie - zauważył Tytus, po czym dodał zgodnie z prawdą: - Gdyby nie wy, nie mógłbym przestać wrzeszczeć ze strachu.

- Znosimy to spokojnie. - Brunet westchnął, z sapnięciem podnosząc się z materaca. - Bo nie mamy za bardzo innego wyjścia. Etap walenia i kopania w te cholerne drzwi, wrzeszczenia, bluzgania i gróźb popełnienia samobójstwa przerobiliśmy już dosyć gruntownie.

- I co?

- No i nic. - Brunet wzruszył ramionami. - Zero reakcji. Zasypiasz, budzisz się, jest zarcie. Jesz, potem chwilę siedzisz, zasypiasz, wstajesz. Załatwiasz się tam. - Pokazał palcem zasłoniętą podartą firanką wnękę w ścianie.

- Założę się, że policja szuka nas po całej Polsce - stwierdził blondyn, po czym mruknął do misiowatego bruneta: - Zachciało nam się, co? Myślałem, że przyjedziemy i będzie jak wszędzie:

rozwalone domy, syf, śmieci, puszki po browarze i publiczna toaleta. A zobacz, Barti, jaka przygoda.

Tytus patrzył na nich badawczo. Powoli zaczynał mieć podejrzenia, kim są jego współwięźniowie. Zanim jednak zdążył zadać pytanie, ubiegł go blondyn:

- Jak już jesteśmy razem, chyba powinniśmy się sobie przedstawić. Ja nazywam się Damian, a to jest Bartek.

- Jestem Tytus. - Tytus wstał, podszedł do obu chłopaków i uścisnął im ręce. - Bardzo mi miło.

- Jesteś z tej miejscowości tutaj? Jak ona się nazywa... - Damian się zamyślił.

- Głuszyce - dopowiedział Tytus. - Nie, nie jestem stąd, ale z Warszawy. Przyjechałem do babci na wakacje.

- I pewnie wybrałaś się na wycieczkę do tej opuszczonej wiochy, bo babcia naopowiadała ci tych wszystkich historii o nawiedzonym lesie, starym Wirdale, który zjada dzieci, i tak dalej? - Bartek wyciągnął z kieszeni paczkę zapalek, wyjął jedną i włożył do ust.

- Nie tylko o to chodzi. - Tytus uważnie popatrzył na obu chłopaków. - Jakby to powiedzieć, od dawna interesuję się zjawiskami paranormalnymi...

- Czyli jesteś jednym z tych idiotów, którzy święcie wierzą w to, że naszą planetę regularnie odwiedzają zielone ludziki z Proximy Centauri? - Bartek się zaśmiał, ale Damian uciszył go ruchem ręki.

Tytus podziękował kiwnięciem głowy.

- No i regularnie wchodzę na forum internetowe programu *Tajemna Strona* - dodał Tytus. - I tak pewnie bym tu przyjechał, bo babcia strasznie nalegała, abym spędził u niej wakacje, dawno mnie nie widziała i takie tam. Wiecie, jak to jest z babciami. Traktowałem to jako zło konieczne, ale w przeddzień wyjazdu znalazłem informację o tym, że dwóch eksploratorów miał widm wyjechało do Kolonii Głuszyce, by zbadać tamtejszą opuszczoną wioskę, i do tej pory nie wróciło. Jedynym śladem ich aktywności był MMS, wysłany do kogoś, kto napisał tamten post.

Bartek i Damian popatrzyli na siebie ze zdziwieniem.

- Domyślam się, że to wy. - Tytus miał pewność, że dwóch chłopaków, z którymi siedzi w tym pokoju, to zaginiona ekspedycja.

- Kiedy to było? To znaczy, kiedy przeczytałeś tego posta? - zapytał Bartek.

- Tydzień temu.

- Matko jedyna! - Po raz pierwszy na twarzy Bartka Tytus zobaczył jakieś emocje, jakby informacja o czasie, który tu spędzili, przypomniła mu, że jest zamknięty w dziwnej piwnicy, nie wiadomo, przez kogo, i nie ma pojęcia, ile jeszcze czasu tutaj spędzi. - Jesteśmy tutaj już tydzień. Matko jedyna!

Bartek wstał. Był bardzo wysoki - miał jakieś dwa metry wzrostu. Podszedł do drzwi, obmacał je delikatnie, po czym rozpędził się i z wysokości, przenosząc ciężar ciała na nogę, kopnął z impetem. Nawet nie drgnęły. Tytus był pewien, że gdyby okazały się po prostu drewnianymi drzwiami ze zwykłym zamkiem, Bartek bez problemu wybiłby w nich pokaźną dziurę.

- Daj spokój. - Damian pokazał Bartkowi niecierpliwym gestem, aby z powrotem usiadł, po czym zapytał Tytusa: - Zaraz, mówisz, że tam były jakieś zdjęcia, które mu wysłaliśmy?

- Skoro doszły do niego te zdjęcia... - Bartek wrócił do gwałtownego przeżuwania zapalki - to może też doszły SMS-y do starych? Albo do Darii i Pauliny?

- I nie wiesz, czy nie zawiadomił policji czy coś takiego?

- Nie mam pojęcia. Na forum napisał, że chce zorganizować wyprawę, aby was odnaleźć, jeśli przez następne parę dni nadal nie dostanie od was żadnej informacji.

- Ta... on zorganizuje wyprawę. My go nawet nie znamy. - Bartek, mówiąc to, machnął pogardliwie ręką. - Ja z nim raz gadałem przez telefon i to jest jakiś bałwan, studentik informatyki, któremu mama szykuje ziemniaczki i kotleciki z mizerią na obiadek i który w życiu nie wyściubił dupska poza uczelnię, ewentualnie chatę kumpla, z którym ogląda japońskie animowane pornosy. Zorganizować to on może ewentualnie nowe gierki z torrenta, a nie wyprawę.

Tytus się uśmiechnął. Coraz bardziej lubił Bartka. Cieszył się, że jeśli już musi wpakować się w kłopoty, to przynajmniej z kimś, kto ma poczucie humoru.

- Dobra, to mów dalej, jak się tutaj znalazłeś - poprosił Damian.

Tytus opowiedział więc wszystko od początku i ze szczegółami, może nadmiernie eksponowanymi, zwłaszcza jeśli chodzi o Ankę, ale Bartkowi i Damianowi w ogóle to nie przeszkadzało. Widać było, że przez tydzień siedzenia tutaj w zamknięciu powiedzieli już sobie nawzajem wszystkie ciekawe rzeczy, jakie tylko mogli. Więc Tytus mówił i mówił, nie tylko o samym dojeździe na miejsce, drodze, domu Wirdały, o sile, którą poczuł, lecz także powtarzał jeszcze raz wszystkie opowieści i legendy, jakie usłyszał od babci.

- W naszym przypadku wyglądało to trochę inaczej - powiedział Damian. - Ten dym, o którym mówisz, widzieliśmy już, kiedy weszliśmy do wioski. Wisiał kilkanaście centymetrów nad ziemią, jak gęsta mgła. W środku domów było go jeszcze więcej, więc tak naprawdę niewiele zobaczyliśmy. Wtedy też próbowaliśmy robić zdjęcia, które wysyłaliśmy do Johna Kondona czy jak mu tam. Gdy poszliśmy do domu Wirdały, dymu kłębiło się już tyle, że w pewnym momencie zupełnie straciliśmy orientację. To była najgęstsza mgła, jaką widziałem. W pewnym momencie Bartek zniknął mi z oczu i przestałem go słyszeć. Po prostu jakby rozpląnął się we mgle. Łaziłem w kółko, nawoływałem go, ale bez skutku. Wtedy zaczęło kręcić mi się w głowie, nagle poczułem się tak, jakbym zjadł tabletki nasenne i zapił je wodą. Próbowalem z tym walczyć, ale nie dało rady. Po prostu położyłem się na trawie i odpłynąłem. A potem obudziłem się tutaj i znowu zobaczyłem jego głupi ryj.

- Pocałuj mnie w dupę! - rzucił Bartek, przeciągając się.

- To wszystko jest strasznie dziwne - podsumował Tytus, rozglądając się po pokoju. Nagle zerwał się i podszedł do materaca. Dopiero to zauważył - przy jego posłaniu leżał plecak Anki. Przełknął ślinę i zaczął go oglądać, ale nie było na nim żadnych śladów. Wyglądał tak samo jak wtedy, gdy zobaczył go po raz pierwszy, przy wyjeździe z Głuszyc - czarny, z jedyną naszywką przedstawiającą narysowaną wykrzywioną twarz i napis: „EAT SHIT AND DIE”.

- No, bracie, co najmniej dziwne - zgodził się Bartek. - Analizowaliśmy to już na tryliony różnych sposobów i dalej nie możemy rozgryźć tego, co tak naprawdę się stało. Jeśli to jest jakiś wariat, który chce nas uwięzić, a w konsekwencji zabić, to powiedz mi, który wariat, a nawet seryjny morderca z filmów, ma dostęp do armaty z gazem usypiającym? Mnie się wydaje, że jesteśmy cały czas czymś naćpani i że to wszystko po prostu nam się śni.

- Nie, nie, coś innego jest dziwne - sprostował Tytus, przeszukując plecak. W środku nie było niczego nadzwyczajnego. Tampony, bluza, kanapki zrobione przez babcię Marylę, jakaś koszulka na zmianę, paczka papierosów. Nagle wymacał coś na dnie. Pomimo całej tej fatalnej sytuacji się uśmiechnął. Anka miała w plecaku dodatkową puszkę gazu. Pociuszająca świadomość: mieć jednak jakąś namiastkę broni. - Dziwne jest to, co widziałem na zdjęciach, które wysłaliście do tego chłopaka: nie wioskę, lecz dużo większe zabudowania, jakby kamienice. Jedyne, co się zgadza, to dym, fotografie były bardzo niewyraźne. Jednak jestem pewien, że zrobiono je w może nie sporym, ale mieście. Takim jak na przykład Kazimierz nad Wisłą. Na pewno nie w Kolonii Głuszyce.

Bartek i Damian znów spojrzeli po sobie, wytrzeszczając szeroko oczy.

- Jasna cholera, nic mnie już nie zdziwi w tym życiu! - rzucił Bartek.

- Oj, nie wiem - powiedział Tytus, wyciągając z plecaka Anki napęczętą paczkę papierosów z zapalniczką w środku, i rzucił ją w stronę Bartka. Chłopak, łapiąc ją, otworzył oczy jeszcze szerzej. Gwałtownym ruchem wyciągnął papierosa, zapalił, a gdy się zaciągnął, na jego twarzy wykwitła niespotykana, obezwładniająca błogość.

- Kurczę, bracie - wymruczał. - Jak jesteś już takim cudotwórcą, to weźże nas jeszcze stąd wydostań.

* * *

Po jakiejś godzinie zasnęli - nagle, bez mówienia sobie dobranoc, po prostu się wyłączyli, jakby ktoś wpuścił do pomieszczenia gaz usypiający. Tytus śnił. Śnił, wiedząc, że to jest sen. Co jakiś czas budził się na chwilę i wtedy w kilkusekundowych migawkach ogarniał go strach, obezwładniający strach o Ankę. Ale zaraz o wszystkim zapominał i gdy następnym razem wracała mu świadomość, nie do końca kojarzył, kim jest Anka, chociaż świtało mu, że chodzi o krótko ścięte blond włosy, wielkie, głębokie jak jezioro stalowe oczy, język o smaku tytoniu i puszkę gazu pieprzowego.

W gęstym jak dwudniowa zupa śnie wszystko wydawało się odbiciem, zamazanym kadrem. Ale Tytus pomimo snu zdawał sobie sprawę z tego, że do pomieszczenia wchodzi kolejne osoby, istoty. Że przystają nad jego materacem i mówią:

- Nie znalazł się tu bez powodu. Nikt nie znajduje się tu bez powodu. Tak jak tamci.

- Jest taki chudy i biały, musi mieć kości chrupkie jak ciastka. Można zgnieść go w dłoni.

- Ci ludzie teraz. Oni są przecież wszyscy słabsi.

Tytus wiedział, że rozmawiają o nim.

- To podstęp Leszego. Pod tą skorupą jest leśnica z siedmioma palcami albo kłobuk. To Leszy. - Jeden głos był wysoki, piskliwy, wyraźnie odróżniał się od pozostałych.

- Nie.

- Skąd wiesz, że nie?

- On tu jest nie bez powodu.

W jednym z przeblysków świadomości Tytus widział nad sobą postać starej, długowłosej i siwej kobiety, z twarzą wymalowaną jakby w wojenne barwy. W innym dostrzegł sowę, ale o dziwnie ludzkim obliczu. Jeszcze w innym ptaka, który siedział na ramieniu jakiegoś mężczyzny i łepki miał przyczepiony do ludzkiego ciała.

- Tamci, a niech ich kundel oszczy. Nic nie znaczą. To zbłądzeni ludzie. Już mieliśmy takich. Ale ten tutaj, on ma znak Zmory. On przynosi wiadomość.

* * *

„On przynosi wiadomość” - to zdanie dźwięczało w głowie Tytusa przez pierwsze, ciągnące się jak lepka maź minuty wybudzania. Gdy w końcu oprzytomniał całkowicie, zdał sobie sprawę z tego, dlaczego. Słyszał te słowa również na jawie, jedynie z zamienionym ostatnim wyrazem.

- To ty, stary fajfusie, przynosisz nam te placki z błota. - Rozpoznał głos Bartka.

Pomieszczenie wypełniała kakofonia pisków, krzyków, jęków i wrzasków, pośród których przebijały czasem rozkazy:

- Proszę mnie puścić! To karygodne! On musi mnie puścić w tym momencie!

Tytus zerwał się z materaca. Ten głos był znajomy. Tytus był pewien, że słyszał go w swoim śnie, który pamiętał już bardzo niewyraźnie. Kojarzył tylko, że stała nad nim grupka osób i jedna z nich mówiła tym samym głosem, który wyrzucał teraz z siebie wszystkie te piskliwe

komendy.

Zobaczył Bartka siedzącego okrakiem na czymś, co przypominało niewielką ludzką istotę. Bardzo gwałtownie poruszała rękoma i nogami, próbując wydobyć się spod uścisku chłopaka niczym przyszpilony owad. Następnie zobaczył Damiana trzymającego przy wierzgającej istocie zaimprovizowane z rozbitego talerza ostrze.

- Strąku, zrób coś z nimi! Zrób coś! Pomocy! On zaraz mnie zabije! On musi mnie puścić!

Wtedy Tytus popatrzył w prawo. Drzwi do celi były otwarte. Stał w nich wysoki, długowłosy facet, ubrany w podartą kurtkę moro, spod której wystawało kilka warstw materiału, będących kiedyś koszulami lub bluzami. Miał połataną spodnie wpuszczone w wysokie, sznurowane wojskowe buty, a na twarzy nieregularny zarost. Mężczyzna przypatrywał się scenie ze znużeniem i obojętnością, rzucając nieobecne spojrzenia to na Bartka, to na Damiana, to na szamoczącą się postać. Tytus ostrożnie podszedł do Bartka. Unieruchomiona przez niego istota okazała się staruszką wzrostu mniej więcej dziesięcioletniego dziecka, z ufarbowanymi na jagodowo włosami, w smokingu w takim samym kolorze. Gdy Tytus zobaczył tych dwóch, nagle cały jego lęk przysł jak bańka mydlana. W pewien sposób wyglądali komicznie: długowłosy facet nazywany przez staruszkę Strąkiem był jak jakiś dobrotliwy, podstarzały hippis, żyjący od lat w wybudowanym w lesie szałasie i odżywiający się korzonkami. Staruszek przypominał niegroźnego wariata, który zbyt wiele razy w życiu przeczytał *Alicję w Krainie Czarów*. Chociaż to bez wątpienia oni trzymali ich w zamknięciu, karmiąc czerstwymi plackami, w ogóle nie wyglądali na groźnych ludzi.

- Wypuszczasz nas stąd w tym momencie albo zrobimy staremu nowy otwór oddechowy - rzucił Damian w stronę Strąka (pseudonim był całkiem trafny, jego długie włosy zlepiały się w skołtunione, brudne strąki). Bardzo się starał wypowiedzieć swoją groźbę takim samym tonem jak amerykańscy aktorzy w gangsterskich filmach.

- Puść mnie, puść! Strąku, zrób coś, proszę cię, Strąku, czy tobie już kompletnie padło na mózgowicę, szaleju się najadłeś, niechże to człowieczysko mnie puści! - piskliwie zawodził staruszek.

- Otworzyłem oczy - zdyszany i spocony Bartek zaczął wyjaśniać sytuację Tytusowi (staruszek pomimo podeszłego wieku miał krzepę) - a ten piernik stał i wpatrywał się we mnie jak ciele. Od razu złapałem drania i przyszpiliłem go do podłogi. Drze się tak już piętnaście minut, a tamten w drzwiach tylko stoi i się gapi. Dziwne, że się nie obudziłeś.

Tytus nagle zdał sobie sprawę z tego, skąd piskliwy głos wziął się w jego śnie.

- Strąkuuuu! - zawył znów staruszek, a wtedy Tytus przekonał się, że Strąk wcale nie był dobrotliwym człowiekiem. I bynajmniej nie niegroźnym.

Strąk ruszył tylko delikatnie dłonią, a wtedy jakaś niewidzialna siła poderwała Bartka z podłogi, obróciła go w powietrzu, po czym z impetem cisnęła nim o drewnianą ścianę. Strąk nawet nie mrugnął, dalej stał z niewidzącym wzrokiem, tylko z zakamarków jego ubrania i włosów wychynęło kilkanaście leśnych ptaków, które po chwili z powrotem się ukryły. Tytus patrzył na to wszystko z szeroko otwartymi oczyma. Ułamany kawałek talerza wypadł z rąk Damiana. Ale nie pod działaniem tajemniczej siły - chłopak był po prostu zaskoczony. Jeśli Tytus jeszcze przed chwilą rozważał użycie gazu, teraz zdecydowanie porzucił takie plany.

- Uffff, w końcu. - Dziadek usiadł na podłodze i zaczął rozmasowywać obolałą szyję. - Dlaczego zrobiłeś to dopiero teraz, ty okropny Strąku?

Strąk wrzucił ramionami i wyciągnął z kieszeni zapalnicę oraz małą drewnianą fajkę, z wydrapaną na cybuchu podobizną małego ptaka. Zapalił. Po pomieszczeniu rozszedł się zapach dymu - słodki i ostry jednocześnie, łączący woń miodu i leżącego na ziemi mokrego igliwia. Strąk

zmrużył oczy.

- Mam nadzieję, że mi wybaczysz - rzucił do Bartka.

Zszokowany Bartek kucnął przy ścianie, rozcierając sobie kark i próbując zrozumieć, co tak naprawdę się wydarzyło.

- I przepraszamy was za te warunki. - Strąk wypuścił z ust gęsty kłąb dymu. - Niestety, są one konieczne.

- Może jeszcze im powiesz, dlaczego konieczne?! Może wszystko im opowiesz?! - wrzasnął staruszek, podskakując z wściekłości jak kauczukowa piłka. - Oni są od Leszego i ręczę ci za to swoim honorem! To jest pułapka! Najpierw ci, a na końcu jeszcze ten! Jutro wylądaje tutaj cała armia i już dla nikogo nie będzie ratunku. Bariera pęka. Bariera pęka, czar traci moc. Klucze są w rękach Zła, powtarzam ci, Strąku, Klucze są w rękach Zła!

- Jagodziaku, uspokój się. Tamtych dwóch zauważyłem sam, gdy się kręcili. Trzeci wpadł zupełnie niespodziewanie - westchnął Strąk. Po raz pierwszy Tytus dostrzegł jakieś emocje na jego twarzy: duże poirytowanie. - Właśnie po to tutaj przyszliśmy, aby...

- Przyszliście po co?! - krzyknął Bartek, który najwyraźniej pogodził się z tym, że osoba, na którą krzyczy, jest w stanie nim rzucić niczym szmacianą piłką, w ogóle nie używając do tego rąk. - Trzymacie nas już tutaj tyle czasu. Nasze rodziny odchodzą od zmysłów. Po co? Chcecie nas zabić? Jesteście wariatami? Seryjnymi mordercami? Chcecie przeprowadzać na nas jakieś doświadczenia?

- Jeszcze raz przepraszam za te warunki - powtórzył Strąk. - One są konieczne.

- Trzeba ich unieszkodliwić! - jazgotał Jagodziak, podskakując. - Właśnie, on mi podsunął dobry pomysł. Unieszkodliwić, zabić, zakopać. Tak, tak. I załatać dach!

- Spokój! - huknął Strąk przerażającym, mocnym głosem, który zabrzmiał bardzo nisko i zupełnie nieludzko. Bartek, Damian i Jagodziak popatrzyli na niego w jednym momencie wytrzeszczonymi, przestraszonymi oczyma. - Nikt nikogo nie będzie unieszkodliwiał. Nikt. Ciebie, stary grzybie, nie wypuściłem od razu, bo boli mnie głowa. Boli mnie przez ciebie. A jak ciebie coś boli, mnie boli trochę mniej. Aż tak mam cię dosyć, stara pierdoło.

Jagodziak otrzepał smoking, fuknął i odwrócił się do ściany, jakby był śmiertelnie obrażony. Tytus czekał na rozwój wydarzeń z zadziwiającym jego samego spokojem. Pomimo że przed chwilą na jego oczach o ścianę gruchnął dziewięćdziesięciokilowy kumpel, nadal nie odczuwał strachu, Jagodziak wciąż wydawał mu się groteskowy, a Strąk, mimo nadnaturalnej mocy i demonicznego głosu, sprawiał wrażenie całkiem sympatycznego dziwnego faceta, który już dawno temu powinien odwiedzić fryzjera albo przynajmniej umyć włosy. Tytus był na tyle spokojny, że zdecydował się zadać fundamentalne, jego zdaniem, pytanie:

- Kim wy właściwie jesteście? - Omiótł wzrokiem Strąka i Jagodziaka. - I gdzie my tak naprawdę jesteśmy?

- Nie mów im! Nic im nie mów... - zaskrzeczał Jagodziak, znowu podskakując, ale Strąk uciszył go samym spojrzeniem, po czym odwrócił się do Tytusa i podrapał go po głowie. Gdy to zrobił, spomiędzy jego włosów wyfrunął mały wróbel.

- Jesteście gośćmi miasta i... mieszkańców. - Strąk długo szukał właściwego słowa. - Miasto woli być ukryte. Jeszcze raz przepraszam za warunki. Miasto traktuje gości jak zagrożenie. Z pewnych powodów.

Tytus kiwnął głową. Miasto. Pewne miasto. Ukryte miasto. Miasto na zdjęciach. Zasłonięte gęstym i lepkiem dymem jak kamuflażem. Zamaskowane historiami o nawiedzonych domach, starym Wirdale, o duchach. Myśli przemykały mu przez głowę z prędkością błyskawicy.

- Dlatego teraz musicie iść razem z nami - ciągnął Strąk - ponieważ mieszkańcy muszą ocenić, czy rzeczywiście jesteście zagrożeniem, czy też nie.

- A jeśli nie jesteśmy? - zapytał Tytus.
- Nic wam się nie stanie. Wróćcie do domów - odparł Strąk.
- A jeżeli nigdzie z wami nie pójdę? - rzucił Bartek.
- Będziesz musiał tu dalej siedzieć - równie spokojnie odparł Strąk.
- A co jeśli jesteśmy zagrożeniem? - zapytał Damian, patrząc to na talerz, to na drewnianą ścianę, w której ciało Bartka pozostawiło niewielkie, ale wyraźne wgniecenie.
- Moim zdaniem nie jesteście. - Twarz Strąka ani na moment nie zmieniła wyrazu. -
Gdybym uważał inaczej, już byście nie żyli.

* * *

Najpierw prowadzili ich długim, ciemnym korytarzem z drewnianą podłogą, oświetlonym jeszcze skąpiej niż ich dotychczasowa cela. Z mroku wyłaniały się kolejne drzwi z szybkami, zza których sączyła się poświata mdłego światła. Korytarz był niski - idący za Tytusem Bartek musiał się schylać - i ciągnął się w nieskończoność. Po jakichś dziesięciu minutach marszu Tytus doszedł do wniosku, że budynek z tak długim korytarzem na pewno ma ogromne rozmiary. Z tego, co wiedział, najbliższy budynek odpowiedniej wielkości znajdował się w Warszawie i był powszechnie znany jako Pałac Kultury i Nauki.

Tytus myślał o Ance. Miał nadzieję, że dojechała sama do domu i nic jej się nie stało. Nie mógł skupić się na czymś innym, chociaż zdawał sobie sprawę z tego, że babcia i dziadek muszą się o niego bardzo martwić. Anka zawładnęła całością jego myśli. Miał przeczucie - w które wołał się nie wglębiać i które odganiał jak natrętnego, irytującego owada - że krzyk, jaki usłyszał tuż przed wpadnięciem do dziury, był wołaniem o pomoc. Że nagle Anka znalazła się w niebezpieczeństwie. Tak, była dziewczyną, która potrafiła bez problemu pokonać wyższego od niej o dwie głowy dresiarza, ale Tytus nie martwił się przez to mniej. Tak naprawdę martwił się jeszcze bardziej - Anka nie należała do osób, które po prostu biorą nogi za pas i uciekają.

- Nie byłem tam sam - powiedział Tytus, pokazując plecak Strąkowi.
- Gdzie? - zapytał Strąk, jakby nie rozumiejąc.
- W wiosce. W Kolonii Głuszyce. Towarzyszyła mi dziewczyna. To jest jej plecak. Co się z nią stało? - zapytał Strąka, podtykając mu pakunek pod oczy.
- Nie wiem, o kim mówisz - powiedział Strąk. - Wpadłeś tutaj przez dziurę. Nie spodziewałem się ciebie. Tak jak oni. Nikt się ciebie nie spodziewał.
- Miałeś chronić Bariere! - jęknął człapiący za nimi Jagodziak. - Miałeś podtrzymywać czar, łątać dziury, a tak je łątasz, że za chwilę wpadnie tutaj Leszy z całym swoim pomiotem. I też nie będziesz się ich spodziewał.

Strąk nic nie mówił, ale Tytus zauważył, że zaciska usta, próbując znowu nie wybuchnąć.
- Mówisz o dziurze w podłodze? - zapytał Strąka.
- Z twojej perspektywy była to pewnie podłoga - usłyszał w odpowiedzi.
Zupełnie znieacka wyrosły przed nimi drzwi. Strąk lekko je pchnął, a Tytus musiał zmrużyć oczy - do korytarza wpadło niespodziewanie światło dzienne. Wyszli na zewnątrz.

Świtało, a przynajmniej niebo przybrało tę zimną, anemiczną barwę między błękitem a fioletem. Tytus, Strąk i reszta stali na wąskiej, brukowanej uliczce, ciągnącej się niczym kamienna nitka pomiędzy dwoma rzędami wysokich kamienic o zmurszałych ścianach, połączonych w jeden organizm skomplikowanym systemem nadbudówek, schodów i pomostów. Uliczka ta wydawała się zwyczajna, ale tylko na pozór. W części okien paliły się światła. Jaskrawa, iskrząca łuna, która z nich biła, wyglądała, jakby powstała nie dzięki energii elektrycznej, ale uwięzionej w jakimś naczyniu chmury świetlików. Na każdym budynku wisiały nieczytelne, odrapane szyldy, a wzdłuż

ciągnęły się zapalone gazowe lampy.

To nie był zwykły, codzienny ludzki świat, z normalnymi liniami prostymi, krzywiznami i kątami. Ulica wyglądała, jakby usilnie próbowała przybrać formę tradycyjnej ulicy, skupiała się na tym ze wszystkich sił, ale i tak sprawiała wrażenie dekoracji, która zaraz ma się rozlecieć, odwrócić do góry nogami, zamienić wysokość z szerokością i przód z tyłem.

Tytus zerknął na Bartka i Damiana - ci jedynie stali z szeroko otwartymi ustami. Wyglądali jak ludzie, na których właśnie zaczął działać jakiś silny, psychodeliczny narkotyk i którzy sami siebie próbowali przekonać, że to, co widzą, jest tylko iluzją i niedługo się rozwieje. Tytus zauważył, że budynek, z którego wyszli, wcale nie jest taki ogromny, jak sugerowała długość korytarza. Była to podniszczona, ziejąca oczodołami wybitych okien kamienica z czerwonej cegły. Strąk machnął ręką, aby ruszyli za nim.

Uliczka miała w zanadrzu jeszcze więcej niespodzianek. Pod nogami Tytusa przebiegł błyszczący w ciemności, jakby podświetlony od środka miodowym blaskiem żarówki kot. Framugę jedynych zamkniętych drzwi, zza których dobiegał ogłuszający hałas pracujących maszyn, otaczała rama przypominających odpaloną petardę iskier. Fasadę innego budynku oplatał żywy, wijący się bezustannie bluszcz, który opadał ze ściany na bruk, by z powrotem się na nią wdrapać. Minęli sznur zapalających się w przypadkowej kolejności lampionów. Zapaleniu każdego lampionu towarzyszył głęboki jęk przypominający westchnienie ducha małego dziecka.

- Widzieliście tego kota? - zapytał Damiana i Bartka Tytus, ale ci tylko popatrzyli na niego bez zrozumienia. „Nie zwrócili uwagi - pomyślał - może są za bardzo zaabsorbowani tym, że w końcu zostali wypuszczeni, a może szukają dobrej okazji, żeby zwiać”. Sam nie miał ochoty uciekać. Coś mówiło mu, że powinien poddać się biegowi wydarzeń i tak naprawdę nic mu nie grozi. Nie potrafił wytłumaczyć dlaczego.

- Tylko ona jest przekonana, że chłopak jest dobry. - Jagodziak szybko przebierał nogami. - Ona i ty. Ale reszta powie to, co ja. Zobaczysz. Trzeba ich unieszkodliwić i tyle. Ale jej się nikt nie słucha, bo ma już tyle lat, że nic nie widzi. Ona jest ślepa, a ty jesteś głuchy.

Strąk nic nie odpowiadał - jedynie delikatnie kręcił głową i pilnował, czy Bartek, Damian i Tytus idą za nimi.

- Powinieneś ich skuć! - znowu zaskrzeczał Jagodziak. - Skuć, aby nigdzie nie uciekli. Bo zaraz ci uciekną i co, ja ich będę gonił? Ja? Ja mam chore nogi, mam robaki w nogach, głupi Strąku.

- Jeśli masz robaki w nogach, to idź już szybko do ratusza i nas zapowiedz. No już, szybko, nie zniosę dłużej twojego gadania. Uciekaj.

Jagodziak fuknął, a potem wyprzedził ich bardzo szybko. Tytus zadziwił się, że mały staruszek tak dziarsko maszeruje. Po chwili zniknął - Tytus nie był pewien, czy stracił go z oczu, czy Jagodziak po prostu rozplynął się w powietrzu.

- Nie uciekajcie. - Strąk zatrzymał się na chwilę i odwrócił do nich. Popatrzył na Bartka i dodał łagodnym, spokojnym głosem: - Znow musiałbym tobą potrząsnąć. Teraz trochę mocniej. Pękłyby ci kości. Nie chcę i chyba nie warto.

- Dobrze, bracie, rozumiem, że użyjesz tych bezdotykowych mocy tai-chi, gdy spróbuję zwiać, ale chyba mogę się zapytać, dokąd właściwie nas prowadzisz? - odezwał się już spokojnie Bartek. Tytus zauważył, że cały czas dotyka ręką dolnej części kręgosłupa. Grzmotnięcie o ścianę musiało być dość bolesne.

- Już wam tłumaczyłem. - Strąk jakby odczuwał ulgę, że mówi ktoś inny niż Jagodziak. - Mieszkańcy miasta muszą ocenić, czy jesteście zagrożeniem.

- Jacy mieszkańcy? - Bartek się rozejrzał. - Ktoś tu w ogóle mieszka? Co to, do cholery, jest za dziura? Gdzie my w ogóle jesteśmy? To daleko od Warszawy?

- Gdzie jest Warszawa? - zapytał Strąg i nie czekając na odpowiedź, ruszył dalej.

Tytus był zdezorientowany, nie miał pojęcia, co w tym momencie myśleć i czuć. Na zdrowy rozsądek, powinno mu się wydawać, że to wszystko jest snem, z którego za chwilę się wybudzi, szczypiąc się w policzek lub wykonując podobne kuriozalne gesty. Jednak gdzieś w środku był stuprocentowo pewien, że wszystko, co go otacza, jest jawą - chociażby dlatego, że sny nie trwają tak długo, nie czuje się w nich zapachów, smaków i temperatury i raczej nie zapada się w nich w sen, podczas którego śnią się inne rzeczy. Mógłby również pomyśleć, że zwariował, ale w swoim dotychczasowym, co prawda, dość krótkim życiu nikt nigdy nie kwestionował jego poczytalności ani on sam w nią nie wątpił. No, może oprócz tych rzadkich momentów, gdy okazywało się, że jako jedyny z klasy ma dobrze rozwiązaną pracę domową z geografii, polegającą na własnoręcznym wyskalowaniu na papierze milimetrycznym mapy Rumunii, a do tego jest przygotowany na kartkówkę z funkcji. Powinien być również przerażony, ale w ogóle się nie bał. To chyba dziwiło go najbardziej - poczucie bezpieczeństwa, świadomość, że jego pobyt w tym miejscu jest zupełnie naturalny.

Wiedział, że nie śni, i wiedział, że nie oszalał. Był tak samo przekonany o tym, że przebywa w istniejącym miejscu, jak w momentach zwlekania się z łóżka o siódmej trzydziści, przemywania twarzy zimną wodą, łapania w locie kanapki z wędliną i straceńczego biegu na autobus do szkoły. W sumie nawet bardziej niż w tamtych momentach.

Ta pewność go zaskakiwała, gdyż z każdą chwilą na jego oczach przestawały działać wszelkie możliwe prawa fizyki - jakby sama miejscowość nie zwracała już uwagi na utrzymywanie pozorów normalności.

Po jakimś czasie uliczka wyszła na szeroki plac. Tytus załapał, że to centrum tej przedziwnej miejscowości. Pośrodku placu stał duży, murowany budynek zakończony strzelistą wieżyczką. Tytus doszedł do wniosku, że budynek musi być ratuszem.

Centralny plac wydawał się zwykłym ryneczkiem niewielkiej miejscowości, który nie mógł mieć więcej jak dwieście, trzysta metrów po przekątnej. Jednak szli po nim bardzo, bardzo długo, tak jakby mijane przez nich budynki rozciągały się i wydłużały, z każdym ich krokiem nabierając prawdziwych proporcji, jakby pierwszy rzut oka na plac pokazywał ściśniętą, „spakowaną” wersję rynku. Na lewo i prawo od Tytusa pojawiały się nowe ulice, z reguły prowadzące do góry. Gdzieś na horyzoncie widział zarysy czegoś, co wyglądało jak kościół z dzwonnica, gdzie indziej budynek, który mógłby być starą stacją kolejową. Te rozgałęzienia, rozwidlenia wykwiwały z rozszczepiających się na oczach Tytusa domostw. Chłopak starał się liczyć czas, który zajmowało im pokonanie placu, i w połowie drogi wiedział, że idą już tyle, że w tym tempie przeszliby dobre półtora kilometra.

Do tego w miarę jak dochodzili do ratusza, mijane przez nich zabite deskami lub zaciągnięte czarną krepą witryny w przedziwny sposób włączały się, tak jakby swoim krokiem Tytus aktywował jakąś przedziwną fotokomórkę. Witryna na pierwszy rzut oka opustoszałej knajpy z wymalowanym farbą napisem „BAR RZYM” na chwilę zaludniła się ludźmi i rozbłysnęła światłem - Tytus usłyszał muzykę i brzęk szklanek i zobaczył kilkanaście rozbawionych, chociaż przedziwnie ubranych osób oraz wyraźnie zdenerwowanego, grubsiutkiego kucharza, który wynosił z zaplecza wielki, parujący kocioł, krzycząc: „A kelner? Gdzie jest kelner? Śpi pijany w domu?”. Gdy przeszli kawałek dalej, bar wrócił do pierwotnego stanu. Następnie minęli zakratowane drzwi salonu fryzjerskiego - w środku nagle zapaliło się światło, Tytusa dobiegły dźwięki muzyki płynące z postawionego w rogu ogromnego, drewnianego radia; ujrzał kilku siedzących na zydlach, cierpliwie wyczekujących na swoją kolej starszaków. Fryzjer pracował nad wielką, kędzierzawą czupryną zwalistego mężczyzny. Tytus usłyszał słowa fryzjera:

- Nie wiem zupełnie, co z nimi zrobić, ekscelencjo. Rosną szybciej, niż je ścinam, lelum polelum!

Następnie rozbłysnęło przed nimi okienko w małym pomieszczeniu na rogu kamienicy, przypominającym niewielki sklepik. Tytus nie mógł się powstrzymać i zajrzał do środka. Ujrzał mały pokój, prawie w całości zastawiony przez olbrzymi, drewniany stół, za którym siedział bardzo skupiony i pomarszczony staruszek, energicznie stukający w starą maszynę do pisania z bardzo szerokim wałkiem. Z maszyny wypływała wielka, nieprzerwana, zalewająca pomieszczenie prawie do połowy ryza białego papieru.

Strąk klepnął go w ramię. Tytus się otrząsnął. Gdy zrobił kilka kroków do tyłu, światło w oknie zgasło, szyba zmieniła się w potłuczoną skorupę, a czerwona cegła, z której postawiono budynek, zszarzała. Ze środka zniknęli również - najprawdopodobniej - starszy pan ze swoim papierem i maszyną do pisania.

- Kim ty jesteś? - zapytał nagle Strąk. - Zamaskowanie się przed tobą otwiera. Nie do końca, ale jednak. Uchyła się. To bardzo, bardzo zastanawiające.

- Jakie Zamaskowanie? O co chodzi? - zapytał Bartek, ale Strąk uciszył go jednym ruchem ręki, a następnie popatrzył Tytusowi głęboko w oczy.

Tytus chciał już zadać jakieś pytanie, ale Strąk odwrócił się i poszedł dalej. Gdy przechodzili obok podniszczonego, postawionego przed ratuszem pomnika mężczyzny trzymającego w uścisku rogatą postać, zauważył, że posąg momentalnie pokrywa się warstwą jaskrawobiałej, nowiutkiej farby, tak jasnej, że aż świecącej w ciemności, a wszystkie pęknięcia na nim się zasklepiają. Obejrzał się w kierunku Bartka i Damiana - nie zrobiło to na nich najmniejszego wrażenia.

Pytania w głowie Tytusa mnożyły się w arytmetycznym tempie: Co to za miasto? Gdzie się znajduje? Czy owi enigmatyczni „mieszkańcy”, o których wspominał Strąk, są dobrymi czy złymi ludźmi? Popatrzył jeszcze raz na Strąka i zadał sobie kolejne pytania: Czy w ogóle są ludźmi? Czy jest stąd jakakolwiek droga powrotu? Był pewien, że zjechali rowerem całą okolicę Kolonii Głuszyce i nie dostrzegli na horyzoncie żadnych zabudowań. Nie trafili na drogę, która mogłaby prowadzić do większej miejscowości. Nic takiego nie było zaznaczone na wojskowej mapie dziadka. Nawet jeśli obrzeża miasta i małe budynki mogły zasłonić drzewa, dęb wystający zza wieżyczki ratusza był tak wielki, że zwróciliby na niego uwagę nawet z bardzo dużej odległości.

Nagle Tytus stanął wmurowany w ziemię nagłym olśnieniem. Rozejrzał się po placu, patrząc na kamienice, na ich okna, okrągłe ozdobne dachy, na zniszczoną i powyrywaną kostkę brukową, na wąskie, pnące się do góry lub spadające stromo uliczki. Już widział te zabudowania i zrozumiał, gdzie się znalazł. To właśnie fragmenty tego miasta, tego placu widniały na zdjęciach, które Bartek i Damian zrobili w Kolonii Głuszyce i które wylądowały na forum programu *Tajemna Strona*. To właśnie było ukryte w Głuszycach miasto widmo.

8. Jak dźwięk, jak wstrząs, jak czerń

Gangrena biegła. Gdyby obserwował ją z boku jakiś człowiek, nie nazwałby tego biegiem, ale Gangrena biegła, to znaczy starała się poruszać jak najszybciej. „Nie upilnowałaś - mówiła sama do siebie, w środku, w głowie i w brzuchu rozpalonym z bólu do białości. - Nie upilnowałaś, zaszło coś bardzo nieodpowiedniego, bardzo nie na miejscu, a wszystko, co się dzieje, ma swoje konsekwencje”. Każda rzecz powoduje następną, a Gangrena wiedziała, że ta następna rzecz wydarzy się zaraz, że ona rośnie w brzuchu lasu, bo przecież las, tak jak ona, również ma brzuch.

Strzępowaty powiedział, że ma tkwić na miejscu i nikogo nie wpuszczać.

Gangrena odwarunknęła wtedy, żeby przestał jej rozkazywać. Gangrena była zła, Gangrenę bolał brzuch. Nie chciała, żeby ją zostawiał, i nie chciała, aby zabierał ze sobą przedmiot. Ten dobry, ciepły i mały przedmiot, który sprawił, że na krótką, wartą całe złoto tego świata chwilę, gdy ścisnęła go w łapach, wszystko przestało ją boleć.

Wtedy Strzępowaty chwycił Gangrenę za głowę, ścisnął tak mocno, że bardzo ją zabolalo. I powiedział, aby sobie przypomniła, kto tutaj tak naprawdę rządzi. Kto wydaje polecenia. Co się wydarzy, gdy ten ktoś się rozgniewa.

Że w Królestwie Pana Leszego, w samym brzuchu lasu, są nieskończenie głębokie jamy, wypełnione stosami takich Gangren jak ona, Gangren wypełnionych bólem, zjadanych przez robaki, ale wciąż żyjących, wciąż ze spuchniętymi brzuchami wywrzaskujących błagania o łaskę.

„Jesteśmy tylko zabawkami w rękach Pana Leszego” - powiedział Strzępowaty. Miał rację, zapomniła o tym. Ale potem się jej przypomniało. Teraz już pamiętała.

I zaraz brzuch lasu odpowie na to, co się stało. Ukarze ją. Ją, biedną Gangrenę. Jakby nie była wystarczająco karana do tej pory. Jakby wszystko, co przytrafiło się biednej Gangrenie i jej brzuchowi, nie było karą.

Ale co się stało, to się nie odstanie. Gdy ten mały, chudy i wstrętnie niedożywiony człowiek wbiegł tam, gdzie nikt nie powinien wbiegać, a ona nie mogła go złapać (tak jakby w ogóle nie chciał jeść, jakby nie mogła wcale mu w tym pomóc), coś się stało. Coś, co poczuła całą sobą. Tak jakby w brzuchu lasu siedziało wielkie dziecko, które nagle kopnęło od środka w powierzchnię ziemi. To coś sprawiło, że Gangrena wyrzuciła się na plecy. To było jak głośny dźwięk, jak wielki wstrząs, jak czarna czerń. Brzuch lasu zadygotał. Gangrena przeraziła się i wrzasnęła.

Właśnie wtedy przypomniało jej się, co powiedział Strzępowaty, gdy ten drugi chudy człowiek odjeżdżał bardzo szybko na dwukołowej maszynie. Że jesteśmy tylko zabawkami w rękach Pana Leszego, a Pan Leszy ma wiele palców, wiele rąk.

A teraz Gangrena biegła, ale gdyby obserwował ją z boku jakiś człowiek, nie nazwałby tego biegiem. Bardziej tupotem karalucha. Gangrena poruszała się, jakby pod jej wielkim brzuchem wykwitły setki małych, przebiegających nóg.

Poruszała się, dopóki nie poczuła, że właśnie przestała się poruszać.

Coś ją zatrzymało. Dłoń.

Wrzasnęła.

- Kto tam wszedł? - zapytał głos kryjący się w czerni za trzymającą ją dłonią, kwaśny jak najbardziej żrąca żółć. Mówiąc szczerze, nie był dźwiękiem, tylko żrącym płynem, powoli kapiącym na głowę Gangreny. - Czemu na to pozwoliłaś?

- Człowiek! - wyskrzeczwała Gangrena, gdy w końcu przestała wrzeszczeć. - Człowiek. Nie był głodny.

- Jak można - powtórzył głos - jak można wysłać durnego, małego śmiecia, takiego jak ty, aby obserwował Granicę? Trzeba spać setki lat i stracić od tego wzrok, aby w ogóle wymagać od

takich jak ty, aby cokolwiek robili.

- Nie był głodny. Nie był głodny. Nic nie mogłam mu zrobić. Nie chcę do jamy! - wrzasnęła Gangrena, łapiąc się za brzuch. - Nie chcę do jamy, nie chcę kary, już i tak mnie boli, boli bardzo, trzeba powiedzieć Strzępowatemu. Trzeba powiedzieć Strzępowatemu, proszę. Ja nie chcę.

Gdyby głos należał do człowieka, pewnie w tym momencie usłyszałyby westchnienie, ale rozległo się tylko syknięcie, jakby ktoś wylał na ciało żrący kwas.

- Zamknij się już! - Usłyszała Gangrena, a raczej poczuła to na swoim czole. - Zamknij się już, do jasnej cholery. Wrócisz tam, wrócisz tam ze mną. Na Granicę. Na miejscu pewnie będą ludzie. Będzie ich coraz więcej. Powiesz mi, kto jest głodny, a kto nie. Rozumiesz? Powiesz mi, kto jest głodny, a kto nie.

Na znak aprobaty potrząsnęła swoją białą, galaretowatą głową.

- Rób to, co każe. Rozumiesz, durna istoto, że wszyscy jesteśmy pacynkami na jego palcach? Nawet jeśli spał setki lat.

Potrząsnęła głową jeszcze raz.

* * *

„Zapomnieliśmy o tym, wepchnęliśmy na strych pamięci, traktowaliśmy jak bajkę. Ale teraz to zaczęło się dziać - pomyślał Zbigniew Grójecki, manewrując samochodem terenowym po nierównej leśnej drodze. - To wcale nie jest baśń, tak jak wmawialiśmy sobie przez ostatnie kilkadziesiąt lat, aby nie oszaleć. Tak samo sobie tłumaczyliśmy, że błękit nieba jest błękitem nieba, świergot ptaków świergotem ptaków. Nie. Nic nie jest tym, czym się wydaje, i niech Bóg ma nas w swojej opiece”.

- Nigdy nie miał nas w żadnej opiece, Zbyszek - powiedział jadący z nim samochodem Bogdan Balczarek, dyrektor handlowy w tartaku Głuszycy. Był pijany, może nie nawalony jak torpeda, ale ewidentnie podcięty i jego znany w całych Głuszcach słaby żołądek sprawiał, że każdy podskok na wybojach Bogdan kwitował bolesnym wyrazem twarzy. Zbigniew zorientował się, że ostatnie zdanie wypowiedział na głos.

- Może i nie - mruknął cicho, bardziej do siebie - zależy, jak na to patrzeć.

Po karku Zbigniewa Grójeckiego spływał pot, zimny jak ciekły azot, to był ten rodzaj zimna, który powodował przeszywający ból. Jego wnuk Tytus tkwił tam, w miejscu, które ludzie ze wsi nazywali chatą starego Wirdały, w miejscu mającym jeszcze inną nazwę, której w tym momencie nie chciał sobie nawet przypominać. W miejscu, w które nikt żywy nie powinien się nigdy zapuszczać. Mógł to przewidzieć, wymyślić coś innego. Mógł powiedzieć wtedy przez telefon synowi:

- Wyślijcie go na jakiś obóz, przecież to żadna frajda siedzieć całe wakacje z dziadkami na wsi.

Mógł przewidzieć, powtarzał sobie w myślach, mógł, stary dureń, któremu odjęło już mózg od robienia serów, nalewek i przesadzania jabłoni, przewidzieć, że piętnastoletni dzieciak, odchowany na komputerach i głupich filmach, będzie gonił za śladem pierwszej lepszej zasłyszanej bujdy jak kot za błyszczącą folijką przywiązaną do sznurka.

- Nic mu się tam nie stało, Zbyszek - wydusił Bogdan, próbując cofnąć z przetyku do żołądka rosół, mielone i pół litra śliwownicy. - Uspokój się.

- Tak jak nic nie stało się leśniczemu - odparł Grójecki, starając się nie myśleć o tym, co naprawdę spotkało Pucla, czy rzeczywiście coś go zjadło i co to było. Zimny pot ściekał mu po karku. Dziadek Tytusa patrzył na drogę, którą doskonale pamiętał, chociaż wcale nie chciał.

I zobaczył za drzewami światło. Zmieniające kolor w jednym stałym rytmie, z niebieskiego

na czerwony, z czerwonego na niebieski.

Zbigniew Grójecki z całych sił, jakie miał w płucach, wykrzyczał imię wnuka i dodał gazu. Samochód podskoczył, a Bogdan Balczarek w ostatniej chwili chwycił leżącą pod jego nogami reklamówkę z jakimiś papierami i z operowym wręcz rozmachem oddał do jej wnętrza wszystkie zjedzone wcześniej produkty, alchemicznie połączone w jeden półpłynny byt.

Wysiedli. Na polanie stały karetka, policyjny radiowóz i jeszcze jeden samochód. Z ciemności rozdzieranej pulsującym światłem wyzierały poruszające się powoli sylwetki. Ten brak pośpiechu sprawił, że Zbigniew Grójecki krzyknął jeszcze raz i podbiegł do stojących policjantów.

- To pana syn? - zapytał Rudziak biegnącego w jego kierunku starszego mężczyznę, wchłaniając dym z osiemdziesiątego dziś papierosa.

- Mój wnuk! - wrzasnął Grójecki, szarpiąc go za ohydny wełniany sweter, który inspektor dostał od swojej żony na Gwiazdkę, zanim jeszcze związała z właścicielem sklepu z bielizną.

Do Rudziaka i starszego pana dołączył, trzymając się za brzuch, pasażer z terenowego wozu, łysiejący, ubrany w polar i dres facet koło pięćdziesiątki.

„Pewnie dziadek jednego i ojciec drugiego” - pomyślał Rudziak, ale zaraz przestał to analizować. Jakikolwiek były koligacje tych ludzi z rozszarpanymi, i tak zaraz nastąpi nieuchronny koszmarny scenariusz. Nienawidził tych momentów, nienawidził ich do granic możliwości. Nie ma bardziej paskudnego zadania niż bycie jednoosobową delegacją ślepego losu, ziemskim przedstawicielem przeznaczenia. To przeznaczenie, los czy Boga, jak zwał, tak zwał, Rudziak uważał za tępe, ślepe i bezosobowe. Odkrył jednak, że bardzo mało ludzi tak uważa. Że większość osób przyjeżdżających na miejsce wypadku zidentyfikować swoich bliskich potrzebuje w gwałtownym odruchu obarczyć winą za śmierć kogokolwiek. A kto nadaje się do tego lepiej od Rudziaka, którego zaszara praca polega na byciu obecnym w miejscach wszelakich ludzkich tragedii?

Z biegiem czasu Rudziak wypracował metodę działania. Zamiast mówić jak lekarze w serialach telewizyjnych: „Bardzo mi przykro”, po prostu milczał. Machał ręką na daną osobę, aby za nim szła, i prowadził ją do punktu zero, w którym leżało w lepszym lub gorszym stanie ciało bliskiego. Oddalał się na bezpieczną odległość i zapalał papierosa. Tak zrobił też tym razem.

- Jezus Maria! - wydusił z siebie Balczarek. - To chłopaki Kunicza. Chyba drugi i czwarty w kolejności. Jezus Maria!

Odwrócił się, aby wymiotować jeszcze raz.

Zbigniew Grójecki stał chwilę nad dwoma zmasakrowanymi ciałami. Patrzył na nie, a raczej poprzez nie, mając przez ułamek sekundy zupełnie pusty umysł. Po chwili odwrócił się i podszedł do policjanta.

- Mój wnuk! - wrzasnął. - Tu gdzieś musi być mój wnuk!

- Znaleźliśmy tych dwóch - odparł Rudziak głosem kogoś wyczerpanego do granic możliwości. - I nikogo więcej.

- Mój wnuk - odparł Grójecki i ruszył do przodu, w kierunku chaty starego Wirdały wyławianej z mroku przez reflektory. Zza karetki wyszedł detektyw Barniec i klepnął go w ramię. Zygmunt Grójecki był w takim szoku, że odwrócił się i zamachnął pięścią, detektyw Barniec jednak zręcznie uniknął ciosu, po czym złapał Grójeckiego za oba ramiona.

- Proszę się uspokoić.

- Tam, w tej chacie, leży mój wnuk - powtórzył Grójecki, przypominając sobie, co powiedziała córka Waszczukowej. - Leży w dziurze w podłodze, ze złamaną nogą.

- Zaraz, zaraz, spokojnie. - Detektyw Barniec mówił głosem rasowego negocjatora. - Proszę pana, tam nikogo nie ma. Nie ma żadnej dziury w podłodze. Sprawdzaliśmy parę razy. Proszę się

uspokoić.

- A co pan mi tu pierdolisz! - warknął Grójecki i pobiegł do chaty.

Barniec chciał ruszyć za nim, ale Rudziak zatrzymał go gestem:

- Puść go. Niech szuka. Przecież nikogo nie znaleźliśmy.

- To miejsce zbrodni - odparł detektyw Barniec - panie inspektorze Rudziak.

- Zbrodnia. - Rudziak wzruszył ramionami i splunął. - Wie pan co, zbrodnię widziałem w życiu wiele razy. Nie z filmu, ale taką ludzką, śmierdzącą, polską wiejską zbrodnię. Brata, który w delirium włożył bratu nóż w brzuch. Pijaka, który pod sklepem trzasnął drugiego w skroń butelką po jabłoku. To tutaj to nie jest zbrodnia. Nie wiem, co to jest. Nie mam na to słów.

Barniec chciał coś powiedzieć, ale wyraz twarzy Rudziaka wskazywał na to, że inspektor jest zbyt zmęczony i wymięty, aby wchodzić z nim w jakąkolwiek polemikę.

- Te lasy... - Rudziak się rozejrzył. - Zawsze wiedziałem, że jest w nich coś bardzo, bardzo dziwnego. Złego, rozumie pan, panie Barniec? Złego naprawdę, gorszego niż wszystko, co człowiek może sobie wymyślić.

- Tak, tak, tak - dodał z boku trzęsący się Balczarek. - Też tak uważam, panowie.

Detektyw i inspektor spojrzeli na niego bez słowa.

- Czy pan rozpoznaje kogoś z denatów? - zapytał Barniec, biorąc od Rudziaka papierosa i łyk kawy z termosu.

- Tak... to synowie starego Kunicza. Chyba drugi i czwarty. Ma ich sześciu. Przepraszam - rzucił, wyciągając z kieszeni trzęsącą się dłonią dzwoniący telefon. Spojrzył na wyświetlacz i zaklął. Szef, właściciel tartaku Głuszyce, Janusz Koracz.

- Słucham szefie - wydusił Balczarek.

- Co tam się dzieje? - Głos Koracza był jak zwykle zimny i beznamiętny jak u robota.

Koracz przerażał Balczarkę. Podobnie jak wszystkich pracowników tartaku Głuszyce. Przerażał, ponieważ jako człowiek był postacią zupełnie niezrozumiałą. Nie miał żony, dzieci, nawet kochanki. Podobno nie miał nawet rodziny - Wigilię tradycyjnie spędzał sam, w gabinecie, jedząc przyniesiony mu przez pracownice barszcz z uszkami. Z nikim nie wdawał się w rozmowy dłuższe niż wydawanie poleceń albo przekazywanie informacji. Obrzydliwie bogaty, od dziesięciu lat jeździł tym samym rozklekotanym audi, co rusz łatanym przez różnych życzliwych mechaników. Do pracy przychodził w nieodróżnialnych garniturach jak spod sztancy. Nikt go nie rozumiał i każdy wierzył, że gdzieś w środku, tam gdzie inni ludzie mają serce, płuca, mózg, Koracz ma układy podzespołów. Nie dlatego, że był kimś złym. Miał opinię dobrego szefa, płacącego uczciwie, hojne jak na województwo warmińsko-mazurskie pensje, nie zwalniał pracowników, sypał premiami na święta. Po prostu wydawał się stać poza dobrem i złem, poza ludzkością. Wszystkich to przerażało, a Balczarka, jako nieformalną prawą rękę Koracza, najbardziej.

- No... - wydusił Balczarek. - Szefie, na Kolonii jakieś trupy znaleźli, nadgryzione, tak jak tamtego leśniczego.

Po drugiej stronie słuchawki zapadła cisza. Balczarek nigdy nie mógł się do tego przyzwycząć.

- Szefie? - powtórzył, aby skłonić Koracza do jakiejś odpowiedzi i jak najszybciej zakończyć rozmowę.

- Nadgryzione? - dopytał Koracz.

- No, tak to wygląda... jakby jakieś zwierzę zżarło tych chłopaków czy coś.

- Muszę wyjechać na parę dni - powiedział szef do Balczarka po kolejnej długiej chwili ciszy. - Zaopiekuj się firmą i wypłać sobie...

Połączenie zostało przerwane. Balczarek nie był zdziwiony, Koracz często rozłączał się w

pół zdania, zostawiając go z niebagatelną zagadką do rozszyfrowania, o co właściwie mu chodziło. Gdy jednak popatrzył na wyświetlacz, zobaczył, że zamiast tapety z jego najmłodszym nygusem obejmującym Pupcia, ich doga brazylijskiego, widnieje chaotyczna mapa kolorowych pikseli.

To było dziwne. A jeszcze dziwniejsze było coś, co właśnie sobie uświadomił. Nie przypominał sobie, aby odkąd pracował w firmie, Koracz kiedykolwiek ruszył się z Głuszyc.

- Hmm, tutaj coś nie chce działać sprzęt - rzucił Rudziak. - GPS-y zupełnie nam zwariowały, trzeba było patrzeć w mapę wojskową, jak tu w ogóle dojechać.

- Co pan tu właściwie robi? - zapytał Barniec.

- To... to mój samochód. - Balczarek pokazał palcem stojący na skraju polany wóz, po czym gwałtownie się odwrócił. Na światło dzienne tym razem próbowało wydostać się śniadanie.

Tymczasem Zbigniew Grójecki wbiegł do chaty starego Wirdały, świecąc na prawo i lewo małą kieszonkową latarką. Emocje, które miał w sobie, były dużo większe od niego samego, ciało dygotało mu od wewnątrz, jakby ktoś torturował go bardzo wysokim napięciem. Grójecki czuł kilka rzeczy naraz. Po pierwsze, ulgę, żadne z ciał nie było ciałem jego wnuka. Po drugie, nadzieję, rozgorączkowaną i kipiącą, że policjanci coś przeoczyli i Tytus leży w tej dziurze ze złamaną nogą, że zaraz go znajdą i przewiozą do szpitala, a następnie do końca wakacji zostanie karnie relegowany do sprzątania stodoły. Po trzecie i najważniejsze, Zbigniew Grójecki czuł zwierzęcy strach, wylewający się z niego jak z dziurawego naczynia.

Ten lęk wciskał mu do głowy niechciane obrazy - Tytusa rozszarpanego jak tych dwóch leżących na noszach chłopaków. Sięgał też sporo głębiej i był bardziej racjonalny: Grójecki bał się, że Tytus znalazł się w Głuszycach nie bez powodu. Że nie bez powodu tu przyjechał i że już go w tym miejscu nie ma, więc nie znajdzie go policja nawet ze wszystkimi psami świata. Że ci, z którymi ostatni raz on i jego żona mieli kontakt tak dawno, dawno temu, ci, których już dawno temu uznali za bajkę, mieli rację.

Zbigniew Grójecki bał się, że Tytus Grójecki nie bez powodu jest jego wnukiem, a on nie bez powodu jest jego dziadkiem.

Przeszukał wszystkie pomieszczenia na parterze chaty i na złamanie karku zbiegł do piwnicy, zeskakując co trzy stopnie po stromych, nierównych schodach. Był tutaj po raz pierwszy, w domu, o którym słyszał przez całe swoje dorosłe życie, ale w tym momencie wcale się nad tym nie zastanawiał. Wiedział, że wszystko, co mówili mieszkańcy Głuszyc - że miejsce jest przeklęte, że nawiedzają je złe duchy - to nie prawda, lecz jedynie jej cząstka. Że chata starego Wirdały w Kolonii Głuszycze, nazywana Granicą, jest w swojej naturze czymś dużo potężniejszym niż przeciętny mieszkaniec Głuszyc, Polski, a nawet kuli ziemskiej byłby sobie w stanie wyobrazić. Mimo to akurat w tej chwili Zbigniewa w ogóle to nie interesowało. Myślał tylko o swoim wnuku. W jego głowie rozbrzmiewał w kółko głos córki pani Waszczuk: „Tytus wpadł do dziury w podłodze. Wpadł tam i chyba coś sobie złamał, bo słyszałam jego krzyk. Musiałam uciekać, ale on dalej tam jest”.

Interesowała go tylko ta dziura. Miał nadzieję, że nie była Bramą (to był kolejny, po Granicy, wyraz, który Zbigniew Grójecki chciał wymazać ze swojej pamięci), tylko zwykłą dziurą, powstałą wskutek nadmiernego nacisku na kilka starych, spróchniałych desek.

Ale nadzieja jest czymś zupełnie innym niż wiedza, a Zbigniew Grójecki doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Wiedział, że w chacie starego Wirdały, w miejscu, które było Bramą do zupełnie innego świata, nic nie jest zwykłe. Ściany to nie są po prostu ściany, podłoga nie jest normalną podłogą, a dziura dziurą.

Zbigniew Grójecki oparł się o mur. Podłoga piwnicy była równą powierzchnią, twardą, pokrytą złogami kurzu, słomy i śmieci, pozbawioną jakiegokolwiek otworu. Zbitą ziemią.

Zbigniew Grójecki usiadł, przyłożył obie dłonie do twarzy i zaczął płakać, nie wydając przy tym żadnego dźwięku. Po prostu jego ciało trzęsło się i przeciekało.

- Mówiłem panu, że nie ma tutaj żadnej dziury w podłodze. - Barniec szedł po schodach bardzo ostrożnie, omiatając światłem latarki strome i nierówne stopnie. - I nie ma tutaj pańskiego wnuka.

Grójecki odwrócił się w kierunku Barńca. Na jego twarzy malowała się bezbrzeżna desperacja, jak u kogoś, kto doskonale wie, że jego życie właśnie dobiegło końca, że nie ma już perspektyw na nic oprócz tragicznej, bezsensownej wegetacji. Barniec widział takie twarze w salach sądowych u ludzi, którym właśnie odczytano wyrok dwudziestu pięciu lat pozbawienia wolności - odruchowo cofnął się o jeden stopień i odwrócił wzrok.

- Jeśli jest pan przekonany, że pański wnuk rzeczywiście tutaj był - powiedział - prosiłbym o podanie jego personaliów i rysopisu. Zaraz zaczniemy przeszukiwać teren.

„Nie znajdziecie go - chciał się odezwać Grójecki. - Nikt go już nie znajdzie, on już jest tam, a Oni go nie wypuszczą. Musi tam być. Mój wnuk, syn Roberta”.

Ale rzucił tylko z rezygnacją:

- Dobrze. Tylko wyjdźmy na zewnątrz.

- Dobrze - odparł Barniec. - Ma pan rację, pełno tu kurzu.

Szli powoli, Barniec prowadził pod rękę Grójeckiego, idącego, a raczej człapiącego powoli w kierunku migających radiowozów. Nad ciałami chłopaków stał obducent, otoczony przez kilku młodych, popijających herbatę z termosów policjantów. Rudziak, oparty o wóz, tępy wzrokiem obserwował wypuszczane z własnych płuc kłęby papierosowego dymu, trzymając ręce w kieszeniach.

- Panie kolego! - zawołał stojącego dalej przy drzewie i próbującego zwrócić ostatnie resztki zawartości żołądka Balczarka. - Tę furę to chyba sami będziecie musieli odstawić. Jeśli pana przyjaciel rzeczywiście zgubił tu dzieciaka, będzie musiał z nami pojechać.

Balczerek przetaił usta.

- Ja jestem pijany. - Rozłożył ręce. - Nie mogę prowadzić.

- Jakoś dasz radę. - Rudziak wzruszył ramionami. - Cała drogówka z gminy jest tutaj. Nikt cię nie zatrzyma.

Grójecki stanął z Barńcem z boku, poza zasięgiem świateł radiowozów. Z lasu nie dobywał się żaden dźwięk, ale dziadek Tytusa miał wrażenie, że ta cisza nie jest po prostu ciszą, że coś pod nią pulsuje jak dźwięk wydawany przez startujący samolot.

- Więc jesteście pewni, przepraszam, jest pan pewien, że pański wnuk tutaj był? - zapytał Barniec, patrząc uważnie raz na Zbigniewa, raz na swój notatnik.

Grójecki kiwnął głową. Był wyczerpany. Emocje w nim gasły, a raczej z gorącej, wypełniającej mu żołądek lawy zastygały w twardą skorupę. Przystawał czuć cokolwiek poza powoli ogarniającym go bezbrzeżnym otępieniem.

- Wie pan, roześlemy listy gończe... - zaczął Barniec, ale w tym momencie przerwał mu krzyk jednego z policjantów.

- Panie komendancie! - darł się mundurowy. - Panie komendancie, że tego jeszcze nie zauważyliśmy! Tu jest jakiś rower!

Barniec już miał zacząć wrzeszczeć na policjanta, ale z tyłu dobiegł go zmęczony głos Rudziaka:

- Wspominałem już, że ci „mądrzy inaczej” przegapili walizkę z dwustoma tysiącami euro w bagażniku rozbitego audi?

Barniec i Grójecki ruszyli w kierunku roweru - Barniec nerwowym, szybkim krokiem,

Grójecki powoli, ciągnąc za sobą nogi, jakby przed chwilą uszkodził kręgosłup. Byli prawie rówieśnikami, ale gdyby w tym momencie ocenić ich wiek po posturze i chodzie, dziadek Tytusa sprawiał wrażenie starszego o dobre dwadzieścia lat.

Zbigniew od razu rozpoznał swój rower. Leżał w trawie, jakby Tytus porzucił go, zauważwszy coś na tyle fascynującego, że musiał od razu to sprawdzić. Ukłękął.

- Czy to rower pańskiego wnuka? - zapytał Barniec.

Grójecki kiwnął głową, nie mając siły na dokładniejsze tłumaczenie sytuacji.

- Musimy go zabrać, to materiał dowodowy - oświadczył policjant.

Grójecki wzruszył ramionami.

- W takim razie musimy też zabrać pana na najbliższy posterunek. Ma pan przy sobie jakieś aktualne zdjęcie wnuka?

Zbigniew kiwnął głową, wyciągając z portfela zdjęcie ziewającego Tytusa, w białym w przeraźliwie niedopasowany garnitur. Fotografię zrobiono na rozpoczęciu roku szkolnego w gimnazjum.

- Wie pan co, zajedźmy do pana domu i weźmy jakiś kawałek ubrania, coś, co należy do pańskiego wnuka. Damy to psom i jeszcze dziś zaczniemy przeszukiwać teren.

Dziadek Tytusa wstał i pokiwał głową, ledwo powstrzymując się od wzruszenia ramionami. „Mogliby wysłać tutaj armię psów, snajperów, mogliby ściąć cały ten las, ale Tytusa już tutaj nie znajdą - pomyślał kolejny raz. - Tytusa już tutaj nie znajdą” - powtórzył w myślach i poczuł, jak skorupa w jego żołądku znów zaczyna zamieniać się w kipiące, rozżarzone błoto, a z oczu ciekną mu łzy.

Gangrena widziała to wszystko, schowana w krzakach. Jej wzrok wcale nie był taki zły. Gdy tylko chciała, widziała wszystko bardzo, bardzo wyraźnie. Zwłaszcza w nocy.

- I co? - zapytał żrący głos za nią. - Którzy z nich nie są głodni?

- Wszyscy są - odparła Gangrena. - Wszyscy są bardzo, bardzo głodni. O, wielki lesie, ile oni by zjedli, gdyby tylko mogli, tak bardzo chcą jeść.

Ostre, przeszywające całe jej galaretowate ciało ukłucie wytrąciło ją z rozmarzenia. Zrozumiała, że głos się niecierpliwi.

- Wszyscy - powtórzyła - wszyscy, oprócz jednego. Jeden z nich w ogóle nie jest głodny. Tak jak tamten mały człowiek, który przeszedł przez Granicę.

- Czyli jest w obszarze działania ochronnego amuletu! - wyskrzeczwał głos donośniej i dużo bardziej żrąco, tak że w brzuchu Gangreny coś zadrżało. - Jest chroniony. Który to?

- Ten zgarbiony, który się najbardziej rozgląda i kogoś szuka, ten stary - wyszeptwała Gangrena z podnieceniem, pokazując poskręcany białym szponem sylwetkę stojącego obok policyjnego samochodu, kiwającego się Zbigniewa Grójeckiego.

- Ludzki Strażnik - głos za nią wysyczał to zdanie w taki sposób, że w głowie Gangreny zamieniło się w obraz, którego w ogóle nie chciała widzieć. Obraz dołu. Nieskończenie głębokiego, pełnego krzyku i bólu.

* * *

- Zło - powtórzyła bezwiednie Anka. Kubek z kolejną herbatą był bardzo gorący, ale i tak nie mógł ogrzać jej dłoni. Zalała ją fala chłodu, wypływająca z niej samej. Pani Maryla siedziała naprzeciwko w fotelu, wpatrzona w ścianę, z dłońmi splecionymi na podbrzuszu. Jej oczy były stare i zmęczone, wzrok mętny, głos cichy. Mówiła tak, jakby z każdym słowem przez przelyk przechodził kamień.

- Tak, w tym lesie jest Zło i kryło się w nim od zawsze, długo, długo przed wojną, przed

zaborami, prawdopodobnie dużo wcześniej, zanim przyjechał tutaj pierwszy człowiek - powiedziała pani Maryla.

- Widzieliśmy to Zło - przyznała cicho Anka, przyciskając dłonie do kubka, jakby był ochronnym talizmanem.

- Widzieliście - westchnęła pani Maryla - z tego, co wiem, w jednym z najłagodniejszych przejawów.

W pokoju na chwilę zapadła cisza. Ance wydawało się, że wszystko słyszy dwa razy wyraźniej - tykanie zegara, bzyczenie starej metalowej farelki ustawionej z tyłu fotela, na którym siedziała babcia Tytusa.

- Jak się domyślasz, Aniu - powiedziała pani Maryla - historia o starym Wirdale to tylko przykrywka wymyślona po to, aby ludzie omijali Kolonię Głuszyce szerokim łukiem. Zasłaniająca prawdziwe zło budzącymi lęk bajkami.

- Czyli cały ten Wirdała nigdy nie istniał? - zapytała Ania.

- Istniał, istniał - odparła babcia Tytusa, upijając łyk herbaty. - W pewnym sensie on również wymyślał te wszystkie historie na swój temat. One miały odstraszać. I jakby ci to powiedzieć... powtarzaliśmy je, bo takie było nasze zadanie.

Pani Maryla zatrzymała się na słowie „zadanie”, jakby było szczególnie ciężkim kamieniem. Wypuściła powietrze, przelknęła głośno ślinę i opuściła na chwilę głowę. Gdy znowu ją podniosła, jej oczy były wilgotne od chcących wydostać się za wszelką cenę łez.

- Tytusowi na pewno nic nie jest - powiedziała cicho Anka, a gdy wypowiedziała to zdanie, zdała sobie sprawę, że przypomina ono cienki, podpalony papier, że jego treść i jej wiara w nie znikają z każdą wypowiedzaną sylabą. Była przerażona, bo wiedziała, że Tytusowi mogło stać się coś bardzo złego.

- Oby. - Maryla westchnęła i zaczęła mówić jakby swoim starym tonem, ale pozbawionym radości życia, za to bardzo zdenerwowanym. - Było naszym zadaniem powtarzać te baśnie. Wierzyliśmy ślepo tym, którzy nam je przekazali. Nie widzieliśmy ich od wielu lat. Od tylu, że powoli przestawaliśmy wierzyć w ich istnienie...

- Chwileczkę, pani Marylo - przerwała Anka. Miała coraz większe poczucie nierzeczywistości, jakby stała u progu czegoś ogromnego i niezbadanego, przed drzwiami, za którymi rozciąga się niekończący się labirynt.

- Kto, jakie zadanie? - zapytała.

- Przepraszam cię, moje dziecko. Rozpędziłam się. Po prostu nikt nie przewidział, jak bardzo zmieniają się czasy. Nikt nie przewidział tych wszystkich durnych filmów, tego całego internetu, nikt nie pomyślał, że ludzie nagle dojdą do wniosku, że wszystko na tym świecie jest odkryte i widoczne jak na dłoni, że nie ma już niczego niepoznanego, magicznego. Nikt się nie spodziewał, że to, co tak długo ludzi odstraszało, nagle zacznie ich przyciągać i podniecać. Że zło już nie będzie złem, a przerażenie przerażeniem, że wszystko zamieni się we frajdę, w lunapark. Głupi ci ludzie, moje dziecko. Coraz to durniejsi.

Ania pokiwała głową. Wydawało jej się, że doskonale rozumie, o co chodzi pani Maryli.

- Pewnie Tytus tak naprawdę wcale nie wierzył, że tam... tam rzeczywiście coś jest - powiedziała cicho.

Pani Maryla nagle wybuchła płaczem. Płakała długo i cicho, z odwróconą głową, tak aby Anka nie widziała jej łez.

- Już za dużo ci powiedziałam, Aniu. - Nagle wstała i skierowała się do kuchni. - To nie jest bezpieczne miejsce. Nie jest bezpieczne ani dla ciebie, ani dla nikogo innego, niedługo zaczną się tutaj dziać złe rzeczy.

Anka zerwała się z fotela i poszła za babcią Tytusa do kuchni. Ta stała, oparta jedną ręką o stół, przecierając oczy drugą. Anką targały fale emocji - przerażenie, lęk o Tytusa, ale także ogromna, niepowstrzymana ciekawość. Jakie zadanie? Jakie Zło? Pani Maryla była roztrzęsiona, owszem, ale nie mogła przerwać tej historii akurat teraz.

- Pani Marylo - zaczęła najspokojniej, jak potrafiła. - Widziałam, co widziałam, i przysięgam, że nigdy w życiu nie byłam tak przerażona. Chcę wiedzieć, czym to coś naprawdę było, co się kryje w tym lesie i skąd pani o tym wszystkim wie, inaczej, pani Marylo, ten strach będzie już ze mną do końca życia. Musi mi pani wytłumaczyć. Musi.

Pani Maryla bez słowa wyciągnęła z szafki dwa kubki i włożyła do nich po torebce herbaty. Po chwili wyjęła jeszcze mały kieliszek oraz butelkę z gęstym, klarownym, pomarańczowym płynem. Popatrzyła na Ankę i wyjęła jeszcze jeden. Swoją kieliszek napełniła w całości, drugi do połowy.

- Wy, młodzi, i tak pijecie alkohol - westchnęła. - Tylko nie mów o tym nigdy swoim rodzicom ani dziadkowi Tytusa.

Postawiła kubki i kieliszki na tacy, po czym obie wróciły do pokoju.

- Dobrze, moje dziecko - westchnęła, rozsiadając się w fotelu. - Ja i tak już za dużo ci powiedziałam, a ty widziałaś swoje. Masz rację. Jesteś niesamowicie mądrą dziewczyną i będzie z ciebie kiedyś kawał inteligentnej baby.

Podsunęła Ance kieliszek. Dziewczyna upiła połowę zawartości, która była bardzo słodka, kleista i zalewała przelyk przyjemnie parzącym ciepłem.

- To nalewka Zbyszka. - Pani Maryla pokiwała głową. - Pół kieliszka ci nie zaszkodzi. Tylko nie proś o więcej, dobrze? Opowiem od początku. W tym lesie, Aniu, tak jak wszędzie na tym świecie, jest Zło, ale jest tam również Dobro. Rozumiesz? Nie jest wcale tak, jak próbują nam dzisiaj wmówić, że punkt widzenia zależy od punktu siedzenia, że wszystko można wytłumaczyć i usprawiedliwić, i popatrzeć na to z innej perspektywy. To nieprawda. Dobro i Zło to siły, prawdziwe i namacalne, które pozostają w wiecznym konflikcie. A ten konflikt, odkąd powstał ten głupi świat i my, głupi ludzie, polega od zawsze na tym samym. Zło z natury atakuje, chce zniszczyć Dobro, zakazić je, zabrać mu czystość. Zło wysyła wojska. Dobro natomiast się broni, buduje twierdze, kopie fosy wokół nich, wypełnia je wodą. Rozumiesz, o czym mówię, moja droga? Zło zawsze atakuje, Dobro zawsze próbuje się bronić.

- Rozumiem - przytaknęła Anka, chociaż wywód pani Maryli na razie przypominał jej monolog księdza z jedynej lekcji religii, na jakiej była w gimnazjum, zanim rodzice przepisali ją na etykę.

- To Dobro i Zło, jak już powiedziałam, są najprawdziwsze - ciągnęła pani Maryla - i bardzo często wchodziły w kontakty z ludźmi. To stąd brały się legendy, baśnie, opowieści, historie o potworach, czartach, skrztach. I dawno, dawno temu, gdy sprowadziliśmy się tutaj po raz pierwszy, również weszliśmy z nimi w ten kontakt. Wtedy Zło próbowało się przedrzeć. I okazało się, że zaginęły Klucze.

- Ale jakie Zło? Czym ono jest? Czym są Klucze? - dopytywała się Anka.

Pani Maryla popatrzyła na Ankę bardzo uważnie. Dziewczynę nagle ogarnęło niesamowite uczucie, takie, którego czasami doświadczała, zasypiając, wrażenie spadania z ogromną szybkością w bezdenną przepaść. Tylko że teraz tą przepaścią były oczy pani Maryli. Oczy, które nie wyglądały już ani na radosne, ani na smutne, ani na ożywione, ani na zmęczone, ale na dwa niezwykle długie tunele, na których końcu nie widać nawet promyka światła.

- Zrozum, Aniu... - pani Maryla zniżyła głos - najprawdopodobniej stało się to, czego obawialiśmy się najbardziej. Tytusowi zapewne nic nie jest. Dostał się jednak do miejsca, które

możemy nazwać właśnie tą wybudowaną przez Dobro twierdzą, fosą. To swojego rodzaju posterunek, którego mieszkańcy pilnują, aby Zło nie przedarło się z powrotem do naszego świata, jak wiele, wiele lat temu.

- Zaginione miasto - wyszeptała Anka - ukryte w lesie.

- Tak, zaginione miasto - powtórzyła babcia Maryla, a w jej głosie słychać było grozę - stworzone resztkami sił przez sługi Dobra. Miasto, które jest w pewnym sensie bramą, Pieczęcią powstrzymującą złe siły przed wyjściem na ten świat. Istoty zamieszkujące to miasto są chronione trzema potężnymi przedmiotami. Przelano w nie najpotężniejszy z czarów, czar ochrony przed Złem. Te przedmioty: Lustro Twardowskiego, w którym można zobaczyć własną śmierć, Portret Kobiety Cmentarnej gwarantujący posiadaczowi młodość aż do śmierci i Kwiat Paproci dający niezmiernie bogactwo, są znane jako Klucze. I za pomocą tych trzech przedmiotów, zgromadzonych w jednym miejscu, w jednym czasie, można otworzyć drzwi, zlikwidować czar. Otworzyć drogę dla Zła.

Pani Maryla zaczęła się delikatnie trząść. Anka przełknęła ślinę. Z dworu dobiegł dziwny, przytłumiony, jednostajny dźwięk - niczym buczenie wielkiego agregatu - który jednak po chwili zamilkł, rozpląnął się w powietrzu, jakby mieszkający za ścianą sąsiad zdjął basy z bardzo głośnej muzyki.

- Wiele lat temu, gdy sprowadziliśmy się do Głuszyc, Zło znowu próbowało się przedrzeć. Pokonaliśmy je wtedy, zupełnie nie wiedząc, co robimy, razem z mieszkańcami tego zaginionego miasta. - Pani Maryla wypila resztkę nalewki. - Nie będę ci opowiadała, co się wtedy wydarzyło. Przez lata nauczyłam się traktować to jak sen, coś, co w zwykłym, normalnym życiu nigdy nie miało miejsca. Gdy już udało nam się odeprzeć atak, mieszkańcy miasta opowiedzieli nam, że Brama jest bardzo zagrożona, że zagrożone jest Dobro. Klucze, które były w rękach jednego człowieka, Strażnika, zniknęły wraz z jego śmiercią i nikt nie ma pojęcia, gdzie one są. Ustanowiono nas, czyli mnie, mojego męża, nieżyjącego Kyrzaka, wójta gminy, ludzkimi Strażnikami. Mieliliśmy nie dopuścić, aby ktokolwiek dostał się w okolice Granicy. Nie dopuścić, aby ludzie zapomnieli o legendach, o historii, aby żyli w nieświadomości, co śpi ukryte głęboko w brzuchu lasu. Nasze zadanie polegało na tym, aby nikt nigdy nie chciał się dostać do tej mocy.

- Ten ludzki Strażnik to Wirdała! - wykrzyknęła Anka.

Pani Maryla nie odpowiedziała. Odwracając wzrok od swojej rozmówczyni, wstała, podeszła do kuchni i wróciła z butelką nalewki. Usiadła na fotelu, drżącą ręką nalala sobie kieliszek, zakręciła butelkę i zaczęła mówić dalej.

- Mijały lata. Zapominaliśmy o tej historii, w naszej pamięci zamieniała się w sen, w Głuszycach toczyło się normalne życie, rodziły nam się dzieci, wnuki. Zapomniałam, zapomnieliśmy o tym... o tych ludziach. Głuszycy rozrastały się, zmieniały, przekształcały w małe miasteczko. Nam upłynęło całe życie; dla sił i istot z tego lasu upłynęła zapewne krótka chwila. Zdążyliśmy o tym zapomnieć, ale nagle zaczęło się to dziać. Wróciło. Jeśli w lesie pojawiły się złe istoty, jeśli Tytus dostał się do tamtego świata, to znaczy, że Bariera jest bardzo, bardzo cienka. Że tylko krok dzieli nas od katastrofy.

- Dlaczego nagle stała się cienka, skoro przez kilkadziesiąt lat wszystko było w porządku? - zapytała Anka, wpatrując się w panią Marylę tak usilnie, że wszystko poza jej twarzą, poza jej głębokimi jak studnie oczyma było niewyraźne i rozmazane.

- Nie mam pojęcia, jak to działa. - Maryla pokręciła głową. - Może być tak, że siły zostały rozbudzone przez czyjeś bardzo złe serce. Serce kogoś, kto wie, co jest w środku tego lasu, i chce zdobyć moc. Gdy człowiek czegoś bardzo pragnie, wysyła sygnały otaczającej go rzeczywistości i jeśli te sygnały są wystarczająco silne, świat mu odpowie. Rozumiesz, o czym mówię?

Anka pokiwała głową. Wydawało jej się, że rozumie.

- A może ściana robi się cienka? Może po prostu mur, w który bez przerwy rzucają kamienie, w końcu musi runąć? Nie wiem. W każdym razie grozi nam ogromne, niewyobrażalne niebezpieczeństwo.

Anka poczuła, że kręci jej się w głowie. Gdyby ktoś opowiedział jej tę historię w jakichś innych okolicznościach, wzięłaby go za uciekiniera z zakładu dla czubków, ewentualnie kogoś, kto przyjął w życiu zbyt dużo nielegalnych chemicznych substancji. Ale wierzyła w każde słowo pani Maryli. To, co mówiła babcia Tytusa, paradoksalnie ją uspokajało - tłumaczyło, dlaczego jeden chłopak potrafił rzucić się na drugiego i go zagryźć, dlaczego w danym miejscu przestawały działać telefony i dlaczego musiała uciekać przed mającą metr wzrostu, przypominającą rozdęty biały balon i przerażającą niczym piekło istotą. Zdała sobie sprawę z tego, że przed wycieczką do Kolonii Głuszyce jej odbiór rzeczywistości można było porównać do, owszem, mocno zabałaganionego, ale jednak wyposażonego w sufit i zwykłe pionowe ściany pokoju. To, co zobaczyła w Kolonii Głuszyce, było jak tsunami, które porwało ze sobą ów pokój i roztrzaskało go na wirujące we wszystkich kierunkach fragmenty szyb, cegieł i mebli. A to, co powiedziała jej teraz babcia Tytusa, zaczęło powoli odbudowywać ten pokój, przywracać mu bardzo powoli pion i poziom.

Wiedziała jednak, że jeśli ten pokój zostanie odbudowany, jego kształt, wysokość, kolor ścian i umeblowanie będą zupełnie inne.

Do domu Grójeckich bez pukania weszła mama Anki, trzaskając za sobą drzwiami.

- Dobry wieczór - spokojnie przywitała ją pani Maryla.

Pani Waszczuk tylko spojrzała na stojący obok Anki pusty kieliszek, wykrzywiła twarz i stanęła przed córką.

- Wstawaj - powiedziała rzeczowo i krótko. - Wracamy do domu. Już spakowałam twoje rzeczy.

Dziewczyna zacisnęła zęby i nawet nie popatrzyła w jej kierunku. Matka potrafiła sprawić, że nagle zaczynała gotować się jej krew w żyłach - i tak było teraz. Jednak tym razem poczuła również coś innego. Brak lęku. Opór.

- Nie, mam - zaprotestowała spokojnie, starając się patrzeć jej w oczy. - Nie. Nie ruszę się stąd ani na milimetr, dopóki nie dowiem się, co z Tytusem.

- Wstawaj! - Polecenie zabrzmiało w ustach pani Waszczuk jak krótki, głośny i płaski dźwięk, jak uderzenie w policzek.

- Nie, mam - powtórzyła Anka. Chciała brzmieć tak stanowczo jak matka, ale głos jej niestety drżał.

Przez dłuższą chwilę pani Waszczuk stała bez ruchu, a Anka siedziała w fotelu. Patrzyły sobie w oczy, jakby trwała między nimi jakaś telepatyczna próba sił, jakby jedna chciała unieszkodliwić drugą samym wzrokiem.

- Twoja mama ma rację, Aniu - odezwała się nagle pani Maryla - to nie jest miejsce dla ciebie. To wszystko, co ci powiedziałam, może mieć straszne konsekwencje. Nie możesz tu teraz być. To dla ciebie zbyt niebezpieczne.

- Nie wyjadę - powtórzyła Anka i chociaż jej głos był już mocniejszy i mniej drżący, nie miało to żadnego znaczenia, gdyż z oczu ciekły grube, rzęsiste łzy. - Nie wyjadę, dopóki nie dowiem się, że Tytus jest cały i zdrowy.

Pani Maryla wstała i położyła Ani rękę na ramieniu. Drugą dłoń położyła na barku jej matki. Wzięła bardzo głęboki oddech.

- Aniu, wyznałam ci rzeczy, które czynią cię moją przyjaciółką - powiedziała to ze spokojem, ale czuć było, że ten spokój jest okupiony ogromnym wysiłkiem. - I teraz jako

przyjaciółka proszę cię: idź z mamą, wsiądź z nią do samochodu i wracajcie do domu.

Anka jeszcze przez chwilę stała nieruchomo, po czym powoli jak robot podeszła do pani Maryli, pocałowała ją w policzek, po czym bez słowa, nie patrząc na matkę, podeszła do drzwi wejściowych, otworzyła je i wyszła na zewnątrz. Drzwi trzasnęły. W domu zrobiło się przez chwilę głucho i pusto. Pani Maryla, jakby nagle ktoś wypuścił z niej całą energię i powietrze, usiadła na fotelu.

- Niech Bóg ma was w swojej opiece, Marylo - pożegnała ją pani Waszczuk.

Maryla tylko kiwnęła głową. Gdy pani Waszczuk zamykała drzwi, w myślach słyszała jeszcze wypowiedziane przez nią zdanie: „Niech Bóg ma was w swojej opiece”.

* * *

Kelnerka poprosiła, aby mężczyzna powtórzył.

- Dobrze pani usłyszała - powiedział człowiek - poczwórna porcja tataru. Bez ogórka i cebuli. I bez żółtka.

Kelnerka skinęła głową i pośpiesznie zanotowała. Nie patrząc na Strzępowatego albo starając się na niego nie patrzeć, odwróciła się i podeszła z powrotem do baru.

- To bardzo dobre, delikatne mięso - odezwał się człowiek, upijając łyżką odrobinę zupy i od razu wycierając twarz serwetką - będzie ci smakować.

- Nie wiesz, co to znaczy delikatne mięso! - wysyczał Strzępowaty i zabębnił długimi paznokciami o blat restauracyjnego stolika.

Mężczyzna skarcił go wzrokiem - Strzępowaty miał nie zwracać na siebie uwagi.

Strzępowaty zmuszał się do tego, aby nie wywołać niepotrzebnego zainteresowania. Aby nie rzucić się na mężczyznę i nie wygryźć mu kawałka tego smakowitego gardła, aby nie wypić jego ciepłej, sycącej krwi, aby nie wywlec go z restauracji do najbliższego lasu i nie raczyć się nim tam długimi godzinami, jednocześnie utrzymując go w przytomności żywego, dopóki na deser nie zostawi sobie jego mózgu.

Strzępowaty wypełniał jednak polecenia. Miał iść śladem Klucza za wszelką cenę, nawet za cenę posłuszeństwa tak beznadziejnie słabej i głupiej istocie. Powstrzymywał się, chociaż przebywanie w restauracji było dla niego torturą; ludzka istota czułaby się podobnie, gdyby zaprowadził ją wygłodniałą na bankiet pełen najpyszniejszych potraw, zabronił nawet zerkania w ich kierunku i rozkazał jeść suchy chleb.

Gdy kelnerka przyniosła tataru, Strzępowaty nabrał dłonią mięsa i wpakował je sobie do ust. Było bez smaku, pozbawione krwi i tłuszczu, puste. Spadało do jego żołądka jak kamień.

- Mam jeszcze jedną rzecz do załatwienia. - Człowiek zagłębił widelec w befsztyku, odkroił kawałek, nałożył nań kawałek pački z marchewki i groszku, włożył do ust i zaczął żuć. - A potem zajmijmy się Kwiatem Paproci. Mam nadzieję, że umowa jest jasna. Kwiat Paproci i Lustro Twardowskiego za dostęp do mocy przy otwarciu Pieczęci. To cenna oferta. Mówimy o dwóch z trzech Kluczy.

- Jesteś durniem! - wysyczał Strzępowaty, oblizując się. Gdy to powiedział, tętnica na szyi człowieka na chwilę apetycznie wypłynęła na wierzch.

Człowiek zrozumiał chyba tłumione pragnienie Strzępowatego, bo powiedział:

- Nie mogę zamówić ci jeszcze jednej takiej porcji, bo będzie to naprawdę zbędne zwracanie uwagi. Ci ludzie... - Zatoczył wokół nich koło widelcem. - Większość z nich mnie rozpoznaje. Tu chodzi o moją reputację, rozumiesz.

- Jesteś durniem - powtórzył Strzępowaty, położył ozdobioną szponami łapę na stole i dodał: - Kupczysz przedmiotami, które nie są twoje. Nigdy nie będą. Nigdy nie były. Jesteś tylko

człowiekiem. Gadając porcją mięsa. Jedyne, co w tobie cenne, to kawałki, które mogę zjeść.

Człowiek patrzył na niego niezwykle spokojnie, przeżuwając kolejny kawałek befsztyku. „On zmierza prosto ku własnej śmierci - pomyślał Strzępowaty. - Biegnie z rozwartymi szeroko ramionami i nawet nie widzi, co czeka go na końcu drogi. Z jednej strony, to powszechne u tego gatunku. Z drugiej, nie widziałem jeszcze, aby ktoś biegł do własnego kresu napędzany tak wielką, silną żądzą, tak szybko, z podobnym zapamiętaniem”. Ten człowiek się nie bał, nie bał się niczego. Strzępowaty mlasnął. Ten człowiek był wyjątkowo głupi.

- Po pierwsze - spokojnie mówił człowiek - w naszym ludzkim świecie mówimy, że coś jest „moje” albo „twoje”, kiedy nabyliśmy to drogą kupna. To taka umowa między nami, głupimi, śmiesznymi ludźmi. Nazywa się prawem własności. Po drugie, powinieneś coś o tym wiedzieć. Przecież byłeś kiedyś człowiekiem.

Strzępowaty zastygł. Poczuł, jak automatycznie jego twarz zmienia się z ludzkiej w prawdziwą. Jak to, co powiedział człowiek, sprawia, że wysuwają mu się szpony.

- Wiem nawet, jak się nazywałeś, i wiem, co robiłeś - dodał spokojnie - wiem dużo o tobie, o tym, kto tobą rządzi. Wiem o tym prawdopodobnie najwięcej ze wszystkich ludzi.

Strzępowaty wydał z siebie dźwięk, który reszcie ludzi w restauracji musiał przypominać nagły skrzek stada przerażonych zwierząt. Wysunął rękę i momentalnie chwycił człowieka za szyję, przysuwając jego twarz do swojej. Ścisnął. Oblicze człowieka zaczęło momentalnie przybierać trupi, śliwkowy kolor. Ludzie naokoło zaczęli krzyczeć przerażeni, upuszczać sztućce i szklanki. Zmrozeni strachem kelnerzy patrzyli w ich kierunku, szepcząc sobie na ucho. Ale Strzępowatego już wcale nie interesowała subordynacja względem człowieka, nie interesowało go niezwracanie na siebie uwagi. Po prostu go zabije. Znajdzie Lustro. Potrafi wywachać czyjś zapach z drugiej połowy kuli ziemskiej. Zawsze znajduje to, czego szuka, a teraz musi zabić.

- Najpierw - wysyczał - wyssssę ci oczy i będę je dłuuuugo żzzzzzzułłł.

Człowiek nie oddychał. Patrzył tylko na Strzępowatego szeroko otwartymi oczyma kogoś z właśnie miazdżoną krtanią.

I Strzępowaty już miał dokończyć dzieła, ale coś poczuł. Uderzenie. Dźwięk. Wibrowanie pod podłogą. Dostał sygnał. Wiadomość jak wstrząs, jak czerń.

Widział przez chwilę, jak człowiek głęboko oddycha, jak poluzowuje krawat, jak przepraszającym wzrokiem patrzy na innych ludzi. Ale zaraz przestał widzieć. Zalała go czerń, gęsta jak ropa, czerń utkana z pradawnych szczątków, z samego środka brzucha. Brzucha Lasu.

- Musisz wracać. - Usłyszał znajomy głos, który jak toksyczny płyn wyżera i pali wszystko, co żywe. - Zasłona się przedarła. Pomiot ludzkich Strażników przeszedł przez Granicę.

- Jestem na tropie - odparł, próbując wykrztusić jakieś słowa przez czerń wciskająca się jak smar we wszystkie otwory w jego ciele.

- To może poczekać. Człowiek, z którym jesteś, sam nas odnajdzie - powiedział głos.

- On wie, gdzie jest Kwiat Paproci - wyjęczał Strzępowaty, czując się, jakby tonął.

- My też to wiemy - wysyczał głos - masz wracać. Człowiek nie jest ci na razie potrzebny.

Sam nas znajdzie, powiedziałem. To rozkaz.

Strzępowaty znów widział, był w restauracji. Czuł ból, po raz pierwszy od dawna. Popatrzył na człowieka, dyszącego, zaczerwienionego, który obserwował go z ogromną uwagą.

Wstał, biorąc kilka oddechów. Musiał nabrać sił. Czekał go długi bieg. Człowiek dalej na niego patrzył, w milczeniu, jak zahipnotyzowany.

Strzępowaty odwrócił się, z całych sił starając utrzymać się w swojej człowieczej formie, czując, jak szpony przebijają mu materiał w kieszeniach marynarki, w których próbował zmieścić dłonie.

- Czekaj! - krzyknął za nim człowiek. - Czekaj! A nasza umowa?
- Żadnych umówwwwww! - syczał Strzępowaty, wiedząc, że niedługo, bardzo niedługo zabije tego człowieka i będzie to najprzyjemniejsza rzecz, jaka spotka go od dobrych kilkuset lat.

9. Zmorojowo

Drzwi do ratusza były ciężkie, pokrywała je sieć metalowych płaskorzeźb. Rzuciła się w oczy przede wszystkim postać brodatego mężczyzny, odzianego w długą tunikę i mającego, oprócz swojej normalnej twarzy, po dodatkowym obliczu z każdego boku głowy. Otaczały go dzieci ze wzniesionymi do góry rączkami - ich twarze przypominały buzie małych aniołów na freskach w starych kościołach. Na Tytusie zrobiło to dziwnie znajome wrażenie, ale nie miał czasu na dłuższą refleksję. Strąk wykonał ten sam gest „machania”, po którym drzwi otwarły się z głuchym łoskotem.

Tytusowi wydawało się, że pośrodku ratuszowego budynku musi być jakiś krużganek, na którym wyrasta drzewo. Mylił się. Dąb przebijał się przez podłogę, sprawiając wrażenie, jakby wyrastał ze środka ziemi. Chłopak spojrział w dziurę, z której wybijał, i nie mógł zobaczyć dna. Drzewo musiało być ogromne. Wokół pnia leżały rozsypane kawałki dachówek i bruku, stare i pokruszone, tak jakby roślina urosła do ogromnych rozmiarów i przebiła posadzkę w ułamku sekundy. Strąk popchnął Tytusa dalej.

Pod drzewem stało kilka wyraźnie czekających na nich postaci. Młoda, ubrana podobnie do Strąka w podarte ubrania moro kobieta. Jagodziak, nerwowo przestępujący z nogi na nogę i podrygujący, jakby w brzuchu zaległy mu się jakieś bez przerwy drażniące go istoty. Identyeczni, bardzo niscy bliźniacy w podłużnych, przypominających stożki czapkach, z długimi białymi brodami. Różnili się jedynie kolorem strojów - jeden miał czerwone, a drugi zielone ubranie. Inna kobieta - zawinięta w stary przeciwdeszczowy płaszcz, z nogami w wysokich, przeznaczonych do łowienia ryb kaloszach - miała mokre włosy, a z jej ciała bez przerwy ściekała woda. Wyglądała, jakby właśnie wyszła spod prysznic i zamiast użyć ręcznika, jedynie okutała się zasłoną. Postacie obserwowały ich w milczeniu. Tytus przelknął ślinę. Sytuacja była bardzo daleka od przyjacielskiej.

Nagle usłyszeli dobiegający zza drzewa odgłos kroków. Wszyscy odwrócili się w tamtym kierunku - jedynie bliźniacy skierowali głowy w dwie różne strony, w rezultacie zderzając się czołami. Tytus się zaśmiał, ale nikogo innego to nie rozbawiło.

Wraz z krokami nadchodził głos. Tak głęboki i donośny, że aż komiczny - głos herolda ze starego filmu o średniowiecznym mieście.

- Miałeś konserwować czar, Strąku. Mówiliśmy ci o tym dziesiątki, setki razy. Od tak długiego czasu, że już powoli tracimy cierpliwość.

- To nie jest kwestia mojej opieszałości - spokojnie odparł Strąk. - Bariera jest słaba. Wyjątkowo słaba. Granica zaczyna pękać. Mówię to od dawna, ale wy nie chcecie słuchać.

Mężczyzna wyglądał znajomo - to jego Tytus zobaczył chwilę wcześniej przez okno u fryzjera. Był bardzo wysoki. W normalnym świecie uznano by go za giganta - miał jakieś dwa i pół metra wzrostu - ale chłopak już od dobrej godziny w ogóle nie myślał w kategoriach normalnego świata. Poza tym miał owłosienie jak niedźwiedź - długa broda i kędzierzawe afro stanowiły jedną, okalającą jego głowę orbitę włosów, a kępy sierści wykwitwały z każdego skrawka prostego, składającego się ze spodni i koszuli ubrania.

- Należy wrzucić ich do jamy! Ich wszystkich! - krzyknął staruszek. Wśród zebranych przemknął szmer szeptów, jednak wójt szybko go uciszył. Podeszedł blisko do Tytusa. Kucnął przed nim i popatrzył mu prosto w oczy. Tytus poczuł się nieswojo.

- Uspokój się, Jagodziaku - powiedział wielki mężczyzna. - Chyba niekoniecznie. Może wystarczy zabrać im pamięć i wyrzucić ich z powrotem. Konsekwencje ich obecności nie są problemem. Kłopotem jest to, że w ogóle mogli się tutaj dostać.

- Więc zabierzmy im pamięć jak najszybciej. - Strąk pokazał palcem Bartka i Damiana. - Ci

dwaj leżą tu już jakiś czas. Im dalej w las, tym czar działa słabiej. Przecież wiesz o tym lepiej ode mnie.

- Wiesz, że nie mogę podejmować takich decyzji sam - powiedział wójt, po czym zamilkł na dłuższą chwilę.

- Leżymy tu już tydzień, przebierańcy, cholerny tydzień - rzucił wyraźnie poirytowany Bartek.

- Lepiej będzie dla ciebie, gdy nie będziesz się odzywał nieproszony. - Strąk rzucił tę uwagę w jego kierunku, po czym zwrócił się do mężczyzny: - Co do tych dwóch, wójcie, masz rację. Natomiast ten tutaj, ten mniejszy, z nim może to nie zadziałać. On widzi przez Zamaskowanie.

Na te słowa zareagowali prawie wszyscy. Wójt wstał i popatrzył ze zdziwieniem na Strąka. Pan w truskawkowym fraku podszedł trochę bliżej, a na pomalowanej na biało twarzy wykwitła mu mieszanka ciekawości i lęku, jakby stał przed klatką z jakimś pięknym, egzotycznym i śmiertelnie jadowitym zwierzęciem. Bliżej przydreptały też dwa bliźniaki krasnale, wszyscy obserwowali Tytusa, jakby był czymś, co nie ma prawa istnieć, jak na wyrwę w ich uporządkowanym - według nich samych - świecie. Podobne wyrazy twarzy mieliby zapewne mieszkańcy Warszawy, którzy nagle w nocy zobaczyliby na niebie zorzę polarną.

Tytus nagle zrozumiał, dlaczego Bartek i Damian szli przez miasto, nie reagując w jakikolwiek sposób na mijane przez nich cudowności. Oni po prostu tego nie widzieli. Błyszczące koty, nagle ożywający zakład fryzjerski, zmieniający się pomnik - z ich trójki mógł to zobaczyć tylko on.

- Spokojnie, spokojnie - powtórzył wójt. - Strąku, nie przesadzaj. Wiesz, że to niemożliwe, aby człowiek widział przez Zamaskowanie, i nie usprawiedliwiaj takimi bzdurami tego, że nie chciało ci się załatać dziur w Barierze.

- Wiesz, co to znaczy, gdy człowiek widzi przez Zamaskowanie - powiedział Strąk, wyciągając fajkę z kieszeni.

Wójt milczał przez dłuższą chwilę, po czym przemówił swoim grubym, tubalnym głosem:

- Tak jak wspominałem, Strąku, to niemożliwe.

- Więc po prostu zabierz im pamięć i wynieśmy ich stąd - mruknął Strąk, coraz bardziej poirytowany.

- Powtarzam, nie mogę podjąć sam takiej decyzji. - Wójt szeroko rozłożył ramiona. - I sam doskonale wiesz, jak jest w Zmorojewie. Będziemy musieli zwołać zgromadzenie.

- Przestańcie tak stać z rozdziawionymi jamami i lepiej tłumaczcie się, cholery, dlaczego nikt nigdy nie zaprasza mnie na imprezy! - Tytus usłyszał z tyłu głos starej kobiety.

- Witaj - powiedział wójt. - Bardzo miło cię widzieć.

- Gówno prawda, stary kłamco - odparła.

Tytus się odwrócił. W drzwiach ratuszowego holu stała stara kobieta z jego snu w domu Strąka. Jej głowę pokrywała burza siwych, skołtunionych włosów, część z nich była zapleciona w grube dredy, reszta w warkoczyki, a wszystko pokrywała burza różnokolorowych koralików. Nieznajoma miała na sobie trudną do policzenia warstwę swetrów, sukni i łachmanów. Dłoń z licznymi pierścieniami na palcach trzymała na grubym, pokrytym wydrapanymi symbolami kiju. Pod powiekami miała namazane niebieskim barwnikiem grube kreski.

- Wiem, że jestem bardzo starą babą - powiedziała. - Ale ta bardzo stara baba powyciągała was z brzuchów, gniazd, łupin czy skąd żeście się wszyscy, cholera wasza, porodzili. Mam prawo uczestniczyć w ważnych dla tego zadupia wydarzeniach. Niech który z was, gamonie, ruszy zad i naparzy temu chłopcu herbaty. I mnie też przy okazji.

Kobieta podeszła do Tytusa. Uśmiechnęła się. Na razie była najsympatyczniejsza z tego

całego towarzystwa.

- Jak się nazywasz, chłopcze?

- Tytus - odparł zgodnie z prawdą Tytus.

- Bardzo mi miło - odpowiedziała kobieta - ja nazywam się Baba-Jaga. Witam cię w Zmorojewie.

* * *

Jeśli wejście do ratusza należało do zdarzeń z kategorii nieprzyjemnych, to Tytus nie miał pojęcia, jak zaklasyfikować swoją obecną sytuację. Dopiero w tej chwili jego pobyt w mieście duchów zaczął przypominać sen - taki, który podobno miewa wielu ludzi: o przebywaniu nago w jakimś zatłoczonym miejscu. Tytus co prawda nie był nagi, ale znajdował się w pomieszczeniu wypełnionym po brzegi przeróżnymi osobami i był w samym centrum zainteresowania.

W położonej w piwnicy ratusza wielkiej sali przebywało dobre kilkaset osób. Większość z nich wyglądała jak zwykli ludzie, gdyby nie ich niezupełnie zwykłe ubiory. Niektórzy, owszem, mieli stroje z grubsza przypominające współczesne; inni jednak wyglądali, jakby wyjęto ich żywcem ze średniowiecza albo ubrali się w przedziwne, pstrokate, fantastyczne kombinezony lub tuniki. Część zgromadzonych charakteryzował prawie kompletny zestaw ludzkich cech, z wyjątkiem ogromnych, płaskich i zajmujących połowę czaszki uszu lub wyrastających spomiędzy włosów na głowie różnokolorowych piór. Tytus wyławiał też z tłumu istoty, które przypominały ludzi jedynie posturą, wzrostem i dwunożnością - niektóre były owłosione i sprawiały wrażenie krzyżówki człowieka z niedźwiedziem, inne pokrywała warstwa łusek albo posiadały dodatkową głowę, żywo dyskutującą ze swoją „partnerką”.

Tytus zareagowałby na ten wielobarwny melanż twarzy, strojów i gatunków z takim samym spokojem jak na widok transformujących się ulic i budynków, gdyby nie fakt, że wszystkie te istoty patrzyły wprost na niego, głośno pokrzykując, wytykając go palcami i wznosząc do góry zaciśnięte pięści, a wyraz ich twarzy raczej nie wskazywał na to, że mieliby ochotę ugościć go ciepłym obiadem i serdecznie z nim porozmawiać.

Popatrzył na Damiana i Bartka, których ustawiono z jego lewej i prawej strony. Obaj już dawno zrezygnowali z nieudolnego odgrywania niepokornych twardzieli. Trzęśli się jak galareta, a z ich skroni spływały strużki potu. Znajdowali się na podwyższeniu, tyłem do grubych niczym słupy, splątanych w węzły korzeni ogromnego drzewa, służących za coś w rodzaju ołtarza. Obok nich stał wójt, dzierząc w dłoni gruby, sięgający stropu kij, ozdobiony na końcu płaskorzeźbami.

Tytus aż podskoczył, gdy olbrzym z całej siły uderzył kijem o ziemię, uciszając w ten sposób gwar zebranego przed nimi tłumu.

- Witam na nadzwyczajnym posiedzeniu obywateli Zmorojewa! - huknął głosem bardziej tubalnym niż zwykle. - Dziś zadecydujemy, jaki los czeka tę trójkę intruzów, która wtargnęła tutaj przez dziurę w Barierze.

Zanim wrzawa wybuchła na nowo ze zdwojoną siłą, Tytus usłyszał, jak Bartek, Damian i on sam głośno przelękają ślinę.

Jakąś godzinę wcześniej (Tytus opierał się na wewnętrznym poczuciu czasu, ponieważ nie widział w mieście, nawet na ratuszowej wieży, ani jednego zegara), wójt, Strąg i reszta udali się na rozmowę w zacisne miejsce. Baba-Jaga odmówiła uczestnictwa w obradach - zaprowadziła ich do jednego z licznych poukrywanych w ścianie ratusza małych pokoi. Przypominał nieco kuchnię, chociaż nie było w nim charakterystycznych dla kuchni sprzętów. Jedną ścianę zajmował prawie w całości mebel w rodzaju drewnianego segmentu z dosłownie tysiącem malutkich zapadek, szuflad i drzwiczek, do drugiej przytwierdzono lity, długi blat z heblowanego drewna. Tytus miał wrażenie,

że co jakiś czas pojawiają się na nim jaśniejsze okręgi, jakby materiał, z którego wykonano blat, był przezroczysty, a ktoś od dołu podświetlał go słabą latarką.

- Oczywiście herbatę to już sobie trzeba samemu zrobić. Ale doprawdy nie wiem, gdzie oni wszystko pochowali, gamonie! - Baba-Jaga kręciła głową, szperając po niezliczonej liczbie szuflad.

Bartek, Damian i Tytus obserwowali ją bez ruchu. Tytus zauważył, że na ich twarzach rysuje się coraz większy niepokój.

- Czuję się trochę jak w *Teksańskiej masakrze pilą mechaniczną* - wyszeptał Damian do Bartka. - Stary, naprawdę, mam wrażenie, że ta banda przebierańców porywa każdego, kto tylko wchodzi do tego lasu, i z kopa przerabia na mielone, wcześniej torturując.

- Uspokój się, chłopcze - poradziła odwrócona do nich tyłem Baba-Jaga, gmerając w jednej z najniższych szuflad. Gdy się podniosła, coś strzyknęło jej w kręgosłupie. Zabrzmiało to tak, jakby ktoś z impetem nadepnął na kartonowe pudło. - Nożesz kurwa jego mać! - zakląła, dotykając dłonią pleców. Spomiędzy fałd jej sukienki wybiegła szybko mała mysz. - Przepraszam młodzież za języki obce. No, chłopcasiu, jest tu w okolicy wielu takich, którzy by wystrugali z ciebie parę ładnych filecików. Ale tutaj nie masz się czego obawiać. Oni wszyscy żrą orzechy i jagody, a niektórzy w ogóle utrzymują, że wchłaniają tylko energię lasu i może dlatego tak im, baranom, na mózg padło. Ja jestem starej daty i nie wzgardzę jakimś tłustym zaskrońcem albo dobrze spasionym jeżem. Ale człowiek... To dla mnie za łykowate.

Powiedziawszy to, odwróciła się i wyszczerzyła w szerokim uśmiechu klawiaturę poźółkłych, krzywych końskich zębów. Bartka aż wzdrygnęło, Tytus odruchowo się uśmiechnął. Ta cała Baba-Jaga była naprawdę sympatyczna.

Czarownica znalazła w końcu to, czego szukała: był to długi metalowy rondel, ozdobiony ornamentem przedstawiającym gęsty bluszcz. Postawiła go na blacie i pogrzebała w jednej z setek swoich kieszeni. Po chwili wyciągnęła z niej szczyptę dziwnego, ostro pachnącego zielska. Wsypała je do rondla, pstryknęła palcami i w naczyniu pojawiła się woda; pstryknęła palcami drugi raz, pod blatem rozjarzyło się białe koło, które przedtem zauważył Tytus, i woda zaczęła się gotować. Czarownica wróciła do kredensu, zapewne w poszukiwaniu jakichś kubków.

- Napijemy się rozluźniających ziółek! - Zaśmiała się. - Mam tylko nadzieję, że niewiele jedliście, bo ten chwaścik rozluźnia całościowo, jeśli wiecie, co mam na myśli, he he.

- Nie będę nic pił! - warknął Bartek. - Nie od was. Nie ma mowy. Nie mam najmniejszego zamiaru. Sama się najpierw tego napijesz.

Baba-Jaga podeszła z powrotem do blatu, trzymając w rękach cztery kubki. Do każdego naląła trochę gotującego się naparu, który zaczął już wydzielać ostry, pieprzowy i nieprzyjemny zapach.

- Ależ oczywiście, że się napiję. - Kobieta się uśmiechnęła. - Przecież już bym ocipiała bez moich ziółek.

Podąła im po kubku. Bartek, Damian i Tytus przysunęli naczynia do nosów, powąchali zawartość i jednocześnie się skrzywili. Przy bliższym kontakcie napar pachniał jak woda zagotowana z torebką pieprzu, odrobiną zgniłego mięsa oraz najtańszym płynem dezynfekcyjnym lizol.

- No, chłopcy, chlup w ten głupi dziób! - Baba-Jaga zarechotała i przechyliła kubek.

Żaden z nich nie mógł się zdecydować, aby upić chociaż mały łyk płynu - zapach był obezwładniająco obrzydliwy.

- Słuchajcie no - powiedziała Baba-Jaga, ocierając usta. - Jest taka sprawa, że na waszym miejscu bym się tego napiła. Lekkie uspokojenie nie zaszkodzi, biorąc pod uwagę to, co za chwilę was czeka.

- Że niby co nas czeka?! - prawie równocześnie krzyknęli Bartek i Damian.

Baba-Jaga wzruszyła ramionami i nawinęła jeden ze swoich długich dredów na palec. Tytus zauważył, że jest zakończony bardzo długim i specjalnie ostrzonym szponem, jednak reszta paznokci Baby-Jagi była normalnej długości.

- Słuchajcie, chłopcy. - Popatrzyła na nich z ukosa. - Ja jestem stara baba, nie mam powodu komuś źle życzyć, nawet jeśli jest durny i śmiertelny. Nie widzę u was żadnej czarnej plamy. Nic a nic, a rozpoznam te smrody od Leszego wszędzie, nawet jeśli pomalują się na białą i przebiorą za zasrany pomnik. No, ale mnie jednej nie zaufają, zresztą są tacy wśród tych osłów, którym się wydaje, że ja niby potajemnie coś tam teges ze złym. Nic mnie tak nie wścieka, bo wcale nie tak dawno temu przez podobne międlenie ozorem większość moich koleżanek przerobiono na wesołe ogniska. Ale pies ich w dupę trącał, ja nie o tym. Otóż nie ufają mnie ani temu od ptaków, co to jest chyba od nich jedyny porządny, więc będą musieli sprawdzić, czy nie jesteście, wiecie, agenturą od złego czy kimś tam. Ja to bym się przed tym trochę uspokoiła.

- Jaką agenturą? Kobieto, o czym ty mówisz?! - zaczął krzyczeć Bartek. - Jakiego złego?!

Baba-Jaga zacisnęła usta i podeszła do niego trochę bliżej. Dotknęła nosa chłopaka czubkiem swojego zaostzonego paznokcia. Bartek stężał, jakby jego krew momentalnie zamieniła się w cement.

- Chłoptasiu, lubię cię - powiedziała z przesywająco chłodnym spokojem - ale proszę cię bardzo, nie podnoś na mnie głosu, bo ci zaraz zamienię ten ozór w wielki i włochaty liść, a to, co najcenniejsze, w karpia albo inne zabawne zwierzątko.

Bartek głośno przełknął ślinę.

- Przepraszam - wydusił.

- Ja myślę - odparła Baba-Jaga i podnosząc dłoń w charakterystycznym geście, dodała: - No to chlup w ten głupi dziób. Tylko spokojnie, ziółka zaczynają działać dopiero po chwili.

Płyn nie był taki ohydny, jak sugerowałby jego zapach. To znaczy, smakował obrzydliwie, ale jego ohyda mieściła się jeszcze w granicach normy - przypominał rosół, jaki kiedyś spróbował ugotować tata Tytusa z rozgotowanych starych warzyw, w tym kapusty, z przeterminowaną kostką rosółową.

- No dobrze, pani Jago - nieśmiało zagadnął Tytus - ale co oni będą chcieli nam tak naprawdę zrobić?

W tym momencie otworzyły się drzwi i do środka weszła dziewczyna, którą w myślach Tytus określił jako siostrę Strąka, z wiecznie gniewną twarzą o ostrych, mocnych rysach, z włosami gładko ściągniętymi w kucyk.

- Idziemy! - rzuciła, nawet na nich nie patrząc, i pokazała im drogę do wyjścia.

- Można wiedzieć dokąd? - zapytał Bartek zdecydowanie ciszej.

- Radziłabym ci nie zadawać pytań - odparła dziewczyna podobnym tonem co Strąk. Tytus był już prawie pewien, że tych dwoje musi być spokrewnionych.

- Więc zdecydowaliście się na to całe wasze zgromadzenie. - Baba-Jaga pokręciła głową, biorąc łyk płynu i okraszając to potężnym siorbnięciem. - Te głupie, przejęte od ludzi, nowoczesne pomysły. Jesteście bandą słabych gamoni, która nie potrafi podjąć jednej decyzji. Przecież wiadomo, co się stanie.

Dziewczyna wypuściła gwałtownie powietrze, jakby chciała coś powiedzieć, ale po sekundzie zrezygnowała.

- Za mną - rzuciła do Tytusa, Damiana i Bartka.

Ruszyli. Kobieta stanęła przed drzewem i przesunęła poziomo dłonią w powietrzu, jakby chciała pokazać, że głaszcze brukowaną posadzkę.

Kocie łby bezdźwięcznie się rozsunęły, w podłodze pojawił się prostokątny czarny otwór oraz prowadzące w jego głąb schody. Z dziury dobiegały tupot i wrzask, dziewczyna machnęła ręką, aby ruszyli za nią. Tytus poczuł, że nogi robią mu się jak z waty.

- Poczekaj chwilę! - Usłyszał za sobą głos Baby-Jagi.

Czarownica podeszła do nich, minęła jego towarzyszy z piwnicy i dziewczynę i zatrzymała się na chwilę przy Tytusie. Popatrzyła mu głęboko w oczy, aż chłopak nieprzyjemnie się zatrząsł - wzrok kobiety miał w sobie coś z dentystycznego wiertła, sprawiając, że człowiek czuł się jak krótka, bardzo szybko czytana przez kogoś książka.

- Coś się stało? - zapytał.

Kobieta pokręciła głową i dotknęła jego czoła. Tytus poczuł, jakby w jego głowie na moment włączył się jakiś ciepły, wibrujący przedmiot. Baba-Jaga zmarszczyła brwi i zabrała dłoń.

- O co chodzi? - zapytał Tytus.

Baba-Jaga przez ułamek sekundy wpatrywała się w niego, jakby była czymś bardzo zdziwiona, ale zaraz machnęła ręką i odwróciła się na pięcie.

- Idźcie, idźcie - mówiła, kuśtykając w kierunku kuchni, ukrytej za znów zrosniętą ścianą. - Idźcie doprowadzić to wszystko do ruiny.

* * *

- Do jamy! Przykryć ich! Zagłodzić! - krzyczał tłum, a Tytus w końcu zaczął się bać. I to bardzo. Kątem oka spostrzegł stojącego w rogu Strąka, który obserwował całą sytuację z obojętnym wyrazem twarzy, trzymając ręce założone na piersiach. Od czasu do czasu drapał się po głowie - wtedy zza jego ucha wylatywał w powietrze jakiś mały ptak.

- Spokój! Spokój! - krzyknął wójt, waląc kijem w podłogę. - Jak dobrze wiecie, nie mamy wcale pewności, że ta trójka osobników to agenci Leszego. Mogą być zwykłymi ludźmi, którzy dostali się tutaj przez wyrwę w Bariere. W Bariere, którą wypadaloby od czasu do czasu konserwować.

To mówiąc, wójt spojrzał wymownie w kierunku Strąka. Ten westchnął.

- Konserwuję Bariere codziennie, problem tkwi w... - zaczął mówić, ale zaraz znowu przekrzyczał go tłum.

- Spokój! - rozkazał jeszcze raz olbrzym. - Przeprowadzimy teraz głosowanie. Owszem, jako obywatele Zmorojewa macie prawo domagać się wtrącenia tych oto przybyszów do jamy. Miejcie jednak świadomość, że będzie to decyzja nieodwołalna i ostateczna, a jeśli ci tutaj intruzi są zwykłymi ludźmi, pochodzącymi z zewnętrznego świata, wtrącenie ich do jamy będzie aktem wielkiego okrucieństwa. Wiecie, czym jest jama. Wiecie, że zwykły człowiek nie ma szans, aby wyjść z niej zdrowy na ciele i umyśle.

- Do jamy! Do jamy z nimi! - domagał się tłum.

Tytusa paraliżowało przerażenie. Chciał coś powiedzieć, krzyknąć, zaprotestować, ale najzwyczajniej w świecie nie mógł się ruszyć. Nie był już nawet w stanie przeliść śliny. Jednocześnie czuł, jak powoli w jego żołądku rodzi się coś dziwnego - piekące, nieprzyjemne ciepło, uczucie podobne do dziwnej ekscytacji, jaka pojawia się w obliczu nieznanego.

- Jest też drugi wariant - kontynuował wójt. - Możemy po prostu nałożyć na tych nieszczęśników czar zapomnienia, otworzyć Bariere i wysłać ich z powrotem do świata ludzi. Wiemy, w czym tkwi ryzyko. Jedno otwarcie Bariery może ją znacznie osłabić. I zdajemy sobie sprawę z tego, że nie możemy sobie na to pozwolić, gdy nie mamy pojęcia, w czyich rękach są Klucze, co planuje Leszy, i gdy nasz konserwator Bariery zdecydowanie zaniedbuje swoje obowiązki...

Tytus zauważył, że Strąk po raz pierwszy od początku całego zgromadzenia zmienił wyraz twarzy. Przez chwilę przybrał grymas, który Tytus mógłby określić mianem głębokiego zażenowania. Nic jednak nie powiedział, jedynie ostentacyjnie splunął.

- Do ja-my! Do ja-my! Do ja-my! - skandował tłum.

Pośród wrzasków wyróżniał się znajomy głos Jagodziaka, który stał w drugim rzędzie i wymachiwał kościstą pięścią.

Tytus nie chciał, ale mimo to patrzył w setki wbitych w niego nienawistnych spojrzeń. Nagle usłyszał śmiech, stłumiony i spazmatyczny rechot, jakby ktoś bardzo nietrzeźwy oglądał głupią komedię. Obejrzał się w prawo. Zaczerwieniony Bartek patrzył na zebranych i najzwyczajniej w świecie parskał śmiechem, pokazując tłum palcem, jakby oglądał w telewizji jakiś wyjątkowo dobry kabaret. Tytus ze swojej lewej strony usłyszał, że Damian, jakby w reakcji na śmiech kumpla, również zaczyna rechotać, jeszcze głośniejszy i jeszcze bardziej spazmatycznie.

Zrozumiał, że zaczynają działać zioła od Baby-Jagi i że dziwne uczucie w jego brzuchu, powoli promieniujące na całe ciało, również jest - najprawdopodobniej - efektem wypicia dziwnego naparu.

- Przemyślmy to na spokojnie! - wójt znów podniósł głos. - Jeszcze raz. Nie mamy pewności, że są agentami Leszego, nikt z nas nie wyczuł od nich żadnego mrocznego...

Pod nogami Tytusa z plaśnięciem wyśladował rzucony z tłumu jakiś nadgniły, okrągły owoc, przypominający krzyżówkę jabłka z pomidorem. Następny minął o włos twarz wójta, rozplaszczając się na konarach drzewa.

- Dobrze więc, kto jest za wrzuceniem tych oto intruzów do jamy? - zapytał wójt, wyraźnie zrezygnowany pod naciskiem tłumu.

Na czole Tytusa wykwitła mała galaktyka kropel potu. W górze objawił się las wyciągniętych rąk. Chłopak napotkał wzrok Strąka i nagle poczuł do niego straszny żal. W ogóle go nie znał, ale przez te parę chwil, które spędzili razem, w swojej naiwności wziął go za zaufaną osobę. Tymczasem Strąk, poza kompulsywnym drapaniem się po głowie, w ogóle nie reagował.

- Dobrze, dobrze - sapnął wójt. - Sprawiedliwości musi stać się zadość. Dla czystej formalności zapytam, kto jest za odebraniem im pamięci i...

Tłum zaczął wyc i wrzeszczeć.

I wył, i wrzeszczał przez bardzo długą minutę, aż nagle, jak za dotknięciem różdżki, zamilkł. Tytus usłyszał za sobą kroki, a następnie znajomy charczący głos:

- Spokój, barany.

Na podeście pojawiła się Baba-Jaga. Człapała powoli, podpierając się swoim kijem. Była wściekła, sapała, jej włosy wydawały się bardziej skołtunione niż zwykle. Gdy na chwilę napotkał jej wzrok, miał wrażenie, że bije z niej żar, jakby za jej oczyma tkwił stary, metalowy, rozpalony do czerwoności piec.

- Babo-Jago, my... - zaczął wójt, ale czarownica wyciągnęła w jego kierunku otwartą dłoń.

- Zamknij się! - warknęła.

Obeszła trójkę dookoła. Gdy zauważyła, że Bartek i Damian duszą się już własnym chichotem, zaczerwienieni, trzymając się za brzuchy, po jej twarzy również przez chwilę przebiegł uśmiech. Stała za Tytusem. Sparaliżowany, już nie ze strachu, ale z jakiegoś dziwnego, ogarniającego wszystkie mięśnie i nerwy naelektryzowania, nie mógł się odwrócić. Usłyszał za sobą szelest materiału, klekot kamyków, kości, jakieś wymruczane słowo. Baba-Jaga klasnęła, bardzo blisko jego ucha. I wtedy Bartek i Damian, jak na komendę, niczym rażeni piorunem, padli nieprzytomnie na ziemię. Tłum zaczął znowu krzyczeć, ale Baba-Jaga uciszyła ich jednym ruchem ręki. Mruczając, podeszła najpierw do jednego, a następnie do drugiego chłopaka, znacząc ich czoła

skomplikowanym, ale bardzo szybkim gestem. Gdy skończyła, stanęła przed Tytusem, zasłaniając go przed tłumem (był jej za to ogromnie wdzięczny) i głośno westchnęła.

- Jesteście jak ludzie, jesteście jak zwykli ludzie i dlatego niedługo Leszy zmiecie nas z powierzchni ziemi! - wyskrzeczwała, po czym odcharknęła flegmę z gardła i splunęła pod nogi.

Tytus zauważył, że wszyscy, łącznie z wójtem, patrzą na nią z ogromną bojaźnią i szacunkiem. Wszyscy oprócz Strąka i jego niby-siostry, która stanęła obok i wpatrywała się w Babę-Jagę z identycznym jak Strąk wyrazem twarzy.

- Jesteście jak ludzie - powtórzyła Baba-Jaga - bo trzeba za was podejmować decyzje, bo wierzycie w jakieś poronione pomysły, w jakieś wybory, niedorzeczne głosowania, a to doprowadzi was do zguby, bo decydować ma jedna osoba, ta, która rządzi. Tylko że najwyraźniej nie potrafi. - Popatrzyła wymownie na wójta. Ten, niczym upomniany na lekcji uczeń, spuścił głowę. Baba-Jaga, opierając się o laskę, mówiła dalej: - Jesteście jak ludzie, bo nie potraficie podnieść swoich tępych łbów i popatrzeć na prawdę, wolicie się okłamywać, opowiadać bujdy, łązić w kółko jak kury i gdakać bez przerwy „nic się nie stało”, „nic się nie stało”.

Wśród tłumy rozszedł się wiatr wzburzonych szeptów. Ale nikt nie krzyknął, nie podniósł głosu. Nikt nie miał najmniejszego zamiaru tego robić.

- Ty! - warknęła Baba-Jaga, pokazując palcem na Strąka. - Powiedz im. Powiedz im to, o czym wiedzą, ale o czym tak bardzo nie chcą wiedzieć i czego istnieniu zaprzeczają.

Strąk tylko na nią popatrzył i Tytus mógłby przysiąc, że nawet jeśli mężczyźni nie drgnął przy tym kącik ust, w jego oczach coś się pojawiło, jakiś żal, rezygnacja.

- Ty i ta twoja córka. - Baba-Jaga wskazała laską dziewczynę ze spiętymi w kucyk włosami. - Powiedźcie im to, czego nie chcą słuchać. Ja mówię im to już od dwudziestu lat. Trzymacie mnie na obrzeżach miasta, przychodzicie do mnie, tylko gdy chorujecie, gdy nie możecie chodzić albo jeść, gdy coś was boli, gdy chcecie kogoś w sobie rozkochać i potrzebujecie na to naporu, ale tak naprawdę to jestem starą wariatką, której nie ma sensu słuchać, bo i tak potrafi jedynie opowiadać same bzdury.

Strąk wzruszył ramionami i popatrzył pod nogi, ale jego córka zacisnęła usta, wzięła głęboki wdech, popatrzyła najpierw na Tytusa, następnie na czarownicę, na końcu na wójta i powiedziała:

- Baba-Jaga ma rację.

W tłumie znów zawrzało, a ktoś stojący dalej wykrzyknął bardzo wysokim, skrzekliwym głosem:

- Nie ma żadnej, najmniejszej racji. Próbujecie coś nam wmówić. Próbujecie nas oszukać.

- Baba-Jaga ma rację - powtórzyła dziewczyna. - Bariera jest bardzo słaba. Ja i Strąk robimy, co możemy, aby łątać w niej dziury, ale z dnia na dzień staje się coraz cieńsza, jakby toczyła ją choroba. Pasożyt. Przechodzimy z jednej strony na drugą, z obu umacniamy Zamaskowanie, ale to nic nie daje. Coś dzieje się w lesie. Czasami, gdy przebywałam po ludzkiej stronie, czułam, jakby coś drżało pod ziemią, buczało niczym wielkie ludzkie urządzenie i wtedy wszystko robiło się odrobinę ciemniejsze.

- Oddech Leszego! - wykrzyknął ze zgrozą ktoś z tłumy.

Napięcie w pomieszczeniu było nie do zniesienia. Tytus miał wrażenie, że powietrze w sali można kroić nożem. Spojrzał na Damiana i Bartka. Spali jak dzieci, równo oddychając. Bał się ruszyć ręką albo nogą, wyobraził sobie, że wystarczy jeden ruch, aby padł tak samo jak oni.

- Do tego... - córka Strąka zaczęła mówić po chwili milczenia - widziałam raz kogoś. A raczej coś. - Wzięła głęboki, uspokajający oddech. - Widziałam człowieka. Żarłacza i karmiacą. Ja i mój ojciec jesteśmy przekonani, że Leszy wypuścił już swoich agentów do ludzkiego świata. Nie wiem po co, ale przecież może mieć tylko jeden cel.

- To nieprawda! - wrzasnął Jagodziak. - Nie słuchaj ich, wójcie! Oni próbują nas zastraszyć! To dywersja! Nic takiego nie ma miejsca!

- Nieprawda! Nieprawda! - zaczął pokrzykiwać tłum i w końcu cała sala rozbrzmiała skandowaniem. Tym razem nie mogły ich uspokoić już ani wzrok Baby-Jagi, ani kij wójta.

- To prawda - uciszył ich donośny chłopięcy głos.

Tytus dopiero po dobrych kilku sekundach zdał sobie sprawę, że głos należy do niego. Tłum zwrócił się w jego stronę. Baba-Jaga zrobiła krok w bok, aby znowu wystawić go na spojrzenia wściekłych mieszkańców miasta. Tytus poczuł, że kolana zmieniają mu się w watę, a kark zalewa kolejna fala zimnego, kwaśnego potu.

Zerknął na Strąka i Babę-Jagę. Patrzyli na niego tak samo jak wtedy, w holu ratusza, gdy Strąk powiedział coś o widzeniu przez Zamaskowanie. Z niedowierzaniem.

- Mów dalej, człowieku - usłyszał głos wójta.

- Zanim tu przybyłem, to znaczy, uwierzcie mi, nie przybyłem tutaj, by coś wam zrobić, stało się tak dlatego, że usłyszałem legendę o starym Wirdale i opuszczonym mieście, i zdjęcia w... - zaczął mówić Tytus, ale córka Strąka szybko mu przerwała:

- Mów, co widziałeś.

Tytus wziął kilka oddechów i w końcu, po raz pierwszy od dobrych paru minut, poruszył rękami i nogami. Zdał sobie sprawę z tego, że są zupełnie zdrętwiałe.

- Właściwie to niewiele poza dymem. Ale czułem jakąś obecność. Złą. To coś na pewno nie było człowiekiem. Jak w horrorze - dodał po chwili, jednak wzrok słuchaczy świadczył o tym, że nie do końca rozumieją, co tak naprawdę oznacza wyraz „horror”. - Do tego w Głuszycach zaginał leśniczy...

- Możesz lepiej opisać tę obecność? - zapytała kobieta.

- Nie, to było tylko takie dziwne wrażenie. Chociaż pamiętam jeszcze coś... To głupie. Przez chwilę jakbym słyszał jakiś głos bredzący o głodzie.

- Pewnie karmiąca. Mała gruba, obrzydliwa, pokryta śluzem. Zły pomiot. - Córka Strąka pokiwała głową, a Tytus zauważył, że jej źrenice rozszerzają się do rozmiarów spodków, chociaż ani na sekundę nie zmieniła wyrazu twarzy.

- Kłamiesz! - wykrzyknął z tłumu Jagodziak. - Kłamiesz! Jeśli zetknąłeś się z którymkolwiek z dzieci z pomiotu Leszego, to dlaczego, u diabła, jeszcze żyjesz?

Baba-Jaga popatrzyła w kierunku Jagodziaka, a Tytus po raz pierwszy zobaczył u tego małego, starego, pieklącego się człowieczka coś w rodzaju skruchy.

- Ja i Strąk wiemy, dlaczego jeszcze żyje. - Baba-Jaga odwróciła się do Tytusa i popatrzyła mu prosto w oczy.

Chłopak poczuł się tak samo jak przed wejściem do tej sali, jak bardzo szybko czytana przez kogoś książka. Tylko teraz przyszło coś jeszcze. Ból głowy. Suchość w ustach. Odętwienie. I po chwili jeszcze więcej, dużo więcej bólu głowy. Wszystko zaczęło mu wirować przed oczami.

- Powiedz im! - huknęła na Strąka Baba-Jaga, ale Tytus zaczynał wszystko słyszeć, jakby z daleka, jakby od Baby-Jagi i reszty dzieliła go korkowa ściana.

- On widzi przez Zamaskowanie - powiedział Strąk.

- Nieprawda! - znów krzyczał tłum.

Odgłosy zaczęły zlewać się w głowie Tytusa w jeden, odbijający się echem bełkot. Widział bardzo niewyraźnie. Głowa mu pękała, czuł, jakby puchł mu mózg, użądłony naraz przez tysiące os. Musiał usiąść, wiedział, że powaga sytuacji dalej wymaga od niego, żeby stał, ale przestało go to już obchodzić. Musiał usiąść. Schował twarz w dłoniach. To, co działo się wokół, powoli przestawało go interesować.

Usłyszał stłumiony głos Baby-Jagi, tłumaczącej, dlaczego widzi przez Zamaskowanie. Krzyki tłumu. Powtórzona pytanie wiedźmy. Chciał odegnać od siebie te dźwięki, wyłączyć je - od nich mózg nabrzmiewał mu jeszcze bardziej. Miał wrażenie, że jego czaszka trzeszczy jak stara drewniana podłoga, po której ktoś przesuwają wyjątkowo ciężki mebel.

I wtedy poczuł ból, silny jak pożar, przenikający jak sztylet całe jego ciało, od stóp do głowy, i coś wyrzuciło go w powietrze, z całych sił, tak że przez chwilę unosił się parę centymetrów nad podłogą, wyprostowany jak struna.

Na chwilę otworzył oczy, a raczej coś go do tego zmusiło, i wtedy zobaczył bardzo wyraźnie, nawet zbyt wyraźnie - jak na zdjęciu prześwietlonym fleszem - cały ten tłum, który wpatruje się w niego jak w najdziwniejsze zjawisko, z wytrzeszczonymi oczyma i otwartymi ustami.

I wtedy padł na podłogę.

I wtedy wszystko stało się czernią.

* * *

- Obudź się, Tytusie Gujecki - usłyszał głos brzmiący jak najniższy dźwięk fortepianu, zabawnie melodyjny, niczym u aktora z przedwojennego filmu. Zidentyfikował go jako głos wójta.

- Grójecki - powiedział Tytus, przecierając oczy.

- Przepraszam - odparł głos. - Nie mam pamięci do ludzkich nazwisk.

To rzeczywiście był wójt. Patrzył na niego, siedząc za szerokim drewnianym stołem, w wielkim, starym fotelu. Nad jego głową wisiał zegar, nieruchomy, z szesnastoma, a nie dwunastoma, godzinami. Zamiast cyfr na tarczy widniały dziwne symbole, przedstawiające ptaki, liście bądź stworzenia. Gdyby odczytać czas jak na normalnym zegarze, pokazywałby właśnie godzinę za pięć dwunasta.

- Co... co się stało? - zapytał, zdając sobie sprawę z tego, że również siedzi w fotelu. Wielkim i wygodnym.

Tytus zamknął na chwilę oczy i przypomniał sobie swojego jedyne w życiu kaca. Wtedy było fajniej. W ustach miał tak sucho, jakby nie pił nic od paru dni. Dalej bolała go głowa, nie do zniesienia, jakby ktoś od środka czaszki okładał mu mózg metalowym prętem. Dotknął skroni i zaczął masować - jego babcia zawsze tak robiła, gdy skarżył się na chwilowe bóle głowy - ale to nie pomogło.

- Czy mógłbym... - zapytał - czy mógłbym się czegoś napić?

- Oczywiście - usłyszał głos wójta. - Iskro, czy mogłabyś przygotować coś do picia naszemu gościowi?

- Tylko nie żadne rozweselające ziółka Baby-Jagi - poprosił.

- Nie bój się, tym razem dostaniesz zwykłą miętę, chłoptasiu. - Usłyszał skrzekliwy śmiech czarownicy.

Pomieszczenie, w którym obecnie się znajdował, musiało być położone parę piętér wyżej niż sala, w której rozegrała się próba linczu na jego skromnej osobie. Oszacował tak, ponieważ za plecami wójta poza zegarem były również okna, odsłaniające wyższe partie drzew. Część gałęzi sięgała wnętrza pokoju, a wójt, który najwyraźniej miał tu gabinet, używał ich jako wieszaków na, zapewne urzędowe, tuniki pokryte kolorowymi wzorami.

Gabinet był mały; jedną ze ścian pokrywał ogromny drewniany regał, szczelnie wypełniony manuskryptami, księgami i dziwnymi przedmiotami, których przeznaczenia Tytus mógł się jedynie domyślać. Nad nim wisiał zaś wielki szklany kandelabr, rodem ze starej sali balowej i kompletnie niepasujący do tego pomieszczenia.

Zresztą takich dziwnych, pochodzących z różnych epok sprzętów było tu jeszcze kilka - Tytus spostrzegł stare, tranzystorowe radio z lat pięćdziesiątych, coś w rodzaju zestawu chemicznego z gabinetu szalonego naukowca czy zawieszony na gałęzi szlachecki strój, podobny do tych, które oglądał w regularnie puszczanym na święta filmie *Potop*.

Oprócz Tytusa, wójta i Baby-Jagi w pomieszczeniu przebywali Strąk, mokra kobieta w płaszczu przeciwdeszczowym oraz jak zwykle wściekły Jagodziak. Córka Strąka, Iskra, jak zdążył usłyszeć, podała mu ciepły kubek z parującym, pachnącym miętą naparem. Tytus zauważył, że wyraźnie próbowała złamać swoją zaciętą minę pozorami łagodności.

Tytus przełknął trochę napoju - był przyjemnie odświeżający, najchętniej wypiłby cały kubek duszkiem i poprosił o dwa następne.

- Co stało się z tamtymi dwoma chłopakami? - zapytał, patrząc na wójta. Było to pierwsze pytanie, jakie przyszło mu do głowy.

- Nic, mój drogi - odezwała się stojąca z boku Baba-Jaga. - Nic złego. Strąk wyprowadził ich ze Zmorojewa i ułożył w bezpiecznym miejscu. Gwarantuję ci, że nic, ale to zupełnie nic im się nie stanie. Nie będą nawet pamiętać, że tu byli.

Tytus podejrzliwie rozejrzył się po zebranych. Zaczął przypominać sobie finał całego zgromadzenia: silny ból głowy, uczucie bycia wyrzuconym do góry, przerażone miny mieszkańców.

- No dobrze - powiedział - a czy moglibyście wytłumaczyć mi, dlaczego jeszcze chwilę temu...

- Nie taką chwilę, słodziutki - przerwała mu Baba-Jaga. - Oj, powiem ci, że pospałeś sobie, jakby w obroty wzięła cię zdrowa, wiejska dziewczucha, jedna z tych, jakie onegdaj tu mieszkały.

Wójt i Strąk popatrzyli na nią z niesmakiem.

- Dobrze. - Tytus upił kolejny łyk naparu. - Dlaczego ostatnie, co pamiętam, to żywa dyskusja, czy wtrącić mnie do jakiejś jamy, której, szczerze mówiąc, nie chcę sobie nawet wyobrazić, czy pozbawić mnie pamięci i stąd usunąć, a teraz siedzę tutaj, rozmawiam z wami i pijam herbatę? Mogę wiedzieć, o co chodzi?

Siedzący naprzeciwko wójt westchnął i rozejrzył się po pozostałych, jakby mieli go zwolnić z jakiegoś przykrego obowiązku. Ci jednak nie zareagowali.

- Hmmm... - zamruczał wójt, drapiąc się po brodzie. - Drogi Tytusie Gujecki, czy wiesz, gdzie tak naprawdę się teraz znajdujesz?

- W mieście Zmorojewe - odpowiedział Tytus, nie zwracając już uwagi na przekręcenie jego nazwiska - w ukrytym Mieście Duchów, dokąd prowadzi droga przez chatę starego Wirdały w Kolonii Głuszyce. Mieście, o którym legendy krążyły w tych okolicach od bardzo dawna.

- Duchów! - parsknął Jagodziak - Wypraszam sobie. Nie wiem, jak wy, ale ja żyję, mam się dobrze i nie czuję się ani odrobinkę martwy. No, chyba że chodzi o ciebie - mruknął, patrząc na przemoczoną kobietę w płaszczu przeciwdeszczowym. Ty jesteś w pewnym sensie duchem.

Kobieta popatrzyła na Jagodziaka bardzo smutnym wzrokiem, jakby zaraz się miała rozpłakać, ale może była to tylko iluzja wywołana przez stale kapiącą z niej wodę. Tytus zauważył, że jest bardzo piękna - pomimo faktycznie ziemistej, trupio bladej cery i niebieskich worków pod oczami.

- Jest trochę racji w tym, co mówisz, Tytusie. - Wójt dalej patrzył w przestrzeń i gładził się po brodzie. - Ale czy zdajesz sobie sprawę z tego, czym naprawdę jest Zmorojewe?

Tytus pokręcił głową.

- Czy wiesz, co tak naprawdę tu robimy? - zapytał. - Czy wiesz, czym są Klucze?

Tytus ponownie pokręcił głową.

- Czy wiesz, czym jesteś? - zapytał Strąk, odchrząkując, a gdy zadał to pytanie, z jego głowy wyfrunęło stado szczebioczących ptaszków.

Tytus zmarszczył brwi. Ostatnie pytanie odezwało się w jego zmęczonym mózgu głośnym dzwonem, który powoli zaczął wydobywać z jego zamglonej pamięci kolejne fakty. Widzenie przez Bariere, odsłaniające się tylko jego oczom cuda, zdziwione oczy mieszkańców. Poczucie spokoju i naturalności, z jakimi przyjmował kolejne obecne w Zmorojewie cuda. Ale także inne drobne wydarzenia, takie jak upór jego babci, aby nigdy jego noga nie postąpiła w tym miejscu. Nie miał pojęcia, dlaczego pomyślał akurat o tym.

- Czym jestem? - zapytał Tytus. - Nazywam się Tytus Grójecki (mocno podkreślił właściwą formę swojego nazwiska), mam piętnaście lat, jestem uczniem gimnazjum, mieszkam w Warszawie, na Ursynowie, lubię czytać książki i grać w gry komputerowe, uwielbiam horrory, lubię jeździć na desce, poza tym nie cierpię żadnych innych sportów i generalnie mam problem z dziewczynami. To znaczy, do niedawna miałem.

Gdy powiedział to ostatnie zdanie, poczuł, jak z jego mózgu opada zasłona dymna. Zdał sobie sprawę z tego, że wisiała nad nim od ostatniego przebudzenia, od momentu gdy poznał Strąka i wyszedł po raz pierwszy na ulicę w Zmorojewie. Przestał myśleć o swoim życiu na zewnątrz. Przestał myśleć o dziadkach, o rodzicach, o Głuszcach. Przestał myśleć o Ance Waszczuk, ślicznej i mądrej dziewczynie, w której bardzo się zakochał, pierwszej dziewczynie, która zechciała się z nim całować i z którą przyjechał tutaj na rowerach.

I którą zostawił w domu, w którym kryło się coś nieludzkiego, nazywanego przez tych tutaj karmiącą.

Miasto duchów - nie-duchów było fascynujące. To, co mieli do powiedzenia jego mieszkańcy, jeszcze bardziej. Ale Tytus musiał wracać na zewnątrz. I to jak najszybciej.

- Słuchajcie - powiedział i chwiejąc się, wstał. - Wszystko fajnie, tylko że ja...

- Usiądź - powiedział Strąk mocnym, głębokim głosem.

Tytus usiadł.

- Ja... - Chłopak próbował coś powiedzieć, ale znów zaczął mówić wójt.

- W skrócie, mój drogi, bo na poszerzoną historię jeszcze przyjdzie czas - powiedział, wpatrując się bardzo wnikliwie w oczy chłopaka. - Wyobraź sobie, że te lasy, obok których położona jest wioska, w której mieszkasz, nie wiedziałem, że obecnie nazywa się Warszowo, w której mieszkają twoi bliscy, że te lasy, są czymś w rodzaju koperty. Mieści ona w sobie coś, czego nikt nigdy nie powinien zobaczyć ani doświadczyć. Zło, złe moce, które są gotowe w każdej chwili wyjść na powierzchnię i zniszczyć zupełnie ludzki świat. Sprawić, że znowu zapanują Ciemne Dni, jak wiele tysięcy lat temu. I na tej kopercie, jak na każdej, jest Pieczęć, która, jak każda pieczęć, zabezpiecza kopertę przed otwarciem.

- To bardzo ciekawe, ale ja muszę wracać... - powiedział Tytus, znowu wstając, ale Strąk ponownie kazał mu usiąść. Chłopak nie był w stanie mu się sprzeciwić.

- Dawno temu człowiek, który kiedyś nami rządził, obdarzony najpotężniejszą mocą na tej ziemi, która pozwalała mu zawiadywać istotami Dobra, człowiek, który pokonał diabła i nazywał siebie Janem Twardowskim, zaklął to miasto, kiedyś zwykłe miasto, w magiczne, niewidoczne miejsce. W strażnicę. I położył na niej właśnie tę Pieczęć, Bariere, którą można otworzyć trzema stworzonymi przez niego Kluczami: Lustrem, Portretem i Kwiatem. Nadażasz, Tytusie?

- Nadażam, tylko że... - Chłopak chciał coś dodać, ale zrezygnował.

- Z biegiem czasu w te strony zaczęli sprowadzać się zwykli ludzie. Zaczęliśmy odczuwać niebezpieczeństwo, bo Zło tego lasu i jego pan, stworzenie o imieniu Leszy, bardzo lubią wchodzić w konszachty ze zwykłymi ludźmi, a trucizna i słabość ich serc są doskonałą pożywką dla jego

mocy. Wyjątkowo złe, przeżarte żądzą mocy serce może być nawet dla niego budzikiem. Leszy chce nas zniszczyć, całym swoim czarnym jestestwem pragnie, aby wyjść na powierzchnię świata i zapanować nad człowiekiem. Jednak zauważyliśmy, że są ludzie wyjątkowo odporni na Zło. Nietykalni. Jak wy to czasami mówicie: święci. Prości i twardzi, kryjący w środku nieczłowieczy blask. Ci ludzie mieli w sobie pewną moc, która chroniła ich przed złymi siłami i jednocześnie pozwalała im obcować z dobrymi, używać ich, zajmować się czarami, chronić magiczne przedmioty. Nie wiedzieliśmy, skąd się to bierze. Doszliśmy do wniosku, że być może ci ludzie są potomkami takich jak my, pamiątką z dawnych czasów, gdy podobni do nas chodzili po ziemi, wśród człowieczego plemienia i, jak by ci to powiedzieć, zdarzało im się nawiązywać z ludźmi znajomości.

Tytus słuchał zrezygnowany. Owszem, wszystko, co mówił wójt, było co najmniej frapujące. I gdyby nie jeden fakt, zatopiłby się w tej opowieści bez reszty. Co więcej, prawdopodobnie chciałby tu już zostać na zawsze, w magicznym, cudownym świecie, o wiele ciekawszym niż jego pokój z komputerem i książkami, które, odkąd pamiętał, miały mu służyć jako atrapa miejsc takich jak to. Z tym że w tym zwykłym, szarym świecie niespodziewanie wydarzyła się jeszcze większa magia.

Magia nazywała się Ania Waszczuk i prawdopodobnie groziło jej wielkie niebezpieczeństwo.

- Znak, po którym można było rozpoznać takich ludzi, widoczny na czole, Znak Zmory, widzieliśmy ostatnio wiele lat temu u człowieka, którego obwołaliśmy Strażnikiem Pieczęci, Powiernikiem Kluczy. Poświęcił on całe życie, aby ich pilnować, ale zginął, a wraz z jego śmiercią zniknęły Klucze. Chyba wspominałeś nawet jego ludzkie nazwisko. Brzmiało ono Wirdała.

Wszyscy patrzyli na Tytusa z ogromnym skupieniem. Chłopak upił łyk herbaty i ponownie wstał, już pewniej. Czuł, że mija mu ból głowy i z powrotem zaczyna myśleć klarownie, że wie, co powinien w tym momencie zrobić.

- Drogi wójtce, Babo-Jago, Strąku, Iskro, Jagodziaku i... - Tytus zdał sobie sprawę z tego, że nie wie, jak kobieta ma na imię.

- Świtezianko - odpowiedziała. - Nazywam się Świtezianka.

- Jak ten... wiesz? - upewnił się Tytus.

- Co to jest wiesz? - zacięła się.

Tytus postanowił kontynuować, udając, że nie usłyszał tego ostatniego pytania.

- Bardzo dziękuję wam za gościnę. To wszystko, co mówicie, jest fascynujące. Niestety, nie mogę tutaj zostać. Tam, na zewnątrz, bardzo bliskiej mi osobie prawdopodobnie grozi wielkie niebezpieczeństwo.

Wszyscy patrzyli na niego tak samo uważnie. Nikt nie zmienił wyrazu twarzy.

- Wszystkim grozi wielkie niebezpieczeństwo - powiedział po dłuższej chwili Strąk. - Nam również. Nam zwłaszcza.

- Rozumiem, ale ja... - Tytus podniósł głos. Emocje go rozsadały. Musiał się stąd wydostać szybko, jak najszybciej.

- Nie możesz na razie stąd wyjść. - Strąk popatrzył na niego. - Nie ma takiej możliwości.

- Nie rozumiecie! - krzyknął Tytus. - W ogóle nie rozumiecie! Tam jest moja dziewczyna i w ogóle nie wiem, co się z nią stało, czy zjadł ją jakiś potwór, czy jest bezpieczna, czy... Ja muszę...

- Nie! - przerwała mu Baba-Jaga. Podeszła do niego, chuchnęła mu w czoło i potarła je palcem. Tytus znowu poczuł nieprzyjemne, bolesne gorąco, rodzące się pod jego czaszką. - To ty nie rozumiesz, chłopcze. Ostatni raz widzieliśmy Znak Zmory na czole u człowieka mówiącego o

sobie Wirdała i mieszkającego w chacie, przez którą się tutaj dostałeś. I teraz widzimy go u ciebie. Ja zobaczyłam go pierwsza. I to nie jest żaden przypadek.

Tytus otworzył szeroko oczy.

- Niestety, chłopasiu. - Baba-Jaga się uśmiechnęła. - Na razie nie możesz nigdzie pojechać.

10. Przed tajemną stroną

W ciemności nocy, z perspektywy tylnej szyby samochodu, Głuszyce były już tylko małą, pomarańczową plamką światła. Auto jechało wolno przez las, wszyscy jego pasażerowie milczeli. Z radia dobywał się świdrujący głos popowej wokalistki, której imienia Anka nie pamiętała, ale nie przeszkadzało jej to szczerze nienawidzić artystki i plastikowo zaaranżowanych utworów. Jeszcze raz sprawdziła odtwarzacz mp3. Zastanawiała się, czy baterii wystarczyłoby chociaż na kilka cennych minut umożliwiających odizolowanie się od diwy rozkazującej swojemu mężczyźnie, aby przestał mówić „to nie tak, jak myślisz”. Niestety, po wciśnięciu „play” urządzenie od razu wyświetlało napis: „GOODBYE”.

- Skoro resztę wakacji spędzisz w domu - odezwała się pani Waszczuk z przedniego siedzenia - to może podszkolisz swój hiszpański? Znalazłam bardzo ciekawą ofertę szkoły językowej.

Anka milczała. To było już trzecie pytanie tego rodzaju, odkąd samochód Waszczuków opuścił podjazd przed domem Grójeckich. Anka nie odpowiedziała na żadne.

Poprzysięgła sobie w duchu, że nigdy, nieważne za jaką cenę, nie odezwie się już do własnej matki. Przrzekła sobie również coś jeszcze, jednak tak cicho, że miała wrażenie, iż ta druga obietnica jest tajemnicą dla niej samej. Odwróciła się ponownie i popatrzyła w tylną szybę, chcąc nawiązać kontakt wzrokowy z ukrytym w ciemności światełkiem, ale ono już dawno zniknęło.

Gdzieś tutaj, w tym lesie, był Tytus. Anka, gdyby tylko mogła, w tym momencie otworzyłaby drzwi i wyskoczyła na jezdnię, pobiegła prosto przed siebie. Miała przecucie, że trafiłaby bezbłędnie. Nasłuchiwałaby tego dźwięku, który usłyszała, siedząc u pani Maryli, niskiego, głębokiego, buczonego. Czują, że Tytus był niedaleko tego dźwięku. Że dźwięk wskazywał do niego drogę.

To, co powiedziała jej pani Maryla, spowodowało lawinę myśli, które przebiegały przez głowę wte i wewte niczym drużyna młodych karateków salę gimnastyczną. To był dopiero początek tych wydarzeń. Początek prawdziwego niebezpieczeństwa, w którego środku miał znaleźć się Tytus.

- Nie myśl już o tym chłopaku, kochanie - powiedziała po chwili jej matka, tym razem się do niej odwracając. - Na pewno nic mu nie jest, zabłądził w lesie. Byliście zestresowani, przerażeni tym, co się stało.

- Nikt się nie zgubił - wycedziła Anka. Zdała sobie sprawę z tego, że złamała swoją obietnicę. Postanowiła już tego więcej nie robić.

- Mogły wam się wydawać różne rzeczy - ciągnęła pani Waszczuk - i mam nadzieję, że pani Grójecka nic ci tam nie nagadała. Marylka jest trochę nawiedzona. Pamiętasz, jaką zrobiła nam awanturę, gdy urządziliśmy sobie sypialnię od zachodu, gdy wariowała przez to całe feng shui?

Pan Waszczuk milczał. Anka poczuła nagle, że jej serce skacze do gardła, a kręgosłup przeszywa cienka, lodowata struna. Dopiero po chwili zorientowała się dlaczego: reflektory wyłoniły na moment z ciemności napis „Kolonia Głuszyce”.

- Tytusowi na pewno nic złego się nie stało. Znajdą go jutro i będzie przynajmniej miał nauzkę, że trzeba wykonywać polecenia starszych i mądrzejszych od siebie.

Anka jej nie słuchała. Odruchowo potrząsała odtwarzaczem mp3, jakby bateria miała się od tego naładować. Myślała o przeznaczeniu. Nie wierzyła w nie nigdy przedtem - zawsze śmiała się z koleżanek z klasy, które szafowały tym terminem w odniesieniu do piątego chłopaka w tym kwartale bądź wygrzebanej w H&M sukienki. Ale tym razem to słowo rozbłysło w jej głowie z

mocą neonu amerykańskiego kasyna. „Przeznaczenie - powtórzyła szeptem, obracając wyraz w myślach niczym klucz do zbyt długo zamkniętych drzwi. - Nie znalazłam się bez powodu w Głuszycach, nie bez powodu poznałam Tytusa Grójeckiego i nie bez powodu pojechałam z nim do Kolonii, gdzie widziałam to, co widziałam. Jeśli pani Maryla ma rację, jeśli za zasłoną tego małego, ciepłego świata rozgrywa się wojna sił starszych i potężniejszych niż człowiek, żadni jej bohaterowie nie uczestniczą w niej przypadkowo”. Kolejne myśli uderzały ją niczym nagłe, oślepiające rozbłyski fleszy. „Nie bez powodu poznałam Tytusa Grójeckiego. Nie bez powodu się w nim zakochałam”.

- I co z tym hiszpańskim? - powtórzyła pani Waszczuk gdzieś z bardzo daleka.

- Jestem tu po to - powtórzyła szeptem, mając wrażenie, jakby mówiło przez nią coś innego - aby znaleźć i uratować Tytusa. I nic nie może mnie powstrzymać.

Gdzieś z daleka, z Kolonii Głuszyce, dobiegł cichy podmuch, jakby echo dźwięku cichszego niż wiatr. Anka wbiła wzrok w ciemność. Dźwięk wskazywał jej drogę.

* * *

Olga Pralczyk spała z reguły po trzy, cztery godziny na dobę. To zupełnie wystarczało. Zresztą musiało, biorąc pod uwagę ilość jej zadań i obowiązków. Wielu ludzi, żyjąc w ten sposób, po jakimś czasie wylądowałoby w szpitalu, ale Olga Pralczyk nie miała najmniejszego problemu ze swoim trybem życia. Wystarczyło zjeść przed snem dwie tabletki melatoniny i popić je mlekiem, a dzień zacząć od bardzo zimnego prysznic i mocnego, esencjonalnego espresso. Potem godzina siłowni, następny prysznic, miseczka muesli na śniadanie i makijaż. Następnie praca, zbieranie materiałów, dyrygowanie ludźmi, odbieranie telefonów, wysyłanie e-maili albo wycieczki w te wszystkie dziwne miejsca i wysłuchiwanie niezliczonych, niekiedy pijackich, zupełnie niewiarygodnych historii. I związany z tym często smród. Tak, praca Olgi Pralczyk łączyła się z nieprzyjemnymi zapachami i była to jedyna rzecz, która Oldze w niej przeszkadzała.

Jednak dzisiaj to nie przykre zapachy polskiej prowincji sprawiły, że Olga Pralczyk pozwoliła sobie na wydłużenie o dziesięć minut wieczornej kąpieli z solami relaksującymi o aromacie mirry i cynamonu oraz peelingiem z dodatkiem trawy cytrynowej. Musiała się zrelaksować. Szef, którego była prawą ręką, asystentką, a w ramach wypełniania obowiązków służbowych niekiedy kochanką (co nie wynikało z wyrachowania, lecz z tego, że szef był jedyną osobą, z którą Olga Pralczyk utrzymywała bliższy kontakt), nie zadzwonił do niej przez cały dzień. Cały dzień. W normalnych przypadkach odstęp między jego telefonami wynosił z reguły około dwóch godzin. Olga Pralczyk upiła łyk mleka ze szklanki. Zaczynała się rzeczywiście niepokoić.

I wtedy usłyszała znajomą melodię piosenki *Eye of The Tiger* z filmu *Rocky*. Podniosła telefon. Szef. Odetchnęła z ulgą i nacisnęła zieloną słuchawkę.

- Dzięki Bogu, w końcu... - zaczęła.

- Stało się coś wyjątkowo nieprzewidzianego - od razu jej przerwał. Był bardzo zdenerwowany. Olga Pralczyk wstrzymała oddech.

- Rozumiem, że chodzi o twoją żonę - starała się mówić jak najspokojniej. W końcu mówienie spokojnym i rzeczowym tonem było jednym z kluczowych elementów jej pracy. - Niezwłocznie dzwonię po obsługę...

- Nie chodzi o tę wariatkę - odparł, ciężko dysząc; cedził z trudem kolejne zdania. - Stało się coś nieprzewidzianego. Istota uciekła. Szantaż nie zadziałał. Musimy wracać do Głuszyce. Natychmiast. Teraz.

- Jaka istota? O czym mówisz? - Olga podniosła się w wannie. Wymacała dłonią leżący obok niej ręcznik, przycisnęła policzkiem telefon do barku i szybkim ruchem zawiązała na głowie

turban. Wstała. Odruchowo zerknęła w lustro, aby krytycznie przeanalizować niezbyt zadowalającą ją efekty codziennej katorgi w fitness klubie.

- Musimy jechać do Głuszyc. Zbieraj naszych siłowych. Jedziemy już teraz. Muszę go przechwycić. Muszę znaleźć Kwiat. Wybierz wszystko ze wszystkich z kont. Musimy jechać. - Szef, bardzo spanikowany, powtarzał te słowa jak maniacką mantrę.

- Uspokój się. - Olga podniosła głos. - Jaka istota?

- Będę u ciebie za piętnaście minut - powiedział.

- Poczekaj chwilę, proszę - odparła i odłożyła telefon. Wytarła się, owinęła ręcznikiem, wzięła szklanek mleka do ręki i przeszła do salonu. Usiadła na designerskiej skórzanej sofie przy szklanym, robionym na zamówienie stoliku w kształcie kropli wody, na którym stał jej macintosh.

Włączyła komputer i otworzyła folder „Głuszycy”. Weszła do następnego folderu - „Legends”. Zawierał zeskanowane starodruki, których jedyne egzemplarze znajdowały się w Bibliotece Narodowej. Minęły dobre dwie minuty, zanim Olga Pralczyk znalazła wśród manuskryptów *Slovenia Animae Divinorum* odpowiedni dokument. Swoją drogą, wbrew pozorom, wyniesienie i zeskanowanie paru starych (i cuchnących pleśnią) skryptów z Biblioteki Narodowej nie było wcale takie trudne. Wystarczyło mieć głos, wzrok i nogi Olgi Pralczyk, a w najgorszym wypadku kilka stułotowych banknotów. Znow wzięła telefon do ręki.

- Teraz zrobimy tak - zaczęła mówić do swojego szefa mniej formalnie, ale czuła, że jest to jedna z tych prawie intymnych sytuacji, które tego wymagają. - Weź głęboki oddech i uspokój się. Policz do trzech. Jutro jest czwartek. Powtarzam, jutro jest czwartek i z tego powodu nie możemy jechać do Głuszyc. Nie możemy nigdzie jechać. To ja muszę ruszać za czterdzieści minut do studia, bo przez twoją nieobecność trzeba sklecać jutrzejsze wydanie z resztek. Nie było cię cały dzień. Dzwoniąc do ciebie, odbijałam się od poczty głosowej.

- Zrozum... - Usłyszała, jak jej szef wziął głęboki oddech, jednak wcale nie zrobił się przez to spokojniejszy. - Zrozum...

- Nie, to ty zrozum - odpowiedziała. - Weź lorafen, tylko nie zapijaj go alkoholem. Usiądź. Za trzy minuty wyślę ci mailem jutrzejszy skrypt. Zanim jednak to zrobię, opowiesz mi spokojnie i jasno, o co ci chodzi.

- O żarłacza - powiedział po dłuższej przerwie. - Jednego z pożerających. Bardzo, bardzo starego i silnego. Przemienionego na początku drugiej wojny ambitnego, zaufanego, odznaczonego komendanta Armii Czerwonej Jewgienija Stupkowa. Rozpoznałem go dzięki tej liście zaginionych radzieckich żołnierzy, którą zdobyłaś dla mnie rok temu. Miał bardzo ładny pseudonim. Wołali na niego Dzieciożerca.

Olga Pralczyk poczuła, że musi usiąść, ale zdała sobie sprawę z tego, że już siedzi.

Przez dłuższą chwilę nie wypowiedziała ani słowa. Doprowadził ją do stanu, którego nienawidziła najbardziej, stanu, w którym kolejne myśli zapalały się i gasły w jej głowie jak zepsute choinkowe lampki. Stanu zdeorganizowania. „Oszalał - pomyślała. - Zaczął mylić rzeczywistość z własnymi urojeniami”. Nie wiedziała, jak zareagować, szukanie właściwej odpowiedzi trwało o wiele za długo. Aby zyskać na czasie, chrząknęła.

- Jesteś tam? - zapytał szef.

Upiła jeszcze łyk mleka.

- Jestem - odpowiedziała, a jej głos zaczął drżeć. - Wydaje mi się, że oszalałem.

W odpowiedzi usłyszała histeryczny atak śmiechu, który urwał się jeszcze gwałtowniej, niż wybuchł.

- Oszalałem - powtórzył - ja oszalałem? Nie, nie, moja droga. Ja jestem zdrowy. Bardzo zdrowy. Mówiąc szczerze, nigdy nie miałem się lepiej. Po prostu wiem, czego chcę. A ty, Olgo? Ty

wiesz, czego chcesz? Czy wiesz, jakie są twoje prawdziwe życiowe potrzeby? Twoje największe pragnienie? Najważniejsze w życiu?

Olga Pralczyk zaczynała mieć szczerze dość tej rozmowy. Aby chociaż trochę się uspokoić, znowu przycisnęła telefon głową do barku, wzięła pilniczek i zaczęła doszlifowywać paznokcie u stóp.

- Oczywiście poza mną - powiedział i znowu przez kilka sekund histerycznie się śmiał.

- Może i nie oszalałeś, ale jesteś nawalony jak świnia - odparła Olga. Jej głos był mroźny jak syberyjska zima.

Przez dłuższą chwilę po drugiej stronie słuchawki było słychać jedynie zgrzyty i przesterowany szum, jakby jej rozmówca oddychał zbyt blisko głośnika telefonu.

- Uwierz mi, wypiłabyś dużo więcej niż dwie butelki merlota, gdybyś miała do czynienia z tą istotą - powiedział, nagle zmieniając ton na chłodny i rzeczowy, taki jakim zwykle się posługiwał. - Gdy z nim przebywałem, musiałem zawiązać sobie gorset na duszy. Inaczej pochłonąłby mnie tak, jak wygłodzony człowiek pożera rzucane mu skórki od chleba. Jego moc, chociaż i tak niewielka, zważywszy na miejsce, z którego przychodzi, jest jak czarna dziura. Potrafisz wyobrazić sobie czarną dziurę, Olgo? Coś, co wsysa i połyka wszystko w jego zasięgu, włączając to do żołądka, który jest tak naprawdę niezgłębioną czernią?

Olga Pralczyk odłożyła pilniczek.

- Nie - odpowiedziała - nie potrafię.

- Musimy jak najszybciej jechać do Głuszyce - oznajmił jej szef. - Chciałem zaproponować mu układ. Lustro i lokalizację Kwiatu za dostęp do mocy. Za pakt. Prawie go miałem. Prawie doprowadził mnie do swojego pana. Jednak uciekł. Dostał sygnał. Próbowałem go szukać, ale te istoty poruszają się o wiele szybciej niż jakikolwiek pojazd. Prawdopodobnie już wie, gdzie jest Kwiat. Muszę go wyprzedzić. Muszę mieć nad nim przewagę.

Olga Pralczyk słuchała, a z każdym słowem robiło jej się coraz zimniej. Opatuliła się ręcznikiem. Nie pomogło - był wilgotny i chłodny. Czowała, że zaczyna się trząść.

- To jest właśnie pragnienie - powiedział jej szef - to jest moje wielkie pragnienie.

Zrozumiała, że przenikające ją zimno pochodzi z wewnątrz. Pojawiło się, w momencie gdy zdała sobie sprawę z tego, że szef nie żartuje. Misja, którą wypełniała, odkąd zaczęła dla niego pracować, czyli od jakichś dobrych paru lat, okazała się prawdą. Uświadomiła sobie, że nigdy do końca nie wierzyła w coś, czym oboje się zajmowali - w ukrytą w głuszyckim lesie złą moc, w niewidoczne dla zwykłych śmiertelników miasta duchów, obdarzone ogromną mocą złe istoty. Traktowała wszystko jako fiksację swojego szefa, efekt uboczny spraw, którymi zajmował się przez całe dorosłe życie. Gdy powiedział o istocie, pomyślała przecież, że oszalał. Jak każda normalna osoba. A przecież Olga Pralczyk była normalna.

- Musimy być od nich szybsi - mówił szef. - Musimy przechwycić Kwiat Paproci.

Oprócz zdeorganizowania niewiele rzeczy przerażało Olę Pralczyk, ale świadomość, że zakres jej obowiązków zawodowych powiększył się o kontakty z lubiącymi ludzkie mięso, nadnaturalnymi i niezbyt śmiertelnymi istotami, wzbudziła w niej lęk, którego nie odczuwała od bardzo dawna. Zaczęła pracować nad tym, aby poskromić szefa.

Policzyła do dziesięciu. W końcu myśli przestały migać, a w jej głowie wyklarowały się właściwe słowa. Odetchnęła z ulgą. Po krótkiej chwili paniki już wiedziała, że ludożercze, nadnaturalne istoty to jedno, ale najważniejsze są zawsze opanowanie, punktualność, sztywne trzymanie się planu, przewidywanie konsekwencji. To była jedna z jej złotych zasad, których wykaz wisiał oprawiony w antyramę obok lustra toaletowego.

- Jeśli nie pojawisz się jutro w studiu - zaczęła rzeczowo, wstając od kaloryfera i wracając

do stolika z komputerem - wywołasz mnóstwo podejrzeń. Rozdzwonią się setki telefonów. Ludzie od razu zaczną nas szukać. A pamiętaj, że to, nad czym pracujemy, zawsze chciałeś trzymać w tajemnicy. Nie możemy tego zaprzepaścić jednym głupim ruchem. Zacząłeś panikować, a my nie możemy pozwolić sobie na panikę.

- Kwiat Paproci - powtórzył.

- Jak chcesz go „przechwycić”? - zapytała. - To zawsze było najślabsze ogniwo. Chcesz włamać się do czyjegoś domu? Chcesz go ukraść? Chcesz zabić tego człowieka? Najpierw pokonać jego ochronę? Wiesz, że to niewykonalne. Poza tym nawet jeśli ta istota go przechwyci, żeby otworzyć bramę, i tak potrzebuje trzech Kluczy. Jeden z nich należy do nas.

- I tylko jedna osoba wie, gdzie on jest - dodał szef.

Olga Pralczyk znowu poczuła, że robi jej się zimno. Tak, tylko jedna osoba wiedziała, gdzie jest Lustro Twardowskiego, przedmiot, w którym podobno można zobaczyć własną śmierć. Podobno - Olga Pralczyk pomimo całego swojego sceptycyzmu i zdrowego rozsądku nigdy nie odważyła się spróbować, chociaż Lustro wisiało na ścianie w mieszkaniu jej dziewięćdziesięcioletniej, tracącej już pamięć babci w Radomiu, zasłonięte czarną krepą.

- Rozumiesz, że jeśli ich nie prześcignimy i oni zdobędą Kwiat - powiedział człowiek - zaczną szukać Lustra. I prędzej czy później je znajdą. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę z tego, jak wielkie są moc i siła tych istot. Musisz zrozumieć, że grozi ci ogromne niebezpieczeństwo. Mówiłem ci to wiele razy, ale jakby to do ciebie nie docierało. Teraz już musi.

Gdy mówił, Olga Pralczyk cały czas powtarzała w myślach swoją złotą zasadę: „Trzeba trzymać się planu, trzeba działać z rozwagą i spokojem, bez względu na okoliczności i nagłe zwiększenie zakresu obowiązków zawodowych”. W końcu powiedziała:

- Zrobimy jutro to, co zwykle. Tak jak wspominałam, mamy Lustro. To nasza karta przetargowa. A potem ruszymy do Głuszyc, wieczorem albo pojutrze rano. Zabierzemy część ekipy jako obstawę, powiemy im, że jedziemy robić materiał. Spotkamy się z tymi istotami. I dobijemy z nimi targu, takiego jak chcesz. Ja będę z nimi rozmawiać. Uspokój się.

- Powiem ci jeszcze raz, Olgo - ostrzegł szef - nie zdajesz sobie sprawy z tego, z jak wielką siłą będziesz mieć do czynienia.

- Skoro negocjuję w twoim imieniu z radą nadzorczą - odparła - nie boję się jakichś potworów z lasu. Wytrzeźwiej, wykąp się, prześpij. Ja muszę jechać zaraz ich dopilnować, a ty bądź jutro tam, gdzie zwykle, o tej porze, co zwykle. Dobranoc.

Olga Pralczyk odłożyła słuchawkę, wstała, włożyła bieliznę, ciepły sweter i dres, ściągnęła z kanapy koc i usiadła z powrotem przy kaloryferze. Nadal jednak nie mogła się rozgrzać, bo w jej ciele na dobre zagnieździło się coś nieusuwalnego i niezwykle zimnego.

* * *

Już niedługo. Już niedługo wszyscy się obudzą. Wyjdą na powierzchnię. Teraz po powierzchni mogą chodzić tylko nieliczni, ci, którzy, zanim ich ciała złączyły się z Ciemnością, byli ludźmi. Tacy jak Strzępowaty. Człowieczy. Ale już niedługo wyjdą wszyscy. Spalą, spalą najpierw te domy tutaj, a potem następne i rozszarpią, zgruchoczą, pożrą i zżują tych ludzi, a potem następnych, a tych, którzy przetrwają, będą ścigać, ścigać, ścigać. Nagie zwierzęta, biegające na oślep po świetle, który ponownie zamieni się w nieskończony ciemny las. Zdobędą Klucze, zniszczą Pieczęć, spalą to śmieszne miasto. I nastanie Ciemność, Wielka Ciemność; Strzępowaty wyobrażał sobie, że jest przez nią oblewany, pływa w niej, a wtedy robiło mu się ciepło, jakby właśnie napił się ludzkiej krwi, świeżej, ciemnopurpurowej, o metalicznym posmaku.

Odpoczywał. Leżał w mokrej i zimnej trawie, dla zabicia czasu rozgniatając w dłoniach

kawałki szkła ze znalezionej przy drodze butelki. Patrzył na zabudowania Głuszyc, oblane grubą na palec krechę czerwonego zachodzącego słońca, wciągał nosem zimne powietrze i czekał. Tak naprawdę czekał już od dobrych kilkudziesięciu lat - aż będzie mógł robić to, co wtedy, dawno temu, jeszcze jako człowiek, z ludzkim imieniem i nazwiskiem. Przypominał sobie otoczoną wojskiem szkołę, w której środkiem schroniły się wszystkie dzieci z wioski. Usłyszał w głowie tę najpiękniejszą muzykę ludzkich krzyków, jęków i błagań, która wybrzmiała, gdy rozkazał podłożyć ogień pod budynkiem. Zrobiło mu się jeszcze cieplej, jeszcze przyjemniej, tak jakby ktoś podgrzewał jego ciało na bardzo wolnym ogniu. Zacisnął pięść pełną rozbitego szkła. Krople krwi skapnęły na trawę, która od razu szerniała z sykiem. „To było gdzieś niedaleko” - pomyślał.

Nie wiedział, skąd człowiek wie o jego przeszłości. Nie miał pojęcia. Był na niego wściekły. „To przez te ich wszystkie wynalazki” - stwierdził. Biblioteki, archiwa, połączone ze sobą niewidzialnymi sznurami urządzenia z klawiaturami i monitorami, przez które ludzie mogą wymieniać między sobą wszystkie informacje i wyobrażać sobie, że to czyni ich lepszymi i silniejszymi od zwierząt. Nienawidził człowieka za to, że wie, bo czuł się przez to obnażony, rozpoznany, słabszy.

Z drugiej strony zdawał sobie sprawę z plusów tej sytuacji. Że jeśli ludzkie serce zapragnie Wielkiej Ciemności, wtedy wysyła sygnał, który trafia do jej serca. Trafia do Leszego. Wiedział, że wraz z każdym ludzkim sercem pragnącym zła Leszy zbliża się o krok do Bariery, posuwa ją o milimetr, przyspiesza przedarcie się do ludzkiego świata.

Co nie zmieniało faktu, że człowiek, tak jak i wielu, wielu innych ludzi, zginie.

Poczuł go pod sobą, usłyszał głos, który przemknął przez glebę jak pomruk, oddech Leszego sprawił, że ziemia pod nim zadrżała. Znalazł w kieszeni marynarki Portret - owalna podobizna rozjarzyła się jasnym blaskiem.

- Musimy iść, złociutka. - Wyszczerył kły do kobiety na Portrecie. - Musimy iść. Czekają na nas.

Wstał i ruszył w kierunku lasu. Gdzieś na horyzoncie jakiś człowiek wsiadał do swojej maszyny, mającej wyrwać ludzki pokarm z miękkiej, czarnej ziemi. Strzępowaty był bardzo głodny, ale tylko przełknął ślinę i ruszył dalej, starając się nie patrzeć na człowieka i maszynę. Nie mógł się spóźnić - wezwanie było nagłe, nieznoszące sprzeciwu.

Ruszył w kierunku lasu. Szedł szybko, ciesząc się, jak życie zostaje zmiażdżone pod jego bosymi stopami, pokrytymi skórą twardą jak kamień. Wokół niego zapadała noc, wlewając w niego siłę, szybkość, życie.

Miejsce w lesie, przez które wchodziło się do królestwa Leszego, było dużo lepiej ukryte przed pałającymi się ludźmi niż brama do tej śmiesznej wsi, nazwanej kiedyś Zmorojewem. Szacując odległość ludzkimi miarami, jakieś dziesięć kilometrów od Kolonii Głuszycy, las wyłamywał się z ludzkiego czasu i przestrzeni, gęstniał. Zielone, rozłożyste brzozy, buki i czeremchy powoli przechodziły w gęstą palisadę suchych, starych i martwych świerków i sosen. Miękkie, pokryte mchem poszycie zamieniało się w zimną niezależnie od pory roku, twardą skorupę. Światło gasło z kroku na krok, niezależnie od pory dnia. Gdyby jakimś cudem dostała się tutaj istota ludzka, od razu wchłonęłaby ją czerń. Przestałaby istnieć.

Strzępowaty dotarł do punktu granicznego, do miejsca, w którym znalazł się po raz pierwszy wiele lat temu, jeszcze jako człowiek - a przynajmniej istota śmiertelna. Bo już wtedy Strzępowaty był tylko głodem i zapachem. Głodem, który wypełniał całe jego ciało, który sprawiał, że jego mięśnie i resztki tłuszczu zaczynały same się pochłaniać. Zapachem spalonych wiosek, ubrań i ciała, który ciągnął się za nim jak czarna chmura. To wtedy Ciemność otworzyła się przed nim po raz pierwszy i wtedy usłyszał głos. Tak jak teraz.

- Witaj! - Głos brzmiał jak żrący kwas.
- Szkoda, że nie możesz mi się pokazać - wysyczał Strzępowaty.
- Wiesz, że nie mogę. Tylko ci, którzy kiedyś byli ludźmi, mogą wychodzić na powierzchnię.

Strzępowaty usłyszał kroki. Odwrócił się. Z głębi lasu w jego kierunku człapała Gangrena. Wyglądała jeszcze gorzej i brzydziej niż zwykle. Chciała coś powiedzieć, ale Strzępowaty posłał jej to spojrzenie, które zawsze sprawiało, że zamykała pysk i odwracała się od niego, drżąc ze strachu.

- Miały miejsce dwa wydarzenia. Z tego powodu musimy was posłać gdzieś indziej - powiedział głos.

- Czczczłowiek ma Lllustro - odparł Strzępowaty. - Jest sprytny, bo sam nie wie, gdzie ono jest, nie można z niego tego wyciągnąć. I bardzo, bardzo pragnie tu wejść. Bardzo.

- Skoro pragnie tutaj wejść, przyjdzie tu sam i sam je nam odda. - Każdy wyraz wydawał się skapującą żrącą kroplą.

Strzępowaty wiedział, kim jest właściciel głosu. Wężun, prawa ręka Leszego, zgniatacz serc. Czuł, że tylko czeka, aby wydostać się na powierzchnię, że jego ukryte ciało puchnie, napierając na ściany Ciemności, aż było słycać trzask.

- Gdzie mam iść? - zapytał Strzępowaty.

- Najpierw zajmijmy się Gangreną - odparł Wężun. Jego głos kroił leśne powietrze na cienkie plastry. - Do Zmorojewa przedostali się jacyś ludzie. Nie przejmowalibyśmy się tym. To raczej dobry znak. Znak, że granice pękają, ściany są coraz cieńsze, a Klucze coraz bliżej nas. Ale dostał się tam potomek ludzkich Strażników. Nowy Powiernik.

- Nowy Powiernik - powtórzył Strzępowaty. - Skąd?

- Jeszcze nie wiadomo skąd. - Wężun powiedział to po dłuższej chwili. - I jeszcze nie wiadomo, dlaczego akurat on. W każdym razie mamy nadzieję, że zdajesz sobie sprawę z dwóch rzeczy?

Strzępowaty zdawał sobie sprawę z wielu rzeczy, więc pozwolił sobie na kiwnięcie głową, chociaż nie wiedział, o co dokładnie chodzi Wężunowi.

- Gdy Powiernik znajdzie się w pobliżu Kluczy, zaczyna sterować ich mocą. Jedno. Powiernika może zabić tylko drugi człowiek. Drugie.

- Trzeba znaleźć człowieka, który zabije Powiernika - wysyczał Strzępowaty.

- Powiedziałeś, że serce tego, który ma Lustro, bardzo pragnie tu wejść. Więc trzeba mu to zaoferować, gdy się zjawi - powiedział Wężun. - I trzeba będzie zabić ich wszystkich. Wszystkich ludzkich Strażników, wszystkich, którzy mogą zaszkodzić otwarciu bram Zmorojewa. Zresztą to chyba oczywiste. Ona już wie, którzy to. Wie, gdzie ich szukać. Dostanie pomoc, inne karmiące.

Strzępowaty warknął z wściekłości. Nienawidził poleceń, które nie uwzględniały jego potrzeb. Był głodny, bardzo głodny, a ta gruba idiotka ze swoim pomiotem zgarnęły mu sprzed nosa sowity, ciepły obiad.

- Dla ciebie mamy inne zadanie - powiedział Wężun. - Tylko tym razem wykonaj je jak najdyskretniej. Bardzo nam się nie podobało, że zabiłeś tego ludzkiego kapłana. Powinieneś dostać reprimendę, tak jak ona dostała za tamtego człowieka. To ściąga za dużo uwagi. Zwiększa liczbę ludzi, którzy w swoich małych mózgach zaczynają coś podejrzewać, a dzisiaj podejrzewania rozchodzą się dużo szybciej niż wtedy, kiedy ostatni raz nie spaliśmy.

- Jestem głodny! - wrzasnął Strzępowaty. - Co mam robić? Co mam robić, gdy jestem głodny? Powiedz mi, skoro jesteś taki mądry. Oddaj mi jej zadanie. Zabiję wszystkich Strażników. Najem się. Wykonam zadanie. Najem się.

Poczuł, jak jego prawdziwe zęby wysuwają mu się z dziąseł, jak z dłoni wyrastają mu

szpony, jak jego serce zaczyna bić niczym oszalałe. Wywalił język. Dopiero gdy wykrzyczał „głodny”, poczuł, jak bardzo jest pusty, jak bardzo jego żołądek błaga o pokarm.

- Mówiliśmy ci już, gdy kontaktowaliśmy się z tobą - powiedział Wężun - że masz inne zadanie. Musimy wykorzystać twój węch. Musisz znaleźć Kwiat Paproci.

- Skąd wiecie, gdzie jest? - zapytał.

- Nie wiemy dokładnie gdzie, ale wiemy, kto go ma. Okazuje się, że był bardzo niedaleko.

„Tak jak mówił człowiek - pomyślał Strzępowaty. - Mówił mi, że szukałem go za daleko. Człowiek umrze - powtórzył w myślach. - Gdy tylko odda Lustro, gdy tylko zmuszę go, aby zabił tego całego Powiernika, zrobię z tego człowieka deser mojego życia”.

- Popatrz na ziemię, pięć kroków przed tobą - nakazał Wężun.

Kawałek przed nim leżał przedmiot. Strzępowaty podszedł i delikatnie ujął go w dwa szpony. Był to zardzewiały, stary, upstrzony brunatnymi plamami krwi nóż o rękojeści z wężowatymi, złożonymi zdobieniami.

- Ten przedmiot należał do człowieka, który ma teraz Kwiat Paproci - powiedział Wężun. - Jest na nim jego zapach. Znajdziesz go dzięki niemu, tak jak znalazłeś człowieka, który miał Portret.

- Skąd go macie? - zapytał Strzępowaty, przykładając nóż do nosa. Pachniał ziemią, robakami, rdzą i zeschniętymi resztkami ludzkiego ciała, wydartymi z kogoś wiele lat temu.

- Z czasów próby ostatniego przedarcia - usłyszał w odpowiedzi. - Wtedy, gdy zużyli na nas całą swoją energię. Wówczas go znaleźliśmy. Zresztą to nieistotne. Jesteśmy pewni, że ten sam człowiek, który wiele lat temu zostawił niedaleko wejścia do Zmorojewa ten nóż, ma również Kwiat, ponieważ to ten człowiek na samym początku przywłaszczył sobie Klucze. Pozostałe dwa dał innym ludziom. Kwiatu, jak wiadomo, nie mógł oddać. Kwiat zastąpił mu serce. Znajdziesz tego człowieka, zabijesz go i zabierzesz mu Kwiat. Musisz wiedzieć, że będzie go bardzo bronił. Będzie chciał go zachować tak mocno jak nikt inny.

Strzępowaty nie był już obrażony. Co więcej, poczuł się, jakby był człowiekiem, który właśnie ma urodziny i dostaje z tej okazji wymarzony prezent.

- Jestem bardzo, bardzo głodny. - Wyszczerył kły. - Nie będę miał z tym żadnego problemu.

- Ruszaj jak najszybciej - powiedział Wężun.

- Rozkazzzz - wysyczał i z powrotem zrobiło mu się ciepło.

* * *

Gdy Janusz Koracz ostatni raz podróżował samolotem, na pokładzie można było palić papierosy. Na początku lubił latać. Do Berlina Zachodniego, Paryża, Moskwy, Nowego Jorku. Wszędzie tam, gdzie mógł kupować nieruchomości, sprzedawać, podpisywać kontrakty, handlować. Potem, w latach dziewięćdziesiątych, powoli przestawał latać. Następnie przestał nawet wyjeżdżać. Z roku na rok coraz trudniej było mu ruszyć się poza granice kraju, później województwa, a w końcu miejscowości. Przez ostatnie trzy lata ani razu nie opuścił swojej posiadłości, ulokowanej kilkaset metrów za terenem tartaku, który zaopatrywał w drewno głównie Ikeę i był jednym z dwudziestu paru należących do Koracza zakładów przetwórstwa drzewa. Cztery z tych zakładów znajdowały się w Polsce, reszta w Rosji i w Kanadzie. Koracz połowy z nich nie odwiedził ani razu.

Teraz musiał opuścić Głuszyce i strasznie przeszkadzało mu to, że na pokładzie samolotu nie można palić - nawet jeśli czekały go tylko dwie godziny podróży do Londynu.

Janusz Koracz miał bowiem ogromną ochotę na papierosa. Wczoraj wieczorem zapalił pierwszego mniej więcej od czasów, gdy przestał latać. Zrobił to, gdy dowiedział się o znalezionym

na poboczu drogi leśniczym, który zagryzł sam siebie na śmierć. Akurat oglądał, jak zwykle co wieczór, telewizję w swoim biurze, jedząc odgrzewaną pizzę. Włączył ulubiony kanał, Discovery Channel. Z tego, co pamiętał, nadawano program o nawykach żywieniowych dzikich kotów. Kończył już posiłek, gdy do pokoju wparowała jedna z księgowych - przyjeta do pracy na tyle niedawno, że nie wiedziała, iż do jego biura się nie wchodzi, niezależnie od tego jak istotny ma się powód. Była żoną któregoś z pracowników, zatrudnioną, bo jej mąż stracił rękę przy taśmie w nieszczęśliwym wypadku.

- Przepraszam najmocniej pana dyrektora, ale nie wiem, czy pan słyszał - wyrzuciła z siebie wyraźnie zaaferowana. - Leśniczego Pucla znaleźli. Podobno jakieś dzikie zwierzę go zagryzło.

- Dzikie zwierzę - powtórzył, patrząc przez nią, jakby nie było jej w pomieszczeniu, i przeżuwał ostatni kawałek pizzy.

- No tak, ludzie gadają, że może jakaś małpa. - Twarz kobiety była biała jak papier, a jej źrenice duże jak monety. - Bo ślady zębów są podobne do ludzkich.

„Karmiące - przyszło mu do głowy. - Wypuścili karmiące”. Myśl zagnieździła się boleśnie niczym wbity w czaszkę metalowy bolec. Czuł, że i jego twarz przybiera kolor papieru.

- Bardzo bym prosił, pani... - zaczął.

- Grażyno - momentalnie dopowiedziała kobieta.

- Pani Grażyno, na przyszłość, proszę nie zwracać mi więcej głowy takimi pierdołami - wycedził. - Dobranoc.

Kobieta, niczym balon wypełniony bojaźnią, pokornie kiwnęła głową i zamknęła drzwi, a Janusz Koracz otworzył szufladę, w której tkwiła nieotwierana od dwudziestu lat paczka czerwonych amerykańskich marlboro. Pierwszą myślą, jaka przemknęła mu przez głowę, gdy zaciągnął się po raz pierwszy, było sprawdzenie, czy ma w zapasie chociaż parę kartonów, bo teraz z pewnością nie produkują już takich papierosów.

- Szampan i gravlax dla pana - powiedziała stewardesa, podając mu kieliszek pieniącego się trunku i talerz z cienkimi jak pergamin plastrami marynowanego w pieprzu, lekko sfermentowanego łososia. Pokiwał głową i podziękował. Upił łyk szampana.

„Nie potrafią - myślał. - Nie znajdą mnie. Pokonaliśmy ich. Pokonała ich technika. Są martwi, tak jak martwe są opowieści, bajki i legendy. Odejdą w zapomnienie niczym niewznawiane książki. Jak nieme filmy. Nie wygrają z lotniskami, autostradami, z internetem. Nie mają szans zabrać mi Kwiatu. Zabrać mi wszystkiego, co mam”.

Wypił duszkiem kieliszek szampana i przez chwilę wydawało mu się, że się uspokoił.

Może i dobrze, że nie miał odwagi wyjąć spod koszuli zawieszzonego na łańcuszku, wprasowanego pomiędzy dwie pleksiglasowe płytki wiecznie żywego Kwiatu Paproci, którego płatki właśnie w tym momencie załśniły krwistą czerwienią.

* * *

Stali przez dłuższą chwilę, przytuleni. To nie tak, że nie robili tego od nie wiadomo jak dawna. Byli ze sobą od kilkudziesięciu lat. Nie można spędzić razem tyle czasu bez obejmowania się raz na jakiś czas. Ale teraz było inaczej.

Inaczej jest przytulać się w Wigilię, w otoczeniu rodziny, wnuków i przyjaciół, którzy mniej lub bardziej sprawnie zamiatają pod stół wzajemne pretensje, i wyrażać przez ten uścisk wdzięczność Bogu, że sprawy zmierzają do końca w taki, a nie inny sposób. Inaczej jest również obejmować się podczas letniego spaceru nad jeziorem, nad którym chodziło się już dobre kilka tysięcy razy, ale którego tafla przy każdym zachodzie słońca ma trochę inny kolor. A jeszcze inaczej jest tulić się z całych sił, chłonąc ostatnie chwile spokoju, wiedząc, że niedługo sprawy będą się

miały źle, bardzo źle, i czując, że jest się już zbyt starym i zmęczonym, aby im sprostać.

- Musimy zadzwonić do Roberta - wyszeptała pani Maryla w kurtkę swojego męża, mokrą od łez.

- Nie. - Zbigniew pokręcił głową. - Co mu powiesz? Wsiądą do samolotu, spanikują, przylecą. Co to zmieni?

Maryla zwolniła uścisk i podeszła do ściany. Oparła się o nią i westchnęła.

- Może go znajdą do południa, może gdzieś się zgubił, może leży ze złamaną nogą... - przerwała, jej głos pękł jak sucha gałąź; schowała twarz w pomarszczonych dłoniach.

Zbigniew podszedł do niej, ale już jej nie dotykał. Głośno wypuścił powietrze i zaczął rozglądać się po pokoju, jakby rozwiązanie kryło się gdzieś na suficie albo wisiało na ścianie, oprawione w ramki. Wyjrzał przez okno - świeciło. Czerń nieba powoli rozrzedzała chłodny róż.

- Tytus jest u nich - powtórzył. - Zapewne bezpieczny. W przeciwieństwie do nas.

Maryla nic nie mówiła. Usiadła na fotelu i opatulila się szczelnie kocem. Bardzo chciała w tym momencie zasnąć.

- Tak mocno pragnąłem - westchnął Zbigniew, stojąc plecami do swojej żony, wciąż patrząc na świt znaczący grubą, czerwoną krechę wschodzącego słońca dach stodoły - aby już nigdy, przenigdy nie wydarzyło się to ponownie. Aby oni zniknęli na zawsze z naszego życia. Nie prosiliśmy się o to, perełko. Nie prosiliśmy się.

Maryla kiwnęła głową i już miała coś powiedzieć, ale wtedy usłyszeli dźwięk.

- To oni - szepnęła. - Już tu przyszli. Pamiętają nas. Przecież było wiadomo, że zaczną od nas.

Kroki. Ciche kroki sunące po trawie. Równe i drobne. Kroki dwunożnej istoty. Maryla szeroko otworzyła buzię, Zbigniew położył palec na ustach. Poczula, że jej serce wali jak oszalałe. Chciała je uspokoić, wyłączyć. Zbigniew powoli się wycofał. Ktokolwiek był na ich podwórku, ponownie zrobił parę kroków. Mężczyzna usłyszał ciche syknięcie, wydech. Szybko podszedł do pawlacza w przedpokoju, otworzył go, wyjął skórzany kufer, postawił na ziemi, otworzył zaczepy i wyjął z niego starą myśliwską strzelbę. Maryla zaciskała usta, aby tylko nie wydać żadnego dźwięku. Zbigniew ostrożnie położył strzelbę na stole w salonie, wyjął naboje, otworzył komorę i zaczął ładować je do środka, cały czas patrząc na drzwi. Postać na zewnątrz znowu przybliżyła się o parę kroków.

- Biegnij do piwnicy, przynieś wszystko, co oni nam zostawili, a potem wracaj i zamknij się od środka. - Zbigniew odbezpieczył strzelbę.

* * *

- Słuchajcie, Rudziak... - Barniec wyglądał jak żywy trup, jego twarz była jeszcze bardziej ziemista niż zwykle, jakby nie spał tydzień, a następnie zaaplikował sobie dużą dawkę papierosów i kawy. - Nie jesteście mi potrzebni, wybaczenie. Wiecie o tym, co się tutaj dzieje, tyle samo co i ja. Nie ma sensu, abyście dalej tu przebywali. Jedźcie do domu, wszystko tu jest posprzątane.

Rudziak rzeczywiście czuł się zmęczony. Prawdę mówiąc, był nieprzytomny. Ostatnie wydarzenia spływały po nim jak woda po człowieku stojącym od dwóch godzin na ulewnym deszczu. Sterczeli niedaleko Kolonii do rana, technicy zabezpieczali miejsce zbrodni, próbując znaleźć jakieś ślady, niestety - bez rezultatu. Obducent skierował ciała na badania toksykologiczne. Stwierdził, że najprawdopodobniej tych dwóch po prostu się czegoś naćpało i zagryzło w narkotykowym ataku szału. Policja z psami przeorała las w promieniu kilku kilometrów w poszukiwaniu zaginionego dzieciaka - również bez rezultatu.

- Nie dalibyście wiary, co teraz można zamówić w internecie. Wszystko legalnie -

powiedział, gdy sanitariusze przykrywali ciała płachtami i ładowali je do karet.

Rudziak był zmęczony, ale ta sprawa nie dawała mu spokoju. Jakiś głos w środku mówił mu, że to nie ma nic wspólnego z narkotykami. Czuł, że zniknięcie dzieciaka i cztery trupy - księdza, leśniczego i tych chłopaków - jest elementem jakiejś większej, przerażającej całości. Podpowiadała mu to intuicja. Barniec i jego ekipa nie widzieli tych powiązań, bagatelizowali je, nie chcieli albo nie umieli znaleźć dla tych wydarzeń wspólnego mianownika. „Ksiądz - wyjątkowo brutalny mord rabunkowy - mówił Barniec. - Zajmiemy się tym osobno. Leśniczy, wściekle zwierzę, a jeśli rzeczywiście zagryzł się sam, *delirium tremens*, przecież wiadomo, że facet był alkoholikiem, poza tym była już taka sprawa w Rucianem-Nidzie, gdy facet w alkoholowym amoku odrąbał sobie łapę i następnie próbował ją udusić w sosie własnym. Ci tutaj: narkotyki”.

Rudziak nie wierzył w te tłumaczenia. Sprawa zaczynała być jego obsesją - od razu postawiłby się Barńcowi, gdyby nie to, że po prostu pragnął się położyć i przespać po raz pierwszy od dobrych siedemdziesięciu godzin. „Porozmawiam z nim jutro” - pomyślał. Teraz jednak musiał jechać do swojego ciasnego, zagraconego pozostałościami roztrzaskanego małżeństwa M-2. Kapiel. Telewizja. Piwo. Sen.

- Rudziak, mam prośbę! - krzyknął za nim Barniec, gdy inspektor próbował wcelować kluczykiem w drzwiczki samochodu. - Zajedźcie jeszcze do tego Grójeckiego i powiedzcie, że na razie nie znaleźliśmy dzieciaka.

Rudziak zmusił się, by kiwnąć głową. Zaklął i wsiał do samochodu. Zanim ruszył, trzymał twarz w dłoniach przez dobrych kilka minut. Roztarł oczy, wypił resztkę wygazowanego napoju energetycznego i ruszył. Droga do Głuszyc ciągnęła się w nieskończoność, zwłaszcza że Rudziak jechał bardzo powoli. Policyjny opel z trudem pokonywał korzenie drzew i muldy.

Gdy wjechał do wsi, było już prawie jasno. Odczytał z kartki adres Grójeckiego i krążył jakieś kilka minut po okolicy. W końcu uzmysłowił sobie, że był kiedyś u tego faceta - jakieś gnojki parę lat temu próbowały podpalić mu stodołę - i przypomniał sobie, gdzie tamten mieszkał. Skręcił w polną drogę.

„Nienawidzę tego - pomyślał znowu. - Nienawidzę być łącznikiem między ludźmi a ich przeznaczeniem. Powinni wybrać do tej roboty kogoś dużo bardziej ludzkiego, miłego i zainteresowanego innymi. Kogoś życzliwego”. Zapalił papierosa. Zaparkował.

- A ja przecież mam wszystkich kompletnie gdzieś - wyszeptał sam do siebie, patrząc na dom, którego mieszkańcy na pewno jeszcze nie spali o tej porze i nie będą spać jeszcze bardzo długo.

Bo inspektor Rudziak wiedział, że jeśli ktoś jest zaginiony, to nie wraca szybko tak po prostu, cały i zdrowy.

Wlał w gardło ostatnie krople red bulla i wysiadł z samochodu. Przeciągnął się. Już niedługo, za pół godziny stanie pod gorącym prysznicem, usiłując nie zasnąć, a potem położy się do łóżka. Oparł się o ścianę domu Grójeckich, zapalił papierosa i głośno wypuścił powietrze. Zrobił parę kroków, przystanął, ponownie się przeciągnął i znowu dał krok do przodu, stawiając stopę na betonowych schodach. Odliczał czas przed znalezieniem się w środku, przed sześcioma upragnionymi godzinami pozbawionego snów snu, po których podniesie słuchawkę, zadzwoni do Barńca i powie mu, co myśli o całej sprawie. Oparł się o ciężkie, drewniane drzwi, ozdobione wiązaną zasuszonych kwiatów i niezgrabnie namazanym kredą znakiem K + M + B. Usłyszał zza nich cichy dźwięk - coś jakby szcęknięcie metalu, upuszczenie na podłogę metalowego kubka.

Gdy zszedł ze schodów, aby zgasić papierosa o mokrą trawę, zauważył odcisnięte w niej ślady. „Ktoś ich przed chwilą odwiedził - pomyślał. - Rodzina”. Ślady pozostawiły co najmniej dwie osoby o małych stopach, zapewne kobiety. Rudziak zauważył, że krążyły wokół domu, nie

wchodząc do środka - nie prowadziły w stronę schodów.

„Co za cholera? Może to ten dzieciak zwał dziadkom i teraz robi sobie jaja, łażąc wokół domu i pukając w szyby? Na ich miejscu porządnie złołbym mu dupę, gdy w końcu się znajdzie” - pomyślał, pukając do drzwi.

Natychmiast otworzył je Grójecki. Rudziak najpierw zauważył oczy mężczyzny, a potem wycelowaną w niego strzelbę. Pierwszą rzeczą, o której pomyślał Rudziak, nie było to, że broń jest naładowana, a Grójecki ma wyraz twarzy kogoś, kto może go zastrzelić. Nie, pierwszym zdaniem, które przemknęło przez głowę inspektora, było: „Kurwa mać i co jeszcze?”.

- Hola, hola! - Rudziak podniósł ręce do góry. - Jestem funkcjonariuszem policji.

Grójecki potrzebował paru sekund, aby rozpoznać Rudziaka, zrozumieć, co mówi, i opuścić strzelbę.

- Czego pan chcesz? - zapytał głosem, który świadczył o silnym strachu.

- Przyjechałem tylko powiedzieć... - Rudziak przerwał i ukrył twarz w dłoniach, trąc przez chwilę powieki. - Powiedzieć, że nadal nie znaleziono pańskiego wnuka. Bardzo mi przykro, zrobimy wszystko, co w naszej mocy, do widzenia.

Na koniec odetchnął z ulgą i odwrócił się, uznając ostatecznie zadanie przed snem za wykonane. Zszedł po dwóch stopniach i nagle w jego zalanym smołą zmęczenia mózgu zlatliły się dwie ostrzegawcze iskry. Pierwszą był dziwny odgłos, jaki usłyszał z lewej strony, szmer połączony z mlaśnięciem. Drugą - pytanie, które powinien zadać sobie jakieś pół minuty temu - dlaczego Grójecki czemu czeka na potencjalnych gości z naładowaną łowiecką flintą.

Odwrócił się.

- Wie pan co, panie Grójecki, ale o co panu chodzi z tą... - zaczął mówić i wtedy usłyszał inny głos, dochodzący z boku, niski, skrzekliwy, obrzydliwy, jakby podlany śluzem, a raczej dwa takie głosy wypowiadające naraz to samo zdanie:

- Głodni. Jesteście głodni. Nie bójcie się. Zaraz będzie dużo, dużo jedzenia.

Popatrzył na Grójeckiego, a ten w ułamku sekundy złapał go za klapę płaszcza.

- Włóż pan, kurwa, do środka, i to już! - warknął, wciągnął inspektora do domu, zatrzasnął drzwi i zaryglował je na wszystkie trzy zamki.

* * *

Korytarz telewizji wyglądał jak zwykle. Biegnące tłumy rozgorączkowanych ludzi, obwieszonych smyczami, na których końcu wisiały pęki kluczy i identyfikatory, z tonami papieru w plastikowych segregatorach pod pachami. Człowiek szedł, nie zwracając na ten tumult uwagi. Nie tylko dlatego że pracował w tym miejscu od kilkunastu lat. Jego myśli krążyły zupełnie gdzieś indziej. Człowiek myślał o Istocie. O tym, że jego plan napotkał na pierwszą poważną przeszkodę. Istota nie potrzebuje już jego wiedzy. Co więcej, może już nie potrzebować jego osoby. Jest ryzyko, że człowiek nie dostanie tego, czego pragnie od tak wielu lat, od czasu gdy po raz pierwszy natrafił na ślad legendy o opuszczonym mieście, które stanowi barierę pomiędzy światem ludzi a światem ciemności, mieście, którego wejście zabezpieczają trzy Klucze. Od tamtej pory człowiek nie mógł już normalnie zasnąć, normalnie jeść i pić. Wszystkie czynności wykonywał zupełnie machinalnie. Przemierzanie telewizyjnego korytarza. Pracę. Kontakty z ludźmi. Spożywanie płynów i pokarmów, sen i uprawianie seksu istniały w jego życiu tylko dlatego, że wiedział, iż brak tychże go dekoncentruje, a przez to oddala od celu: wejścia w Wielką Ciemność. Stania się jej beneficjentem. Dołączenia do Mocy.

Przejścia na prawdziwą Tajemną Stronę.

Zza rogu wynurzyła się jego asystentka Olga Pralczyk, niosąc dwa wielkie, parujące,

wypełnione kawą styropianowe kubki. Wcisnęła mu jeden do ręki. Człowiek upił łyk.

- Za chwilę jest nagranie - powiedziała lodowatym tonem. - Mam nadzieję, że przeczytałeś skrypty.

Człowiek zauważył, że starała się zająrzeć mu jak najgłębiej w oczy, ale patrzył przez nią, jakby była przezroczysta, tak samo jak patrzył przez korytarz, przez ludzi, przez ściany.

- Tak - odparł machinalnie. - Dziwne okaleczenia bydła na Kaszubach i upośledzona stygmatyczka ze wsi na Lubelszczyźnie. Plus parę newsów ze świata. Materiał: wizerunki Jezusa na tostach, wstydliva moda czy fałsz.

- To było tydzień temu - syknęła asystentka. - Dzisiaj mamy materiał, czy obrzędy voodoo są odpowiedzialne za katastrofę na Haiti.

Kiwnął głową, minął ją i ruszył dalej korytarzem, czując, że odprowadza go wzrokiem. Na chwilę przystanął. Odwrócił się do niej.

- Wyjeżdżamy zaraz po programie. Zebrałaś ekipę? Powiedziałaś im to, co trzeba? - zapytał.

Asystentka kiwnęła głową, pokazując mu palcem dalszą część korytarza, a następnie kładąc wymownie ten sam palec na tarczy zegarka. Odwrócił się i ruszył dalej. Wszedł do pokoju makijażystki, nie przywitał się. Usiadł na fotelu. Kobieta zaczęła nakładać na jego twarz lepki, gryzący puder i podczesywać mu krótko przystrzyżone siwe włosy.

- Muszka - powiedziała druga charakteryzatorka. - Zapomniał pan muszki. Na szczęście mamy zapasową.

Kiwnął głową i pozwolił zawiązać sobie charakterystyczną ozdobę pod kołnierzykiem.

Gdy kobiety go przygotowywały, człowiek zdał sobie sprawę z tego, że w jego myślach pojawiają się pojedyncze wyrazy. Głuszyce. Istota. Znaleźć. Przejść. Zaproponować. Dostąpić.

„Wszystko - stwierdził. - Wszystko, czego zechcą. Aby się stąd wyrwać. Z tego świata obrzydliwych mięsnych kukieł”.

Starał się nie patrzeć na ludzi. Z biegiem czasu jego dopracowywana do perfekcji umiejętność, czyli patrzeć na innych bez odrazy, zaczynała słabnąć.

Gdy charakteryzatorki skończyły, wstał i przeszedł do sali, w której trwało nagranie. Reżyserka zaczęła go przy wejściu, mówiąc coś, ale widział tylko ruch jej ust, słowa odbijały się od ścian w jego uszach. I tak wiedział, co miał zrobić. W końcu od tylu lat wykonywał swoją pracę machinalnie.

Techniczny przyczepił mu mikrofon.

- Raz, dwa, trzy - powiedział w idealnym momencie.

Pracownik wyciągnął kciuk do góry. Człowiek kiwnął głową i przeszedł przed kamerę. Za nim, na telebimie, przewijała się animacja, którą znał na pamięć, skąpana w zimnych niebieskich kolorach mieszanina bijących piorunów, powyginanych trupów, rzekomo nawiedzonych domów.

Człowiek popatrzył beznamiętnie w kamerę.

- Witam drogich widzów. Nazywam się Adolf Błysk - przemówił. - Panie i panowie, czy jesteście gotowi przejść razem ze mną na Tajemną Stronę?

WOJNA

Część trzecia

11. Resztkami sił

- Nie rozumiem - powiedział Tytus, stojąc naprzeciwko budynku stacji kolejowej, wybudowanego z czerwonej cegły. Mieścił się on na wschód od rynku miasta. Odbijając od niego w górę, docierało się do najstarszej dzielnicy Zmorojewa, na brukowaną aleję pełną pustych kościołów ozdobionych płaskorzeźbami i tablicami pamiątkowymi, odrapanych kamienic. Aleja wiodła do ruin zamku, górujących w oddali na szczycie wzniesienia. Strąk oprowadzał Tytusa po Zmorojewie, od momentu gdy tamten wstał z łóżka i zjadł na śniadanie podaną mu przez Jagodziaka wstrętą trawiastą zupę. Tytus podczas tego spaceru widział jeszcze więcej nieprawdopodobnych zjawisk - rozciągających się i kurczących ulic, znikających drzwi, wyrastających w ułamku sekundy gęstych ścian bluszczu - ale nic nie zdziwiło go tak jak ten niepozorny budynek.

Tytus spojrzął w niebo i uświadomił sobie, że w Zmorojewie nie występowały normalne pory dnia - ranek, południe, popołudnie, zmierzch. Panował albo rodzaj dziwnej, sztucznej nocy, z czarnym, pozbawionym gwiazd i księżycą niebem, jakby miasto schowano pod wielkim kloszem, w którym ktoś raz na jakiś czas wyłączał żarówkę, albo, jak teraz i wtedy, gdy po raz pierwszy wyszli z Damianem i Bartkiem z piwnicy, coś kojarzącego się z wczesnym świtem.

Różowawa luna padała na pokryty brunatnymi dachówkami dach budynku, sprawiając, że cały zarzył się krwiście. Chłodny, szaro-błękitno-różowy wschód niewidocznego słońca rozlewał się po niebie, przechodząc w ciemniejszy, burzowy ton dopiero na szczycie wzniesienia, nad ruinami zamku.

- Cały czas powtarzasz, że nie rozumiesz. - Strąk stał obok Tytusa, nabijając fajkę wygrzebywanymi z kieszeni liśćmi niezidentyfikowanego ziółka. - A tymczasem wszystko rozumiesz. To jest w tobie. Wiesz, że musisz tutaj być. Że nie znalazłeś się tu bez powodu. I że na razie nie możemy cię wypuścić. Wiesz, że Leszy wysłał swoich człowieczych, aby krążyli po okolicy. Widziałeś jednego z nich.

Tytus zacisnął zęby. Chciał się wydostać ze Zmorojewa jak najszybciej, jednak jego wszystkie próby trafiały na ścianę lakonicznych i stanowczych odmów. Czuł się coraz bardziej zdenerwowany i zaniepokojony, tym bardziej że w Zmorojewie dynamika czasu była trudna do uchwycenia. Nie potrafił powiedzieć, czy od chwili publicznego sądu na jego osobie, a następnie uznania go nowym Powiernikiem (Tytus nadal zastanawiał się, co tak naprawdę to może oznaczać) minęło zaledwie kilka godzin czy parę dni. Im więcej rozumiał z tego, co mówili do niego Strąk i reszta - o Leszym, Kluczach, ludziach przemienionych w potwory - tym dobitniej zdawał sobie sprawę z olbrzymiego niebezpieczeństwa, które groziło jego dziadkom. I była też oczywiście Anka. Tytus dalej nie miał pojęcia, co się z nią stało. Błagania, by wypuścili go na drugą stronę chociażby na chwilę, aby rozejrzał się po okolicy chaty starego Wirdały w poszukiwaniu Anki, również spotykały się z kategoryczną odmową.

- Tak, nie rozumiem tego i mam serdecznie dość twojego gadania o Kluczach i Powierniku, gdy nie wiem, co stało się z moją dziewczyną (Tytus zauważył, że pomimo niezbyt fortunnego kierunku, jaki przybrała jego relacja z Anką, używa tego terminu z coraz większym przekonaniem), a moi dziadkowie mogą w każdej chwili zostać zaatakowani przez jakieś potwory. Chcecie mnie przed tym ochronić, ale co z tego? Jeśli ta cała Bariera jest rzeczywiście taka słaba, ci źli, gdy już

rozprawia się ze wszystkimi na zewnątrz, i tak przedrą się tutaj.

- Potrzebują do tego Kluczy - powiedział Strąk, obserwując go uważnie.

- Słuchaj, ale jeśli będziecie tak tu siedzieć i nic nie robić, nie wypuszczając mnie tylko dlatego, że mam na czole jakiś Znak Zmory, oni i tak znajdą te swoje Klucze prędzej czy później! - Tytus, dopiero gdy napotkał wzrok Strąka, zdał sobie sprawę z tego, że ostatnie zdanie po prostu wykrzyczał.

Mężczyzna nie zareagował, ale po jego twarzy Tytus rozpoznał, że nie lubi, gdy podnosi się na niego głos.

- Ty to rozumiesz, rozumiesz i wiesz, tylko jeszcze nie pamiętasz - dodał po chwili.

Tytus zachnął się i odwrócił głowę. Ta rozmowa, tak jak wszystkie poprzednie dotyczące wypuszczenia go z miasta, nie miała sensu. Chłopak miał wrażenie, że Strąk posługuje się irytującymi, zaszyfrowanymi niedopowiedzeniami - jakby chciał mu przekazać coś, czego nie wolno mu było zdradzić.

- Teraz - powiedział, wpatrując się usilnie w budynek dworca - teraz, gdy powiedziałem, że nie rozumiem, chodziło mi o stację kolejową.

Strąk milczał przez chwilę, wpatrzony we własne buty, jakby w ogóle nie słuchał Tytusa.

- Mówisz cały czas o twoich dziadkach - zapytał. - A co stało się z twoimi rodzicami? Nie żyją?

Tytus popatrzył na niego ze zdziwieniem.

- Z tego, co wiem, mają się całkiem dobrze - odparł. - Zwiedzają Meksyk.

- Meksyk? - zdziwił się Strąk, słysząc tę nazwę widocznie pierwszy raz w życiu.

- Taki kraj po drugiej stronie kuli ziemskiej. - Tytus urwał wątek. - Na co dzień nie mieszkam z dziadkami. Przyjechałem do nich na wakacje.

- A! - krzyknął Strąk. - Nie jesteś stąd, tylko z tej drugiej wsi, Warszowo, tak?

Tytus kiwnął głową. Rozmowa z mieszkańcami Zmorojewa, odciętymi od otaczającego świata przez dobrych kilkaset lat i mających o nim bardzo szczątkową wiedzę, była czasami bardzo trudna. Szybko zrezygnował z tłumaczenia im, czym są telewizory, telefony, internet, komputery i samochody, czy zasad współczesnych stosunków społecznych. Baba-Jaga w ogóle nie mogła na przykład zrozumieć, dlaczego Tytus nie ma brata ani siostry. Gdy powiedział jej, że jest jedynakiem, zapytała, na co umarła jego matka.

- A twoi dziadkowie pochodzą stąd - dodał Strąk, marszcząc czoło, jakby wyjątkowo usilnie starał się coś sobie przypomnieć.

- Tak, są stąd, z Głuszyc. - Tytus zirytowany kiwnął głową. - Mówiłem, że nie rozumiem, dlaczego znajduje się tutaj stacja kolejowa.

Strąk zapalił fajkę i podrapał się w strzechę włosów, z której znowu wyfrunęło kilka małych ptaków.

- Być może kiedyś poznałem twoich dziadków - powiedział po kolejnej dłuższej chwili milczenia, po czym otrząsnął się z zadumy, podszedł do Tytusa i również popatrzył na budynek stacji kolejowej. - Czego nie rozumiesz w związku z naszym dworcem? - zapytał, po czym ruszył do przodu.

Przez wahadłowe drewniane drzwi weszli na teren poczekalni. Była zupełnie pusta - na betonowej podłodze leżały kupki zeschniętych liści i małe, zadrukowane kartoniki. Gdzieś na ścianach pozostały resztki drewnianej lamperii. Z sufitu zwisał żyrandol podobny do tego, który znajdował się w gabinecie wójta, z tym że w o wiele gorszym stanie. W ścianie po lewej ręce Tytusa widniała kwadratowa, ziejąca czernią dziura, najprawdopodobniej w tym miejscu znajdowała się kasa biletowa. Chłopak podniósł jeden kartonik z ziemi i ostrożnie wziął go w dwa

palce - po bliższych oględzinach okazał się biletem na przejazd. Pokrywały go nieczytelne smugi tuszu, dlatego jedyne, co mógł z nich odszyfrować, to zamazany napis „Taubenberg”.

- Nie rozumiem, po co dworzec kolejowy w mieście, w którym mieszkają magiczne istoty i z którego nikt nie może wyjść ani do niego wejść - wyjaśnił Tytus, idąc powoli w kierunku peronu. - Dokąd prowadzą te tory? Dokąd jeździły te pociągi?

Wyszli razem na jedyny peron stacji. Tytus rozejrzał się w lewo i prawo. Po obu stronach szyny ginęły w białej, lepkiej mgle, wypływającej na tory i stanowiącej jakby granicę widzianego świata. Po drugiej stronie szyn dostrzegł niewyraźne drzewa, resztki zabudowań, fragmenty starego ogrodzenia, wszystko jednak wydawało się oblane mgłą, zamazane, jakby nie było światem samym w sobie, ale wyblakłą pocztówką, powidokiem krajobrazu, który już dawno nie istnieje.

Tytus odwrócił głowę i zauważył zardzewiałą metalową tabliczkę z napisem „TAUBENBERG”.

- Nie mam pojęcia. - Strąk wzruszył ramionami. - Jestem tutaj, odkąd pamiętam, i zawsze była ta stacja. Nigdy nie widziałem pociągu. Nigdy nie jechałem pociągiem.

- Nie znasz historii swojego miasta? - zapytał Tytus.

Na peronie było zimno, dużo zimniej niż na ulicach Zmorojewa, jakby mgła stanowiła zasłonę, przez którą wdzierał się zimowy wiatr z zewnątrz.

- Bariera jest nieszczelna - powiedział cicho Strąk. Przez poczekalnię wyszli z powrotem na zewnątrz. - Mieszkamy w tym mieście od urodzenia - dodał, przypominając sobie pytanie Tytusa - ja i moja córka. I prawie wszyscy, którzy tutaj żyją. Ale nikt nie zna historii tego miasta.

- Jak zwykle cię nie rozumiem - stwierdził Tytus. - Chodzi mi o to, że całą tę Pieczęć i to miasto, w którym jesteśmy, stworzył niejaki Jan Twardowski.

Strąk kiwnął głową.

- Zmorojowo - Tytus zakreślił ręką teren wokół siebie - na moje oko, wygląda, jakby miało jakieś sto lat. A ten cały Twardowski żył dużo wcześniej. Nie było wtedy pociągów. Ani takiej zabudowy.

Strąk popatrzył w kierunku widniejących na szczycie wzniesienia ruin. Tytus podążył za jego wzrokiem i zauważył, że to, co brał za zbierające się wokół wieży burzowe chmury, było tak naprawdę obłokiem gęstego, czarnego dymu.

- Wiem, że starsi ode mnie, jak wójt czy Baba-Jaga, nie żyli od początku w mieście, ale w tych lasach, tak samo jak Leszy i jego stwory. One były ich domem. W pewnym momencie, przed moimi narodzinami, przejęliśmy to miasto od ludzi. Zbudowaliśmy Barierę wokół niego. Tyle wiem - wyjaśnił Strąk.

- Jak zbudowaliście ją bez Twardowskiego? Przecież on musiał już wtedy nie żyć. Był tylko człowiekiem - zapytał Tytus.

- Porozmawiamy o tym innym razem. - Strąk pokazał mu gestem, aby się odwrócili, i ruszyli w dół wzniesienia z powrotem do centrum miasta. - Teraz musimy przestać łązić w kółko bez celu i sprawdzić, co potrafisz.

* * *

Rudziak chciał coś powiedzieć, ale Grójecki położył mu dłoń na ustach. W domu było niesamowicie cicho. Słyszeli tylko kroki. Jedne pod podłogą, ciche szuranie stóp o ziemię, przestawianie przedmiotów. Inne na zewnątrz. Powolne dreptanie małych stóp. Syczenie i mlaskanie. I jeszcze jeden obrzydliwy i trudny do zidentyfikowania dźwięk, przypominający siorbanie gorącej zupy.

Rudziak zdjął dłoń Grójeckiego z ust. Oddychał szybko. Zupełnie odechciało mu się spać.

Serce waliło mu z taką siłą, że był pewien, iż zaraz dostanie wylewu. Czuł, że to coś, co zostało na zewnątrz, a co widział tylko przez chwilę, było odpowiedzialne za śmierć tamtych dwóch chłopaków i leśniczego.

- Co to jest? - wyszeptał. - Co to za cholera, tam na zewnątrz?

Coś załomotało w okno z wielką siłą. I zrobiło to jeszcze raz. Jedna z szyb pękła z głośnym brzękiem. Dziadek Tytusa wstrzymał oddech i poczuł, jak na jego czole zbiera się warstwa potu.

Grójecki szarpnął jeden z foteli i przysunął go do drzwi. Pokazał Rudziakowi palcem stojący w kuchni drewniany regał, wypełniony sportowymi trofeami należącymi do pani Maryli, porcelanowymi talerzami w kwiatowe motywy i zdjęciami w ramkach. Obaj zaczęli przesuwając kredens w kierunku okna. Zawartość pospadała na ziemię, roztrzaskując się w większości w drobny mak, ale nie zwrócili na to najmniejszej uwagi. Gdy skończyli, Grójecki pokazał inspektorowi drugie okno, to w kuchni. Rudziak spojrzął przez nie i zobaczył trzy postacie takie jak ta, która powiedziała do niego o „byciu głodnym”, ale Grójecki odciągnął go od okna i pokazał kolejny masywny regał.

Szyba w kuchennym oknie pękła. I następna. Rudziak stał niczym sparaliżowany, patrząc, jak do środka przedostaje się mała, obrzydliwie tłusta istota z prawie łysą czaszką, z której zwisało parę smutnych strąków włosów. Stworzenie wpatrywało się w niego małymi, świńskimi oczkami. Gdy otworzyło usta, przed oczyma Rudziaka wykwitł szereg kilkudziesięciu ostrych jak żyłki, małych ząbków.

- Jezus Maria! - Rudziak wyszeptał do samego siebie. - To coś kiedyś było kobietą.

- Jesteście głodni, Ludzcy Strażnicy - powiedziała Gangrena - ale zaraz się najecie.

Rudziak najpierw wrzasnął. A potem poczuł coś w swoich wnętrznościach. Jakby ktoś bardzo delikatnie laskotał ściany jego żołądka.

- Człowieku, rusz się! - krzyknął Grójecki i szarpnął go za ramię. Tak jak przedtem do wnętrza domu, wciągnął go do piwnicy. Zatrzasnął drzwi od wewnątrz na skobel i szybko zbiegł po stromych, pokrytych węglowym pyłem schodach. Rudziak popędził za nim, słysząc za plecami drapanie o powierzchnię drewna. Głośno przełknął ślinę.

Piwnicę - korytarz prowadzący do mniejszych pomieszczeń - oświetlała tylko zwisająca luźno z drucika słaba żarówka. W pomieszczeniu pachniało drewnem i węglem, starymi ziemniakami i octem z przetworów. Pod ścianami leżały sterty nieużywanych, zapomnianych przedmiotów - dziecięcych butów, wiader, sanek, przerdzewiałych narzędzi, starych gazet i kartonów. W piwnicy u Grójeckich było jak w każdej zwyczajnej piwnicy - ale strach sprawił, że Rudziakowi podziemie domu wydało się jakimś okropnym labiryntem strachu. Tym bardziej powstrzymał się, aby nie wrzasnąć, gdy za kolejnym zakrętem zrobiło się zupełnie ciemno.

- Znalazłaś to, Marylko? - usłyszał głos Grójeckiego i odetchnął z ulgą.

Za rogiem wymacał drewnianą, płaską powierzchnię zbitych z desek drzwi. Pchnął je i znalazł się w kolejnym, ledwo oświetlonym pomieszczeniu.

- Jezus - szepnął.

Na ścianie naprzeciwko niego widniał namalowany nieskazitelnie białą farbą wielki okrąg. W cztery strony świata wychodziły z niego strzałki, a w środku tkwiła narysowana za pomocą kresek i kółek kobieca postać, trzymająca w jednej dłoni klucz, a w drugiej coś w rodzaju miecza. Obrazek przypomniał Rudziakowi artykuł o prastarej sztuce naskalnej, który przeczytał w prenumerowanym kiedyś przez jego byłą żonę „Reader's Digest”.

- Znak Zmory - powiedziała stojąca w rogu pomieszczenia starsza kobieta, która była, jak się domyślał, panią Grójecką. - Istoty ze Zmorojewa zostawiły go tutaj, aby nas chronił. Tutaj nie wejść. Nie wejść do tego pomieszczenia. Jest pan pierwszą osobą, która dostała się tutaj od

kilkudziesięciu lat - dodała po chwili.

- Znalazłaś to, Marylko? - zapytał Grójecki. Ciężko dyszał, ocierał pot z czoła, miał szeroko otwarte oczy. - Znalazłaś?

- Cały czas szukam - odparła kobieta, schylając się przy wielkim, podzielonym na dziesiątki małych półek i szafek regale, zastawionym mnóstwem małych butelek, flakonów i słoików.

Rudziak rozejrzał się po piwnicy. Poza znakiem i regałem znajdowały się w nim dwa łóżka, stary telefon oraz kredens, wypełniony konserwami, skondensowanym mlekiem, nabojami i bateriami. Obok Znak Zmory widać było przytwierdzony do ściany zlew. Gdy Rudziak obejrzał się w lewo, zauważył wydzieloną parawanem małą przestrzeń. Domyślił się, że znajduje się za nią coś, co spełnia funkcję ubikacji. „Schron - pomyślał inspektor. - Schron przed tym, co jest teraz na górze”.

- To coś - starając się mówić jak najciszej, pokazał palcem sufit - zabiło tamtych chłopaków i leśniczego. Zżarło ich. I księdza też. Mam wrażenie, że wiecie, co to jest. Musicie mi powiedzieć.

Grójeccy milczeli. Zbigniew stał dalej pod ścianą i ciężko oddychał, Maryla brała do ręki kolejne flakony i je oglądała.

- Musicie mi powiedzieć - powtórzył Rudziak.

- To coś nie zjadło tych ludzi - powiedział Grójecki - to coś rozkazało im zjeść samych siebie.

Rudziak poczuł, jak szeroko otwierają mu się oczy i usta, ale wtedy usłyszał bardzo głośne łomotanie w drzwi piwnicy.

- Nie ma tego tutaj - powiedziała drżącym głosem Maryla - nie ma. Musiałam przenieść na górę. Zapomnieliśmy, że to prawda, Zbigniu. Zapomnieliśmy. Są gdzieś w bibelotach. O Boże, o Boże jedyny!

- Co jest na górze? - krzyknął Rudziak. - Ludzie, powiedzcie mi, o co chodzi!

- Coś, co może zabić te potwory - powiedział chłodno i cicho Grójecki - eliksir, który dostaliśmy kilkadziesiąt lat temu. Eliksir, w którym trzeba zanurzyć broń. Nóż, naboje...

- I tego czegoś nie ma w tym pomieszczeniu, do którego one nie mogą wejść, tak? I trzeba po to iść na górę? - zapytał Rudziak.

Grójecki kiwnął głową. Rudziak westchnął. Cztery trupy. Zero godzin snu. Użeranie się z kretynami. Żadnego prysznic. Wszystko w ciągu kilkadziesięciu godzin i za dwa tysiące złotych brutto miesięcznie bez premii, bo premii nigdy nie udało mu się wyprosić. Przypomniawszy sobie o żonie, o samochodzie, o dziesiątkach podobnych incydentów, z których składało się jego rozpaczliwie żalosne życie. Połączył je w myślach z tym, że właśnie znajdował się zatrzaśnięty w piwnicy z parą nawiedzonych staruszków, otoczony przez Potwory-Cholera-Wie-Skąd, które za moment sprawią, że Rudziak zacznie pożerać własne ciało. Wynik tego równania był prosty. Inspektor urodził się pod najciemniejszą gwiazdą, bynajmniej nie w czepku, a jego wypełnione pechem życie musiało doprowadzić do tego właśnie smutnego finału. „Tych dwoje - pomyślał - ma przynajmniej siebie i, daj Boże, wnuka”. On ma tylko niewygodną kanapę, nieszczelny prysznic i czternastocalowy telewizor.

- Daj mi pan tę flintę, panie Grójecki - odezwał się, wyciągając rękę - i powiedz, gdzie tego szukać i jak to wygląda.

Grójecki stał przez chwilę bez ruchu, po czym oddał mu strzelbę.

- Pod żadnym pozorem - ostrzegł - pod żadnym pozorem nie patrz im w oczy.

* * *

Zamaskowanie odsłaniało się przed Tytusem coraz bardziej, ale poza wyglądem budynków

nie zmieniało to zbyt stanu rzeczy w Zmorojewie. Na rynku miasta działało kilka sklepów i jeden bar, po ulicach poruszało się ospale paru obywateli - nie omieszkali obrzucać Tytusa spojrzzeniami, które były co najmniej podejrzliwe - ale miejscowość wyglądała raczej na opustoszałą.

- Kiedyś było nas tutaj dużo więcej - powiedział Strąg, gdy znów przecinali rynek. - Ale powoli wymieramy. Większość z nas jest stara. Ja, wedle ludzkiej miary, mam około stu dwudziestu lat. Odgrodzeni od lasu chorujemy.

- Nie możecie wychodzić do lasu? - zapytał Tytus.

- Możemy tylko ja i moja córka. Konserwatorzy Bariery - rzucił Strąg, gdy ruszyli na drugą stronę placu. Przeszli przez bramę jednej z kamienic. Znaleźli się na starym podwórku, przypominającym te na Pradze Północ, gdzie Tytus jeździł kiedyś na basen. Ale tutaj brakowało zdeptanych niedopałków po papierosach, kibicowskich haseł na murach i potłuczonych butelek. W głębi podwórza, otoczone kartonami, szmatami i skorupami glinianych naczyń, widniały drzwi z drewnianym szyldem, na którym bardzo dawno temu ktoś namalował zupełnie już wyblakły obrazek. Przedstawiał on igłę i nitkę.

- A nie możecie się... - Tytus długo szukał odpowiedniego słowa - rozmnażać? Poza tym ty przecież masz córkę.

Strąg uśmiechnął się chyba po raz pierwszy, odkąd chłopak go poznał, po czym mocno uderzył pięścią w drewniane drzwi.

- To nie takie proste. - Odwrócił się do Tytusa. - Niektórzy z nas, jakby to powiedzieć... po prostu do siebie nie pasują. Nie jesteśmy jak wy, ludzie, nie jesteśmy do końca żywymi istotami, zwierzętami. Nie zostaliśmy stworzeni jak wy, z kobiety i mężczyzny, jesteśmy raczej... stworzeni z mocy. Z tej samej, z której utkana jest Bariera. Tylko ci z nas, którzy byli kiedyś ludźmi, tak jak ja, mogą się... rozmnażać. I to tylko z innym człowiekiem. Reszta wymiera, tak jak wymierają opowieści, których się już nie opowiada, języki, którymi nikt już nie mówi.

- Czyli twoja córka jest dzieckiem ludzkiej kobiety? - zapytał Tytus, patrząc na niego uważnie. - Jesteś niezły. Zresztą wyglądasz na takiego, co ma duże powodzenie u dziewczyn.

Tytus nie wiedział, czemu to powiedział, więc po chwili dodał:

- Wiesz, jesteś wysoki, masz długie włosy i taki niby niechlujny wygląd. Starsze dziewczyny z mojej szkoły, te najładniejsze z liceum, lubią takich jak ty. Tylko że tamci są studentami.

- Przestań mnie dręczyć głupotami. I tak nie rozumiem połowy tego, co do mnie mówisz. - Strąg westchnął i z braku odpowiedzi na walenie w drzwi pchnął je z całej siły. Weszli do środka.

W pomieszczeniu cuchnęło stęchlizną. Przy ścianach, od podłogi do sufitu, piętrzyły się bele nadgniętego materiału, na środku stała prastara maszyna do szycia, jaką Tytus widział kiedyś na zdjęciach.

- Dratewka jest już strasznie stary, głupi i głuchy - powiedział Strąg - ale ma jeden z niewielu przedmiotów w Zmorojewie stworzonych przez Twardowskiego.

- Dratewka? - zapytał Tytus. W głowie świtała mu jakaś stara bajka, bodajże o smoku i o Krakowie, ale jego rozmyślenia przerwał donośny hałas, wydany przez rozsypaną nagle na ziemię stertę przedmiotów: garnków, wiader i narzędzi. Zza niewielkich, prowadzących zapewne na zaplecze zakładu drzwi wynurzył się malutki, pomarszczony jak uwędzone jabłko staruszek, ubrany w o wiele za duży skórzany fartuch. Nie zwracając na nich uwagi, podszedł do maszyny i zamasyście ją kopnął.

- Ta nowa technologia! - warknął ze wściekłością. - Ta cała nowa, przeklęta technologia!

- Dratewko! - wrzasnął Strąg do staruszka, ale ten kontynuował narzekanie i kopanie

maszyny, wzbudzając w Tytusie strach, że niedługo złamie sobie palec.

- Czy to ten Dratewka, który kiedyś pokonał smoka, dając mu owcę z zaszytą w środku siarką? - zapytał Tytus, patrząc na miotającego się starca.

Strąk wzruszył ramionami.

- Gdy jeszcze potrafił skupić się na tym, co mówi, dłużej niż przez parę minut, opowiadał o tym ze świętym przekonaniem. Ale według niego to nie była siarka, tylko ususzony krowi gnój wymieszany z popiołem i wilczymi jagodami. - Strąk chrząknął. - Zresztą to wszystko wierutne bzdury. Smoki istnieją tylko w bajkach.

Staruszek nadal nie zwracał uwagi na Strąka, więc ten podszedł do niego i huknął mu wprost do ucha:

- Jestem tutaj i potrzebuję twojej Dratwy!

- Dratwa... tak, Dratwa... - Dziadek na chwilę zapatrzył się w dal, a jego zagniewane oczy na chwilę przybrały zamglony, smutny wyraz. Po chwili jednak wpadł w dawną furię, tym razem skierowaną na Strąka. - Cały czas zabierasz mi Dratwę! Cały czas, bez przerwy! I czym mam szyc rzeczy? Ta nowa technologia! - sapnął wściekły, wskazując drżącym palcem na zdezelowaną, co najmniej stuletnią maszynę. - Ta cała przekłeta nowa technologia, nigdy jej nie opanuję. Zresztą... zresztą... a kim ty w ogóle jesteś, hultaju, i czemu nieproszony wpadasz do mojego zakładu? Chcesz sukno dla króla? Sukno? Tak? To lepiej dawaj worek talarów! Worek talarów!

Dratewka zaczął ze złością tupać i powtarzał w kółko ostatnią frazę, jakby było to zaklęcie mające nagle zamienić go w kogoś młodego i szczęśliwego.

- Dratwa. Dawaj ją - powiedział Strąk.

- Worek talarów - nadal powtarzał Dratewka.

Strąk rozejrzał się zrezygnowany po pokoju. Nagle jego wzrok trafił na pusty jutowy worek na jednej ze stert śmieci pod ścianą.

- Podaj mi to - rzucił do Tytusa. Tytus spełnił polecenie, a Strąk, trzymając worek w rękę, szybko przeszukał kieszenie i wyjął z nich (Tytus zaczynał zauważać, że było fizycznie niemożliwe, aby mieściło się w nich aż tyle drobiazgów) garść kamieni, patyków i innego leśnego śmiecia. Wsypał je do worka, podał staruszkowi i nieznoszącym sprzeciwu gestem wyciągnął dłoń.

- Zabierają i zabierają... Nie wiem, czy sukno będzie na jutro - wymamrotał staruszek, po czym krzyknął donośnie: - Król nie umrze od tego! Nie umrze!

Zniknął na chwilę na zapleczu, po czym wrócił, dzierżąc w dłoni wielką, błyszczącą w ciemności igłę oraz szpulę białej nici, również emanującą dziwnym gwieździstym blaskiem. Dopiero w świetle tej bladej poświaty Tytus zauważył, ile w zakładzie Dratewki tak naprawdę unosi się kurzu.

Strąk kiwnął głową i klepnął staruszka w ramię; ten zupełnie już zamknął się w sobie, mamrocząc pod nosem niesłyszalne zbitki przekleństw i żali, skierowane nie wiadomo przeciwko komu i w jakiej sprawie. Tytusowi przez chwilę zrobiło się szkoda starca; może kiedyś, nawet jeśli nie zabił smoka, przydarzył mu się jakiś bohaterski czyn. Teraz jednak zupełnie nikt już nie traktował go poważnie. Strąk szarpnął energicznie Tytusa za ramię i zaciągnął do jednej z piętrzących się do sufitu stert przegniłego materiału. Stał z boku, zapał się i z całych sił popchnął ją od lewej strony. Szmaty pospadały na ziemię, wzbijając w powietrze gryzące tumany kurzu. Staruszek nie zwrócił na to najmniejszej uwagi.

Za belami była brązowa od brudu ceglana ściana. Strąk najpierw lekko w nią kopnął, a następnie zaczął wpychać poszczególne cegły do środka, tak jakby nie wiązało ich ze sobą żadne spoiwo. Gdy wypchnął ich kilkanaście, ponownie kopnął w mur i oczom Tytusa ukazały się idealnie równe kwadratowe drzwi, przez które wpadła szeroka smuga białego światła. Tumany

kurzu wirowały jak szalone w powietrzu. Strąk przeszedł na drugą stronę, nawet nie patrząc na chłopaka, więc ten bez wahania podążył za nim.

Znaleźli się we mgle, gęstej, białej mgle. Tytus zdążył jedynie stwierdzić, że stoją na leśnym poszyciu. Gdy się odwrócił, zobaczył nieskazitelnie gładki mur, bez śladów wyważonych cegieł. Strąk rozgonił rękami mgłę i dał Tytusowi znak, aby szedł za nim.

„To byłaby dobra okazja, aby stąd uciec” - pomyślał chłopak.

Otaczała ich gęsta, biała mgła, w której nawet Strąk nie umiał do końca się poruszać. Tytus pędziłby na oślep przed siebie, aż w końcu znalazłby jakieś wyjście. Drogi, przez którą się tu dostał, nie brał pod uwagę. Nie chodziło nawet o prowadzący z jego celi do ulicy nieskończony labirynt. Tytus był pewien, że drzwi, z których po raz pierwszy wyszedł na teren Zmorojewa, zniknęły już na zawsze.

Jednak mgła rozrzedziła się, zanim Tytus zdołał poczynić jakiegokolwiek kroki mające na celu ucieczkę. Stali teraz na porośniętym trawą rozległym polu, gdzieniegdzie poprzątanym zagajnikami i pojedynczymi krzakami. Tytus spojrzął za siebie i zobaczył w oddali zabudowania Zmorojewa, zarysy dworca, ratusza, drzewa i zamku, oraz wijącą się przed nimi małą rzekę z zarośniętymi brzegami. Niebo barwił ten sam różowoblady świt. Znowu obserwował mgłę, tym razem jednak nie w postaci otaczających ich oparów, lecz jednolitej białej ściany, ściągniętej z nieba i wbitej w ziemię. Prawie jednolitej. Naprzeciwko nich materię mgły rozrywała ukośna, wysoka na kilka metrów czarna szrama.

- Dziura w Barierze. - Strąk wytarł nos. - Podobnych jest coraz więcej. Jak pajęczyn w starym domu.

- Przyprowadziłeś go? - Tytus usłyszał obok siebie kobiecy głos. - To dawaj mu Dratwę i nie marnujmy już czasu.

Obok niego stała Iskra, córka Strąka. Z rękami opartymi na biodrach taksowała go nieufnym, nieprzyjaznym wzrokiem. Jakby Tytus miał zaraz zdawać jakiś egzamin, a dziewczyna była szczerze przekonana, że obleje.

- Wiem, że dosyć często zadają to pytanie w waszym towarzystwie - zaczął Tytus - ale czy mogę się dowiedzieć, co tak naprawdę tutaj robimy?

- Próbuje się dowiedzieć, czy urojenia tych starców na temat twojego bycia Powiernikiem mają jakiś sens - rzuciła z przekąsem dziewczyna, po czym zwróciła się znów do ojca: - No, daj mu Dratwę. On jej nawet nie utrzyma w rękach.

Strąk odwrócił się do Tytusa i podał mu Igłę i Dratwę. Przedmioty wciąż lśniły od wewnątrz zimnym blaskiem, jakby w ich środku ktoś zainstalował dogasające świetlówki.

- Te przedmioty stworzył Jan Twardowski, człowiek, który nas zgromadził, zorganizował i umieścił tutaj, abyśmy walczyli ze Złem, które on, jako jedyny w historii tego świata, zrozumiał i pokonał - powiedział Strąk trochę innym głosem, z nagłą powagą. - Tylko człowiek, który jest Powiernikiem, który nosi na sobie Znak Zmory, będzie wiedział, jak ich używać i co z nimi zrobić. Będzie to wiedział bez żadnych instrukcji.

- Używasz Igły i Dratwy, aby łącać Barierę. Nietrudno było się tego domyślić - powiedział Tytus, wyciągając dłonie i kładąc je na przedmiotach.

Spodziewał się, że będą zimne, ale emanowały przyjemnym ciepłem, niczym kubek herbaty albo talerz wyjęty z kuchenki mikrofalowej. Strąk odsunął się i zrobił mu miejsce. Tytus spodziewał się również, że przedmioty okażą się ciężkie, jednak były lekkie jak piórko, praktycznie pozbawione wagi. Iskra nie ruszyła się o krok, obserwowała go tylko spod zmrużonych powiek. Tytus podszedł do czarnej szramy, przytrzymał Igłę pod pachą i spróbował odwinąć nić. Nigdy w życiu nie uczył się szycia, co więcej, nigdy nie widział na żywo, aby ktoś to robił. No, może babcia

Maryla, dawno, dawno temu.

„Właśnie, babcia” - pomyślał. Zauważył, jak łatwo w Zmorojewie wspomnienia o bliskich wypadały mu z głowy. Musiał się ich trzymać, pilnować ich, jakby były małymi dziećmi, którymi ktoś kazał mu się opiekować na zatłoczonej ulicy. Poza Anką. O niej pamiętał cały czas.

„Zrobię to, dadzą mi na chwilę spokój, a później ucieknę” - pomyślał.

- Mówiłam, że to bez sensu - powiedziała Iskra, widząc szarpaninę Tytusa.

Ucho od Igły było wielkie, ale nie mógł za żadne skarby w nie trafić. Nic złośliwie się z niego wysuwała. Samą Igłę, wielkości sporego kuchennego noża, z trudem utrzymywał w dłoni.

Strąk obserwował go uważnie, Iskra prychnęła, machnęła ręką i odwróciła się na pięcie.

„Nie zdałem egzaminu - pomyślał Tytus. - Może to i lepiej. Tak, na pewno lepiej. Przeszłam maglować mnie tym gadaniem o Powierniku, przeproszą za pomyłkę i puszcza do domu. Zobaczą dziadków. Zobaczą, co z Anką. Czy jest cała i zdrowa”.

I wtedy, gdy na chwilę zapomniał o Nitce i Igłę, nagle poczuł, jak przedmioty ruszają się w jego dłoniach. Nic sama zsunęła się ze szpulki i zaczęła przeciskać przez ucho, a po chwili także sama zawiązała się w supeł. Tytus nie musiał nic robić oprócz przytrzymywania jej palcem. Po chwili poczuł, jak przedmioty same pchnęły go w kierunku czarnej, przecinającej powierzchnię mgły blizny. Stał, próbując zobaczyć przez wyrwę, co jest po drugiej stronie Bariery, ale nie widział nic poza bezdenną czernią, tak jakby poza ścianą mgły nie było już świata. Gdy jednak podszedł bliżej, zdał sobie sprawę z tego, że ta czerń nie jest po prostu pustką, że jest gęsta i namacalna, że przypomina smołę, przelewający się czarny i tłusty płyn. Przybliżył do niej twarz i poczuł, jak policzki owiewa mu chłodny wiatr, wiatr bardzo mroźnej i suchej nocy. Momentalnie odrzucił głowę do tyłu. Wiedział całym sobą, że i czerń, i wiatr pochodzą z tego samego miejsca, co obecność, jaką wyczuł w chacie Wirdały.

Ręce zaczęły się poruszać bez udziału jego woli. Igła i Dratwa pracowały na jego oczach, wypuszczając z siebie drobiny białej mgły, jakby cerując nimi wyrwę.

Tytus działał i nie działał. Bał się i się nie bał. Myślał i nie myślał.

Czuł zimno i czuł ciepło. Czuł ciepło i coraz mniej zimna.

Wyrwa robiła się mniejsza, coraz mniej czarna. A nad głową Tytusa, który w tej chwili przestał na chwilę myśleć o Ance, pora dnia w Zmorojewie zmieniła się na tę, która wyglądała, jakby ktoś gasił żarówki.

Gdy skończył, a raczej gdy skończyły jego ręce i trzymane w nich narzędzia, wrócił do siebie, do swoich myśli, jak po niespodziewanym policzku w twarz.

Na sekundę Igła i Dratwa stały się nieznośnie ciężkie. Wypuścił je z rąk, a następnie osunął się na kolana, targany nagłym palącym bólem głowy. Ból trwał przez chwilę, tętniła w nim wściekłość. „Już mnie nie wypuszczą - myślał Tytus - nie wypuszczą, nie zobaczą już Anki, dziadka, babci, rodziców, Rademenesa, Pitonia i Grubsona”. Dotknął swojej twarzy i uświadomił sobie, że płacze.

- Mówiłem - dobiegł go głos Strąka. - Mówiłem, że jest Powiernikiem.

- Nie ty to mówiłeś, tylko ciocia - gdzieś z daleka dobiegł go głos Iskry - a zresztą i tak to wszystko szlag trafi.

* * *

Zanim Rudziak pchnął drzwi do piwnicy, odmówił w myślach pacierz. Nie był wierzący, ale każdy, nawet niewierzący, miewa chwile, gdy ukradkiem wykonuje znak krzyża. Dla inspektora nadszedł taki właśnie moment. Rudziak widział w swoim życiu za dużo osieroconych dzieci, owdowiałych kobiet i tych, którzy dzieci stracili, aby wierzyć w Boga. Ale jeśli Bóg jest, i to na tyle

wredny, że dopuszcza do siebie tylko tych, którzy grzecznie klepią zdrowaśki? Rudziak wołał nie ryzykować.

Pierwsze, co zobaczył, to wybite szyby. Potem przewrócony na ziemię regał, który taszczyli pod okno razem z Grójeckim. „Jak takie małe cholerstwo może przewrócić coś tak dużego?” - zastanawiał się.

Wyszedł na zewnątrz, przelękając ślinę. Jak najciszej zamknął za sobą drzwi. „To coś jest tutaj, w dodatku nie samo. Jest pomnożone” - pomyślał, nie mając pojęcia, skąd ten wyraz pojawił się w jego głowie.

- Głodny, głodny wyszedł - usłyszał jakieś kilka metrów od siebie.

- Wyszedł, siostró - usłyszał gdzieś dalej.

„Nie patrz w oczy - powtarzał sobie. - Nie patrz”.

Wychylił głowę za róg i ocenił, że od schodów prowadzących na górę dzieli go jakieś dziewięć metrów. Może przebiec, ale wtedy jedno z tych cholerstw złapie go za nogę. Spróbuje przy tym strzelać. „Nie - zaprzeczył sobie w myślach - nie jesteś Bruce'em Willisem. Nigdy nie byłeś. Nazywasz się Jacek Rudziak. Jesteś głupim polskim gliną z zadupia. I pierwszy raz w życiu masz w dłoniach myśliwską strzelbę”.

Wziął jeszcze jeden głęboki oddech. I jeszcze jeden. Usłyszał znowu ten obrzydliwy odgłos siorbania, ale tym razem bardzo niedaleko. Jakby któraś z tych istot stała obok niego, chociaż on jej nie widział. Po kilku następnych oddechach dobiegł do schodów. Stał na pierwszym stopniu i oparł się plecami o ścianę, aby mieć w zasięgu wzroku zarówno salon, jak i schody. Jednak nikogo nie dostrzegł. „Ostatni pokój po prawej - powiedziała stara Grójecka. - Szafa, szuflada w lewym dolnym rogu. Szklane błękitne flakoniki”. Pozna je po tym, że będą lekko świeciły.

Rudziak poczuł znowu łaskotanie w żołądku. Coraz mocniejsze i coraz bardziej irytujące swędzenie, które w krótkim czasie sprawiło, że zaczął marzyć o tym, aby rozerwać sobie brzuch, włożyć do środka dłoń i się podrapać.

Usłyszał kroki. I poczuł, jak swędzenie powoli zamienia się w głód. Coraz silniejszy z sekundy na sekundę. Głód, jakiego Rudziak nie czuł nigdy w życiu. Popatrzył na swoją dłoń. Potem na swoje buty i nogi. „Z kurczaka zawsze najbardziej lubiłem udka - pomyślał. - Moja żona, gdy jeszcze chciało się jej gotować, umiała je całkiem nieźle przyrządzać. Uda są całkiem smaczne. Słodkie”.

- O Boże! - krzyknął, złapał się za brzuch, kucnął i zwymiotował kwaśną jak piekło mieszanką nadtrawionego red bulla i kawy. Odwrócił się, aby pędem ruszyć po schodach.

I wtedy coś wielkości kilkuletniego dziecka, tylko tłustsze i cięższe, spadło mu na głowę, wczepiając się z całej siły w kark. Wrzasnął, uderzając z całej siły pięściami w to żywe i ohydne coś. Zadawane razy nie robiły na istocie najmniejszego wrażenia, pięści Rudziaka ześlizgiwały się po twardej i śliskiej skórze.

- Głodny, pomożemy ci, my, głodne siostry - istota wycharczała mu do ucha.

Rudziak upadł na kolana, ściskając mocno w rękach strzelbę. Czuł, jak jego żołądek zamienia się w nieskończoną studnię, w szyb. Popatrzył na swoje ręce. Ma silne, żyłaste przedramiona, co prawda będą jak skapciała stara wołowina, ale przynajmniej się naje, przynajmniej będzie coś żuł.

- Mam na imię Ropa - powiedziała istota. - A moje siostry to Gangrena i Martwica. My ci pomożemy. Pomożemy ci. Pokażesz nam teraz, gdzie są ludzie Strażnicy, a potem ci pomożemy.

Zdanie: „Tych dwoje staruchów jest w piwnicy, a teraz pozwól mi jeść” wypełniało mu jamę ustną, parzyło go w język, ale przytrzymywał je zębami z całych sił. Zęby. Zęby również go swędziały. Otworzył usta i wziął oddech. Popatrzył znowu na swoją dłoń, wciąż zaciśniętą na lufie

strzelby. Spod głodu, spod swędzenia całego ciała, wypłynęła na chwilę jedna myśl.

„To nie może się tak skończyć - uświadomił sobie, powoli podnosząc się z kłęczek i trzymając się strzelby, jakby była barierką balkonu w płonącym mieszkaniu na dziesiątym piętrze. - Człowiek nie może mieć całe życie tak pieprzonego pecha jak ja”.

Chwycił broń, odwrócił ją lufą do siebie i wycelował we własne usta. „Nie skończę jak ten leśniczy - obiecał sobie. - Nie skończę, zżerając sam siebie jak szalone zwierzę”.

- Już zaraz będziesz najedzony - powiedziała istota - już niedługo, powiedz tylko, gdzie są ludzcy Strażnicy.

Z całych sił, jakby ważyła kilkaset kilogramów, podniósł strzelbę do góry jeszcze o kilkanaście centymetrów.

- A pocałuj mnie w dupę! - wydusił, a każde słowo przeciskało mu się przez gardło jak kamień. I strzelił.

Huk wypełnił całe pomieszczenie, istota odleciała do tyłu, uderzając z płaskim o podłogę, a Rudziak wylądował nagle na kolanach. Nie wypuścił strzelby i nie odwrócił się, aby sprawdzić, na ile wybuch zaszkodził stworowi. W amoku zerwał się i popędził w górę po schodach.

- Jaki głodny! - usłyszał z dołu. - Jaki głodny. Nie wie, co robi, jak to ludzie, nie wie nawet, co robi.

Wyglądało na to, że istota żyła i miała się dobrze, ale przynajmniej go puściła.

Rudziak wbiegł na piętro. Rozejrzał się w lewo, a następnie w prawo - długi, wyłożony czerwoną wykładziną i obity polakierowanym drewnem korytarz był pusty. Inspektor głęboko oddychał. Żołądek pękał mu z bólu, z ust ciekła mu ślina, wyrazy „krew”, „mięso”, „posiłek”, „żreć”, „żuć” dudniły mu o wewnętrzne ściany czaszki niczym metalowe młoty. Wyławiał spośród nich stare myśli. Starał się nie patrzeć na własne ciało. Nie myśleć o nim. Czuł się jak głodzony miesiącami jeniec wojenny, a jego ciało, ręce, brzuch, nogi były najpyszniejszą pieczeńią. Ostatni pokój po prawej. Ostatni pokój po prawej.

Rzucił się biegiem w kierunku pomieszczenia. Aby nie stanąć w miejscu i nie zacząć gryźć własnej ręki, wmawiał sobie, że za drzwiami znajduje się mnóstwo pysznego mięsa, całe stoły uginające się od najbardziej wymyślnych potraw, piramidy z dziczyzny, stosy befszytków.

Musiał patrzeć przed siebie, nie mógł się rozglądać, bo w każdej chwili mógł napotkać ich wzrok, wiedział już, że wtedy będzie po nim. Biegł, a kilkanaście metrów, które dzieliły go od wejścia, wydawały mu się maratonem.

I wtedy otworzyły się przedostatnie drzwi po lewej, kolejne coś, kolejna istota wypadła mu prosto pod nogi. Rudziak runął jak długi na ziemię. Odruchowo zamortyzował upadek rękoma. Zobaczył własne dłonie. „Skóra - pomyślał. - Skóra jest całkiem smaczna”.

Strzelba leżała metr przed nim. Istota stała za nim, słyszał jej chrapliwy oddech, czuł smród przypominający zepsute mleko wymieszane ze środkami do dezynfekcji. Metr przed nim. Jego dłonie były dużo bliżej. Rudziak podniósł się z ziemi, klęknął i otworzył szeroko usta. Przybliżył dłoń do swoich zębów. Jego żołądek łkał, jakby mężczyzna nie jadł nigdy nic w życiu.

„W końcu. Boże, w końcu, w końcu przestanie mnie boleć, nareszcie będę najedzony. Tylko to jest ważne”.

- No już! - Głos istoty przypominał powolne miętoszenie w dłoniach kawałka styropianu. - Teraz wszystko będzie dobrze.

Rudziak dotknął językiem dłoni i poczuł niewyobrażalną, wspaniałą słodycz. Słodycz najdelikatniejszego mięsa. W jego kieszeni zawibrował telefon. Rudziak podskoczył. Jeszcze wiele lat później będzie dziękował opatrności za ten darowany przez los, wywołany przez drżenie aparatu ułamek sekundy, w którym dotarło do niego, że pożeranie samego siebie wcale nie jest

dobrym pomysłem, więc zerwał się na równe nogi, chwycił broń i nie oglądając się, przebiegł kilkoma susami do ostatniego pokoju po prawej, wbiegł do środka, zatrzasnął drzwi i zastawił je łóżkiem.

Istota została po drugiej stronie. W pomieszczeniu stała mahoniowa szafa ze zmatowiałymi i popękkanymi lustrami na drzwiach. „Lewa szuflada na samym dole”. Rudziak, przyciskając do siebie strzelbę niczym nowo narodzone pierworodne dziecko, zaczął wyrzucać za siebie zawartość mebla, aż znalazł lekko lśniące buteleczki o smukłym kształcie, na których korku widniał ten sam symbol co w piwnicy. Wyjął z kieszeni pudełko naboji, zdjął z parapetu gazetę i starannie rozłożył na niej kule. Wylał na nie trochę płynu z jednej z buteleczek, substancja momentalnie zakrzepła i przybrała kolor zaschniętej krwi. Dwa naboje włożył do strzelby, a resztę schował do pudełka. Usłyszał drapanie z drugiej strony drzwi. Ściskając broń tak mocno, jakby chciał zmienić jej kształt ciepłem własnej dłoni, odsunął łóżko od wejścia. Istota cały czas drapała. Rudziak otworzył drzwi.

Gangrena się uśmiechnęła. Rzadko to robiła, ale teraz miała nie byle jaką okazję. Jaki ten człowiek był głodny! Jak długo trzeba było go przekonywać! Ale już po wszystkim. Już wie, że potrzebuje pomocy. Najpierw on, a potem Strażnicy. Gdy już będzie się najadał, powoli, gdy zabije pierwszy głód, gdy już będzie się delectował, powie nam, mnie i moim przywołanym z Ciemności siostram, gdzie oni są, w którym miejscu domu. Pewnie pod ziemią. Ale on im powie. Powie im wszystko. Powie im to z wdzięczności. Człowiek był biały, z jego twarzy leciały krople słonej wody, patrzył na Gangrenę, a wszystko w nim mówiło: „Nakarm mnie”.

- Jestem dobra - odezwała się Gangrena - i moje siostry też są dobre. Zaufaj nam.

- Spierdalaj do diabła, od któregoś przyszła! - warknął Rudziak, wciąż myśląc o jedzeniu mięsa, i wystrzelił.

Wrzask, który wydała Gangrena, przypominał chór stu przejeżdżających po szkle zardzewiałych noży i brzmiał długo, długo po tym, jak jej ciało rozerwało się w tłuste i blade strzępy.

- To działa! - Rudziak westchnął tak, jakby miał zaraz umrzeć.

Oparł się o framugę. Głód na chwilę osłabł. Oddychał coraz spokojniej. Leżące przed nim ochłapy ciała istoty schły, szarzały, resztki łba kreatury zamieniały się w czarny pył, wyżerający z sykiem dziury w obitych drewnem ścianach. Rudziak z odrazą splunął, dał krok przez zwłoki i naładował strzelbę kolejnymi nabojami.

Gdzieś z dołu dobiegł go przeraźliwy, wysoki skrzek, przebijający bębni niczym wiertło.

- Zdenerwowałyście się, cholery! - ucieszył się Rudziak.

Brzuch znowu rozboleł go tak bardzo, że musiał przystanąć. „Te ohydztwa włączają swoje klątwy na pełną parę” - pomyślał.

Powoli zszedł po schodach. Miał wrażenie, że zaraz z tego wysiłku powstrzymywania się przed pożeraniem dostanie zawału serca, którego i tak był bliski przez wypitych siedem kaw i wypalonych kilkadziesiąt papierosów dziennie. „Ale przynajmniej pożegnam się z honorem - mówił do siebie w myślach. - Przynajmniej to stanie się na służbie, nie przed telewizorem, w poplamionym podkoszulku, podczas oglądania Polsatu, pomiędzy łykiem herbaty a kęsem kanapki z kielbasą”.

Pozostałe dwie stały na dole. Patrzyły na niego. Musiał klęknąć. Były jak tamta, którą zabił na górze, ale większe, tłustsze, jakby starsze. Czekały z podobnymi do czarnych jam, wyszczerzonymi gębami i powoli człapały w jego kierunku.

Już nie miał siły. W końcu był tylko człowiekiem, a każdy człowiek ma jakiś limit wytrzymałości. Wycelował strzelbę drżącymi rękami. Poczul, że bezwiednie wbija zęby w język, że jego usta powoli zaczynają wypełniać się krwią.

„Jest pyszna - pomyślał. - Boże, jaka dobra”.

Rudziak nigdy nie sądził, że jest zdolny do wielkich czynów. Może to ze względu na żonę, która przy każdym oglądanym razem filmie powtarzała mu: „Ty to byś na pewno tego nie zrobił”. Nieważne, czy oglądali film o facecie, który zwiewa z łagru i idzie na piechotę przez całą Syberię, czy *Szklaną pulapkę*, czy program dokumentalny o człowieku, który zbudował pomnik papieża z kapsli po coli.

„Ty byś na pewno tego nie zrobił” - mówiła żona Rudziaka. Za każdym razem. „Ty byś tego nie wytrzymał, tobie by się to nie udało”. A potem, idiotka, zwała do cholernego bieliźniarza, który nie umiał zmienić koła w samochodzie.

Krew była pyszna. Ropa i Martwica podchodziły coraz bliżej.

„Ty byś tego nie wytrzymał” - powiedziała w jego głowie żona i Rudziak nic już więcej nie myślał. Tylko strzelił.

Resztkami sił.

Raz. Przeładował. Drugi. Przeładował. Trzeci. Przeładował. Czwarty.

I wtedy wszystko stało się czarne i niczego już nie było, ani żony Rudziaka, ani jego wspomnień, pracy, ani jego samego.

Ocuciło go zimno, worek lodu przyłożony mu do czoła. Gdy z trudem otworzył oko, pierwsze, co zobaczył, to twarz starej Grójeckiej.

- Dobrze, że nie odgryzł sobie pan języka - powiedziała. - Niewiele brakowało.

Wstał i się rozejrzał. Leżał na kanapie w salonie, regał dalej był przewrócony, szyby wybite, a w miejscu, w którym stracił przytomność, widać było masę powypalanych dziur. Grójecki stał przy oknie.

- Zużyłeś cały eliksir? - zapytał. - Bo oni tutaj wrócą. To dopiero początek. Teraz są wściekli. Bardzo wściekli.

Rudziak przyłożył worek z lodem do karku. Wszystko bolało go jak diabli. Był głodny, ale głodny w zupełnie inny sposób - nie miał już ochoty na samego siebie, ale raczej na porządny trzydaniowy obiad. Czuł się tak, jakby nie jadł od dwóch tygodni. Popatrzył na swoją dłoń i wydała mu się jakaś dziwna.

- Schudł pan jakieś piętnaście kilo - poinformowała go pani Grójecka. - Tak na oko. Zrobiłam zupę.

Grójecki podszedł i podał mu rękę.

- Dziękujemy, inspektorze. Nie dalibyśmy rady - powiedział - gdyby nie pan.

- Cała przyjemność po mojej cholernej stronie. - Odchrząknął. - Ale czy możecie mi teraz wytłumaczyć spokojnie i po kolei, co to, do cholery, było?

* * *

Nowy pokój Tytusa był mniej przytłaczający niż jego poprzednia cela, ale tylko odrobinę. Mały i wysoki, nie miał okien. Większą jego część zajmowało wielkie, stare łóżko z bardzo miękkim materacem, na który dodatkowo położono, nie wiedzieć czemu, całą stertę kołder. Na ścianie wisiała stara rycina, którą Tytus, po części z nudów, studiował przez dobre pół godziny. Przedstawiała panoramę rynku Zmorojewa, niewiele różniącą się od obecnej. Nad rysunkiem napisano gotyckimi literami „TAUBENBERG”, a pod spodem widniał nieczytelny dla Tytusa tekst w języku niemieckim.

Pokój mieścił się w ratuszu miasta. Tytusa tym razem nie zamknięto od zewnątrz, co więcej, wolno mu było wychodzić, ale nie widział w tym większego sensu. Mógłby co prawda spróbować ucieczki, ale po pierwsze, Bariera stanowiła przeszkodę nie do przeniknięcia, po drugie, nie miał

zielonego pojęcia, jak trafić do niej samemu. Był pewien, że zabudowania miasta są w pewien sposób zaprogramowane, aby uniemożliwić mu wydostanie się. Nawet gdyby znał trasę na obrzeża Zmorojewa, ulice same przestawiałyby się i płątały, przed jego oczyma wyrastałyby ślepe uliczki i skończyłyby, łażąc w kółko.

Myślał o tym bez przerwy. Nie mógł spać. Musiał się stąd wydostać, nawet jeśli trafienie w to miejsce i odkrycie, że naprawdę istnieje tajemna, magiczna strona rzeczywistości, było spełnieniem najskrytszych marzeń, które rosły w nim prawdopodobnie już od momentu, gdy jako trzyletnie dziecko zobaczył w telewizji *Niekończącą się opowieść*. Tytus musiał wrócić do realnego świata, ale wiedział, że po dzisiejszym dniu nie stanie się to prędko.

Był Powiernikiem, cokolwiek to znaczyło. Problem tkwił w tym, że nie miał na to najmniejszej ochoty. I nie chodziło tylko o niebezpieczeństwo grożące jego bliskim. Problem tkwił w tym, że gdy Tytus zastanowił się nad wszystkim głębiej, zdał sobie sprawę z tego, że tak naprawdę nigdy nie miał ochoty na bycie kimś specjalnym. Dobrze czuł się ze swoim przeciętniactwem, okularami, chuderlactwem, gramami komputerowymi. Nigdy nie chciał wejść w skórę głównego bohatera, grać najważniejszej roli w spektaklu.

Nie wiedział, która godzina i ile czasu zostało do świtu. W ratuszu panowała zupełna cisza. Tytus wstał, otworzył drzwi i poszedł do łazienki. Wyglądała jak relikw z innej epoki, o którego renowację nikt nie zadbał. W niezbyt przyjemnie pachnącym pomieszczeniu zamiast sedesu widniała ordynarna dziura w ziemi. „Może mieszkańcy Zmorojewa nie muszą korzystać z toalet?” - pomyślał.

Nagle dobiegł go hałas. Hałas i jakieś głosy. Szybko przemierzył korytarz w kierunku, z którego dochodziły. Nadstawił uszu - to były dwie osoby, bardzo żywo dyskutujące, mężczyzna i kobieta. Strąk i jego córka. Najwyraźniej stali na dole, na krużganku ratusza, niedaleko drzewa.

- Przecież ich tam rozszarpia - powiedziała Iskra. - Zeżrą ich.

- Mam odprowadzić ich do domu, do matek? Bądź chociaż odrobinę rozsądna - odparł Strąk, wyraźnie poirytowany.

Serce i mózg Tytusa zaczęły w ułamku sekundy pracować dużo, dużo szybciej. Podbiegł do okna, które wychodziło na plac przed ratuszem. Przystawił twarz do starej, matowej szyby i zaczął usilnie się wpatrywać w schody prowadzące na plac. Po minucie zauważył Strąka i Iskrę idących bardzo powoli z jeszcze dwiema postaciami, które dreptały za nimi w tempie zniedołężniałych starców. Wytężył wzrok jeszcze bardziej, próbując je rozpoznać, co było trudne, bo na placu panowała ciemność rozświetlona tylko dwiema lampami. W końcu się udało.

- Damian i Bartek... - wyszeptał sam do siebie - Idą ich wyprowadzić przez Bariere.

W mig zrozumiał, że drugiej takiej szansy już nie dostanie. Pobiegł do swojego pokoju. „Wystarczy zachować odpowiednią odległość - pomyślał. - Przed Strąkiem miasto nie będzie stawiać pułapek. Muszę zacząć się i poczekać, aż Strąk otworzy Bariere”. Włożył buty, bluzę, wybiegł z pomieszczenia, zawrócił, chwycił plecak Anki i jak szalony zbiegł po schodach, nie myśląc o tym, czy kogoś obudzi.

Iskra, Strąk, Damian i Bartek majaczyli gdzieś na horyzoncie. Tytus szedł za nimi, starając się utrzymać bezpieczną odległość. Wiedział, że zarówno kiedy ich zgubi, jak i gdy podejdzie zbyt blisko, będzie po wszystkim. Przypominał sobie gry komputerowe w rodzaju Splinters Cell, w których główny bohater musiał pozostawać cały czas w cieniu i nie powodować nawet najmniejszego hałasu. Zaśmiał się w duchu, gdy uświadomił sobie, że większość ostatnich zdarzeń przypomina grę komputerową.

Miał ogromną nadzieję, że Iskra i Strąk będą poruszali się normalnymi (o ile to słowo miało tutaj jakieś znaczenie) ulicami i nie będą otwierać żadnych poukrywanych w murach, drzewach lub

czymkolwiek innym drzwi, które zamykając się za nimi, z powrotem zmieniają się w mury, drzewa bądź cokolwiek innego. Na razie nic takiego nie miało jednak miejsca. Iskra i Strąk podążali spokojnie długimi, krętymi uliczkami. Szli bez słów, prowadząc Damiana i Bartka przez ciepłą noc jak dwoje znieczulonych, posłusznych zwierząt.

Serce waliło mu jak szalone; krył się w cieniu, wzorem bohaterów szpiegowskich gier czasami chował się za rogiem, by po chwili nieco żywszym krokiem wyrównać odległość. Jednak ani Strąk, ani Iskra w ogóle się nie odwracali; jakby byli pewni, że nikt nie może ich śledzić.

Tytus zdał sobie sprawę z tego, że jego plan był bardzo chaotyczny i nieprzemysłany. Zakładał, że Iskra i Strąk otworzą Barię na tyle długo, że będzie w stanie do niej dobiec, przeskoczyć przez nią i przeprawić się przez las do Głuszyc. Perspektywa pokonania tej odległości na piechotę i po ciemku odrobinę go przerażała, lecz nagle przypomniał sobie Ankę. Popołudnie, które spędzili razem, pływając kajakiem. Moment na molo, kiedy go pocałowała. Sposób, w jaki się uśmiechała, zaciągała papierosem, tak naprawdę przytrzymując tylko przez chwilę dym w ustach. Moment, w którym kopnęła tego wiejskiego chłopaka w najwrażliwsze miejsce. Nie, dla Anki Tytus mógł biec miesiącami przez wszystkie lasy tego świata.

Powoli wchodzili w rejony Zmorojewa, które były mu zupełnie obce. Charakterystyczne dla rynku kamienice powoli przeistaczały się w rzędy rozsypujących się murowanych chałup z zapadniętymi drewnianymi dachami. Brukowana ulica zamieniła się w błotnistą wiejską drogę. Nogi Tytusa co chwila zapadały się w ziemię. Tymczasem Strąk i Iskra przyśpieszyli - Tytus zaczął tracić ich z oczu. O ile wcześniej na ulice padało delikatne miodowe światło rozmieszczonych co jakiś czas lamp, o tyle w tej części Zmorojewa panowała całkowita ciemność. Tytus musiał kierować się odgłosami kroków gdzieś w oddali, uświadomił sobie jednak, że jeśli on słyszy ich, oni muszą słyszeć jego.

Po chwili zupełnie stracił orientację, gdzie mogą być. Jednak brnął do przodu. Zapadał się w błocie po kostki, co chwila się przewracał, ale brnął. Za każdym razem, gdy w jego umyśle chociaż na chwilę pojawiały się przerażenie bądź wątpliwości, przypominał sobie Ankę.

Gdy za czwartym razem przewrócił się w gęste błoto, uświadomił sobie, że zaprogramowanie Zmorojewa nie musi ograniczać się do wyrastających z nienacka ślepych zaułków i zmieniających się ulic. Zrozumiał, że może już nie posunąć się ani krok dalej. Tytus runął ponownie, a gdy wstał, był cały oblepiony cuchnącą mazią. Z każdym krokiem zapadał się głębiej - w pewnym momencie zorientował się, że brodzi po kolana w czymś, co przypomina bagno.

Uświadomił sobie również, że nigdy wcześniej nie czuł takiej determinacji. Tytus Grójecki zawsze miał problemy z motywacją - może dlatego był słaby w sportach zespołowych, bo nie widział żadnego sensu w utrzymywaniu koncentracji przez dziewięćdziesiąt minut meczu w piłkę nożną albo siatkówkę. Wygrana nie miała dla niego żadnego znaczenia. Przewrócił się jeszcze raz. Błoto zasychało natychmiast - nowe mokre warstwy przykrywały zaschłe wcześniej skorupy szlamu. Tytus tak naprawdę nie był również specjalnie zdeterminowany, aby otrzymywać dobre oceny. Po prostu przychodziło mu to bez większego trudu - dużo czytał, miał dobrą pamięć. Dobre oceny oznaczały święty spokój i nic więcej - chłopak nie myślał o nich w kontekście dobrego liceum, dobrych studiów, przyszłości, pracy.

Ale spotkał Ankę. Po raz pierwszy mu na czymś zależało. Musiał iść dalej, chociaż błoto sięgało już do połowy ud. Do pachwin. Do pasa. Do brzucha. Tytus szedł, coraz bardziej zmęczony, wyziębiony i wściekły, ale wiedział, że musi wygrać ze Zmorojewem. Nie pozwoli się tu trzymać wbrew swojej woli. Chociażby dlatego że sama Anka nigdy by na to nie pozwoliła.

Na dobrą sprawę Tytus był przerażony jak nigdy w życiu, ale szedł dalej.

„Anka może potrzebować mojej pomocy, przecież w realnym świecie mogła minąć zaledwie

sekunda, może ciągle jest gdzieś tam w chacie, a coś paskudnego chce ją zaatakować”.

Tytus nie wiedział, co wtedy robi, ale skoro był tym cholernym Powiernikiem, starał się wierzyć, że uda mu się coś zrobić. Błoto sięgało mu po splot słoneczny. Zdjął plecak i trzymał go nad głową, brnął powoli, centymetr po centymetrze. Plecak należał do Anki, więc Tytus obsesyjnie starał się, aby go nie zabrudzić.

Z każdym krokiem było coraz głębiej. Gdy zdał sobie sprawę z tego, że stoi w grzęzawisku po szyję, zatrzymał się na chwilę. Wziął kilka głębokich wdechów. Rozejrzał się, ale poza przepastną, głęboką czernią nie widział zupełnie nic. „Może błoto mnie pochłonie - przyszło mu na myśl. - Może te pozornie przemile istoty ze Zmorojewa wolą mnie zabić, niż pozwolić mi odejść”.

Może całe to Dobro i Zło to jedna i ta sama strona medalu. Jest tylko jedna Tajemna Strona, czyhająca na ludzi, a on tak naprawdę uczestniczy w jakimś koszmarnym szwindlu.

„W końcu tu też jest czerń - przyszło mu na myśl. - Taka sama jak ta w wyrwie w Barierze. Gęsta i tłusta jak ropa”.

Wziął głęboki oddech, zrobił krok dalej i jeszcze jeden resztkami sił i poczuł, jak czerń wlewa mu się w usta.

Wtedy po jego ciele rozlało się ciepło, jakby ktoś przyłożył mu do czoła kompres, tak jak wtedy, gdy Baba-Jaga dotknęła jego czoła i po raz pierwszy zauważyła, że nosi Znak Zmory. Błoto pochłonęło go całego, a potem poczuł, że się podnosi, jakby wchodził po schodach, coraz wyżej i wyżej.

Tytus stał na trawie. Obejrzał swoje ręce i nogi - nie było na nich ani śladu szlamu. Plecak wisiał spokojnie na jego plecach. Był ranek. Nie sztuczny świt ze Zmorojewa, tylko najprawdziwszy, wściekle błękitny, bezchmurny ranek. Wokół unosiły się opary gęstej, białej mgły. Mgły, którą wziął za dym, gdy po raz pierwszy przyjechał do Kolonii Głuszyce. Poszedł w kierunku rozwidlenia między drzewami i kucnął za jednym z nich. Był z powrotem przy chacie starego Wirdały. Tylko tym razem na polanie dzielącej miejscowość od opuszczonego domu było dużo ludzi. A konkretniej, dużo policji. Funkcjonariusze kręcili się wokół trzech zaparkowanych radiowozów, wokół leżały złogi żółtej taśmy, papieru oraz śmieci.

- Jezus, Anka! - wyszeptał Tytus.

Przywarł mocniej do drzewa i obserwował.

- Skąd oni się tu wzięli? Na Boga, nic z tego nie rozumiem... - Usłyszał głos jednego z policjantów.

- Dzwon z powrotem po Barńca. To chyba tych dwóch, co tu ostatnio zaginęli.

- Gadałeś z nimi, co tutaj robią?

- Nic nie pamiętają. Pytają, o co ta cała draka, i mówią, że przyjechali przedwczoraj porobić zdjęcia tej opuszczonej wioski - odparł pierwszy z policjantów. - Z tym że z tego, co nam wiadomo, tych dwóch zniknęło jakieś dwa tygodnie temu. Matka jednego zgłosiła go jako osobę zaginioną, ale w Warszawie. Dlatego to tyle trwało.

Tytus popatrzył w bok. Na skraju polany stali Damian i Bartek z rękami w kieszeniach, patrząc na to, co dzieje się wokół nich, z minami ślepców, którzy właśnie odzyskali wzrok.

- Dzwon po Barńca - powtórzył policjant - tu się robi coraz większy burdel.

Nagle na polanę wpadł z impetem, z trudem unikając zderzenia z pozostałymi radiowozami, jeszcze jeden policyjny samochód. Wszyscy funkcjonariusze się odwrócili. Z auta wyskoczył facet z błędnym wzrokiem i podbiegł do policjantów. Był błąd jak ściana, za duże ubrania wyraźnie z niego zwisały, w kąciку ust miał zgaszony papieros. Wyglądał, jakby właśnie przeżył najgorszą noc w całym życiu.

- Gdzie jest Barniec?! - wrzasnął, chwytając jednego z policjantów za ramię. - Gdzie?

- Już tu jedzie, Jezus Maria, uspokój się, Rudziak! - powiedział policjant. - Co ty tu w ogóle robisz?

- Barniec, gdzie jest Barniec, pytam się?! - krzyknął raz jeszcze. - Wy nie macie pojęcia, co tu się dzieje! Nie macie zielonego pojęcia! Nie chcecie go mieć! Barniec, dzwońcie do Barńca!

- Zwariował - rzucił ktoś.

Facet na chwilę się skulił, oparł o samochód i zaczął głęboko oddychać.

- Wyślijcie co najmniej dwa samochody do gospodarstwa Grójeckich. Co najmniej dwa. I po jednym na obrzeża miasta. Nie macie pojęcia, co tu się dzieje - wysapał, ocierając usta.

Tytusa zmroziło. Cicho się podniósł, postawił plecak i zrobił krok w kierunku polany. I już miał otworzyć usta, krzyknąć do policjantów „halo!”, gdy nagle poczuł, jak ktoś zaciska mu ręce na szyi i ciągnie go w dół. Przewrócił się na ziemię, próbował się wyszarpnąć, lecz mu się nie udało. Chciał krzyknąć, ale drobna, silna dłoń zatkała mu usta.

- Durniu! - usłyszał. - Jeśli chcesz jeszcze zobaczyć swoją ludzką rodzinę, rób, co mówię.

12. Uciekinier

Po wylądowaniu na Heathrow Janusz Koracz, przepychając się przez stojących mu na drodze bliźnich, szybkim krokiem ruszył w kierunku postoju taksówek. Wsiadł do samochodu i kazał się wieźć na Piccadilly, do mieszkania, które kupił kilka lat temu. Nigdy w nim nie był. Nikt tam nie mieszkał. Nikt oprócz niego i ludzi z agencji nieruchomości nie znał adresu. Na miejscu miał czekać na niego pracownik agencji, zdziwiony faktem, że Koracz chce wejść do apartamentu po raz pierwszy, od chwili gdy pięć lat temu go nabył.

W taksówce skulił się na tylnym siedzeniu, zaciskając rękę na wiszącym na szyi Kwiecie Paproci - musiał na chwilę go puścić, aby dać taksówkarzowi pieniądze. Nic nie mówił. Dłoń zdążyła mu zupełnie zdrętwieć. Obojętnie patrzył na migające za oknem samochodu zabudowania.

Przypominał sobie najważniejszą chwilę w swoim życiu. Od kilku dni nie myślał o niczym innym - wspomnienie wracało, wyraźne niczym oglądany w kinie film, scena po scenie, sekunda po sekundzie, z całym bogactwem zapachów, smaków i uczuć.

Janusz Koracz miał wtedy szesnaście lat, nie nazywał się Janusz Koracz, tylko Michał Waleziak i tak jak teraz mieszkał w Głuszycach. A właściwie niedaleko Głuszcyc, w składającej się z paru domów, studni i odrapanej kapliczki Matki Boskiej wiosce Strumień. Koracz nie miał zielonego pojęcia, czy w wiosce coś się zmieniło, czy jego matka i rodzeństwo nadal tam żyją. Nigdy nie pojechał, aby to sprawdzić. Nie mógł.

Strumień był bardzo biedną wioską, a rodzina Waleziaków stanowiła w niej najbiedniejszą rodzinę. Starego Waleziaka przejechał pociąg, gdy ten po wypiciu flaszki metanolu uznał, że tory kolejowe są trasą pochodu pierwszomajowego w Szczytnie. Pani Waleziak w szkole w Głuszycach uczyła historii, geografii, polskiego i plastyki. Zakwaterowano ich w Strumieniu, ponieważ w Głuszycach zabrakło mieszkania nauczycielskiego. Pani Waleziak jeździła do pracy dziesięć kilometrów z mleczarzem, a wracała, gdy miała szczęście, okazją, znacznie częściej jednak na piechotę.

Michał Waleziak miał czworo młodszego rodzeństwa, brata i trzy siostry. Nie pamiętał ich imion, poza najmniejszą, Zużę, którą kojarzył dlatego, że cały czas musiał ją ratować z opresji. Ta rezolutna, ale i zbyt ciekawska czterolatka uwielbiała wlaźć po mającej co drugi szczebel drabinie na dziurawy dach ich bliźniaka, zaglądać do szamba i studni czy zakradać się do stodoły sąsiadów, prosto w zasięg krowich i końskich kopyt. Musiał mieć ją na oku bez przerwy. Nie pamiętał jednak, aby z tego powodu kiedykolwiek rozgniewał się na siostrę. Pamiętał inne uczucie - ciepło, lekkie drżenie żołądka i serca, które ogarniały go, gdy dziewczynka w nocy wchodziła do łóżka pomiędzy niego a brata, przyciskała się do niego i mówiła:

- Bajkę, Michał, proszę.

Mocno ją wtedy przytulał i opowiadał jej jakąś baśń, improwizując fragmenty, których nie mógł sobie przypomnieć. To były historie o Złotej Kaczce, o Bazyliszku albo o trzech księżniczkach i jabłku. Rzadko docierał do końca - Zuza z reguły wcześniej zasypiała, wyszeptując mu do ucha:

- Cię kocham, Michał, najbaldziej na świecie.

Z tego, co pamiętał, odpowiadał:

- Ja ciebie jeszcze bardziej.

Gdy skończył szkołę, poszedł do zawodówki w Pielisku. Matka płakała - wymarzyła dla syna studia, ale nie dostał się do liceum w Szczytnie.

Ani szkoła, ani dłubanie w samochodowych silnikach specjalnie go nie interesowały. Prawdę mówiąc, nie interesowało go nic. No, może niezupełnie. Odkąd pamiętał, marzył o jednym -

pieniądzach. O tym, by nie jeść na każdy obiad jednego z tysiąca wariantów potraw z ziemniaków. Nie prosić sąsiadów o marchew i pietruszkę na zupeł. Móc pozwolić sobie na mięso częściej niż raz w miesiącu. Wiedział, że gdzieś, zupełnie gdzie indziej, ale raczej na tej samej planecie, są ludzie, którzy mają pieniądze, co więcej - mają ich bardzo dużo. Ludzie, którzy mogą kupić dużo nowych ubrań, gdy tylko znudzą im się stare, których stać na zagraniczne samochody, na wyjazdy nad morze lub w góry, i to bez specjalnego wysiłku.

Jednak on nie marzył o ubraniach, o samochodzie, o wyjazdach czy o domu. Marzył o pieniądzach samych w sobie. O wielkiej wolności i szczęściu, które daje ich posiadanie. Gdy oglądał na jedynym we wsi, znajdującym się w świetlicy, w zamykanej na kłódkę szafie czarno-białym telewizorze amerykańskie filmy, w których czasami pojawiali się obrzydliwie bogaci ludzie - z reguły grubi, łysiejący mężczyźni ubrani w koszule i krawaty - wyobrażał sobie uczucie wywoływane przez patrzenie na własne sterty monet i banknotów. Wiedział, że jest to uczucie ciepła, nasycenia - takie, jakie pojawia się po zjedzeniu dużej pajdy świeżego, wyjętego prosto z pieca chleba. Marzył o spokoju rozlewającym się po mięśniach jak rozgrzany olej, o żarze, jaki wiecznie tli się w człowieku, który ma władzę, kontrolę i nieograniczone możliwości.

- Mechanik to dobry zawód, mam - mówił, kiedy matka szła co miesiąc pożyczyć do sąsiadów na autobusowy bilet miesięczny dla syna i płakała, że skończył w szkole zawodowej. - Można zarobić pieniądze. Pójdę pracować do PGR-u i kupię ci wielkie piękne futro.

Dla Michała futro było synonimem bogactwa. W filmach żony tych bogatych, łysych mężczyzn w koszulach z krawatami zawsze miały futra.

„Kupię mamie futro” - mówił i to była chyba jedyna realna, namacalna rzecz, której posiadanie sobie wyobrażał, snując marzenia o wielkiej fortunie.

Latem pomagał matce w domu, pilnował rodzeństwa, czasami wychodził pograć w piłkę z kumplami, czasami zbierał lipę i pokrzywę, które potem sprzedawał w Herbapolu, aby mieć drobne na mdłe waniliowe lody w cienkim waflu, oranżadę, tanie wina i ewentualnie nowe pepegi do grania w nogę. Jeśli nie grał w piłkę z kolegami, których imion i twarzy też nie pamiętał, wylegiwali się nad jeziorem. Przypominał sobie, że z reguły puszczali kaczki i skakali na główkę do wody, a kiedy po takim skoku jeden z nich nie wypłynął, trzeba było go szukać. Gdy wyciągnęli go na plażę, żył, ale nie mógł się ruszać.

Raz nad jeziorem jeden z chłopaków zapytał:

- Wiecie o tym wariacie, który mieszka w domu z czerwonej cegły w Kolonii, w Głuszcach?

Koracz nie pamiętał twarzy i imienia, ale pamiętał głos, pamiętał ton, jakim ten kolega zadał pytanie, pamiętał podniecenie, z którym chłopak wypowiadał kolejne zdania:

- Wiecie, że on podobno morduje ludzi i małe dzieci? Słyszeliście o tym? Stary Wirdała. Wszyscy we wsi o tym mówią.

Michała wtedy to nie zainteresowało - jego matka czytała książki, kiedyś studiowała i zdołała mu wpoić, że sporo z tego, co opowiadają ludzie we wsi, to bujdy.

- Bzdura - mruknął wtedy i pamiętał, że puścił kaczkę, która odbijając się od tafli wody, zamigotała w słońcu, przypominając przez chwilę wielką złotą monetę.

- Jak to taka bzdura, cwaniaku - powiedział wtedy kolega - to zakradnij się tam o zachodzie słońca i wróć. Jak wrócisz, to dam ci pięćdziesiąt złotych.

Pięćdziesiąt złotych. Pięć razy dziesięć złotych. Pamiętał to jak dziś. Pięćdziesiąt złotych to były zakupy na cały tydzień, to było pięć dni zbierania pokrzywy, popalonych, pokrytych bąblami rąk, skóry złażącej z poparzonego słońcem karku.

- Dobra. - Wzruszył ramionami i puścił jeszcze jedną kaczkę. Nie pamiętał twarzy swoich

kolegów, ale pamiętał, że popatrzeli wtedy na niego jak na wariata.

Wyruszyli we trzech, idąc przez las. Matce powiedział, że wybierają się na ryby nad najbliższe jezioro. W sklepie kupili bochenek chleba, paczkę bylejakich papierosów i tanie wino, które, z tego, co pamiętał, pili wtedy bardzo często. Jakiś czas temu Koracz kazał kupić sobie butelkę tak zwanego jabcoka, aby przypomnieć sobie ten smak. Upił łyk i szybko pobiegł do łazienki zwymiotować. Nie rozumiał, jak mógł raczyć się takim ohydztwem co trzeci, a nawet i co drugi dzień.

Umówili się, że tamci dwaj będą czekać w zaroślach, niedaleko Kolonii, aby sprawdzić z daleka przez zwiniętą skądś wojskową lornetkę, czy na pewno Michał wszedł do domu Wirdały. Umówili się, że jeśli nie przyjdzie po dwóch godzinach, wracają do wioski. Szli powoli, zatrzymując się co chwila, aby poleżeć w trawie, napić się wina i zapalić papierosa, jednego na trzech. Pamiętał, że gdzieś w dwóch trzecich drogi o mało co z jednym z kolegów nie dali sobie po razie. Poszło o to, że albo Michał, albo ten drugi zbyt mocno ślinił końcówki papierosów.

Pamiętał błękitne niebo, zieleń i upajający zapach, którego później już nigdy nie był w stanie poczuć, chociaż wykupił dużą część lasu na terenie swojej ogrodzonej posiadłości w Głuszycach i chodził tam codziennie rano, próbując wywąchać chociaż drobny ślad tamtych woni. Pamiętał, że kumple próbowali go nastraszyć - opowiadali mu o popełnionych przez Wirdałę morderstwach, o tym, że stary podpisał pakt z diabłem, że składa ofiary z ludzi demonom z lasu, że opętany przez Szatana chodzi nocą po bagnach, próbując się zabić, ale nie pozwalają mu na to złe duchy, tylko podtrzymują go przy życiu niczym żywego trupa. Opowiadali mu, że wracając nocą do domu, nieraz słyszeli roznoszący się po lesie wrzask Wirdały. Michał wzruszał ramionami, bo wcale im nie wierzył. Mieszkał w okolicy Głuszyc tak samo jak oni i wiedział, że jedyne wrzaski, jakie rozlegają się po nocach, to wykrzykiwane do Boga lub małżonki, obficie podlane bimbrem i siarą pretensje. Idąc do Kolonii, był przekonany o zupełnej normalności i niegroźności Wirdały jako człowieka. Wiedział, że stary jest po prostu dziwakiem, który nie lubi ludzi i nie za bardzo ceni sobie rozmowę z nimi. Nawet trochę go rozumiał.

Tak naprawdę tamtego dnia Koracz, wtedy jeszcze Waleziak, myślał głównie o swoich pięćdziesięciu złotych. „Jeśli mnie oszukają - powtarzał w myślach - każdemu z nich spuszcze taki łomot, że ich rodzone matki w domach nie poznają”.

Gdy doszli do Kolonii, zmierzchało. Pamiętał lęk, coraz bardziej widoczny na przystrojonych w maski cwaniactwa twarzach kumpli. „Może i rzeczywiście w to wierzą” - pomyślał, gdy stojąc na obrzeżu Kolonii, palili ostatniego wspólnego papierosa i dzielili się ostatnimi łykami wina. Dla Michała były to tylko zbędne rytuały. Interesowało go pięćdziesiąt złotych. Szeleszczące i miękkie. Ciemnozielone, z uśmiechniętą twarzą zakapturzonego rybaka i ryciną z tyłu przedstawiającą piękny widok na port i zakotwiczone statki pod nieznaną banderą. Obrazek, który już do końca życia miał się Waleziakowi kojarzyć z wolnością. Wolnością, której miał nigdy nie zaznać.

Oni zostali w krzakach, a Michał, pogwizdując i spluwając, ruszył przed siebie. Śpiewał, aby dodać sobie otuchy, lecz po chwili zrozumiał, że wcale jej nie potrzebuje. Szedł przez polanę powoli, nie z ostrożności - po prostu nigdzie mu się nie śpieszyło. Nad Kolonią zapadał zmrok, w oknach zapalały się światła, gdzieś z oddali słychać było szczekanie psa i ciche podmuchy wiatru, rzeczywiście mogące zabrzmieć dla kogoś ze zbyt dużą wyobraźnią jak wycia potępionych dusz. „Ciekawe, czy już zwiali do domu, cykory” - zastanawiał się Michał, po raz ostatni oglądając się na zagajnik.

W oknie starego Wirdały paliło się bardzo słabe i ciepłe światło świecy. „Tak musi wyglądać dusza mojej siostry, właśnie jak to światło” - przemknęło mu przez głowę. Po chwili

zdziwił się, skąd u niego taka myśl. Stał na chwilę przed wyglądającym jak ruina domem. Wykradzione, byle jak przybite do dachu płyty papy próbowały zakrywać dziury, wokół drzwi walały się wszelkiego rodzaju śmieci. Obok chałupy stała podniszczona buda z przyczepionym do niej łańcuchem, na końcu którego nie było widać jednak ani śladu psa. „On jest jeszcze biedniejszy niż my - pomyślał. - Nie ma zupełnie nic”.

Zapukał do drzwi. Usłyszał zza nich jakiś hałas, ale nikt nie pofatygował się, aby mu otworzyć, więc zapukał jeszcze raz i jeszcze.

Z daleka przeciągłe i długo zawył pies, wznosząc do księżycy nieprzetłumaczalną prośbę.

„Teraz to na pewno ich tam nie ma, w tych krzakach, zwiewali przez las jak naszprycowane króliki” - już był tego pewien.

W końcu drzwi się otwały. Wirdała, którego Michał widział pierwszy raz w życiu, wyglądał zupełnie inaczej, niż się spodziewał. Jego ubranie wydało mu się czyste, nawet odświętne, a wręcz, powiedziałby, miejskie - męczyzna miał na sobie wyprasowaną płócienną koszulę i spodnie od garnituru. Był ogolony, siwe włosy miał zaczesane do tyłu, a na nogach wypastowane buty. Jego ubiór i schludny wygląd w ogóle nie współgrały z opłakanym stanem jego domu. Waleziak pamiętał jeszcze oczy Wirdały. Świdrujące, głębokie, hipnotyzujące jak bezdenne studnie, w niczym nie przypominały oczu większości mężczyzn ze wsi - pustych, zaszklonych alkoholem, nieobecnych.

Stali tak przez dłuższą chwilę w milczeniu. Pierwszy odezwał się Wirdała.

- Czego? - zapytał.

- Ja... - Michał nie wiedział, co powiedzieć.

- Zjeżdżaj stąd, bo zaraz cię zabiję i zrobię z ciebie kielbasę i bigos! Wiesz, że jestem do tego zdolny! - syknął starzec, marszcząc brwi i wyginając usta w groźnym grymasie.

Pozornie groźnym, bo tak naprawdę przypominał mu stare, przedwojenne filmy oglądane na telewizorze w świetlicy, w których aktorzy nie umieli jeszcze szczególnie dobrze grać.

- Słyszałem te historie - powiedział spokojnie - ale nie daję wiary, że pan kiedykolwiek kogoś zabił.

Wirdała nie zmienił wyrazu twarzy, ale jego wzrok nie był już nienawistny - Michał dostrzegł w nim zaskoczenie i ciekawość.

- Przyszedłem sprawdzić, jak pan się czuje - dodał. - I co u pana słyhać.

Na te słowa Wirdała osłupiał i zastygł na kilka sekund z otwartymi ustami. Przez dłuższą chwilę stali, nic do siebie nie mówiąc.

- Właż do środka, zrobię ci herbaty - powiedział.

Posłuchał, uśmiechając się pod nosem. „Dobre pieniądze nie wymagają wysiłku” - pomyślał, widząc przed oczyma zarówno pięćdziesiąt złotych, jak i wciśniętych w krawaty i koszule bogaczy.

Wnętrze domu Wirdały było jeszcze większym zaskoczeniem niż jego ubranie. W środku było czysto i schludnie, w sieni stały równo buty, a z kuchni na korytarz wylewało się ciepłe miodowe światło świecy. W przeciwieństwie do mieszkań we wsi, podłoga nie była ubłocona i uwalona psim bądź kocim moczem, pieca do gotowania nie pokrywała sadza, a na odrapanych szafkach nie piętrzyły się obtłuczone flaszki po wódce, denaturacie i tanich winach. U Wirdały za to piętrzyło się co innego - książki. Zajmowały każdą wolną przestrzeń; te, które nie mieściły się na półkach, leżały na podłodze w równych stosach.

„On udaje - ta myśl rozbłysła nagle w mózgu Michała, jakby ktoś w jego głowie zapalił latarkę. - Sam rozpuszcza wszystkie te plotki i baśnie na swój temat, utrzymuje wygląd swojego domu w opłakanym stanie, aby ludzie dali mu święty spokój. Ale dlaczego, po co to robi?”.

Wszyscy ludzie ze Strumienia i Głuszyc, którzy widzieli Wirdałę, opowiadali, że był ubrany w stare, robocze, poplamione od krwi spodnie na szelkach i dzierzył w dłoni zardzewiałe widły. Te spodnie wisiały na wieszaku w sieni, a o ścianę stały oparte dokładnie te widły. Kostium jak przebranie Zorro, kolejnego oglądanego w świetlicy filmu.

Michałowi przypomniła się również jedna z książek z lokalnej biblioteki, którą próbował przeczytać, ale w połowie stracił do niej cierpliwość. Opowieść o duchu, który nawiedzał zamieszkaną przez ludzi zamek. Tak naprawdę upiór był przebrany człowiekiem, odstrasającym od schowanego w piwnicy skarbu. Koracz pamiętał, że wtedy w jego głowie, z reguły odrzucającej wszelkie niestworzone plotki i zagadki, rozbłysła myśl, wyraźna i jasna jak ogień - stary Wirdała również to robi, bo pilnuje jakiegoś skarbu.

- Skądżeś tu przylazł? - zapytał Wirdała, otworzył kratkę od pieca i szurając w środku pogrzebaczem, rozpalil żar.

- Ze Strumienia - odparł, rozglądając się po niskiej kuchni.

Nie było w niej również rzeczy tak charakterystycznych dla każdego domu we wsi - portretów Jezusa lub Matki Boskiej, oprawionych w ramy monideł, wyszywanych, zawieszonych na ścianie kilimów z obrazkami i napisami w rodzaju: „Czym chata bogata, tym rada”. Na ścianie wisiało tylko lustro - ciężkie, stare, ze złoconą, ozdobną ramą. Nie można było się w nim przejrzeć - jego tafla była zaklejona kawałem czarnej krepy.

- Przylazłeś tu aż ze Strumienia, aby zapytać, jak się czuję? - Wirdała odwrócił się i popatrzył na niego jak na ostatniego durnia.

Wzruszył ramionami.

- Ludzie różne rzeczy o panu gadają - powiedział, siadając przy stole - a ja nigdy w to nie wierzyłem.

Wodził wzrokiem po pomieszczeniu, szukając jakiegoś punktu zaczepienia do rozmowy. Wirdała stał przy piecu i zalewał wrzątkiem herbatę w kubkach. Poza oklejonym lustrem w kuchni było jeszcze kilka innych dziwnych przedmiotów - parę pochodzących z odległych krajów figurek, monety z napisami wykonanymi nieczytelnym alfabetem, pokryty złoconymi zdobieniami, przypominającymi splecione węże, wygięty nóż. Czy to były te skarby, których pilnował Wirdała?

Mężczyzna odwrócił się i postawił na stole dwa parujące kubki z herbatą. Michał podziękował, kiwając głową.

- Nie wiem, czemu cię wpuściłem - powiedział w końcu, siadając naprzeciwko niego. - Może dlatego że zapukałeś. Raz na jakiś czas przychodzą tu różne chłystki w twoim wieku, rzucają kamieniami w okna. Uciekają, zanim zdążę wyjść. Gnoje.

- Nie jestem łobuzem. - Pokręcił głową.

W tym domu było coś dziwnego, coś, czego nie odczuł nigdy do tej pory. Nie chodziło o brak prądu, z którego dopiero teraz zdał sobie sprawę - w chałupie Wirdały nie było żadnych żarówek, żadnego podłączonego do sieci urządzenia. Chodziło o coś innego, o napięcie, dziwne nasycenie powietrza, coś, na co Michał w ogóle nie umiał znaleźć słów. Przypomniał mu się inny, oglądany w wiejskiej świetlicy film o kilku typkach, którzy próbowali przesznułować przez dżunglę ciężarówkę wypełnioną nitrogliceryną. Tak, to chyba było dobre porównanie. W domu Wirdały, przy jego stole czuł się, jakby siedział na beczce nitrogliceryny schowanej pod podłogą, w piwnicy. Zakręciło mu się w głowie.

- Wiem, czemu cię wpuściłem - powiedział Wirdała. - Wpuściłem cię, bo dzisiaj jest święto. A człowiek, nawet taki jak ja, który oddalił się od ludzi bardzo dawno temu, nie lubi świętować samotnie.

Wskazał palcem swoje ubranie.

- To nie jest mój codzienny strój - poinformował gościa. - Gdybym chodził do kościoła, to pewnie w tym ubraniu.

- Pana codzienny strój wisi w sieni. - Pokazał palcem drzwi do przedpokoju. - Ten specjalnie poplamiony krwią, w którym idzie pan czasami do wioski straszyć ludzi, aby nie szwendali się tutaj i dali panu spokój. - Wirdała popatrzył na niego badawczo. Nie odpowiedział ani słowem. - Jakie to święto? - zapytał Michał. Nie miał zegarka, ale wydawało mu się, że spędził w tym domu już dobre pół godziny. Niedługo w jego posiadaniu znajdzie się banknot, szeleszczący, miękki i zielony najpiękniejszą z zieleni.

- Urodziny mojej żony. - Wirdała podszedł do ściany, na której, obok lustra, wisiał nagrobny portrecik.

- To ona? - zapytał Michał.

Wirdała pokręcił głową.

- Ludzie gadają też, że pan porwał dzieciaka ze wsi i go zjadł, że ludzkie mięso pan trzyma w piwnicy, że z diabłami gada. A pan na urodziny żony, chociaż ta już dawno leży w grobie, wkłada niedzielne ubranie. Jak może być z pana zły człowiek? - Michał upił łyk herbaty i usiadł. Zadanie okazało się łatwiejsze, niż myślał. I cieszyłby się perspektywą następnych dwóch godzin nudnego gadania z Wirdałą, gdyby nie fakt, że rosła w nim potrzeba rozszyfrowania tajemnicy kryjącej się między ścianami tej chałupy, pod jej podłogą, która wisiała w powietrzu niczym welon niewidzialnego dymu. Coś było w tym domu. Coś, co do niego mówiło. Bardzo głośno.

- Zrobiłem wiele złych rzeczy. - Wirdała popatrzył na niego. - I jestem w stanie zrobić je znowu, jeśli ktoś zakłóci mój spokój.

Michał patrzył na niego spokojnie. „Wciąż udaje - myślał. - Gra jak aktor w starym filmie bez dźwięku, w którym to, co mówią ludzie, jest napisane pomiędzy scenami, a zamiast dźwięku słychać głupie, wygrywane na pianinie melodyjki”.

- Wracając do twojej troski o mnie, czuję się całkiem dobrze - powiedział, wstając. - I niczego mi nie brakuje. Wypij herbatę, jak chcesz, mogę ci nalać jeszcze mleka. Ale potem idź stąd i nie wracaj, bo jeśli tu wrócisz, zabiję cię, przyrzekam.

Waleziak ziewnął, wstał i podszedł do ściany. Po lewej stronie od zakrytego lustra patrzyła na niego kobieta z cmentarnego portretu, ta, którą wziął za Wirdałową. Jej oczy były zupełnie czarne.

„Błąd jakiś” - pomyślał. Na prawo od lustra wisiała szklana bryłka na łańcuszku, wielkości mniej więcej piąstki dziecka. Gdy chłopak wyteżył wzrok, zauważył, że w środek wprasowana jest jakaś roślina. Zasnęty kwiat ze złotym sercem, którego płatki, pomimo że wyglądały na zwiędłe i skurczone, mieniły się wszystkimi kolorami tęczy, od krwistej czerwieni na samych czubkach do zimnego błękitu przy sercu lśniącym jak złota moneta. Michał nigdy nie widział takiego kwiatu.

Dotknął dziwnego przedmiotu palcem i odskoczył. Fala gorąca przepłynęła przez jego ciało jak ładunek elektryczny, a bryłka zaśniła na czerwono niczym zaczarowany klejnot.

Otworzył szeroko oczy. Tajemnica domu Wirdały. Cwany dziad pilnuje właśnie tego. Zamiast chować, ukrywać w jakichś skrzyniach, jak gdyby nigdy nic wiesza te rzeczy na ścianie, na wypadek gdyby pomimo jego sztuczek i złej sławy zdecydował się tu przyjechać niespodziewany gość. Ludzie z reguły nie biorą za skarby przedmiotów wystawionych na światło dzienne, widocznych jak na sklepowej witrynie. Ale Michał nie był taki głupi. Od razu zauważył, że z przedmiotami coś jest nie w porządku. Ludzie na portretach nagrobnych nie mają czarnych oczu, a luster nie zakrywa się krepą. Spojrzał za siebie. Wirdała stał za nim z rękami na biodrach i patrzył na niego ze zwierzęcą wściekłością.

Waleziak zamknął na chwilę oczy. Coś zobaczył. Obraz, który jakby przykleił mu się do

wewnętrznej strony powiek. Wiedział, że przywołał go kamień na łańcuszku. Widział płataninę złotych, białych i zielonych kształtów, najpierw niewyraźną, następnie coraz ostrzejszą. To były pieniądze. Monety, banknoty, sztaby złota. Czeki i weksle. Srebrne patery i porcelana. Pieniądze i bogactwo.

Otworzył oczy i wciągnął powietrze nosem, bardzo głęboko. Wraz z tlenem do jego płuc, żołądka, mięśni i żył dotarł żar, poczucie wielkiej mocy, jakiego nigdy jeszcze nie doznał. Przeszło przez niego potężną falą, wypychając ciało do góry. Miał wrażenie, że zaraz uniesie się nad podłogę, a jego mięśnie, ciało, umysł rosną do niewyobrażalnych rozmiarów, jakby nagle zamieniał się w olbrzyma, który mógłby rozbić ten dom w drobny mak jednym ruchem ręki. Dotknął dłonią spodni w okolicach krocza i wyczuł pod palcami lepka, mokrą plamę. „Boże - pomyślał. - On tego pilnuje. Właśnie tego. Klucza do wszystkich skarbów świata. Do bogactwa, do władzy absolutnej”. Koracz, który był jeszcze wtedy Michałem Waleziakiem, szesnastoletnim chłopakiem z wioski Strumień, ale już za chwilę miał przestać nim być, poczuł się jak władca całego świata.

Gdy z powrotem zobaczył oczy Wirdały, było w nich dużo więcej strachu niż wściekłości.

- Co to jest? - zapytał starca, wskazując na wiszące za nim na ścianie przedmioty.

- O Boże! - odpowiedział Wirdała, robiąc krok w tył. - Wpuściłem cię tutaj, bo tak właśnie ma być. To ma się stać. O Boże, to dlatego cię tutaj wpuściłem.

Michał się uśmiechnął. Czuł, jakby ktoś wyjął z niego całą zawartość, mięśnie i bebechy, nalał do środka oleju napędowego i podpalił.

- Co to jest, stary oszuście? - powtórzył.

Podszedł do lustra, chwycił krepę, zdarł ją, zgniótł i rzucił na ziemię, wbijając wzrok w Wirdałę. Gdy ten spojrział w lustro, momentalnie ukląkł. Jego oczy zrobiły się wielkie jak spodki, zacisnął ręce, a usta zaczęły poruszać się bezgłośnie, jakby odmawiał modlitwę.

- Posłuchaj, jesteś młody i głupi i zrozum, zrozum mnie, że to, co teraz zrobisz - powiedział, patrząc na niego błagalnie - zniszczy całe twoje życie.

- Gadasz głupoty, dziadu! - odparł.

Doszedł do wniosku, że musi wyrzucić na Wirdale odrobinę większą presję. Podszedł do stolika i wziął z niego pozłacany nóż. Przez chwilę ważył go w rękę. Leżał idealnie w dłoni, o wiele lepiej niż tanie, wyprodukowane w Kielcach scyzoryki, którymi grywał z kolegami w pikuty, gdy w długie, letnie dni nie było już nic lepszego do roboty.

Podszedł do Wirdały.

- Co to za przedmioty? - zapytał.

- Nie chcesz wiedzieć - odparł staruch, kręcąc głową. - Naprawdę nie chcesz wiedzieć.

Gdy Koracz wspominał teraz to wydarzenie, w zatrzymanej w londyńskim korku taksówce, pomyślał, że w ogóle nie planował tego, co się stało. Po prostu - nie było innego wyjścia, Kwiat już do niego należał, a on należał do Kwiatu. Stali się nierozłączni, bo Koracz nosił w sobie już przedtem wybiegające z serca wołanie, na które Kwiat odpowiedział, jakby czekał na niego od bardzo, bardzo dawna.

I wtedy nie było już innej możliwości niż ta, że wyjdzie z domu Wirdały wraz ze swoim skarbem, z Kwiatem Paproci.

- Co robi to szklane cholerstwo z Kwiatem w środku? - Nachylił się nad Wirdałą i przystawił mu nóż do gardła. - Czemu tego pilnujesz? Co robią te przedmioty? Masz je od diabła, tak? Dał ci je sam diabeł?

Po policzku Wirdały spłynęła jedna łza.

- Proszę cię - wyszeptał - nie możesz tego zrobić. Proszę cię, daruj mi życie. Zaklinam cię.

- Jak mi powiesz, dlaczego to masz i kim jesteś, może cię oszczędzę. - Michał się

uśmiechnął. Boże, jakie to było wspaniałe uczucie, rozlane po całym ciele, kipiące w jego sercu, uczucie, które wyobrażał sobie przed zaśnięciem, odkąd pamiętał. Uczucie władzy.

- Nie mogę ci powiedzieć, kim jestem i dlaczego mam te przedmioty. - Wirdała podniósł się z klęczek, a gdy wstał, wyglądał, jakby postarzał się o dziesięć lat. Zgarbiony, złamany, pobity. - Ale one mają ogromną moc. Nie mogą używać ich zwykli ludzie. Musisz zostawić je w spokoju, bo inaczej wydarzą się bardzo złe rzeczy. Gorsze niż wojna, gorsze niż wszystko, co umiesz sobie wyobrazić.

Michał poczuł, że do jego wnętrza nagle wtargnęło wściekłe zwierzę, nad którym nie ma żadnej kontroli. Trzymając nóż w ręku, pchnął starca na ziemię. Ten stary łachudra nie będzie mu wmawiał, że ziemia jest płaska, a niebo zielone. Nie, nie ma szans. Usiadł na nim okrakiem i delikatnie zagłębił czubek noża w skórze na jego gardle. W miejscu wbicia wypłynął mały krwawy rubin.

- Gadaj! - rozkazał mu. Jego głos przestawał być jego głosem. Czuł, że rośnie w nim nowa osoba, deptając i gniołąc małego, niezbyt rozumnego Michała Waleziaka, że wypełnia go nowym głosem, językiem, myślami i duszą.

- Lustro pokazuje ci twoją śmierć. Portret czyni wiecznie młodym. A Kwiat... - Wirdała przełknął ślinę. - Kwiat daje wielką władzę i wielkie bogactwo każdemu człowiekowi, który go posiada.

- Więc dlaczego mieszkasz w rozwalonej chałupie w środku lasu?! - syknął. - I wyglądasz jak zwykły stary dziadyga?

- Bo aby dostać to, co dają Klucze, trzeba tego pragnąć - odparł Wirdała, patrząc na chłopaka szeroko otwartymi oczyma - i nie zwracać uwagi na to, co ci zabiorą.

- Co zabiorą?

- Wszystko inne oprócz tego, czego pragniesz - odpowiedział Wirdała.

Waleziak uderzył starca w twarz bez wyraźnego powodu. Po prostu spodobało mu się, bardzo mu się spodobało, że leży pod nim, bezbronny, nie mogąc się poruszyć, przypominając jeszcze żywą muchę przybitą pinezką do szkolnej ławki. Podobały mu się władza i ciepły, niski szept, który rozbrzmiewał gdzieś w tyle jego głowy. To mówił Kwiat, tłumaczył mu, co musi teraz robić, aby mogli spokojnie stąd odejść razem.

- Poza tym nie mogę korzystać z ich mocy. Opiekuję się tymi przedmiotami. - Wirdała podniósł głowę i znowu wwiereł swoje spojrzenie w oczy Michała, jakby starał się dokopać do resztek zdrowego rozsądku, okrucich duszy chłopaka, które nie zostały jeszcze pokonane przez pragnienie Kwiatu. Ale niczego takiego tam nie było. - Posłuchaj mnie - Wirdała starał się mówić jak najspokojniej. - Proszę, posłuchaj uważnie. Każdy z tych przedmiotów kryje potężną moc, ale razem mają jeszcze jedną właściwość. Jeśli zabierzesz je wszystkie, stanie się coś strasznego.

- Co takiego może się stać, stary dziadu? - zapytał, szczerząc zęby. Kwiat szeptał do niego ciepłym, miękkim głosem.

- Nie... nie mogę ci powiedzieć - wydusił Wirdała.

On wsunął głębiej nóż w jego skórę. Delikatnie głębiej. O pół milimetra. Stare ciało Wirdały zatrzęsło się pod nim niczym w febrze.

- Jeśli nie możesz mi powiedzieć, to znaczy, że nie jest to nic ważnego. - Nachylił się nad twarzą starca. - Nie oszukasz mnie. Oszukiwałeś wszystkich, ale ja nie nabieram się na twoje bajania. Od początku, gdy wszedłem do twojego domu, wiedziałem, że jesteś kłamcą. Starym, durnym kłamcą.

„W końcu to zrób” - wyszeptał Kwiat. Ten szept był niczym głos najpiękniejszej kobiety na świecie, namawiającej go, aby zdjął ubranie i położył się obok. Michał zacisnął mocniej dłoń na

rękojeści.

- Pragniesz Kwiatu - powiedział Wirdała. - Pragniesz dóbr tego świata. Myślisz tylko i wyłącznie o nich. I Kwiat ci je da. O tak, Kwiat da ci bogactwo, którego nie jesteś sobie w stanie teraz nawet wyobrazić. Ale musisz wiedzieć, że zabierze ci wszystko. Już nigdy w życiu nie zobaczysz swojej rodziny. Nie zobaczysz bliskich. Nigdy nie będziesz miał przyjaciół. Nigdy nie będziesz mógł podzielić się z nikim tym, co masz.

- Nie mam z tym najmniejszego problemu. - Waleziak wyszczerzył zęby, bo szept Kwiatu wielką falą zmył pamięć o matce, o bracie, o Zuzi.

- Pewnego dnia ktoś upomni się o ten Kwiat - mówił dalej Wirdała. - Ktoś upomni się o twoje bogactwo, ktoś, kogo nigdy w życiu nie chciałbyś spotkać. Zrozum, że nie dostałeś teraz prezentu, tylko zaciągnąłeś potężny dług.

Waleziak podniósł nóż do góry.

- To nie stanie się teraz, ale bądź pewny, że się wydarzy. Będziesz wiedział. Będziesz stary, samotny i w swoim mniemaniu bezpieczny. Ale usłyszysz, że dzieją się pewne rzeczy, że giną ludzie, że ktoś, a raczej coś, próbuje cię znaleźć. Nie uciekniesz przed tym nawet na kraniec świata.

- Gadaj zdrow - odparł i wbił nóż w gardło Wirdały. Oczy starca otworzyły się szeroko w wyrazie bezbrzeżnego lęku, ale po chwili zgasły i zagościła w nich pustka. Michał wyszarpnął ostrze z rany i wbił je jeszcze raz. Powtórzył ten proces kilkakrotnie.

Wstał i popatrzył przez chwilę na krew wylewającą się z gardła starca, który trząsł się w ostatnich spazmach, przypominając wyjętą z wody rybę. Odwrócił się i przeleciał wzrokiem po pomieszczeniu. Kwiat mówił mu, że ma mało czasu i musi działać szybko. Obok pieca stał jutowy worek, pełen zapewne ukradzionych z czyjegoś pola ziemniaków. Wysypał bulwy na podłogę, zdjął ze ściany Lustro, starając nie patrzeć się w jego kierunku, i ostrożnie zawiązał worek sznurem. Potem sięgnął po Portret i Kwiat. Portret włożył do kieszeni spodni, natomiast Kwiat delikatnie wziął w dwa palce i powoli, z namaszczeniem zawiesił go sobie na szyi.

I wtedy przyszła jeszcze jedna wielka fala ciepła, zatrzymując go w pół ruchu, musiał się jej poddać, tak jak człowiek poddaje się największej rozkoszy, wzmacniając ją przez odcięcie się od wszystkich innych bodźców.

Michał położył worek pod nogami, zamknął oczy i pozwolił, aby ten cudowny żar przenikał przez całe jego ciało, miękko wybuchał w jego sercu i rozlewał się po kończynach. Wiedział, że od tej pory może mieć wszystko, czego zapagnie. Że Kwiat spełni wszystkie jego marzenia. To uczucie było tak wspaniałe, tak dojmujące, że z zamkniętych oczu ściekały mu strumienie łez, spadając na naddarty podkoszulek.

Zapałał do Kwiatu tak wielką miłością, że już nigdy w życiu nie poczuł nic innego - żalu, strachu, miłości, nienawiści, radości ani smutku.

Gdy wychodził z domu Wirdały, objuczony workiem ze zrabowanymi przedmiotami, i zmierzał przez las na piechotę do Szczytna, aby złapać autobus do Warszawy, nie był człowiekiem, był skorupą.

Stary miał rację. Kwiat spełnił jego marzenie bardzo szybko. Już po roku mieszkania w Warszawie, w wieku siedemnastu lat załatwił sobie przydział na mieszkanie i zarabiał ogromne jak na swój wiek i pochodzenie pieniądze, handlując walutą, amerykańskimi papierosami i mięsem. Wszelkie interesy, w jakie wchodził, okazywały się olbrzymim sukcesem - każda zainwestowana złotówka przynosiła mu kilkaset procent zysku. Prawdziwe pieniądze przyszły wraz z Okrągłym Stołem - mając kontakty zarówno w esbecji, jak i wśród partyjnych działaczy, dowiedział się wcześniej o zmianie kursu dolara i zbił na tym fortunę. Zaczął kupować upadające fabryki w różnych częściach kraju. Pod Radomiem nabył zakład produkujący kable - idealnie zbiegło się to z

nadchodzącą telefonizacją wielu wiosek w Polsce. Niedaleko Zgierza zainwestował w fabrykę wytwarzającą kapsle do butelek, które zaczął eksportować do całej Europy Wschodniej. Nigdy nie pomyślał o pięćdziesięciu złotych, które miał otrzymać za wycieczkę do domu Wirdały.

Nie miał kobiety - korzystał jedynie z usług prostytutek bądź utrzymanek, a gdy zaczynał czuć, że którąś z nich zaczyna traktować jak bliską osobę, od razu zrywał znajomość. Nie miał żadnych przyjaciół - utrzymywał tylko kontakty biznesowe. Nigdy nie odwiedził swojej rodziny w Strumieniu. Robił tak, nie dlatego że nie chciał. Kwiat dał mu do zrozumienia, że jeśli tak postąpi, jeśli zwiąże się z jakimś innym człowiekiem emocjonalnie, jeśli jakaś osoba stanie się dla niego chociaż na ułamek sekundy ważniejsza niż On, zaraz straci całe swoje szczęście i bogactwo, wyląduje na bruku, a wszyscy o nim zapomną. Ciepły szept Kwiatu, który słyszał przy podejmowaniu każdej biznesowej decyzji, był jak szept zaborczej, demonicznej kobiety. A on kochał tego zakłętego w roślinie szepczącego ducha, kochał całą resztką siebie, która została w jego ciele - więc wypełniał wszystkie polecenia. Nie szukał swojej rodziny i bliskich, a oni nie szukali jego - po przyjeździe do Warszawy szybko zdobył fałszywy dowód osobisty, parę lat później, gdy jego kontakty sięgały dużo wyżej, oficjalnie przybrał tożsamość Janusza Koracza. Jednocześnie załatwił Michałowi Waleziakowi - który od paru lat był uznany za zaginionego, chociaż milicja, przekonana, że utopił się na bagnach, nie fatygowała się go odszukać - wystawienie oficjalnego aktu zgonu.

Koracz sprzedał pozostałe dwa ukradzione Wirdale przedmioty. Ugrał na tym bardzo dobre pieniądze - kupcy zapłaciliby każdą cenę - ale zarobek był w tym przypadku ostatnią rzeczą, o której myślał. Po pierwsze, nie zamierzał korzystać z ich mocy, po drugie, Kwiat wyszeptywał mu często pretensje o ich obecność, po trzecie, cały czas pamiętał o słowach Wirdały i wiedział, że jeśli zatrzyma wszystkie, grożące mu potencjalne niebezpieczeństwo będzie dużo, dużo większe. Nie interesowały go personalia nabywców - wiedział jedynie, że Lustro trafiło w ręce jakiegoś pracującego w telewizji, zajmującego się zjawiskami nadprzyrodzonymi wariata (który chciał odkupić od niego również pozostałe dwa Klucze), Portret zaś wylądował w zbiorach znanego polskiego piosenkarza.

Gdzieś w dziewięćdziesiątym czwartym przyśniła mu się siostra. W tym śnie wołała go z bardzo daleka, z wielkiej, niezmiernie ciemności, z czarnej mgły, przez którą widać było tylko małą sylwetkę dziewczynki wielkości porcelanowej figurki. Obudził go własny wrzask. Wstał, podszedł do barku i patrząc w okno, wypił w czterdzieści minut butelkę czarnego Johnniego Walkera, aż zasnął zamroczony. Myśl o śnie nie opuszczała go przez cały następny dzień. Wieczorem kazał asystentom przygotować listę zakładów na granicy upadłości, które można było odkupić od państwa po preferencyjnych cenach. Na liście znajdował się tartak w Głuszycach.

Pojechał tam następnego dnia. Specjalnie nadrobił trochę drogi i zatrzymał się przy skrzyżowaniu na Strumień. Droga była niewyasyfutowana, tak jak wtedy gdy opuścił wioskę wiele lat temu. Stała przy niej ta sama odrapana kapliczka z Matką Boską i ten sam zielony, zardzewiały drogowskaz z napisem „Strumień 3”. Z oka popłynęła mu jedna, samotna łza - Koracz nie wiedział, czy to dlatego że gdzieś w jego duszy nagle, po tylu latach, wykiełkowało uczucie, czy dlatego że zawieszony na łańcuszku Kwiat zaczął go bezlitośnie parzyć.

Droga była pusta, dzień bezwietrzny, ciepły i jasny. Koracz zacisnął Kwiat w pięści. Poczł niewyobrażalny ból, jakby zgniótł dłonią fiołkę ze żrącym kwasem, ale siedział w samochodzie i patrzył przez szybę w nadziei, że może na horyzoncie zamajaczy jakaś ludzka sylwetka. Po chwili kazał kierowcy ruszać. Chociaż w następnych latach zbudował w Głuszycach posiadłość i przekwalifikował się zupełnie na przemysł drzewny, nigdy nie wrócił na tamtą drogę. Jakiś czas później kazał asystentowi pojechać do Strumienia i sprawdzić, co dzieje się w jego dawnym domu,

zabronił mu jednak pukać czy wchodzić w jakiegokolwiek interakcje z mieszkańcami. Asystent mówił, że obejście było w opłakanym stanie; po pewnym czasie na zewnątrz wyszła wymizerowana, przedwcześnie postarzała kobieta w zaawansowanej ciąży, trzymając za rękę małe dziecko.

- Waleziak Zuzanna jestem, a pan? - zapytała.

Asystent odjechał bez słowa, a Koracz przez następne dwie noce skręcał się w agonii - Kwiat sprawił, że czuł się, jakby ktoś położył go na rozżarzonej metalowej płycie. Nie pomógł nawet zastrzyk ze specjalnie przywiezionej ze szpitala w Olsztynie morfiny.

Wysiadł z samochodu na Piccadilly. Odnalazł adres - pod drzwiami stał już agent, podekscytowany niczym ktoś przed wygraną w totolotka, wymachujący w powietrzu pękiem kluczy. Koracz nie wpuścił go do środka - złożył parafkę na dwudziestu umowach, odebrał klucze i wszedł do budynku.

„Stary miał rację” - myślał. Był poszukiwany. Ktoś wiedział, że ma Kwiat, i ktoś chciał mu go odebrać. Zrozumiał to już w momencie, gdy tamta kobieta powiedziała o śmierci leśniczego. Był pewien również dlatego, że ostrzegł go Kwiat. Szeptał mu w nocy o niebezpieczeństwie, mówił, że muszą jak najszybciej opuścić Głuszyce. Zasugerował mu mieszkanie, które kupił w Londynie. Koracz zabukował więc samolot następnego dnia.

Mieszkanie mieściło się na czwartym piętrze. Z tego, co widział na wysłanych mu mailem zdjęciach, był to podstawowo umeblowany, dwupoziomowy apartament z dwiema sypialniami i sporym salonem. Gdy Koracz stał na drugim piętrze, zatelefonował agent z pytaniem, czy chce kontakt do firmy meblarskiej. Właściciel apartamentu odmówił, poprosił za to o numer do firmy dowożącej zakupy do domu. Zadzwoił od razu i zamówił mrożoną pizzę, dziesięć butelek whisky, pastę do zębów, dezodorant i dziesięć kompletów bielizny.

Gdy dotarł pod drzwi mieszkania, te były otwarte.

„Pewnie pracownik agencji zapomniał je zamknąć” - pomyślał i wszedł do środka. Mieszkanie było białe, sterylne, pachniało wapnem, farbą, środkami czystości i odświeżaczem powietrza. Zdjął buty i postawił torbę w przedpokoju. Przeszedł do kuchni - w lodówce wielkości bankowego sejfów znalazł, zostawioną zapewne przez agenta, butelkę szampana. Odkorkował ją i napił się prosto z gwinta.

- Wwwwittttaj - powiedział Strzępowaty.

Koracz odwrócił się, popatrzył na istotę i wypuścił butelkę z rąk - z głośnym hukiem rozbiła się o podłogę kuchni, tłukąc przy tym kafelki. „Przyjdą ci, których nie chciałbyś nigdy w życiu spotkać. Przyjdą, bo zaciągnąłeś u nich dług” - mówił stary Wirdała.

- Wiem, czego chcesz - powiedział Koracz i zacisnął dłoń na Kwiecie. - Wiem, czego chcesz, ale zrozum, on ma potężną moc, zabierze ci wszystko oprócz tego, czego chcesz...

Strzępowaty podszedł do niego i wyszczerzył cały garnitur błyszczących jak szable, ostrych zębów. Koracz odruchowo krzyknął i cofnął się o krok. Strzępowaty chwycił go za gardło i przyciągnął jego twarz do siebie.

- Bbęddddę cię jaaaadł barrdzo długooooo - wysunął język i polizał twarz Koracza, jakby była lodem. Mężczyzna poczuł, że zaraz zwymiotuje.

Strzępowaty się uśmiechnął. Koracz zdał sobie sprawę z tego, że jest tylko jedno wyjście z tej sytuacji. Kwiat był zimny i głuchy, nie słyszał żadnego szeptu.

„Oto wszystko się kończy” - pomyślał. Przyszedł moment spłaty pożyczki, którą zaciągnął na swoje całe bogate, puste życie.

Coś zagrało w jego sercu, jakby ktoś musnął palcem nieużywaną od trzydziestu paru lat strunę. Koracz poczuł spokój. Popatrzył głęboko w oczy stwora. To musi się tak skończyć,

dokładnie tak. Przecież nie odda mu Kwiatu. Nie może tego zrobić. Bez Kwiatu go nie ma, bo nigdy nie było Janusza Koracza, był tylko Michał Waleziak, chłopak, który lubił grać w piłkę i pikuty, uczył się w zawodówce na mechanika samochodowego i marzył o zdobyciu wielkiej fortuny, aby już nigdy w życiu nie musiał zbierać latem pokrzyw. Ten chłopak umarł dawno, dawno temu, w opuszczonej chałupie na skraju lasu, w wiosce Kolonia Głuszyce.

- Zrób to szybko - powiedział - zrób to szybko i pozwól mi na jeszcze jedną rzecz.

Strzępowaty syknął, zdziwiony. Odsunął się o krok.

- Po raz pierwszy widzę coś takiego u człowieka - mruknął, chowając zęby. - Gotowość na śmierć. Po raz pierwszy, od czasu gdy sam byłem człowiekiem. Gdy była wojna. Rób, co masz robić, ale wiedz, że mogę przerwać ci w każdej chwili.

- Muszę tylko zadzwonić - powiedział Koracz i wyjął telefon. Nie spuszczać oczu z potwora, wykręcił numer swojego asystenta. - Chciałbym uaktualnić swój testament - powiedział, patrząc w przeraźliwe białe, puste oczy bestii, po raz pierwszy od kilkudziesięciu lat czując bicie własnego serca. - I chciałbym, abyś zrobił to jak najszybciej. W tym momencie. Tak. Chciałbym, aby w przypadku mojej śmierci wszystkie moje aktywa, oszczędności na zagranicznych kontach, akcje oraz nieruchomości przeszły wraz z prawem wyłącznego dysponowania na własność Zuzanny Waleziak, Waleziak to może być panięskie nazwisko, ale masz się dowiedzieć, jakie jest aktualne, zamieszkałej w wiosce Strumień numer domu 10. Tak, z prawem wyłącznego dysponowania. Tak, masz to zrobić teraz.

Rozłączył się i schował telefon do marynarki.

Czuł spokój. Czuł radość. Czuł cokolwiek. Po raz pierwszy od tylu lat.

- Zrób to szybko - powiedział potworowi.

Strzępowaty zabił go na miejscu, wpijając się w tętnicę i chlepcząc ciepłą krew, a następnie wygryzając kawałek jego szyi. Koracz nawet nie krzyknął. Mięso było pyszne, słodkie, lekko twarde. Strzępowaty wyszczerzył zęby w rozkoszy. Czekala go uczta, długa uczta.

13. Uciekinierzy

- Przestań się wygłupiać. Musisz coś zjeść - naciskała pani Waszczuk, pukając do pokoju Anki. Dziewczyna usłyszała, że matka próbuje coś powiedzieć, wałąc w drzwi, ale ostatnia płyta Muse skutecznie zagłuszała treść jej wypowiedzi.

- Ścisz tę cholerną muzykę i chodź na obiad! - wrzasnęła kobieta ponownie, tym razem silniej uderzając w drzwi.

Anka w odpowiedzi jeszcze podgłośniła. Odkąd wrócili wieczorem z Głuszcyc, nie wychodziła ze swojego pokoju, chyba że do łazienki albo do lodówki po wodę i znalezione w zamrażarce opakowanie lodów waniliowych.

Wstała i przystawiła ucho do drzwi, aby spod łomoczących gitar i wzniosłego falsetu wokalisty wychwycić, co próbuje przekazać jej matka.

- Jakie masz znowu pretensje? - Słysząc było z drugiej strony wyklejonych grubą warstwą plakatów i rysunków drzwi. - Co znowu zrobiliśmy ci złego?

- Wszystko - powiedziała pod nosem Anka i wróciła do kontemplacji rozłożonych na podłodze przedmiotów. - Począwszy od niezostawienia mnie w domu dziecka.

Część z tych przedmiotów to były jej rzeczy - bielizna, skarpetki, tampony, dezodorant, kosmetyki. Inne, korzystając z okazji, kiedy rodzice byli na dworze, przyniosła z piwnicy - latarkę, wielofunkcyjny scyzoryk, zapalniczki, śpiwór. Otworzyła drzwi szafy i wyjęła wielki, stary plecak ze stelażem. Zaczęła szukać swojego gazu pieprzowego i przypomniało jej się, że mniejszy plecak z zapasową puszką został w Kolonii Głuszyce. Dokładnie tam, gdzie się wybierała za półtorej godziny, gdy rodzice mieli jechać na kolację do jakichś ludzi ze swojej listy irytujących i przygłupich znajomych, potrafiących rozmawiać jedynie o wyjazdach na narty i zakupach w centrach handlowych.

Nie zastanawiała się nawet przez chwilę. To było dla niej oczywiste od momentu, gdy jadąc samochodem, usłyszała ten dźwięk, buczenie, które przeszło po ziemi huczącym podmuchem. Jej rodzice w ogóle nie zwrócili na to uwagi, może nawet nic nie usłyszeli - ale oboje nie słyszeli zbyt wiele. Nie wiedziała dlaczego, ale była pewna, że to Tytus woła ją w ten sposób z miejsca, o którym opowiadała jego babcia. Musi tam jechać, musi spotkać się z chłopakiem, którego z jakiegoś tajemniczego powodu poznała i w którym się zakochała.

Wszystko inne było nieistotne. Rozglądała się po pokoju, obserwowała plakaty na ścianach, laptopa, własne rysunki w antyramach, figurki, podarowaną przez jedną z koleżanek, uszytą ręcznie tęczową torbę z tysiącami skrawków materiału. Meble z Ikei w spokojnych pastelowych kolorach. Te wszystkie przedmioty były dla niej teraz zupełnie obce, pochodziły z poprzedniego życia, równie odległego jak klasowe zdjęcia z początku podstawówki.

Przez dłuższą chwilę zastanawiała się, w jakiej kolejności zapakować rzeczy do plecaka, aż w końcu cisnęła je byle jak do środka i zawiązała sznurek. Za oknem zachodziło już słońce. Popatrzyła na wyasfaltowaną, zupełnie pustą drogę przed domem. Kierując się nią na wschód i idąc w miarę szybkim tempem, dotrze do wylotówki na Gdańsk w jakąś godzinę. Będzie już wtedy ciemno, ale w najgorszym wypadku czekają ją jeszcze dwa kilometry marszu do stacji benzynowej. Tam na pewno złapie jakąś okazję. I w zapasie zostanie dużo czasu, zanim rodzice obdzwonią wszystkie jej koleżanki.

Wyjęła z szafy stare, metalowe pudło po herbacie Lipton, ozdobione składającymi się w jej imię, wyciętymi z gazet literami. Spod kapsli, przypinek, zasuszonych liści, kartek papieru z nieudolnymi próbami poetyckimi, koralików, kolczyków i pendrive'ów wyjęła kopertę - było w niej czterysta złotych. Pieniądze odłożone na wspólną wyprawę do Trójmiasta, na którą umówiła się z

koleżankami w te wakacje i której pomysł został ukrócony przez matkę wrzaskiem i rozkazem udania się do swojego pokoju.

Koleżanki w końcu pojechały bez niej. Podobno nad morzem poznały jakichś chłopaków. Z nimi wybrały się później na Przystanek Woodstock. Pierwszy raz zapaliły trawę, a jedna nawet wreszcie „to” zrobiła. Anka podejrzewała, że nie zazdrościłaby koleżankom aż tak bardzo, gdyby jej tak stanowczo i bezwzględnie nie zabroniono wyjazdu.

Schowała pieniądze do kieszeni. Matka jeszcze raz zapukała. Anka przesunęła plecak za łóżko i ściszyła muzykę. Otworzyła.

- Jedziemy do Górczewskich - poinformowała ją matka. - Lazania jest w lodówce. Jak chcesz, to sobie odgrzejesz. Nigdzie nie wychodź.

Kiwnęła głową. Matka zamknęła drzwi.

Dziewczyna miała jeszcze więcej czasu, niż myślała. Może dojdzie na stację przed zmrokiem.

* * *

Tytus najpierw poczuł, że ktoś przewraca go na ziemię, a potem przydusza. Zanim zorientował się, że to Iskra, odruchowo sięgnął ręką do kieszeni spodni. Miał tam gaz pieprzowy, nie pamiętał, kiedy wyjął go z plecaka Anki.

Z całej siły zacisnął oczy, wstrzymał oddech i psiknął w napastnika.

- Skończony dureń! - wrzasnęła Iskra i odskoczyła.

Tytus podniósł się na klęczki i patrzył, jak córka Strąka kuca i klnąc, na czym świat stoi, rozciera sobie twarz. Nie myśląc zbyt długo, chwycił plecak i popędził przed siebie. Biegł szybko, starając się pozostać poza polem widzenia stojących na polanie policjantów. Spoglądał w kierunku chaty Wirdały, próbując wychwycić wzrokiem jakikolwiek ślad po Ance.

I wtedy znowu się przewrócił.

- Ała! Puść mnie! - wrzasnął, czując ból kolana rozbitego o wystający z ziemi konar. - Po prostu mnie puść, rozumiesz? Nie będę siedział w Zmorojewie, muszę ratować An...

Iskra zatkała mu usta dłonią. Była dużo, dużo silniejsza od niego. Tytus w końcu przestał się szarpać. Jej dłoń pachniała jak mokra ziemia prosto po deszczu, jak zgniłe liście.

- Posłuchaj mnie - zaczęła Iskra. - Strąk cię szuka, aby zaprowadzić cię z powrotem do Zmorojewa. Mój ojciec to tchórz, udaje niepokornego, ale nie umie postawić się wójtowi i jego durnym klakierom, zwłaszcza temu śmierdzielowi Jagodziakowi. Uwierz mi, że teraz na pewno nie wypuszczą cię stamtąd przez długie lata. Pomogę ci, aby do tego nie doszło, ale musisz robić dokładnie to, co mówię.

Puściła go. Tytus usiadł na ziemi, popatrzył na rozdarte spodnie i rozbite, zakrwawione kolano i znowu przeszył go dotkliwy ból.

Iskra wstała, zniknęła na chwilę w krzakach i wróciła z dużym, mięsistym liściem, który przyłożyła do skaleczenia.

- Babka lekarska - poinformowała.

- Muszę sprawdzić, czy Ance nic się nie stało - powtórzył Tytus. - Anka to moja...

- Wiem, wiem. - Iskra westchnęła, wstała i otrzepała spodnie. - Dziewczyna, która należy do ciebie. Nie wiem, kiedy wy, durni ludzie, wpadniecie w końcu na to, że kobieta jest kimś równym mężczyźnie, pomimo że tu i tam co nieco jej wystaje.

- To nie tak... - zaczął Tytus, ale Iskra momentalnie mu przerwała.

- Zamknij się, mówiłam ci - rzuciła. - Nie jestem tutaj po to, aby spełniać twoje zachcianki. Nie interesuje mnie powód, dla którego zwiąłeś. Interesuje mnie to, że jesteś Powiernikiem,

pierwszym od kilkudziesięciu lat, od czasów, kiedy zginął ten staruch i zaginęły Klucze. Wiesz, co to znaczy, czy nie rozumiałaś bełkotu tych dziadów?

- Mam władzę nad jakimiś Kluczami, które gdy trafią w ręce Zła, spowodują, że wasze miasto zostanie zniszczone, a Zło przedrze się do naszego świata - wyrecytował poirytowany Tytus takim tonem, jakby powtarzał jakąś wychowawczą formułkę.

- Tak, z tym że trzymanie cię w zamknięciu nic nie pomoże. - Iskra nie patrzyła na Tytusa, tylko cały czas rozglądała się wokół, odruchowo wypatrując niebezpieczeństwa. - W przeciwieństwie do nich ja i Strąk wychodzimy na drugą stronę Bariery i wiemy, co się dzieje w lesie. Bariera słabnie, bo coraz więcej Mocy jest w ich rękach. Niedługo zdobędą wszystkie trzy Klucze. Zmorojewo wtedy zniknie. Po prostu. Ot tak.

Aby zademonstrować, jak zniknie Zmorojewo, Iskra z impetem klasnęła. Tytus usłyszał nagle kroki i spojrzał w lewo. Jeden z policjantów najwyraźniej zmierzał na tak zwaną stronę. Iskra chwyciła Tytusa za ramię i popchnęła go do przodu.

Zamiast przejść przez polanę i skierować się do Głuszyc, ruszyli szybko w las. Wokół nich zaczęła gęstnieć mgła i Tytus przestraszył się, że to, co powiedziała Iskra, było tylko tanim fortelem, służącym temu, aby z powrotem zamknąć go w Zmorojewie.

- Jak mam ci zaufać? - zapytał, gdy przedzierali się przez coraz gęstszy i bardziej podmokły las. - Skąd mam wiedzieć, że nie prowadzisz mnie do Zmorojewa?

- O matko! - Iskra westchnęła, przeskakując przez grube niczym łapska siłaczy konary, nie zwracając w ogóle uwagi na to, czy chłopak nadąza za nią, czy nie. - Musisz mi zaufać. Inaczej wszystko pójdzie w cholerę i nie zobaczysz już ani tej swojej branki, ani rodziny, bo Zło wyleje się z lasu jak brudna woda z pękniętej rury i oni wszyscy zginą, rozumiesz?

- A dokąd teraz idziemy? - Tytus musiał na chwilę się zatrzymać, aby odsapnąć, ale zauważył, że Iskra nic sobie z tego nie robi.

- Do drugiej oprócz mnie osoby w Zmorojewie, która ma jeszcze jakiegokolwiek resztki zdrowego rozsądku. - Machnęła ręką, aby pobeiegł dalej. - Bo sami sobie zupełnie z tym nie poradzimy.

W pewnej chwili z lasu, kilkadziesiąt metrów na lewo od Tytusa, dobiegł dźwięk, cichy, przypominający stukanie dziecięcia o drzewo, ale trochę inny, głośniejszy, mniej rytmiczny. Iskra momentalnie zawróciła, podbiegła do chłopaka i kazała mu się położyć na ziemi. Przywarła do niego blisko i równając z nim oddech, przyłożyła mu dłoń do twarzy.

- Cicho bądź! - rozkazała, dysząc szybko. Na jej wiecznie poirytowanej twarzy nagle pojawiło się inne uczucie: lęk.

Gdzieś w oddali coś się poruszyło. Tytusowi wydawało się, że zauważył jakąś małą postać.

- Mogą wypuszczać wężacze - wyszeptła z wyraźną zgrozą Iskra, przykładając dłoń tym razem do własnych ust.

Zza drzew wyszła mała istota. Nie przypominała karmiącej opisanej przez Iskrę. Zgarbiona, pokryta śliską, białą skórą, z daleka przypominającą bardziej gumowy kombinezon niż żywą tkankę. Jej wielka głowa nie miała oczu - w ich miejscu widniały płaty mięsistego bielma. Ze środka czaszki wyrastał wielki, długi, zakrzywiony nos z sześcioma dziurkami. Pod nim widać było paszczę stworzenia z wywalonym jęzorem, ozdobioną równym garniturem cienkich, ostrych jak szpilki zębów.

Postać poruszała się powoli, anemicznie, jakby powietrze było roztworem koloidalnym, a ona pływającą w nim cząsteczką. Tylko sześć dziurek w nosie poruszało się szybko, przerabiając powietrze w tempie młota pneumatycznego. Po chwili istota odwróciła głowę w kierunku Tytusa i Iskry.

- Zdejmij coś z ubrania i rzuć w jej kierunku, ale odrobinę bardziej na prawo.
- Co? - zapytał Tytus, kręcąc głową.
- Rób, co powiedziałam - powtórzyła stanowczo Iskra. - Zdejmij koszulkę, rzuć w jej kierunku i w momencie gdy to zrobisz, na mój znak biegniemy przed siebie.

Tytus ostrożnie ściągnął z ramion plecak, rozpiął bluzę i zdjął przepocony podkoszulek. Miał go na sobie podczas całego pobytu w Zmorojewie. Zdał sobie sprawę z tego, że w mieście duchów jego ubranie nie emitowało żadnego zapachu. Natomiast teraz wołał nie obwąchiwać kupionej na Allegro koszulki z Freddyem Kruegerem - jak powiedziałaaby mama, cuchnęła niczym namiot pełen śpiących harcerzy.

Wychylił się zza konaru i cisnął koszulką w kierunku istoty. Nie zdążył jednak zauważyć, jak ta momentalnie rzuca się na T-shirt, rycząc przeciągle i gardłowo. Iskra szarpnęła go z całych sił i zerwali się do szaleńczego biegu.

Biegli dobry kilometr.

Tytus cudem sobie nic nie połamał, w ostatniej chwili przeskakiwał przez konary i pniaki ściętych drzew, placki podmokłej ziemi, która mogłaby wessać jego nogę aż po kolano, czy wyrwane z ziemi przez ryjące dziki doły. Gdy się zatrzymali, z daleka nadal dobiegały ich ryki wścieklej istoty.

- Co to było? - zapytał Tytus, ciężko oddychając. Serce biło mu jak szalone, zawartość płuc, gotową do wyplucia, miał w gardle. W końcu odcharknął trochę flegmy i wypuścił ją na ziemię.

- Węszacze - odparła Iskra, starając się utrzymać wrażenie, że szaleńczy bieg był dla niej zwykłym spacerem, chociaż sapała równie intensywnie co Tytus, a jej czoło pokrywały kropelki potu. - To, że tu są, znaczy, że Leszy ma już dwa Klucze. Normalnie mogą wypuszczać na powierzchnię tylko żarłacze i karmiące - czyli tych, którzy byli kiedyś ludźmi, ale zostali przemienieni przez Zło. Wiemy o jednym żarłaczku, Strzępowatym, kiedyś kapralu radzieckich wojsk, wielokrotnym mordercy. Bardzo niebezpiecznym. Karmiących jest kilka i to właśnie karmiąca pewnie kręciła się przy bramie do Zmorojewa.

Gdy skończyła mówić, znowu szarpnęła Tytusa i ruszyli przed siebie szybko, ale już nie biegnąc.

- Ale czym właściwie są te węszacze? - dopytywał Tytus.

- To mutanty Leszego, ulepione z ludzi i zwierząt, które dostały się w ciemny obszar lasu, poza granice Zła. Następnie zaś zostały zreprodukowane. Nie mogłyby wejść, gdyby Bariera była mocna. Ale ona zanika. To znaczy, że mamy bardzo mało czasu.

- Moi dziadkowie! - jęknął Tytus nagle przejęty lękiem, który odczuł niczym cienką, wbitą w plecy igłę. - Zanim mnie przewróciłaś, podbiegł tam jakiś policjant i powiedział, żeby wysłać posiłki do domu moich dziadków.

- Żaden człowiek i żadna ludzka broń nic tutaj nie wskórają - rzuciła Iskra, ale nagle jakby coś ją tknęło. Zatrzymali się, pomimo krążącego gdzieś po lesie potwora. Iskra stanęła naprzeciwko Tytusa i popatrzyła mu głęboko w oczy.

- Twoich dziadków... - mruknęła. - To znaczy, że coś wydarzyło się u twoich dziadków, coś związanego zapewne ze stworami Leszego...

- Zapewne - zgodził się Tytus. - Ten facet był przerażony, jakby właśnie zobaczył samego diabła.

- Ale żył? - zapytała Iskra.

- No, gdyby nie żył, raczej nie byłby przerażony. - Tytus nie wiedział, czemu miało służyć to raczej głupie pytanie.

Iskra, bardzo zaintrygowana, pokiwała głową. Popatrzyła jeszcze raz na Tytusa.

- To znaczy, że miał do dyspozycji coś, czym mógł się bronić - powiedziała cicho, wpatrując się w twarz Tytusa, jakby był zupełnie niespotykanym zjawiskiem przyrodniczym. - Inaczej leżałby zżarty.

- To raczej logiczne. - Tytus zaczynał się denerwować. - O co ci chodzi?

Iskra pokręciła głową i kazała mu iść do przodu. Pomimo pytań Tytusa chwilę milczała, sprawiając wrażenie głęboko zamyślanej. Las tymczasem zrobił się gęsty, zielony i wilgotny niczym dżungla. Chłopak nie wiedział, że w Polsce może występować aż tak dzika roślinność, chyba że w Puszczy Białowieskiej, którą znał tylko ze zdjęć z internetu. Wszędzie w powietrzu wisiały podobne do choinkowych łańcuchów płaty białej mgły. Tytus zdał sobie sprawę, że znajdują się na granicy Zmorojewa i prawdziwego świata, że wciąż krążą po obrzeżach Bariery. Gdy przed nim zamajaczył kształt drewnianej, zamaskowanej gałęziami chatki, zrozumiał, do czyjego domu właśnie zmierzają.

- O co ci chodzi? - powtórzył Tytus.

- Mogło być tak - powiedziała Iskra - że twój dziadkowie...

I wtedy z daleka usłyszeli donośny skrzek gawronów, które wzbiły się w powietrze, jakby Tytus aktywował stopą jakiś ukryty w mchu czujnik.

- Stara jest wiecznie czujna. - Iskra się uśmiechnęła i przyśpieszyła kroku, pociągając Tytusa za sobą. - Chodź.

Chatka stała na ziemi wbrew wszelkim prawom fizyki. Przechylona w lewo pod kątem dobrych dwudziestu stopni, ugięła się pod ciężarem pokrytego strzechą dachu, do którego przyczepiono całą gamę przeróżnych przedmiotów: amuletów, ptasich gniazd, kurzych łap, zwierzęcych szkieletów oraz skorup naczyń. Była bardzo mała, wielkości mniej więcej średniego garażu, przed wejściem stało kilka skleconych z patyków dziwnych konstrukcji, a obok, w odgrodzonym kamieniami palenisku, wznosił się potężny stos chrustu, na którym widniała szmaciana, przypominająca stracha na wróble kukła.

Przeszli jeszcze parę kroków, zanim Tytus zauważył stojącą pod domem znajomą postać.

- Przyprowadziłam go! - krzyknęła Iskra.

- To dobrze, dobrze - odpowiedziała Baba-Jaga, siedząc przed chatką, okutana jak zawsze w kilka warstw ubrań, wyrabiając w miseczce jakąś masę o krwistoczerwonym kolorze. - Może jeszcze uda się coś zrobić. Może jeszcze się uda.

Odłożyła naczynie i wstała.

- Chodźcie do środka - zaprosiła. - Ten węższacz, którego widzieliście, nie jest jedyny.

* * *

Adolf Błysk po raz pierwszy, odkąd znał Olgę Pralczyk, wszedł do jej domu. Z reguły spotykali się albo w pracy, albo w hotelowych restauracjach, w których jedli milczące, długie, obficie podlewane czerwonym winem kolacje, po których udawali się na górę do hotelowego pokoju, aby uprawiać mechaniczny, beznamiętny seks. Może i Pralczyk chciała od niego czegoś więcej, ale nie dawała tego po sobie poznać, a Błyska w ogóle to nie obchodziło. Nie pamiętał, żeby obchodzili go inni ludzie. Interesowały go istoty dużo od nich potężniejsze - i tylko one.

Pierwszy raz zetknął się z tym, co ludzie określają mianem „zjawisk paranormalnych”, dawno, dawno temu. Zdarzyło się to, gdy miał jakieś sześć albo siedem lat. Spał w swoim łóżku, gdy nagle obudziło go uczucie spadania - bezwładnego lotu w gęstą i bezdenną ciemność. Gdy otworzył oczy, zdał sobie sprawę z dwóch rzeczy. Po pierwsze: nie był w stanie się ruszyć - był zupełnie sparaliżowany, mógł jedynie mrugać oczyma i zginać koniuszki palców u dłoni. Po drugie: w kącie pokoju, skulona w kucki, siedziała przed nim mama.

- Co ci jest, mamó? - zapytał, z trudem otwierając usta.

- Za twojego życia wszystko się skończy - odparła mama, która wyglądała prawie jak zwykle. Prawie, poza tym że jej zazwyczaj upięte włosy spływały w przetłuszczonych kołtunach, twarz była fioletowoblada, paznokcie miała czarne i nadgniłe, a usta pozbawione zębów.

- Co się skończy, mamó? - zapytał.

- Ty do tego doprowadzisz - odpowiedziała. - Ty, twoje przeznaczenie... i niczyje inne.

Następnego dnia sześciolatek Adolf Błysk obudził się w plamie moczu. Jego ojciec, kapral, który uważał, że najlepszym remedium na wszelkie dziecięce przypadłości jest pas, złał go i tym razem. Matka chciała go bronić, a on zapytał, czemu w nocy przyszła do niego do pokoju i powiedziała to, co powiedziała. Uśmiechnęła się, wyjaśniła, że nic takiego nie mogło mieć miejsca i że to był po prostu zły sen. Wyszła do pracy do urzędu miasta, a gdy z niej wracała, o szesnastej trzydzieści wpadła pod tramwaj i zginęła na miejscu.

Od tamtej pory Adolf Błysk obsesyjnie szukał tamtej strony, lustrzanego odbicia rzeczywistości, „duszy świata”, jak to mówili wszyscy, miejsca, z którego biorą się niewyjaśnialne przez fizykę i matematykę lęki, niepokoje, moce i istoty. Był przekonany, że istnieje. Ślepo wierzył w duchy, demony i opętania, zdobył encyklopedyczną wręcz wiedzę o demonologii, alchemii oraz nekromancji. Przekopał się przez manuskrypty dotyczące słowiańskich i pogańskich wierzeń. Przeorał wszelkie znane systemy magiczne, po nocach studiował crowleyanizm, białą magię, kabałę, a nawet wampiryzm i wywodzącą się z prozy H.P. Lovecrafta mitologię Cthulhu. Niestety, wszystko to prędzej czy później okazywało się błagą, a rzekomi wtajemniczeni, na których natrafiał, niegroźnymi wariatami, wyznającymi swoje teorie albo z nudów, albo z prostej potrzeby wyznawania czegośkolwiek.

Studiował jak oszalały wszelkie możliwe lokalne polskie legendy, chcąc natrafić na ślad czegoś, co nie byłoby mitem, opowiadką, ale prawdą, tropem prowadzącym do czegoś autentycznego, do bezpośredniego kontaktu z istotami i mocami stamtąd.

Przez wiele lat, aby utrzymać siebie i swoją pasję, pracował jako redaktor lokalnej gazety. Jeszcze na studiach wziął ślub z koleżanką z roku. Kobieta urodziła mu dwie córki, jednak po pewnym czasie małżeństwo się rozpadło - żona uznała go za zupełnego szaleńca, z którym nie da się wytrzymać i który tylko w znikomym stopniu interesuje się własną rodziną. Rozwiedli się, ale Błysk niewiele sobie z tego robił. Wręcz mu ulżyło, że wreszcie nikt nie będzie mu przeszkadzał.

Praca redaktora zaczynała go coraz bardziej irytować, więc po paru miesiącach wahania rzucił posadę i rozpoczął wszystko od nowa jako naczelny pisma poświęconego niewytłumaczalnym zjawiskom. Nazwał je od przekłętej księgi z opowiadań Lovecrafta *Necronomicon*. Niestety, doszło do konfliktu między nim a resztą redakcji, która chciała się raczej skupić na teoriach spiskowych oraz rzekomych wizytach przybyszy z kosmosu. Oba te zagadnienia Błysk uważał za kompletnie bzdurne. Nie wierzył ani we wszechwładną siatkę masonerii, ani w żadnych przybyszy z kosmosu. Niewytłumaczalne zjawiska były tutaj, na ziemi, wokół niego - przecież doświadczył ich we własnej sypialni jako dziecko. Niestety, teraz nie mógł do nich trafić. Każdego dnia przez wszystkie te lata czuł się jak ktoś otoczony plastikową bańką, nieprzepuszczającą żadnych zapachów. Chciał ją rozerwać, aby wyjść na zewnątrz, poczuć prawdziwe wonie lasu, kwiatów, ludzi, ale nie miał narzędzi i zupełnie nie wiedział, jakie byłyby mu potrzebne.

W drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych zaczęła się fala programów poświęconych zjawiskom nadnaturalnym, głównie dzięki powodzeniu serialu *Z Archiwum X*. Błysk zgłosił do jednej ze stacji telewizyjnych projekt programu *Tajemna Strona*. Ku swemu zdziwieniu dostał ofertę realizacji swojego pomysłu, szybko jednak zorientował się, że będzie nienawidził tej pracy -

większość materiałów, które przygotowywała jego redakcja, dotyczyła pijackich majaczeń. Pograżeni w jabolowym delirium ludzie zarzekali się, że widzieli nawiedzone domy, lądowania UFO i mieli stygmaty. Błysk profesjonalnie nadzorował zachodzącą w montażowni przemianę tych bzdur w przekonujące materiały, uzyskiwaną za pomocą odpowiednich ujęć i umiejętnie dobranej muzyki. Był w tym dobry, ale w środku trząsał się z obrzydzenia, gdyż pomagał fabrykować coś, z czym zmagał się całe życie, dokładał małe cegiełki do tego muru zaciemniających prawdę kłamstw i mistyfikacji.

To wtedy natrafił na legendę o mieście widmie niedaleko Kolonii Głuszycy. Zagłębił się w ten temat z zapalem fanatyka, pieczołowicie wydzierając informacje z archiwalnych roczników gazet i ludowych podań. Po pierwszym półroczu poszukiwań uznał ją za koktajl różnych polskich baśni - legend o mieszkającej w mazurskich lasach istocie o imieniu Leszy i jej złych sługach, o panu Twardowskim, Kwiecie Paproci i tak dalej. W końcu dotarł do starszego, mieszkającego w Głuszycach człowieka, który umarł niedługo później. Opowiedział mu to wszystko, podkreślając, że to zupełnie bzdury i nikt w to nie wierzy. Sam też nie wierzył - Lustro Twardowskiego, Portret Kobiety Cmentarnej i Kwiat Paproci jako trzy Klucze mające otworzyć drzwi do tajemnego miasta, przez które Zło ma przedrzeć się na ten świat? Dla Błyska również brzmiało to dużo mniej wiarygodnie niż jakakolwiek, nawet najsłabszego sortu powieść fantastyczna. Do czasu.

Może to było przeznaczenie, że pewnego dnia otworzył gazetę i znalazł wydrukowany małymi literami anons: „LUSTRO TWARDOWSKIEGO - SPRZEDAM” oraz numer telefonu. Myślał, że jest to po prostu jakiś głupi żart, był jednak na tyle zaintrygowany, że zadzwonił na podany w ogłoszeniu numer. Gdy mężczyzna po drugiej stronie słuchawki podał cenę, Błysk był już przekonany, że ma do czynienia z jakimś wyjątkowo nedorzecznym dowcipem. Nieznajomy jednak był śmiertelnie poważny, powiedział mu, aby przyjechał obejrzeć Lustro. Błysk do dzisiaj nie wiedział, dlaczego się zgodził - może z tego powodu, iż w głosie usłyszał coś bardzo dziwnego, nieludzkiego, jakby rozmawiał z pozbawioną duszy i emocji istotą. „Jakbym rozmawiał z golemem” - pomyślał.

Błysk miał świadomość, że istnieje wiele lusterek Twardowskiego, i widział większość z nich: były to głównie przedmioty produkowane dziesiątkami w siedemnastym i osiemnastym wieku. Ich twórcy, powodowani popularnością legendy o prawdziwym lustrze, w którym można było zobaczyć przyszłość, chętnie zaopatrywali w zwierciadła co bogatsze szlacheckie dwory, gdzie służyły do podobnych rozrywek, co sto lat później seanse spirytystyczne w wiktoriańskiej Anglii. „Bujda i ściema - pomyślał. - Długi, śmierdzący szlak bujdy”.

Umówił się z mężczyzną w mieszkaniu na Mokotowie. Gdy do niego wszedł, zdziwiło go, że jest zupełnie puste - jakby człowiek był właścicielem, ale nie mieszkał tu od bardzo, bardzo dawna lub nigdy się nie wprowadził.

- Tutaj! - zawołał z głębi mieszkania posiadacz rzekomego Lustra.

Wszedł do pustego, wysokiego pokoju, w którym znajdował się tylko facet, z którym rozmawiał, ubrany w niezwykle drogi garnitur oraz zostawiającą miejsce tylko na oczy i usta kominiarkę. Przed nim, na malarskiej sztaludze, stało zasłonięte czarną krepą lustro. „Wariat” - pomyślał Błysk.

- Czy to jest lustro, w którym można zobaczyć przyszłość? - zapytał kpiąco Błysk, który w swojej trwającej całe życie batalii o prawdę natknął się już na wielu różnych, mniej lub bardziej zabawnych, psychopatów.

- Raczej pewien konkretny wycinek przyszłości - odparł mężczyzna głosem jeszcze bardziej pustym i zimnym niż przez telefon. - Własną śmierć.

- Wie pan co... - Błysk się uśmiechnął. - Nieszczerólnie panu wierzę.

- Pańska strata. Zresztą skoro pan mi nie wierzy, nie rozumiem, czemu marnuje pan mój czas - odparł mężczyzna i ruszył w kierunku wyjścia.

Błysk popatrzył na lustro. Różniło się od tych, które widział na zdjęciach bądź w różnych manuskryptach. Przede wszystkim rama wyglądała zupełnie inaczej; stylizowane na pędy bluszczu ornamenty były bardziej misterne, pokrywały powierzchnię gęstą płataniną i wykonano je z szaleńczą wręcz drobiazgowością. Ramy fałszywych lusterek Twardowskiego z reguły odlewano ze złota bądź pozłacanej stali. Tę z pewnością wykonano ze srebra. Srebro było zmatowiałe, naznaczone czasem, poczerniałe przy tafli i na końcach rzeźbionych liści. Lustro nie sprawiało wrażenia przedmiotu wyprodukowanego dla wątpliwej przyjemności bogatych szlachciców. Było stare, cenne, pełne mocy. Błysk podszedł i musnął palcami krepę, a gdy to zrobił, przez jego palce przeszła mała elektryczna iskra.

- Niech pan zaczeka! - odezwał się do mężczyzny, który był już przy wyjściu.

Ten wrócił do pokoju. Przez wycięte w kominiarce otwory patrzyły na niego oczy pozbawione jakichkolwiek emocji.

- Jest jeden sposób, aby przekonać się o jego autentyczności - powiedział mężczyzna. - Jeśli pan mi nie ufa...

Błysk kiwnął głową. „Zobaczyć własną śmierć” - przemknęło mu przez myśl. Niektórzy o tym marzą, inni nie chcieliby tego za żadne pieniądze. Ujrzeć własne, nieuniknione przeznaczenie i żyć z jego świadomością, aż się wypełni - dla psychiki większości ludzi miałyby to potężne konsekwencje. Jednak dla Błyska było i tak małym rachunkiem za otwarcie klatki, w której tkwił do tej pory, za nadanie sensu wszystkim przeżytym do tej pory latom.

- Pozwoli pan, że się cofnę - odezwał się głos. - Proszę być przygotowanym na wszystko. Lustro nie kłamie.

Ponownie zbliżył palce do krepy, czule muskając materiał. Wezbrała w nim potężna fala, zatapiająca każdą inną myśl, każde inne uczucie. Fala nadchodzącego spełnienia wymieszana z szarpiącymi go wątpliwościami, czy na pewno lustro nie jest fałszywe. Takie było przecież jego pierwsze wrażenie, a intuicja do tej pory go nie zawiodła.

Policzył do trzech w myślach i zdjął krepę.

W czarnej, matowej powierzchni coś zabulgotało, poruszyło się, jak wizja w starym i zepsutym telewizorze, po chwili bąble szarości zaczęły zmieniać się w obraz, najpierw niewyraźny, następnie coraz ostrzejszy, pełen barw. Błysk zobaczył płonące miasto. Otoczony kamienicami rynek pochłonięty białym, oślepiającym ogniem i niewyraźną postacią z rozpostartymi ramionami czcząca ogień pośrodku tego wszystkiego, witającą pożogę niczym zbawienie. Nie wiedział, czy jest tą osobą z wizji, ale czuł, że znajduje się gdzieś w płomieniach, że jest ich częścią.

Obraz zaczął przybliżać się do postaci, ale Błysk nie chciał i nie musiał dalej patrzeć. Nie myślał już o swojej śmierci. Skasował te dywagacje z głowy krótkim stwierdzeniem: umrzeć w pożarze, w kataklizmie, zdarza się, może będzie wojna, na pewno nie jutro. Zasłonił lustro krepą. Najważniejsze, że znalazł. To uczucie wypełniało go jak żywy ogień. Miał wrażenie, jakby całe życie był bliski obłądu z powodu śmierci głodowej i dopiero teraz zjadł ciepły, treściwy posiłek.

- W końcu - wyszeptał, a z jego oczu wypłynęły łzy radości.

Do pokoju wrócił mężczyzna w kominiarce.

- Czyli to wszystko prawda? - zapytał Błysk ze łzami w oczach. - Kwiat Paproci, Lustro Twardowskiego, ukryte miasto, wielka moc w lasach, wielka, prastara, starsza niż krzyż i człowiek? To prawda? Niech pan mi powie, błagam pana, niech pan mi powie wszystko, co wie.

- Jak widać, prawda - odparł człowiek głosem automatycznej sekretarki. - Ale mnie to nie obchodzi. Widział mnie pan ostatni raz w życiu. Wszystkie formalności związane ze sprzedażą

przedmiotu załatwi z panem mój asystent.

Nie zabrał Lustra od razu. Aby móc zgromadzić wymaganą przez anonimowego sprzedawcę sumę, spieniężył samochód, jedno z dwóch swoich mieszkań, większość oszczędności oraz udziały w piśmie „Necronomicon”, które zdążyło zmienić nazwę na „Ukryty Wymiar” i cieszyło się już stutysięcznym gronem regularnych czytelników. Starczyło tylko na połowę potrzebnej kwoty. By zdobyć resztę, wziął kredyt w banku, który spłacał do dzisiaj. To było oczywiście nieistotne.

Wiedział, że człowiek, od którego kupił Lustró, ma dostęp do pozostałych dwóch Kluczy - a Lustró poza tym, że pokazało mu kadr z jego śmierci, jest bezużyteczne. Próbował ustalić tożsamość tego człowieka - jednak bez skutku. Gazeta, w której było zamieszczone ogłoszenie, spółdzielnia mieszkaniowa, do której należało mieszkanie, gdzie oglądał Lustró - nikt nie potrafił bądź nie chciał naprowadzić go na jakikolwiek trop. Jakby tajemniczy sprzedawca nigdy nie istniał, tylko rozplynął się we mgłę, z której przyszedł.

Po latach bezskutecznych poszukiwań doszedł do wniosku, że prościej będzie nawiązać kontakt z kimś, kto szuka Kluczy tak samo jak on - z mocami pragnącymi dostać się za ich pomocą do świata ludzi. Z istotą nazywaną Leszym, na której tropy natrafiał w legendach i podaniach rozsianych po różnych pracach naukowych, manuskryptach, monografiach, reportażach i opracowaniach. Z Panem Ciemności, Władcą Lasów, zarządcą stworzeń, których jego wyobrażenia nie potrafiła nawet objąć.

Na początku powiesił Lustró w swoim domu, jednak pewnego wieczoru w nocy obudziły go dziwne dźwięki. Szumy, fragmenty rozmów, a przede wszystkim cichy, bardzo niski dźwięk, czarny pomruk, który wprawiał wszystkie meble w jego sypialni w lekkie drżenie. Otworzył oczy, zdjęty nie tyle strachem, co przemożną fascynacją, tak jak wtedy, gdy miał sześć lat i w rogu pokoju zobaczył widmo własnej matki. Gdy usiadł na łóżku, spostrzegł, że rama lustra lśni na czerwono jak podświetlona od środka. Wstał i dotknął jej palcem. Wrzasnął - Lustró było rozgrzane, jakby spoczywało w ogniu.

W jego głowie rozbrzmiał szept, kobiecy głos, który powtórzył kilkakrotnie jedno zdanie: „Szukają go”.

Błysk był tak podekscytowany, że myślał, iż zaraz pęknie mu serce. Jego marzenia miały w końcu się spełnić. Nie pragnął już kontaktu, odkrycia, rozpoznania, ale stania się częścią tej Mocy, jedną z tych istot. Nigdy nie chciał być głupi, słaby i śmiertelny. Nigdy nie chciał być człowiekiem.

Przekazał Lustró w ręce swojej asystentki, nakazując, aby ukryła je w bezpiecznym miejscu, ale nie informowała go gdzie. Wiedział, że ci, którzy szukają Lustra, wyciągną z niego tę informację łatwiej niż ubranie z szafy. Postanowił się z nimi spotkać. Wyjść im naprzeciw. Zawiązać pakt. To wszystko stało się szybciej, niż myślał.

Teraz, w mieszkaniu asystentki, oddychał głęboko, nieruchomo patrząc w ścianę. Za pół godziny był umówiony na dole z operatorami, technicznymi, specem od montażu oraz reporterem. Powiedział im, że jadą kręcić najbardziej sensacyjny materiał, jaki kiedykolwiek mieli w rękach. Ale tak naprawdę wiedział, że żadne zdjęcia się nie odbędą.

Istota, na której trop wpadł, lubiła jeść ludzkie mięso. Adolf Błysk po prostu chciał ją udobruchać. Olga Pralczyk wyszła z łazienki. Popatrzył w jej oczy i zrozumiał, dlaczego ta wysoka, piękna (o ile piękne może być coś martwego w środku i lodowatego) kobieta jest jedynym człowiekiem, z którym potrafi nawiązać kontakt. Ona również nienawidziła ludzi.

Adolf Błysk nie miał pojęcia, czy cokolwiek do niego czuła. Sam czuł do niej nieokreśloną mieszankę podziwu i seksualnego pociągu, ale wiedział, że gdy zajdzie taka potrzeba, ją również poświęci bez wahania.

- Ruszamy? - zapytała.

Pokiwał głową. Wstał i podszedł do drzwi. W jego sercu płonął ogień, który mógł spopielić świat. Czerń czekała. Wreszcie, po tylu latach, wyszedł jej na spotkanie.

* * *

- Nie zrobię tego - powiedział wściekły i zmęczony Tytus. - Nie umiem. Dajcie mi święty spokój. Jestem zwykłym chłopakiem. Nie umiem czytać w myślach, rozmawiać ze zwierzętami ani nic takiego.

- Od kiedy zrobiłeś się taki uparty jak osioł? - Baba-Jaga, wsparta na obwieszonym czaszkami i kamieniami kiju, była wyraźnie poirytowana. - Kiedy pojawiłeś się w Zmorojewie, raczej przepraszałeś wszystkich za to, że cię matka urodziła.

- Nie będę przepraszał za to, że jestem tu, gdzie nie chcę być i gdzie nikt nie słucha tego, co mam do powiedzenia - odparł Tytus.

Próbował znaleźć jakieś oparcie w Iskrze, ale ta siedziała okrakiem na przewróconym drzewie z fajką w ustach i szybkimi ruchami scyzoryka ostrzyła końcówkę znalezionej gałęzi. Tytus zacisnął zęby i popatrzył na leżący przed nim wieniec upleciony z gałęzi, chwastów i kwiatów, który sprawiał wrażenie tak zaszuszonego, że najprawdopodobniej dotknięcie ręki obróciłoby go w pył. A on miał go podnieść z ziemi jedynie siłą woli i skierować na swoją głowę. Nie licząc sytuacji, gdy wuefista rozkazał mu trafić dziesięć razy z rzędu do kosza, aby wyciągnąć się na cztery z wuefu, nikt nie rozkazał mu nigdy dokonania czegoś aż tak niemożliwego.

- Możesz mi przynajmniej powiedzieć, co to jest? - zapytał, patrząc na Babę-Jagę.

- Wieniec Świtezianki. - Wiedźma wzruszyła ramionami, żując coś, czego konsystencji, zapachu i pochodzenia Tytus wołał nigdy nie poznać. - Pozwala chodzić po wodzie. Zwędziłam go jej, bo łatwiej w nim poruszać się po okolicy, a ona i tak jest cały czas w malignie. Biduła, wygląda jak cielę za tym swoim myśliwym i zupełnie nie wie, co się wokół niej dzieje.

- Ciociu, nie mamy na to czasu! - zawołała Iskra. - Węszacze są na zewnątrz. Leszy ma najprawdopodobniej dwa Klucze.

Baba-Jaga stuknęła kijem o ziemię, odwróciła się do Iskry i przeszła ją wzrokiem.

- Jeśli nie mamy na to czasu, nie mamy czasu na nic, kochaniutka - warknęła. - Jeśli ten młokos nie jest w stanie zapanować nad przedmiotami Twardowskiego, nie jest w stanie zapanować nad Kluczami, a wtedy jest nam równie przydatny co to tutaj wiewiórcze gównu. Kiedyś - na pomarszczonej niczym stare jabłko twarzy Baby-Jagi pojawiło się przez chwilę coś w rodzaju rozmarzenia - kiedyś, gdy byłam dużo młodsza, załatwiałam wężaczy ot tak.

- Wtedy było skąd czerpać moc, ciociu. Wtedy było wiadomo, gdzie jest ten cały Twardowski, który nas opuścił, i nie wiadomo do dziś, gdzie się podziewa. Co do dzieciaka, panował nad Dratwą - powiedziała Iskra. - I załatał Barię. Mówiłam ci. Inaczej bym go tutaj nie przyprowadziła.

- Dobrze, jest Powiernikiem. Przecież sama to rozpoznałam. Jest nim, ale zupełnie nie wie, co z tym zrobić. Nie umie nawet zapanować nad wiankiem. I nagle ma władać Kluczami? Przecież to wymaga ludzkich lat. Wirdała poświęcił na to całe życie. - Baba-Jaga stuknęła znowu kijem i weszła do chaty. Iskra tymczasem podniosła z ziemi czerwoną substancję, którą Baba-Jaga wymieszała w misce, i zaczęła wcierać ją w ostrze gałęzi.

Tracili tu czas i to doprowadzało go do furii. Dalej nie wiedział, co dzieje się z Anką i z dziadkami. W jego głowie kłębiły się najczarniejsze scenariusze, mnożąc się i łącząc w milionach wariantów. Najchętniej wrzasnąłby, pozostawił te dwie szalone kobiety we własnym towarzystwie i pobiegł przed siebie, tak jak ostatnim razem. Jedyne, co go przed tym powstrzymywało, to

zdrowy rozsądek: nie miał najmniejszej ochoty na kontakt z istotą, przed którą razem z Iskrą uciekali z lasu.

Tytus po raz pierwszy w życiu nie myślał o konsekwencjach niespełnienia czyichś poleceń, nie bał się konfliktów. Nie przerażało go bycie niesubordynowanym. Dotychczas posłusznie wypełniał polecenia nauczycieli, rodziców, kumpli. Mówienie „nie” w jego mniemaniu powodowało zbędne problemy, balast zupełnie niepotrzebnych wydarzeń, bo najważniejsze w życiu były przecież książki, komputer i święty spokój. Nagle w jego życiu pojawił się ktoś, dla kogo warto było się zbuntować, bez względu na konsekwencje. Co więcej, wiedział, że ten ktoś, Anka, zrobiłby na jego miejscu to samo. Tytus nie mógł jej zawieść. Cokolwiek się z nią działo.

- Mówisz, że różnisz się od reszty ze Zmorojewa! - krzyknął do Iskry, wstając i kopiąc leżący na ziemi wieniec, który, o dziwo, się nie rozsypał. A robisz dokładnie to samo, wszystko zasłaniasz jakąś głupią tajemnicą, nie mówisz mi, co zamierzamy robić. Jeśli te istoty łążą w najlepsze po świecie ludzi, moja rodzina jest w niebezpieczeństwie. Większym niż ci, którzy siedzą sobie spokojnie w Zmorojewie.

- Oni zginą pierwsi - powiedziała Iskra.

- Nie obchodzi mnie to - odparował Tytus, starając się nie wrzeszczeć. - I ciebie też nie.

Zróbmy coś. Ruszmy się stąd.

- Myślisz, że nie interesuje mnie, co się stanie z moim ojcem? - Iskra popatrzyła na niego uważnie, po czym musnęła palcem końcówkę kija. Odstawiła go na bok i zabrała się do strugania następnego. Gdy zauważyła, że Tytus stoi cały czas i nieustępliwie na nią patrzy, dodała: - Ruszmy. Tylko musimy wymyślić, co zrobić. Nie mamy jak się bronić. Dobra, jesteś Powiernikiem. Słudzy Leszego nie mogą cię zabić, może to zrobić tylko drugi człowiek. Ale powiedz, chcesz bezsilnie stać i patrzeć, jak twoi bliscy giną w męczarniach?

- Mniej więcej właśnie to robię! - krzyknął Tytus. Iskra nawet na niego nie spojrzała, więc wrzeszczał dalej: - Ruszmy się! Zróbmy coś! Zadziałajmy! Chcesz tu siedzieć, strugać kijki i maczać je w czerwonej farbie? Po to mnie tu przyprowadziłaś? Dokładnie po to?

- Jesteś jak małe dziecko. - Pokręciła głową, cały czas uważnie obserwując patyk, jakby był jakiś przemyślnym urządzeniem. - Dziecko, które wie, że i tak we wszystkim będzie wyręczone. Stoisz, tupiesz nóżką i czekasz, aż matka poda ci jedzenie na stół. Skoro chodzi o twoich bliskich, to może sam ustalisz jakiś plan działania i nam go przedstawiś, zamiast drzeć się na mnie, kiedy robię coś bardzo ważnego. Mówisz, że jesteś w jakiejś sytuacji wbrew swojej woli. Gdybyś nie był dzieckiem, zrozumiałbyś, że na tym polega większość czasu, jaki dano ci na tym świecie.

Iskra spojrzała na niego, a raczej odrobinę ponad niego, i po raz pierwszy, odkąd ją poznał, wybuchnęła głośnym, perlistym śmiechem.

- O co ci chodzi?! - wrzasnął Tytus, tracąc resztki samokontroli.

- Masz coś na głowie - odparła dziewczyna, smarując czerwonym płynem kolejny kijek.

Tytus dotknął głowy i poczuł pod palcami coś suchego i kłującego. Zdjął to i stał tak przez chwilę, patrząc na wieniec.

Z chaty wyszła czarownica, podpierając się laską, i podeszła do Iskry i Tytusa.

- Chodźcie do środka, bo robi się ciemno, i pewnie tu przyleżą, cholery jedne.

Rzeczywiście, zaczęło zmierzchać i niebo momentalnie załało się tym sztucznym, znanym ze Zmorojewa różem, jakby pogoda w tym miejscu była wypadkową zwykłych pór dnia ludzkiego świata i sztucznego nieba zawieszzonego nad Zmorojewem. Iskra kiwnęła głową, zabrała dwa zastrzone patyki ze sobą i pokazała Tytusowi ruchem głowy, aby udali się do środka. Czarownica wpuściła ich, po czym rozejrzała się po obejściu, wyciągnęła z kieszeni garść srebrzystego proszku, wysypała na próg chaty i zamknęła drzwi.

Tytusa wcale nie zdziwiło to, że wewnątrz domu Baby-Jagi było dużo większe, niż się spodziewał, patrząc na budynek od zewnątrz. Chatę przedzielono na dwa wielkie pomieszczenia - jedno z nich spełniało funkcję kuchni, paleniska oraz warsztatu pracy. Na zbitych z desek półkach piętrzyły się aż po sufit alembiki, butelki, słoje, wiadra, zasuszone pęki roślin, wypchane zwierzęta oraz grube, pożółkłe księgi, oprawione w zwierzęcą skórę. Sufit pokrywał namalowany białą farbą okrąg z czterema wychodzącymi w cztery strony świata strzałkami oraz figurą kobiety, trzymającą w jednej dłoni klucz, a w drugiej miecz. Z sufitu zwisały pęki czosnku, splecione w grube węzły zasuszone płachty ziół i grzybów, korale. Wszystkie te przedmioty wydzielaly tak niemożliwą do opisanania, intensywną falę zapachów, że Tytusowi trudno było to znieść. Czuł, że zaczyna mu się robić niedobrze.

Baba-Jaga napaliła w piecu, sprzątnęła ze stołu i postawiła na nim trzy miski, co do których zawartości Tytus, pamiętający dietę w Zmorojewie, żywił poważne obawy. Okazało się jednak, że jest to po prostu zwykła biała fasola z masłem i solą. Kolację zjedli w milczeniu - Tytus nie zamierzał powtarzać któryś raz z rzędu swoich racji, a Iskra i Baba-Jaga nie chciały się z nim wdawać w dyskusje. Może Iskra miała rację, że zachowuje się dziecinnie, robiąc wszystkim wyrzuty, zamiast wpaść na jakiś pomysł, ale jak coś wymyślić, skoro przed nim były same niewiadome i nie wiedział o sobie zupełnie nic poza tym, że umie bez użycia rąk zakładać sobie na głowę jakieś durne wianki?

Tytus z każdą łyżką robił się coraz bardziej senny i ociężały - nagle poczuł, jakby nie spał od dobrych paru dni, a wszystkie wydarzenia ostatnich kilkunastu godzin: zaszywanie Bariery, przeprawa przez błoto oraz ucieczka przed węższaczem, dały o sobie znać, bolały go wszystkie mięśnie. Pod koniec posiłku, który rozlewał się po jego ciele kojącym i usypiającym ciepłem, miał problemy z utrzymaniem otwartych powiek.

- Idę się położyć - rzucił do Iskry, a ta kiwnęła głową.

- Cokolwiek się jutro wydarzy - powiedziała Iskra, patrząc na niego uważnie - lepiej, żebyś był wyspany.

Kiwnął głową i przeszedł do drugiego pokoju, mniejszego pomieszczenia, które składało się z półek pokrytych pokąsnym i wydzielającym dziwny spleśniały zapach księgozbiorem oraz położonych na ziemi materaców, koców i sienników. Nie zdejmując ubrania, runął na tę stertę i momentalnie usnął.

* * *

Obudziły go ciche, ledwo słyszalne, nałożone na siebie głosy zza ściany, jak gdyby w pokoju obok ktoś zapomniał wyłączyć radia. Przez chwilę wydawało mu się, że jest u siebie w domu - jego tata bezwarunkowo potrzebował czegokolwiek gadającego, aby zasnąć, dlatego z reguły rodzice Tytusa spali w osobnych pokojach.

Gdy otworzył oczy, szybko się zorientował, że jest bardzo, bardzo daleko od domu, a głosy zza ściany należą do Iskry i Baby-Jagi, dyskutujących o czymś żywo, choć cicho.

- Jesteś tego pewna, kochaniutka? - zapytała Baba-Jaga.

- Sam to powiedział. - W głosie Iskry słychać było silne podenerwowanie. - Karmiące odwiedziły dom tych dziadków. A człowiek, który tam był, przeżył. Co znaczy, że musieli mieć maść obrony. Mój ojciec zostawił ją tylko jednej osobie.

Podniósł się i najciszej, jak umiał, przysunął się do drzwi. Przystawił do nich ucho.

- No, ale to nie może być jej syn! - powiedziała Baba-Jaga. - Pamiętam, ile ludzkich lat temu odparliście atak. Jest za młody, on przecież jeszcze mleko ma pod nosem, nie włosy. A jej syn to musi być dorosły chłop.

Zapanowała cisza, przerywana tylko dobiegającymi zza nieszczelnego okna odgłosami lasu.

- To przechodzi na co drugie pokolenie - tłumaczyła Iskra. - Ludzie nazwaliby to genem.

Tytus nie rozumiał, o czym rozmawiają kobiety. A może już rozumiał, na jakimś głębszym poziomie swojego mózgu, ale wypierał jako coś niemożliwego niczym człowiek, który próbuje gwałtownie zapomnieć pożar własnego domu.

- Jej syn byłby jak normalny człowiek - ciągnęła Iskra - ale wnuk mógłby być taki jak mój ojciec.

- No tak. - Baba-Jaga westchnęła. - A Zmora wybiera tylko mieszańców. I może wybrała go na Powiernika, bo jest jedynym żyjącym mieszańcem.

Gdy Tytus usłyszał ostatnie dwa zdania, gwałtownie się podniósł, uderzył czubkiem głowy o ciężką mosiężną kłankę. Ból przeszył całe jego ciało; w ostatniej chwili Tytus zacisnął dłoń na ustach, aby nie wrzasnąć. Z oka popłynęła mu łza.

Babę-Jagę i Iskrę widocznie dobiegł hałas, bo nagle zamilkły. Tytus usłyszał tylko jeszcze jedną, wyszeptaną komendę:

- Bądź cicho.

- Wiem.

Tytus cofnął się i usiadł na materacu. To dlatego nie chciały mu nic powiedzieć. To z tego powodu wszystko trzymano w sekrecie. Po chwili jednak odsunął od siebie tę myśl; to przecież niemożliwe, to absolutna pomyłka, coś musiało się komuś poplątać.

Chłopak gotował się od emocji. Kobiety milczały. Wiedział, że zaraz, dosłownie za chwilę, wejdzie tam i powie im, co myśli o tym wszystkim - o bzdurnych teoriach, o niewyjawianych sekretach, o traktowaniu go jak tępego dziecka, przed którym wszystkie poważniejsze sprawy trzeba ukrywać.

I co to za pomysł? O czym one gadają? Że niby Strąg jest jego prawdziwym dziadkiem? To jakieś szaleństwo, w którym nie miał ochoty uczestniczyć nawet za cenę spotkania z wężaczami i karmiącymi. Przypomniał sobie, co powiedziała Iskra. Jeśli rzeczywiście jest Powiernikiem, oznacza to, że potwory nie mogą go skrzywdzić i że może spokojnie dotrzeć do Głuszczy.

Tytus postanowił się stąd wydostać jak najszybciej, zostawić te dwie wariatki i nie spotkać ich już nigdy. Jedyne, na co teraz czekał, to aż przyjdą mu do głowy odpowiednie słowa na do widzenia.

- Wie, że tu jesteśmy. Zaraz zrobi to znowu - usłyszał cichy szept.

Znowu? Przecież Tytus nawet się nie poruszył.

I wtedy dobiegł go znany mu dźwięk.

Głęboki i niski, jakby pod podłogą przejeżdżał podziemny pociąg. Niczym chwilę przed trzęsieniem ziemi, przez całe pomieszczenie przeszły potężne wibracje.

Usłyszał, jak Iskra wybiega z chaty, trzaskając drzwiami, usłyszał brzęk spadających na podłogę przedmiotów, odgłosy paniki i obrony. Odwrócił się w stronę okna, za którym rozpościerała się ciemność nieprzełamana nawet światłem księżyca. I wtedy powietrze przeszył wrzask, skrzekliwy, charczący krzyk czegoś bardziej niebezpiecznego niż jakiegokolwiek zwierzę, krzyk, który już raz dzisiaj usłyszał.

Rozległ się dźwięk, jakby pazur potarł o szybę. Tytus cofnął się pod ścianę. Już wiedział, że gdy Iskra mówiła: „Wie, że tu jesteśmy”, nie jego miała na myśli.

Szyba pękła z trzaskiem na miliony drobin i wężacz wdarł się do środka.

Pomimo mroku Tytus widział istotę bardzo wyraźnie, lśniła bladym, złym blaskiem. Stała naprzeciwko niego, dysząc z głodu i nienawiści, i chłopak wiedział, czuł, że w jej ciele nie płynie krew, tylko czerń, gęsta i półpłynna, taka jaką zobaczył za pęknięciem Bariery.

Wszystkie inne odgłosy stały się przytłumione. Głosy Iskry, Baby-Jagi, krzyki, tupot nóg, zamykanie i otwieranie drzwi - słyszał to wszystko zza ściany, jakby woda wlała mu się do uszu. Powoli człapiąc, istota zbliżyła się do niego i przystanąła, drepzcząc w miejscu. Obeszła go w kółko, bawiła się nim, jakby wiedziała, że Tytus nie może nigdzie uciec. Poruszała się bardzo powoli, pokazując cały garnitur zębów, wywalając na zewnątrz zwisający jak płat zepsutego mięsa, pokryty śluzem ozór.

Chłopak stał sparaliżowany ze strachu. Nozdrza wężacza pracowały jak oszalałe. Jedyne, co sprawiło, że Tytus jeszcze nie oszalał z przerażenia, to kołatająca się w nim nadzieja, że Iskra miała rację, że sługi Leszego nie mogą mu tak naprawdę nic zrobić.

Istota podeszła do niego na odległość wyciągniętej ręki, zatrzymała się i zrobiła jeszcze jeden krok. Tytus oddychał nerwowo. Wężacz rozwarł szczęki i przybliżył je do twarzy chłopaka. Z jego paszczy dobywał się trudny do opisanego smród, odór stęchlizny, czegoś organicznego, co gniło w ziemi od wielu setek lat. Tytus słyszał kiedyś, że człowiekowi w obliczu śmierci przelatuje w głowie całe życie, niczym kilkudziesięciokrotnie przyspieszony film. W jego głowie wyświetlał się raczej trailer. Najważniejsze fragmenty, a może nie tyle fragmenty, co osoby.

Mama. Tata. Babcia. Pitoń i Grubson. Dziadek. Anka. Anka. Anka.

Tytus nagle się rozplakał, głośno i zupełnie niebohatersko. Zaczął się trząść, z nosa mu ciekło i musiał oprzeć się o ścianę, aby nie opaść na kolana. „Jestem Powiernikiem, o Boże, Boże, spraw, aby to była prawda, abym był Powiernikiem, aby to cholerstwo z piekła rodem nie mogło mnie tknąć. Muszę przecież jeszcze raz zobaczyć Ankę. Muszę. Muszę. Muszę”.

Poczuł, że zaczyna go boleć głowa. Tak jak wtedy, gdy stał przed tłumem w sali zebrań Zmorojewa.

Wężacz rozdziawił paszczę jeszcze szerzej, jakby chciał na raz odgryźć Tytusowi całą głowę, i nagle głośno kłapnął zębami przed jego twarzą, przegryzając powietrze. Przez dwie sekundy stał bez ruchu, zdziwiony. Z oczu Tytusa znów popłynęły łzy. Bardzo, bardzo się starał zachować resztki odwagi i skupiał się z całych sił na tym, aby były jedynym wyciekającym z niego płynem. Dzięki temu nie wpadał w totalną panikę. Zawdzięczał to również faktowi, iż głowa bolała go z sekundy na sekundy coraz mocniej.

Wężacz ponownie kłapnął zębami o milimetr przed twarzą chłopaka. Tytus odruchowo krzyknął.

I wtedy trzasnęły drzwi. Wężacz odwrócił się w ułamku sekundy, nie z powodu dźwięku, ale raczej zapachu Iskry, stojącej z zaostrzonym, pokrytym czerwoną mazią patykiem. Tą samą mazią miała wymalowaną twarz.

- Chodź tutaj, gównojadzie! - warknęła. - No, chodź.

Tytus usiadł. Obrazy zaczęły przesuwają się przed jego oczyma w zwolnionym tempie. Chciał powiedzieć Iskrze, aby uciekała, aby zostawiła go w spokoju, ale było za późno. Nie zdążyła nawet pchnąć swojej broni w kierunku potwora, gdy ten jednym zwinnym ruchem doskoczył do niej, wytrącił jej kij z rąk i szybciej niż trwałoby mrugnięcie oka, z całej siły popchnął dziewczynę na ziemię.

- Iskra! - krzyknął Tytus, podnosząc się. - Iskra, uciekaj!

Lecz ona leżała, sparaliżowana strachem, wpatrzona w potwora, który człapał wokół, bawiąc się nią niczym kot swoją zdobyczą. Co chwila pochylał się i węszył, a jego nozdrza przypominały skrzydła potwornie zmutowanego kolibra.

„On rozkoszuje się jej zapachem - pomyślał Tytus. - Jak człowiek przed posiłkiem”.

Młody Grójecki podniósł się i oparł o ścianę. „Jestem Powiernikiem” - pomyślał.

Recytował to zdanie jak modlitwę, a z każdym kolejnym powtórzeniem na jego czoło napierało

coraz większe ciepło. Chwycił się za głowę i chwiejnym krokiem podszedł w kierunku potwora.

„Jestem Powierni...” - chciał krzyknąć, ale wtedy do pomieszczenia wpadła Baba-Jaga, zdyszana, z dodatkowym kompletem kresek namazanych pod oczyma, tym razem czerwonych, i cisnęła w twarz potwora srebrnym pyłem, którym posypywała próg swojej chatki. Ten tylko parsknął, niczym człowiek, któremu nad morzem wiatr dmuchnął w twarz odrobiną piasku z wodą.

- O święty lesie! - wycharczała Baba-Jaga. - Jesteście inni. Już nie reagujecie...

Nie zdążyła dokończyć zdania, gdyż potwór przejechał jej po twarzy szponami. W powietrze trysnęły strużki krwi. Czarownica przeciągle wrzasnęła. Potwór chwycił ją w patykowate, niekształtne łapy i cisnął nią niczym zabawką na stół. Padła jak szmaciana lalka, roztrzaskując wszystko, co leżało na blacie.

- Ciociu! - wrzasnęła Iskra, próbując podnieść się z ziemi. Węszacz był szybszy, szarpnął ją za poły ubrania i uderzył nią o ścianę. Iskra odbiła się od niej z całym impetem, po czym, głucho pojękując, osunęła się na ziemię.

Tytus stał i patrzył na to wszystko jak na film w zwolnionym tempie. Ból głowy rozsadał mu czaszkę. Dotknął czoła. Było tak rozpalone, że aż parzyło.

- Słuchaj mnie - powiedział do potwora, przynajmniej miał taką nadzieję, ponieważ prawie nie słyszał swojego głosu. Ten nie zareagował, znowu przesuwając łeb nad skuloną Iskrawą i wciągając jej zapach.

- Słuchaj mnie! Jestem Powiernikiem, ty bydlaku, Władcą Kluczy, i mogę bronić się zarówno przed tobą, jak i innymi takimi samymi łachudrami jak ty! - krzyknął z całych sił.

Potwór zatrzymał się i odwrócił łeb w jego kierunku. Cicho dyszał. Tytus zorientował się, że bestia nie może go słyszeć - tak jak oczy miała pokryte bielmem, miejsce małżowin usznych było zarośnięte. Reagowała jednak na jego głos, tak jakby razem z nim wysyłał sygnał, który docierał do istoty, jakiś strumień energii. Głowa paliła Tytusa niczym trzymana w nagrzanym piekarniku.

- Jestem Powiernikiem, ty chodzący glucie, i podejdź tutaj, jak jesteś taki mocny! - wrzasnął, wiedząc, że w tej sytuacji nie ma już nic do stracenia.

Potwór zrobił krok w jego stronę i znów stanął. Otworzył szczękę i kłapnął zębami, jakby ziewając. Tytus krzyknął jeszcze raz i zauważył, że istota zaczyna delikatnie drżeć i kolebać się na piętach.

Na długie, rozciągnięte jak stopiona guma sekundy zapanowała cisza. Przeszył ją cichy świst. Świst noża z wymalowanym czerwoną mazią ostrzem, który zagłębił się w czaszce wężacza z obrzydliwym chrupnięciem.

Stwór zawył. Tytus myślał, że pękną mu bębenki. Istota zaczęła chaotycznie poruszać łapami wokół głowy, próbując wyjąć nóż. Chłopak cofnął się pod ścianę. Strąk wskoczył do środka, podbiegł do wężacza, zręcznie niczym wojownik z filmów karate unikając jego zamachów, wyszarpnął nóż i wbił go jeszcze raz w ciało istoty, tym razem prosto w nos. Stwór ryknął ponownie, a Strąk w ostatniej chwili odskoczył przed jego ciosem.

- Idioci! - Tytus wyczytał to słowo z ruchu jego ust, ponieważ piekielny wrzask wężacza, brzmiący jak chór zarzynanych kotów, rozsadał pomieszczenie.

Gdy potwór resztkami sił próbował wyciągnąć ostrze z nozdrzy, Strąk przekręcił nóż o dziewięćdziesiąt stopni. Coś chrupnęło, a istota zaczęła marszczyć się i gasnąć, jakby nagle wyciekła z niej cała zła czarna ropa, która pozwalała jej żyć, polować i jeść.

Mężczyzna wyszarpnął ostrze, a wężacz upadł na ziemię jak bezwładny worek. Tytus oddychał głęboko. Strąk podszedł do córki i podniósł ją z ziemi.

- Co ty tu robisz? - zapytała drżącym głosem. Roztrzęsiona, chwytła się go, próbując złapać równowagę.

- Masz mnie za durnia? - odparł, wyraźnie poirytowany, ale w relacji ojców i córek to chyba normalne. - Przecież nie będę siedział w Zmorojewie i patrzył, jak Leszy wdziera się i pali całe miasto, aby się wydostać. Nie będę również puszczał cię samopas, abyś władowała się od razu w jakieś kłopoty tak jak teraz.

Iskra pokiwała głową i zrobiła parę ostrożnych kroków. Gdy spojrziała na kuchnię i leżącą bez ruchu na stole Babę-Jagę, wybuchnęła płaczem.

- Ciocia - załkała. - Zobacz, to coś zraniło ciocię.

Tytus ruszył wraz z nimi do kuchni. Stanęli we trójkę nad Babą-Jagą. Żyła, ale oddychała ciężko i chrapliwie, całą jej twarz pokrywała skorupa krwi składająca się z trzech głębokich, paskudnych szram po pazurach wężacza, z których jeden pozbawił ją prawego oka.

- Ciociu! - Iskra, zalana łzami, klęknęła przy czarownicy i chwyciła ją za dłoń.

- Nic jej nie będzie, wylizywała się z gorszych ran - powiedział Strąk, niby pewnie, ale delikatnie dotknął twarzy czarownicy. - Musimy ruszać, ciociu, musimy iść do świata ludzi, bo tylko tam została resztką czegoś, co zadziała w starciu z tymi potworami - wyjaśnił.

Czarownica w odpowiedzi z trudem jęknęła. Tytus patrzył na nią uważnie, gdy próbowała otworzyć sprawne oko, i zdał sobie sprawę z tego, że kosztuje ją to niebotycznie wiele wysiłku.

- Bariera pęka, odłazi całymi płatami. Leszy wysyła na jej granicę całą armię stworów. Przenieśliśmy Barierę przed stację kolejową. Wzgórze zamku Mistrza załała już czerń. - Strąk mówił do czarownicy spokojnie i miękko, jak do dziecka, jakby te słowa miały zasklepić jej rany i ją obudzić. - Tylko starzy Strażnicy mają jeszcze eliksiry, które przygotował Mistrz Twardowski, te, które dostali podczas ostatniej bitwy - mówił dalej. - Musimy je od nich odzyskać i wracać do Zmorojewa. Musimy bronić się ze wszystkich sił, dopóki Powiernik nie przejmie kontroli nad Kluczami.

Wymawiając słowo „Powiernik”, popatrzył na Tytusa, a ten dotknął odruchowo swojego czoła. Było zimne jak lód, jednak chłopak nagle poczuł się zupełnie wyczerpany, jak po walce z długą chorobą.

- Ten smarkul nie umie nawet włożyć sobie wianka na głowę - wyrzęziła czarownica, próbując podnieść głowę - więc nie wiem, zakuty łbie, jak ch... jak chcesz sprawić, aby zapanował nad Kwiatem albo Zwierciadłem.

Tytus w pierwszym odruchu chciał powiedzieć Babie-Jadze, że owszem, nie wie jeszcze do końca jak, ale w końcu włożył sobie na głowę ten cholerny Wianek. Jednak nie powiedział nic - czarownica mówiła resztką sił, trzymając dłoń na klatce piersiowej.

- Ciociu! - załkała jeszcze raz Iskra. - Ciociu, proszę cię. Ciociu!

- Przes... przes - Baba-Jaga zarzęziła jak gruźlik - przestańże beczeć, no. Nie... nie mogę iść z wami. Nie dam rady. To już chyba rzeczywiście końcówka. Tyle lat... - Zacharczała. - Tyle lat, w zasadzie po nic. Setki lat zbierania, leczenia, suszenia, czarowania, doglądania. Pomagałam ludziom, chociaż nikt z nich nawet nie zauważył mojej starej gęby. Tyle lat trzymania tego wszystkiego, co złe i czarne, z dala od nieświadomych niczego, śmiertelnych biedaków. Tyle lat gadania ze zwierzętami, bo przecież nawet nie było specjalnie z kim pogadać.

Tytus znowu zapłakał bezgłośnie. Dotarło do niego, że Baba-Jaga umiera. Nigdy nie widział niczyjej śmierci. Jak większość ludzi, nie chciał jej oglądać. Czarownica z wielkim wysiłkiem podniosła głowę; Iskra szybko podłożyła pod nią jedną z poduszek.

- Mocno mnie szarpnął - mówiła z trudem - ten czarny szlam wlał mi się do środka. Ga... gaśnie we mnie światło i nie chce, nie chce mi się go podtrzymywać. Nie mam siły. Setki lat starości, tyle lat starości. Już wystarczy.

- Ciociu, proszę - płakała Iskra i wtuliła głowę w jej dłońie. Baba-Jaga, bajkowa, żyjąca

setki lat postać, była też po prostu zwykłym starym człowiekiem. - Nie mów tak. Odzywaj się do mnie, ale nie opowiadaj takich rzeczy.

Ale Baba-Jaga już milczała, zamknęła oczy i oddychała spokojnie, splatając na piersi pokryte gruzłami żył i plamami wątrobowymi dłonie z niebieskimi kropkami na knykciach.

- Zostawcie ją - powiedział Strąk do Tytusa i Iskry. - Nic jej nie będzie. Potrafiła oberwać dużo mocniej i zawsze się z tego wylizywała. Przeżyła trzy spalenia na stosie. To twarda kobieta.

Iskra popatrzyła na niego z oczyma pełnymi łez i wtedy w twarzy Strąka również się coś zmieniło. Po chwili odwrócił głowę i ruszył w kierunku wyjścia.

- Jesteś bez serca! - krzyknęła za nim Iskra. - Przynajmniej przenieśmy ją na łóżko.

- Powiedziałem, nic jej nie będzie - odparł, nie odwracając się - a nawet jeśli stanie się inaczej, to ona zawsze robi to, co dla niej najlepsze. Za mną.

Tytus wziął plecak Anki z pokoju, w którym leżał martwy, czerniejący i wysuszony wężacz. Wyszedł z chaty. Iskra roztrzęsiona, z białymi smugami łez w pokrywającej jej twarz czerwonej farbie również ruszyła za ojcem.

Stanęli na zewnątrz. Niebo było zupełnie ciemne, ale nad ziemią unosiła się dziwna biała poświata, pochodząca ze strzępów mgły, lekko lśniącej w ciemności. Gdzieś w oddali było słychać nawoływania trudnych do zidentyfikowania zwierząt. Tytus podszedł do Strąka i popatrzył na niego.

- Dokąd idziemy? - zapytał, wpatrując się w drogę przed sobą.

- Idziemy tam, gdzie tak bardzo chciałeś iść - odparł mężczyzna. - Do świata ludzi, do domu twoich dziadków.

- Czemu? - zapytał Tytus. - Skąd ta nagle zmiana planów?

- Mówiłem już - odparł Strąk. - Zło krąży wokół Zmorojewa. Nie mamy żadnych środków do obrony. Wszystkie eliksiry, przedmioty, które zostawił nam Jan Twardowski, człowiek, który stworzył Zmorojewo, skończyły się albo zostały zniszczone. My sami nigdy nie potrafiliśmy ich produkować, władać magią w taki sposób.

- A ten czerwony płyn? - zapytał Tytus.

- Baba-Jaga potrafiła... potrafi go uzyskiwać. - Strąk pokręcił głową. - Ale na dłuższą metę jej zaklęcia i eliksiry nic nikomu nie dadzą. Mogą pomóc powstrzymać jednego czy dwóch zabłąkanych człowieczych. Aby zabić wężacza, jeśli jakimś cudem uda się go zranić w nozdrza, czy żarłacza, jeśli będziesz w stanie trafić w jego gardło. Ale jeśli tych stworów będzie pięćdziesiąt? Sto?

- Więc w czym ma ci pomóc moja babcia? - zapytał Tytus, wyobrażając sobie nagle Marylę Grójecką wychodzącą w ortalionowym dresie naprzeciwko armii potworów takich jak ten, z którym walczyli przed chwilą w chacie czarownicy. Przyznał w duchu, że pomimo wydarzeń ostatnich dni byłaby to najbardziej nieprawdopodobna rzecz, jaką by zobaczył.

- Tylko Strażnicy, twoi dziadkowie, ludzie, z którymi kilkadziesiąt lat temu odparliśmy atak Zła, mają resztki tego, co może pokonać czerń. Musimy do nich iść i walczyć z Leszym w świecie ludzi. To nasza ostatnia nadzieja. Oni mają już dwa Klucze. Niedługo będą mieli trzeci. Przywiezie im go człowiek.

- Skąd to wiesz? - zaciekał się Tytus, ale Strąk nie odpowiedział. Chciał zapytać go o coś jeszcze, o to, o czym w kuchni rozmawiały Iskra i Baba-Jaga, ale nie zdobył się na odwagę. Ruszyli w las szybkim, równym tempem, a z minuty na minutę na czarnym niebie pojawiało się coraz więcej gwiazd.

* * *

Anka stała już na stacji benzynowej dobre dwie godziny. Zrobiło się chłodno, więc wyciągnęła z plecaka bluzę z kapturem, włożyła ją i naciągnęła kaptur na głowę. Stała z boku, paląc papierosa i popijając ohydą kawę z automatu, która, nie wiedząc czemu, pachniała gorącym kubkiem o smaku zupy grzybowej.

Nikt nie chciał jej zabrać, może poza samotnymi facetami, ale tych nawet o to nie pytała. „Jeszcze nie oszalałam do reszty” - pomyślała. Dwa razy uciekła za stację, chowając się za butlami propanu-butanu; raz, gdy jeden z owych samotnych facetów, nalany, łysiejący prosiak z rzadkimi wąsami i w taniej koszuli w kratę, po zatankowaniu zaczął chodzić dookoła swojego lanosa i dziwnie na nią zerkać, udając, że szuka jakichś niewidocznych zadrapań na karoserii. Drugi - gdy była prawie pewna, że na stację wjeżdża samochód jej rodziców.

Przez chwilę myślała o tym, aby wysłać mamie SMS-a w rodzaju: „Nie będzie mnie parę dni, wszystko w porządku, bla bla bla”. Jednak zrezygnowała. Zbyt wiele razy matka napsuła jej krwi, aby teraz przejmowała się jej samopoczuciem. Nawet jeśli oszaleje z troski, obdzwoni wszystkie szpitale i komisariaty w Unii Europejskiej i zniszczy sobie wątrobę środkami uspokajającymi - zasłużyła na to. Zresztą Anka szczerze wątpiła, czy jej matka w ogóle będzie to robić.

„Ktoś mógłby przyjechać” - przemknęło jej przez myśl, kiedy dreptała w miejscu i piła łyk ohydnej kawy. Wyrzuciła w połowie pełny kubek, napój stracił swój jedyny atut, czyli ciepło. Zirytowana, schowała ręce do kieszeni i zaczęła pogwizdywać. Nigdy w życiu nie jechała stopem i nie spodziewała się, że złapanie okazji będzie takie męczące i wymagające cierpliwości. Miała już tego serdecznie dość i zastanawiała się, czy nie położyć się spać gdzieś na polu, paręset metrów od stacji, i próbować dostać się do Głuszyc rano.

Zrezygnowana podeszła do jakiejś otyłej, czteroosobowej rodziny, która gramoliła się ze starego forda na śląskich rejestracjach.

- Przepraszam, w którą państwo jadą stronę? - powtórzyła wyklepaną formułkę okraszoną standardowym wyszczerzonym uśmiechem. - Może na Gdańsk?

Ojciec rodziny nawet jej nie zauważył, matka popatrzyła na nią zdegustowana, jakby była krzyżówką człowieka i jakiegoś ohydneho gada, natomiast obrzydliwie gruby syn w wieku około czternastu lat, zapijający snickersa tanim napojem energetycznym, odwrócił się do niej i plując drobinami batona, zapytał:

- A co cię to w ogóle obchodzi?

Anka westchnęła i wróciła na stację. Przystanąła przy stoisku z gazetami i zaczęła oglądać po raz kolejny ten sam numer jakiegoś młodzieżowego pisemka, w którym były rady, jak zdać do liceum, i testy wyboru sprawdzające, do jakiej polskiej wokalistki pop jest się podobnym. Dziewczyna miała tylko nadzieję, że facet za ladą nie każe jej kupić któregoś z tych szmatławców pod groźbą wyrzucenia ze sklepu.

Pochłonięta lekturą artykułu o czternastoletnich matkach, nie zauważyła, że na stację podjechał znajomy samochód. Srebrne audi A4, prowadzone przez doskonale ubraną kobietę z zimną jak lód twarzą, ze starszym, rozgorączkowanym facetem ze śmieszoną muszką siedzącym na miejscu pasażera.

Kobieta wysiadła, skierowała się do sklepu i podeszła do regału z napojami energetycznymi. Rozejrzała się i gdy zobaczyła Ankę, podeszła do niej ze sztucznym uśmiechem.

- Co za spotkanie!

- Pani... pani Olga, tak? - zapytała Anka, szczerze zdziwiona, przypominając sobie kobietę i to, co mówił o niej Tytus: o tajemniczych telefonach i o nagłym zniknięciu.

- Tak, to ja - odparła. - Co ty tutaj robisz? Czekasz na rodziców?

Anka rozejrzała się nerwowo po sali, przełknęła ślinę i uśmiechnęła się do kobiety. „Może zareagować różnie - pomyślała. - Jeśli usłyszy prawdę, może zawieźć mnie z powrotem do rodziców. Ale z drugiej strony jest całkiem młodą babką, może okaże się w miarę normalna, a przede wszystkim stanowi jedyną szansę na wydostanie się z tej przeklętej stacji”.

- Nie, nie czekam - powiedziała Anka, przylepiając do twarzy znowu swój wyjściowy sztuczny uśmiech. - Czy mogę zapytać, dokąd pani jedzie?

Olga wybuchnęła śmiechem.

- Młodość - skwitowała, kręcąc głową. - Też kiedyś podróżowałam trochę autostopem. Twój rodzice, mam nadzieję, o wszystkim wiedzą?

- Tak, oczywiście. - Anka kilka razy kiwnęła głową. - Są bardzo liberalni. Czy jedzie pani może drogą na Gdańsk?

- Wypad nad morze, co? Właściwie to tak - odparła Olga, odwracając się i ruszając w stronę kasy. - Na wysokości Olsztyńska skręcamy na Szczytno. Ja i pan Błysk wybieramy się z ekipą do Głuszyc. Będziemy tam kręcić reportaż do *Tajemnej Strony*. Znasz ten program, prawda?

Ance zabiło serce.

- To doskonale się składa! - powiedziała, nie umiając ukryć ekscytacji. - To naprawdę doskonale się składa.

- Też jedziesz do Głuszyc? - Olga się uśmiechnęła, podając kasjerowi kilka napojów energetycznych, dorzucając do tego opakowanie gum do żucia i kładąc na blacie kartę kredytową. - Pewnie chodzi o tego chłopaka, co? Wnuka Grójeckich?

- Skąd pani tyle wie? - odparła Anka, trochę zirytowana, ale przede wszystkim szczęśliwa z powodu szansy na bezpośredni transport.

- Och! Potrafię rozpoznać, kiedy ludzie czują do siebie miętę. Oczywiście, że cię podrzucimy. Tu nie jest zbyt bezpiecznie.

Anka zaczęła zasypywać Olę Pralczyk podziękowaniami, wzięła od niej siatkę z napojami i ruszyły w kierunku samochodu, w którym siedział wyraźnie podenerwowany, bębniący palcami o drzwi starszy mężczyzna. I gdyby dziewczyna nie była podekscytowana, zauważyłaby, że uśmiech Olgi Pralczyk już od dobrej minuty zastygł w wyrazie kwaśnego zadowolenia osoby, która na pewno nie myśli o pomaganiu komukolwiek.

* * *

Strzępowaty czuł zmęczenie. Rzadko się to zdarzało, ale droga powrotna w luku bagażowym samolotu i po bezdrożach Polski okazała się bardzo niewygodna. Do tego w dzisiejszych czasach było trudno polować na ludzi. Oprócz człowieka z Kwiatem zjadł tylko jakiegoś pijanego, łykowatego bezdomnego i jego jeszcze bardziej łykowatego psa. A Strzępowaty jako smakosz nienawidził złego jedzenia jeszcze bardziej od jego braku.

Czuł, jak Kwiat łączy się w kieszeni jego marynarki razem z Portretem, jednoczy z nim w nadziei niczym ludzki rodzic czekający na dziecko. „Dziecko już jedzie” - pomyślał.

- Już jedzie! - wysyczał, stojąc pośrodku gęstej ciemności niczym w oparach dymu. Gdzieś daleko przed nim stały dwie postacie, które widział bardzo niewyraźnie. Jedna, ogromna, majaczyła ze swoimi wijącymi się, węzowatymi splotami. Druga, mniejsza, siedziała na czymś w rodzaju tronu, i to od tej mniejszej wypływała cała czerń, cały zalewający ziemię wokół Strzępowatego dym.

- Musisz zająć się Strażnikami - nakazał kwaśno Wężun, wypalając dziury w czerni, jak żar od papierosa w ubraniu. - Ona nie dała rady.

- Była głupsza, niż myślałem - odparł Strzępowaty. Znowu czuł się głodny.

- Nie - wysyczał głos - nie jest głupsza. Nie dała rady, ponieważ Strażnicy mają jeszcze resztki broni, resztki eliksirów. Poczekasz na człowieka i na Lustro, weźmiesz wężaczy, swojego brata, mojego syna i zrównacie tę wioskę z ziemią, wykończycie wszystkich ludzi, bez względu na konsekwencje.

- Czy mogę najpierw zabić człowieka z Lustrem? Mogę? - Strzępowaty przypomniał sobie surowe mięso w restauracji i całą resztę zafundowanych mu upokorzeń. Im więcej myślał o tej małej, śmiertelnej świni, tym bardziej jego żołądek krzyczał z głodu.

- Na razie nie - odparł Wężun i przybliżył się do niego.

Zamiast głowy miał gniazdo macek. Szedł przez ciemność, a ona rozstępowała się przed nim. Im bliżej był Strzępowatego, tym bardziej ziała pustką. Strzępowaty nie przepadał za nim, ale marzył o dniu, kiedy stwór będzie mógł wydostać się na zewnątrz, kiedy świat, przez który będzie szedł, zacznie topnieć wokół niego jak śnieg dookoła ogniska.

- Na razie nie, bądź cierpliwy. - Kwaśny głos opadał na niego żrącymi kroplami. - Nie możesz zabić tego człowieka. Powiesz mu, że dopuścimy go tutaj, że damy mu Moc i Czerń, jeśli zabije Powiernika.

- Dobrze. Dobrzrzzrzzeeeee. - Strzępowaty się wyszczerzył. - Aaaaa potem go zabiję?

- Potem - odparł Wężun. - Potem zabijesz wszystkich.

14. Kwiat, Portret, Lustro

Zbigniew Grójecki stał i obserwował, jak kolejne policyjne samochody zatrzymują się na wjazdowej drodze do Głuszcyc, tuż przy skrócie do jego domu. Wokół radiowozów biegał rozhisteryzowany Rudziak, z potarganymi włosami i szaleństwem w podkrążonych oczach. Zaczepiał wychodzących z nich policjantów i tłumaczył im coś, gwałtownie gestykulując. Ci nie zwracali na niego uwagi, wynosili uzbrojenie, a następnie rozmawiali, popijając herbatę z termosów.

Rudziak uwierzył tylko w połowę prawdy. Uwierzył, że niebezpieczeństwo, które im grozi, pochodzi nie z tego świata, zdecydowanie leży poza pojmowaniem przeciętnego człowieka oraz wymaga zdecydowanych i raczej natychmiastowych działań. Miał jeszcze na tyle zdrowego rozsądku, że nie opowiadał przełożonym o mieszkających w lesie, odżywiających się ludźmi potworach. Barńcowi wytłumaczył, że za morderstwami księdza i leśniczego stoi wyjątkowo niebezpieczna i zorganizowana grupa uzbrojonych psychopatów, którzy już niedługo znajdą się w Głuszcycach, i z tego powodu trzeba przedsięwziąć wyjątkowe środki ostrożności. Barniec miał już Rudziaka za zupełnego wariata, ale nie mógł zlekceważyć takiej informacji. Dziwiło go tylko, że Rudziak nie znał bądź nie potrafił podać personaliów owych niebezpiecznych psychopatów.

Rudziak dał się przekonać, że niebezpieczeństwo jest wręcz niewyobrażalne, ale nie mógł wiedzieć, że każdy wysłany tutaj oddział policjantów, nawet regiment amerykańskich komandosów, zaopatrzone w konwencjonalną ludzką broń jest skazany na pewną śmierć i nic tu nie wskóra.

- Panie Zbigniewie, jestem zwykłym gliną, a nie żadnym superbohaterem, ale jeśli dałem radę trzem tym cholerstwom, to kilkudziesięciu chłopaków da tym bardziej - tłumaczył Grójeckiemu zaaferowany, obłany potem. - A poza tym macie te eliksiry, po które lałem tam, na górę. Przecież możemy rozdać je policjantom.

Grójecki pokręcił głową. Owszem, mieli eliksiry, ale została ich odrobina, tylko tyle, aby dać je wojownikowi, komuś, kto jest dużo bardziej obeznany w walce z ciemnością niż polski policjant, którego szczytem możliwości bojowych było wklepienie mandatu podpitemu studentowi albo wystrzelenie gumowej kuli w kierunku nastoletniego stadionowego chuligana.

Wiedział, że ten wojownik się zbliża. Gdy myślał o tym, zaciskała mu się szczęka - zaczynała odruchowo pocierać o zuchwę, a drżące ręce odruchowo szukały butelki wódki, którą najpierw by opróżnił, a później najchętniej roztrzaskał o ziemię. Grójecki miał sześćdziesiąt pięć lat. Od dawna żył w wielkim spokoju, w malowniczym miejscu, a jego największymi zmartwieniami, poza sprawami jego dzieci, były choroby zwierząt, susze, malejące ceny skupu i zanadto imprezujący letnicy. „Jak łatwo zapomnieć o tym, że życie może runąć w każdej chwili, że fundamenty naszej codzienności zbudowane są z patyków” - pomyślał. Tak jak się to stało kilkadziesiąt lat temu. Ale wtedy Grójecki był młody, kochał swoją żonę tak bardzo, że potrafił jej wszystko wybaczyć.

- Jesteśmy gotowi! - krzyknął do niego Rudziak, jakby to on był jego zwierzchnikiem, a nie stojący z boku, w milczeniu obserwujący sytuację Barniec.

Kiwnął głową i ruszył szosą w stronę domu. Po drodze minął dwóch znalezionych znikąd na polanie Kolonii Głuszyce chłopaków, próbujących bezskutecznie dowiedzieć się, co tak naprawdę tu robią, czemu są przetrzymywani i kiedy będą mogli pojechać do domu.

- Do cholery, człowieku! - mówił jeden z nich, wyższy, prawdopodobnie o imieniu Bartek. - Zupełnie nie wiem, co tu robię i jak matkę kocham, nie pamiętam, co wydarzyło się przez ostatnie dwa tygodnie. Błagam cię, nie mam z tym nic wspólnego. Puść mnie do domu.

- Musicie tu zostać, nikt nie może opuszczać wsi - odpowiadał mu każdy z policjantów tym samym beznamiętnym tonem. - Takie są rozkazy.

Wspomnienia były jak doczepione do ciała i mózgu Grójeckiego kawałki gruzu, obciążające go, spowolniające mu ruchy, przyprawiające o tępy, nieznośny ból wszystkich mięśni. Wybaczył swojej żonie. Wiedział, że jedno z jego dzieci nie jest tak naprawdę jego dzieckiem. Miał świadomość, że tamta istota ją wykorzystała, zaczarowała i zahipnotyzowała. Rany jednak mają to do siebie, że nawet po zagojeniu zostawiają szpetne blizny, a blizna Grójeckiego, na którą tak długo nie zwracał uwagi, nagle zaczęła przyprawiać go o pomieszanie zmysłów. Jego życie nigdy tak naprawdę nie odbudowało się z powrotem po wydarzeniach sprzed kilkudziesięciu lat, gdy na chwilę z rolnika musiał zamienić się w pogromcę stworów z piekła rodem. Pomimo pozorów, pomimo wypierania owych chwil z pamięci Grójecki spędził życie, mieszkając na uśpionym wulkanie, a co więcej, owo życie było zbudowane tak naprawdę na konsekwencjach tamtych wydarzeń.

Jedną z nich był wnuk, którego kochał najbardziej na całym świecie co stanowiło paradoks, którego Grójecki już w ogóle nie potrafił pojąć.

Dotarł do domu, postął chwilę przed progiem, starając się zaczerpnąć powietrza pomimo ciężaru zalegającego mu na klatce piersiowej. Splunął i wszedł do środka. Jego żona próbowała chociaż trochę ogarnąć chaos, który pochłonął ich dom. Zamiatła odłamki szkła z wybitych szyb i skorupy potłuczonych talerzy, wieszala z powrotem ocalałe obrazki, podnosiła książki, swoje sportowe trofea.

- Na to już nic nie poradzę. Trzeba kupić nowe - powiedziała do męża, wskazując palcem dziury wyżarte w pokrywającej schody wykładzinie i ślady krwi karmiących na dywanie w salonie. Grójecki stał bez słowa, oparty o framugę, i patrzył na żonę jak na obcą osobę.

- On tu wraca - powiedział głucho. - Przecież powiedział, że wróci, gdy to się znowu wydarzy.

- Kto wraca? - Maryla popatrzyła na niego zdziwiona. - Zbyszku, kto?

Dziadek Tytusa podszedł do skrytki pod zlewem, wyjął schowaną przed wszechwidzącym okiem żony butelkę wypełnioną klarownym, białym, pachnącym śliwkami płynem o siedemdziesięcioprocentowej zawartości alkoholu, znalazł jakąś ocalałą szklanke, nalał sobie do pełna i usiadł w fotelu. Maryla patrzyła na niego z głębokim niezrozumieniem, jak na zupełnie obcą osobę, która nagle zadomowiła się w ciele najbliższego człowieka.

- On. Wiesz kto - odparł Grójecki, wypijając połowę płynu jednym łapczywym haustem. - Ojciec twojego syna. Ojciec Roberta.

Maryla wypuściła z dłoni jeden z ocalałych pamiątkowych talerzy. W ułamku sekundy jej twarz zmieniła wyraz ze zdziwienia w bezgraniczną wściekłość.

- Robert zawsze był twoim synem - wycedziła. - A Tytus zawsze był twoim wnukiem.

Grójecki patrzył na nią bez słowa, a jego oczy przypominały okna nieumeblowanego, pustego mieszkania.

- Posłuchaj mnie uważnie - ciągnęła. - Inne kobiety nie mają usprawiedliwienia. Ale wiesz, że ja mam. Wiesz, że nie pamiętałam, co się stało, że on mnie zaczarował, pozbawił woli, częstował nas tymi dziwnymi naparami.

- Zaczarował! - Zbigniew Grójecki parsknął.

Maryla stała bez słowa, jakby zastanawiała się, czy uderzyć męża w twarz, czy wybiec z mieszkania i trzasnąć drzwiami, czy po prostu nie robić nic.

- Tak, ten mężczyzna, którego poznaliśmy jako Strąka, wróci tutaj - powtórzyła powoli, jakby mówiła do śmiertelnie chorego dziecka, które właśnie zupełnie wprowadziło ją z

równowagi. - Wróci, bo wróciło Zło. On i podobni jemu są jedynymi, którzy mogą je powstrzymać. I wróci tutaj, bo jest z nim nasz wnuk...

- Skąd to wiesz? - przerwał jej Grójecki. - Skąd ta pewność, że Tytus jest tam, w tym ich przeklętym mieście?

- Wiem to - ucieła. - Wiem to od momentu, kiedy Tytus się urodził. Strąk wróci, by nam pomóc, i przyprowadzi naszego wnuka.

Grójecki wstał, dopił resztę zawartości szklanki i cisnął nią o ścianę. Maryla patrzyła na to wszystko bez żadnych emocji. Podszedł do ściany i uderzył z całej siły pięścią raz, drugi i ponownie, aż na jego knykciach pojawiła się krew.

- Jesteśmy po sześćdziesiątce. Jesteśmy starymi ludźmi - powiedziała Maryla, zbliżając się do niego. - Od tamtych wydarzeń prowadziliśmy normalne, dobre życie. Chcesz teraz to zniszczyć? Pod sam koniec? Jak ostatni głupek? Chcesz, aby wszystko się rozsypało?

- Wszystko już zdążyło się rozsypać - odparł, nie patrząc na nią. - Kilkadziesiąt lat temu.

Zadzwoił telefon. Odwróciła się i powoli, jakby nagle złapał ją ból w krzyżu, lekko zgarbiona podeszła do aparatu. Podniosła słuchawkę.

- Halo? - zapytała i gdy usłyszała, kto mówi, popatrzyła na męża ze strachem. Zbigniew zapomniał na chwilę o rozmowie i zmarszczył brwi.

- Robert?! - wydusiła drżącym głosem Maryla, po czym zmobilizowała wszystkie umiejętności aktorskie, aby udawać siebie jeszcze sprzed paru dni. - Co słyhać? Tak, u Tytusa wszystko w porządku... Tak, nie macie się o co martwić...

* * *

- Zabiję ich, ilu tylko się da - warknęła Iskra. - Rozszarpię żywcem. Dopóki mi starczy sił. Przysięgam, albo oni, albo ja.

- Uspokój się - powiedział Strąk. - Jesteś porywcza; za każdym razem trzeba wyciągać cię z tarapatów. Słuchaj mnie, do stu diabłów. Masz pięćdziesiąt ludzkich lat, ja około trzystu. Okaż mi odrobinę szacunku.

Stali na zalesionym wzgórzu, z którego było już widać dom dziadków. Tytus miał wrażenie, że nie tak odległy wieczór, kiedy z Anką i kuzynem beztrudnie palili papierosy i pili piwo - po tym jak dziewczyna załatwiła jednego z tych nieszczęsnych wiejskich chłopaków kopniakiem w jądra i gazem pieprzowym - wydarzył się wieki temu.

Wciąż myślał o Ance. Niepokój, czy nic jej się nie stało, rozrywał go wewnątrz, sprawiając, że żołądek bolał, jakby był rozszarpywany od wewnątrz ostrymi przedmiotami. Co prawda Strąk powiedział mu, że uważnie obserwował to, co ludzie robili przy Barierze, gdy zostawił tam Bartka i Damiana, i nie widział żadnej opisywanej przez Tytusa dziewczyny, żywej bądź martwej. Tytusa jednak wcale to nie uspokoiło. Patrzył przed siebie, na tarasujące drogę policyjne samochody. Nagle spojrzął pod nogi, jakby czegoś szukał. W mchu tkwił niedopałek z delikatnym śladem różowego błyszczycy na filtrze. Gdy podnosił peta z ziemi, serce o mało nie wyskoczyło mu z piersi.

- Musimy dostać się do domu twoich dziadków niezauważeni przez tych wszystkich policjantów - powiedział Strąk. - Najlepiej będzie zakraść się przez pastwiska od drugiej strony domu. Dawno tu nie byłem. Naprawdę dawno. Wiele się pozmieniało.

- Może mam tylko piętnaście ludzkich lat - mruknął po chwili Tytus, starając się skoncentrować - ale wydaje mi się, że to zupełnie bez sensu. Ktoś na pewno również tam stoi. Poza tym nie wiem, na kogo czekają ci wszyscy policjanci, ale wyglądacie tak, że na pewno zaraz się wami zainteresują.

Strąk popatrzył na swoje ubranie - połatany, znoszony i poplamiony mundur leśniczego, który nagle, w ludzkim świecie, wydawał się, delikatnie mówiąc, dużo bardziej znoszony, tak samo ubiór Iskry. Oprócz tego byli brudni, spoceni, ich włosy pozlepiały się w tłuste kołtuny, a twarz Iskry pokrywała skorupa łez, brudu i czerwonej farby. Szli przez las całą noc, prawie bez przerwy, a ostatnie dwie godziny, po ludzkiej stronie Bariery, naprawdę dały im się we znaki. Gdy opuścili obszar należący do Zmorojewa, rzeczywistość zaczęła robić się rzeczywista - pokrzywy parzyły, chmary komarów kłuły, podmokłe, bagniste, głodne poszycie potrafiło wessać nogę aż do połowy łydki. Wiele razy przyspieszali kroku, słysząc z oddali dźwięki, które były pewnie nocnymi nawoływaniem zwierząt, ale równie dobrze mogli je wydawać podwładni Leszego. Byli wyczerpani, ale prawdę mówiąc, nie zwracali na to uwagi.

- Pójdę sam - powiedział Tytus - a wy tu poczekacie. Zobaczą, co tam się dzieje. Przywitam się z dziadkami, dowiem się jak najwięcej i wszystko im wytłumaczę. Wtedy po was wrócę.

Nie czekając na reakcję Iskry i Strąka, Tytus chwycił szelki plecaka i zbiegł z górki. Nie zważał na ból nóg, pędził przed siebie.

„Nareszcie” - pomyślał. Przeskakiwał wielkimi susami przez gałęzie i krzaki, aż w końcu dotarł do jezdni. Widząc kordon policyjny, nie zatrzymał się, tylko pobiegł dalej, wbijając się pomiędzy nich jak taran.

- Halo! Halo! - odezwał się za nim chór mundurowych. - Tędy nie można chodzić. Hej, kolego! Wracaj!

Jeden z funkcjonariuszy próbował chwycić Tytusa, ale ten zręcznie się wyślizgnął. Manewrował pomiędzy skołowanymi policjantami niczym postać z jakiejś szalonej komputerowej zręcznościówki. Zatrzymał się dopiero na sporej klatce piersiowej, obleczonej w czerwony sweter cuchnący papierosami.

- Detektyw Barniec - powiedział starszy, zauważalnie zmęczony życiem mężczyzna. - Mogę wiedzieć, czego tutaj szukasz, młody człowieku?

- Nazywam się Tytus Grójecki - przedstawił się Tytus, cofając się o krok, ale patrząc przy tym facetowi prosto w oczy. - Właśnie idę zobaczyć się z moimi dziadkami i proszę mi w tym nie przeszkadzać.

Facet uważnie mierzył go wzrokiem. Wyglądał, jakby udawał policjanta z amerykańskich filmów sensacyjnych, który na podstawie tonu głosu i drobnych tików nerwowych potrafi ocenić, czy ktoś blefuje, czy nie.

- Rudziak! Lećcie po Grójeckiego i powiedzcie, że znalazł się jego wnuk! - wrzasnął po chwili, po czym dodał, odzywając się do Tytusa: - Głupi smarku, gdzieżeś się szwendał, do jasnej cholery? Twój dziadek odchodził od zmysłów. Nie wiesz, co się tutaj dzieje? Mamy cztery trupy w ciągu tygodnia, a ty zwiewasz na gigant? Na miejscu twojego dziadka złołbym ci pasem tyłek.

- Proszę się do mnie nie odzywać w ten sposób - odparł Tytus, na później odkładając dowiedzenie się, o jakie trupy chodzi.

Oczy gliniarza się rozszerzyły. W swojej trzydziestoparoletniej, sięgającej jeszcze czasów milicji obywatelskiej karierze zawodowej nie spotkał się jeszcze z tym, aby jakiś obywatel miał czelność zgłosić mu jakiegokolwiek pretensje.

Tymczasem Tytus jeszcze parę dni temu, usłyszawszy reprimendę tego typu, spuściłby wzrok, próbując panować nad nieprzyjemnym narastającym pieczeniem w gardle, które podsycane w umiejętny sposób doprowadza w końcu do płaczu. Teraz jednak nie miał najmniejszego problemu z postawieniem się policjantowi. Oto kolejny przewrócony konar do przeskoczenia, o którym za pięć sekund nie będzie już myślał.

- Nie ma pan pojęcia, gdzie byłem, i prawdopodobnie nie wie pan, co się tutaj dzieje -

powiedział chłodnym i spokojnym głosem kogoś, kto pomimo piętnastu lat widział już więcej niż ci wszyscy zebrani tutaj gliniarze.

Facet właśnie miał coś odpowiedzieć, ale prowadzącą do domu Grójeckich drogą biegli już dziadek i babcia Tytusa. Przodowała babcia, za którą próbowali nadażyć dziadek Zbyszek i zasapany policjant w płaszczu, ten sam, którego Tytus zauważył na polanie Kolonii Głuszyce, zanim obezwładniła go Iskra.

- Tytku! - krzyczała babcia Maryla, biegnąc, jakby wnuk był metą olimpijskiego sprintu na sto metrów.

Tytus odtrącił policjanta i również ruszył w kierunku babci. Nigdy nie przypuszczał, że coś, czego nienawidzą wszyscy piętnastolatki bez wyjątku, czyli obejmowanie własnej babci, będzie dla niego jednym z najwspanialszych momentów w życiu. Stali tak i ściskali się, przypominając ludzi, którzy założyli się, kto szybciej zgniecie drugiemu zebra. Gdy dołączył do nich dziadek Zbyszek, babcia puściła wnuka i przekazała mężowi, z którym powtórzył ten sam rytuał.

- Babciu! - odezwał się Tytus, czując, że napięcie urosło w nim do niewyobrażalnych rozmiarów. - Czy wszystko w porządku z Anką? Co się z nią stało, gdy zniknąłem? Czy ona żyje?

- Żyje, Tytus, żyje. - Babcia Maryla nie potrafiła powstrzymać łez. - Żyje, wszystko z nią w porządku. Wróciła z rodzicami do Warszawy. Wszystko z nią okej, Tytusku. Chodź. Chodź do domu.

Tytusowi zrobiło się tak lekko, jakby ktoś zdjął mu z pleców kilkudziesięciokilogramowy głaz, z którym musiał poruszać się i stać, zasypiać i się budzić.

- Jak dobrze - powiedział, wydychając głęboko powietrze. - Jeju, jak dobrze.

- Mówiłem, że trzeba mu zlać tyłek pasem - zauważył Barniec, patrząc na całą tę scenę z przekąsem i sięgając po kolejnego, dwudziestego dziś, taniego, śmierdzącego papierosa.

- A weźże się pan zamknij! - warknął na niego dziadek Tytusa.

Takiej dawki lekceważenia swojej osoby detektyw nie mógł już znieść. Odszedł na bok i aby podbudować swoje morale, zaczął wydawać policjantom dziesiątki bezsensownych rozkazów.

- Ja tu zostanę - zadeklarował stojący obok nich Rudziak - a wy idźcie do domu.

Odpocznijcie, zjedzcie coś.

I patrzył za nimi, gdy szli w kierunku domu, obejmując wnuka.

„Czasami może warto być łącznikiem pomiędzy ludźmi a ich przeznaczeniem - pomyślał inspektor. - Czasami może nie tylko amerykańskie filmy, lecz także niektóre sprawy w życiu kończą się happy endem”.

- Co się tak gagicie, Rudziak? Trzeba skontrolować chłopaków przy drugim wjeździe do wioski, co tam się dzieje, do cholery. Mówią, że wszystko w porządku, ale pewnie się opierniczają! - krzyknął do jego pleców Barniec.

- Weźcie wy mnie już, Barniec, nie wkurwiajcie - odpowiedział, patrząc na coraz mniejsze postaci Grójeckich i nawet nie odwracając się w jego kierunku.

* * *

- Widziałem już ten symbol - powiedział Tytus, wpatrując się w Znak Zmory namalowany na ścianie piwnicy dziadków, w piwnicy, w której był pierwszy raz w życiu.

- Oczywiście, że go widziałeś, Tytku - odparła babcia, wodząc palcem po krawędzi białego okręgu. - To znak Powiernika.

Tytus zatrzymał wzrok na symbolu.

- To dlatego nie chcieliście, abym przynosił wam rzeczy z piwnicy. I dlatego nie chcieliście, abym pojechał do Kolonii Głuszyce, abym zadawał jakiegokolwiek pytania na ten temat. Dlatego

więc w ogóle chcieliście, abym tu przyjechał?

- Tytku! - Dziadek westchnął. - Jesteś naszym najukochańszym wnukiem. Dlaczego zadajesz takie głupie pytania?

- To jedno - powiedziała babcia Tytusa - a po drugie, widocznie to wszystko musiało się po prostu wydarzyć.

Maryla Grójecka stała tuż przy nim, wpatrzona w znak. Dziadek obserwował ich z odległości, oparty o ścianę, zmuszając się do uśmiechu, gdy jego wzrok napotykał oczy Tytusa, ale odwracając głowę, gdy natrafiał na babcie.

- O co chodzi? - zapytał Tytus.

Przebywał w domu dziadków już z pół godziny, ale nie usłyszał odpowiedzi na pytanie, skąd to dziwne, niespotykane napięcie pomiędzy nimi. Wnuk widział ich pokłóconych po raz pierwszy w życiu, więc bardzo chciał się dowiedzieć, o co im tak naprawdę poszło, jednak każde „o co chodzi”, włącznie z ostatnim, zbywali milczeniem.

Wiedzieli, że mają niewiele czasu. Dziadkowie zrelacjonowali, co działo się po jego zaginięciu. O leśniczym, o nieszczęsnych chłopakach... Tytus zaś starał się opowiedzieć w ekspresowym tempie o tym, co widział w Zmorojewie, jak się tam znalazł, kogo poznał. Babcia tylko kiwała głową, jakby się spodziewała wszystkiego, co jej powie. Gdy do niej mówił, bez przerwy przetrząsała kolejne pudła i słoiki, zapewne w poszukiwaniu większej ilości tego, co zawierały postawione na stoliku fiolki - gęstego płynu, który emitował słabe, przypominające choinkową ozdobę fioletowe światło. Jedna z buteleczek była do połowy opróżniona.

- Widzisz, poznaliśmy ich kiedyś - odezwała się babcia, odkładając kolejny karton. - Może nie wszystkich, o których mówisz, ale tego śmiesznego małego człowieczka, Świteziankę, Babę-Jagę... no i tego mężczyznę, Strąka.

Zamilkła na chwilę. Tytus popatrzył na dziadka, który na dźwięk imienia Strąk zacisnął mocno zęby. Tytus przypomniał sobie rozmowę Baby-Jagi i Iskry przed atakiem wężacza, ale od razu rozgonił te myśli niczym chmurę krążących wokół głowy much. To, co te kobiety mówiły wtedy w kuchni, nie mogło być prawdą. Dziadek i babcia musieli pokłócić się o coś zupełnie innego. Tytus przynajmniej miał taką nadzieję.

- Byliśmy wtedy młodzi - mówiła, wyciągając kolejny karton pełen słoików. - I tak jak teraz, wówczas w Głuszycach także zaczęły dziać się dziwne rzeczy. Zginęły dwie osoby, jakby rozszarpane przez dzikie zwierzę. Podejrzewali o to tego nieszczęsnego starego Wirdałę, ale przecież on już dawno nie żył. I pewnego dnia, zwykłego letniego dnia, takiego jak ten, niebo zrobiło się nagle czarne i oni weszli do wsi. To było tylko parę istot, jak powiedzieli nam później, zaledwie ułamek ich mocy, bo tylko tyle mogli przepchnąć przez dziurę w Barierze. Ale nie chcę tego nawet pamiętać. Przez lata wydawało mi się, że umiem.

Gwałtownie poruszyła ramionami, jakby chciała strząsnąć z siebie kurz, który osiada na ubraniu po wizycie na od lat nieużywanym strychu.

- W każdym razie - dodała - nie wiem, co byśmy zrobili, gdyby nie oni. Prawdopodobnie wszyscy bylibyśmy martwi, a ty nigdy nie przyszedłbyś na świat. - Mówiąc to, spojrzała na dziadka, ten popatrzył na nią i chociaż w jego oczach tlił się gniew, delikatnie poruszył głowę, jakby chciał jej przytaknąć. Zaraz jednak odwrócił wzrok. - Tytku... - Babcia ujęła jego dłoń w swoją. - Oddalibyśmy wszystko, aby to nigdy się nie wydarzyło. Zrobiliśmy również wszystko, co mogliśmy, ale byliśmy widocznie jak te dwie mrówki, które chcą zatrzymać toczący się głaz. Jesteś Powiernikiem. Jesteś jedynym żyjącym człowiekiem, który może mieć kontrolę nad trzema Kluczami. Jedyną nadzieją dla Dobra i dla tej wsi, gminy, następnie całego świata, zanim z ukrytych nor, lasów i pustyń zacznie wylewać się Zło, Zło zakłete w postaci z legend, które

opowiadają sobie ludzie na całym świecie. - Zamilkła na chwilę. Dotknęła jeszcze raz znaku. - Ciekawe zresztą, co było pierwsze, jajko czy kura - zapytała samą siebie. - Czy pierwsze były te stwory, czy nasze legendy. Czy najpierw była magia, czy najpierw byliśmy my? Czy te stwory obserwowały, jak schodzimy z drzew i chronimy się w jaskiniach? A może zawsze istniały Zło i Dobro, a nasze pragnienia i lęki były tak silne, że nadały im konkretną formę, zamieniły je w najprzeróżniejsze postacie?

- Czy to w ogóle ważne? - zachnął się dziadek, odrywając się w końcu od ściany i robiąc dwa, trzy kroki w ich kierunku, a następnie zawracając do wyjścia.

- Nie, to w ogóle nie jest ważne - powiedziała cicho do siebie babcia Tytusa, a na jej twarzy pojawił się głęboki smutek, nadający jej wygląd starej i bardzo zmęczonej kobiety.

Nagle ktoś zaczął się dobijać do drzwi. Wszyscy troje wybiegli z piwnicy na górę. Tytusa i babcię, która po drodze zdążyła schować do kieszeni dwie wypełnione świecącym płynem buteleczki, wyprzedził dziadek. Gdy był już na górze, otworzył szybko drzwi. Za nimi stał zdyszany Rudziak, opierając się o framugę.

- Barniec mówi, że znalazł tych psychopatów - wykrztusił - i rzeczywiście, ta parka nie wygląda najnormalniej. Ale facet wyrywa się i mówi, żeby przyjść po młodego, bo jeśli nie, zaraz stanie się coś, czego wszyscy gorzko pożałujemy.

Wyszli na zewnątrz i popatrzyli w dół drogi, na jezdnię, gdzie stały samochody. Tytus z tej odległości rozpoznawał donośny głos Iskry, bluzgającej na całą okolicę. Ruszył w tamtym kierunku. Dziadkowie pobiegli za nim.

- Więc sprowadziłeś ich tutaj, Tytku. - Dziadek mówił dziwnym tonem, jakby Tytus zrobił coś złego. Tonem, którego nigdy przedtem nie używał w stosunku do wnuka.

- Przepraszam - odruchowo odparł chłopak - z tego wszystkiego zapomniałem wam o tym powiedzieć. Tak, przyprowadziłem ich tutaj, a raczej oni sami się tutaj przyprowadzili... To znaczy, pęka ta cała Bariera, żli gromadzą się wokół Zmorojewa i...

- Wszyscy wiedzą, co się dzieje - odparł dziadek Tytusa. - Nie masz za co przepraszać. Dobrze zrobiłeś.

I wtedy zgodnie spojrzeli w górę, na niebo - w jego barwie było coś dziwnego, wydawało się zbyt ciemne jak na drugą po południu, jakby ktoś wstrzyknął w nie trochę czarnego tuszu, który zafarbował je na nienaturalny odcień.

- Minęło kilkadziesiąt waszych lat - powiedział Strąk, skuty kajdankami i przytrzymywany przez trzech rosyłych byczków w policyjnych mundurach - ale ta cała milicja w ogóle się nie zmieniła.

- To się teraz nazywa policja, śmieciu - powiedział Barniec, stojąc obok niego, z wysuniętą nogą, nieodłącznym papierosem i dłońmi na biodrach.

Wyglądał zabawnie i sztucznie. „Jakby próbował udawać detektywów w polskich serialach, którzy z kolei próbują nieudolnie udawać detektywów z amerykańskich seriali” - pomyślał Tytus.

Iskra leżała obok, również skuta kajdankami, bezskutecznie próbując wyszarpać się z uścisku siedzącego na niej policjanta. Klęła, na czym świat stoi. Barniec podszedł do niej, nachylił się nad nią i próbował ująć jej podbródek w dłoń. Z całych sił ugryzła go w rękę. Wrzasnęła i cofnęła się o krok.

- Naćpała się czegoś, wariatka - mruknął, rozmasowując dłoń. - Koniec tego dobrego. Zabieramy ich na komisariat.

Tytus stanął przed Strąkiem. Już chciał się odezwać, ale przed niego wysunął się dziadek, podszedł do policjanta, popatrzył mu w oczy i powiedział:

- Tych dwoje nigdzie nie jedzie. Co więcej, bez nich nie damy rady.

- Nie damy rady czemu? - Barniec zmarszczył brwi. - Nie damy rady, bo co?
- To nie są mordercy. Znam tę dwójkę - powtórzył dziadek Grójecki. - Puśćcie ich.

Barniec popatrzył na Zbigniewa, jakby ten właśnie próbował mu wmówić, że jest Napoleonem bądź przywódcą hordy kosmitów, parsknął śmiechem i pokazał dłonią, aby podniesiono Iskrę z ziemi. Ale nikt się nie kwapił, by wykonać jego polecenie.

- No nie... jeszcze tego brakowało. - Barniec zauważył przepychającego się przez policjantów Rudziaka. - Powinienem kazać wam jechać do domu pod groźbą dymisji. Robię się na starość coraz mięk szy. Słuchajcie mnie, Grójecki. Mam już dosyć całej tej burdy. Skulem tutaj dwójkę schowanych w lesie, wymazanych jakąś dziwną farbą podejrzanych z krwią na rękach, dosłownie. Istna banda wariatów. Zjeżdżam stąd i zabieram ich na komisariat, bo to właśnie dla nich ściągnąłem tych wszystkich chłopaków i tkwię jak patyk wbity w gówno. A ty, śmierdzieliu, ty się tak na mnie nie patrz - zwrócił się do Strąka. - Zaraz sobie porozmawiamy o zabitym księdzu, o dwóch chłopakach, o leśniczym. Masz pewnie dużo do powiedzenia na ten temat.

Tytus ruszył do przodu, strącając z barku dłoń babci Maryli, która trzymała go za ramię, co chwila zerkając w twarz Strąka. Ten mrużył oczy, jakby jej nie rozpoznawał. Kątem oka zauważył Bartka i Damiana, stojących z boku, zupełnie niewiedzących, co mają robić, uzgadniających coś ze sobą, a następnie szybko zrywających się do biegu i pędzących w kierunku wsi.

- Zostawcie ich - rzucił Tytus do Barńca. - Oni nic nie zrobili. To nie oni, przecież ja tam byłem. Proszę mi wierzyć.

O dziwo, nikt się nie kwapił, by rzucić się w pościg. Jakby wszyscy z osłupienia zapomnieli o procedurach.

Barniec podszedł jeszcze raz do Strąka i popatrzył mu w oczy.

- Może ty jesteś z jakiejś sekty, jesteś jak ten cały Kacmajor, co? - zakpił. - Nasi technicy w Olsztynie twierdzą, że nie jest wcale wykluczone, że ci ludzie sami się zżarli. Na początku nie chciałem dać temu wiary, ale teraz, jak na ciebie patrzę, to myślę, że może ty rzeczywiście masz jakąś moc hipnozy, co? Że potrafisz zmusić człowieka, aby sam się zżarł? Powiem ci, kochanieńki, jedyne, do czego możesz mnie zmusić, to do wypłacenia ci paru zgrabnych kopów w mordę.

- Szefie - odezwał się jeden z gliniarzy, patrząc na niebo. - Jeśli mamy się zwiijać, to róbmy to szybko, bo zaraz tak lunie, że będziemy tu mieli potop.

Tytus popatrzył na horyzont. Rzeczywiście, na niebo wpełzała powoli zza widnokregu czarna ściana chmur. Początkowo można je było wziąć za zwiastun nadchodzącej ulewy. I sam Tytus pewnie wmawiałby sobie, że to tylko ściana deszczu, gdyby nie gwałtowny wstrząs, który przeszedł pod ziemią, znany Tytusowi dość dobrze. Tym razem jednak był on o wiele silniejszy. Chłopak aż usiadł, policjanci w panice podskoczyli, Barniec oparł się o samochód, rozglądając się ze strachem.

- Co jest, do cholery? - zapytał. - Trzęsienie ziemi? Tutaj?

- Puśćcie ich! - krzyknęła babcia Maryla i podbiegła do Barńca. - Macie ich natychmiast puścić. Tylko oni potrafią zaradzić temu, co się zaraz stanie! Ludzie, miejcie rozum!

- Co się stanie? - zapytał roztrzęsiony detektyw. - O czym pani opowiada?

Kątem oka patrzył na Rudziaka, na którego czole wykwitł pot. Wybiegł przed kordon i obserwował niebo, jak czarna ściana zbliża się centymetr po centymetrze i zasłania słońce.

Do stojącej już od jakiegoś czasu garstki gapiów dołączyli prawie wszyscy mieszkańcy położonych przy jezdni domów. W zbitej grupie rozglądali się wokół i szeptali do siebie, zerkając to na policję i Grójeckich, to na niebo.

- Proszę ich natychmiast puścić. - Maryla niemalże szarpała trzymających Strąka policjantów.

Ten popatrzył na nią jeszcze raz bardzo przenikliwie i powiedział:

- Zestarzałaś się, ale nie martw się, to nic złego. Sam chciałbym się zestarzeć.

Tytus zobaczył, jak mężczyzna po raz pierwszy zwyczajnie po ludzku się uśmiechnął.

Przez ziemię przeszedł kolejny wstrząs, silniejszy od poprzedniego. Część ludzi uklękła na ziemi, część się poprzewracała, w ostatniej chwili amortyzując upadek dłońmi, a z daleka dotarł odgłos pękających w którymś z domów szyb.

- Puście ich! - krzyknęła jeszcze raz pani Maryla, ale nikt nie zareagował. Zarówno gapie, jak i policjanci rozglądali się w osłupieniu albo biegali w kółko i wyciągali sprzęt z samochodów. Zapanował totalny chaos. Mundurowi, którzy trzymali Iskrę, przycisnęli ją jeszcze mocniej do ziemi, jakby dziewczyna miała ochronić ich przed kolejnym poruszeniem ziemi. W policjantów wmieszali się gapie i mieszkańcy wsi, w nadziei, że ci są im w stanie pomóc. Do Maryli Grójeckiej podbiegła spanikowana pani Konipna, trzymając się oburącz za głowę.

- Pani Marylo, co to będzie, co się stało, trzęsienie ziemi, o Matko Boska, o matko jedyna - lamentowała, wznosząc do góry dłonie, jakby chciała ubłagać słońce, aby przebiło się przez napływające czarnoszare chmury.

Nadszedł trzeci wstrząs, najmocniejszy, i zbił uliczne lampy i szyby w pobliskich domach.

Tytus popatrzył przed siebie: na skraju lasu majaczyły trzy idące w ich kierunku postacie.

Zbigniew Grójecki przez chwilę stał niezdecydowany, ale w końcu podbiegł do siedzącego na ziemi Strąka.

- Jeśli mnie nie uwolnisz, wszyscy zginiecie - powiedział dziwaczny obszarpaniec. - Jeśli to zrobisz, zginie was trochę mniej.

Grójecki bez słowa podszedł do jednego z policjantów i popukał go w plecy. Gdy ten się odwrócił, dziadek Tytusa bez wahania trzasnął go w gębę i wyrwał mu kluczyki od kajdanek. Popędził z nimi do Strąka i go rozkuł. Ten wstał, rzucił kluczyk Tytusowi, który chwycił go w locie. Iskra, wciąż przytrzymywana przez dwóch policjantów o zupełnie bladych, pokrytych potem twarzach, nagle szarpnęła się, ugryzła jednego z całej siły w dłoń, a gdy ten odskoczył, uklękła i uderzyła drugiego z główki prosto w nos. Tytus podbiegł do niej i szybko rozkuł jej kajdanki. Zanim policjanci zdążyli do nich dotrzeć, Iskra stała już w szerokim rozkroku, zataczając wokół siebie okrąg nożem z ostrzem wymalowanym czerwoną farbą z chaty Baby-Jagi.

Strąk stał naprzeciwko Grójeckiego i rozcierał nadgarstki. Podbiegł do nich Rudziak, trzymając w ręku pistolet.

- Macie Światło Twardowskiego? - Strąk zapytał Grójeckiego. Ten kiwnął głową i wskazał palcem żonę. - Weź od niej eliksir! - Strąk zawołał do Rudziaka. - I nasmaruj nim wszystkie kule, jakie masz w tej broni.

- Wiem, już to robiłem. - Rudziak kiwnął głową i wziął od pani Maryli buteleczki. Zerwał się wiatr, silny, strącający najpierw czapki z głów, następnie przewracający ludzi, łamiący gałęzie.

- Biegnijcie z żoną do domu! - Strąk zawołał do Grójeckiego. - Tym razem nic tu po was.

- Tytus... - Grójecki wymówił imię wnuka, patrząc mu w oczy.

- On musi zostać. Przecież wiesz! - wrzasnął Strąk.

Wiatr wzmagął się z minuty na minutę, a ziemia drżała w posadach, jakby coś uruchomiło w jej głębi silnik ogromnej maszyny. Dziadek Tytusa kiwnął głową, odwrócił się i pokonując wiatr, ruszył do żony, która stała, obejmowana przez trzęsącą się jak galareta, dwa razy większą od niej panią Konipną.

- Dzięki! - Strąk krzyknął do dziadka Tytusa.

Ten przystanął na chwilę, odwrócił się i z całej siły trzasnął go pięścią w twarz. Strąk nawet się nie poruszył, nie mrugnął powieką. Później Zbigniew delikatnie wyzwolił żonę z uścisku

Konipnej, objął ją i asekurując przed wiatrem, poprowadził w kierunku domu.

Tytus już wiedział wszystko. Patrzył za dziadkami, odchodzącymi z miejsca, w którym zaraz miało rozegrać się coś, co nie mieściło się w wyobraźni zgromadzonych tu ludzi. Babcia zerknęła w jego kierunku, ale dziadek lekko klepnął ją w ramię, upominając, by spoglądała tylko przed siebie. Tytus nigdy nie widział, aby płakała równie mocno.

Czuł przede wszystkim wściekłość. Ten sam rodzaj wściekłości, jaki buzował w nim, gdy słuchał rozmowy Iskry i Baby-Jagi; furię spowodowaną przez traktowanie go jak dziecko, ukrywanie przed nim sekretów, okłamywanie go. Chciał do nich podbiec i im to wypomnieć. Wahał się, czy to zrobić, i stał z rękami w kieszeniach, patrząc, jak małe figurki jego babci i przyszywanego dziadka znikają we wnętrzu domu.

- To twój dziadek. - Tytus usłyszał za sobą głos Strąka. - Zawsze nim będzie. Nie myśl o tym. To się stało, bo potrzebowaliśmy Powiernika. Powiernicy mogą powstać tylko w ten sposób. Przez związek człowieka ze zmorą.

Tytus odwrócił się w jego kierunku.

- Musisz się teraz bardzo skupić! - krzyknął Strąk. Wiatr był tak silny, że nawet on musiał przytrzymać się samochodu. - Wszystko zależy od ciebie. Tylko ty możesz kontrolować Klucze.

Tytus już miał coś powiedzieć, ale do jego uszu dobiegł hałas. Na wgniecionym dachu radiowozu kuczał olbrzymi, pokryty łuską czeloksztaltny potwór, wodząc poźółkłymi oczyma po spanikowanym tłumie.

Niebo było zupełnie ciemne.

- Zostaw trochę dla mnie! - wysyczał Strzępowaty, wskakując za nim na dach samochodu. - Zzzossstaw tttrochęęę dla mnieceee.

* * *

Adolf Błysk, Olga Pralczyk i śpiąca na tylnym siedzeniu Ania Waszczuk wjeżdżali do Głuszyce, które w ogóle nie przypominały miejscowości, którą Anka opuszczała dwa dni temu. Nad zupełnie opustoszałym rynkiem wisiało burzowe niebo, przykryte kołdrą tłustych i czarnych chmur, wyglądających tak, jakby za moment miały chlusnąć na świat biblijnym potopem. Wiatr rozwiewał po rynku śmieci, foliowe torebki i pokrywki od plastikowych kubłów na śmieci. Z domów ziały puste oczy wybitych okien, na ulicy nie było ani jednego człowieka. Głuszyce, niepozorna warmińska miejscowość, wyglądały jak na pięć minut przed apokalipsą.

- Dziwne - stwierdziła Pralczyk, zatrzymując się na parkingu przed urzędem gminy. - Jeszcze kilka kilometrów wcześniej niebo było zupełnie czyste.

Błysk słuchał głosu pracownicy z taką samą uwagą, z jaką słuchałby audycji w węgierskim radiu. Podniecenie rozpiekało go całego od stóp do głów, z siłą zdolną wysadzić komórki i ostatecznie zatrzymać skołatane serce, które próbował co chwila chociaż trochę uspokoić aspiryną i pitą z termosu melisą. Oto miało się dokonać. Oto miało się stać. Jego życie. Jego cel. Czuł się jak zwycięzca biegu, który mało kto mógł ukończyć. To czarne niebo, to nagle opustoszałe miasto były dla niego bramą do innego świata, świata mocy i wiedzy, świata utkanego z namacalnej prawdy, a nie z rzucanych na ścianę jaskini zamglonych cieni, jak ta pusta ludzka dekoracja, w której musiał spędzić całe swoje dotychczasowe życie.

- Zobacz, jaka dziwna pogoda, jeszcze dziesięć minut temu niebo było zupełnie czyste - powtórzyła ta irytująca idiotka Pralczyk, jakby wymagała od niego jakichś wyjaśnień.

- Zamknij się. Daj mi myśleć. Nie jestem pogodynką - rzucił, nawet na nią nie patrząc.

Znieruchomiała z półotwartymi ustami, urażona i zdziwiona jednocześnie. Śpiąca na tylnym siedzeniu Anka przeciągnęła się i otworzyła oczy.

- Jesteśmy już w Głuszcach? - zapytała, rozglądając się wokół.

- Tak, jesteśmy w Głuszcach - odparła wściekła Pralczyk, obserwując dziewczynę w brudnym lusterku.

Anka nie rozumiała, o co jej chodzi, więc wzruszyła ramionami.

- Tu z tyłu samochodu jest strasznie gorąco - powiedziała. - Macie jakieś specjalne ogrzewanie tylnych siedzeń czy jak?

Błysk pomyślał o Lustrze tkwiącym w bagażniku, przykrytym kilkoma kocami i owiniętym kilkunastoma warstwami czarnej krepy. „Emituje ciepło - pomyślał. - Jest blisko pozostałych, jest o krok od swojego przeznaczenia”. Samochód z ekipą telewizyjną zatrzymał się obok. Jeden z operatorów, jowialny, wysoki facet pod pięćdziesiątkę z pokaźną brodą, zapukał w okno samochodu. Błysk, wyrwany z rozmyślań, odwrócił się w jego kierunku i otworzył szybę.

- Szeffie, co teraz? - zapytał mężczyzna. - Może już dosyć tych tajemnic? Od razu mówię, pleneru nie nakręcimy. Tak tu wieje, że statywu nie da rady postawić.

Błysk podrapał się po głowie. Tak, wziął ekipę pod pretekstem, aby w ogóle móc tutaj przyjechać, ale również po to, aby w razie czego zadowolić istoty świeżym mięsem. Plan w tym momencie się kończył. Nie wiedział, w którym kierunku mają jechać, nie wiedział, gdzie będą czekać na niego te istoty. Najbardziej prawdopodobnym miejscem wydawały się okolice Kolonii Głuszyce, ale nie chciał ryzykować ruszenia tam, skoro wszystko wskazywało na to, że opanowały też same Głuszyce.

- Szeffie... - Facet był wyraźnie poirytowany. - Nie mamy czasu, pogoda jest fatalna, więc może szef mógłby nam powiedzieć, co robimy. Nakręcmy początek w samochodzie, w sumie klimat jest, powitanie z widzami nagramy, „witam w tajemnej stronie”, takie tam.

- Daj mi pomyśleć, nastąpiła zmiana planów, daj mi pomyśleć. - Błysk ukrył twarz w dłoniach. Musiał ochłonać, uspokoić się, pomimo wypełniających go emocji skonstruować jakiś plan działania. Zaczął liczyć w myślach od trzydziestu do zera. Przy dwudziestu trzech przestał. Usłyszał łomot i krzyk obu kobiet, Olgi i Anki.

To ciało kamerzysty uderzyło z impetem o bok auta, odbiło się od karoserii i trzasnęło w blachę jeszcze raz, zostawiając na pękniętej szybie krwawą smugę. Ślepa, szablozębna blada istota o dużej głowie, chudej klatce piersiowej i patykowatych rękach obwąchiwała leżącego, cicho kwilącego mężczyznę. Jej wielki, krzywy nos był wyposażony w trzy pary nozdrzy, które pracowały w obłędnym tempie kilkunastu wdechów i wydechów na sekundę. Olga Pralczyk siedziała przez chwilę jak skamieniała, po czym dodała gazu, nie zwracając uwagi na to, że najpierw uderza w bok stojącego po lewej samochodu, a następnie wywraca plastikowy kubek na śmieci. Anka z tyłu oddychała szybko, przerażona. „A więc już po wszystkim - myślała. - Te istoty dostały się do prawdziwego świata. Mają trzy Klucze. Tytus, babcia Maryla, wszyscy nie żyją. Nie ma już żadnego ratunku”. Przerazenie było tak silne, że nie mogła nawet się rozplakać, jakby panika ją sparaliżowała.

- Co to jest? Co to jest, powtarzam, co to jest?!!! - wrzeszczała Olga Pralczyk, jadąc cały czas na wstecznym, aż do momentu gdy samochód podskoczył na wysokim krawężniku po drugiej stronie placu. - Co to jest, do cholery, powiedz mi! Masz mi w tym momencie powiedzieć!

- To jest piękne - wyszeptał Błysk, obserwując, jak jeden z wężaczy zaczyna szybkimi machnięciami szponów rozszarpywać na strzępy ciało operatora. Samochód ekipy również próbował powtórzyć ich manewr, ale niktąd pojawiły się następne dwie istoty, jedna z nich wskoczyła na przednią szybę, a druga na dach samochodu. Ta na szybie bardzo szybko przebiła się łapą do środka. Auto się zatrzymało, a z dziury wprost na blade ciało istoty trysnęła struga krwi.

- Uciekajmy stąd!!! - wrzeszczała Pralczyk. - Uciekajmy! Gdzie ty nas przyprowadziłeś?!!!

Gdzieeee?!

Błysk nie wytrzymał krzyków kobiety. Zamachnął się i z całej siły uderzył ją w twarz.

- Mówiłem ci o niebezpieczeństwie, głupia dziwko, a teraz posłuchaj - wydusił z siebie, sapiąc, a z jego skroni skapywały grube krople potu. - Oni nie mogą nam nic zrobić. Mamy jeden z Kluczy. Potrzebują nas, rozumiesz? I teraz zamkniesz swój głupi dziób, i zaczniesz robić to, co ci powiem.

Anka zrozumiała wszystko w nagłym, krótkim impulsie, jakby ktoś zniechęca wbił w jej mięsień grubą igłę. Przypomniało jej się, co mówiła pani Maryla, o tym, że Zło może zostać rozbudzone przez jedno, bardzo złe, bardzo pragnące władzy serce. Zrozumiała, że to serce było w tym samochodzie, w ciele siedzącego przed nią Adolfa Błyska, który obserwował pożerające ekipę filmową stwory z namaszczeniem melomana oglądającego najpiękniejszą z oper. Gwałtownie popchnęła drzwi - były zamknięte.

- Nigdzie nie idziesz. - Błysk odwrócił się do niej, a jego głos brzmiał mechanicznie. - Przydasz się nam.

- Zostaw mnie - wyszeptała Anka, próbując walczyć z panicznym strachem i przyspieszonym oddechem. - Wypuść mnie. Do niczego ci się nie przydam.

- Wydaje mi się, że jednak tak - odparł, odwracając się z powrotem. - Poza tym, jeśli wysiądziesz, jest bardzo prawdopodobne, że skończysz tak jak ci biedni durnie.

Była w potrzasku. Z jednej strony ten człowiek miał rację, z drugiej czuła, że on sam stanowi dla niej równie wielkie niebezpieczeństwo. Lecz tak naprawdę myślała nie o sobie, ale o Tytusie. Przyjechała tu dla niego, by wydostać go ze Zmorojewa, spotkać się z nim za wszelką cenę. Teraz jednak chłopak mógł równie dobrze nie żyć. Otworzyła się w niej bezdenne czarna studnia lęku. To, że zło wydostało się z lasu, że może, jak mówiła pani Maryla, doprowadzić do końca świata, jaki znała, nie przerażało jej tak bardzo jak myśl, że Tytusowi stała się krzywda.

Stwory rozpierzchły się już po Głuszcycach, szukając następnych ofiar.

- Dokąd mam jechać? - zapytała Olga Pralczyk ledwo słyszalnym, rozdygotanym głosem.

- Dokądkolwiek - odwarknął Błysk. - Znajdą nas sami. Znajdą nas zaraz. Zawsze znajdują to, czego chcą. A ja też znajduję to, czego chcę.

- Jesteś szalony! Jesteś kompletnie chory! Jak zamierzasz pertraktować z tym... z tym czymś?! - wrzeszczała Pralczyk. - Jak zamierzasz stawiać im jakiegokolwiek warunki?

- Przecież ty zadeklarowałaś, że będziesz to robić - powiedział Błysk i zaniósł się śmiechem, głośnym i niekontrolowanym rechotem szaleńca. - Jako moja asystentka podejmiesz z nimi pertraktacje. Będą z pewnością wspaniałe. Powiedziałbym: widowiskowe.

I znowu ryknął, na co Olga Pralczyk wybuchnęła płaczem, tym głośniejszym, im bardziej Adolf Błysk się śmiał. Chociaż, jak pomyślała Anka, to był już nie Błysk, ale czerń, która zalała mu serce, wnętrzności i mózg.

Olga Pralczyk prowadziła machinalnie, starając się narzucić sobie resztki samokontroli pomimo rosnącej z sekundy na sekundę paniki. Nie zdarzyło jej się to jeszcze nigdy przedtem. Całe życie była osobą opanowaną, chłodną i poukładaną. Umiała znaleźć racjonalne rozwiązanie w każdej sytuacji, zarówno wtedy, gdy zaszła w nieplanowaną ciążę na drugim roku studiów (no cóż, to była połowa trzeciego miesiąca, wystarczyły tabletki), jak i wówczas, gdy jej samochód odmówił posłuszeństwa podczas wakacyjnej wyprawy na południu Turcji (sama założyła pasek klinowy, improwizując go ze swoich legginsów). Wszyscy jej mężczyźni, nawet rodzina, zarzucali jej w momentach gniewu, że jest robotem, że nie posiada zwykłych ludzkich cech. Wzbraniała się przed tym, mówiąc, że po prostu nigdy nie pozwala ponieść się emocjom. Ale to, co działo się tutaj, złamało ją jak suchy patyk. Ta sytuacja, w którą tak naprawdę nie wierzyła, gdzieś w środku

traktując swojego szefa jako zwykłego wariata, przerastała ją pod każdym względem. Zdała sobie sprawę, że jedzie do jedyne miejsce, które w Głuszycach kojarzyło się jej ze względnym bezpieczeństwem - do gospodarstwa agroturystycznego Grójeckich.

Nagle zahamowała z piskiem opon tak gwałtownie, że uderzyła głową o kierownicę. Gdy zobaczyła wielkiego mężczyznę o szarej skórze, w wytartej, starej marynarce, wrzasnęła. Gdy mężczyzna wyjął z kieszeni łapy z olbrzymimi szponami i wyszczerzył rząd ostrych jak szable, długich zębów, wrzasnęła jeszcze raz, głośniejsze.

- To on - wyszeptał Błysk i wysiadł z samochodu.

Stał przed Strzępowatym i popatrzył mu prosto w oczy. Żołądek go palił, gdy przełykał ślinę, miał wrażenie, że przez gardło przepływa mu kwas. Podniósł drżące dłonie do góry.

- Tak szybko mnie znalazłeś - wyszeptał, patrząc w oblicze potwora.

- Zawsze znajduję to, czego chcę. - Strzępowaty wyszczerzył się i dotknął szponem czubka nosa. - Jestem łowcą. Poluję na ludzi. Robiłem to dawno temu, gdy byłem jeszcze człowiekiem, i robię to nadal. I będę to robił dopóty, dopóki nie upoluję żywej ludzkiej istoty.

- Mam to, czego chcecie - powiedział Błysk. - A czy wy macie to, czego chcę ja?

Strzępowaty zasyczał. Zapach człowieka był słodki, upajający, mięsny. Może nie pragnąłby go pożreć tak bardzo, gdyby nie nienawiść. Nienawidził tego zasmarowanego śmiertelnego, który zwodził go tyle czasu, tak długo nie pozwalając się zabić. To była nienawiść kota do myszy, którą próbuje złapać od bardzo, bardzo dawna, a która zawsze wymyka się w ostatnim momencie. Ale teraz mysz tkwiła już w potrzasku, gotowa, aby ją zjeść, chociaż jeszcze nie miała o tym pojęcia.

- Dostaniesz to, czego chcesz - wysyczał Strzępowaty. - Ale najpierw Lustro.

Błysk dał znak Oldze Pralczyk, aby wysiadła z auta. Pokręciła głową, wbijając dłonie w kierownicę. Otworzył drzwi i wyszarpnął ją ze środka. Stała naprzeciwko Strzępowatego, drżąc, obejmując się ramionami, starając się na niego nie patrzeć.

- Jaką mam gwarancję - zapytał Błysk - że mnie nie zabijesz, gdy już weźmiesz Lustro? Chcę, abys zaprowadził mnie do swojego Pana. Chcę dostać jego moc. Nie oddam ci Lustra tak po prostu.

Strzępowaty syknął. Zbliżył się do Olgi i ją obwąchał. Wysunął język i posmakował potu na jej szyi; gdy to zrobił, zalała się łzami, jednocześnie zakrywając dłonią usta, aby powstrzymać wymioty.

- Mięso kobiet jest smaczniejsze - wysyczał Strzępowaty.

- Weź ją sobie. Weź, którą chcesz. Weź je obie. - Błysk popchnął Olgę w kierunku Strzępowatego.

- No, negocjuj! - Błysk zarechotał. - Negocjuj z nim. No, rozmawiaj, asystentko. Ubij z nim doskonały interes.

Kobieta ukryła twarz w dłoniach i zaczęła krzyczeć. Błysk podszedł do samochodu, otworzył drzwi i wyszarpnął ze środka Ankę. Wyrwała się i biła na oślep pięściami, jednak Błysk złapał ją za ucho i wykręcił jej rękę z całej siły. Dziewczyna piszcziała. Zaprowadził ją przed Strzępowatego.

- Są twoje - powiedział.

Kobieta i dziewczyna wtuliły się w siebie, chlipiąc. Strzępowaty odszedł od nich. Anka i Olga stały, niepewne, czy rzucić się do ucieczki; Błysk jednak wepchnął je z powrotem do samochodu. Oparł się o wóz. Patrzył na potwora, ciężko dysząc. Starał się mówić spokojnie i racjonalnie.

- Nie dostaniesz go... Ukrywałem je zbyt długo - powiedział. - Mieliśmy umowę.

- Nie, człowieku. Nie mieliśmy żadnej umowy. Gdzie ono jest?

Błysk pokręcił głową, ale coś go zdradziło, ruch ciała, może rzut okiem w stronę bagażnika, bo Strzępowaty podszedł do tyłu samochodu i rycząc niczym stado torturowanych lwów, wbił zakończoną szponami łapę w karoserię. Błysk trząśnięty jak galareta, obserwując, jak Strzępowaty rozpruwa bagażnik z łatwością, z jaką zrywa się z prezentu ozdobny papier. W końcu wyciągnął Lustro. Żarzyło się, rozpalone do czerwoności, krwawy blask prześwitywał przez wszystkie okrywające je warstwy.

- Pamiętasz, co powiedziałem ci wtedy, gdy wracaliśmy z kościoła? - zapytał Błysk, przelitykając ślinę. - Nie zabijesz mnie, nie zabijesz mnie ani teraz, ani później, bo widziałem swoją śmierć.

Strzępowaty podniósł Lustro i wyszczerzył zęby, wyszczerzył je szerzej. Niebo poczerniało prawie w całości, a gdzieś z daleka dobiegł suchy trzask grzmotu. Oto nadchodziła Czerni, w końcu, po tylu latach wypływała na zewnątrz, a wraz z nią Strzępowaty i jego bracia. Skończyło się czekanie. Nadszedł czas polowania. Czas wielkiej rozkoszy. Czas rządów pana Leszego.

Stał tak przez chwilę, gdy niebo i ziemia zwiastowały otwarcie bramy do ludzkiego świata. W końcu opuścił Lustro i wyjątkowo ludzkim gestem schował je pod pachę, niczym księgowy aktówkę.

- Nie zabiję cię - wysyczał Strzępowaty do Błyska. - I dostaniesz to, czego chcesz. Ale, jak powiedziałem, musisz coś zrobić.

Błysk kiwnął głową.

- Zrobię wszystko - wyszeptał. - Ale uczyni mnie częścią Czerni. Błagam. Po to się urodziłem, po to przeżyłem całe swoje życie.

- Powiernik... - Strzępowaty wysyczał to słowo w taki sposób, jakby żywił do niego najgłębszą odrazę i nienawiść. - Raz na jakiś czas ludzki pomiot wydaje Powiernika. Kogoś, kto ma władzę nad Kluczami, kogoś, kogo nie możemy zabić, bo chroni go Jasność. Ten mały, śmierdzący człowiek był najpierw w Zmorojewie; a teraz jest tutaj. Jeśli użyje swojej mocy, Klucze się nie połączą i nie zdołamy wejść do tego świata.

- Mam go zabić - powiedział Błysk. - Oczywiście. Oczywiście, że to zrobię. Ale potem stanę się częścią Czerni. Potem stanę się taki jak ty.

Strzępowaty kiwnął głową. W myślach godzinami patroszył jeszcze żyjącego Błyska.

- Tytus! - wykrzyknęła Anka z wnętrza samochodu, uderzając dłońmi o szybę. - Tytus!

Błysk popatrzył na nią, mrużąc oczy i szeroko się uśmiechając.

- Znasz go - powiedział, również kładąc dłoń na szybie. - Znasz go dobrze. Wskażesz mi go. Pomożesz mi.

- Jedź do przodu. Weź ze sobą tę młodą - powiedział Strzępowaty. - Oni tam są i próbują powstrzymać węzowatego. Ja dotrę za chwilę.

Obszedł samochód dookoła, spojrzawszy przez okno na Olgę Pralczyk i dotknął językiem szyby.

- Ona będzie mi jeszcze przez chwilę potrzebna. - Błysk kiwnął głową. - Ale zaraz ją dostaniesz. Dosłownie za chwilę.

* * *

Większość ludzi skryła się we własnych domach. Na jezdni leżało kilku martwych policjantów, reszta, pochowana w okolicznych krzakach, starała się ostrzeliwać węzowatego z pistoletów. Nie dawało to najmniejszego rezultatu, pociski odbijały się od pokrywającej ciało istoty twardej skorupy, nie czyniąc jej najmniejszej krzywdy.

Rudziak leżał w rowie, płasko przy ziemi. Próbował wcelować w rozjuszoną trzymetrową

bestię, poruszającą się z prędkością światła, rozrywającą samochody, jakby były zrobione ze styropianu, przewracającą uliczne latarnie, wyszarpującą z ziemi płyty asfaltu. Wężowaty wyglądał, jakby był w szale, ale on po prostu wypełniał rozkaz: zniszczyć Głuszyce, obrócić je w proch, przygotować je na przemarsz czekającej za Zmorojewem armii istot.

Na oczach przerażonego Rudziaka bestia rujnowała Głuszyce. Raz zdołał ją trafić namoczoną w Świetle Twardowskiego kulą. Pocisk zatrzymał stwora na chwilę, wyrwijąc z jego ciała kawał mięcha. Okazało się jednak, że dla istoty było to zaledwie draśnięcie. Ciemnozielona, twarda skóra chroniła niczym ołowiany pancerz.

Tytus, Iskra i Strąk leżeli pod samochodem, czekając na odpowiedni moment, gdy rozległ się donośny grzmot, a spod ziemi dobiegł głuchy, basowy dźwięk, jakby pod jej powierzchnią zawył wielotysięczny chór.

- Mają już wszystkie Klucze - powiedział Strąk, ściskając w rękę nóż. - I ten, który je ma, idzie tutaj. Musisz się teraz skupić. Wyczyścić swój umysł, zamienić go w radar, który sam namierzy Klucze, gdy tylko znajdą się w twoim zasięgu.

- O czym ty w ogóle mówisz? - zapytał Tytus, przekrzykując wiatr i hałas.

Po chwili jednak sobie przypomniał. Już dwukrotnie miał użyć przedmiotów stworzonych przez Twardowskiego i za każdym razem, zarówno w przypadku Dratwy, jak i Wieńca, udawało mu się to wtedy, gdy skupiał się na czymś zupełnie innym. Teraz jednak problem był, delikatnie mówiąc, nieco większy.

- Jak mam przestać myśleć o tym - krzyknął do Strąka - że od tego, co zrobię, zależą losy moich najbliższych i całego świata?! Możesz mi to powiedzieć, skoro jesteś taki mądry? Mam skupić się na czymś innym? Na czym? Wymienić wszystkie filmy z wampirami, które widziałem, albo policzyć, ile razy w *Zmierzchu* pada zdanie: „Nie możemy być razem”?

- Nie wiem, o czym mówisz, i nie wiem, jak masz to zrobić, ale musisz to zrobić - powiedział Strąk, wpatrzony w potwora, który na chwilę się zatrzymał, dysząc. Z otwartego pyska kapąły mu gęste, śluzowate żółte krople, wyzerające w asfalcie dziury wielkości pięciozłotówek. Powietrze przeszył huk strzału. Zanurzona w Świetle Twardowskiego kula trafiła stwora w klatkę piersiową, przebijając skórę i zadając mu poważną ranę, z której chlusnęła fontanna żrącego śluzu. Istota ryknęła gardłowo i przeciągle i pomknęła w stronę, z której padł strzał, gdzie w zaroślach ukrywał się Rudziak.

- Po prostu przestań o tym myśleć - powtórzył jeszcze raz Strąk, po czym rzucił do Tytusa i córki: - Zostańcie tutaj.

- Pójdę z tobą! - krzyknął Tytus. - One nie mogą mnie zabić.

- Zabić nie - powiedział Strąk - co nie zmienia faktu, że po pierwsze, nie masz żadnej broni, a po drugie, nawet gdybyś ją miał, one nie dopuszczą cię do siebie nawet na metr.

Wybiegł spod auta i stanął w rozkroku, obserwując bestię. Potwór chwycił Rudziaka za ubranie, jakby ten był zabawką. Policjant drżał.

„Właśnie straciłem rozum - myślał. - Po tym wszystkim, o ile to kiedykolwiek dobiegnie końca, zamkną mnie u czubków na całą resztę mojego nędznego żywota. A może już jestem w wariatkowie, może leżę na jakiejś pryczy związany kaftanem bezpieczeństwa, a cała ta walka z potworami z innego wymiaru odbywa się jedynie w mojej wyobraźni. To nie byłoby w sumie najgorsze rozwiązanie”.

Wężowaty jednym ruchem wytrącił mu pistolet z dłoni, łamiąc nadgarstek. Rudziak zawył z bólu.

Strąk gwizdnął. Potwór wypuścił Rudziaka z łap, a ten upadł bezwładnie na ziemię. Iskra wybiegła spod samochodu i znieruchomiała, obserwując sytuację. Wężowaty stał, trzymając się

łapą za ranę, z której wciąż ciekł żrący płyn. Ciężko dyszał. Nagle ruszył w kierunku Iskry. Strąk ją odepchnął, podskoczył i kopnął potwora z całej siły w klatkę piersiową, następnie odbił się od niego, przeskoczył mu nad głową, wylądował z drugiej strony i z całej siły wbił nasmarowany czerwoną mazią nóż w jego plecy. Tytus patrzył na to przerażony, ale i zafascynowany. Nie wiedział, że Strąk jest zdolny do takich akrobacji. Niemniej jedyną reakcją stwora był kolejny ryk. Wężowaty beładnie rozgarniał powietrze łapami, po czym stanął w rozkroku i zaczął się rozglądać, ciężko i chrapliwie dysząc.

Strąk wyjął z płaszcza drugi nóż. Lekko ugiął nogi w kolanach, uważnie patrząc na bestię, po czym obaj zaczęli powoli krążyć wokół siebie jak szykujący się do ataku zapaśnicy. A raczej potwór okrążał Strąka niczym osaczający zwierzynę myśliwski pies. Strąk starał się jedynie nie spuszczać przeciwnika z oczu, ale było jasne, który z nich prowadzi w tym tańcu. W końcu wężowaty rzucił się na niego, a zrobił to tak szybko, że ten zdołał jedynie w ostatniej chwili odskoczyć.

Iskra wyjęła zza pleców wymazany czerwoną substancją oszczep. Ruszyła w kierunku potwora, przymierzając się do rzutu, ale zanim zdążyła go wykonać, napastnik się zamachnął i uderzył ją, odrzucając w bok.

- Mówiłem ci! - wrzasnął Strąk. - Mówiłem ci, abyś nie ruszała się z miejsca!

Potwór ponownie zaszarżował. Mężczyzna był tym razem lepiej przygotowany. Gdy wężowaty zmierzał w jego stronę, uskoczył, po czym rzucił się mu na plecy, chwycił go za szyję i zamachnąwszy się, wbił nóż prosto w oko bestii.

Zawyla tak głośno, że Tytus zatkał uszy. Przeważony obserwował jakby w zwolnionym tempie, jak Strąk zeskakuje z jej pleców i cofa się o parę kroków, natomiast wężowaty odwraca się i go uderza. Strąk krzyknął i złapał się za ramię. Jego dłoń i rękaw momentalnie poczerwieniały. Twarz wykrzywiła się z bólu, a on sam ukląkł na ziemi, ściskając z całych sił rozszarpane ramię.

Iskra podniosła się i stanęła naprzeciwko potwora. Tytus widział, że kompletnie nie wie, co robić. Przeważona i bezbronna obserwowała, jak wężowaty podchodzi do Strąka i powolnym, złowrogim gestem unosi łapę nad jego głowę. Bestia była chora z wściekłości, jej twarz, zastygła w paskudnym grymasie, zalewał żółty śluz wypływający z przebitego oka.

- Odsuń się, Iskro - wyszeptał Strąk. - Uciekaj stąd. Są silniejsze niż ostatnio. O wiele silniejsze. Uciekaj jak najdalej.

Tytus leżał pod samochodem jak sparaliżowany. Zamknął oczy. Nie chciał patrzeć, jak ten potwór odrywa głowę człowiekowi, który nie dość, że był w pewnym sensie jego kumplem i nauczycielem, to jeszcze, jak się okazało, biologicznym dziadkiem.

Ta chwila była długa, bardzo długa, trwała dla niego całe godziny, chociaż w rzeczywistości nie minęła nawet minuta. Ciszę przerwały czyjś bieg, krzyk, sapanie, ryk, kolejny krzyk i wystrzał.

Gdy dźwięki ucichły, Tytus uniósł powieki, chociaż bardzo tego nie chciał.

Na ziemi leżał Barniec. Miał rozdziawione usta i wyraz oczu dziecka wpatrzonemu w noworoczne fajerwerki. Jego prawa ręka, chociaż nienaturalnie wykręcona i bezwładna, wciąż ściskała rękojęć broni. Na jego brzuchu widniała szeroka krwawiąca rana. Strąk stał niedaleko, ciężko dysząc. Iskra opierała się o ojca, trzymając się za lewy bok i wykrzywiając twarz z bólu.

Potwór leżał na ziemi, z głową roztrzaskaną celnym strzałem z pistoletu Rudziaka, wciąż dymiącym w dłoni Barńca.

Tytus wyczołgał się spod pojazdu i podszedł do leżącego mężczyzny. Z prawej strony dobiegło go ciche pojękiwanie. W rowie inspektor Rudziak trzymał się za uszkodzoną rękę.

- Co się stało? Nic im nie będzie? - zapytał Tytus, podchodząc do leżącego Barńca, którego oczy z sekundy na sekundę robiły się coraz bardziej nieprzytomne i zdziwione. Wiatr na chwilę

ustał i zdawało się, jakby czarną ścianę chmur przebijały pierwsze promienie słońca. Mieszkańcy zaczęli wychylać się przez okna, a pochowani w zaroślach policjanci podnieśli głowy.

- Tamtemu w rowie raczej nie. - Strąk rozglądał się, coraz bardziej podenerwowany. - Ale jeśli chodzi o tego tutaj, wszystko jest skończone. Jad węzowatego, gdy dostanie się do ludzkiego ciała, zabija. Najpierw paraliżuje tkanki, a potem zżera je żywcem.

- On musi strasznie cierpieć - powiedział Tytus, patrząc na człowieka, który jeszcze kilkadziesiąt minut temu pouczał w kwestiach wychowawczych jego dziadka.

- Niewyobrażalnie. - Strąk nachylił się nad mężczyzną. - Ale jedyne, co można zrobić, to skrócić jego cierpienie. Niestety, ja...

Rudziak bardzo ostrożnie wstał z ziemi i pokuśtykał w kierunku Strąka, Iskry i Tytusa. Pokazał ręką policjantom, aby pozostali na miejscu. Miał skręconą kostkę. Potwór cisnął nim o ziemię z wyjątkową siłą.

- Czy to już koniec walki z tym cholerstwem? - wyjęczał. - Co to w ogóle jest? Jakieś mutanty robione przez ruskich? Tamci, o... - pokazał palcem dom Grójeckich - twierdzą, że to cały czas żyło w tym lesie. Ale ja też żyję tutaj całe życie i przysięgam, że nigdy czegoś takiego nie widziałem.

- Zabierz stąd tych wszystkich ludzi i uciekaj - odparł Strąk, nie patrząc na Rudziaka, wpatrując się w niebo, jakby czytał zrozumiałe jedynie dla siebie znaki. - To był dopiero początek.

- Zaraz, zaraz - powiedział Rudziak, po czym przerwał, patrząc na Barńca. - Mamy tutaj rannych. Mamy martwych. Panie, tu trzeba wezwać posiłki. Pogotowie. Tu się wydarzyła masakra, a pan mi mówi, że mam stąd spieprzać? Panie, ja jestem policjantem.

Barniec wydał z siebie cichy dźwięk, jakby odchrząkiwał, po czym zastygł zupełnie, a z jego oczu zniknęło już zdziwienie, zniknęło wszystko. Tytus odwrócił głowę. Drżał w środku. Jeszcze parę minut temu jego myśli zderzały się w gigantycznym karambolu, ale teraz chciał tylko, aby to już się skończyło, aby okazało się złym i nieprzyjemnym snem, w który zapadł wtedy na pomoście, po pierwszym pocałunku z Anką. Prawdę mówiąc, z minuty na minutę było mu coraz bardziej obojętne, jaki nastąpi koniec. Skrajnie wyczerpany, czuł się jak ktoś, kto na mecie maratonu usłyszał, że musi pobiec jeszcze raz. I właśnie docierał do połowy drugiego dystansu. Zdał sobie sprawę, że po prostu chce spać tak bardzo, iż niepotrzebna mu wcale gwarancja, że potem się obudzi. Wspomnienie Anki wciąż w nim żyło, przypalało go wraz z każdym wypowiedzeniem w myślach jej imienia, ale to było przypalenie chwilowe, bardzo bolesne, niemotywuujące już do działania, a jedynie powiększające obecną udrękę.

- Tak - powiedział Strąk do Rudziaka. - Niechże pan stąd ucieka. Długo już pan tu jest?

- Walczyłem wczoraj z jakimiś małymi cholerstwami w tamtym domu. - Policjant znowu pokazał palcem dom Grójeckich. - Cały czas...

- Więc to są już dwa cuda w pańskim życiu - przerwał mu Strąk. - Dwa cuda, że pan jeszcze żyje. Z tego, co wiem, limit cudów przypadający na jednego człowieka jest raczej skromny. Trzeciego nie będzie. Proszę jechać do domu.

- Nikt nigdzie nie jedzie! - Z drogi dobiegł ich krzyk.

Zwrócili się w tamtą stronę. Na jezdni stał Adolf Błysk, prowadzący program *Tajemna Strona*, trzymając szamoczącą się Ankę. Tytus nie mógł uwierzyć w to, co widzi. Przetarł oczy. Na chwilę w jego sercu wybuchła radość - więc jednak śni cały czas, to jedna wielka fantasmagoria i nieprawda, bo przecież jakim cudem pojawiłby się przed nim Adolf Błysk, i to jeszcze z Anką.

„Dzięki Bogu - powtarzał sobie w duchu - zaraz wyląduje tutaj różowy statek kosmiczny z moimi rodzicami w środku, a potem obudzę się obok Anki na pomoście, przeciągnę się i opowiem jej, jak strasznie dziwne rzeczy mi się przyśniły. Ona wyśmieje mnie, że cierpię na zdecydowany nadmiar

wyobraźni, i lekko trzepnie mnie w głowę. Wsiądziemy do kajaka i popłyniemy do dziadków, tym razem obiecuję, będę już wiosłował, rano się obudzimy, weźmiemy rowery i pojedziemy na wycieczkę do Kolonii Głuszyce. Oczywiście nic tam nie będzie. Tylko parę rozwalonych chałup. Wieczorem, poparzeni od pokrzyw i pokąsani przez komary, wrócimy do babci na kolację”.

- Tytus! - krzyknęła Anka na jego widok. - Tytus! On chce cię zabić! Tytus!

Błysk złapał ją za włosy i szarpnął. Dziewczyna wrzasnęła, a na ten dźwięk w brzuchu Tytusa zapłonęło rozgrzane do czerwoności żelazo. Zamknął oczy. Otworzył je z powrotem.

To nie był sen.

Zza horyzontu wyszły następne postacie. Jedną z nich była Olga Pralczyk, poruszająca się jak zombie, powłócząca nogami, wpatrzona w czubki własnych butów.

- Skup się, teraz się skup - powiedział Strąk i oparł dłoń na ramieniu Tytusa.

Chłopak zorientował się, że ten dotknął go pierwszy raz w życiu.

- Anka... - odparł Tytus. - Anka!

- On chce cię zabić! - krzyczała dziewczyna. - Tytus, uciekaj stąd!

- Wszystko będzie w porządku, Aniu! - odrzyknął do niej, czując, że wszystkie płyny w jego ciele zaczynają kipieć. - Nic się nie martw! Wszystko będzie w porządku!

Za Olgą Pralczyk zjawiał się, jakby zmaterializowany w powietrzu, wysoki mężczyzna w poszarpanym garniturze, o łapach zakończonych szponami, z rzędem ostrych zębów. Za nim dreptały posłusznie trzy węższacze, jakby były udomowionymi zwierzętami. Gdy jednak wyczuły zapach ludzi, policjantów, którzy wciąż stali przy otwartych radiowozach, nie wiedząc, co robić, zatrzymały się w miejscu, poruszając nozdrzami, gotowe do biegu i mordu.

- To już koniec. - Mężczyzna uśmiechnął się, podchodząc do Strąka, Iskry i Tytusa, dając znak węższaczom, aby pozostały na miejscu. - To już koniec uśpienia. Nadchodzi Ciemność. Czas polowania. Nic nie możecie z tym zrobić.

- Strzępowaty... - Strąk popatrzył na istotę, a w jego głosie brzmiały bezbrzeżny lęk i odraza.

- Taaak, to ja, leśna małpo! - wysyczał Strzępowaty. - Bardzo miło mi cię znowu zobaczyć. Tym razem zdechniesz. Obiecuję ci to.

- Zamknij się. - Strąk splunął w kierunku Strzępowatego i wyszeptał do Tytusa: - Teraz. Teraz skup się na tym, aby oczyścić umysł. Przestań myśleć o tej sytuacji, o nas tutaj i teraz, myśl o Kluczach.

Zapadła ciemność. Świat przykryła czarna, bezgwiazdna i pochmurna noc. Dudnienie spod ziemi wróciło, najpierw delikatne, potem coraz silniejsze. Ostatnie ocalałe szyby w oknach ponownie zadrżały. Strzępowaty wciągnął głęboko nosem powietrze, rozłożył ramiona jak człowiek, który chce powitać ciepły letni deszcz, i wyjął z kurtki owinięty czarną krepą pakunek. Rozszarpał tkaninę i oczom wszystkich ukazało się Lustro Twardowskiego, rozświetlające ciemność krwistą czerwinią.

- Ten mały to Powiernik. - Strzępowaty kiwnął łbem na Tytusa, kładąc ostrożnie Lustro na ziemi. - Zabij go.

Błysk, wciąż trzymając Ankę, zrobił kilkanaście kroków do przodu.

- Podejdź do któregoś z tych martwych gliniarzy - rzucił do Olgi Pralczyk - i podaj mi jakiś pistolet albo każę mu cię zeżreć.

Pralczyk, jak zahipnotyzowana, chlipiąc, podeszła do trupa i posłusznie podniosła leżącą obok niego broń. Policjanci patrzyli na nią zdezorientowani.

- Proszę to zostawić! - Rudziak kuśtykał w jej kierunku. - Proszę to, do cholery, położyć na ziemi!

Strzępowaty spojrział na jednego z wężaczy i warknął; potwór ruszył biegiem prosto na Rudziaka i policjantów, wyszczerzając kły. Część mężczyzn zaczęła uciekać. Gdy bestia była już przy Rudziaku, Strzępowaty warknął ponownie. Na jego komendę wężacz się zatrzymał i znowu stanął w miejscu, czekając na następny rozkaz, który tym razem umożliwi mu żer.

- Stój, gdzie stoisz, jeśli chcesz pożyć jeszcze parę minut - wysyczał Strzępowaty. Pralczyk zmierzała do Błyska, trzymając w ręku pistolet.

- Jak w szszszszszachach, nieprawdaż? - Strzępowaty zwrócił się do Strąka, kucając i kładąc na Lustrze Twardowskiego twarzą do dołu Portret Kobiety Cementarnej. - Ja nie mogę zabić Powiernika, musi to zrobić drugi człowiek, ale przecież wy nie możecie zabijać ludzi. Ten wasz przeklęty mag takimi właśnie was stworzył. Ułomnymi i nieporadnymi.

- Skup się. - Tytus słyszał drżący głos Strąka. - Skup się. To najważniejszy moment. Nie możesz pozwolić, aby Klucze się połączyły. Musisz nad nimi zapanować. Teraz. Skup się. Nie patrz na nie. Patrz do góry. Patrz w ciemność.

Portret przywarł do Lustra. Zadrżała ziemia. Pralczyk podeszła do Błyska i prawie bezwładną ręką podała mu pistolet. Wtedy Anka wrzasnęła i ugryzła Błyska w rękę.

- Ty mała szmato! - wściekł się prezenter i uderzył dziewczynę z całej siły w twarz. Tytus poczuł to mocniej, niż gdyby raz trafił w jego własny policzek.

- Skup się - powtórzył Strąk. - Naprawdę, musisz, musisz się teraz skupić, nie patrz na to, nie słuchaj tego.

- Anka... - powtórzył Tytus, obserwując jej twarz, świecąca w mroku jak lampa, z rozmazanym makijażem, zaczerwienioną od uderzenia, piękną, wściekłą.

- I nastanie wielka ciemność, a z gniazd wyjdą ci, co są głodni, i żaden człowiek nigdy nie zazna spokoju - powtórzył Strzępowaty i zarechotał głośno i parszywie. Wyjął z kieszeni ostatni Klucz, Kwiat Paproci. Z lasu dobiegł niski, głęboki jęk.

„Kocham tę dziewczynę - pomyślał Tytus - i przysięgam, że nic się jej nie stanie”.

- Musisz się skupić! - wrzasnęła Strąk. - Musisz się skupić!

Przedmioty zaczęły się zlewać. Najpierw Lustro pochłonęło oba pozostałe Klucze, a następnie roztopiło się w parującą masę, z której zaczął się formować kształt Klucza. Pod ziemią coś gruchnęło. Tytus ruszył biegiem w kierunku Błyska, w momencie gdy tamten odbierał broń z rąk Pralczyk.

Strzępowaty zarechotał.

- Tytus, nie! - zawołał Strąk. - Wracaj! Wracaj!

Tytus pędził do Anki. Błysk wycelował w niego broń i puścił dziewczynę, która momentalnie rzuciła się w kierunku chłopaka.

- Tytus! Zaraz wszystko się skończy! Tytus! - krzyknęła Iskra i ruszyła za nim.

- Ale ty jesteś głupi! - zarechotał Błysk.

- Anka! - krzyknął ponownie Tytus i złapał dziewczynę w ramiona, po czym przycisnął ją do siebie najmocniej, jak potrafił. Jej ciepło go zatrzymało. Stali przez ułamek sekundy, wtuleni w siebie, jednak zaraz, widząc pistolet w ręku Błyska, Tytus przewrócił ją na ziemię.

Strzępowaty podniósł Klucz. Ziemia drżała.

- Niech się otworzy Zmorojewwwwo! - wysyczał, mrużąc oczy, czekając na Czerń, która już miała chlusnąć na świat.

Błysk nacisnął spust.

Tytus przykrył Ankę własnym ciałem.

Rozległ się strzał.

- Niech się otworzy Zmorojewwwwo - powtórzył Strzępowaty i nagle spojrział na Tytusa,

wciąż żywego, tulącego Ankę do siebie.

- Nawet tego nie możesz zrobić? Nawet tego nie umiesz zrobić, parszywy człowieku? - wysyczał wściekle.

Pod ziemią ponownie coś wybuchło, rozdzierając bębni. Z nieba spadło kilka kropel. Czarnych, gęstych, ciepłych. Zerwał się wiatr. Jeszcze silniejszy niż godzinę wcześniej, porywisty, łamiący gałęzie, śpiewający czarną pieśń tysięcy zmor.

Adolf Błysk chwycił się za bark i wypuścił pistolet ze zranionej pociskiem ręki. Rudziak kuczał na ziemi, z trudem składając się do następnego strzału. Węszacz rzucił się w jego kierunku, lecz inspektor w ostatniej chwili wpadł do otwartego radiowozu i zatrasnął drzwi.

Strzępowaty, patrząc na Powiernika, wznosił do góry Klucz.

- Zabij go! - syknął. - Zabij go, ty głupie ludzkie ścierwo.

Iskra rzuciła się na Strzępowatego i z całej siły kopnęła go w brzuch.

- Przenieś nas do Zmorojewa! - wrzasnął Strąk do Tytusa. - Przenieś nas do Zmorojewa! To jeszcze możesz zrobić! Nie przejmiesz już Klucza, ale przenieś nas z nim do Zmorojewa jak najszybciej! Zmień kierunek, w którym idzie jego moc! To jeszcze potrafisz zrobić!

Tytus znowu czuł ciepło Anki. Żywej, oddychającej.

- Zmień kierunek! - Strąk wrzeszczał jak opętany. - Przenieś nas do Zmorojewa!

Strzępowaty zachybotał się na stopach, po czym zaatakował Iskrę. Strąk doskoczył do niego i z całej siły uderzył go w twarz. Kilka zębów w pysku potwora chrupnęło. Jednak nie wypuścił Klucza, ten tkwił w jego ręce jakby zrośnięty z nią na stałe.

- Czy mogę cię pocałować? - zapytał Tytus.

Kiwnęła głową.

Uśmiechnął się.

Strzępowaty pchnął Strąka do przodu, przewrócił go na ziemię, chwycił za szyję, ścisnął i otworzył szeroko paszczę. Ciemna kropla z jego ust spadła na twarz mężczyzny.

- Tytus! Przenieś nas do Zmorojewa, bo wszyscy zginiemy! - krzyczała Iskra. - Możesz to zrobić! Jak z Wieńcem, jak z Dratwą! Tylko przestań o tym myśleć!

Ale przecież Tytus wcale już o tym nie myślał.

- Oczywiście, że możesz mnie pocałować. Przecież przyjechałam tu specjalnie dla ciebie, durniu - odparła.

Była piękna, jeszcze piękniejsza niż w myślach Tytusa, gdy tkwił uwięziony w Zmorojewie. To tylko sen. Nikt nie zginie.

Była najważniejsza. „Dla człowieka zawsze są najważniejsze jedna czy dwie osoby, nawet w obliczu końca świata” - pomyślał.

Świat trząsał się, jakby Głuszyce były w szklanej kuli zabawce, potrząsanej przez małe dziecko.

Z nieba chlusnął potop czarnej, tłustej i ciepłej wody.

- Zabiję cię! - wysyczał Strzępowaty.

- To koniec! - wyszeptała Iskra.

- Mam twój plecak, ale został w domu u dziadków. - Tytus się uśmiechnął i pocałował Ankę prosto w usta. Smakowały jak zwykle papierosami.

Adolf Błysk spojrział w górę i zaczął płakać ze szczęścia.

Olga Pralczyk kuciała obok, obejmując się ramionami i trzęsąc spazmatycznie.

Tytus pocałował Ankę jeszcze raz i nie wiedząc czemu, pomyślał o stacji kolejowej z czerwonej cegły, z napisami po niemiecku, o sztucznym świcie, o ruinach zamku na wzgórzu.

I wtedy, ułamek sekundy przed tym, gdy Czerń miała już na stałe rozgościć się w jego

świecie, poczuli, jakby wszystko dookoła wybuchło w jednym, krótkim, oślepiającym błysku.

* * *

Maryla Grójecka zdecydowała wreszcie wstać z podłogi, na której leżała ze swoim mężem Zbigniewem. Najpierw oddalona o parę centymetrów, potem przysuwała się do niego coraz bliżej, bliżej i bliżej, aż przytulili się do siebie i leżeli tak, drżąc w ciemności. Gdy rozsunała zasłony, zobaczyła jasne, błękitne niebo, piękną pogodę bez najmniejszego śladu wiatru i zupełnie zdewastowane obejście gospodarstwa.

Dach stodoły, zmieciony przez wiatr i potrzaskany na setki kawałków, pokrywał cały trawnik. Drzewa w sadzie były powyrywane z ziemi albo połamane. Samochód ział dziurami wybitych szyb. Na dachu leżała wyrwana i nadgnieciona antena satelitarna.

- Udało im się - wyszeptła. - Udało im się. Tytusowi się udało. Powstrzymali Czerń.

Zbigniew Grójecki również wstał i wyjrzał przez okno.

- Czyli to już naprawdę koniec - powiedział, obejmując żonę. - I nigdy ich nie zobaczymy.

- Nie, już nigdy więcej ich nie zobaczymy. - Maryla uśmiechnęła się i odwróciła do niego.

Dotknęła jego starej, pokrytej zmarszczkami twarzy, a on jej ramienia.

- To było chwilowe - zaczął się tłumaczyć. - To gdzieś po prostu we mnie było, te wszystkie lata. Może dlatego że nigdy nie dałem mu po prostu w mordę. Jak mężczyzna mężczyźnie.

- Robert to twój syn. - Jego żona się uśmiechnęła, ciepło i mądrze, tym uśmiechem, dla którego się z nią ożenił. - A Tytus to twój wnuk. Zawsze tak będzie.

- Wiem - odparł. - I nie będziemy już o tym rozmawiać.

- Boże... - Otrząsnęła się. - Chodźmy po Tytusa. Szybko, Zbyszkus. Szybko, chodźmy go poszukać. Boże jedyny!

Wyszli na zalane słońcem obejście i nie zwracając uwagi na szkody, których naprawienie pochłonie prawdopodobnie wszystkie pieniądze, jakie jeszcze zarobią do końca życia, ruszyli w dół drogi, do miejsca, w którym rozegrało się starcie Światła i Ciemności, i gdzie ostatni raz widzieli wnuka. Pogoda była tak ładna jak nigdy w tym roku, wiał orzeźwiający wiatr.

Na końcu drogi do ich domu widniała wielka niecka, jakby w asfalt uderzył ogromny asteroid. W dole kłębili się sanitariusze, policja, gapie i dziennikarze. Zanim pani Maryla zdążyła się zorientować, o co chodzi, dopadła ją rozhisteryzowana pani Konipna i znowu przycisnęła ją do siebie. Przypominała ogromne dziecko, które szuka pocieszenia w gwałtownie wyciągniętej z łóżka pluszowej zabawce.

- O Boże, co to było, pani Marylo! - wyjęczała. - Co to jest, co to będzie, myślałam, że to koniec świata. Wszyscy tak myśleli. Żebym ja musiała dożyć takich czasów, Jezu Chryste, Matko Przenajświętsza!

- Tytus - rzuciła pani Maryla, odpychając panią Konipną, która została za nią, stojąc jak słup, z szeroko rozdziawionymi ustami. Pobiegła w kierunku pierwszego z sanitariuszy. Mąż podążył za nią.

- Piętnastoletni chłopak! - krzyknęła w twarz niskiemu, barczystemu facetowi w kurtce ratownika. - Szczupły, brunet.

- Nikogo tu nie było. - Wzruszył ramionami.

- Piętnastoletni chłopak! - wrzasnęła, czując, jak do oczu napływają jej łzy. - Albo wysoki, brodaty facet z długimi włosami! Dziewczyna w moro! Policjant w prochowcu, taki wymięty, z podkrążonymi oczyma!

- Nikogo tu nie było - powtórzył sanitariusz. - Paru żywych policjantów. I paru martwych.

Nikogo, o kim pani mówi!

- Tytus! - krzyknęła. - Tytus!

Zbigniew ją objął, ale nie czuła jego dotyku. Rozglądała się wokół jak przestraszone zwierzę.

- Oni zniknęli. Było czarno, z nieba padał czarny olej, wszystko rozbłysło, a oni zniknęli. Mówili, że idą do jakiegoś Zmorojewa. Ktoś groził, że muszą je zniszczyć - powiedział stojący z boku, opatulony w koc pomimo letniej pogody Rudziak, wyglądający jak wrak człowieka. Mężczyzna drżał w sposób, który kazał podejrzewać, że to drzenie nie przejdzie mu już do końca życia.

Pani Maryla popatrzyła mu bez słowa w oczy przez parę sekund, po czym zemdląła. Zbigniew chwycił ją w ostatniej chwili.

15. Ogień

Zmorojewo płonęło. Oczywiście zupełnie inaczej niż płonęłoby każde inne miasto.

Budynki, zamiast zapadać się pod własnym ciężarem, zanikały, zamazywały się, tracąc kontury i kształty. Ulice kurczyły się i zwęzły niczym nadmuchane dekoracje, z których ktoś powoli spuszczał powietrze. Bruk robił się miękki i lepki jak błoto. Pomnik przed ratuszem miasta nie stawał się coraz to bardziej czarny i osmalony od ognia, a raczej delikatnie się topił, tracił formę, przypominając powoli podgrzewaną na gazowym palniku lodową rzeźbę. Dym był wszędzie, ale nie był to czarny, gryzący dym znany z ludzkiego świata, dym płonącego drewna, cegieł, gumy, lakieru. Ten dym również miał ciemnoszary kolor, ale mimo to był lekki, podobny bardziej do parującej z budynków mgły, jakby całe miasto na skutek ognia przechodziło w inny stan skupienia.

Płonęło również wyrastające z ratusza drzewo. Miało kształt ogromnej, białej w ziemię przez niezidentyfikowanego olbrzyma pochodni. W kierunku ratusza biegli ci z mieszkańców, którzy nie zdążyli schronić się w nim od razu, podczas pierwszego ataku Ciemności. Nie wszystkim udawało się dotrzeć do bram budynku - ostatniej ostoi w zalewanym przez Czerni, niszczonym mieście. Istoty Czerni, w dziesiątkach odmian i form, przejęły Zmorojewo i zabijały każdego, kto stanął im na drodze. Niektóre z potworów Tytus oglądał po raz pierwszy w życiu. Widział żarłaczę, takie jak Strzępowaty, widział człekokształtnych o szarej skórze i długich, szablowlanych zębach, widział karmiące, takie jak Gangrena, węzowatych i wężaczy, ale dostrzegł również małe, podobne do psów, szybko biegające czworonożne stworzenia, kościste, chude, olbrzymie ptaki o ostrych dziobach i postrzępionych piórach koloru krwi, blade, sprawiające wrażenie ulepionych z białej, budyniowatej mazi, ogromne, powolne i pozbawione ust istoty, które mogły za jednym zamachem wyrwać pół budynku i rzucić nim kilkaset metrów. Na środku zmorojewskiego rynku, otoczona tymi wszystkimi bestiami, stała postać podobna do tej, która zaatakowała Głuszyce: również barczysta, pokryta węzowatą łuską, ale jeszcze większa i silniejsza. Był to Wężun, ojciec węzowatych, generał Czerni, prawa ręka Leszego.

Ta część Bariery, która odgradzała Zmorojewo od Czerni, już dawno roztrzaskała się w drobny mak, w momencie gdy trzy Klucze zespoliły się w jeden. Przetrwała ostatnia osłona, najgrubsza, która oddzielała miasto od świata ludzi. Zło wlewało się do Zmorojewa niczym strumienie czarnej wody, a jedynym, co powstrzymywało je od ostatecznego przedarcia do świata ludzi, było chwilowe uśpienie Klucza, po tym jak Tytus w ostatniej sekundzie podtrzymał Barierę i przeniósł wszystkich do Zmorojewa.

Istniało tylko jedno rozwiązanie. Iskra, Tytus, Strąg i Anka szli powoli torami wzdłuż stacji kolejowej, która już dawno temu straciła swój kształt i przypominała teraz roztopioną, bezkształtną bryłę ceglanego koloru. Posuwali się w ciemności, boczną drogą w kierunku wzgórza, z górującymi nad Zmorojewem ruinami zamku Twardowskiego.

Szli zniszczyć Zmorojewo.

* * *

Tytus nie przypominał sobie momentu przeniesienia do Zmorojewa, utracił świadomość, gdy dotknął ust Anki. Ostatnie, co kojarzył, to ich papierosowy posmak.

Gdy ocknął się w mieście duchów, pierwsze, co zobaczył oprócz szalejącego wokół ognia, to był Znak Zmory, który ściekał ze ściany budynku naprzeciwko. Rozlegały się krzyki mieszkańców Zmorojewa, ryki bestii Leszego i dudnienie, ogłuszający, basowy zew, dobiegający jakby z samego serca ziemi. Muzyka Czerni.

Obok Tytusa siedziała Anka, rozglądała się wokół, zupełnie zdezorientowana.

- Gdzie... gdzie my jesteśmy? - zapytała.

- W miejscu, w którym byłem ostatnio - odparł chłopak.

Nie zdążył jednak powiedzieć nic więcej, Iskra podbiegła do nich i pociągnęła oboje za ręce, każąc im wstać. Ruszyli w kierunku ratusza. Zza jego uchylonych drzwi wyglądali już Strąk z Jagodziakiem, machając na nich, aby biegli szybciej. Weszli do środka w ostatniej chwili. Ostry niczym brzytwa pazur przelatującego krwistoczerwonego ptaka z czarnymi dziurami zamiast oczu minął głowę Tytusa o milimetr.

Bruk na dziedzińcu ratusza pokrywała półmetrowa warstwa białej, gęstej mgły. W połączeniu z siwym dymem z płonącego drzewa sprawiała, że widoczność była zerowa. Strąk przystanął i przesunął dłonią tuż nad powierzchnią białej waty, ta na moment się rozsunęła, tworząc regularny otwór o kwadratowym kształcie, w którym widniały znane Tytusowi schody w dół.

- Gdzie jest ten z zębami? I ten człowiek, Adolf Błysk? - zapytał Tytus, schodząc po krętych, stromych stopniach, które wydawały mu się dużo liczniejsze niż ostatnio, tak jakby mieszkańcy Zmorojewa, w obronie przed siłami Leszego, zepchnęli podziemia ratusza jeszcze głębiej pod ziemię.

- Nie mam pojęcia - Strąk odpowiedział, kręcąc głową. - Przeniesienie wyrzuciło każdego w zupełnie innym miejscu. Ale bez wątplenia są gdzieś niedaleko. To znaczy Strzępowaty, bo jak go znam, już dawno zabił tego człowieka, skoro przestał być mu potrzebny.

- Ten Błysk to zupełny psychopata! - krzyknęła za nimi Anka. - To on przywiózł tutaj Lustro Twardowskiego. Chciał, aby ten z zębami obdarzył go w zamian mocą. Stwór powiedział mu, że dostanie ją, jeśli cię zabije.

- Facet, który prowadzi mój ulubiony program w telewizji, chciał mnie zabić. - Tytus gorzko się zaśmiał. - Nie wiem, czy właśnie to nie jest z tego wszystkiego najdziwniejsze.

Wójt czekał na nich na dole schodów.

- Chodźcie, chodźcie szybko - powtarzał, cały czas starając się odciągnąć Strąka na bok, aby powiedzieć mu coś w tajemnicy. Strąk sprawiał wrażenie, jakby bodźce w ogóle do niego nie docierały, był otumaniony, milczący, wyczerpany.

Przeszli razem do sali z nieproporcjonalnie ogromnym żyrandolem, w której po raz pierwszy oznajmiono Tytusowi, że jest Powiernikiem.

Tytus poczuł się jak u siebie, chociaż był tu dopiero drugi raz, a pokój wyglądał inaczej niż poprzednio. Za oknem nie widać było już korony drzewa, lecz ziemię - jakby pomieszczenie rzeczywiście zostało zepchnięte kilkadziesiąt metrów w dół. Tytus obserwował z fascynacją powtykane w grudy ziemi i torfu skarby - stare monety, kamienie, szkielety małych zwierząt.

- Nie damy rady - powiedział wójt, siadając za stołem. Wydawał się mniejszy i chudszy niż ostatnio. Jego gęstą czarną brodę przyprószała biel, a w podkrążonych oczach widać było wyczerpanie i rozpacz. - Jest ich za dużo. Nie mamy mocy, żeby ich powstrzymać, nie mamy mocy, aby z powrotem zamknąć Bariere. A nawet gdybyśmy ją mieli, nie poradzilibyśmy sobie z tymi, którzy już tu są.

- Powstrzymaliśmy ich tam, na górze, przed przedostaniem się do świata ludzi, ocaliliśmy część Bariery i wróciliśmy tutaj. - Strąk mówił cicho i beznamiętnie. - Tylko tyle mogliśmy zrobić. Powiernik nie zdołał przejąć pełnej kontroli nad Kluczami. Może jest za młody, a może nikt nie potrafiłby zrobić tego w tak krytycznym momencie.

Tytus miał wrażenie, że mówiąc to, Strąk spojrział na Ankę. Ale może mu się tylko tak wydało.

Zapanowało milczenie. Tytus spojrział na Świteziankę, Iskrę, Strąka, mamroczonego coś do siebie Jagodziaka, nieobecne duchem Dratewkę, na kilka pozostałych, gnieźdzących się po

kątach pokoju skulonych istot. Wyglądali na przerażonych, zrozpaczonych, a przede wszystkim zupełnie zdezorientowanych. Tytus zdał sobie sprawę z tego, że Zmorojewo tak naprawdę już od dawna nie było przygotowane na odparcie jakiegokolwiek ataku wojsk Leszego. „Dlaczego są tacy słabi? - zadał sobie w duchu pytanie. - Czy zlekceważyli niebezpieczeństwo, czy mają coraz mniej mocy, bo przecież prawie gasną w oczach? I dlaczego tej mocy ubywa, czemu jest jej coraz mniej? Czyżby na świecie było coraz więcej złych ludzi, takich jak Błysk? Czy może taka jest kolej rzeczy, że to, co dobre, w naturalny sposób podlega entropii względem zła? Może cały świat i my wszyscy, którzy się na nim rodzimy, żyjemy, oddychamy, kochamy i umieramy, jesteśmy skazani na Czerń?”.

- Baba-Jaga... - Po dłuższej chwili wpatrywania się w nieokreślony punkt wójt zaczął rozglądać się wokół. - Baba-Jaga, gdzie ona jest? Dlaczego jej tu nie ma? Czemu ta starucha znika wtedy, gdy jest najbardziej potrzebna?

Wszyscy zamilkli i zaczęli, wzorem wójta, się rozglądać, jakby licząc na to, że czarownica nagle wejdzie przez drzwi lub wychynie zza rogu, śmiejąc się do rozpuku, jaki to zrobiła wszystkim świetny kawał. Ale nic takiego się nie stało. Po dłuższej chwili przemówił Strąk.

- Baba-Jaga z powrotem stała się Mocą - powiedział, starając się nie patrzeć na córkę, której momentalnie napłynęły łzy do oczu. Spoglądając na zgromadzonych, którzy zamiast się rozglądać, wbili w niego wzrok, dodał: - To był węższacz. Wyjątkowo silny.

- Jeszcze tego brakowało! - huknął wójt, trzaskając pięścią w stół. - Jeszcze tylko tego brakowało, naprawdę!

Po czym ukrył twarz w dłoniach, nieudolnie starając się powstrzymać szloch.

- Spróbowałabym przywołać wodę, ale dawno nie rozmawiałam z jeziorem. Nie wiem, ile mogłoby jej być - nieśmiało wyszeptła Świtezianka.

Tytus pierwszy raz usłyszał jej głos, który mógłby należeć do ducha małej dziewczynki. Gdy otworzyła usta, wyskoczyła z nich mała, kolorowa żabka. Świtezianka szybko ją złapała i włożyła z powrotem do buzi, uśmiechając się przeproszająco.

- Nie, to nie ma sensu, to nie ma sensu - odezwał się Jagodziak, po czym na jego twarzy wykwitła głęboka, dojmująca wściekłość. Wzniósł drobną, kościstą pięść i głośno wykrzyczał: - A gdzie jest on, gdy go najbardziej potrzebujemy?! Zostawił nas tutaj samych, bezpańskie zabawki, kukły bez sznurków! Nic nie ma. Nikogo nie ma. Jest tylko Leszy, Leszy, który pewnie wejdzie tu na sam koniec, gdy już cały ten pomiot przemaszeruje przez Zmorojewo, aby rozdeptać świat. Ale on się tutaj nie pojawi, co to, to nie. Wielki mag Twardowski, pies mu mordę lizał! - Wypowiadając ostatnie słowo, splunął.

Gdzieś z góry, z otchłani dobiegł głęboki, niski ryk. Wszyscy spojrzeli w tamtym kierunku, jakby od tego odgłosu miał zawalić się strop. Faktycznie, przez kilka sekund wiszący nad nimi żyrandol niebezpiecznie zachybotał.

- Jest jedno, ostateczne wyjście. - Strąk rozejrzał się uważnie po wszystkich. - Wiecie jakie.

Zebrani wpatrywali się w niego uważnie w nadziei, że nie mówi o tym, o czym oni myślą, nawet Tytus domyślił się, o co mu chodzi.

- Wiecie, że Twardowski umieścił w swoim zamku Czwarty Klucz. Klucz, o którym nie wie Leszy. Rozumiecie, o czym mówię. O Czarcię Łapie.

Wójt otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale jednak zrezygnował. Strąk powiódł wzrokiem po wszystkich.

- Możecie się sprzeciwiać, mówić, że jeszcze nie teraz - ciągnął. - Ale Twardowski stworzył Czarcię Łapę z myślą o takiej chwili. Gdy Zło będzie już nie do zatrzymania, gdy będziemy musieli się poświęcić, aby uratować ludzi. O to przecież zawsze nam chodziło, po to istniejemy. Aby

ratować ludzi.

Zapadła cisza, którą przerwał Jagodziak, ponownie wznosząc pięść i krzycząc:

- Diabeł ferowałby sprawiedliwsze wyroki niż ten! I ci ludzie! Ludzie! Mam dość ludzi! To przez ludzi jest całe to zło! Przez ludzi to wszystko! Niech Leszy przejdzie przez Zmorojewo, da nam święty spokój, a na zewnątrz niech zgotuje im wszystko, co najgorsze!

- Nie mów tak, Jagodziaku - odparł bardzo spokojnie Strąk. - Nie myślisz tak.

Wójt wstał zza biurka i podszedł do Strąka. Popatrzył mu prosto w oczy i położył wielką, pomarszczoną dłoń na ramieniu.

- Baliśmy się, że ktoś to w końcu powie. - Jego głos ze słowa na słowo robił się coraz bardziej chrapliwy, zmęczony i stary. - Siedzieliśmy tutaj, trzęsąc się jak tchórze. Ale to jedyne wyjście. Musimy zniszczyć Zmorojewo, zablokować Czerni wejście do świata ludzi. Na zawsze.

- Zniszczyć Zmorojewo? - zapytał Tytus. Objął Ankę ramieniem i przycisnął ją do siebie.

- To jak wysadzenie dynamitu w kopalnianym szybie. - Strąk odwrócił się do niego. - Ostateczne zablokowanie drogi. Gdy Powiernik dotknie Czarciej Łapy, Zmorojewo po prostu zniknie, jakby nigdy go nie było, razem z całym Złem w środku.

- Zaraz, zaraz... - Myśl goniła myśl jak szalona, Tytus musiał się bardzo skoncentrować, aby powiedzieć coś sensownego. - A... a tamte Klucze? Może mógłbym spróbować jeszcze raz nad nimi zapanować? A... wy? Co się z wami stanie? I z nami?

- Klucze są bezużyteczne. - Strąk pokręcił głową. - Leszy już je ma. Może przedostać się do świata w każdej chwili. Teraz jego słudzy po prostu niszczą resztki Bariery i czekają, aż Klucze się obudzą. Przenosząc nas tutaj, uśpiłeś je na chwilę. Tak potężnych przedmiotów można używać raz na jakiś czas, muszą się z powrotem naładować jak... akumulator, czy jak to się u was nazywa. Ale to daje nam niewiele czasu. Akurat tyle, aby szybko dojść do zamku. Nie martwcie się o siebie. Zanim dotrzemy do Klucza, Iskra zdąży wyprowadzić was ze Zmorojewa. Spokojnie. To nie stanie się od razu, mamy trochę czasu.

- Co stanie się z wami? - powtórzył Tytus dobitniej, spoglądając już mniej błędnym wzrokiem. - Chcecie skazać się na pewną śmierć? Może w ruinach tego zamku są jakieś inne przedmioty? Może przejmemy nad nimi kontrolę i ich pokonamy?

Strąk, wójt i Iskra jednocześnie pokręcili głowami. Strąk uśmiechnął się, podszedł do Tytusa, powoli, trzymając się za bark - jego prawa ręka od czasu pojedynku z wężowatym wisiała bezwładnie przy ciele - i położył mu dłoń na ramieniu.

- Pamiętasz, co ci powiedziałem? - Uśmiechnął się. - Nie jesteśmy tacy jak wy. Nie jesteśmy do końca z ciała. Jesteśmy Mocą. Po prostu przejdziemy w jej inny... jak wy to mówicie... stan skupienia. Jak woda. Woda nie znika, ale paruje albo zamarza, rozumiesz? Lecz cokolwiek by się działo, wody na świecie jest cały czas tyle samo.

Tytus pokiwał głową. Nie żeby zgadzał się ze swoim prawdziwym dziadkiem; przytaknął, ponieważ rozumiał, iż rzeczywiście jest to jedyne wyjście. Czytał to w oczach wszystkich wokół - przygaszonych, zrezygnowanych obliczach osób, które wiedzą, że powstrzymanie nieuchronnego nie ma żadnego sensu.

- Musicie szybko ruszać - powiedział wójt. - My zostaniemy tutaj. I tak do niczego wam się nie przydamy. Chodźcie jeszcze na chwilę do auli. Wyjaśnię mieszkańcom, co się stanie, przygotowuję ich na to.

- Powiedz im - odparł Strąk, cały czas bez najmniejszego śladu emocji - że po prostu na chwilę pójdą spać. I że gdy się obudzą, wszystko będzie w porządku. Tak jak kiedyś.

- To... to kłamstwo, Strąku. Przecież wiesz o tym. - Wójt starzał się w oczach, jego głos był coraz bardziej zmęczony.

Strąk spuścił wzrok, po czym odwrócił się w kierunku wyjścia.

- Nie wiesz, czy to kłamstwo - odparł, nie oglądając się za siebie. - I ja też tego nie wiem. Ale daj im chociaż trochę nadziei. Nie możesz im powiedzieć niczego innego.

* * *

- Musisz zostać, Aniu, naprawdę, to niezwykle niebezpieczne. Wrócę po ciebie. Obiecuję, że zdążę po ciebie wrócić. - Tytus starał się, by jego głos brzmiał jak najbardziej przekonująco, chociaż każde z tych słów przyprawiało go o poważne, bolesne klucie w sercu. Byli w sali pod korzeniami ogromnego drzewa, w której jeszcze nie tak dawno temu chciano na nim dokonać publicznego linczu.

- On ma rację - powiedziała Iskra, stojąc z boku - posłuchaj go. On jako Powiernik nie może zostać zabity przez istoty Leszego, ale ty możesz zginąć w każdym momencie. To głupota.

- Mam się tu męczyć z tym człowiekiem, któremu jeszcze pewnie zachce się jeść? Albo, jak to oni mówią, sikać? - zaskrzeczał Jagodziak, którego dużo bardziej od niszczenia Zmorojewa interesowały wypalone przez ogień dziury w fioletowym surducie.

- Cicho bądź - twardo rzucił do niego Tytus, pomimo ogólnej paniki wywołując uśmiech na ustach schowanych w ratuszu zmor, po czym z powrotem odezwał się do Anki: - Naprawdę. Proszę cię. Tutaj nic ci się nie stanie.

- Nic mi się nie stanie w płonącym, otoczonym przez bestie z piekła rodem budynku? Ty chyba naprawdę jesteś tak głupi, jak mi się wydawało, gdy cię poznałam - warknęła, ale po chwili spuściła wzrok, podeszła do Tytusa, wzięła go delikatnie za rękę i dodała: - Nie mogę drugi raz czekać na ciebie i wariować, myśląc, co mogło się z tobą stać, czy ktoś zrobił ci jakąś krzywdę. Nie ma takiej możliwości.

Popatrzył na nią i pomyślał, że tak naprawdę jest najdzielniejsza ze wszystkich, którzy zgromadzili się w tym miejscu. Mieszkańcy stali zbici w ciasne grupki, rozdygotani i przerażeni, nawet reagowali na strach, zmieniając swoje fizyczne formy - twarze niektórych migotliwie przybierały różne kolory, jeszcze inni robili się półprzezroczystymi. Wójt starał się mówić do nich jak najspokojniej, tłumaczyć, że to dla ich dobra, ale sprawiał wrażenie, jakby nie wierzył we własne słowa. Rozkrzyczani niegdyś mieszkańcy Zmorojewa siedzieli teraz na podłodze, wpatrzeni w wójta plotącego coś o „hibernacji”, „zatrzymaniu”, „uśpieniu” i przytłoczeni bezgranicznym strachem.

„Nawet nie jestem ich nadzieją - pomyślał Tytus - jestem nadzieją tych, którzy zostali tam, na zewnątrz, ale nie tych tutaj. Oni znikną tak czy siak, ja, gdy wszystko dobrze pójdzie, obudzę się w swoim domu i będę pamiętał to niczym sen, ukończoną kiedyś grę komputerową. A oni po prostu znikną. Jak gdyby nigdy ich nie było”.

W przeciwieństwie do nich Anka nie okazywała nawet śladu przerażenia. Stała z dłonią opartą na biodrze, wpatrując się w Tytusa ze zmarszczonymi brwiami. Chłopak miał problemy z wytrzymaniem tego spojrzenia.

- Tak, masz rację, jesteś w mieście duchów, w płonącym budynku otoczonym przez bestie z piekła rodem - powiedział Tytus - i w ogóle ani trochę się nie boisz?

- Boję się jak diabli - odparła i ujęła jego drugą dłoń - ale jestem z tobą, Tytusie Grójecki. Jesteś najbardziej wartościowym chłopakiem, jakiego kiedykolwiek poznałam. I wszystko, nawet potwory z piekła rodem, jest lepsze niż życie w jednym domu z moją matką.

- Dobra, ruszamy - rzuciła Iskra, kierując się w stronę wyjścia. - Koniec tego. Jeśli chcesz iść, to wasza sprawa. Mam tylko nadzieję, że potrafisz szybko biegać.

- Zdziwiłabyś się - wycodziła Anka.

Wyszli i ruszyli z powrotem po schodach, eskortowani przez wójta. Gdy dotarli na ich szczyt, Strąk znowu machnął ręką i wiszący nad nimi sufit białej mgły rozwarł się jak wtedy, kiedy tu weszli. Wójt położył mu jeszcze raz rękę na ramieniu.

- Przepraszam - przemówił po chwili, ciężko wdychając. - Przepraszam cię za te wszystkie kretyńskie pretensje, wypominanie ci, że nie pielęgnujesz należycie...

- To nieistotne. - Strąk przerwał mu w pół zdania.

Wójt popatrzył na niego wzrokiem człowieka rozpaczliwie błagającego o rozgrzeszenie.

- Byliśmy durni i ślepi - westchnął wójt. - To wszystko nasza wina.

- Nie, to nie wasza wina. - Tytus był już w połowie we mgle. - To wina ludzi. Przestali być dobrzy. Przestali w was wierzyć.

- Idziemy! - krzyknęła jeszcze raz Iskra.

Zanurzyli się we mgle, okrążyli płonące drzewo i wbiegli do ciasnego korytarza w ścianie dziedzińca. Był długi, ciemny i wąski, a na jego końcu nie widzieli światła. Przez dobre kilka minut poruszali się w nim gęsiego, w ciemności, słysząc jedynie własne oddechy. Tytus znał już Zmorojewo i był pewien, że gdy wybiegną na zewnątrz i się odwrócą, za ich plecami pojawi się lita ściana albo szeroka otwarta przestrzeń.

I tak też się stało. Na końcu korytarza znajdował się nasyp kolejowy, a przed nimi rozciągał się widok z góry na rynek Zmorojewa, majacący w oddali. Na rynku, otoczona pierścieniem płonących budynków, stała armia Leszego, czekając na rozkaz i na ostateczne pęknięcie Bariery. Tytus zmrużył oczy. Olbrzymia węzowata istota podnosiła coś gestem człowieka, który chce obejrzeć pod światłem kliszę fotograficzną. Tym czymś był Klucz - odlany ze stopionych razem Lustra, Kwiatu i Portretu, błyszczał w ogniu jak małe słońce, emitując co kilka sekund oślepiające białe światło.

- Nie wiem, ile czasu zajmie nam dotarcie na górę. - Strąk musiał przekrzykiwać otaczającą ich ścianę hałasem. - Miasto zupełnie oszałało. Możemy być za chwilę, ale równie dobrze za parę godzin.

- Albo nigdy - dodała Iskra.

Tytus popatrzył na majestatyczne czarne ruiny. Niebo nad Zmorojewem także było czarne, tylko nad zamkiem widniała kłębiąca się z zawrotną szybkością mgławica białych, rozświetlanych co chwila piorunami chmur. Sam zamek stojący na czarnym wzgórzu przypominał lśniąca choinkową ozdobę, zawieszoną na niewidzialnym sznurku przez ogromną dłoń.

- Nie mów tak. - Tytus odwrócił się do Iskry. - Nie masz prawa tak mówić. Oczywiście, że tam dotrzemy. Nie ma innego wyjścia.

Nagle wymacał coś w swojej kieszeni. Gdy rozpoznał przedmiot po kształcie, uśmiechnął się.

- To niewiele. - Odwrócił się do Anki i podał jej gaz pieprzowy. - Ale chyba należy do ciebie.

- Rzeczywiście. - Zaśmiała się. - To niewiele, ale może się przydać. Dobra, koniec tego czekania nie wiadomo na co. Ruszamy.

Pobiegli po torach, kryjąc się w mroku, nic nie mówiąc, w kierunku skąpanego w błyskawicach zamku.

* * *

Adolf Błysk szedł przez ogień z rozpostartymi ramionami. Co jakiś czas się zatrzymywał - albo wybuchał głośnym śmiechem, albo wznosił ręce, jakby próbując coś przywołać. Wtedy z jego oczu leciały łzy. Olgi Pralczyk już dawno z nim nie było. Nie wiedział, gdzie jest. Nie interesowało

go to. Prawdopodobnie pozał ją któryś z demonów. Błysk nie zaprzętał sobie już głowy swoją asystentką ani jakkolwiek inną istotą ludzką. Myślał o Czerni. Szedł na jej spotkanie, czekając na przemianę. Błysk wytrząsł z siebie wszystkie wspomnienia, resztki tłących się w nim jeszcze kiedyś uczuć. Był jak puste naczynie, oczekujące na nową zawartość.

Adolf Błysk szedł przez ulice płonącego Zmorojewa i wiedział, że jest u źródła Mocy. Draśnięta kulą ręką dziwnie się zregenerowała - zamiast rany po postrzale na barku mężczyzny wykwiłł ciemny, rozległy wrzód, który coraz bardziej się rozrastał, pokrywając jego klatkę piersiową czarną skorupą.

Szalejące obok istoty nie zwracały na niego najmniejszej uwagi, zajęte niszczeniem miasta, rozrywaniem na strzępy drzew i budynków, przebijaniem ścian, jak gdyby Zmorojewo było tanią teatralną dekoracją, sklejoną z dykty, waty i pakuł. „Może to przez Moc w moim sercu - pomyślał. - Już niedługo będę miał nad nimi władzę, już niedługo będą moją armią, z ich pomocą zgniotę w dłoni parszywy ludzki świat jak skorupkę jajka. Niech tylko przyjdzie ten z zębami. Niech da mi to, na co zasługuję. Zabiję Powiernika. Zabiję go, jak tylko go zobaczę”.

- Gdzie jesteś?! - wykrzyczał, wznosząc ręce. - Gdzie jesteś?

Szedł długo, nawoływał, ale nikt mu nie odpowiadał. Przystanął i się rozejrzał. Uświadomił sobie, że znajduje się na rogatkach miasta. Ogień jeszcze tutaj nie dotarł, stojące przy drodze budynki jedynie lekko dymiły, z drewnianych desek i pokrywających dachy strzech unosiła się w powietrzu lekka, biała mgła. Nie było tu również brukowanej ulicy. Błysk brodził po kostki w ciepłym, czarnym błocie. Rozejrzał się wokół, ciężko oddychając.

- Gdzie jesteś?! - wrzasnął znowu z całych sił. Echo rozniosło się po płonącym mieście.

- Tutaj, człowieku. - Usłyszał za sobą. - Jestem tutaj. Szukałem cię.

Strzępowaty stał za nim, nagi, bez ubrań, które miały upodobnić go do ludzi. Jego ciało wyglądało niczym ulepione z szarej, gnijącej masy papierowej.

- Rzeczywiście chcesz Mocy. Zdarzało mi się w to powątpiewać. Myślałem, że to taka ludzka fanaberia. Ale teraz jestem pewien. Chcesz być przemieniony, chcesz być taki jak ja. - Strzępowaty w ułamek sekundy znalazł się przy Błysku, chwycił go za szyję i podniósł go lekko niczym zabawkę.

- Daj mi Moc, proszę. Wybacz mi, że wtedy nie zdołałem zabić Powiernika - wyszeptał Błysk. - Zrobię, co zechcesz.

- Wiemmmmm. - Strzępowaty mlasnął, widząc pulsującą tętnicę na szyi Błyska. - Jestem pewien, że zrobisz, co zechcę.

Wypuścił Błyska z rąk, ten upadł z plaskiem w miękkie błoto. Strzępowaty wyciągnął z kieszeni zardzewiały, ciężki nóż z rękojeścią zdobioną w wijące się, splecione węże. Podał go Błyskowi. Ten mocno ścisnął rękojeść, była szorstka i ciepła.

- Ci głupcy razem z Powiernikiem idą w kierunku zamku. - Strzępowaty patrzył na widniejące w oddali ruiny. - Chcą użyć Czwartego Klucza, aby zniszczyć Zmorojewo. Chcą się zabić, aby tylko Czerń nie przeszła do ludzkiego świata. Głupcy. Nie dadzą rady. Jeśli ten mały, śmierdzący człowiek nie umiał przejąć na stałe Kluczy tam, w ludzkim świecie, to nie ma szans, aby udało mu się to teraz, tutaj. W każdym razie musi umrzeć.

Błysk również odwrócił się w kierunku lśniących w ciemności, górujących nad miastem ruin.

- Tak - wyszeptał. - Już tam idę. Już idę. To im się nie uda. Obiecuję ci, na wszystko, co jest dla mnie ważne, że tym razem to zrobię.

- Pójdę razem z tobą i zajmę się reszszszką. Tym nożem zabito poprzedniego Powiernika. - Strzępowaty wskazał szponem sztylet. - Zrobił to człowiek, który również bardzo pragnął mocy.

- I dostał ją? - Oczy Błyska zalśniły w ciemności. - Daleś mu ją, prawda?
- Oczywiście. - Strzępowaty wyszczerzył zęby. - Oczywiście, że mu ją dałem.

* * *

Droga na wzgórze była tylko lekko stroma, ale Tytus męczył się niczym na wyprawie na Mount Everest. Wisząca w powietrzu czerń hamowała ich, jakby brodzili w błocie.

- Grójecki, nie masz żadnej, ale to żadnej kondycji - rzuciła Anka do ciężko dyszącego Tytusa, chociaż sama wkładała w poruszanie się równie wiele wysiłku, a jej czoło pokrywały grube krople potu. Prowadząca do zamku wąska ulica wiła się pod górę nieregularną serpentyną; z obu jej stron wyrastały małe budynki, mające niewiele więcej niż trzy metry wysokości. Tytusowi przypominały trochę Złotą Uliczkę w Pradze, a raczej Złotą Uliczkę wsadzoną w czyjś odrealniony, paskudny koszmar. „Może tak tę ulicę widział Kafka” - przemknęło mu przez głowę, gdy nie wiedzieć czemu przypomniał sobie męczącą i przerwana w połowie na rzecz Stephen Kinga lekturę *Procesu*.

Szli powoli i do tej pory nie natknęli się na żadną z istot Leszego. Zamek coraz bardziej się przybliżał. Górował nad nimi w pełnej okazałości, z obłupaną do połowy wieżą, zniszczonymi krużgankami oraz wyrwami w murach. Wybudowany w gotyckim stylu, rozmiarami nie przekraczał typowych mazurskich zamków krzyżackich, do których Tytusowi zdarzało się odbywać nudne rodzinne wycieczki. Jednak rozświetlony bijącymi nad nim piorunami przerażał swoim majestatem.

- I on to wybudował sam? Jeden człowiek? Twardowski? - zapytał Strąka, który stanął w miejscu i uważnie się rozglądał. - I co to jest ta Czarcia Łapa? - Chłopak ponowił pytanie, przekrzykując głośnie, basowe dudnienie, które dobiegło spod ziemi.

- Odcisk dłoni Leszego - odparł Strąk, po czym przyłożył palec do ust. - Cicho. Nie mówcie nic przez chwilę.

Strąk stał i czegoś nasłuchiwał, chociaż Tytus nie mógł do końca zrozumieć czego - dudnienie zagłuszało nawet ich własne oddechy. Ale nagle z góry, zza ich głów, dobiegł inny odgłos. Powoli narastające klekotanie, przypominające dźwięk przesuwania metalowej rurki po prętach balustrady.

- Na ziemię! - wrzasnął Strąk.

Padli w ostatnim momencie. Krwistoczerwony, potworny ptak przeleciał tuż nad ich głowami, wzbil się w powietrze, po czym, pikując, runął wprost na Tytusa. Chłopak przeturlał się w bok, ptak zarył dziobem w błoto, w ułamku sekundy wyrwał się, odbił i zawisł w powietrzu, trzepocząc jak oszalały kościstymi skrzydłami. To właśnie ruch skrzydeł ptaka powodował ten upiorny klekot.

- Biegiem! - Strąk wywrzeszczał kolejną komendę.

Zerwali się, z całych sił próbując pokonać nasyconą czernią, gęstą atmosferę. Tytus czuł, że w normalnym świecie, wkładając tyle samo wysiłku, biegłby dwa razy szybciej. Tutaj powietrze było jednak jak kisiel, lepkie i tłuste. Po kilkudziesięciu metrach bolały go wszystkie mięśnie.

Ptak cierpliwie frunął nad nimi niczym sęp, jakby z góry wiedział, że desperacko próbujący przed nim uciec ludzie są już praktycznie martwi, a dobiecie ich będzie jedynie czystą formalnością. Znowu rozbrzmiał głęboki, niski dźwięk. Pioruny nad zamkiem trzaskały jak oszalałe. W miarę jak się do niego przybliżali, Tytus zauważył, że to, co wziął za świetlistą lunę wokół zamku, było wirującą galaktyką odpadających, zamieniających się w białą mgłę fragmentów muru. Zamek Twardowskiego powoli obracał się w nicość.

- Zaraz w murze będzie wejście do środka! Pośpieszcie się! - krzyknął Strąk.

Ptaszysko zaskrzeczało, sunąc nad nimi niczym myśliwiec czekający na dogodny moment do zrzutu bomby. Strąk i Iskra zaczęli wspinać się na otaczające zamek, pokryte miękką trawą wzgórze, robili to jednak z wysiłkiem himalaistów próbujących zdobyć ośmiotysięcznik. Tytus z Anką dobiegli do nich po dłuższej chwili. Powietrze stawiało trudny do pokonania opór, Tytus czuł, że jego mięśnie zaraz odmówią mu posłuszeństwa. Każdy kolejny, wspomagany rękoma krok po stromym wzgórzu przybliżał go do kresu fizycznej wytrzymałości. Ance szło odrobinę lepiej, ale była równie wyczerpana, oddychała bardzo ciężko, każdy ruch ciała wywoływał u niej bolesny grymas na twarzy. W pewnym momencie zatrzymała się i położyła płasko na ziemi.

- Anka! - krzyknął Tytus. - Anka! Nie możesz się zatrzymać! Dasz radę! Rusz się! Jeszcze tylko chwila!

Iskra i Strąk również przystanęli. Krwistoczerwony ptak zataczał koła w powietrzu, wirując nad leżącą dziewczyną. Z półotwartego, ostrego niczym brzytwa dzioba i z pustych, czarnych oczodołów ściekały mu żółte, żrące krople, przypominające krew wężowatego, z którym walczyli w Głuszycach.

- Ania! - krzyknął Tytus, wyrzucając sobie, że zgodził się, by z nimi poszła. Po chwili stwierdził, że żałuje, że w ogóle tu przyjechała, że naraziła się na całe to absurdalne niebezpieczeństwo. „Przyjechała, bo mnie kocha” - pomyślał, ale ta świadomość nie czyniła go w tym momencie szczęśliwym. Gdyby miał jakiś wybór, zdecydowanie wołałby, aby Anka go nie kochała i była cała, zdrowa i bezpieczna. Aby siedziała w domu, w swoim pokoju (który Tytus wiele razy próbował sobie wyobrazić - zawsze przychodziły mu do głowy sterty magazynów o militariach, pomalowane na czarno ściany i wielka szklana fajka do palenia trawki, którą raz pokazywał mu Grubson, gdy siedzieli w pokoju u jego brata) i rozmyślała, jakiego to nudnego palanta poznała na przymusowych wakacjach w Głuszycach.

- Spieprzaj stąd! - wrzasnął w kierunku wirującego ptaka, jakby to miało w czymś pomóc. - Spieprzaj stąd, mutancie!

Ptak runął w kierunku nieruchomej Anki, celując dziobem w jej plecy. Wydał dźwięk, który można było porównać jedynie do odgłosów masowej egzekucji kilkuset małych kotów. Tytus zacisnął dłonie na uszach - skrzek przewiercał się przez bębny do środka głowy, wywołując nieznośny ból.

To trwało ułamki sekund. Chłopak wykrzyknął jeszcze raz jej imię, ale urwał w pół słowa. Anka w ostatniej chwili uniknęła ciosu ptaka, przetaczając się w bok. Maszkara ponownie zaskrzeczała i zawisła nad dziewczyną, jak gdyby przygotowując się do ostatecznego ataku.

Tytus chciał krzyknąć jeszcze raz, jakby mogło to cokolwiek zmienić, jednak zaschło mu w gardle i nie wydobył z siebie żadnego dźwięku. A może przez pioruny, buczenie, klekot kości ptaka i symfonię ryków dobiegającą z centrum Zmorojewa po prostu nie usłyszał własnego głosu.

Ptak ponownie rzucił się na Ankę, aby rozprawić się z ofiarą. Dziób prawie się już wbijał w twarz dziewczyny. Nagle stworzenie zaskrzeczało i gwałtownie zatrzepotało skrzydłami. Anka poderwała się z ziemi, trzymając w dłoni puszkę gazu pieprzowego, zasłoniła usta i wypuściła prawie całą jej zawartość w prawy oczodół potwora. Rozchodząc się w czarnym, oleistym powietrzu, gaz przypominał delikatną, niebieską mgłę. Substancja zdawała się boleśnie ranić potwora. Dziewczyna schowała puszkę do kieszeni. Wszyscy ruszyli i uruchomiwszy ostatnie rezerwy energii, wbiegli na szczyt wzgórza, zatrzymując się pod lśniącym murem zamku.

Potwór za nimi wisiał jeszcze w powietrzu, chaotycznie bijąc skrzydłami i zarzucając łbem w lewo i prawo, jakby chciał wytrząsnąć z siebie gaz, który w świetle Zmorojewa z niewiadomego powodu zamienił się w działającą na potwory Leszego żrącą substancję.

- W lewo - zakomenderował Strąk - i szybko, bo to coś wcale z nas nie zrezygnowało.

W amoku ruszyli wzdłuż muru. Na horyzoncie obok rzucającego się w powietrze ptaka zamajaczyły dwa następne stwory. Nie były równie cierpliwe jak poprzedni, w ułamku sekundy rzuciły się w stronę Tytusa i reszty, ze świstem przecinając powietrze.

- To tutaj. - Strąk wskazał palcem niczym nieodróżniający się fragment białego muru. - Tytus, dotknij ściany!

Ptak był pierwszy, uderzył dziobem w mur, wydając przy tym metaliczny, zgrzytliwy dźwięk.

- Jeszcze trzy kroki - powtórzył Strąk. - Tytus, dotknij dłonią ściany i przytrzymaj! Jesteś Powiernikiem, zamek będzie słuchał się przede wszystkim cie...

Maszka wbija dziób w bezwładne ramię Strąka, wyrывая z niego spory kawał ciała. Mężczyzna krzyknął. Tytus pociągnął Ankę, przyparł ją do muru i z całej siły przywarł obiema dłońmi do lodowato zimnej ściany.

Zamknął oczy. Usłyszał, że Anka płacze, jakby dopiero dotarło do niej, że przed chwilą stała twarzą w twarz z ludożerczym, latającym potworem.

- Nie płacz, wszystko będzie dobrze - powiedział cicho.

Ptaszyska obijały się o niego skrzydłami i dziobami, próbując go trafić, lecz nie mogły. Jako Powiernik był dla nich nietykalny. Starał się nie myśleć o Iskrze, Strąku i jego bezwładnej ręce. Poczł, jak ściana pod dotykiem jego dłoni robi się ciepła, zaczyna zmieniać konsystencję, jakby cegły przetapiały się w plastelinę.

- Mówiłbyś, że wszystko będzie dobrze, nawet gdyby mieli cię zaraz rozstrzelać, ty głupku - wydusiła z siebie przez łzy.

Ściana miękła coraz bardziej, czuł, jak jego dłonie się zapadają, jakby wkładał je do olbrzymiego pojemnika tłustego kremu.

- Gdybyś była obok ze swoim gazem pieprzowym - odparł, nie otwierając oczu - naprawdę byłbym przekonany, że wszystko będzie w porządku.

Nagle poczuł pod rękami pustkę. Usłyszał krótki krzyk Anki, a następnie odgłos jej ciała upadającego na ziemię.

- Uwważaj! - krzyknęła, podnosząc się.

Tytus otworzył oczy. Przed nimi widać było ciemny, długi, rozświetlony słabym światłem pochodni tunel. Chłopak wbiegł do środka, chwytając Ankę za rękę.

- Strąk! Iskra! - zawołał.

Iskra wpadła do środka, a za nią Strąk, kulejąc i trzymając się za bezwładną rękę. Przez chwilę w wyrwę w murze zajrzała głowa jednej z bestii, ale ściana momentalnie się zasklepiła. Zapadła ciemność.

- Do przodu, szybko - powiedział Strąk, wyprzedzając ich. Szedł powoli, jego twarz wykrzywił grymas bólu.

Tytus spostrzegł, że o ile w Głuszycach z ran Strąka leciała krew, teraz sączyła się z nich jakaś srebrzysta, lśniąca substancja.

- Mogę ją tracić, na niewiele mi się już przyda - mruknął, gdy napotkał przestraszony wzrok Tytusa. Starał się uśmiechnąć, obrócić to w żart. - Może starczy jej tyle, abym odrodził się w jakiejś mniej energożernej formie. Zawsze chciałem być lisem. To szlachetne zwierzęta.

- Naprawdę w to wierzysz? - zapytał Tytus, przyciskając Ankę do siebie. - W to, co kazałeś wójtowi przekazać ludziom? Że gdy zniszczymy Zmorojewo, wy będziecie istnieć dalej?

- Tłumaczyłem ci już - odparł Strąk. - Nic nigdy nie umiera. W świecie cały czas jest tyle samo energii. Ona jedynie zmienia kształt.

- Ludzie i zwierzęta umierają raczej na dobre - odparł Tytus. - I nie wracają z grobów.

- Nie zmuszam cię, abys mi uwierzył. - Strąk chciał wzruszyć ramionami, ale drobny ruch przeszył całe jego ciało bólem. - I nie to jest teraz najważniejsze - dodał po chwili, gdy ból odrobinę zelżał.

Korytarz, co nietypowe w Zmorojewie, miał długość spotykaną w ludzkim świecie. Po niecałej minucie marszu znaleźli się w niewielkim, okrągłym, wyłożonym liżą cegłą pomieszczeniu. Okazało się prawie puste, bo na końcu korytarza widać było dwie bliźniacze pary drzwi, niemalże identyczne jak te prowadzące do ratusza w Zmorojewie. Nad każdym z wejść znajdowały się takie same płaskorzeźby przedstawiające brodatego mężczyznę o trzech twarzach, otoczonego chmurą wznoszących się ku niemu rąk małych dzieci.

- Kto to jest? Twardowski? - zapytał Tytus, podchodząc bliżej wrót. - I dokąd prowadzą te drzwi?

- Nie, to nie Twardowski. - Strąkowi mówienie przychodziło z coraz większym trudem. - Nie wiem, kto to jest. To jakieś ludzkie bóstwo. Zrozum, nie jesteśmy tacy jak wy, ludzie. Nie mamy swojej mitologii, historii, bóstw. Jesteśmy zawieszeni w próżni, podtrzymywani przy życiu jedynie po to, aby pilnować was przed Złem, aby utrzymywać równowagę. To wszystko tutaj jest dziełem Twardowskiego. W pewnym sensie łącznie z nami. To było dawno temu i nikt nie pamięta, jak to się stało. Może dlatego zresztą wszystko kończy się w ten sposób. Bo jesteśmy słabi. Nie mamy pamięci.

- A zło? - zapytał Tytus. - Zło też nie ma pamięci?

- Nie, Zło pamięta wszystko. - Strąk podszedł do Tytusa. - A najlepiej pamięta moment, gdy było bezkarne. Posłuchaj mnie teraz uważnie. Znajdujemy się w sercu Mocy Zmorojewa. Zamek jest czymś takim... jak się u was mówi na ten wielki dom, który rozsyła światło do wszystkich innych?

- Elektrownia - podsunęła Anka, również podchodząc do Tytusa i patrząc ze skupieniem na drzwi, jakby próbowała wychwycić różnicę pomiędzy nimi a tymi z ratusza. Ale były identyczne.

- Zamek to taka elektrownia. Produkuje moc, która sprawia, że miasto istnieje. Gdy wtargnęła tutaj Czerń, nadkruszyła jego strukturę i dlatego Zmorojewe zaczęło się palić, zanikać. Zamek jest Mocą. Może być tak, że zamek jest Twardowskim. Nie wiem. W każdym razie Moc chce teraz sprawdzić, czy rzeczywiście jesteś Powiernikiem. Musisz wybrać dobre drzwi. To ostatnia próba, zanim dopuści cię do Czarciej Łapy.

- System zabezpieczający - rzucił Tytus, przenosząc wzrok z jednych identycznych drzwi na drugie.

- Tak, pewnie można to tak nazwać. - Strąk uśmiechnął się, że rozumie, o co chodzi.

Tytus podszedł do drzwi po lewej i dotknął dłonią metalowej powierzchni.

- Co się stanie, jeśli wybiorę złe? - zapytał.

- Nie wiem. - Strąk pokręcił głową. - Może wrócisz do świata ludzi. Może zginiesz. Może na wieczność zawiśniesz w próżni. Nie mam pojęcia. Ale faktem jest, że wtedy wszystko będzie stracone.

- A gdy wybiorę dobre? - zapytał.

- Przeniesiemy się do głównej sali zamku. Tam, gdzie ukryto Czarcia Łapę.

Tytus odwrócił się i popatrzył na pozostałych towarzyszy podróży. Iskra stała pochylona, z podrapaną twarzą, opierając trzęsące się dłonie na biodrach. Z jej ran, tak samo jak u Strąka, wyciekał lśniący, srebrny płyn. Dziewczyna wyglądała, jakby ktoś spryskał ją srebrną farbą w sprayu. Anka była tak samo podrapana i wyczerpana.

- Więc skąd mam wiedzieć - zapytał Strąka - które z nich są właściwe?

- Jesteś Powiernikiem. - Twarz starca wykrzywił ogromny ból. W pewnym momencie

mężczyzna usiadł na ziemi, nie puszczając zranionej ręki. - Powinieneś być tego pewien.

Tytus westchnął. Popatrzył jeszcze raz na jedne drzwi, potem na drugie. Nie różniły się zupełnie niczym. Ale po chwili poczuł coś w środku, jakieś dziwne, delikatne przyciąganie, jakby połknął monetę i stanął w pewnej odległości od wykrywacza metalu. Anka wzięła go za rękę. Popatrzył jej w oczy.

- Tu nie będzie można załadować sejwów jak w twoich grach. - Uśmiechnęła się z przekąsem.

Może właśnie dlatego się w niej zakochał - bo potrafiła być uszczypliwa i pyskata nawet w obliczu najgorszego. „Musi sprawiać ludziom drobne przykrości, to dla niej naturalne jak oddychanie” - pomyślał. Ale gdy popatrzył w jej oczy, zobaczył wielkie zaufanie, zaskakującą pewność. Poczuł, jak sam w ułamku sekundy rośnie do dwóch metrów. Miała spojrzenie, jakim w filmach i komiksach superbohaterowie byli obdarzani przez swoje dziewczyny na moment przed decydującym pojedynkiem z czarnym charakterem.

Przyciąganie w brzuchu Tytusa stało się dużo silniejsze. Wziął głęboki oddech i podeszedł do drzwi po prawej.

W absolutnej ciszy je pchnął. Otworzyły się bez problemu.

Anka krzyknęła. Z drzwi buchnął wiatr, silny, przeraźliwy wicher, oślepiające światło, dźwięk wysoki, przestrzenny, głośny, niczym muzyka orkiestry smyczkowej grającej w nieskończenie wielkim kościele. I śpiew, wysoki, chóralny śpiew. To dzieci z płaskorzeźby nad drzwiami otworzyły usta i zaczęły pieśń.

Tytus, Anka, Iskra i Strąk wpadli w światło.

* * *

Isć prosto. Utrzymywać porządek. Chować się w cieniu. Nie wychylać. Dzięki tym zasadom jeszcze żyła. Isć prosto. Porządek. Chować się. Oddychać jak najciszej, nic nie mówić. One z reguły były ślepe, zauważyła, reagowały głównie na dźwięk, dlatego musiała isć jak najciszej. Zdjęła buty. Jej stopy zapadały się po kostki w ciepłym, śmierdzącym błocie.

Tu wszystko było inaczej. Wszystko było nie w porządku. Dźwięki, kolory, ogień, ziemia, powietrze, wszystko po kolei oszalało. Znalazła się w środku swojego najgorszego koszmaru, w którym ginie logika, w którym pion staje się poziomem, północ południem, dół górą, czerń bielą. Świat był w strzępach. Ona również. Jej ubranie. Wszystko runęło, tak jak się obawiała, odkąd sięgała jej pamięć, i do czego próbowała nie dopuścić, zaprowadzając porządek, układając równo przedmioty, planując swoje życie, starając się reagować odpowiednio w każdej sytuacji. Teraz mogła zrobić tylko jedno. Trzymać się resztek porządku. Isć w równym rytmie. Sprawiało jej to coraz większy problem, ponieważ w tym koszmarowym miejscu każdy krok był krokiem pod wiatr, każdy ruch ręki męczył, jakby do dłoni przymocowano kilkukilogramowy ciężarek.

Zatrzymała się na chwilę, aby odpocząć. Potwór, z kilkoma parami nozdrzy, taki sam jak ten, który wymordował ekipę telewizyjną, przemknął niedaleko. Nasmarowała się cuchnącym, lepkiem błotem, aby stłumić swój zapach. Poczekała, aż stwór odejdzie.

Kochała go. Teraz to wiedziała. Był jedynym mężczyzną, którego w życiu obdarzyła uczuciem, jedynym, który był taki, jaki powinien być mężczyzna, jak skała, na którą należało się codziennie wspinać, zimną, stabilną, nieruchomą, ale rzucającą głęboki cień. Inni mężczyźni zawsze wpadali przy niej w histerię. Okazywali słabość. Na jej oczach przeistaczali się w małe, wijące robaki, prosząc, aby nie zabierała swoich rzeczy, oferując tanie pierścionki zaręczynowe, płacząc lub po pijaku klnąc przez telefon. On nie. On był zawsze ponad nią, spokojny i majestatyczny jak góra.

Kochała go, a on wytarł w nią ręce jak w szmatę. Rzucił ją na pożarcie. Zdeptał. Napluł na nią, chociaż ona poświęciła mu całe życie, czas, swoje ciało. Ale to jeszcze nie było najgorsze.

Najgorsze było to, że oszalał. Ten człowiek, na którym mogła się oprzeć, w którego chłodzie, spokoju, bezruchu jej życie nabierało sensu, okazał się jamą pełną kipiącego błota, szaleństwem, nieporządkiem. Tunelem do świata, w którym wartości, jakie wznawiała i jakie tworzyły ją samą, obracały się w nicłość.

Wziął wszystko w dłonie i paroma szybkimi ruchami rozdarł to na kawałki jak kartkę papieru.

Teraz mogła zrobić już tylko jedno, aby wszystko posklejać. Gdy uznała, że to jedyne rozwiązanie, uspokoiła się.

Szedł drogą. Z drugiej strony. Z tym szarym potworem i paroma innymi wężącymi wokół. Ruszyła za nimi, stawiając w błocie powolne, ciężkie kroki. Spod ziemi wydobywał się nieopisany hałas, budynki płonęły, na niebie wykwitwały białe żyły piorunów, ale ona w końcu złapała równy, spokojny oddech. Szła prosto. Porządek wrócił.

* * *

Sala była pusta, długa, oświetlona zimnym światłem, wysoka niczym kościół. Leżeli na posadzce, blisko siebie, jakby rzuciła ich na podłogę nieokreślona fala przyływu. Wysokie, zakończone łukami okna z witrażami celowały w czarną pustkę. Tytus podniósł się z ziemi i otrzepał kolana. Anka otworzyła oczy, klękła i zwymiotowała na posadzkę.

- Jeśli jeszcze raz będę musiała przenieść się gdzieś w ten sposób, mój błędnik zwariuje na stałe - wyjęczała. - Czy w tym waszym świecie baśni nikt nie wynalazł wind?

- Nie wynalazł czego? - zapytała Iskra, podnosząc się z ziemi i podchodząc do Strąka.

Ten leżał skulony na ziemi, trzymając się za zalaną srebrnym płynem rękę. Wyciągnęła dłoń w jego kierunku, ale on pokręcił głową, usiadł, a dopiero po chwili, z trudem manewrując zdrowym ramieniem, wstał.

- Czarcia Łapa jest tam. - Pokazał drewniany stół w drugim końcu sali. Oprócz ogromnego, wykutego w skale Znak Zmory, który górował nad pomieszczeniem niby-ołtarz nieznanego pogańskiego bóstwa, w komnacie nie było zupełnie nic.

- I co teraz? - zapytał Tytus.

Strąk nie odpowiedział, tylko wskazał palcem stół. Ruszyli w jego kierunku. Sala miała kilkadziesiąt metrów długości i kilkanaście wysokości, echo ich głosów i kroków było nienaturalnie głośnie.

Na blacie zwykłego stołu z nieheblowanego drewna widniał, jakby wypalony na jego powierzchni, czarny, wyglądający na zwęglony odcisk zakończonej pazurami, szponiastej ręki.

- I co teraz? - Tytus powtórzył pytanie.

- Musisz włożyć dłoń w ten odcisk. - Strąk oparł zdrową dłoń na Czarciej Łapie. - Skup się, przestań myśleć o tym, że właśnie tu jesteś i to robisz. Poczekaj, aż Klucz pozwoli ci się przejąć. Otwórz się na niego. Mam pewne obawy... - Popatrzył na Tytusa. - Jest to najważniejszy i najtrudniejszy do kontrolowania przedmiot, jaki stworzył Twardowski. Co wydaje się zrozumiałe, biorąc pod uwagę, do czego służy. Nic nie może cię zdekoncentrować. Nic.

Tytus patrzył chwilę na odcisk szponiastej łapy. Za oknami rozbłysnął piorun, ale nie usłyszeli żadnego dźwięku - jakby ściany zamku izolowały ich od wszystkiego, co dzieje się na zewnątrz.

- Chodziło mi bardziej o to, co się stanie, gdy to zrobię. - Tytus uważnie spojrzał na Strąka i Iskrę. Dalej nie mógł zrozumieć tego, jak ci ludzie - bo przecież tak naprawdę pomimo ich

nieśmiertelności, magicznych mocy i wszystkich innych atrybutów nie mógł myśleć o nich inaczej - są w stanie poświęcić własne życie dla dobra istot tak niedoskonałych jak ludzkie. Co więcej istot, bez których mogą się doskonale obejść. Tytus w głębi serca podziwiał ich jak nikogo w całym dotychczasowym życiu. I nie chciał, aby umierali. Nie chciał, aby się przeistaczali. Pragnął, aby wszystko było tak jak dawniej. Coś w środku mówiło mu jednak, że na dłuższą metę nic w życiu nie zostaje takie jak dawniej i że moment, w którym człowiek zaczyna sobie zdawać z tego sprawę, stanowi smutną granicę dorosłości; po jej przekroczeniu zaś zawsze czuje się odrobinę nieszczęśliwy.

- Mówiłem ci, nie bój się o nas. - Strąk jakby czytał w jego myślach. - Istniejemy tylko po to, abyście byli bezpieczni, aby nie zagrażało wam Zło. Zresztą nie chcę się powtarzać. Nie wiem dokładnie, co zacznie się dziać, gdy to zrobisz. Wiem, że to potrwa jakiś czas. Prawdopodobnie Zmorjowo cofnie się w kierunku zamku, potem zostanie przez niego wchłonięte, a następnie zniknie i sam zamek. Moc przeniesie się gdzie indziej i tam się odrodzi, w innym czasie i świecie. Nie martw się. Zdążycie wrócić do domu.

„Do domu” - pomyślał Tytus. Czy po tym wszystkim będzie jeszcze w stanie myśleć o Głuszycach, Warszawie, swoim dotychczasowym życiu jak o domu? Czy będzie w stanie chodzić do szkoły, mieć kumpli, w ogóle przebywać wśród ludzi i z nimi rozmawiać? Zdał sobie sprawę z tego, że do końca życia będzie nosił w sobie to, co przeżył, nie mogąc powiedzieć o tym nikomu, bo przecież od razu zamknięto by go w szpitalu psychiatrycznym i uznano za wariata. „Po tym wszystkim nie można wrócić do normalnego świata” - skonstatował. Bo jak miał o ostatnich wydarzeniach opowiedzieć Grubsonowi i Pitoniowi? Dalsze bycie Tytusem Grójeckim nie ma najmniejszego sensu. Najchętniej zostałyby tutaj i zniknął razem z nimi, cokolwiek miałyby stać się później. I zrobiłby to, gdyby nie Anka.

- Nie martwię się o siebie - odparł Tytus i popatrzył na stojącą obok dziewczynę.

Podniósł dłoń i powoli zaczął ją opuszczać w kierunku odciśniętej łapy. Zatrzymał ją na chwilę i spojrzał jeszcze raz na Ankę. Kiwnęła głową.

- Wiesz, że to jedyne wyjście - powiedział spokojnie Strąk.

Tytus przytaknął i poczuł, jak do oczu napływają mu łzy. „To takie głupie, rozbeczeć się w momencie ratowania świata” - pomyślał.

Położył dłoń na chropowatej powierzchni stołu i zamknął oczy.

- Nie tak szybko, wypierdku! - Głos Adolfa Błyska rozbrzmiał w sali zamku niczym głośny, wysoki skrzek. Tytus otworzył oczy. Stali tam, on i Strzępowaty, z dwoma wężaczami w ramach asysty. Strzępowaty dał znak potworom, aby się zatrzymały, i spokojnie razem z Błyskiem ruszyli w kierunku stołu.

- Jak się tu dostaliście?! - krzyknęła Iskra, po czym odwróciła się cała czerwona do Strąka. - Jak oni się tu dostali?

- Zostawiliście drzwi otwarte, więc zrozumieliśmy, że ktoś jest w domu. - Blysk wyszczerzył zęby i szeroko otworzył puste, nieprzytomne oczy.

Strzępowaty wyminął Błyska i w ułamku sekundy znalazł się przy Iskrze. Odepchnął ją, podszedł do Strąka i popatrzył mu w twarz. Tytus zrobił krok w tył i zasłonił sobą Ankę. Strzępowaty zasyczał, popatrzył na rozorane ramię Strąka i szeroko wyszczerzył kły.

- Głupcyyy. Niccc nas nie powssstrzyma. Niccccc. Wysstarczy, że przyszedłłem tu sssam. Z człowiekkkkkiem. Niccccc nie zatrzyma polowanannnia. Niccccc nie zatttrzymaj Kluczy. Bariera sssslabnie już od bardzo, bardzo dawna. Sam fakt, że mogggllliliśmy wyjść na zewnątrz i szukać Kluczy... Sssslabi. Jak zawsze sssslabi.

Blysk nawet nie popatrzył w ich stronę. Oddychał ciężko. Wpatrywał się w przerażający

zardzewiała nóż ze zdobioną w węzowate ornamenty rękojeścią, który trzymał w ręku.

- Nie musisz jej bronić. Ona mnie nie interesuje. - Błysk pokręcił głową, podszedł do Tytusa i jednym ruchem ręki chwycił go za włosy, przyciągnął do siebie i przyłożył mu nóż do gardła.

- Puść go, sukinsynu! - Anka rzuciła się na Błyska i zaczęła okładać go pięściami. Ten uderzył ją ręką w twarz, w której trzymał nóż. Dziewczyna upadła na ziemię.

- Już?! - Błysk krzyknął w kierunku Strzępowatego - Już? Już teraz mam zabić Powiernika, mistrzu?

- Jak uważaszszszsz, czczczłowieku, przecież to ty dyktujesz warunki umowy - syknął żarłacz, stojąc bez ruchu naprzeciwko Strąka i Iskry. - Mamy jeszcze dużo, dużo czasu.

Powoli podszedł do Iskry i przejechał jej szponem po policzku. Na zadrapaniu pojawiły się krople lśniącej substancji. Iskra pchnęła Strzępowatego, ale ten nawet nie drgnął. Stała w miejscu, patrząc na niego z nienawiścią. Żarłacz pogroził jej tylko szponem, niczym karcący dziecko nauczyciel.

- Wasza moc... - Oblizał się. - Waszszsza moc jest Ssssłaba, rzzzzradka jak woda, rzzzadszszszsza nawet od ludzkiej krrrrwi. Opppowiem wam hissssstorię. Pozznałem kiedyś tego waszszszego Twwardowssssskiego. Dawwwwno temu.

Tytus przełknął ślinę. Mężczyzna, którego znał z ekranu telewizji, śmierdział błotem, potem i czymś nieokreślonym, fetorem, który wydziela sierść wściekłego i zaniedbanego kundla. Grójecki starał się nie zwymiotować.

- Może kiedyśśś miał mocccc - mówił Strzępowaty - i umiał stworzyć cały ten wasz tragikomiczny teatrzyk. Ale gdy natknąłem się na niego jakiś czas temu, był oszalałym, smutnym staruchem uwięzionym między światami, w zimnym, skalistym miejscu, w którym panowała wieczna nocccc, a ziemia miała kolor starego srebra. Jego ssserce było tak czarne, że mógłbym je sobie wziąć w każdej chwili. Ale zostawiłem go tam, samego, aby dalej sechł i wariował, nie mogąc nawet zdechnąć jak pies. Dawwwwno już go niee ma. Jesteście tylko wwyyy, jego bękarrrty, ssssłabe cienie samych ssssiebie, taaak jakby dawno waassss już nie było.

Odwrócił się do Strąka, jednym gestem złapał go za kołnierz i rzucił nim o ścianę. Ciało mężczyzny trzasnęło o mur i runęło na ziemię. Strąk z trudem podniósł się na klęczki. Strzępowaty podszedł do niego i kopnął go z całej siły w brzuch. Był bardzo, bardzo silny, tak jakby pochłaniająca Zmorojowo Czerń dawała mu niespotykaną, ogromną moc. Iskra krzyknęła i znowu rzuciła się na potwora. Ten z całej siły zamachnął się pazurami. Dziewczyna odskoczyła w ostatnim momencie.

- Zostaw, Iskro - powiedział Strąk. - To bez sensu.

- W końcu cię zabijęęę - wysyczał żarłacz. - I zzzrobię too z ogrrrromną przyjemnością. Chchchociaż to będzie jak rozzzdeptanie mrówki. Poppatrz na siebie. Poppatrz. Znikaszszsz. Jesteśś słaby, żałośnie, żałośnie sssłaby.

- Teraz - wyszeptał Błysk, zamknął oczy i zaczął coś mamrotać.

Tytus nie rozróżniał wyrazów, ale czuł, że to coś w rodzaju modlitwy. Mężczyzna trzymał go bardzo mocno, chłopak nie miał najmniejszych szans, aby się wyszarpnąć, ugryźć go albo kopnąć. Poczuł, jak nóż przybliżył się do jego gardła. Zamknął oczy.

Był dziwnie spokojny. Nie rozumiał dlaczego. Za chwilę miał umrzeć, a konsekwencją tego miało być wylanie się na świat sług Leszego, czyli, nie przymierzając, koniec świata, powrót do średniowiecza, nastanie wielkiej ciemności. Ale Tytusa ogarnął wielki spokój, spokój morza w bezwietrzny dzień. „Czy tak czują się wszyscy w obliczu śmierci? - zadał sobie w myślach pytanie. - Po prostu pogodzeni z nieuchronnym? Czy może jestem mądrzejszy od samego siebie i

podświadomie wiem, że zaraz wydarzy się coś, co zmieni całą tę sytuację?”.

Strzępowaty chwycił Strąka za szyję i wbił szpony w jego brzuch. Strąk krzyknął. Strzępowaty wyszarpnął ociekające srebrną substancją szpony i cisnął mężczyznę na ziemię.

- To nie będzie krótkie, o nie. - Wyszczerył zęby. - To wcale nie będzie trwało tak krótkko, jakbyś tego chciał.

Tytus ponownie zamknął oczy. Był dalej spokojny. I wciąż nie wiedział dlaczego.

- Zostaw go, zostaw tego chłopaka, ty psychopato! - zachrypnięty, wrzaskliwy kobiecy głos zabrzmiał niczym dźwięk rozbijanego szkła.

Adolf Błysk wraz z Tytusem odwrócili się do usiłującej ustać na nogach kobiety. Tytus na jej widok otworzył szeroko oczy ze zdziwienia. Wyglądała prawie jak Olga Pralczyk, gdyby nie podarty, wiszący na niej jak podziurawiona szmata, ubłocony żakiet, potargane, nadpalone włosy i umorusana błotem, wściekła twarz z szeroko rozwartymi, pełnymi szaleństwa oczami.

Przypominająca Olę Pralczyk wariatka przybliżyła się powoli do Błyska, trzymając oburącz w dłoniach policyjny pistolet.

- Co ty tu robisz? - wycharczał Błysk. - Co ty tu robisz i czemu w ogóle jeszcze żyjesz?

Olga Pralczyk potrząsnęła głową, jakby te słowa były splunięciem, które trafiło ją w twarz, i chciała jak najszybciej strząsnąć z siebie ślinę.

- Skurwysynu! - rzuciła Olga Pralczyk i było to najprawdopodobniej pierwsze przekleństwo, jakie kiedykolwiek wypowiedziała. - Wziąłeś mnie, moje życie i zламаłeś jak patyk, zgmiotłeś w rękę jak papier. Zabrałeś mi wszystko. Zabrałeś mi porządek. Okłamywałeś mnie przez te wszystkie lata, a potem oszalałeś i przywlokłeś mnie w to szaleństwo, przywlokłeś mnie tutaj, do tego potwornego miejsca, w którym wszystko się rozpada, w którym nic nie ma najmniejszego sensu. Jak mogłeś, co ty sobie wyobrażałeś?

Z każdym krokiem trzęsła się coraz bardziej, ale szła do przodu, prosto, jakby sterowała nią trzymana w rękach broń.

Strzępowaty mlasnął.

- Przekąssska. Rzeczywiście dziwwwwne, że zawędrowałaś aż tutaj.

Iskra podbiegła do ojca, nachyliła się nad nim i wybuchnęła płaczem. Strąk broczył srebrnym płynem, wykrzywiając się z bólu.

Tytus oddychał głęboko. Patrzył na kobietę jak zahipnotyzowany. Po raz pierwszy w życiu widział kogoś, z czyjej twarzy biła tak czysta, niezmacona nienawiść do drugiej osoby.

- Nienawidzę cię! - Olga Pralczyk łkała. - Nienawidzę cię najbardziej ze wszystkiego, nienawidzę cię!

- Strzelaj, głupia suko! - wysapał Błysk. - Strzelaj. Ja już jestem nieśmiertelny. Ja mam już Moc. A ty jesteś taka jak wszyscy.

Pralczyk podeszła jeszcze bliżej, coraz bardziej rozdygotana, ze strumieniami łez żłobiącymi białe linie w pokrywającej jej twarz brudnej skorupie. Drżała niczym w febrze i tylko trzymany w pobielających z wysiłku dłoniach pistolet nie ruszał się ani na milimetr.

- Jesteś marnym, małym, głupim człowiekiem. Zasługujesz tylko na to, aby zdechną... - I zanim wymówił „ć”, Adolf Błysk głośno krzyknął i wypuścił Tytusa z rąk. Chłopak odruchowo kucnął i zobaczył Ankę wypluwającą z ust strzęp spodni Adolfa Błyska, wyrwany w miejscu, w którym dokładnie przed chwilą ukąsiła go w łydkę.

I już miał się podnieść, aby wykorzystać moment, położyć dłoń w Czarnej Łapie i zakończyć to wszystko raz na zawsze, gdy nagle usłyszał cztery dźwięki, które kazały mu zostać jeszcze w tej samej pozycji.

Syknięcie, wrzask Olgi Pralczyk, strzał i jeszcze jeden strzał.

Ciało Adolfa Błyska osunęło się bezwładnie na ziemię. Strzępowaty ryknął tak głośno i przeciągle, że zadrżały od tego witraże, jednocześnie razem z nim krzyknęła Olga Pralczyk. Krzyk nagle się urwał, pochłonął go inny odgłos: wgryzania się w coś miękkiego, chlupotania, siorbania.

- Teraz, Tytus, teraz! - dobiegł go ledwo słyszalny głos Strąka.

- Nie patrz na to, co się dzieje. Ja nie chcę. On chyba zaczął ją zjadać - wyszeptała Anka.

Tytus zamknął oczy.

Młaskanie na chwilę ustało i usłyszeli wizg Strzępowatego:

- Neeee, czczczczłowieku, nie zrobiszszszsz tego.

Tytus ostrożnie wstał i położył dłoń w wypalonym wgłębieniu. Zobaczył Strzępowatego z twarzą wymazaną krwią i Strąka, który jakby na moment odzyskał siły, podbiegł do potwora i trzasnął go zdrową ręką prosto w wyszczerzone, okrwawione zęby. Bezwładne ciało Olgi Pralczyk leżało w kałuży krwi.

- Teraz! - krzyknął jeszcze raz Strąk, zanim Strzępowaty wstał i powalił go na ziemię.

Tytus ponownie zamknął oczy. Docisnął dłoń do powierzchni drewna, które zaczęło tracić chropowatość, robiło się płaskie i gładkie. Na początku nie mógł nie myśleć o tym, co dzieje się tutaj i teraz. Słyszał ryki Strzępowatego, krzyki Iskry, szamotaninę, odgłosy ciał padających na podłogę, hałasy ze Zmorojewa, które przedzierały się przez ściany zamku, ryk, pioruny, wycie potworów i krzyki mieszkańców miasta. Próbował skoncentrować się na czymś zupełnie innym, recytować jakiś wiersz, wymieniać w myślach alfabetycznie listę osób ze swojej klasy, jednak nie dawało to żadnego rezultatu. Odgłosów było coraz więcej i więcej, a Tytus niestety wiedział, że część z nich to krzyki bólu kogoś, kto nie dość, że był jego prawdziwym dziadkiem, to jeszcze okazał się przyjacielem.

I wtedy dwie drobne dłonie zacisnęły się na jego uszach. Dłonie Anki. I poczuł, jak jej ciało przywiera do jego pleców.

Wziął głęboki oddech. Przycisnął dłoń jeszcze mocniej do drewna, które robiło się coraz gorętsze. I myślał, że tak naprawdę, gdyby miał możliwość wyboru, przeżyłby to wszystko jeszcze raz. Nie dlatego, że czytając ulubione książki, oglądając filmy i grając w gry, lubił ten zupełnie inny, groźny, fantastyczny świat. Wiedział, że ludzie tacy jak on, lubujący się w horrorach czy science fiction, tak naprawdę nie mieliby na to ochoty. Że czymś zupełnie innym jest uciekanie w świat książek we własnych mieszkaniach, a czymś innym stanie twarzą w twarz z czymś złym, krwiożerczym i nieśmiertelnym. „Nie - pomyślał - przeżyłbym to wszystko jeszcze raz, bo dzięki temu przestałem być tamtym Tytusem Grójeckim, piętnastoletnim, nudnym chłopakiem, który nie umiał nawet zaaranżować udanej randki z dziewczyną, nie miał o czym gadać z rówieśnikami i w swoim nijakim życiu ze schyloną głową przeproszał za każdy krok”. Dzięki ostatnim wydarzeniom stał się kimś innym. Nie chodziło o bycie Powiernikiem, bo przecież gdy cały ten sen się skończy, to określenie nie będzie miało już najmniejszego znaczenia.

Chodziło o coś innego. O to, że odkrył w sobie cechy, o które nigdy wcześniej by siebie nie podejrzewał. Odwagę. Chęć decydowania o samym sobie. Wiedzę, że wszystko, co go spotyka, zależy wyłącznie od niego, bo każda rzecz, każde słowo, każdy jego ruch ręką niosą ze sobą zawsze odwracalne bądź nie, ale jednak konsekwencje.

Myślał o Ance - przecież nie poznałby jej, gdyby to wszystko mu się nie przytrafiło. Ta dziewczyna najpierw sprawiła, że uwierzył, iż nie może być interesujący dla drugiego człowieka, a następnie za jej sprawą poczuł się jak superbohater.

Myślał o tym, jak bardzo jego dotychczasowe życie było szeregiem bezbarwnych epizodów. Jak niewiele chciał z tym życiem i ze sobą zrobić. Jak dużo czasu tracił na ucieczkę w fikcyjne światy i samotność w niewietrzonym pokoju, wypełnionym książkami, z komputerem,

łóżkiem i kocią kuwetą. Wiedział, że przytrafiła mu się wyjątkowa przygoda. Ale najważniejsze, że odkrył, iż całe życie jest przygodą, a z magmy codzienności można wyławiać wciąż nowe ważne wydarzenia, i to w dużo bardziej konstruktywny sposób niż latanie po osiedlu i wyszukiwanie duchów straszących po śmietnikach czy śladów cywilizacji pozaziemskich w zsypach na śmieci. Albo granie na komputerze i przesiadywanie na boisku do koszykówki z kumplami, którzy tak naprawdę nie mają niczego szczególnego do powiedzenia.

„Wszystko jest możliwe - pomyślał Tytus. - I wszystko przemija, ale zanim tak się stanie, można poznać istotę życia: strach i radość, ból i szczęście, nienawiść i miłość, gniew i przyjaźń. Ze wszystkiego można zrobić życie. Wystarczy użyć własnej dłoni, mocno ją zacisnąć. Tak, chyba rzeczywiście Pitoń ma rację, gdy mówi, że wcale nie jestem taki inteligentny, na jakiego wyglądam. Musiałem dostać się do miasta duchów i uratować świat, aby dowiedzieć się takiej prostej rzeczy”.

I wtedy wszystko zaczęło się trząść.

Poczuł, że dłoń go parzy, jakby trzymał ją w rozpalonych węglach.

- To teraz! - usłyszał krzyk Iskry. - Teraz, Tytus!

Otworzył oczy. Zamek drżał w posadach, jakby pod nim znajdowało się epicentrum trzęsienia ziemi. Witraże pękały z hukiem, za nimi czerń mieszała się z bielą jak w świetle stroboskopu. Strzępowaty z szeroko rozwartą paszczą i nieopisaną wściekłością w oczach dał znak dwóm stojącym do tej pory w rogu sali wężaczom. Rzucili się na Strąka, który dobiegł do ściany, chwycił zdrową ręką kawał rozbitego witrażu i stanął naprzeciwko trójki potworów.

Tytus chwycił Ankę za rękę i szybko popędził do Iskry.

- Strąk! - wrzasnął. - Strąk, to już teraz! To już się zaczęło! Uciekamy!

Ale Strąk nie usłyszał, a Iskra tylko pokręciła głową, dała Tytusowi i Ance znak do odwrotu.

- Strąk! - krzyknął, odwracając się w jego kierunku. Widział, jak ten szybko, ale resztkami sił wymyka się wężaczom i Strzępowatemu, zaślepionemu wściekłością tak bardzo, że nie zauważył zbiegów.

- Iskra, oni go zabijają! - zawołał, gdy wybiegali z sali zamku na długie, kręcone schody. - Zabijają go!

Nic nie odpowiedziała. Pędzili w dół na złamanie karku. Budynek trzął się w posadach, a ze ścian odpryskiwały fragmenty cegieł zamieniające się w srebrzysty, lśniący pył. Próbował powiedzieć coś jeszcze do Iskry, ale ta nie zwalniała tempa i nie odwracała się do nich.

Wybiegli na dziedziniec zamku. Tytus spojrzał na panoramę Zmorojewa. Musiał zmrużyć oczy. Rozpościerający się przed nim widok był nie do opisania.

Budynki i ulice Zmorojewa stały się rozmazane od drgań. Miasto drżało, falowało, krajobraz wydłużał się i tracił ostrość, a z całej tej feerii kształtów i kolorów wznosił się pył. Tony srebrzystego pyłu gaszącego trawiący budynki ogień, migoczącego tysiącami barw, przypominającego olbrzymią zorzę polarną. Górzące nad ratuszem drzewo wybuchnęło jak srebrno-złote fajerwerki. Wtedy niebo stało się na moment oślepiająco białe, a następnie wypełniły je miliony mieniących się różowo chmur. Gdzieś w tym blasku majaczyły kontury sług Leszego - rzucały się na oślep, oniemiały, wściekły, nie wiedząc zupełnie, co dalej robić.

I wtedy Tytus musiał przesłonić oczy.

Nad Zmorojewem wschodziło słońce. Zalał ich oślepiający, purpurowożłoty blask.

Odwrócił się w kierunku Iskry. Płakała.

- Co stanie się ze Strąkiem? - Wskazał drżącą wieżę zamku, od której odpadały wirujące w powietrzu, wielkie jak domy fragmenty muru, zamieniające się w powietrzu w pył.

- Pamiętasz, co ci mówił - powiedziała przez łzy. - Nic nie umiera. Energia jest wieczna. To

wszystko się odrodzi. W innym czasie, w innym świecie.

Patrzyli, jak zza kłębowiska barw i chmur wyłania się olbrzymia, purpurowa kula, a Zmorojewo wraz ze swoimi zabudowaniami kurczy się, cofa, przybliża ku nim niczym zamki z piasku zabierane przez odpływ do morza. Anka przytuliła się do Tytusa, patrząc na wszystko szeroko rozwartymi oczyma osoby doświadczającej właśnie cudu przekraczającego granicę pojmowania.

- Udało ci się, Powierniku - wyszeptała, po czym, jakby otrząsając się z letargu, krzyknęła: - Mamy mało czasu! Biegniemy!

- Dokąd? - zapytał Tytus, podążając za nią przez dziedziniec zamku i wyrwę w murze na drugą stronę.

- Do jamy - odparła Iskra, również przeskakując dziurę.

* * *

Na zewnątrz Tytus zauważył miejsce, w którym już był. Błotnistą ulicę, po której bokach stały szeregi zapadłych, drewnianych, zaniedbanych domów. Widział ją jednak w mroku nocy, a teraz alejka była skąpana w purpurowozłotym blasku, nad powierzchnią ziemi zaś unosiły się tumany srebrnej mgły. Rozpoznał miejsce, do którego trafił podczas próby ucieczki ze Zmorojewa, gdy niosąc nad głową plecak Anki, powoli, krok po kroku, zapadał się w czarne, gęste błoto.

- Do jamy? - powtórzył Tytus.

Iskra kiwnęła głową.

- Tak naprawdę nie ma żadnej jamy, do której wrzucamy nieproszonych gości i wrogów - wyjaśniła. - To był tylko mit, który funkcjonował wśród mieszkańców Zmorojewa, aby byli spokojni, że mamy jakąś formę obrony. Oczywiście istnieje jama, ale to właśnie to miejsce, przez które wydostałeś się na zewnątrz. Jedyna droga ze Zmorojewa do prawdziwego świata.

- To znaczy, że gdybym został zaprowadzony do jamy, jak ci wszyscy ludzie, po prostu znalazłbym się wtedy w domu? - zapytał.

Iskra pokiwała głową. Z tyłu wybuchnęła kolejna fala ciepła; Tytus poczuł ją na plecach.

- Wszystko zaraz się skończy - powiedziała Iskra. - Musimy biec.

Ruszyli za nią przez twardniejące błoto, ścigani przez wschodzące słońce, przedzierając się przez duszący, gryzący, wdzierający się do nosa srebrny pył. Budynki po ich lewej i prawej stronie wzbijały się do góry, wybuchały w czerwonosrebrnych snopach iskier. Tytus odwrócił się - za jego plecami nie było już Zmorojewa i zamku, tylko światło, różowawozłota eksplozja kolorów.

I wtedy zobaczył to, czego wtedy, w ciemności, nie zauważył - ogromny, wypełniony bulgoczącym, czarnym błotem okrąg, zza którego wyzierała podziurawiona jak sito ściana białej mgły, resztki Bariery.

- To tutaj - oznajmiła Iskra. - Wskakujcie.

Tytus popatrzył na nią, na tę dzielną dziewczynę z nieustępliwym spojrzeniem i zaciśniętymi ustami. Po jej twarzy płynęły teraz złote, błyszczące łzy. Wyciągnął do niej rękę.

- Więc to już koniec? - zapytał.

Anka stanęła za nim i popatrzyła Iskrze głęboko w oczy.

- Wskakujcie, do jasnej cholery, gamonie, bo już nigdy nie wrócicie do domów! - krzyknęła Iskra. - Na co czekacie?! Aż tu przyjedzie ten, jak mu tam, dylizans?

Tytus uśmiechnął się, a w oczach zaszklily mu się łzy. Stali chwilę bez ruchu. Zabułgotało. Nadchodzące światło zaczęło przykrywać ich i ziemię gorącym płaszczem. Iskra westchnęła i uścisnęła ich w lekko nienaturalny, ale szczery sposób.

- Jeszcze się spotkamy - powiedziała wzruszona. - Zło prędzej czy później się obudzi. I nic

nie umiera. Pamiętajcie.

- Pamiętajmy - odparł Tytus i mocno ścisnął rękę Anki. Różowozłota kula była tuż przy nich, jakby stali obok wybuchającej supernowej.

- Wskakujcie, do jasnej cholery! - warknęła Iskra i wepchnęła ich w błoto. Wpadając do środka, zdążyli się do siebie przytulić.

Widzieli jeszcze przez chwilę, jak sylwetka Iskry powoli zamazuje się w purpurowosrebrnym blasku.

A potem pochłonęła ich Czerń.

EPILOG

Nieopodał Głuszyc panował spokój.

Anka i Tytus leżeli w trawie, patrząc na wschodzące słońce, zalewające niebo zimnym, stalowym różem. Trawa była mokra i chłodna. Leżeli blisko siebie, przytuleni, aby nawzajem się ogrzewać.

- Właśnie przypomniało mi się, że oddałabym wszystko za fajka - powiedziała Anka i zaczęła obszukiwać kieszenie. Po chwili wyciągnęła paczkę marlboro. W środku był jeden złamany papieros. Wyjęła go, ścisnęła w miejscu przerwania, zapaliła i zaciągnęła się łapczywie, po czym kaszlnęła i zgasiła go w trawie.

- Ohydztwo. - Splunęła. - Tak jakby się zepsuł. Czy papierosy mogą się psuć?

Tytus podniósł się, oparł na łokciach i popatrzył przed siebie. Otaczał ich ciemny, nieprzenikniony, ale zupełnie spokojny, wręcz malowniczy las. Chata starego Wirdały była zwykłą opuszczoną chałupą z zawałonym dachem. Gdzieś z oddali dobiegały pianie koguta i szum przejeżdżających samochodów. Anka włączyła swój telefon, który działał bez zarzutu - od razu wyświetliły jej się nieodebrane połączenia od matki. Było ich dziewięćdziesiąt siedem.

Wszystko wydawało się spokojne i normalne, świat istniał dalej, a Tytus w ogóle nie mógł w to uwierzyć.

- Więc to już koniec - powiedział sam do siebie, wpatrzony w drzewa, w ziemię, nad którą unosiła się warstwa białej mgły - najzwyklejszej porannej mgły.

- I bardzo dobrze. - Anka odwróciła się do niego i pocałowała go w policzek. Uśmiechnął się i odwzajemnił pocałunek.

- Jak myślisz, co się z nimi stało? - zapytał. Zdał sobie sprawę z tego, że nie pamięta wszystkiego za dobrze. Wspomnienia zamazywały się, przypominając gwałtowny, niewyraźny sen albo wyrwyki z sobotniej imprezy pojawiające się w głowie na niedzielnym kacu. Wiedział jednak, że Zmorojewo, miasto duchów ukryte w lesie w Kolonii Głuszyce, do którego można się było dostać przez drzwi w chacie starego Wirdały, zostało bezpowrotnie zniszczone.

- Nie wiem. - Anka wstała z ziemi i zaczęła energicznie otrzepywać się z rosy. - I pewnie nigdy się nie dowiem. Nie myśl o tym. Musiało tak się stać, aby wszystko znów było w porządku. - Zatrzymała się w pół ruchu, jakby coś przyszło jej do głowy, jakieś nieprzyjemne wspomnienie albo nagła świadomość niewykonanego obowiązku, na przykład zapłacenia rachunków. - A może to w ogóle nam się nie przydarzyło? - mruknęła, patrząc na niego. - Może to był tylko sen?

Tytus uśmiechnął się, pogrzebał w kieszeni i wyjął z niej starą, rzeźbioną fajeczkę z wydrapanym na cybuchu ptakiem. Ścisnął ją w rękę i schował z powrotem do spodni.

- Chodźmy już - rzuciła Anka. - Muszę wziąć prysznic. I coś zjeść. I przespać się jakieś piętnaście godzin. Mam nadzieję, że twoja babcia zagwarantuje nam takie luksusy.

- Też mam taką nadzieję.

Tytus również wstał. Mięśnie bolały go, jakby wczoraj uczestniczył w zawodach strongmanów. Wziął Ankę za rękę i spokojnie ruszyli w kierunku Głuszyc.

- Co tak naprawdę we mnie widzisz? - nie wytrzymał i zapytał, gdy Anka po raz kolejny nie wiedzieć czemu pocałowała go w policzek.

- Z tego, co jeszcze pamiętam, głupku - odparła, opierając głowę na jego barku - to przed chwilą uratowałeś świat.

Uśmiechnął się i spojrzął za siebie. Kolonia Głuszyce i chata starego Wirdały zniknęły im z oczu, zasłoniły je drzewa.

- To był tylko sen - powiedział i przycisnął ją mocniej do siebie.

- Poza tym jesteś wspaniały - dodała po dłuższej chwili. - Jakbyś tylko zdjął okulary, przystrzygł włosy i nie ubierał się jak komputerowiec w czarne koszulki wyciągnięte psu z gardła i bojówki z Armii Zbawienia.

Poszli dalej w las, a nad nimi wschodziło słońce.

Nieopodal Głuszyc panował spokój.

* * *

Oczywiście na początku babcia rzuciła się na nich ze szlochem, po czym całowała i obściskowała oboje przez dobre pół godziny. Dziadek, gdy tylko ich zobaczył, wyglądał, jakby właśnie z ramion zrzucił ogromny ciężar. Oczywiście babcia przygotowała im trzydaniowy obiad, do którego Zbigniew, już nie kryjąc się przed babcią, wyjął wielką butelkę cydru. Nie rozmawiali wcale o tym, co się stało, gdzie byli, jak wszystko się skończyło. Tak jakby w milczącym, telepatycznym porozumieniu postanowili, że nie mają siły ani najmniejszej ochoty o tym rozmawiać.

Gawędzili więc o niczym, o pogodzie, o planach na resztę wakacji, o szkole Tytusa, o tym, na jakie studia planują iść on i Anka (jakby Tytus miał już planować, co wydarzy się w jego życiu za cztery lata, i jakby babcia nie rozumiała, że cztery lata to szmat czasu prawie tak długi jak całe jego dotychczasowe życie).

- Tytku, Boże jedyny, zapomniałam ci powiedzieć. - Babcia Maryla znowu była tą samą biegającą, trajkoczącą i hiperaktywną starszą panią w sportowym dresie i tylko podkrążone, nabiegłe krwią oczy zdradzały, że w ciągu ostatniej doby mogło się coś stać. - Wieczorem przyjeżdżają twoi rodzice. Usłyszeli o wszystkim, co tu się wydarzyło... Media podały, że przez miasto przeszło tornado i były ofiary w ludziach.

- Tornado? - zdziwił się Tytus. - Jakie tornado? Nikt nie pamięta kilkumetrowego potwora rzucającego ludźmi jak pacynkami?

Babcia podała mu do ręki „Gazetę Olsztyńską” ze zdjęciem przewróconego policyjnego samochodu na pierwszej stronie i wielkim nagłówkiem: „TORNADO STULECIA PUSTOSZY GŁUSZYCE”.

- Nikt tego nie pamięta. Tak działa ludzki mózg, Tytku, w kontakcie z siłami nadnaturalnymi. Niech ludzie myślą, że to było tornado. - Babcia Maryla popatrzyła przenikliwie na wnuka. - Tak będzie lepiej. W każdym razie twoi rodzice przerazili się i wsiedli w pierwszy lepszy samolot.

- To fajnie. To znaczy: fajnie, że przyjeżdżają, a nie że się przerazili - odparł w przerwie podczas pochłaniania jedzenia, które nagle wydało mu się najpyszniejsze na świecie. - Ale może ich przekonam, abyśmy z Anką zostali tutaj jeszcze trochę. Jakiś tydzień.

- Tak. - Anka się rozpromieniła. - To bardzo dobry pomysł.

Babcia Maryla na chwilę spochmurniała.

- Właśnie, Aniu... - zaczęła cicho, zatrzymując się w połowie drogi między stołem a lodówką, z której właśnie miała wyjąć sernik. - Ta cała ucieczka i tak dalej. Twoja mama dzwoniła tutaj kilkadziesiąt razy. Mówiłam jej, że tu jesteś. Usłyszała w telewizji o... tornadzie i wpadła w panikę. Chciała przyjechać wieczorem. Koniecznie. Myślę, że powinnaś do niej zadzwonić.

Anka upuściła widelec na talerz, jej oczy się zwęziły, a twarz przybrała głęboko nienawistny, wściekły wyraz. Babcia Maryla podeszła do niej i położyła jej dłoń na ramieniu. Dziewczyna westchnęła i wstała od stołu.

- Przepraszam - powiedziała i podeszła do telefonu w drugim pokoju.

Rozmowa była długa i krzykliwa. Tytus, chociaż bardzo starał się jej nie słyszeć,

wyłuskiwał z podniesionego głosu Anki poszczególne słowa, takie jak: „nienawidzę”, „mam dość”, „nie będziesz”, „uwięziona”, „głucha” i „kretynka”. Po jakichś dwudziestu minutach Anka wróciła do stołu rozdygotana i zaczerwieniona, ale z widocznym na twarzy nieokreślonym wyrazem, który Tytus po chwili rozpoznał jako satysfakcję.

- Jeśli pani pozwoli, pani Marylo - poprosiła, wracając do pałaszowania zimnej już pieczeni - zostałabym u pani tak jak Tytus jeszcze na tydzień.

- Miałaś mi mówić po imieniu. - Babcia Tytusa się uśmiechnęła, stawiając na stół sernik.

* * *

Jakieś parę godzin później przyjechali rodzice Tytusa.

- Co tu się stało?! - zapytał przerażony tato, wpadając z impetem huraganu do mieszkania. - Boże, mamo, co to za szkody? Przecież tu nigdy czegoś takiego nie widziałem. Wszędzie powybijane okna! Powyrywane słupy! Tu rozpętało się jakieś piekło!

- I ci dziennikarze! - dodała mama Tytusa. - Zaczepiali nas cały czas, próbując coś z nas wydobyć. Mówiłam im w kółko, żeby się odczepili, bo ja nie zesłałam żadnego tornada.

- A na dodatek policjanci! - Tato Tytusa ruszył w kierunku syna z szeroko otwartymi ramionami, by bardzo mocno przytulić go do siebie. - Co za tragedia! Wiatr ich porwał i rzucił nimi o ziemię? Co za straszna śmierć!

- Oj, najedliśmy się strachu, to fakt. - Babcia Maryla westchnęła. - Ale najważniejsze, że już wszystko za nami. Dostaniemy odszkodowanie, bo byliśmy ubezpieczeni. Nie jest tak źle.

- Odszkodowanie... - Tato Tytusa pokręcił głową. - To niesamowite. W życiu bym w to nie uwierzył, gdyby ktoś mi o tym powiedział. W takiej spokojnej miejscowości.

- Nie rozmawiajmy o tym. - Babcia Tytusa machnęła ręką. - Pomyślmy o tych, co stracili bliskich, a resztę wieczoru cieszymy się, że jesteśmy razem i nic nam nie jest. Już, wszyscy ściągać buty i myć ręce. Za chwilę zapraszamy na taras.

Anka nie uczestniczyła w tym spotkaniu, tylko poszła spać. Gdy siedzieli na tarasie, pochłaniając kolejne porcje jedzenia, tym razem grillowanego, rodzice Tytusa opowiadali setki nudnych anegdot z Meksyku, krążących na ogół wokół upału i niejadalności tamtejszej kuchni. Tytus natomiast dzielnie improwizował, opisując wszystkie perypetie, które spotkały go w Głuszycach podczas ich nieobecności - próby jeżdżenia na koniu zakończone bolesnym upadkiem, zabłądzenie w lesie, łowienie ryb z dziadkiem zakończone triumfalnym upolowaniem nadgniętego kalosza i siodełka od roweru dziecięcego. Co chwila zerkał na babcię Marylę, która słuchała tego wszystkiego ze spokojnym półuśmiechem. Zerkał również na ojca, jego chudą twarz w okularach, i starał się odnaleźć jakieś podobieństwo do Strąka. Jednak po pierwsze, twarz jego „prawdziwego dziadka” zaczynała się coraz bardziej zamazywać mu w pamięci, niezależnie, jak mocno ścisnął trzymaną w kieszeni fajkę, po drugie, jego tato był przede wszystkim, jak to powtarzano przez całe życie Tytusa z okazji różnych rodzinnych imprez, wykapaną Marylą.

- To fajnie, że chcesz zostać jeszcze trochę u babci - powiedziała mama Tytusa. - A co z obozem językowym, na który tak bardzo chciałeś pojechać?

- Nie wiem. - Tytus wzruszył ramionami. - Nie mam pojęcia. Może wolałbym pojechać gdzieś z Anią.

Mama Tytusa głośno chrząknęła, natomiast tato jak zwykle nic nie usłyszał, zupełnie nieobecny. Patrzył przez wszystkich zebranych w nieokreślony punkt na niebie.

- Powiedziałbyś coś w końcu! - krzyknęła mama i szturchnęła tatę łokciem w bok. - Nasz syn chce jechać sam z dziewczyną na wakacje.

- Porozmawiamy o tym w domu - powiedział Robert, ale nie wiadomo było, czy mówi do

Tytusa, czy do którejś z jaśniejących na bezchmurnym niebie gwiazd.

Po grillu rodzice i dziadek Zbigniew (który odchodząc od stołu, ostrożnie i delikatnie pocałował babcię Marylę w policzek) poszli spać, Tytus zaś został sam z babcią na tarasie. Przez chwilę siedzieli w milczeniu, nie wiedząc, od czego zacząć rozmowę.

- Zniszczyliśmy Zmorojewo - powiedział po chwili Tytus, patrząc na babcię. - Zniszczyliśmy Zmorojewo, aby ocalić świat, i nie wiadomo, czy tam w ogóle ktokolwiek przeżył.

Babcia uśmiechnęła się swoim charakterystycznym uśmiechem: ciepłym, wyrozumiałym, mądrym.

- Niektóre rzeczy dzieją się, bo muszą - powiedziała - i takie jest życie, Tytku. Bywa różne. Bardzo zagadkowe. Niepojęte. Czasami, na przykład, stajemy się przez moment kimś zupełnie innym i ta nowa rola spada na nas z nieba, zupełnie zniecka, tylko na chwilę.

- Jak bycie Powiernikiem - stwierdził Tytus wpatrzony w bezchmurne niebo. Robił się senny. Babcia Maryla westchnęła.

- I takie rzeczy dzieją się po prostu, nagle - odezwała się po chwili. - Pamiętamy je potem jak sen, nierzeczywistość. Nie wiemy, czy wydarzyły się naprawdę. Najważniejsze jest to, co z nich wynieśliśmy, co one w nas obudziły. Kim się staliśmy.

Tytus pokiwał głową. Rozumiał, o co jej chodzi. Siedzieli tak jeszcze przez chwilę w ciepłe, muskani przez wiatr.

- Jak myślisz, co się z nimi wszystkimi stało? - zapytał.

- Wolałabym... - Babcia Maryla zawahała się. - Wolałabym, abyśmy nigdy tego się już nie dowiedzieli. Abyśmy nie musieli się tego dowiedzieć. Nie chciałbyś tak tego zostawić?

- Lubilem ich - odparł Tytus.

- Oj, ja też ich lubiłam - powiedziała babcia, rumieniąc się. - Niektórzy jednak po prostu muszą pojawić się i zniknąć. Ale nie stało im się nic złego. Nie cierpią. Nie wiem nawet, czy potrafią cierpieć w ludzkim rozumieniu tego słowa.

Gdzieś z daleka dobiegło szczekanie psów. Babcia opatulila się mocniej kocem i udawała, że nie widzi, jak Tytus nalewa sobie jeszcze pół szklanki cydru.

- Wszystko się zmienia, pojawia i znika, Tytku. Takie jest życie, taki jest świat, taka jest historia. Czy wiesz na przykład, że przed pierwszą wojną światową Głuszyce nazywały się Taubenberg? I były dużo, dużo większym miastem, z pięknym rynkiem, zamkiem krzyżackim, a nawet stacją kolejową, z której podobno odjeżdżał pociąg do Moskwy? Obie wojny obróciły to wszystko w perzynę, tak że nie został żaden ślad. Ruin zamku szukają po tych lasach do dzisiaj.

- Wiem. - Tytus się uśmiechnął i upił jeszcze jeden łyk cydru. - To akurat wiem.

Babcia uśmiechnęła się i zaczęła sprzątać ze stołu, Tytus wstał, aby jej pomóc. Gdy skończyli, pocałowała go i powiedziała, że musi już iść położyć się spać. Tytus siedział jeszcze przez chwilę, wsłuchany w przerywaną dobiegającymi z oddali odgłosami lasu spokojną ciszę letniej nocy. I zanim sam wstał, aby iść się położyć, wziął do ręki fajkę Strąka, obejrzał ją dokładnie jeszcze raz i włożył do ust, nie zapalając, smakując tylko dziwny aromat igliwia i starego tytoniu.

* * *

Otworzył oczy, ale dalej widział czerni. Ziemia była twarda i zimna, a wokół unosił się czarny dym. Wpierw nie dostrzegł zupełnie nic, ale po chwili odzyskał zdolność widzenia w ciemności. Popatrzył na siebie. Był ubrany jedynie w podarte ludzkie spodnie. Skądś je pamiętał. Prawie całą jego klatkę piersiową pokrywał rozległy czarny strup, w dotyku twardy jak pancierz.

Był głodny. Chciał mięsa. Surowego mięsa. Krwi. Dotknął swoich ust. Uczucie było przeraźliwie dziwne, jakby musnął usta obcej osoby, jak po znieczuleniu dentystycznym.

Podniósł się i zaczął wołać, a z jego płuc dobywał się skrzek obcej istoty, nie głos, który pamiętał.

W ogóle nie pamiętał zbyt wiele. Nie pamiętał swojego imienia, nie pamiętał, kim był ani co powinien czuć. Ale wiedział, że jest dziwnie pusty. Że myśli tylko o jedzeniu. Nie odczuwał przerażenia, dezorientacji czy lęku. Mniej więcej wiedział, na czym te uczucia mogły polegać.

- Straciliśmy szansę. - Głos dobiegł z Czerni, ze wszystkich stron naraz, otaczał go, jakby słowa wymawiały setki stojących wokół niego osób. - Straciliśmy szansę przejścia. Ale mamy jeszcze jedną. Potrzebujemy cię.

- Mnie? - Z jego gardła wydobył się obcy głos. - Ja nawet nie wiem, kim jestem.

- Zanim zniszczyli to przekłete miasto - przemówił głos - byłeś człowiekiem.

Teraz sobie przypominał. Rzeczywiście. Był człowiekiem. Nawet przez dłuższy czas. Miał nawet jakieś imię i nazwisko, ale one dawno utonęły już w otaczającej i wypełniającej go Czerni. Był człowiekiem, ale tamten człowiek ze swoim imieniem, nazwiskiem, żądzami zginął w ogniu. Tak jak kiedyś pokazało mu Lustro.

- A kim jestem teraz? - zapytał.

- Człowieczym. Żarłaczem - odparł głos. - Moim sługą. Przeżyłeś jako jedyny.

Przypomniawszy sobie coś jeszcze, coś nieokreślonego, o czym myślał tamten człowiek. Nie potrafił przypomnieć sobie, co to dokładnie było, ale dawało mu uczucie znajdowania się we właściwym miejscu, pozostawania kimś właściwym. Uczucie kompletności. Podejrzewał, że człowiek, który zginął w ogniu, nigdy w życiu go nie zaznał.

- Możemy przedrzeć się jeszcze raz - powiedział głos - ale to wymaga czegoś innego. Wymaga wielkiej zamiany, wymaga przejęcia wielu ludzkich serc, takich jak twoje. Wymaga wyhodowania Czerni w ludzkim świecie. Musisz wrócić do ludzkiego świata i zacząć ją tworzyć. Zwerbować jednego człowieka. Potem następnego. Potem stworzyć armię. Armie, która otworzy Bramę.

Kiwnął głową. Przypomniawszy sobie coś jeszcze w drobnych przebłyskach. Coś, co na chwilę nim zachwiało, jakby na ułamek sekundy zawiał mocny wiatr. Przypomniało mu się, czego chciał człowiek, który zginął w ogniu, jakie pragnienie - tak naprawdę - doprowadziło go do tego miejsca. Na moment odezwał się dawnym głosem zmarłego człowieka.

- Mamo! - krzyknął. - Czemu przyszedłeś do mnie wtedy, we śnie? Zanim umarłaś, mammo? Powiedz mi nareszcie, co się skończy za mojego życia? Co tak naprawdę chciałaś mi powiedzieć? Czy jesteś tutaj? Czy jesteś w tej Czerni?

- Wszyscy są tutaj - odpowiedział po jakimś czasie głos. - Wszyscy bez wyjątku. A teraz idź i wykonuj moje polecenia.

Głos człowieka, który umarł w ogniu, urwał się w nim na zawsze.

Ruszył przed siebie, w Czerń i dym.

Szedł szybko.

Był głodny.

KONIEC

O autorze



fot. Kuba Dąbrowski

JAKUB ŻULCZYK - prozaik, autor powieści *Zrób mi jakąś krzywdę*, *Radio Armageddon* oraz *Instytut*; pisarz, dla którego priorytetem jest dobra opowieść. Stały publicysta tygodnika „Wprost”, pisał i pisze dla niezliczonej liczby gazet, bloguje, jest DJ-em. Pracował również przy serialach telewizyjnych, opracowaniu testów na inteligencję, robił pocztówki własnego autorstwa. Lubi gotować, grać w gry i się odurzać. Bardzo głośno mówi. Uwielbia zespół Papa Dance. Dla Wydawnictwa „Nasza Księgarnia” spisuje nieprawdopodobne przygody Tytusa Grójeckiego, których pierwszą częścią jest *Zmorojowo*.

Zmorojewo

Spis treści

Okładka Karta tytułowa GŁUSZYCE Część pierwsza PROLOG 1. Najgorszy początek wakacji
wszech czasów 2. Głuszyce 3. Dziewczyna z gazem pieprzowym 4. Legenda starego Wirdały 5.
Kolonja Głuszyce ZMOROJEWO Część druga 6. Ślady zębów 7. Pod podłogą 8. Jak dźwięk, jak
wstrząs, jak czerń 9. Zmorojewo 10. Przed tajemną stroną WOJNA Część trzecia 11. Resztkami sił
12. Uciekinier 13. Uciekinierzy 14. Kwiat, Portret, Lustro 15. Ogień EPILOG O autorze Karta
redakcyjna

This edition © copyright by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2011

Text © copyright by Jakub Żulczyk, 2011 by arrangement with Syndykat Autorów

Ilustracja na okładce: *Igor Kieryluk*

Typografia: *Marta Weronika Żurawska-Zaręba*

Redaktor prowadzący *Katarzyna Piętka*

Opieka redakcyjna *Joanna Kończak*

Korekta *Magdalena Szroeder, Ewa Mościcka, Malwina Łozińska*

Redaktor techniczny, DTP *Agnieszka Czubaszek*

Materiał promocyjny. Nie do sprzedaży.

Plik wyprodukowany na podstawie *Zmorojewo*, Warszawa 2011

 **Wydawnictwo
NASZA KSIĘGARNIA**
www.naszaksiegarnia.pl

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.

02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c

tel. 22 643 93 89, 22 331 91 49,

faks 22 643 70 28

e-mail: naszaksiegarnia@nk.com.pl



